JOANNA CHMIELEWSKA

(NIE)BOSZCZYK MĄŻ

WSTĘP

Jeśli ktoś nie jest, na przykład, nieudacznik, to co on jest? Udacznik. Czyż nie?
Jeśli nie jest niemrawiec, to chyba mrawiec...?
A jeśli nie jest bezduszny, znaczy: duszny.
Ewentualnie nie jest bezpieczny, zatem powinien być pieczny...?
Proszę bardzo, oto dalsze przykłady:

NIE -	BEZ -
dojda	myślny
dorajda	radny
zdara	domny
chluj	nadziejny
dolega	pośredni
uk	względny
samowity	ładny
zguła	nogi

Wyraźnie z powyższego wynika, że jeśli jakiś mąż nie został nieboszczykiem...

NIE -
boszczyk,

wobec czego:
BOSZCZYK MĄŻ

Malwina Wolska siedziała przy oknie w salonie swojego pięknego domu, zapatrzona w potoki deszczu, i obmyślała zbrodnię.

Długo bardzo ta zbrodnia jakoś nie przychodziła jej i do głowy, dopiero teraz nastąpił błysk i okazało się, iż stanowi jedyne rozsądne wyjście. Jasne, oczywiście, lego podleca trzeba po prostu zabić.

Podlecem był jej mąż.

Dokonawszy odkrycia przed pięcioma minutami i w mgnieniu oka podjąwszy decyzję, Malwina poczuła dreszcz emocji. Otóż tak, znalazła rozwiązanie. Skoro on sam z siebie nie chce zapaść na żadną śmiertelną chorobę, a nieszczęśliwe wypadki starannie go omijają, należy pomóc losowi i nie kto inny musi to zrobić, tylko ona sama. Niestety, osobiście.

Inaczej zostanie pozbawiona wszystkiego. Całego mienia, rosnącego i gromadzonego od dwudziestu lat. Teoretycznie połowy, ale już on się postara wydrzeć jej wszystko albo prawie wszystko i zostawi ją na kruchym lodzie w charakterze starzejącej się ofiary. W ten sposób resztę życia będzie miała nieopisanie uciążliwą i w ogóle zmarnowaną.

Nie widząc strumieni wody, lejących się z nieba, z miejsca przystąpiła do przeglądu możliwości, pchających się nachalnie, acz na razie jeszcze nieco chaotycznie. W zaczynające migać jej przed oczami obrazy wdarł się nagle jakiś dźwięk.

- Czy pani chce to wszystko poddusić? - spytała, zaglądając do salonu, Helenka, tak zwana pomoc domowa.

- Tak- odparła Malwina mściwie i bez sekundy namysłu. - Udusić. Całkiem.

- To ja wiem. Ale czy poddusić trochę już teraz?

- Im prędzej, tym lepiej. Od razu.

Helenka odczekała jeszcze chwilę, ale więcej poleceń nie było. Jej chlebodawczyni nadal wpatrywała się w okno, a ciche mamrotanie, które wydawała z siebie, nie mogło chyba dotyczyć zabiegów kulinarnych! Brzmiało jakby "sznurkiem", "gazem", "żyłką...", i jeszcze jakieś "cztery minuty", więc z podduszaniem potrawy nie miało nic wspólnego, bo cztery minuty to nonsens. Za mało. Helenka wzruszyła ramionami.

- Na małym ogniu postawię - oznajmiła i podążyła do kuchni.

Malwina Helenki nawet nie zauważyła, tak jak nie dostrzegała deszczu, i nie miała pojęcia, że odbyła jakąś rozmowę. Przed jej oczami trwał ten podlec mąż. Karol.

Wstrętnego Karola już dawno miała dosyć, a od wczoraj stał się jej wrogiem śmiertelnym. Wczoraj wymówił potworne słowo. Rozwód.

O nie, rozwodu Malwina wcale nie chciała. Nic dobrego by jej z niego nie przyszło, zostałaby sama, bez pieniędzy, bez domu, bez żywego człowieka przy boku, skazana na samą siebie i możliwe nawet, że na pracę zarobkową. Alimentów nie dostałaby żadnych, ponieważ dzieci nie ma, sama zaś jest zdrowa, młoda... no, młoda jak młoda, w każdym razie w wieku produkcyjnym, i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się wzięła za robotę. Ciekawe, jaka robota dałaby jej bodaj jedną dziesiątą tego, czym dysponuje w tej i chwili... A ta połowa mienia okazałaby się śmiesznym drobiazgiem, wystarczającym może na rok, góra dwa lata. I co potem?

I gdzie właściwie miałaby mieszkać?

Gdyby zaś ten łajdak tak sobie zwyczajnie umarł, dziedziczyłaby po nim wszystko, bo innych spadkobierców nie było, cały majątek musiałby się ujawnić i egzystencja nie uległaby żadnej zmianie. Nie, owszem, uległaby. Na lepsze. Nareszcie nie musiałby żebrać o pieniądze, mogłaby nimi dowolnie dysponować, bez awantur, łez, krzyków i wyrzutów. I panowałaby finansowo nad Justynką...

Rozwód niweczył wszystko.

Osobowość Malwiny Wolskiej w gruncie rzeczy nic była zbyt skomplikowana i żadnej wielkiej zmianie z wiekiem nie uległa.

Niegdyś młoda i wdzięczna dzieweczka promieniała urokiem i tryskała radosną lekkomyślnością. Pieniądze jej nie obchodziły, zawsze ktoś za nią płacił, a rodzice pchali w dwie córeczki wszystko, co mieli, sobie od ust odejmując. Szkołę średnią skończyła niechętnie i z ogromnym trudem, żadnych studiów nie planowała, bo nie istniał na świecie zawód, który miałaby ochotę wykonywać, chciała natomiast wyjść za mąż, błyszczeć modą, być wielbiona, zażywać rozrywek i czytać książki. Także oglądać telewizję, plotkować z przyjaciółkami i w ogóle, robić, co jej się spodoba.

Posiadała jednakże dwa talenty, którymi obdarzyła ją litościwa opatrzność. Umiała mianowicie gotować, jakoś tak, sama z siebie, z natchnienia, i nawet lubiła to zajęcie, ponadto miała znakomite wyczucie kolorystyki. Obie te zalety okazały się przydatne, dały jej męża.

Dwadzieścia lat temu poślubiła Karola nie dla żadnych pieniędzy, tylko tak jakby z miłości, chociaż fakt, że nie żył w nędzy, miał swoje znaczenie. Był przystojny, wzrostu więcej niż średniego, szczupły, błyskotliwy, inteligentny, nieco ironicznie dowcipny, pełen inicjatywy, pracowity, zaradny i szaleńczo w niej zakochany. Możliwe, że to zakochanie w pewnym stopniu sama w niego wmówiła i postarała się o rezultat konkretny, Karol bowiem do małżeństwa nie rwał się z dziką namiętnością i uległ jakby trochę przez rozum, aczkolwiek kochał ją ogniście. Nie cierpiał dzieci i pod tym względem zgadzali się doskonale, Malwina nie chciała mieć żadnych dzieci, bo dzieci oznaczały uciążliwe obowiązki i wyrzeczenia. Nienawidziła wyrzeczeń.

Despotyzm Karola ujawnił się dopiero po ślubie i był to rodzaj despotyzmu jakby mocno mieszany, częściowo całkiem przyjemny, a częściowo obrzydliwy i nieznośny.

Chociażby rachunki. Wszystkie załatwiał sam, Malwina nie miała prawa nawet na nie spoglądać i ogromnie była z tego zadowolona, ponieważ nie cierpiała liczenia. Żadnego. Nawet bielizny do prania, nawet posiadanych szklanek i kieliszków, nie wspominając o pieniądzach albo, na przykład, kaloriach. Była zdania, że od samego liczenia nikomu niczego ani nie przybędzie, ani nie ubędzie, po cóż zatem zadawać sobie ten wstrętny trud.

Zabraniał jej zajmować się polityką. I doskonale, Malwina znała się na polityce jak kura na pieprzu i nie miała najmniejszej ochoty wnikać w jej tajniki. Zabraniał pracować zarobkowo poza domem. Jeszcze lepiej, wcale nie chciała, a dyscypliny pracy w ogóle nie trawiła. Zabraniał bywać gdziekolwiek i wyjeżdżać dokądkolwiek samej, bez niego, co w całej pełni opowiadało jej chęciom i życzeniom. Żądał urody, kategorycznie wymagał, żeby, gdziekolwiek się znajdą, ona właśnie była najpiękniejsza, a w każdym razie najbardziej zadbana i najlepiej ubrana, to zaś wymaganie Malwina gotowa była zaspokajać wręcz w upojeniu.

Jedynym miejscem, do którego nie pchał się razem z nią, były sklepy. Zakupów musiała dokonywać samodzielnie, i to wszystkich, spożywczych, odzieżowych i domowych. Czyniła to z dreszczem szczęścia w sercu, te kiecki, pantofelki, żakiecik i szlafroczki, te krawaty, sweterki, koszule i gacie, te starannie dobierane męskie skarpetki i damskie rajstopy, te kosmetyki, ręczniki, lampy stojące i zasłony do okien wprawiały ją w stan euforii niebiańskiej. Szczególnie, że Karol płacił za wszystko. I na wszystko się godził, nie grymasił i nie protestował.

Jednakże, niestety, domagał się zarazem czegoś ekstra, mianowicie posiłków. Codziennie i punktualnie. Ta codzienność i punktualność zawisła Malwinie kamieniem u szyi, zważywszy jednak ogólne upodobanie do zajęcia, dała mu jakoś radę. Tknięta ambicją, jednym gestem i bez zastanowienia, z byle czego robiła arcydzieła, przez Karola niezmiernie wysoko cenione. Kochał ją wtedy płomiennie i bez granic...

Sielanka trwała trzy lata.

Malwina sama nie była pewna, kto pierwszy zaczął się zmieniać. Możliwe, że to ona zaprotestowała przeciwko obcym jej

obowiązkom przy tym cholernym domu.

Dom należał do Karola. Dwa lata przed ślubem odziedziczył go, w stanie ruiny, po przodkach. Budowla wymagała rzetelnego remontu i licznych zmian i w pierwszej chwili Malwina wcale nie chciała tam zamieszkać. Spragniona była apartamentu w środku miasta, blisko sklepów, kawiarń i rozmaitych rozrywek, nie zaś rudery na odludziu, gdzie nawet nic nie jeździło i żadnej przyjaciółce nie było po drodze. Protesty nie pomogły, a w dodatku, nie wiadomo dlaczego i jakim sposobem remont spadł na nią, bo Karol nie miał czasu. Posiadał już na własność i sam prowadził ogromne przedsiębiorstwo budowlane, rozkwitające coraz bujniej i w coraz szerszym zakresie. Ironia losu. Malwina na budownictwie nie znała się wcale, a podejmować musiała jakieś okropne decyzje w niezrozumiałych dla niej kwestiach. Z robotnikami od razu popadła w konflikt, polegający na tym, że ona wymagała, Karol natomiast płacił. Ku jej zdumieniu i oburzeniu wcale nie chciał płacić tyle, ile jej wymagania musiały kosztować, w dodatku zaczął je krytykować. Nie takie płytki tarasowe, nie taka glazura w łazience, nie z tej strony bicz wodny, kretyński pomysł, garaż na dwa samochody za wąski, okna w sypialni zostawiła za małe, poza tym gdzie ten żywopłot?!!!

Żywopłot przesądził sprawę. Zważywszy, iż na tempo wzrostu roślin nie miała najmniejszego wpływu, wszystkie pretensje wydały jej się niesłuszne i niesprawiedliwe. Możliwe, że zaprotestowała nieco zbyt energicznie, ale, ostatecznie, też się przecież jakoś liczyła! Możliwe również, iż niepotrzebnie, w sposób rażący, zaniedbała kwestię żywienia, ale sam fakt, że musiała poddać się odrażającym obowiązkom, czekać na dostawę nowych klepek, dopilnować ułożenia klinkieru, osobiście sprawdzić świeżo wymienione armatury, wyprowadził ją z równowagi. Umówić się z nikim nie mogła, nawaliła fryzjerowi, a chciała sobie zrobić pasemka, nie było kiedy obejrzeć czasopisma, posiedzieć przed ekranem...

Babcia mówiła, że do mężczyzny trafia się przez żołądek...

Przez ten żołądek zatem chciała go ugodzić. Miała to jednakże być tylko demonstracja, no owszem, chyba nie najszczęśliwiej wybrana, ale reakcja Karola stanowiła przesadę niebotyczną. Kto to widział, żeby wściekle syczącym tonem wyzywać ją od kucht, gar-kotłuków i nierobów, żeby jej wytykać brak wyższego wykształcenia, żeby wypominać wydawane na nią pieniądze, żeby ze stanowiska bóstwa domowego skopywać ją na etat sprzątaczki w przedsionku świątyni! Oszalał z pewnością.

Przeprosił ją potem. Przeprosili się wzajemnie. Były to przeprosiny ostatnie.

Od tej awantury, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc i z roku na rok zaczęło być coraz gorzej. W Malwinie zalęgła się, zagnieździła i bujnie rozkwitła zaciętość, obficie nawożona urażoną ambicją. Swoje obowiązki spełniała perfekcyjnie, na wszelki wypadek bowiem chciała być niezastąpiona, żeby mu jeszcze kiedyś pokazać. Co pokazać, nie bardzo wiedziała, ale rzetelne, triumfujące pokazanie stało się dla jej duszy niezbędne.

Karola natomiast amok niepojęty opętał. Wymaganiami zgoła wystrzelił, nadął się ważnością do wypęku, niczym jakiś balon potworny, z niej usiłował zrobić niewolnicę, nie dość mu było głupich żądań w domu, pełnej obsługi, cackania się z nim jak ze śmierdzącym jajkiem, to jeszcze popadł w skąpstwo.

Nie od razu, jednym ciosem, ale bardzo szybko. Dwa lata nie minęły od tej awantury budowlano-spożywczej, kiedy Malwina spotkała się ze skrzywieniem na tle opłaty za jej jazdy konne, nie tak jeszcze dawno w pełni przez niego aprobowane. Co prawda, nie najlepiej jej te jazdy wychodziły i coraz mniej chętnie wsiadała na konia, ale jednak... Na kosmetyki Karol warknął. W kwestii nowego futrzanego żakiecika zachował kamienne milczenie, musiała kupić ten żakiecik za pieniądze na życie, przez co nagle znalazła się bez grosza i na obiad mściwie podała kefir z kartoflami. Nie było później awantury, tylko jadowite, kąśliwe i ohydne uwagi, które zatruły jej całe popołudnie i wieczór. Zapłacić, jednakże zapłacił, przyjąwszy do wiadomości łzawy i pełen goryczy komunikat, iż nazajutrz będzie sałatka z pokrzyw, łatwych do uzyskania za darmo. Mogła spełnić tę groźbę, zaraz za ich ogrodzeniem rosły pokrzywy, a nie mieli jeszcze wtedy stałej gosposi, tylko sprzątaczkę, dochodzącą dwa razy w tygodniu.

Kolejny skok w dół nastąpił, kiedy pojawiła się Justynka.

Justynka była siostrzenicą Malwiny, dzieckiem wówczas ośmioletnim. Siostra i szwagier stracili życie w katastrofie lotniczej w Lesie Kabackim i Justynka została sama, bo dziadkowie już nie żyli, więcej zaś rodziny nie było. W mgnieniu oka Malwina zdecydowała się zabrać dziewczynkę do siebie i wychować, z mglistą myślą o jakiejś przyszłej usłudze, pomocy, towarzystwie... W gruncie rzeczy, nie wiedząc o tym, była apodyktyczna i koniecznie chciała kimś rządzić, a Karolem się nie dało.

Karol w pierwszej chwili nawet był za, jakaś przyzwoitość jeszcze w nim istniała, rychło jednakże zauważył, że dziecko kosztuje. Zimne piekło, jakie zrobił, trwało prawie do rana, spłakana Justynka na szczęście spała i nie słyszała ani słowa, ale w Malwinie zaciętość się ugruntowała. Nagle dotarło do niej, co znaczą pieniądze, i namiętnie zapragnęła mieć własne.

Justynka nie została na zerze, szwagier rozmaite zasoby posiadał, córka odziedziczyła po rodzicach trzypokojowe własnościowe mieszkanie, odrobinę biżuterii i coś tam na koncie w banku, ale na najbliższe dziesięć lat nie mogło tego wystarczyć. Należało jej pomóc, a kto miał to zrobić, jak nie jedyna siostra matki, bogata z męża. W dodatku dziecko w tym wieku już nie było kłopotliwe, przeciwnie, mogło okazać się przydatne i użyteczne, wydawało się, że Karol ma poglądy podobne, a tu proszę, pieniądze wskoczyły na ring.

Sama Justynka, jako taka, zbytnio mu nie przeszkadzała. Z czterech pokoi gościnnych na górze dostała dla siebie jeden, razem z łazienką, więc właściwie niczym nie wchodziła w paradę, grzeczna była, inteligentna, uczyła się doskonale, nie stwarzała żadnych problemów, tyle że trochę kosztowała. Utrzymanie nie liczyłoby się, mieszkanie po rodzicach zostało wynajęte za godziwą sumę i Justynka z tego miałaby co jeść, mogłaby nawet kupić sobie odzież, ale Malwina, na złość Karolowi, uparła się, że dochód z wynajęcia powinien być odkładany i kumulowany na przyszłe potrzeby dziecka, w wieku dorosłym. Teraz zaś stać ich na to, żeby nakarmić i ubrać jedną spokojną, zdrową dziewczynkę.

Karol znienacka zachował się tak, jakby ta Justynka ostatnią kromkę chleba od ust mu odjęła. Może Malwinę stać na to, żeby karmić cudze dzieci, ale on nie widzi powodu. Ciężko pracuje dla siebie, a nie dla całego świata, jego pieniądze, ma prawo nimi dowolnie dysponować! Z jakiej racji ma płacić na czyjegoś bachora, żyłowany jest, wyzyskiwany odrażająco, a może on nie chce, a może ma na oku całkiem co innego, a może te pieniądze potrzebne mu są gdzie indziej, a może chce na nich spać...!!!

- Śpij - powiedziała wtedy z gniewem Malwina. - Ale musisz je przynieść w gotówce, żebym ci mogła nimi wypchać materac.

Zsiniał tak, że aż się przestraszyła. Nazajutrz się uspokoił, zadeklarował zgodę na utrzymywanie Justynki, co nie przeszkadzało kąśliwym uwagom i oporom w dawaniu pieniędzy. Malwina doszła do takiego rozstroju nerwowego, że wręcz była gotowa prowadzić rachunki, żeby zobaczył, co Justynka jada i ile to kosztuje. Prowadziła te rachunki przez całe dwa dni, po czym uznała, że woli się zaraz powiesić. Nie kochały się wzajemnie, Malwina i arytmetyka.

Z biegiem czasu robiło się coraz gorzej na wszelkich frontach.

Malwina lubiła towarzystwo. Uwielbiała rozmaite spotkania, dyskoteki, bale, taniec, rozrywki w licznym gronie, gości i wizyty. Karol też w tym gustował z początku, a potem jakoś mu przeszło. Po czterech latach małżeństwa już kręcił nosem na wszystko, po pięciu w domu chciał mieć spokój, siadał w gabinecie i zajmował się nie wiadomo czym. Jakąś tam kretyńską pracą umysłową, jakimiś wyliczeniami... Też mi przyjemność...!

Odmawiał uczestnictwa w rozrywkach, nie lubił gości, twierdził, że żrą jak wołoduchy, drogo kosztują i marnują jego czas. Malwina zaczęła wszędzie chodzić sama, co jakoś wcale jej się nie podobało, szczególnie że grono przyjaciółek i znajomych dziw

nie się skurczyło, a w dodatku przestała być wśród nich najpiękniejsza i najważniejsza. Przez Karola, z pewnością, źle ją traktował, a inni za nim...

Jeść, jadł. Owszem. Z rosnącą przyjemnością, pod warunkiem, że mu smakowało. Z tym nie było kłopotu, jego upodobania spożywcze miały szeroki zakres, ale dzięki nim z roku na rok robił się coraz grubszy. I oczywiście mniej atrakcyjny, chociaż ciągle jeszcze mógł się podobać.

Rozmawiać natomiast nie chciał. Nie pozwalał niczego sobie opowiedzieć. Nie odpowiadał na pytania. Jeśli w ogóle reagował czymkolwiek, poza milczeniem, zazwyczaj było to coś, co doprowadzało do tez i rozstroju nerwowego.

Wśród ludzi, jeśli już się między nimi znaleźli, traktował ją skandalicznie, krytykował głośno i nietaktownie, nie pozwalał jej się odezwać, przerywał w pół słowa, krótko mówiąc, robił z niej idiotkę. Nie chciał z nią tańczyć. Wyrywał jej z ust papierosa. Omijał ją przy nalewaniu wina. Nie, nie zawsze, skąd. Znienacka, nie wiadomo kiedy i dlaczego.

Ponadto przestał ją kochać ogniście.

Tak znowu bardzo Malwina na ten seks nie leciała, Karol był gruby i sapał, jej samej stękanie się z jakiejś głębi wyrywało, męczące to było i uciążliwe. Jednakże powinien był rwać się ku niej bez względu na tuszę, chociażby po to, żeby mu mogła odmawiać! Tymczasem nie rwał się wcale, co ją irytowało wprost nieopisanie i sama przestawała być pewna, chce tego seksu czy nie.

Żadne dziwki nie wchodziły w rachubę co najmniej przez dziesięć lat, a może nawet piętnaście. Nie leciał na baby, zajęty był robieniem pieniędzy. Ostatnimi czasy coś się zmieniło na gorsze.

Którymś tam zmysłem Malwina wyczuła że zaczynają się przy nim plątać podrywki. Nie żeby nagle sam dostał jakiegoś szału, ale rozmaite pijawki wywęszyły jego pieniądze i przystąpiły do akcji kusicielskiej. Na sukcesy nie bardzo mogły liczyć, Karol nie był z tych, co kupują futra i diamenty, zgodziłby się może zapłacić za kolację, względnie pokój w motelu, ale nic więcej.

Więc właściwie o co tu chodziło...?

Robił się coraz gorszy, wszelkie uwagi pomijał milczeniem, istny pień! Wychodził i wracał bez słowa wyjeżdżał bez uprzedzenia, nie mówiąc, dokąd jedzie, do Płocka czy do Kairu. Tylko po bagażu mogła się zorientować, że gdzieś się wybiera, w dodatku walizki pakował sam, czasem jedną, czasem dwie, po czym Malwina usiłowała odgadnąć cel podróży, sprawdzając, czego brakuje. Zabrał smoking na przykład, dokąd go diabli zanieśli? Zabrał narty, znaczy, że chyba w góry? Zabrał płetwy i maskę,więc pewnie nad jakąś wodę. Zabrał zwyczajną odzież, jeden garnitur, piżamę, trzy koszule... Prawdopodobnie spotkanie w interesach, ciekawe gdzie...

Głupio jej było przyznawać się, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa jej mąż i kiedy wróci. Mimo wysiłków wyrywała się z niej wstydliwie ukrywana prawda łzy kręciły się w oczach, w dołku coś okropnie gniotło a ciężka krzywda pożerała organizm, ponieważ przez całe lata miała nadzieję, że będzie wręcz odwrotnie Co tam nadzieję...! Przekonanie. Pewność!

Wbrew konfliktom, wydawało jej się, że wchodzi na coraz wyższy poziom, dla męża jest niezastąpiona rola bóstwa należy jej się wręcz przyrodniczo, można jej zazdrościć, podziwiać ją, ale przenigdy lekceważyć! A już szczególnie Karol, oszalał chyba, bezkrytyczne wielbienie żony było jego obowiązkiem biologicznym!

On zaś wracał znienacka o najdziwaczniejszych porach, z gromkim hukiem i rumorem albo przeciwnie, cichutko i podstępnie, i natychmiast żądał posiłku. Nie znała dnia ani godziny. Narty i płetwy stwarzały nadzieję na kilka dni świętego spokoju, co najmniej trzy, ale już smoking nic nie znaczył. Ze smokingiem mógł wrócić równie dobrze nazajutrz, jak i za dwa tygodnie.

I oczywiście, wyjeżdżając, złośliwie nie zostawiał pieniędzy. I nawet tej prostej, elementarnej pociechy, żeby sobie coś kupić, Malwina nie mogła zaznać. Dwunastnica zwijała się jej w ósemki.

Miała, rzecz jasna, własne konto, na które nic nie wpływało, dopóki on go nie zasilił. A zasilał tak, że się niedobrze robiło, jakby specjalnie chciał ją zmusić do żebraniny, znieważyć, udowodnić, że jest bezmyślnie rozrzutną idiotką. No owszem, możliwe, że trochę była rozrzutna, to liczenie jej nie wychodziło...

Spróbowała przestać się do niego odzywać, tak samo jak on do niej, ale było to ponad jej siły. Mówiła zatem do Justynki, albo nawet do Helenki, tak jadowicie i kąśliwie, jak tylko zdołała, nie bacząc na sens, jemu zaś posiłek podawała w milczeniu. Kawę i herbatę donosiła bez żadnych pytań i bez względu na jego aktualne chęci, co niekiedy zmuszało go do wściekłych syków protestu. Koszule, krawaty i skarpetki dobierała fanaberyjnie, wedle własnego gustu, zapomniawszy, że jej gust przez wszystkie wspólnie spędzone lata był przez niego w pełni aprobowany.

Krótko mówiąc, rozpoczęła wojnę podjazdową, a rozkwitająca dziarsko nienawiść podtrzymywała ją na duchu.

I wszystko byłoby dobrze... To znaczy nie, przeciwnie, wszystko byłoby doskonale źle, gdyby nie ten upiorny pomysł Karola. Rozwód.

Podział mienia, rzeczywiście. Od razu okazałoby się, że on nic nie ma, a dom jest obciążony hipoteką. Albo jeszcze coś gorszego. Mowy nie ma, nie można do tego dopuścić.

Trzeba go po prostu zabić.

* * *

- No coś ty - powiedział z politowaniem Krzysztof Burkacz do swojego przyjaciela, Romka Matuszewicza, dopieprzając barszczyk w filiżance. - W świetle prawa cały dorobek jest wspólny, bez względu na to, czy ona pracowała zawodowo, czy nie. Wychodzi się z założenia, że ułatwiała ci pracę, zajmując się całą drugą stroną życia i wychowując dzieci. Żaden mąż nie zrobi majątku bez pomocy żony. Chyba, że odziedziczyłeś coś po przodkach i w chwili ślubu spisaliście intercyzę.

- Jaką tam intercyzę - skrzywił się Romek i swój barszczyk dla odmiany dosolił. - Po przodkach miałem zbiór znaczków, taki dosyć byle jaki, i przedwojenną ciupagę. A ona wazon kryształowy, zepsuty antyczny zegar i wałek do ciasta. A wspomogli nas na początku mniej więcej jednakowo, mój stary i teść. Potem dopiero wyszedłem do przodu.

- No to nie ma siły. Połowa jej. A jeszcze na dzieci będziesz płacił alimenty.

- Na Michałka nie, bo już skończył studia i poszedł do pracy. Tylko na Wandzię.

- Mała różnica.

- Cholera. Akurat mi nie na rękę cokolwiek teraz dzielić...

- To się wstrzymaj z rozwodem. Inaczej masz przechlapane.

Siedzieli w eleganckiej restauracji przy stoliku, a naprzeciwko nich, przy tym samym stoliku, siedział Karol Wolski i słuchał rozmowy swoich kontrahentów.

Spotkali się wszyscy trzej dla sfinalizowania znakomitego interesu, wymagającego niezłych nakładów finansowych, pertraktacje przebiegły zaskakująco pomyślnie i właściwie zakończyli je zaraz po przystawkach. Obiad jednakże był w pełnym

toku, głupio byłoby zatem zrywać się z krzesła i wybiegać, szczególnie że na zewnątrz lał rzęsisty deszcz. Mogli spożyć cały posiłek spokojnie i w przyjemnej atmosferze.

O ile oczywiście treść ich pogawędki sprawiałaby Karolowi jakąś przyjemność. Tymczasem było wręcz odwrotnie, obudziła w jego pamięci obrzydliwości, o których w trakcie rozważania kwestii zawodowych postarał się zapomnieć. Już też rzeczywiście ten cymbał, Matuszewicz, nie miał o czym ględzić, tylko o swoim rozwodzie.

Rozwód jął ostatnio stanowić niemiłą zgryzotę Karola. Wcale go nie chciał, ale przeleciało mu takie słowo przez myśl, ponieważ współegzystencja z Malwiną stała się nie do zniesienia i coś należało z tym zrobić.

Ożenił się kiedyś z uroczą, smukłą, wdzięczną dzieweczką o prześlicznych nogach, wpatrzoną w niego niczym w obraz święty. Wiedział doskonale, że szczytów intelektu sobie nie bierze, ale wspólne życie organizować potrafiła doskonale, wszystko ją zachwycało i Karol czuł się rozdawcą łask. Dzieweczkę posiadał na własność, rozczulała go i rozśmieszała jej umysłowość, doceniał starania, użytkował ją zgodnie z potrzebami, niczego nie musiał, mógł robić to, co mu odpowiadało najbardziej, a obsłużony był koncertowo pod każdym względem.

Stopniowo, ale w dość szybkim tempie, z dzieweczki zaczęły wyłazić wady.

Przede wszystkim próbowała nim rządzić i wydawała rozkazy, a Karol bardzo tego nie lubił. Poza tym gadała. Właściwie bez chwili przerwy, i były to głupoty beznadziejne, po większej części jakieś skargi i żądania pociechy. Ponadto zadawała pytania i domagała się odpowiedzi, a Karol wolał sobie pomilczeć. Żył myślą, nie gębą, jeśli zaś już swoją myślą miał chęć się podzielić, to z kimś, kto ją zrozumie. Komputerowe wyliczenie nachylenia drobnych płaszczyzn tak, że w pustym pomieszczeniu nie odzywało się echo, to było coś! Jeden raz w euforii zwierzył się żonie, na co usłyszał w odpowiedzi, iż ten mały Sławcio sąsiadów specjalnie wrzeszczy, przejeżdżając na rowerku koło ich bramy, do tego stopnia, że zagłusza rozmowę telefoniczną i człowiek we własnym domu nie może się porozumieć, więc może by z tym Sławciem coś zrobić, koniecznie...

- Odrąbać mu łeb tasakiem - zaproponował wtedy Karol uprzejmie. - Sam kadłub wrzeszczeć nie zdoła.

Na pełne zdziwienia pytanie, jaki kadłub i czego właściwie nie zdoła, nie odpowiedział.

W dodatku rozrzutna się robiła zgoła obłędnie, kosztowała go majątek, trwoniła pieniądze aż wióry leciały, a liczyć nie umiała nigdy. Karol tego również bardzo nie lubił. To były jego pieniądze, własne, osobiście zarobione, legalnie i bez przestępstw. Dające władzę, pewność siebie, swobodę, solidne podstawy do zaspokajania wszelkich potrzeb, spełniania marzeń, realizowania zachcianek i fanaberii. Żył już kiedyś bez pieniędzy, we wczesnej młodości cierpiał niedostatek razem z rodzicami, chociaż trzeba przyznać, że nie był to niedostatek szczególnie dotkliwy. Żadna nędza, cóż znowu. Po prostu zwykła przeciętność, w której mógł się zmieścić używany motor, ale samochód stanowił nieosiągalny szczyt marzeń. I wędrowne wakacje pożyczonym kajakiem po jeziorach mazurskich, z noclegami w namiocie, a taką Szwecję czy Francję można sobie było najwyżej powyobrażać.

Karol zaś uwielbiał luksusy. Kochał pracę umysłową, a nie cierpiał fizycznej.

Ponadto w głębi duszy pragnął podziwu. Bezkrytycznego uwielbienia. Czci i hołdów. I nawet nie wiedział, że pragnie także inteligentnego partnerstwa. Sam był dumny z siebie, wiedział doskonale i nie bez podstaw, że umysłem, wykształceniem i smykałką do interesów przerasta swoje otoczenie o parę pięter, i życzył sobie być doceniany, jeśli nie na każdym kroku, to przynajmniej w domu, gdzie powinien tkwić na piedestale jako absolutny pan i władca. On wszak zarobił na ten dom, on stworzył podstawy egzystencji, bez niego ta kretynka, jego żona, nie miałaby nic.

Teraz przy jego boku trwała okropnie gruba, starzejąca się baba, nadęta, fanaberyjna, pełna pretensji, wciąż bezdennie głupia, wciąż gadatliwa nie do zniesienia, wścibska, złośliwa, nietaktowna i kompromitująca. W ciągu ostatnich lat robiła się coraz gorsza, bez przerwy nadąsana, płaksiwa, obrażona nie wiadomo na co i w ogóle nieznośna. Rozmawiać z nią, jak z człowiekiem, dawno już było niemożliwe, od początku zresztą orientował się, że nie o rozmów sobie żonę bierze. Ale gdzie się podziało uwielbienie, gdzie podziw bez granic, gdzie trwożny szacunek...?

Uwielbienie, podziw i szacunek lśniły i błyskaty w pięknych oczach Joli, tłumaczki w jego własnej firmie. Jola znała sześć języków i w każdym potrafiła wystosować dyplomatyczną korespondencję, co miało szalone znaczenie przy wszelkich umowach zagranicznych. Rozumiała, co się do niej mówi...

No dobrze, ale zaraz, spokojnie, ktoś przecież musiałby go obsługiwać. Jola...? Jola umiała błyszczeć urodą za grosze, strzelać intelektem, milczeć czołobitnie, subtelnie promieniować seksem... Pytanie, czy umiała gotować...?

Sam przed sobą Karol z trudem przyznawał się do szarpiącej nim rozterki. Ostatecznie miał oczy w głowie i widział siebie wśród rozmaitych smukłych młodzieńców... czort bierz młodzieńców, nawet starszych facetów w znakomitej kondycji. Też chciałby mieć taką kondycję, też chciałby tak wyglądaj, tymczasem Malwina gotowała w sposób nie do odparcia, Karol był łakomy, uwielbiał kopytka ze schabem, zraziki w zawiesistym sosie, zająca w śmietanie, sałatki z majonezem, fondue z żółtego sera, świeże pieczywko, tłusty boczek z chrzanem, słodycze... Nienawidził gotowanych jarzyn, warzyw i owoców, nie znosił chudego białego sera. Gdyby nie było absolutnie nic innego do jedzenia, gdyby mu to obrzydliwe ktoś dał, postawił przed nosem, gdyby przez całą dobę nic w ustach nie miał...

Koszmarny pomysł.

Gdyby jednak...? Dobre, ale niskokaloryczne...?

Malwina była do tego niezdolna. Gotowała rewelacyjnie i w całej orgii kalorii. Sama z siebie żadnej diety wprowadzić nie umiała. Wrogość ku niemu z niej tryskała, ale znakomite i tuczące żarło stało gotowe, a Karol nie umiał mu się oprzeć. I, co gorsza, wcale nie chciał...

Pogarszało się stopniowo. Karol, wbrew wyglądowi, dobrodusznemu i sympatycznemu, był twardy, zacięty, bezlitosny, dziko zakochany w pracy zawodowej, zdecydowany zrobić majątek nawet po trupach. Szczęśliwie trupy jakoś mu się nie przyplątały, ale praca umysłowa i napięcie wyzuwały go z wszelkich sil Potrzebował odpoczynku, relaksu, a nie rozrywek i wysiłków fizycznych. Przestał jeździć na nartach, od skocznych tańców go odrzucało, czasem jeszcze żeglował i pływał, tymczasem ta idiotka bała się wody, a za to rwała do towarzyskich akrobacji.

Zaczęła palić papierosy, zgłupiała chyba, papierosy kosztują i niszczą urodę. Po czwartym kieliszku wina robiła się do szaleństwa rozmowna, od bredni zaś, jakie wygadywała, jęczała ziemia, a kto wie czy i nie księżyc. I żadne słowne argumenty do niej nie docierały, musiał niekiedy reagować czynnie, robiąc z siebie brutala. W domu albo gęba się jej nie zamykała, bzdety beznadziejne zaprzątały jej uwagę, albo milczała do niego kamiennie, prychając tylko niekiedy kąśliwymi i obraźliwymi uwagami na stronie. Żadnego zrozumienia jego potrzeb, sama niechęć i lekceważenie, a co w ogóle miała do roboty, poza dbałością o niego? I o siebie samą?

Była egoistką i egocentryczką, o tym Karol wiedział doskonale, ale on też był egoistą i egocentrykiem, chciał żyć po swojemu i chyba, do diabła, miał do tego prawo...? Po dwudziestu latach ciężkich wysiłków, uwieńczonych sukcesem, mógł może żądać odrobiny komfortu psychicznego...?

Z drugiej jednakże strony usłane miał miękko i gdyby nie Jola... To właściwie Jola otworzyła mu oczy chociaż ani słowa o tym nie powiedziała, ale jakoś pod jej milczącym wpływem... Ta cała balneoterapia... Stać go było, mógł sobie zafundować całe trzy tygodnie wyjść z tego chudszy o dziesięć kilo i młodszy o pięć lat, no, dziesięć kilo to trochę mało, powinien stracić dwadzieścia, bo już przekracza setkę, a tak naprawdę powinien ważyć siedemdziesiąt osiem. Do diabła z tym wiktem Malwi-

ny...

Rozwieść się z nią może i należało. Ale czy naprawdę koniecznie...?

Romek i Krzysztof wciąż rozważali sprawę podziału majątku.

- Bez problemu - mówił Krzysztof pobłażliwie. - Przelejesz na cudze konto, chociażby moje, dostaniesz weksel długoterminowy. Tylko bez wygłupów, żadnych procentów. Odbierzesz, jak wszystko przyschnie, będzie się nazywało, że zarobiłeś później.

- Wyłapią, już ona dopilnuje.

- Na szwajcarskie konto, frajerze!

- Myślisz...?

- I to czekaj, jeszcze inaczej. Poniosłeś straty Zapłaciłeś i cześć. Nie masz.

- Całkiem niegłupie - pochwalił Romek po krótkim namyśle i ożywił się nagle. - Czekaj, a jakby tak przelać całą płatność? Tę na Prodkom X2?

Krzysztof zastanawiał się przez chwilę.

- Niby można. Ale trzeba by to jakoś zawrzeć w umowie...

Karol nie wtrącał się wcale, myśli jednakże błyskały mu jedna po drugiej. Sam już takie zabezpieczenie sobie załatwił, połowa jego majątku oficjalnie nie istniała. Druga połowa spokojnie mogła wystarczyć na wszystko, ale też nie miał chęci dzielić się nią z Malwiną. Co gorsza, przypadałyby jej dywidendy...

- Wprowadzimy klauzulę - odezwał się nagle. - Nie precyzuję, rybką, idziemy na kredyt. Jako debet, musimy to mieć odpisane. Co wy na to?

Obaj spojrzeli na niego, myśleli przez kilka sekund, a potem rozpromienili się nagle.

- Ty masz łeb - pochwalił Krzysztof z podziwem.

- Życie mi wracasz! - wykrzyknął z wdzięcznością Romek.

Równocześnie deszcz przestał padać i za chmurami zamajaczyło słońce.

* * *

Justynka zapomniała o parasolce i całą ulewę przeczekała w kawiarni. Nie nudziła się tam, miała co robić, z wielkim zainteresowaniem czytała dzieło wypożyczone z biblioteki uniwersyteckiej, traktujące o egzekwowaniu prawa własności w XIX wieku i konsekwencjach naruszenia tegoż. Wcale nie musiała uczyć się go na pamięć, ciekawiło ją, można powiedzieć, prywatnie.

Studiowała prawo. Już w przedostatniej klasie liceum czuła w sobie jakieś takie ciągoty, w ostatniej podjęła decyzję i teraz, na drugim roku studiów, wiedziała na pewno, że wybrała właściwie. Nie miała też wątpliwości, w jakim kierunku pójdzie dalej, zostanie mianowicie prokuratorem.

Wcześniej wahała się jeszcze pomiędzy oskarżeniem a obroną, zaczęło się bowiem od napaści na ciotkę jej koleżanki z klasy. Jakiś łobuz wyrwał ciotce z ręki torebkę ze świeżo podjętymi w banku pieniędzmi, przy okazji wykręcając jej lewe ramię, ciotka zaś, po sekundzie oszołomienia, chwyciła spod nóg odłamany róg płyty chodnikowej i z całej siły cisnęła za napastnikiem. Niepojętym cudem, bo, jak normalna kobieta, nigdy niczym nie umiała rzucać, trafiła go w głowę. Ogłuszony bandzior na moment zmiękł w kolanach i padł, ciotka, postękując boleśnie, wystartowała do swojej torebki, złapała ją, ale działo się to na ulicy i w mgnieniu oka zebrał się tłum ludzi.

- Ta pani walnęła tego pana w głowę! - brzmiały zeznania świadków, wśród których pojawił się policjant, akurat w owej chwili potrzebny jak dziura w moście.

Średnio młoda dama, kamieniem waląca w głowę chłopaka na środku ulicy, była zjawiskiem niezwykłym i wysoce interesującym. Wzbudziła sensację. Na szczęście znalazły się jakieś dwie rozsądne osoby, które dostrzegły sam początek incydentu i zaświadczyły, iż nie pani rzuciła się na pana, tylko przeciwnie. Pan szarpnął, coś jej wyrwał i zaczął uciekać. Dzięki czemu do ciotki odniesiono się łagodniej, ale i tak została postawiona w stan oskarżenia za uszkodzenie ciała obcego człowieka, bo płyta chodnikowa rozbiła mu ten łeb rzetelnie. Na wykręconym ramieniu natomiast żadnego śladu nie było.

Jako obrońca ciotki Justynka miałaby wiele do powiedzenia. Jako oskarżycielka chłopaka również, odwrotnie zaś nie wychodziło jej wcale. Ponadto w całej sprawie zaniedbano jakichkolwiek starań o argument zasadniczy, mianowicie odciski palców na gładkiej torebce. Bo jeśli istniały tam ślady chłopaka, to niby skąd? Zawartość bez cienia wątpliwości stanowiła własność ciotki, nie dała mu przecież tej torebki do potrzymania! Zatem wyrwał, zatem dokonał napadu, zatem ofiara miała prawo bronić swojej własności.

A otóż właśnie okazało się, że nie miała prawa. W ostateczności mogła go dogonić, rąbnąć w ramię, tak samo jak on ją, i wyrwać mu łup. Waląc w czaszkę, przekroczyła granice obrony koniecznej.

W obliczu takich komplikacji Justynka w pierwszej chwili pomyślała o adwokaturze, potem zaczęła się wahać, bo te odciski palców należały przecież do prokuratora, który zlekceważył swoje obowiązki, aż wreszcie, z biegiem czasu, samo życie pomogło jej podjąć decyzję. I może też wziął w tym skromny udział duch przekory, zawarty w jej charakterze.

Na niezbyt głębokiej prowincji, gdzie nad jeziorem w lesie spędzała część wakacji, zetknęła się z problemem grupy wesołych młodzieńców, oddających się z zapałem kradzieżom i dewastacjom samochodów, a także przywłaszczaniu sobie mienia turystów. Grupa była doskonale znana tak policji, jak i prokuraturze, i cieszyła się bezkarnością absolutną. Poufnie Justynka uzyskała informację, iż prokuratorowi powiatowemu postawiono ultimatum: albo będzie ślepy, głuchy i niedorozwinięty, albo niech się zastanowi, co sam posiada. Samochód, willę, zdrowie, córkę...

Stan posiadania prokuratora stał się ostatnią kroplą. Jeśli decyzje mogą wypełniać jakieś naczynie, zawartość się właśnie Justynce ulała. Niezłomnie postanowiła zostać prokuratorem bez samochodu, willi i córki, co do zdrowia zaś, poszła na kurs karate. W razie czego będą musieli ją zastrzelić, bo z bliska uszkodzić się nie da.

Deszcz przestał padać, oderwała się więc od lektury i ruszyła w drogę powrotną do domu. Wykładów już dziś nie miała, za to poczuła się głodna, bo w tej kawiarni poprzestała na kawie i wodzie mineralnej, i zalęgła się w niej przyjemna myśl o obiedzie. Obiad z pewnością w domu będzie. Bez względu na obecność czy nieobecność wujka ciotka gotowała codziennie, i to tak, że wszelkie potrawy poza domem dawno już Justynce przestały smakować. Co z nimi ta kobieta robiła takiego, czemu nie można było się oprzeć? Zwykła kasza wywoływała wizję ambrozji, zwykłe kluski kładzione bez okrasy same się pchały do ust. Co nie znaczy oczywiście, że ciotka żałowała okrasy...

Nic dziwnego, że obydwoje byli tacy grubi. Wpatrując się w zadumie w plecy kierowcy autobusu, Justynka zastanawiała się, jakim cudem ona sama nie przeistoczyła się jeszcze w potężną baryłę. Jada przecież to samo, nawet dość regularnie, tyle że może trochę mniej. Ciotka i wujek po dwa kotlety, ona jednego, ciotka i wujek po sześć porów w beszamelu, ona dwa, ciotka i wujek po trzy gorące bułeczki z szynką, ona jedną... Za to sałaty, pomidorów i ogórków z pewnością zjada więcej niż oni obydwoje razem wzięci, więc pewnie te warzywa mają swój wpływ.

Głód sprawił, że przez całą drogę do domu Justynka miała w głowie wyłącznie produkty spożywcze i rozważała kwestię

własnego tycia i chudnięcia. Nie musiała się odchudzać, przy swoich dwudziestu latach i stu sześćdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu idealnie trzymała się w normie bez żadnych starań, mimo kuszącego wiktu ciotki. Bez wątpienia pomagały w tym nie tylko zieleniny, ale także karate, pływalnia i poranne biegi do autobusu, który musiała złapać, żeby zdążyć na wykłady. Ponadto owszem, jakościowo żywiła się tym samym co ciotka i wujek, ilościowo natomiast nie dorastała im do pięt i tyle jadła, co kot napłakał.

Szczęśliwie się złożyło, że nikt jej nigdy do jedzenie nie namawiał i nawet nie zachęcał. Skromna ilość pożywienia Justynki była Malwinie wodą na młyn, proszę bardzo, niech ten harpagon widzi, że dziecko jada jak ptaszek i niech sam sobie obliczy koszty, niech jej nie wmawia, że go zrujnuje. Justynce szło na zdrowie, jakoś nie chudła i nie mizerniała, można było zostawić ją samej sobie. Nakłaniać ją do zjedzenia czegoś więcej Malwina mogłaby tylko na złość Karolowi, w takim wypadku zaś wybierałaby oczywiście potrawy najdroższe.

Głęboko zadumana Justynka wysiadła na swoim przystanku, nie zauważywszy w ogóle młodzieńca, który wpatrywał się w nią prawie całą drogę. A był to młodzieniec w pełni godzien dostrzeżenia.

Konrad Grzesicki miał dwadzieścia cztery lata, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, krótko ostrzyżone ciemne włosy i czarne, gruzińskie brwi, zrośnięte nad nosem. Prezentował sobą typowy przykład zdrowego, dorodnego, młodego pokolenia i każdej dziewczynie wpadał w oko od razu. Nie reagował na te wpadania zbyt gorliwie. Kończył właśnie studia na wydziale biologii i był w trakcie pisania pracy magisterskiej, co w najmniejszym stopniu nie stanowiło dobijającej katorgi, miałby mnóstwo czasu i swobody, gdyby nie to, że z czegoś jednak żyć musiał. Elementarna przyzwoitość wzbraniała mu nadmiernie doić rodziców, podjął zatem pracę zarobkową, całkiem nieźle płatną, o charakterze, którego nie należało raczej reklamować na prawo i na lewo. Tu, w tym autobusie, spełniał akurat obowiązki służbowe, piękna dziewczyna, na której z łatwością dało się oko zawiesić, była mu bardzo przydatna, ale, rzecz oczywista, nie mógł do niej natychmiast wystartować. Spodobała mu się jednakże jakoś zupełnie wyjątkowo, na wszelki wypadek zapamiętał więc, gdzie wysiadła, i popatrzył, w jakim kierunku idzie.

Na tym chwilowo skończyła się konkieta, o której Justynka nie miała najmniejszego pojęcia.

* * *

Stwierdziwszy, iż deszcz przestał padać, i obejrzawszy niebo dla sprawdzenia, czy nie zacznie na nowo, Helenka, stała pomoc Malwiny, zdecydowała się iść do domu. Zrobiła już wszystko, co do niej należało, i mogła się oddalić. Obiad jej chlebodawczyni zazwyczaj wykańczała własnoręcznie, goście na dziś nie byli przewidziani, a wstawienie później naczyń do zmywarki nikomu nie mogło sprawić wielkich trudności.

W zasadzie Helenka mieszkała u córki, czy może córka mieszkała u niej, razem z mężem i dzieckiem w wieku szkolnym, ale u Malwiny miała swój pokój, gdzie nocowała, kiedy wieczorem było więcej robotyk Z reguły przy gościach, których należało obsłużyć, podać coś, przypilnować w kuchni, co dla pani domu stanowiło uciążliwość powszechnie znaną i zrozumiałą. Żadna istota ludzka nie może znajdować się w dwóch miejscach naraz, tu rozmawiać z ludźmi, częstować, zabawiać, a tam wyciągać z piekarnika czy mieszać w garnku. I ze szklankami latać bez przerwy tam i z powrotem, bo zawsze wszyscy czegoś chcieli, to kawy, to herbaty, to wody, to soczków i drinków! Jakieś przyjęcie albo brydż...

Brydże Helenka bardzo lubiła, bo roboty przy tym było niewiele, a zawsze wszyscy tak się śmiesznie kłócili. Na okrzyk: "I po cholerę wyszłaś spod króla?!", Helenka nieodmiennie chichotała za drzwiami, świetnie się bawiąc. Rzeczywiście, po co ona spod tego króla wyszła, może by jaki tytuł książęcy dostała, albo chociaż naszyjnik z diamentów, wszak metresy królewskie niezłe zyski z tych swoich królów ciągnęły. Czego wyszła, źle jej było? Albo: "siedział na gołej damie", toż to wprost piękne! Wcale nie chciała wracać do domu, brydżowych kłótni mogła słuchać do rana.

Niekiedy jednak lubiła pomieszkać u siebie, przebrać się, odzież zmienić, pogawędzić z najbliższą rodziną, ponapawać się myślą, że nie tylko jest samodzielna, ale ma nawet dwa domy do wyboru. Gdyby, na przykład, kłóciła się z zięciem, nic by nie stało na przeszkodzie trzasnąć drzwiami i sobie pójść. W obliczu takiej wspaniałej swobody nie kłóciła się wcale.

Ubrana już w strój wyjściowy, zajrzała ponownie do salonu. Jej szefowa siedziała jak przedtem, nieruchoma, wpatrzona w wielkie okno salonu. Wyglądała, jakby ją ktoś zamroził.

- Potrawka na ogniu stoi - powiedziała Helenka ostrzegawczo. - Pani słyszy, co mówię? Na małym gazie, ale zawsze.

- Gaz...? Owszem, też dobry - usłyszała w odpowiedzi. - Gaz...? Czy ja wiem...? Może być.

- Musi być, bo na elektrycznym to ja nie wiem, i ciągle mi się wydaje, że to więcej grzeje, mówiłam pani. To już pani sobie sama przestawi. To ja idę, do widzenia.

- Do widzenia, dziękuję bardzo.

Słysząc zwykłe słowa Malwiny, Helenka doznała ulgi. Skoro chlebodawczyni mówi normalnie i nawet odpowiada z sensem, znaczy nie umarła i nie skamieniała nieodwracalnie. Można ją zostawić nawet razem z tym gazem i potrawką.

Na cichy trzask zamykanych drzwi Malwina wreszcie się przecknęła. Odruchowo wstała z fotela i podążyła do kuchni, nie zmieniając tematu rozważań.

Obmyślanie zbrodni rozpoczęła racjonalnie. Dość się naczytała i naoglądała kryminałów, żeby wiedzieć, co trzeba, czego nie wolno i co jej grozi. Kryminały wszelkie uwielbiała i czytała przez całe życie, ostatnimi czasy zaś wgłębiła się w przestępczość świata współczesnego. Nie żeby tak całkiem do dna, nie podobała się jej ta przestępczość, za mało w niej było finezji, subtelności, tajemniczości, za dużo natomiast brutalnego chamstwa, jawnej i bezkarnej bezczelności, niedbalstwa i lekceważenia wszelkich praw. Zorganizowane mafie napełniały ją niesmakiem, a bezsilność organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości budziła grozę pełną oburzenia. I cóż to za kryminał, kiedy paru facetów ze spluwami wypycha człowieka z samochodu i kradnie mu pojazd z całą zawartością, wszyscy na to patrzą i nic. W dodatku wszyscy wiedzą, kim są ci faceci, i też nic. Albo demolują dom, gwałcą żonę i córkę i strzelają do ochroniarzy i policjantów, wszak to zwykły, ordynarny bandytyzm, a nie żaden perfekcyjny, elegancki, starannie ukrywany występek. Nie krecia perfidia, tylko jawna przemoc, równie dobrze mogliby strzelać z armaty. Jadą czołgiem albo zgoła otwartą platformą, na platformie działo dużego kalibru i dalekiego zasięgu, walą z grubej rury, gdzie popadnie, załoga zaś na wierzchu siedzi i konsumuje hamburgery i hot dogi, drwiąco patrząc na wystraszone społeczeństwo. A społeczeństwo nic. Malwina stanowczo wolała perfidię niż przemoc.

Jednakże, mimo pełnej bezkarności zbrodniarzy, na wszelki wypadek, sama postanowiła działać w ukryciu. W dodatku wiadomo było, że wielkiego mafioza nie tkną, a zwykłego, praworządnego człowieka złapią radośnie. Niech tylko ten praworządny spróbuje bodaj źle zaparkować...

Podkręciła gaz pod wołowiną z grzybkami i wyjęła z lodówki śmietanę. Dosypując do niej mąki i przypraw i mechanicznie mieszając, wciąż obmyślała swoją zbrodnię.

Z góry założyła, że nie może na nią paść nawet cień podejrzenia, bo, jak wiadomo, zabójca po ofierze nie dziedziczy. Całe przedsięwzięcie mijałoby się z celem. Motyw leży jak na dłoni, wobec czego jej alibi musi być naprawdę doskonałe. Ponadto, dla zmącenia przeciwnika, zbrodnia powinna nosić znamiona współczesności, jakieś walenie drągiem, potężny wybuch, seria z pistoletu maszynowego, w ostateczności sadystyczne podziabanie zwłok maczetą i podpalenie napalmem. O

drągi, wybuchy, pistolety maszynowe, maczety i napalmy nikt jej przecież nie posądzi, od razu padnie na tych bandziorów pod ochroną. I niech ich szukają. E tam, szukają, nikt ich nie będzie zbyt pilnie szukał, bo, nie daj Boże, jeszcze by znalazł i co wtedy?

Ewentualnie bez huku. Dyskretnie, po cichutku, dyplomatycznie, starymi, wypróbowanymi metodami, właśnie z tym alibi doskonałym. Trucizna. Ulatniający się gaz. Nieszczęśliwy upadek ze schodów. Nadłamana balustrada balkonu na jedenastym piętrze. Zasłabnięcie w wannie...

Kobiety podobno najchętniej truły...

Tęsknym wzrokiem obrzuciła cały zestaw przypraw na półce. Nie, niestety, nawet zużycie wszystkich naraz nic by nie dało, najwyżej niestrawność. Poza tym takiej ilości pieprzu, curry i ostrej papryki Karol do ust by nie wziął. To znaczy, wziąłby i wypluł, nie przełknął. Płyn do zmywania też nie wchodzi w rachubę, niesmaczny i śmierdzi perfumami, a strychniny i arszeniku przecież kupować nie będzie. Cyjanku tym bardziej...

Wlała do garnka zagęszczoną śmietanę, pomieszała energicznie i zostawiła na maleńkim płomyku. Podkręciła gaz pod wodą na makaron, woda zagotowała się od razu, Malwina sypnęła do niej grube rurki. Sięgnęła po składniki sałaty, przystąpiła do krojenia ogórków i papryki, wszystko siłą przyzwyczajenia, bez żadnych wahań i namysłów. Miała tę kuchnię w małym palcu.

Otruć go zatem. Jak? I czym? Czym się ludzie trują w dzisiejszych czasach? Salmonellą, grzybami, denaturatem... Trychinami. Jadem kiełbasianym. Trucizną na szczury... Skąd to wziąć po pierwsze, a po drugie nie domiesza przecież smakołyku do potraw, bo wszyscy jedzą to samo. Nie daj Boże, jeszcze by padło na Justynkę. Najlepiej chyba jakieś lekarstwo, inna butelka przez pomyłkę albo przedawkowanie. Idiotyzm, lekarstw w butelkach już prawie nie ma, wszystko w pigułkach, jak on ma przedawkować te pigułki, skoro w ogóle żadnych lekarstw nie używa?

I w ogóle nie powinien ginąć w domu, bo to zawsze wydaje się podejrzane. Nawet gdyby wyjechała na tydzień, a on padłby trupem w ciągu tego tygodnia, zaraz zalęgłaby się wątpliwość, czy przypadkiem nie zostawiła specjalnie na wierzchu jakiegoś szkodliwego produktu. Do kitu, lepiej gdzieś dalej, poza domem.

Zaraz, jest coś. Akonityna! Pochodzi z tojadu mocnego, jeśli dostanie się do krwi, zadziała szybko podobno dwie godziny jej wystarczą. Czy świeży tojad się nada...?

Na listkach sałaty Malwinie pojawił się zachwycający widok. Karol idzie na spacer gdzieś tam, w odległych plenerach, przedziera się przez jeżyny, podrapany okropnie wkracza na łąkę, kładzie się, odpoczywa, tarza się w ciemnoniebieskich kwiatkach, gniecie je, sok z roślinki włazi we wszystkie zadrapania, przenika wprost do krwi, Karol, zmęczony tarzaniem, zasypia i już się więcej nie budzi. Jakież to byłoby piękne!

Kłopot w tym, że ten podlec na spacery nie chodzi, a już z pewnością nie pcha się w jeżyny. Lubi je, owszem, ale wysłałby kogoś, żeby mu nazbierał. Róże, powiedzmy... Gąszczu różanego w okolicy nie ma, a nawet gdyby był, po diabła miałby weń włazić...? I czy przy różach rośnie tojad...?

Czując w sobie wyraźny niedosyt trucicielskiej wiedzy, Malwina odruchowo obejrzała się z myślą o encyklopedii. Odwróciła przy tym wzrok od okna, dzięki czemu udało jej się przeoczyć Justynkę, podchodzącą właśnie od strony furtki.

Justynka weszła do domu bez żadnego hałasu, posługując się swoim kluczem. Każde z nich miało własne klucze, żeby nie krępować się wzajemnie przy wychodzeniach i powrotach, czego od początku żądał Karol. Z pewnością sadystycznie, bo zapewniwszy rodzinie swobodę, zarazem domagał się od Malwiny czekania na niego. Żona ma być zawsze obecna, kiedy on, pan i władca, raczy się pojawić, a klucze powinny służyć chyba tylko wywoływaniu w niej konfliktu psychicznego. Bo tu swoboda, a tu przymus, klucze aż korcą, żeby nie zważać na czas, wyjść kiedykolwiek, wrócić dowolnie, każdy sam sobie drzwi otworzy, a z drugiej strony nieobecność, naganna i potępiona, kamieniem gniecie. Gdybyż przynajmniej wracał regularnie...!

Justynka powęszyła już od progu, zapachniało jej obiadem, głód nabrał charakteru radosnego oczekiwania. Popędziła na górę, w swoim pokoju pozbyła się torby, wrzucając ją pod biurko, pośpiesznie umyła ręce, zbiegła na dół i zajrzała do kuchni.

W tym właśnie momencie Malwina, porzuciwszy sałatę, weszła do biblioteki i wyciągnęła właściwy tom encyklopedii. Obraz tarzającego się Karola był tak sugestywny, że musiała natychmiast sprawdzić, jakie też możliwości stwarza ta parterowa akrobacja w zieleni. Z wielkim rozczarowaniem przeczytała, iż trucizna zawarta jest głównie w korzeniach, a nie w liściach i kwiatach. To na nic, w korzeniach przecież nie będzie się tarzał, musiałby w tym celu rozkopać łąkę!

Z ciężkim westchnieniem odstawiła na półkę potężne tomisko i wróciła do kuchni.

Justynka właśnie z niej wyszła wprost do części jadalnej, odgrodzonej od kuchennych bebechów kawałkiem ściany. Niby kuchnia z jadalnią miały stanowić jedno pomieszczenie, ale Malwina przezornie ograniczyła widoki. A kto wie, mogło się przytrafić, że przyjdą niespodziewani goście, kiedy brudne naczynia. jeszcze będą stały na wierzchu albo akurat co wykipi, po co mają oglądać bałagan, niech widzą tylko te wytworniejsze urządzenia, wielką lodówkę, zamknięte szafki, dekoracyjne wianki cebuli, papryki, ziół... Dzięki tej przezorności kuchnia była dostępna dwustronnie i na dobrą sprawę można było ganiać się w kółko dookoła owego kawałka ściany.

Justynka nie ośmieliła się nic zrobić, uniosła tylko pokrywkę rondla z mięsem i chciwie powąchała zawartość, co nie zostawiło żadnego śladu, Malwina zatem wciąż nie wiedziała o powrocie siotrzenicy. Zabrała się do wykończenia sałaty, z żalem rezygnuje z tak cudownie naturalnego sposobu pozbycia się męża. Sprawdziła makaron, grube rury jeszcze nie doszły, deser w postaci wczoraj upieczonego sernika dawno był gotów, bita śmietana w spreju również, Malwina nie miała już nic do roboty. Przysiadła na wysokim kuchennym stołku i znów zapatrzyła się w okno, za którym z tej strony widać było ogrodzenie, furtkę, niewielki parking wzdłuż ulicy i nawet kawałek parkingowego placyku obok ich ogrodu. Nic atrakcyjnego nie działo się w polu jej widzenia, aczkolwiek odludzie należało już do odległej przeszłości.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat wokół domu po przodkach Karola Wolskiego wyrosło całe osiedle bogatych willi na odrolnionych gruntach. Te bliższe stały ciasnawo, te dalsze już dysponowały przestrzenią dookoła siebie. Sklep był nawet, bar, fryzjer i apteka, uliczki zostały wyasfaltowane, a wszystko razem nie gniotło się przesadnie, parcele były dość duże, wokół budynków istniała odrobina luzu. Ogólnie biorąc, panował jakiś ruch, tyle że akurat nie w tej chwili.

Czym go otruć, do diabła? Grzybkami? Co tam jest najgorszego? Muchomor sromotnikowy, grzyb szatański... A może chemikalia? Tyle się słyszy gadania o rozmaitych środkach czyszczących, z daleka od dzieci, z daleka od oczu, z daleka od ust, najlepiej w rękawiczkach i nie oddychać przy tym...

Niepewne. Wysoce niepewne i technicznie bardzo skomplikowane.

Za ogrodzeniem przejechał chłopiec na wrotkach, a zaraz za nim samochód, który skręcił i zaparkował na placyku. Zmiana widoku przed oczami uruchomiła Malwinę. Nie doszedłszy do żadnych twórczych wniosków, westchnęła ciężko, zsunęła się ze stołka i przeszła do części jadalnej z zamiarem nakrycia do stołu.

Stół okazał się nakryty. Przez długą chwilę Malwina stała tak. Jak przedtem siedziała na stołku, bez drgnięcia, niczym kamień. W popłochu zastanawiała się nad sobą, czy już doszczętnie straciła pamięć? Wpadła w aż taką sklerozę? Niemożliwe przecież, żeby nakryła ten stół obrusem, ustawiła na nim talerze i kieliszki ułożyła sztućce, przyozdobiła to wszystko wazonikiem z kwiatkami i nie miała o tym najmniejszego pojęcia Cud, krasnoludki...? Nikogo innego nie ma w domu, Helenka dawno poszła. Sam się ten mebel nakrył...?

Justynka, przygotowawszy stół do posiłku, co uczyniła z głodu i po trafnej ocenie stanu zaawansowania obiadu, w poszukiwaniu ciotki udała się do salonu, po czym rozejrzała się po sypialni. Malwiny nigdzie nie było. Znów zajrzała do kuchni, ale Malwina właśnie skamieniała przed stołem, więc Justynka jej nie dostrzegła. Zdziwiona, zdobyła się na odwagę i cichutko otworzyła drzwi do gabinetu wujka. Pusto. Wróciła do salonu i przeszła przezeń do biblioteki, żeby sprawdzić w słowniku wyrazów obcych, jak się ma schizofrenia do ambiwalencji, bo stosunek do własności dziewiętnastowiecznych posiadaczy kłócił się z ich stosunkiem do nakazów religijnych i nasuwał niekiedy podejrzenie jakichś drobnych wypaczeń psychicznych. Chciała wyrobić sobie własny pogląd.

Ani ciotka, ani siostrzenica nie starały się zachowywać szczególnie cicho, po prostu nie robiły hałasu, ale radio grało i głuszyło nikłe dźwięki. Nie wierząca w duchy Malwina, zaskoczona stołem, zajrzała do salonu, po czym weszła na górę i sprawdziła pokój i łazienkę Justynki. Justynka w tym czasie przeglądała , słownik wyrazów obcych, jasne zatem, że tam jej nie było, a torba pod biurkiem nie rzucała się w oczy. Malwina zeszła na dół, raz jeszcze w zadumie obejrzała stół, wróciła do kuchni i spróbowała makaronu. Był doskonale miękki, odlała go zatem, wyrzucając na wielki durszlak, wsparty o krawędzie zlewozmywaka. Zaniosła na stół sałatę, zawahała się, tajemnicze zjawisko wciąż ją nieco intrygowało, wypychając z umysłu zbrodnicze rozważania, przeszła zatem przez hol i zajrzała do gabinetu Karola.

W gabinecie również nikogo nie było. Na biurku leżała tylko wielka książka telefoniczna, otwarta, grzbietem do góry, ale ta książka leżała tak od wczorajszego wieczoru. W tym świętym pomieszczeniu nie wolno było niczego ruszać, za najdrobniejszą zmianę Karol robił dzikie awantury, w Malwinie jednakże zalęgła się chęć dokuczenia mu. Zamknąć tę książkę i odłożyć na półkę, albo chociaż tylko zamknąć. I niech się awanturuje w niebogłosy i niech do niego dotrze, o co to całe piekło, o ścisłe spełnianie jego własnych życzeń, pedantyczne utrzymywanie porządku!

Zawahała się, niepewna, co Karol uzna za porządek, zostawienie zamkniętej książki na biurku czy położenie jej na półkę, i w końcu zrezygnowała z pomysłu. Mignęło jej przypomnienie, że on mamrocze o rozwodzie. Gdyby zatruwała mu życie na każdym kroku, mógłby się pośpieszyć i nie zdążyłaby go zabić. Chwilowo zatem nie, przeciwnie, nie zaostrzać, tylko łagodzić.

Przez czas jej rozważań w gabinecie Justynka zdążyła odłożyć słownik wyrazów obcych i przejść do kuchni, gdzie ujrzała odlany makaron na durszlaku. Odruchowo uczyniła to, co zawsze robiło się z makaronem, żeby nie wystygł zbyt szybko. Wlała trochę wody do garnka, postawiła go na elektrycznej płytce, na wierzchu położyła durszlak z zawartością i nakryła wszystko szczelną przykrywką. Po sekundzie wahania włączyła palnik na jedynkę i wyszła z kuchni tą drugą stroną, obok nakrytego stołu. Zatrzymała się nagle, bo wpadła jej w oko salaterka z sałatą.

Teraz dopiero przyszło jej do głowy, że coś tu nie gra. Ciotki najwyraźniej w świecie nie ma, Helenki nie ma, nikogo nie ma, a rozmaite rzeczy same się robią. Co, u diabła...? Nie przyniosła chyba sałaty i nie odlała tego makaronu bezwiednie, zaprzątnięta schizofrenią? Schizofrenia nie jest przecież zaraźliwa, a jeśli nawet, samo czytanie o niej nie powinno szkodzić!

Malwina zaś wprost z gabinetu udała się do kuchni. Durszlak z makaronem na garnku w pierwszej chwili nie zwrócił jej uwagi, bo stanowił widok najdoskonalej naturalny, do którego była przyzwyczajona, po minucie dopiero, po spróbowaniu mięsa, zgaszeniu pod nim gazu i wyciągnięciu z szafki odpowiedniej salaterki, uświadomiła sobie, co widzi.

Na litość boską, przysięgłaby, że zostawiła durszlak na zlewozmywaku! Co to jest, co ma znaczyć to przemieszczanie się przedmiotów bez jej udziału?! Ktoś tu jest i ukrywa się, żeby ją straszyć? Kto...?!

Tknęła ją potworna myśl, że Karol. Udaje, że go nie ma, wszedł do domu ukradkiem i teraz robi te sztuki, ponieważ postanowił doprowadzić ją do obłędu. Wyjdzie też ukradkiem i potem będzie jej wmawiał halucynacje, żeby osiągnąć jej ostateczne ogłupienie i najpiękniejszy dla niego skutek, mianowicie ubezwłasnolnienie! Może nawet Tworki! Nie, w tych zakładach dla umysłowo chorych brakuje miejsc, wypuszczają nawet wariatów niebezpiecznych dla otoczenia, ale co za różnica, na wolności też zostanie ograniczona, a jakikolwiek podział majątku w ogóle nie wejdzie w rachubę. Jasne, oczywiście, to o to mu chodzi! A otóż nie, nic z tego, znajdzie go podstępnie i przygwoździ! Nie, jeszcze inaczej, zacznie jeść obiad, udając, że nic się nie stało i wszystko jest w porządku, apetycznych woni on nie wytrzyma, wyjdzie z ukrycia...

Najciszej, jak zdołała, wyrzuciła makaron na salaterkę i zaniosła na stół.

Justynka ustaliła właśnie sama ze sobą, że w duchy nie wierzy, głodna jest wprawdzie, ale nie do tego stopnia, żeby mieć jakieś zwidy i omamy, zatem w domu ktoś musi być. Ukrywa się przed nią, nie wiadomo dlaczego. Nie włamywacz przecież, bo jakiż włamywacz gotuje swoim ofiarom obiad...?! Ciotka zapewne, tylko dlaczego w trakcie wykonywania zwykłych, codziennych czynności kryje się gdzieś po kątach? Czy ona na pewno jest? I czy to na pewno ona...?

Nie wytrzymała. Zatrzymała się na środku holu i strasznym głosem wrzasnęła:

- Ciociu...!!!

Malwinie rondel z mięsno-grzybową potrawką omal z rąk nie wyleciał. W ciągu tych krótkich chwil zdołała już wmówić w siebie podstępną perfidię Karola, zmierzającą do przyprawienia jej o utratę zmysłów. Niosła rondel w jednej ręce, drugą trzymając fajansową podstawkę i cudem istnym tego nie upuściła. Przeraźliwy krzyk w cichym domu, i to jeszcze krzy k Justynki, której przecież wcale nie było...

- Kto tu jest...?!!! - wrzasnęła Justynka jeszcze okropniej.

Malwina zdołała postawić wszystko na stole i wsparła się o oparcie krzesła.

- Justynka...? - powiedziała słabo. - Ja jestem. Jak to, przecież ciebie nie ma...?

Justynka z ulgą rozpoznała jej głos i szybko wbiegła do kuchni, podczas gdy Malwina oderwała dłonie od krzesła i wybiegła do holu. Znów się nie zobaczyły. Obu im równocześnie przyszło na myśl, że padają ofiarą jakiegoś koszmarnego złudzenia, obie równocześnie przyśpieszyły kroku i przez kilkanaście sekund goniły się wzajemnie, okrążając kawałek ściany, co stanowiło widok idealnie groteskowy. Justynka złamała się pierwsza.

- Ciociu, gdzie ciocia jest?! - krzyknęła rozpaczliwie.

- To ja pytam, gdzie ty jesteś! - odkrzyknęła zdenerwowana Malwina. - Stańże wreszcie w miejscu! Zatrzymaj się!

Justynka spełniła polecenie, zastygając obok stołu, który kusił apetycznym aromatem. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że nawet jeśli ciotka stała się niewidzialna, ona ten obiad zje, po czym wreszcie ujrzała Malwinę, nieco zdyszaną. Popatrzyły na siebie, Po kilkuminutowym ataku histerycznego śmiechu mogły wreszcie normalnie usiąść i przystąpić do jedzenia,

- Myślałam, że cię nie ma - powiedziała Malwina, czując niejasną ulgę, że to jednak nie Karol. - Nawet sprawdzałam na górze. I nic z tego nie mogłam zrozumieć.

- Ja też - wyznała Justynka, jeszcze chwilami prychając chichotem. - Szukałam cioci, bo w kuchni coś się dzieje, a cioci nie ma. Mogłabym z czystym sumieniem przysięgać, że nie ma nikogo. Doskonały dom do zabawy w chowanego.

Jeszcze przez chwilę Malwina nie doceniała wagi jej słów, aż nagle wszystko w niej drgnęło. Nie ma nikogo... A załóżmy, że ona chciałaby być. Albo właśnie nie być... Nie, być, Karol ginie gdzie indziej, ona jest w domu, a tu świadek stwierdza, że wcale jej nie było. Niemożliwe jest przecież bez przerwy kotłować się z makaronem...

Okropna myśl o niezbędnym alibi opanowała ją bez reszty. Jakże, gdyby potrzebne było teraz, w tej chwili, załóżmy, że Karol właśnie pada trupem gdzieś tam, a tu Justynka gotowa zaświadczać, że Malwiny w domu nie ma. Przez idiotyczny przypadek obie błąkają dookoła ściany, żadna nie siedzi w miejscu, na kuchni żadne garnki nie stoją, szukają się nawet specjalnie, Malwina dla pokazania sięJustynce, Justynka dla sprawdzenia, czy ciotka jest obecna... I proszę, jeśli któraś z

nich nie zacznie przeraźliwie krzyczeć, jedyny świadek pogrąży ją doszczętnie!

Myśli jej się nagle zachybotały, bo Justynka coś mówiła.

- ...przedwczoraj w nocy. Obudził się właściwie bez powodu, nie dorabiał żadnych przeczuć do swojej chwilowej bezsenności, najzwyczajniej w świecie wstał, żeby się napić wody i po drodze do kuchni wyjrzał przez okno. I zobaczył, że mu właśnie kradną samochód, ten nowy, specjalnie postawił tak, żeby go widzieć. Zaczynali wtaczać na platformę, na ciężarówkę. Wyskoczył, jak stał, krzyknął tylko do żony, żeby zadzwoniła po policję, i chwycił co miał pod ręką, mianowicie parasol plażowy, zwinięty...

- Kto? - wyrwało się zdumionej Malwinie.

- Ten kuzyn mojego kumpla. Mówię o nim przecież. Wyskoczył znienacka i przygruchał tym parasolem najpierw jednemu, a potem drugiemu. Zdążył, bo z zaskoczenia. No, a potem już się tam zrobiła większa zadyma, oni oprzytomnieli, trzech ich było, i ruszyli na niego, ale jemu zostało jeszcze tyle rozumu, że do walki bezpośredniej się nie pchał, tylko robił uniki. Myślał nawet. Miał nadzieję, że żona zadzwoni i policja przyjedzie, tymczasem ta żona to idiotka, obudziła się na jego krzyk, ale zamiast dzwonić, stała w oknie, patrzyła i też krzyczała. W rezultacie, na całe szczęście, nadjechał przypadkowy radiowóz i zgarnęli ich wszystkich, to znaczy nie wszystkich, kuzyna i dwóch złodziei, a trzeci spokojnie odjechał ciężarówką. Nawet nie zapisali jej numeru. A jego oskarżyli o napaść i ciężkie uszkodzenie ciała, bo jednemu tym parasolem złamał nos, a drugiego czubkiem dźgnął w żołądek. Niestety, nie przebił go na wylot, ten parasol miał czubek dosyć tępy i tylko się wgniótł, ale i tak nieźle. Złamał się poza tym, bo trzeci wystartował do niego z kijem bejsbolowym i on się parasolem osłaniał...

Malwina słuchała z rosnącym zainteresowaniem. Justynka zamilkła na chwilę, przełykając potrawkę z makaronem i dokładając sobie sałaty. Kawałek listka spadł jej na podłogę, schyliła się, odnalazła go, otrząsnęła i zjadła.

- I co w końcu? - spytała niecierpliwie jej ciotka.

- I otóż to! - odparła siostrzenica z ponurym triumfem. - Cała dyskusja u nas na ten temat była, z tym że wszyscy się ze sobą zgadzali, więc co to za dyskusja! Dyskusja może istnieć przy różnicy zdań. Złodzieje zostali wypuszczeni od razu, a jego zatrzymali na dwadzieścia cztery godziny, ponieważ wyszedł z tego cało, radiowóz nadjechał akurat w chwili, kiedy ten parasol się złamał. I już wiemy, że zostanie oskarżony o naruszenie nietykalności, a może nawet ciężkie pobicie, bez powodu, bo przecież tego samochodu mu nie ukradli, nie? Nie miał prawa występować czynnie w obronie mienia. Ma ciocia pojęcie?

- A do czego miał prawo?

- Do perswazji. Powinien ich grzecznie poprosić, żeby się odwalili od jego samochodu i poszli precz. W ostateczności mógł ich obsobaczyć i zelżyć, stosując ewentualnie jakieś groźby karalne, pod warunkiem, że tylko słownie. No i oczywiście wezwać policję.

- Przecież wezwał!

- Nie, sami nadjechali. I niestety, sporządzili protokół. Myląca scena, dwóch facetów uszkodzonych, a jeden nietknięty. Chociaż w piżamie...

- Ma to jakieś znaczenia, że w piżamie?

- W pewnym stopniu tak. Okoliczność łagodząca. Trudno sobie wyobrazić, że facet zrywa się z łóżka w środku nocy i leci łomotać przypadkowych przechodniów bez żadnego powodu, w dodatku rzuca się jeden na trzech. Z parasolem. Dobrze, że nie chwycił tasaka...

- Tasak, jak sądzę, byłby bardziej skuteczny zauważyła krytycznie Malwina.

Ale mógłby zostać uznany za premedytację. I wtedy już nie ma siły, leży martwym bykiem. Bez tasaka natomiast, po wyjaśnieniu sprawy, policja może by go nawet puściła, gdyby nie ten protokół. Trzeba zgłosić w prokuraturze. I jak ciocia sądzi? Co się stało? Otóż prokurator pazurami go chwycił, już ma przestępcę...

- Jakiego znowu przestępcę, co ty wygadujesz? Przestępca, bo nie dał sobie ukraść samochodu?

- Toteż właśnie. Dawno mówię, że u nas wszystko stoi na głowie. Postawił go w stan oskarżenia, będzie miał sprawę, już mu świtają tak ze dwa latka, a tu, chwalić Boga, chała. O rany, jakie to było dobre! Jest deser?

- Co...? A, jest, oczywiście! Postaw wodę na herbatę, a ja to wezmę do podgrzania...

Wróciły do rozmowy dopiero, kiedy Justynka napełniła szklanki, a Malwina ulokowała potrawkę i makaron tak, żeby w jednej chwili móc je zagrzać, potrawkę w garnku z wrzątkiem, makaron na parze, bo Karol bał się mikrofalówki. Zaniosła na stół sernik i bitą śmietanę.

- Wujek będzie jadł? - spytała ostrożnie Justynka, zdejmując z tacki szklanki z herbatą.

Malwina powstrzymała wzruszenie ramionami, bo gdzieś na skraju świadomości błysnęła jej myśl, że swój prawdziwy stosunek do Karola powinna zacząć ukrywać. Dla uniknięcia podejrzeń powinna udawać, że kocha go nad życie i troska o niego stanowi cel i sens jej egzystencji. Żadnych niechętnych odruchów i kąśliwych uwag!

- No pewnie, że będzie. I niech ma, na kolację, bo możliwe, że obiad zjadł na mieście. I co dalej, z tym biednym człowiekiem? Trzymają go w więzieniu? W tej piżamie?

- Nie w więzieniu, tylko w areszcie - poprawiła Justynka i odkroiła sobie pół porcji sernika. - Poza tym nie trzymają, puścili go do domu i już wiadomo, że prokurator dozna rozczarowania. Nie wytoczy sprawy.

- Bo co?

- Bo nie będzie miał pokrzywdzonych. Żadnych obdukcji lekarskich, żadnych dowodów, wyjdzie mu, że człowiek latał w piżamie po ulicy ze złamanym parasolem plażowym tak sobie, dla draki. Dla zażywania świeżego powietrza.

- A latanie po ulicy w piżamie nie jest karalne? - zainteresowała się Malwina i napoczęła swoją porcję deseru. Dwa razy większą niż Justynki.

- Nie. Głównie dlatego, że teraz wszyscy noszą wszystko i on może się upierać, że to wcale nie piżama, tylko taki strój. Spacerowy. Karalne jest naruszanie nietykalności osobistej.

- No to przecież naruszył...?

- Komu? Czyjej, znaczy, nietykalności? Ofiar nie ma. Uciekły. I wszyscy, na całym roku, możemy się zakładać, o co kto chce, że nie wrócą i nie będą go skarżyć. Musieliby upaść na głowę.

To Malwina rozumiała doskonale. Opisywane przez Justynkę wydarzenie interesowało ją coraz bardziej.

- No dobrze. I co?

- I tak naprawdę to właśnie dlatego gliny ich tak szybciutko puściły. Połapali się tam, na komendzie, o co naprawdę chodziło, wiedzieli, że prokuratura nie zrobi im nic złego i woleli ich nie trzymać, żeby nie było badania lekarskiego i tak dalej. Spisali ich dane, ale to bez znaczenia, jeśli nawet dostaną wezwania jako pokrzywdzeni, wyprą się wszystkiego. Nic im się nie stało, nie mają do tego pana żadnych pretensji, pijani byli albo co, a on im nic nie zrobił. Niemożliwe jest oskarżać człowieka, który nic nie zrobił. Ale i tak wszyscy zgodnie uważają, że on, ten kuzyn, musiał zwariować i w ogóle miał ślepy fart.

- Bo co?

- Bo go mogli nawet zabić, a co najmniej przyprawić o trwale kalectwo. Trzech ich było. Z reguły tych złodziei samocho-

dowych nie wolno dopadać osobiście, na takim ataku najgorzej wychodzi właściciel, bo oni się nie patyczkują. W dodatku mogą się mścić.

- Mścić! - podchwyciła Malwina żywo. - Jak mścić?

- Zwyczajnie. Zaczają się na niego i ciężko pobiją.

- I mogą zabić?

- A dlaczego nie?

- No to przecież już wtedy... Prokurator...

- Iiii tam, prokurator! Szukaj wiatru w polu, sprawcy nieznani. Prokurator też się ich boi.

Malwina nagle zamilkła i prawie przestała słuchać, otwarły się bowiem przed nią jakieś nowe, niespodziewane możliwości, na razie jeszcze niejasne, mgliste i mocno poplątane. Ale jednak... Najgorzej wychodzi właściciel...

Justynka obdarzyła ciotkę sensacją, którą sama była przejęta, skomentowała ją jeszcze, ale już mniej emocjonalnie, po czym ruszyła się od stołu. Pozbierała talerze, wyniosła do kuchni i zaczęta wkładać do zmywarki.

Malwina przyszła tam za nią.

- A były już takie wypadki? - spytała jakby z lekkim roztargnieniem.

- Jakie wypadki?

- Żeby złodzieje zabili właściciela.

Justynka odwróciła się od maszyny i obejrzała garnki na kuchni. W jednym stał rondel z potrawką, na drugim leżał durszlak z makaronem.

- Chyba tak - powiedziała niepewnie. - Coś mi się obiło o uszy. Zdrowe grzmoty to mnóstwo razy, możliwe, że ktoś tam nie wytrzymał... Przykryć ten durszlak i podpalić?

- Podpalić. Malutki ogień. Konkretnie nie wiadomo?

- Konkretnie wiadomo, że raczej mordują włamywacze. Bandziory. Takie przypadkowe prymitywy. Te zorganizowane szajki i mafie działają dyplomatyczniej, czyhają na pusty dom, o łupy im chodzi, a nie o mordobicie.

- Szkoda... - wyrwało się Malwinie cichutko.

- Co? - zdziwiła się Justynka. - Dlaczego szkoda? Malwina się zreflektowała.

- Bo może morderców i zbrodniarzy gorliwiej by łapali. Już by ich tak nie mogli lekceważyć. I ludzie... no... mieliby prawo do obrony.

Justynka zamknęła zmywarkę.

- To kto się ma oddać na ofiarę? - spytała kąśliwie. - Bo jeden taki wypadek nie wystarczy. Ani nawet dwa. Chyba żeby rąbnęli prokuratora generalnego albo ministra sprawiedliwości, albo komendanta głównego policji, albo paru posłów na sejm, albo... czy ja wiem...? Biskupa...? Bo zwykły człowiek nie wystarczy, nawet pół tuzina zwykłych człowieków, mam na myśli ludzi, po zwykłych człowiekach nawet nie zaczną debatować nad zmianą prawa karnego.

- Tak myślisz...?

- No pewnie! Co tu myśleć, wszyscy wiedzą. Na całym naszym roku jest o tym gadanie. Prędzej czy później jakaś zmiana musi nastąpić, bo inaczej wszyscy się w końcu wzajemnie wymordują. Właściwie uważamy, że powinno się wrócić do kodeksu Hammurabiego i do Biblii, a potem jeszcze zastosować te stare skandynawskie metody, co to złodziejom ucinało się prawą rękę...

Wpadająca w nowy zapał Justynka zamierzała już opuścić kuchnię i wrócić do swojej lektury, ale zatrzymała się jeszcze i, wsparta o futrynę drzwiową, wygłaszała do ciotki całe przemówienie. W poglądach drugiego roku wydziału prawa najwyraźniej w świecie nie było miejsca na litość, współczucie, aspekty medyczne i tak modny ostatnio humanitaryzm w stosunku do przestępców.

Malwina słuchała z wielkim zaciekawieniem i mieszanymi uczuciami. W zasadzie była podobnego zdania, ale wolała, żeby te pożądane zmiany nastąpiły nie tak zaraz. Chwilowo brutalni i rozzuchwaleni przestępcy mogliby jej się zapewne przydać...

Roztargnionym spojrzeniem obrzuciła kuchnię, porzuciła ją, usiadła w salonie i znów zapatrzyła się w okno, za którym właśnie na nowo zaczął siąpić deszcz,

* * *

Karol Wolski po bardzo dobrym obiedzie nie śpieszył się do domu. Opuściwszy restaurację i kontrahentów, korzystając z przerwy w opadach atmosferycznych, zdecydował się najpierw obejrzeć teren, przeznaczony do sprzedaży, na który może miałby chęć, a potem odwiedzić konkubinę jednego takiego.

Nie wiodły go tam żadne cele natury uczuciowej. Konkubinę, jako taką, miał w nosie i, jak dla niego, mogła wyglądem przypominać ropuchę, kościotrupa albo róży kwiat, jej damskie cechy nie interesowały go w najmniejszym stopniu. Liczył na uzyskanie od niej użytecznej wiedzy ściśle związanej z finansami, mianowicie nazwiska i adresu osobnika, chętnie występującego w roli figuranta, dotychczas niezawodnego. Kłuły mu się posunięcia, w których figurant mógłby się okazać niezbędny, a ten akurat był sprawdzony.

Zaniedbał tę sprawę przed dziesięcioma laty, kiedy to omal się nie wdał w interesy z owym jednym takim i tylko szczęśliwym przypadkiem udało mu się uniknąć pułapki. Jeden taki dawno już przebywał na innym kontynencie, w kraju zaś pozostała konkubina w niedostatku. No, powiedzmy, że w miernym dostatku. winien ten dostatek być znacznie okazalszy, jego skromne rozmiary zatem wywoływały w konkubinie wyraźne rozgoryczenie, które mogło ją skłonić do wyjawienia kilku tajemnic, niegdyś pilnie strzeżonych. O tym, że figurant nadal służy swoją uczynnością dobrym sercem rozmaitym osobom, Karol doskonale wiedział, osoby jednakże miały dość rozumu, żeby jego personalia starannie ukrywać. Wszystko na tym świecie ma swoje granice, uczciwy figurant również, zbytnie eksploatowanie tylko jednego byłoby szkodliwe. Istnieli w końcu także i inni figuranci, rozmaici biznesmeni mieli pełną swobodę wyboru, mogli ich używać dowolnie, Karol również, ale Karol chciał właśnie tego.

Nie bez powodu. Interesy jednego takiego zdołał poznać dość dokładnie i był zdania, że użytkowany figurant przyniósł mu ślepy fart. Jakoś tak gładko wszystko przeszło... Warto było go mieć na wszelki wypadek.

Wokół domu niegdyś jednego takiego, a obecnie konkubiny, panowała jakby nieco nerwowa atmosfera. Przed wjazdem na sąsiednią posesję stały dwa samochody, obok nich kilku ludzi, furtki w ogrodzeniach były zamknięte, za to bramy szeroko otwarte. Zaprzątnięty figurantem Karol na atmosferę nie zwrócił uwagi, skorzystał z wolnej drogi i wszedł.

Konkubinę zastał we łzach, ale były to łzy wściekłości. Jakiś zmartwiony osobnik tulił się do futryny i skwapliwie wymknął się na zewnątrz w chwili otwarcia drzwi. Konkubina uczyniła gest, jakby chciała go chwycić za kołnierz i zatrzymać, ale stojący w wejściu Karol okazał się żywą przeszkodą i aczkolwiek usunął się szybko, to jednak osobnik zdążył uciec. Konkubina z rezygnacją machnęła ręką i wpuściła gościa do środka.

Znali się z dawnych czasów, Karol zatem mógł się zachować swobodnie.

- Co się stało? - spytał z grzecznym współczuciem, nie udając wcale, że nie widzi jej łez.

- Stało! - prychnęła z furią konkubina. - Nie widzi pan? O kant tyłka potłuc tę całą elektronikę! Dwa samochody dziś w nocy ukradli, a mnie do tego jeszcze całą skrzynkę szampana! Z garażu! Z zabezpieczeniem, z tym całym dżi pi esem, czy jak to się tam nazywa! Bramy się nie chcą zamykać, dom na przestrzał otwarty, coś zepsuli albo zmienili, gardło nam mogą poderżnąć, kiedy im się spodoba!

Kto miałby to gardło podrzynać, Karol nie spytał, bo sprawa była jasna. Podwójna kradzież zainteresowała go, a nawet zaniepokoiła. Spytał o szczegóły.

Konkubina zaprosiła go dalej, kropnęła sobie przy barku kielicha na uspokojenie i pstryknęła elektrycznym czajnikiem. Świadoma, że Karol jest samochodem, nie nakłaniała go do mocniejszych napojów.

- A ten gnój uciekł, widział pan? - mówiła gniewnie w trakcie przyrządzania dla gościa herbaty. - To oni mi alarmy zakładali, jego firma, i teraz wyszło na jaw, że czegoś tam nie podłączyli, wylgują się, jeden na drugiego zwala, jak nie mieli spółki z tymi złodziejami, to ja jestem chiński cesarz. U sąsiada też. Zaskarżyłabym ich do sądu, ale pieniędzy i tak mi nie zwrócą, bo ubezpieczenie zapłaci, to na co mi ten kołowrót, strata czasu i zdrowia. Allianz powinien ich skarżyć! I Warta! A nie my!

Z tym Karol zgadzał się w pełni, dawno już dziwiło go, że instytucje ubezpieczające lekceważą sobie całkowicie kwestię wyłapywania sprawców kradzieży i z lekkim sercem godzą się na straty. Nie tylko dziwiło, także irytowało, bo ostatecznym rezultatem było podnoszenie wysokości składek, a z jakiej racji on miał płacić za cudze niedbalstwo? Gorliwie poparł zdanie konkubiny.

- A bramy...?

- A ja wiem, jak oni te bramy otworzyli? Też na pilota! Coś musieli wyłączyć czy uszkodzić, ja się nie znam, ale teraz sam pan widział, ruszyć tego nie można. Nie chodzi, ani drgnie, na siłę też nie daje rady, całkiem się zablokowało i nikt nie wie, co zrobić.

- Drzwi od garażu też?

- Drzwi od garażu zwyczajne były, ale pod domowy alarm podłączone. I co? Wyłączyli wszystko, ani pisnęło!

- I nikt nic nie słyszał?

Konkubina wzruszyła ramionami i podsunęła mu szklankę z herbatą.

- Ja nic. Rano zobaczyłam, a i to nie od razu, bo nawet nie spojrzałam przez okno. Dopiero jak mi tu sąsiad do drzwi zadzwonił, zdziwiłam się, że nie do furtki, i popatrzyłam. Mało na serce nie padłam!

Dolała sobie koniaku i chlupnęła z energią. Trzęsącymi się rękami zapaliła papierosa.

- I wszystko, co w samochodzie - ciągnęła z goryczą. - Wie pan, jak to jest, człowiek różne rzeczy wozi, sama już nie wiem, co miałam w bagażniku. A u sąsiada podobno gosposia się obudziła i widziała samochód w bramie, ale myślała, że to pan wyjeżdża, więc co się miała wtrącać. Oni się akurat ostro kłócili... Rano wyszło na jaw, że pan w domu, garaż otwarty, samochodu nie ma, a potem dopiero zauważyli, że i u mnie wszystko na oścież, no więc przyszli zapytać...

Karol bardzo źle pomyślał o gosposi. Wniosek, że kłócić się należy po cichu, tak, żeby nikt nie słyszał, nie miał do niego dostępu. Przelotnie zastanowił się, co by było, gdyby wszyscy zerwali się z łóżek i czynnie zaprotestowali przeciwko kradzieży, zarazem dzwoniąc gdzie popadnie, alarmując i wzywając policję.Można by w złodziei czymś rzucać... Lepiej strzelać, ale nie ma z czego...

Przypomnienie, że sam mieszka na terenie podwójnie strzeżonym, sprawiło mu wielką przyjemność, która pozwoliła okazać konkubinie szczere współczucie. Troskliwie wypytał o wszystkie rodzaje zabezpieczeń, stosowane u niej i u sąsiada, doznał dodatkowej satysfakcji na myśl, że u siebie wymyślił lepsze, po czym dyplomatycznie przystąpił do załatwiania swojego interesu.

Udało mu się. Rozdygotana, rozgoryczona i zniechęcona do życia konkubina wyjawiła mu nawet więcej niż chciał, jednakże w ostatniej chwili ocknął się w niej handlowy instynkt. Nazwisko i adres figuranta, proszę bardzo, ale nie za darmo.

Gdyby nie zadowolenie z samego siebie, wzmożone popełnioną tu kradzieżą, Karol wdałby się w ostre targi i poskąpił ekwiwalentu. Nastrój, w jaki popadł, pozwolił mu okazać pobłażliwą hojność. Bez wielkich korowodów kupił po prostu upragnione informacje za całkiem rozsądną kwotę, która zdecydowanie podbudowała samopoczucie konkubiny, a jemu żadnej zgryzoty nie przyczyniła. Wydał pieniądze, niech będzie, za to czasu zbyt wiele nie stracił i zyskał mnóstwo dodatkowej wiedzy praktycznej. Opłacało się.

Deszcz znów zaczął siąpić, pojechał zatem wprost do domu.

*** * ***

Trzask otwieranych i zamykanych drzwi wyrwał Malwinę z zadumy. Wracał Karol, tylko on wchodził z takim łomotem. Proszę, jak idealnie zdążył na kolację i jak mądrze postąpiła, trzymając pożywienie w stanie gorącym, ciekawe, jaki sobie znajdzie powód do awantury...

Karol nie zamierzał się awanturować. Dobry nastrój w nim trwał, a głodny czuł się zaledwie średnio. Powęszył w kierunku kuchni, wonie stamtąd wiały apetyczne, wszystko zatem było w porządku.

- Będę jadł! - ogłosił w przestrzeń gromko, ale dość łagodnym głosem.

Malwina doznała ulgi, pełnej triumfu. Może zaspokoić jego żądanie w mgnieniu oka, a w dodatku wyjawił je, nie wkroczył w ponurym milczeniu, zmuszającym ją do odgadywania jego życzeń. Jeśli ryczy, jest w niezłym humorze, w chwilach prawdziwej furii odzywał się syczącym, przenikliwym szeptem. Nie wiadomo, co prawda, czy wystarczą mu potrawy obiadowe, może zachce mu się zestawu typowego raczej dla kolacji, ale co jej szkodzi postawić na stole wszystko? Ileż pośpiechu, zdąży, Karol polezie jeszcze przecież do gabinetu, pójdzie do łazienki, przebierze się... Może i Justynka będzie jadła, chociaż na prawdziwą kolację jeszcze za wcześnie, ale kto ją tam wie. Obie może zjedzą jakąś drobnostkę.

Karol rzeczywiście odpracował swoje czynności wstępne, co pozwoliło Malwinie zastawić stół wszystkim. Potrawka, makaron, sałatki różne, szyneczka, serek, pieczywko... Śledzik marynowany i galaretka z drobiu. Wygrzebując z lodówki i donosząc na stół rozmaite frykasy, ugruntowywała w sobie niezłomne postanowienie: na wszelkie sposoby udawać uczucia do niego, żeby nic nie zdołało zachwiać jej alibi doskonałym.

Obfitość pożywienia Karola rozzłościła. Nie na bazie skąpstwa, nie w obawie, że jest tego za dużo i coś mogłoby się zmarnować, a przez pełną niemożność dokonania wyboru. Wszystko było bardzo dobre i właściwie wszystko chciałby zjeść, niestety, z góry wiedział, że owemu wszystkiemu nie da rady. Na coś się musi zdecydować i po cholerę było podtykać mu pod nos ten nadmiar?

- To ma być obiad czy kolacja? - spytał kąśliwie.

- Co sobie życzysz, kochanie - odparła Malwina słowiczym głosem, stawiając obok sernika zasobnik z bitą śmietaną. - Jeśli masz ochotę, może to być kolacja na gorąco z przystawkami.

Wyjrzała do holu i z wielkim naciskiem krzyknęła:

- Justynka!!!

Po czym bez pośpiechu zajęła swoje zwykłe miejsce przy stole.

Coś w głosie ciotki spowodowało, że Justynka, która wcale jeszcze nie była głodna, a za to żywo zajęta swoją lekturą, porzuciła czytane dzieło i czym prędzej zbiegła na dół. Orientowała się doskonale w kontrowersjach, jakie stopniowo rozkwitały w tym domu, i z całej siły unikała wtrącania się do nich, szczególnie, że nie była pewna, po czyjej stronie powinna stanąć,. Agresję, jej zdaniem, prezentowali obydwoje, trochę więcej wuj, za to głupie fochy ciotka. Nie rozważała tej kwestii dotychczas zbyt wnikliwie, uparcie starając się pozostać na uboczu, ale tajemnicze przeczucie mówiło jej, że sytuacja dojrzewa do pęknięcia, i ogarniał ją lekki niepokój. W okrzyku ciotki brzmiał jakiś osobliwy przydźwięk, jakby wołanie o pomoc albo naglący rozkaz, jakby ktoś kogoś dusił, względnie trzymał lont i przy nim zapaloną zapałkę...

Wyobraźnię Justynka miała nader bujną. Wpadając do jadalni, oczyma duszy widziała wuja z rzeźnickim nożem w dłoni, ewentualnie ciotkę czyniącą zamach salaterką z gorącym makaronem, i prawie zdziwiła się, ujrzawszy dwie osoby siedzące spokojnie przy apetycznie zastawionym stole. Mignęły jej w głowie jeszcze dwa obrazy, już niepotrzebne, jeden, jak ona sama składa przed sądem zeznania w charakterze świadka, i drugi, jak wuj cały ten stół odwraca do góry nogami. Odsuwając swoje krzesło, zdołała rozsądnie pomyśleć, że owszem, może i mógłby odwrócić, ale i dopiero po zjedzeniu doskonałych potraw. Nie przed.

- Zacznij, kochanie, od tego na gorąco, bo potem wystygnie - podsunęła z troską Malwina.

- To po chchcholerę stawiałaś na stole? - wysyczał Karol dziko. - Można chyba coś takiego trzymać na ogniu, nie? Idiociejesz na starość w piorunującym tempie!

I na złość włożył sobie na talerz marynowanego śledzika.

Justynka uczyniła to samo, też zabrała się do śledzika, bo oznajmić, że nie jest głodna i poprzestać na sałatce z pomidorów, nie miała odwagi. Ukradkiem spojrzała na ciotkę, która wyglądała, jakby z wysiłkiem liczyła do dziesięciu, nie mogąc przy tym rozstrzygnąć, czy po pięciu następuje sześć, czy też może cztery. Wybrnęła zapewne z tych rachunków, bo wzięła głęboki oddech i podniosła się od stołu.

- Masz rację, kochanie...

- Ja zawsze mam rację - poinformował ją Karol jadowicie. - Nie zauważyłaś tego dotychczas?

Słodycz i demonstracyjna skrucha Malwiny grubą warstwą nałożyły się na bunt, wściekłość i śmiertelną urazę.

- Zauważyłam. Zaraz to postawię na ogniu. Podam ci gorące.

Sięgnęła po makaron i potrawkę. Karol uświadomił sobie nagle, że po pierwsze, żona, która powinna była warknąć na niego wzajemnie, względnie obrazić się i rozpłakać, okazuje anielskość nadludzką i nawet nie bardzo głupią, a po drugie, istotnie, ma przed sobą świetną kolację z przystawkami i może ją jeść dowolnie długo. Nikt go nie pogania, a te grube rury z sosem uwielbia. Woń to ma zgoła niebiańską...

- Wino - mruknął nieco łagodniej. Przechodząca już do części ściśle kuchennej Malwina zerknęła za siebie. Jeszcze był przy śledziku, zatem białe. Do potrawki oczywiście czerwone.

Obydwoje lubili wino i w tym też byli zgodni dwadzieścia lat temu. Właściwie pozostali zgodni przez cały czas. Wbrew rosnącej nienawiści do męża Malwina odruchowo i wręcz bezwiednie dbała o zaspokajanie jego, a przy okazji swoich, upodobań. Zawsze leżało w lodówce białe Mouton Cadet, Pinot Blanc, Bordeaux albo coś innego na poziomie, co najmniej dwie butelki, w szafce zaś kilka butelek czerwonego, niezależnie od zapasu w piwnicznej spiżarni. Z satysfakcją doniosła na tacy napoje i sięgnęła po kieliszki. Oczywiście musiała to wino sama otworzyć, ale w tym, na szczęście, miała już wielką wprawę.

- Chcesz trochę? - spytała życzliwie Justynkę i ugryzła się w język. Jakże, zamierzała przecież częstowacją drogimi potrawami wyłącznie Karolowi na złość, teraz zaś nie chwila po temu. Żadne na złość, ma robić za anioła!

- Białego, bardzo chętnie - odparła Justynka, nie zdając sobie sprawy ze skomplikowanych zgryzot ciotki.

Karol nie powiedział ani słowa, bo chciał kąśliwie spytać, czy ta potrawka to z ryby, ale butelką czerwonego Malwina odjęła mu pytanie od ust. Po krótkim namyśle odczepił się od śledzika i napoczął galaretkę z kurczaka z majonezem. Skoro zimne białe wino stało mu przed nosem, kolejność potraw wychodziła sama. Nie miał najmniejszej ochoty obrzydzać życia sobie.

Przy świeżutko zdjętej z ognia potrawce z makaronem zrobiło mu się przyjemnie do tego stopnia, że raczył otworzyć usta. Napomknął o włamaniach, których efekty dziś właśnie oglądał. Gdzie je oglądał i przy jakiej okazji, rzecz jasna, przemilczał, bo nie lubił ujawniać szczegółów swoich poczynań, Malwina z Justynka mogły zatem wyobrażać sobie, co chciały. Że nastąpiły one u sąsiadów, u jakichś znajomych, w jego firmie, gdziekolwiek.

- Pożałowali na ochronę i mają - stwierdził ze wzgardą.

Jego niezwykłą rozmowność Malwina uznała za doskonałą okazję złagodzenia atmosfery ogólnej. Ośmieliła się wtrącić, przypomniała, że tu, na osiedlu, w ich enklawie, pilnują, po czym wyrwało się jej głupstwo. Ktoś mówił, Helenka doniosła takie plotki, podobno gdzieś tam jakiś ochroniarz okazał się fałszywy, złodzieje go mieli za wtyczkę, dał się lekko ogłuszyć i podniósł alarm zbyt późno, zdążyli spokojnie okraść jednego takiego...

- Idiotyzm - skomentował Karol krótko i z niechęcią.

W obawie, że dobry humor mu przejdzie, bo przecież ochroniarzy na ich terenie on sam dobierał, czym prędzej spróbowała zmienić temat. Nie wyszło, złodzieje uczepili się jej i nie chcieli puścić. Rozpaczliwie szukała w myśli czegoś, co mogłoby mu się spodobać, ale przychodziło jej do głowy tylko jedno, mianowicie, że w nosie miałaby jego wszystkie humory i nastroje, gdyby nie to, że postanowiła go zabić i musi pieczołowicie tworzyć swoje alibi. Rozważania na tym tle raczej nie były wskazane.

Oko jej padło na Justynkę, skubiącą po odrobinie kawałek sernika.

- Justynka też coś takiego widziała - podsunęła zachęcająco.

- Osobiście nie widziałam - sprostowała Justynka. - Kumpel opowiadał.

Karol też spojrzał na Justynkę. Pytająco i bez wstrętu. Równało się to przyzwoleniu na opowieść.

O wszelkiej przestępczości Justynka rozmawiała bardzo chętnie, żadne mordercze zamiary jej nie bruździły, z zapałem powtórzyła zatem całą historię nieudanej kradzieży samochodu i nocnych występów właściciela z parasolem. Karol nawet słuchał.

- Z parasolem - powtórzył w zadumie. - Z parasolem...?

Po czym zamilkł i do końca posiłku siedział tak, jakby go wcale nie było. Nie odpowiedział nawet na proste pytanie, co woli, kawę czy herbatę? Odezwał się dopiero wstając od stołu, w chwili kiedy Malwina postawiła przed nim oba napoje.

- Do gabinetu - zażądał, nadal nie precyzując, czego sobie życzy.

Malwina zatem bez słowa zaniosła do gabinetu jedno i drugie.

Sprzątając naczynia, Justynka zastanowiła się, czy ona sama by to wytrzymała. Huśtawka nastrojów, wariactwo, jedno godne drugiego. Ciotka nie wytrzymywała, dawało się to zauważyć, ciekawe, co jej się stało, że dziś zrobiła się taka potulna. Zazwyczaj odszczekiwała się, nadymała i prowokowała awantury, a tu oto nagle cichutka jak myszka, i to myszka ociekająca zgoła syropem klonowym. Pewnie czegoś od niego chce.

Uparcie nie zamierzając się wtrącać, Justynka zapełniła zmywarkę, uruchomienie jej zostawiając ciotce, która mogła

mieć w planach dołożenie tam czegoś jeszcze, po czym uciekła do siebie na górę.

Malwina jednakże była konsekwentna i zdecydowana kuć żelazo póki gorące. W kwadrans później podążyła za siostrzenicą.

- Postanowiłam mu się nie sprzeciwiać - oznajmiła już w chwili otwierania drzwi. - Ty widzisz, moje dziecko, że to trudny człowiek. Ale ja go kocham i nie ma dla mnie życia bez niego. Co ty na to?

Justynka niemal się przestraszyła. Nie po raz pierwszy ciotka przystępowała do zwierzeń, musiała się przed kimś wywnętrzać, zazwyczaj jednak były to narzekania i wybuchy żalu, łzawe skargi i histeryczne pretensje, których siostrzenica wysłuchiwała z milczącym współczuciem. Wielka miłość stanowiła coś nowego. Nie miała zielonego pojęcia, co ona na to, szczególnie że osoba wuja nie budziła czułych myśli. Kochać nad życie wielkiego, grubego bałwana, gburowatego złośliwca, zajętego wyłącznie sobą i doskonale obojętnego na całą resztę świata...? Ciotka na głowę upadła...?

Niepojęte zjawisko nie nadawało się do oceny na poczekaniu. Na szczęście jednak Justynka przypomniała sobie, że przygotowuje się do zawodu prawnika. Prawo to w pewnym stopniu dyplomacja. Prawnik ma obowiązek wybrnąć z każdej sytuacji i umieć odpowiedzieć na każde pytanie.

- No właśnie - bąknęła z nadzieją, że brzmi to dyplomatycznie.

Malwinie wystarczyło.

- Zastanowiłam się, rozumiesz, po co nam te zadrażnienia, chce, niech ma, niech mu będzie przyjemnie. Może ma jakie kłopoty albo co? A mnie na nim zależy i niby po co mam mu jeszcze dokładać? Wiesz, przyszło mi na myśl, że, nie daj Boże, coś by się z nim stało albo uciekłby ode mnie i co wtedy? Powiem ci, moje dziecko, że aż mi się zimno zrobiło, może to i głupie, że dopiero po tylu latach człowiek to sobie uświadamia, ale tyle było różnych tam... no... kłótni... po drodze... że trzeba jakiejś wolnej chwili... Na Riwierze, w Hiszpanii, w Grecji, w Paryżu... był taki cudowny, że aż się serce kraje...

Urwała na tym sercu, bo zaczęło jej nie pasować. Zaraz, co się kraje, jakie kraje, przeciwnie, serce powinno do niego pikać czy coś w tym rodzaju. Kochała go wszak bezgranicznie, po krótkim załamaniu uczucia jej rozkwitły na nowo, własną piersią gotowa go chronić przed najdrobniejszą przykrością! W życiu i nie może jej nikt posądzić, że postanowiła go zabić, j a Justynka w razie czego będzie pierwszym świadkiem.

- Rwie się - poprawiła. - Serce, znaczy. Niedobra byłam dla niego, ale teraz będę jak anioł, a może i jemu wróci...? Takiego relaksu dozna, tak się błogo poczuje...

- Kurrrrwa...!!! - rozległ się z dołu przeraźliwy, świszczący ryk, dobitnie obrazujący błogie samopoczucie Karola, dzięki czemu Justynka nie zdążyła nic odpowiedzieć. - Co jest z tym cholernym kotem...?!!!

Malwina runęła do drzwi, Justynkę poderwało z krzesła. Tu, na górze, nie słyszały kociego miauczenia. Pufcia była na dworze i właśnie chciała wrócić pod dach, deszcz ciągle padał, a nikt jej drzwi nie otwierał, rozwarła gębę niczym cała orkiestra. Karol wprawdzie, jak dotąd, żadnego zwierzęcia nie skrzywdził, ograniczał się do istot ludzkich, z Pufcia był w przyjaźni, ale kto mógł przewidzieć, co zrobi, jeśli wpadnie w furię? Przytrzaśnie ją drzwiami...? A jeśli nawet nie, nie ma obawy, odegra się na Malwinie, jakoś nie chcąc w niej widzieć ani krzty anioła...

Co prawda, podniesienie się z fotela, przejście kilkunastu... no, niech będzie, nawet trzydziestu kroków, uchylenie drzwi i wpuszczenie kota dla żadnego przeciętnie sprawnego człowieka nie stanowiłoby najmniejszego problemu, ale Karolowi się zwyczajnie nie chciało. Nażarty był i ociężały, zaczął już rozważać pewną interesującą propozycję, nie będzie robił za odźwiernego. Od tego ma tę babę, luksusowo karmioną i odziewaną od dwudziestu lat.

Pufcia na dzikie syki pana reagowała tak, jakby była głucha. Wślizgnęła się do domu trochę mokra i mocno urażona. Wytarła perłowoszare futerko o włochaty szlafrok Malwiny, zwisający w łazience aż do podłogi, wypiła w kuchni trochę mleka i zwinęła się w kłębek na najmiększej poduszce. Z państwem, którzy zaniedbują swoje elementarne obowiązki, nie zamierzała rozmawiać.

Z góry majestatycznie zszedł Pucuś, rodzony brat Pufci, starszy o rok. Ułożył się na kanapie symetrycznie, bez poduszki wprawdzie, ale w miejscu jakby dokładnie odmierzonym. Tak od środka, jak i od poręczy kanapy oba koty leżały w idealnie takiej samej odległości.

Malwina i Justynka patrzyły na nie przez chwilę. Obie miały w sobie geny po wspólnych przodkach i obie na widok kotów doznały przypływu odrobiny niebiańskiego spokoju. Coś było w tych kotach takiego, co im dobrze robiło.

Kiedyś, na początku małżeństwa, Malwina i Karol mieli psa. Karol szczególnie wyobrażał sobie, że chciałby mieć psy, ufne, wierne i oddane bez granic, rychło jednakże wyszło na jaw, że pies wzajemnie chce mieć swojego człowieka. Na to nie mógł się zgodzić, ponadto większość wyjazdów urlopowych wykluczała zabieranie psa ze sobą, i w rezultacie pies wybrał sobie innego pana. Pokochał przyszywanego szwagra Karola, męża jego przyrodniej ciotecznej siostry, psiarza absolutnego, został w końcu u niego na zawsze ku własnemu szczęściu i lekkiej urazie Karola, a w domu zagnieździły się koty.

Malwina w głębi duszy chętnie poszła na tę zamianę. Nie bez powodu nie chciała mieć dzieci, nie miała w sobie żadnych skłonności opiekuńczych, uczuciowość psów męczyła ją i drażniła, wolała koty, egoistyczne i samowystarczalne. W razie wyjazdów zostawały z Helenką i nie cierpiały wcale, bo zostawały we własnym domu, co im najzupełniej wystarczało. Karol, dziwne, w gruncie rzeczy też lubił koty, godził się nawet na to, żeby kot siedział na rogu jego biurka, od czasu do czasu delikatnie zabierając mu sprzed nosa jakiś kawałek papieru. Nie awanturował się przy tym wcale, bawiło go to. Lubił w ogóle zwierzęta, karmił piaki w ogrodzie, karmił kiedyś przybłąkanego jeża, karmił dzikie małpy w Gibraltarze...

Pomyślała teraz, że z tymi kotami dobrze się składa. Kiedy zabije Karola, pies, nie daj Boże, mógłby zdlechnąć z głodu na grobie pana. Kotom coś takiego nie grozi.

Dała spokój Justynce, uznawszy, że właściwe ziarno zostało już rzucone. Zajęła się obmyślaniem jadłospisu na jutro, co wcale nie było proste i łatwe, ponieważ nie miała pojęcia, kiedy i w jakim nastroju konsument pojawi się w domu, a pytać się nie ośmieliła. Ponadto zupełnie już nie wiedziała, jak gospodarować pieniędzmi, na jak długo ma jej wystarczyć to, co ostatnio dostała? Na trzy dni? Na tydzień? Na miesiąc...?

A cóż to za nieznośnie denerwująca sytuacja!

Na myśl, że miałaby w niej pozostawać jeszcze przez całe lata, może nawet do końca życia, zrobiło jej się niedobrze.

* * *

Złodzieje samochodowi wysunęli się Malwinie na pierwszy plan.

Dotychczas zbytnio się nimi nie przejmowała, nie dotyczyli jej osobiście, ale teraz, najwyraźniej w świecie, stworzyli jej wielkie nadzieje. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Karol będzie bronił swojego mienia bez opamiętania, zażarcie, z narażeniem życia, jest zatem szansa, że to życie postrada. A nawet jeśli jakaś resztka jeszcze się w nim pokołacze, nie ma ubawy, służba zdrowia ją załatwi. Zanim się dopytają, gdzie i jak jest ubezpieczony, i zażądają skierowania od lekarza pierwszego kontaktu, najzdrowszy bizon ducha wyzionie, a co tu mówić o poturbowanym człowieku. Trzeba zatem, żeby zaczaili się na jego samochód.

Sprawa nie była prosta, bo Karol z zasady wprowadzał pojazd do garażu i mowy nie było o zostawieniu go na noc przed

domem. Nawet wysiadając tylko na kilka sekund, nigdy nie zapominał przytknąć pilotem, a kluczyki ze stacyjki wyjmował odruchowo w chwili zgaszenia silnika. Dla tych zorganizowanych mafii cała elektronika wprawdzie nic nie znaczy, wyłączają i otwierają sobie wszystko dowolnie, ale jak się dowiedzieć, gdzie on parkuje na mieście? W firmie owszem, ma parking pod oknami i jakiegoś strażnika, chłopa jak byk, wyjeżdża jednak stamtąd, coś załatwia, gdzieś się przecież zatrzymuje. Pytanie na jak długo. W ostateczności oni potrafią kraść i w dzień, no, ludzie dookoła, ale ludzie nie tacy znowu wyrywni do obrony cudzej własności, gdyby ktoś miał się rzucać na złodziei, to wyłącznie Karol.

Zostawiwszy w domu sprzątającą Helenkę, Malwina wyjechała po zakupy. Te spożywcze zrobiła prawie bezwiednie, mięso samo jej weszło w ręce, po sery sięgnęła nie patrząc, przez chwilę wahała się przy plackach kartoflanych, nie, Karol rozpozna, że nie zrobione w domu, ale kwaśną śmietanę warto wziąć. Szparagi, może być... Sałata, ciekawa rzecz z tą sałatą, wszystkie diety odchudzające zawierają w sobie zieloną sałatę, a ona jakaś taka nie bardzo dobra... No, niech będzie.

Po czym nie wytrzymała, pojechała do Panoramy. Zestaw jednych takich pantofli, rękawiczek i torebki przyprawił ją o bicie serca, a od pelerynki z czarnych norek ze srebrnym włoskiem prawie się pochorowała. Kiedyś, tak z dziesięć lat temu, kupiłaby to bez namysłu, teraz nie mogła już sobie na to pozwolić. W ogóle nie miała nawet tyle pieniędzy, jej konto ledwo zipało, a Karol grosza nie wysupła, dobrze będzie, jeśli da na utrzymanie bez potężnej awantury. A do tej pelerynki jeszcze czarna kiecka...

Kto wie jaką głupotę udałoby się jej popełnić, bo już błysnęła jej myśl o pożyczce od Justynki, gdyby nie to, że czarna kiecka okazała się o cztery numery za wąska. Piętnaście kilo musiałaby stracić, żeby się wbić w ten zachwycający strój, cholera, szkoda... Naprawdę szkoda, specjalnie umówiłaby się z paroma sobami w jakimś odpowiednim miejscu, chociażby w kasynie, żeby zadać szyku...

Za plecami Malwiny, wciąż jeszcze stojącej przed ekspozycją owej upragnionej a niedostępnej odzieży, pojawiła się jej przyjaciółka ze szkolnych czasów, Krystyna Figoniowa. Zatrzymała się na chwilę i krytycznie popatrzyła na scenę, w oczy bijącą swoją dramatyczną treścią. Po czym podeszła do Malwiny.

- Cześć, co tak patrzysz? - powiedziała zgryźliwie. - Chcesz mieć złe sny? Ani to dla ciebie, ani dla mnie, dla mnie za drogo, a ty nie wejdziesz. Ale ładne, to fakt.

Malwina oderwała się od widoku i westchnęła ciężko. Obraziła się nieco, w głębi duszy jednakże rzuła, że Krystyna ma świętą rację.

- Mnie też nie stać - rzekła ponuro. - Karol ogłupiał do reszty, siedzi na pieniądzach i grosza jednego z siebie nie wydusi. Małpiego rozumu dostał...

Urwała nagle, bo przypomniało jej się, że powinna symulować wielką miłość i doskonałe stosunki małżeńskie, ale już było za późno. Krystyna zainteresowała się gwałtownie. Dała spokój ciuchom i zawlokła Malwinę na kawę do barku na pierwszym piętrze.

Osobliwa to była pogawędka dwóch zaufanych przyjaciółek, bo z Mawiny ulewały się rozgoryczenie, wściekłość, zaciętość i żal nad sobą, prezentować zaś usiłowała uczucia wręcz przeciwne, Krystyna zaś, ogólnie zorientowana w sytuacji, przestawała cokolwiek rozumieć i doznawała wrażenia kołowacizny. Coś tu jej nie grało.

- Ty go naprawdę ciągle kochasz? - spytała podejrzliwie, oczyma duszy widząc Karola Wolskiego niejako o dwóch obliczach. Jedno: wielki, gruby, gburowaty i despotyczny tyran, niekomunikatywny, a zarazem złośliwy, i drugie: uroczy facet o wspaniałej, błyskotliwej inteligencji i poczuciu humoru, szczodry, z gestem, świetny brydżysta...

Malwina potwierdziła stanowczo. Zdążyła już sobie obmyślić, jak ma uzasadniać swój skomplikowany stan emocjonalny.

- Bo ja się, rozumiesz, nad tym zastanowiłam - dodała z ożywieniem. - Życia bez niego w ogóle sobie nie wyobrażam i jak on w ogóle jest, to ja się od razu lepiej czuję. Tak w ogóle. Niepotrzebnie się z nim kłóciłam. To z pieniędzmi, to tak chwilowo, jakieś inwestycje robi i możliwe, że jest zdenerwowany albo co, a co mi zależy, mogę przeczekać. I niech wie, że w życiu w ogóle z nikim nie będzie miał tak dobrze jak ze mną.

Krystyna w zadumie mieszała kawę, nie wiadomo po co, bo piła bez cukru.

- A pewnie - mruknęła. - Nic innego nie masz do roboty, jak tylko latać koło niego jak koło śmierdzącego jajka.

- Toteż właśnie.

- Ale na twoim miejscu trochę bym schudła. I jego może też odchudziła. Chociaż, co do niego... Nie mam pewności.

- Bo co? - spytała podejrzliwie Malwina.

- Bo ogólnie, co tu będziemy sobie oczy mydlić, jest do złapania. I nie tobie jednej może się wydawać, że z nikim innym nie będzie miał tak dobrze.

Malwinie zadzwonił sygnał ostrzegawczy.

- Bo co? - powtórzyła z naciskiem. - Wiesz coś? Krystyna zawahała się na moment. Mieć litość czy nie? Ale w końcu które tu będzie litością...?

Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

- Wszyscy wiedzą. Tak znowu bardzo te watahy za nim nie latają i tym bardziej on nie lata. Ale kręci się koło niego taka Jola, tłumaczka, coś chyba za dużo dla jego firmy robi i kto go tam wie... Nie ma nikogo, odpuściła sobie ostatniego faceta, a to nie taka dziewczyna, żeby żyła samotnie. Na twoim miejscu bym się trochę przyłożyła.

- Myślisz...?

- Co tu myśleć, znamy życie. Karol oczy w głowie posiada, nie? A nie ma na świecie takiego chłopa, żeby się nie dał skołować.

- Ale konkretnego coś wiesz?

- Konkretnego, uczciwie mówiąc, nic. Tyle że te Targi Lipskie...

- Co Targi Lipskie?

- A co, nie wiesz? - zdziwiła się Krystyna niewinnie, bo już tej drobniutkiej satysfakcyjki nie zdołała sobie odmówić. - On tam bywa przecież, a za ostatnim razem Jola też. Akurat strasznie potrzebna o ile wiem, Karol trzy języki zna, nie zginąłby bez niej, prawda? A tak mu się podobno pchała pod rękę, taka użyteczna, taka kwitnąca, aż się niedobrze robiło. Tak słyszałam.

Malwinie prawie tchu zabrakło. No i proszę, coś j takiego, Krystyna lepiej od niej wiedziała, gdzie Karol bywa! Ona tu w nerwach, półprzytomna, rozgoryczona, a on sobie interesy załatwia. Tyle że z Jolą. Cholera z tą Jolą, jakaś Jola już jej się niedawno obiła o uszy...

- Ale podobno nic nie było - dołożyła Krystyna miłosiernie. - On gdzie indziej, ona gdzie indziej...

- Za jej hotel nie płacił? - wyrwało się Malwinie.

- Nawet nie wiem, czy za obiad i kolację. O żadnym romansie nie było gadania, same takie stosunki przesadnie służbowe, a ją nawet podobno jakiś Czech podrywał, od Karola może i głupszy, ale za to piękniejszy. Tyle słyszałam, sprzedaję, jak kupiłam, a tobie co szkodzi trzymać rękę na pulsie?

Malwina już się zdołała opanować.

- Dobrze, że mi powiedziałaś. I co do odchudzania masz rację, ale co ja poradzę, że on tak lubi żreć?

- A ty może nie, co?

- Kto tak powiedział? Ja też. Ale jakby nie było, tobym nie jadła!

Krystyna powstrzymała się od kąśliwszych komentarzy. Jej troska o przyjaciółkę nie miała rozmiarów nadludzkich, skażona była naganą. Wedle powszechnego mniemania Malwina wiodła rajskie życie, trzymała w ręku żyłę złota i nie potrafiła swojego szczęścia docenić. Przy całej forsie Karola mogła się trochę przyłożyć, bo dom domem i kuchnia kuchnią, ale tyle można uzyskać od zwyczajnej gosposi, żona zaś powinna wykrzesać z siebie więcej. Chociażby wyglądać tak, jak wyglądała przed piętnastu laty, miała wtedy wdzięk, talię osy, śliczne nogi... Tylko włosy jej z tamtych czasów zostały, nawet owszem, zadbane. Mogła się czegoś nauczyć, ruszyć tym lśniącym łbem, podskoczyć na wyższy poziom, a ona nic. Usiadła na laurach niczym kwoka na jajkach i jeszcze jej było źle. Słusznie ją Karol przydeptywał, aczkolwiek może odrobinę za często...

Sama Krystyna mogłaby jej zazdrościć, gdyby nie to, że w swoim mężu wciąż była rzetelnie zakochana. W mężu, w dzieciach i w pracy. Gdzie jej było do pieniędzy Wolskich, ale na Karola by się nie zamieniła. A gdyby już, o rany boskie, inaczej ustawiłaby życie i swoje, i jego. No i wówczas, rzecz jasna, nie wytrzymałby Karol, więc nie ma czego żałować i zazdrościć.

Malwina rozważała dwie sprawy równocześnie. Joli i nadwagi. Zdenerwowana była coraz bardziej aż do chwili, kiedy przypomniała sobie, że przecież ma Karola zabić i obie kwestie automatycznie upadną. Rozpogodziła się nagle ku zdumieniu Krystyny.

- No tak - zgodziła się. - To myślisz, że co? Nie żreć? Jak to zrobić? Bo Karol wszelkie diety wyklucza.

Krystyna surowo zwróciła jej uwagę, że tu Karola nie ma. Tymczasem ona sama pije kawę czarną i gorzką, a Malwina z cukrem i ze śmietanką. Przymusza ją kto? A w dodatku widać było, że łypie okiem w kierunku kremówek, Karol jej te kremówki podtyka? W domu też, kiedy go nie ma, może rąbać sałatę. I ewentualnie bób. Bób ma ujemne kalorie.

- Ponadto przypominam ci o surowej marchwi - dodała już zupełnie bezlitośnie. - Więcej kalorii traci się gryząc niż zyskuje jedząc. Że już nie wspomnę o ćwiczeniach fizycznych, ogród można kopać i grabić w pocie czoła.

- Mamy trawnik - bąknęła Malwina.

- Ręczna maszyna do koszenia trawy też niezła.

Coraz silniej Malwina zaczynała czuć, że takiego życia dłużej nie wytrzyma. Maszyna do koszenia trawy przy jej niechęci do prac ogrodniczych, istne kpiny! Jak tego Karola bezpiecznie zamordować...?

- Długie spacery - kontynuowała Krystyna, świetnie się bawiąc wyrazem twarzy przyjaciółki. - Kobiety chudną od nóg. Najlepiej w trudnym terenie, po lesie o nierównym podłożu, szczególnie że można zabłądzić i wtedy już parę kilo masz jak w banku.

- Oszalałaś, gdzie mam zabłądzić, w Lesie Kabackim?

- Kto ci nie da jechać kawałek dalej? Chociażby w okolice Małkini. Wuj mojej jednej znajomej pojechał tam na polowanie dwadzieścia pięć lat temu i dwa tygodnie go nie było. Szukali go milicją i wojskiem, całe tyraliery, bez skutku.

Informacja Malwinę żywo zainteresowała.

- Nie żartuj! To co się z nim stało?

- Później się okazało, że rąbnął się w głowę i dostał amnezji. To znaczy, nie wiadomo, sam się rąbnął, czy załatwił go jakiś kłusownik. Znaleźli go w chlewiku u jakiegoś obcego chłopa, który nawet o nim nie wiedział.

- I co?

- No, cała afera była, bo znaleźli go niejako prywatnie. Przez żonę.

- W jakim sensie przez żonę?

- On nie był przecież sam, trzech ich pojechało. Ona podniosła alarm już w nocy...

- Kto?

- Ta żona. Nie wrócił wieczorem. Oni się rozeszli, ci trzej, jeden wrócił do domu, nie mając o niczym pojęcia, a drugi brał udział w poszukiwaniach. W końcu władze zrezygnowały, podejrzewali, że wpadł w bagienko, tam były gdzieniegdzie takie małe bagien-ka w trzcinach. Jedyna możliwość to ta, że wpadł w któreś i utonął. Ale ta żona się uparła, doszła do tego, że wynajęła jakichś... nawet nie wiem, jak ich nazwać, bo prywatnych detektywów w tamtych czasach u nas nie było, może jacyś gliniarze na emeryturze czy coś w tym guście, opłacała ich, żeby dodatkowo szukali po ludziach, po lasach i okolicach, no, różne sztuki wyprawiała...

Prywatnych detektywów...!!!

Malwinę przeszył jakby prąd elektryczny. Że też o czymś takim dotychczas nie pomyślała! A cóż za przecudowny traf, to spotkanie z Krystyną, w życiu by nie przypuszczała, że okaże się aż tak pouczające!

Dostała wypieków, co Krystynę nieco zdziwiło, bo niby dlaczego Malwina miałaby się do tego stopnia przejąć amnezją obcego człowieka, i to jeszcze przed ćwierćwiekiem. Ze względu na te odchudzające spacery czy co?

- Ale nie musisz chyba specjalnie błądzić i ginąć na całe dwa tygodnie, chociaż trzeba przyznać, że po odnalezieniu odchudzony był rekordowo - rzekła trochę zjadliwie. - Wystarczy jak się przelecisz ze dwa razy na tydzień bez pożywienia...

- No i popatrz jak się zmieniło - przerwała jej Malwina, nie słuchając, bo w obliczu nowych możliwości nadwaga przestała ją obchodzić. - Teraz można sobie wynająć wszystko, ochronę i tak dalej. I tych takich też...

Zająknęła się na przypomnienie, że musi wszak działać w bezwzględnej tajemnicy. W takiego wynajętego może wpierać, że pcha ją zazdrość o męża i podejrzewa go o dziwki, ale Krystyna się na ten idiotyzm nie nabierze. Zamknąć gębę i przejść na inny temat!

Krystyna pomogła jej bezwiednie.

- Ci tacy - powiedziała obojętnie - to się nawet ogłaszają w prasie. Ciekawa jestem, swoją drogą, czy tak to wszystko załatwiają jak w rozmaitych kryminałach. Aż mnie czasem korci, żeby spróbować, ale po pierwsze, nie mam kogo śledzić, a po drugie, szkoda mi pieniędzy. Oni podobno są kosztowni. Ty, stara, ja już muszę lecieć, urwałam się z roboty na chwilę. Ile my tu płacimy?

- Ja zapłacę - zaofiarowała się Malwina wielkodusznie, bo zysk z dzisiejszego spotkania przerastał wszystkie pieniądze świata. - Jak się śpieszysz to leć. Ja mogę wolniej.

W Krystynie znów drgnęła litość, a zarazem satysfakcja, że Malwina odchudzać się powinna, a ona sama me musi, obiecała zatem przyjaciółce bardzo specjalny spis potraw dietetycznych i poszła Malwina popatrzyła za nią ze smętną zazdrością w sercu Boże Jedyny jak ta dziewczyna wygląda, smukła sylwetka, lekki krok, wieku na sobie nie ma wcale

Natychmiast trzeba kupić aktualną prasę!

* * *

Jola Grzesicka tym razem chciała poślubić pieniądze

Dwanaście lat temu poślubiła swoją wielką miłość co okazało się potwornym niewypałem. Nie minął rok kiedy wyszło na jaw, iż wielka miłość zajmuje się handlem dwutorowym, na jednym torze narkotyki na drugim dziewczyny, do dziewczyn miała zaliczać się także i Jola, to jednakże nie wyszło, ponieważ już była w ciąży. Przyznała się do tej ciąży zbyt późno, żeby

ją usunąć, piekielna awantura, jaką urządził młody małżonek, wyzuła ją ze złudzeń, a nie pozbawiła zdrowia tylko dzięki przypadkowi, rękoczynom przeszkodziło mianowicie pogotowie, wezwane akurat do sąsiadów, Jola uciekła brutalowi spod pięści, po czym bielmo spadło jej z oczu.

Rozwód, z racji morale współmałżonka, uzyskała z łatwością, wróciła do panieńskiego nazwiska, dziecko częściowo podrzuciła starszej siostrze, a ściśle biorąc, obie z siostrą podrzucały dzieci dość jeszcze młodej babci, i zajęła się zarabianiem pieniędzy. Wyjątkowe zdolności lingwistyczne pozwoliły jej szybko osiągnąć zupełnie przyzwoity stopień egzystencji, a rozmaite tłumaczenia wykonywane w domu dały szansę na sensowną organizację życia.

Łatwo jednakże nie było. I siostrze, i babci należało rekompensować opiekę nad Adasiem, Jola właściwie musiała utrzymywać cztery osoby, bo szwagier zarabiał przeciętnie, siostra też, mamusia z tatusiem mieli na głowie jeszcze dwóch synów, młodszych braci, ktoś w tej rodzinie powinien był zdobywać pieniądze. Czyniła to Jola. Zarazem dokształcała się intensywnie we własnym zakresie, maniacko czytając książki. Wszelkie. Naukowe, historyczne, podróżnicze, ekonomiczne, prawnicze, medyczne, jak leci, we wszystkich znanych jej językach, dążąc przy tym usilnie do opanowania następnych. Znała już perfekt siedem najbardziej popularnych i właśnie wahała się w wyborze pomiędzy fińskim, japońskim i portugalskim, nauczyła się znakomicie pracować na komputerze, zyskała wiedzę fachową nie bardzo dogłębną, ale za to w szerokim zakresie, i miała po dziurki w nosie takiego życia.

Zapragnęła pieniędzy z nieba.

Nie ona jedna żywiła podobne chęci, wszyscy bogaci byli już zatem zakontraktowani rzetelnie i niewielkie istniały szansę na zagarnięcie któregoś dla siebie. Romansiki z takimi na dorobku, a owszem, mogła w nich przebierać jak w ulęgałkach, nie o to jednakże chodziło. Kiedy połapała się, że Karol Wolski, szef machiny, własnym rozpędem idącej ku sukcesom, nie tonie bez reszty w upojnych uczuciach do małżonki i niczego innego nie ma na oku, błysnęła jej ponętna myśl: a gdyby tak nakłonić go do rozwodu...? I złapać sobie...

Cudownie piękny nie był. Potwornie gruby. Starszy od niej o prawie piętnaście lat, no i cóż takiego, wielka różnica! Niewątpliwie inteligentny i błyskotliwy, aktywny umysłowo i leniwy fizycznie, ale może dałoby się go odchudzić...?

Swój rozum Jola miała i zdołała się zorientować, iż posiadanie na własność Karola Wolskiego wcale nie oznacza ciepłego gniazdka w raju, wręcz przeciwnie, trzeba się przy nim nieźle narobić, podporządkować wymaganiom, karmić cenne zwierzę i obsługiwać. Czuła się na siłach sprostać tym obowiązkom, szczególnie, iż jej talenty językowe były dla niego zbyt wiele warte, żeby miał je wymieniać na pierogi z serem, handlowa i międzynarodowa część przedsiębiorstwa owocowała imponująco, Jola w tych sukcesach miała swój skromny udział, możliwe zatem, że do pierogów zostałaby zaangażowana odrębna siła fachowa. Dałoby się jakoś wytrzymać.

Nie upierała się akurat przy Karolu, ale gdyby sam jej wpadł w ręce, czemu nie? Dzieci Wolscy nie mieli, rozwód byłby łatwy... A ta cała Malwina prezentowała, zdaje się, mentalność przedwojennej kury domowej, głupia była i tyle, dało się to zauważyć przy i rozmaitych okazjach. Rzadkich wprawdzie, bo Karol wylewny nie był, a prezentowania publicznie żony starannie unikał, ale nawet i przez telefon szydło worka wyłaziło wszystkimi stronami. No owszem, chodziła koło niego, zdaje się, przesadnie, Jola by tak nie chodziła, niemniej jednak innego pożytku chyba z niej nie miał...?

Wcale nie było pewne, czy myśli o rozwodzie Jola sama nie podsunęła mu dyplomatycznie, aczkolwiek do romansu Karol się nie rwał. Gdyby miał ratować morskich odmętów Jolę i karty kredytowe, gwarantowanie rzuciłby się ku kartom. Na szczęście pływać Jola umiała... Nie, naprawdę nie upierała się przy nim, tyle że ta ustawiczna szarpanina finansowa wychodziła jej już czubkiem głowy.

Co jej szkodziło trzymać się go na wszelki wypadek...?

Wychodząc z firmy Karola, natknęła się na swojego młodszego brata, Konrada. Grzebał z jakimś kumplem pod otwartą maską fiata, który wyglądał jak nowy, ale nie mógł być nowy, skoro w nim grzebali. Przelotnie zaciekawiło ją, do którego z nich ów fiat należy, i przypomniała sobie, że Konrad chyba podjął jakąś pracę, wydatnie odciążając rodziców. Dorywczą, bo przecież studiuje i o żadnych kłopotach z nauką nie słyszała. Może intratną? Daj mu Boże zdrowie!

Zatrzymała się przy nich na chwilę.

- Hej, cześć! Porośliście w pierze?

Obaj czym prędzej wyjęli głowy spod maski i Konrad się zdziwił.

- Hej, Jolka! Co ty tu robisz?

- Ogólnie biorąc, pracuję. Szkoda, że macie to zepsute, bo może odbyłabym wygodną podróż dalej w miasto. Czyja ta kareta?

- Nasza wspólna - powiedział kumpel, ściągając tym na siebie spojrzenie Joli.

Było na co popatrzeć, owszem, chłopak jak brzytwa. Jola błyskawicznie oceniła go na trzydziestkę, poziom co najmniej równy jej bratu, pełna normalność bez żadnych zwyrodnień. Spodobał się jej tak, że aż ją szarpnęło, ale opanowała nawet błysk oka, bo skoro do spółki z Konradem posiadał nadwyrężonego fiata, bogaty być nie mógł. Nie, dosyć tego, won z romansami dla ubogich!

- Mój kumpel - przecknął się Konrad. - Janusz Dębicki. Moja siostra, Jola. Muszę tej informacji udzielać od razu, bo inaczej lęgnie się gadanie, że podrywam takie starszawe.

- Idiota - powiedziała łagodnie Jola, a kumpel się roześmiał.

- W tej firmie? - spytał, czyniąc gest głową w kierunku niewielkiej tabliczki informacyjnej. - Ona, zdaje się, niezła?

- Ujdzie.

- Główny wspólnik to... taki gruby... no, jakże on się nazywa...

- Karol Wolski. Ściśle biorąc, właściciel. I całe szczęście.

- Bo? - odezwał się Konrad niewinnie.

Jolą miotnęło.

- Jak ci pokażę "bo", to się mamusia zdenerwuje! Cholernik jeden, o mało co ci nie odpowiedziałam! Precz ode mnie, ty pomiocie szatana!

Konrad pękał ze śmiechu, a kumpel Janusz patrzył pytająco i z zaciekawieniem, Jola zatem poczuła się zmuszona wyjaśnić, iż jej młodszy o pięć lat braciszek całą rodzinę wykończył upiornym "bo?", które wymagało odpowiedzi. Człowiek siniał na twarzy, zanim zdołał opanować tę orgię udzielanej wiedzy.

- Mnie dobił ostatecznie, kiedy jechaliśmy na wakacje pod Zakopane - dodała ponuro - i wpadło mi do głowy, zaćmienie umysłu chyba miałam, powiedzieć mu, że te góry są bardzo wysokie. Oczywiście zapytał: "Bo?" z okropnym naciskiem, pięć lat miał wtedy, a ja wyraźnie poczułam, że mi się coś robi. O ruchach górotwórczych zaczęłam bełkotać, trochę wiedziałam, ale mało, zdaje się, że z Giewontu zrobiłam czynny wulkan, w końcu dostałam histerii i przysięgłam, że go zabiję. A on wtedy zapytał: "Bo?". No i była hopa rodzinna, siłą mnie od niego odciągali.

- Naderwałaś mi ucho - przypomniał Konrad - z uciechą.

- Ale ci przyrosło! W życiu więcej na żadne "bo" nie odpowiem!

Janusz Dębicki, rozweselony, powtórzył swoje pytanie.

- A swoją drogą, dlaczego ten gruby Wolski stanowi szczęście? To bardzo intrygująca opinia o szefie.

- Ponieważ wie, czego chce - odparła Jola. - Sam o wszystkim decyduje, błyskawicznie, i nie ma żadnych wahań, narad i kręcenia. Pracować dla niego, to prawie przyjemność, tyle że męcząca, bo nie toleruje błędów, niedociągnięć ani pomyłek. Ale dzięki temu szlifuję języki.

- I tak wcześnie kończycie pracę?

- Skąd, kto kończy? On tam siedzi w oku cyklonu, rozkręca nowy interes, a ja właśnie lecę po dodatkowe materiały do tłumaczenia. Resztę doby mam z głowy.

- To czego tu jeszcze stoisz? - spytał surowo Konrad. - My tak prędko nie odjedziemy, nie ma obawy, nie licz na transport.

- Ciekawa rzecz - ciągnął swoje Dębicki. - Z tego wynika, że ten Wolski odwala niezłą robotę. Codziennie tak tkwi w kieracie do wieczora?

Joli ziemia już się paliła pod stopami, ale jakoś przyjemnie jej się z kumplem brata rozmawiało. Jakby się znali od dawna.

- Wcale nie, przeważnie wychodzi wcześniej i robi, co mu się podoba. Teraz jest sytuacja podbramkowa, ale moim zdaniem pojutrze sfinalizuje sobie wszystko i pojedzie, na przykład, do Wiednia. Albo nad jakieś jeziora. Lubi wodę.

- Co się tak czepiasz tego Wolskiego? - zirytował się Konrad. - Bierzmy się za robotę, bo do jutra nie skończymy!

- Ciekawi mnie - wyznał Dębicki. - Słyszałem o tym jego biznesie. Podobno wcale nie jedzie na kantach, a efekty ma rewelacyjne, takie ploty biegają. Nawet myślałem, czyby się samemu nie zahaczyć. Nie ma on tam posady dla malarza ściennego?

Jolę malarz ścienny nieco zmroził, przez co ogień pod nogami buchnął jej silniej.

- Nie wiem. Mogę go zapytać. Mnie część krajowa nie dotyczy. No dobra, lecę, o, taksówka...! Cześć chłopaki, wesołej zabawy!

Obaj patrzyli przez chwilę za odjeżdżającą Jolą.

- Bóg ci zapłać - powiedział Konrad z wdzięcznością. - Skąd wiedziałeś, że to akurat on...?

- Taki bystry jestem, zgadłem za pierwszym razem. Nie ma sprawy. W razie czego mogę robić czasami za bezrobotnego pacykarza, podoba mi się twoja siostra. Daj tylko cynk.

- Dobra, stoi. To z godzinę luzu chyba mam, nie?

- Może nawet dwie, ale byłbym ostrożny...

Jola z taksówki nie mogła już widzieć, że kompletnie zepsuty samochód okazał się nagle w pełni sprawny. Zatrzaśnięcie maski, zapalenie silnika i odjazd obu młodzieńców trwały kilkanaście sekund. Na ten widok zdziwiłaby się zapewne i może nawet zaczęła coś myśleć...

* * *

Justynka grzecznie jeździła autobusem. Miała prawo jazdy, uzyskane bez żadnej łapówki, dzięki czemu cieszyła się wielkim uznaniem, szacunkiem, podziwem, a także zawiścią młodzieży swojego pokolenia, a udało jej się to, ponieważ dysponowała dowolną ilością czasu. Studiowała, owszem, ale nie musiała zarabiać, nie musiała zajmować się domem ani pilnować młodszego rodzeństwa, nie szalała dziko za żadnym facetem, nie uprawiała maniacko żadnego sportu, karate zajmowało niewiele czasu, i na dobrą sprawę mogła robić, co chciała, przy czym, rzecz niezwykła, doceniała swoje szczęście. Dochody po rodzicach pozwoliły jej na opłacanie kolejnych egzaminów, a duchem przekory i wynikłym z niego uporem wykończyła wreszcie wszystkich instruktorów, z których zresztą co najmniej dwóch bardzo się jej podobało. Dlaczego nie miała utrzymywać z nimi kontaktów i odbywać przyjemnych jazd? Stało się w końcu widoczne, że dziewczyna dodatkowej forsy nie da, nie odczepi się, może nawet zacznie rozrabiać, i tak Justynka wyszła na swoje. Nieco może kosztownie, ale jednak z honorem.

Mimo wszakże posiadania prawa jazdy i egzystencji dwóch samochodów w rodzinie, nie przychodziła jej do głowy myśl pożyczenia któregoś. Zdarzyło się wprawdzie kiedyś, nie tak znów dawno, przed czterema miesiącami zaledwie, że wuj, w przypływie jakiegoś szampańskiego nastroju, zabrał ją na dłuższą przejażdżkę i kazał prowadzić, dla sprawdzenia, jak twierdził, jej umiejętności, sprawdzian wypadł znakomicie, wuj pochwalił ją głośno i niemal publicznie, zaraz potem jednakże okazało się, że, po pierwsze, zmieniał właśnie samochód i tym jechał ostatni raz, a po drugie, istniał tu cel praktyczny. W tydzień później o pierwszej w nocy Justynka została wydzwoniona z domu i nakazano jej przyjechać zaraz tam, gdzie oni są, samochodem ciotki. Byli dość daleko, na jakimś przyjęciu, obydwoje po użyciu alkoholu, ciotka większym, chociaż wujowi też nic nie brakowało, i żadne nie mogło prowadzić, Justynka zatem pojechała, bez dokumentów, które Malwina nie wiadomo po co miała przy sobie. Na szczęście w biurku zostały zapasowe kluczyki. Podróż wyszła doskonale, ale na tym się skończyło, ponieważ tak rozszalałe życie towarzyskie wujostwa stanowiło ewenement. Rzadko bywali razem gdziekolwiek.

Pretensji żadnych Justynka o to nie miała. Już w wieku, mniej więcej, czternastu lat zorientowała się, że ciotka opiekuje się nią nie całkiem bezinteresownie. Potrzebna była jako żywy stwór do zwierzeń, do rozmów, polegających na monologu, do drobnych usług, do pocieszania i wyrażania współczucia, może nawet nieco do pomiatania, coś w rodzaju damy do towarzystwa. Zostałaby wręcz ubezwłasnowolniona i udeptana, gdyby nie szkoła. Do szkoły musiała chodzić, ponadto szkoła narzucała rozmaite dodatkowe obowiązki, wyciągające człowieka z domu, a przy tym na damę do towarzystwa Justynka nadawała się jak wół do karety i ze swojego charakteru umiała skorzystać. Nie udało się Malwinie zrobić z niej przedmiotu użytkowego.

Wuj swój samochód zabierał rano i wracał nim o najrozmaitszych porach, niekiedy na obiad, niekiedy późnym wieczorem, a niekiedy po paru dniach, ciotka zaś jeździła nader nieregularnie. Bywało, że jej nissan stał na parkingu obok domu całe dwie doby, bywało, że jechała nim kilka razy dziennie. Dla Justynki nie było go wcale, ciało obce, niejako automatycznie nastawiła się na jazdę autobusem.

Wracała zatem właśnie dość późno, przed wieczorem, po wykładach i małym spotkanku towarzyskim, bo jedna taka Basia chciała pogadać od serca, w cztery oczy, przyplątało się parę osób i z pogadania nic nie wyszło, nikt jednakże nie miał zbyt wiele czasu i wszystko razem, jak na imprezkę, skończyło się wcześnie. Justynka wymknęła się ukradkiem, ponieważ już grawitował ku niej niejaki Włodzio, którego bardzo nie lubiła i któremu zdołała umknąć szczęśliwie.

Zła była trochę. Domyślała się treści zaplanowanych wierzeń Basi i chciała je usłyszeć. Musiały dotyczyć komplikacji mieszkaniowo-pieniężno-sercowych, z czego serce zdecydowanie wybijało się na plan pierwszy, a powinien być w nie wmieszany Piotr, kolega z wyższego roku, głupio i niewygodnie żonaty, z tym że raczej chwiejnie żonaty. Coś tam było, jakieś wydarzenia następowały, okrywane płachtą milczenia, o których Basia wiedziała, zaplątana w samo sedno nieprzyjemnie. Justynkę do Piotra ciągnęło. Nie miała doskoku. Basia miała. Znała sprawę dokładnie i możliwe, że chciała się poradzić, wyjawiając przy tym szczegóły. No i chała, przeszkodzili im.

Wysiadła na swoim przystanku i zawahała się. Zboczyć do Megasamu i kupić sobie szampon do włosów czy nie? Zamierzała umyć głowę, została jej reszteczka, może wystarczy jeszcze na ten jeden raz? A, co tam, wystarczy, pogoda niezachę-

cająca, wieje i jakby mży, pójdzie prosto do domu, a zakupów kosmetycznych dokona jutro, hurtem, bo na pewno potrzebne jej coś więcej.

Ruszyła boczną uliczką, wyasfaltowaną i nawet z chodnikiem po jednej stronie. Miała do przejścia wszystkiego raptem trzysta metrów.

Coś przejechało koło niej, pryskając wodą z jezdni. Justynka rozzłościła się jeszcze bardziej, bo poznała samochód wuja. Nie musiał, ostatecznie, zatrzymywać się i podwozić jej ten kawałek, niczego ciężkiego nie niosła, ale mógł przynajmniej nie chlapać! Do licha, zawsze chlapał, miał w nosie ludzi na chodnikach, chyba ciotka czepiała się słusznie...

Za wujem przejechało coś następnego. Ruch jak na autostradzie, o tej porze powinien już tu panować spokój, czwarta-piąta po południu, a, to owszem, wszyscy wracali, wszyscy tu mieli samochody, ale o ósmej wieczorem skąd ich diabli nieśli? Jeśli wymyślili sobie jakieś rozrywki, raczej powinni wyjeżdżać, a nie wracać!

W gruncie rzeczy poczynania sąsiadów nie obchodziły jej w najmniejszym stopniu, pretensja o jeden pojazd za dużo wynikała wyłącznie z jej nastroju. Niezadowolona była z życia i cześć. Zatrzymała się na moment, wrogo spoglądając za tym następnym samochodem, i demonstracyjnie obejrzała dół płaszcza, chociaż doskonale wiedziała, że następny nie chlapał. Po czym ruszyła dalej, już widząc wjazd wuja w bramę. Samochód za nim grzecznie przeczekał jego manewry, co było o tyle dziwne, że wcale nie musiał, dość było miejsca, żeby ominąć go od tyłu.

Rzecz oczywista, nie mogła wiedzieć, iż przesadnie ostrożny kierowca wcale nie patrzy przed siebie, tylko spogląda wstecz przez wszystkie możliwe lusterka, zaskoczony i odrobinę zaniepokojony, a zarazem bardzo uradowany ponownym spotkaniem dziewczyny z autobusu. Gdzieś tu zapewne mieszkała, nie szła chyba z wizytą, coś w jej sylwetce, ruchach, niesionych przedmiotach wskazywało na powrót do domui. Postarał się sprawdzić, gdzie wchodzi.

W domu Justynka zastała ciszę przed burzą.

Helenka bezszelestnie nakrywała do stołu, Malwina medytowała w kuchni nad rodzajem posiłku z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Wuj bez wątpienia znajdował się tu również, skoro wjechał, ale nie było go widać ani słychać. Koty z samej swojej natury nie robiły żadnego hałasu.

Justynka otworzyła sobie drzwi zwyczajnie, ale zamknęła je cichutko, z największą delikatnością, bo atmosfera wręcz wystrzeliła na zewnątrz. Zawahła się, powiedzieć "dobry wieczór" czy przemknąć się niezauważalnie na górę, nie musiała tego jednakże rozstrzygać, Malwina bowiem usłyszała otwieranie i odwróciła się ku niej.

- Jak myślisz? - spytała szeptem, najwyraźniej w świecie usiłując pod warstwą demonstracyjnej troski ukryć furię i okropne zakłopotanie. - Co on będzie jadł? Obiad, kolację czy nic?

- A gdzie jest? - spytała równie cicho Justynka.

- Zamknął się w łazience.

- To może poczekać, aż wyjdzie? Nic nie powiedział?

- Nic, ale spojrzał okropnie. I zgasił radio.

A, to stąd to wrażenie przeraźliwej ciszy! W domu wujostwa zawsze grało radio, Malwina lubiła słyszeć przytłumioną muzykę z odtwarzacza, niekiedy zaś przerzucała się na wiadomości, a nawet jakieś inne gadanie, w każdym razie od rana do nocy budynek wypełniony był nieszkodliwym, niezbyt głośnym dźwiękiem. Karolowi to nie przeszkadzało, nie zwracał uwagi, możliwe, że nawet aprobował, tym razem jednak najwidoczniej coś w niego wstąpiło. Nagle zamienił dom w grobowiec.

- Niedobrze - zaopiniowała Justynka, szczerze zmartwiona. - I schował się w łazience?

- No właśnie. To myślisz, że co?

- No, chyba wszystko, jak zwykle... Gorące ciocia i tak trzyma na ogniu...

- Ale miałam w planach grzaneczki z móżdżkiem. Wszystko gotowe, ale sama wiesz, smażyć trzeba w ostatniej chwili. I teraz nie wiem, kłaść na patelnię czy nie?

- Ja bym zaczęła od zimnej przystawki - poradziła Justynka po namyśle. - Gdyby usiadł do stołu, już można smażyć i zobaczyć, co zrobi. W ostateczności grzaneczki też mogą być przystawką, więc gdyby chciał obiadu, proszę bardzo, po nich pasuje. Co ciocia ma?

Malwina zaczęła się odrobinę rozjaśniać, ale wciąż była jakaś straszliwie zakłopotana.

- Zupę cebulową. I tu, widzisz, zgryzota, tu grzanki i tu grzanki, wcale nie chciałam razem, tylko oddzielnie, albo-albo.

- Zrezygnować z zupy...

- To mam fileciki z polędwicy wieprzowej, też muszą być na świeżo.

Justynka pomyślała, że jak na stan wuja, jadłospis wypadł wyjątkowo idiotycznie, ale kto mógł przewidzieć, że akurat dzisiaj nie odezwie się ani słowem? Chociaż nie, takie rzeczy ciotka przewidywać powinna. No dobrze, trzeba jej pomóc.

- Móżdżek do jutra wytrzyma?

- Nie bardzo. Lepszy byłby świeży. A co...?

- A fileciki?

- Fileciki i zupa nawet do pojutrza. Ja, rozumiesz, o grzankach myślałam, bo ten móżdżek dostałam znienacka...

- To zrobić grzanki, a w razie czego fileciki się dołoży. Bez zupy. Po przystawkach ciocia się zorientuje.

Karol za ich plecami wyszedł z sypialni i wszedł do swojego gabinetu. Ubrany był w domowe spodnie i krótki włochaty szlafrok, co wskazywało, że nie wybiera się nigdzie i zamierza spędzić wieczór w domu.

Obie urwały rozważania i popatrzyły za nim. W części kuchennej pojawiła się Helenka.

- Ja nic nie mówię, ale niepotrzebnie panią chyba pan Karol zastał w gabinecie - rzekła ostrożnie.

- On tak nie lubi i zaraz się naburmuszył. Ja tam już nakryłam, może dać jeszcze tego węgorza w galarecie?

- Nie słyszałam, jak przyjechał - usprawiedliwiła się Malwina nieco histerycznie, na nowo okropnie zmieszana.- O Boże... Niech Helenka da.

Teraz dopiero Justynka zwróciła uwagę na osobliwy stan ciotki. Zdenerwowana była jakoś nietypowo, za mocno, niewspółmiernie do sytuacji, która wszak nie stanowiła nowości. Czyżby, oprócz wuja, pojawiły się inne kłopoty...? Dziki ryk dobiegł nagle zza drzwi gabinetu.

Kto mi tu rozwala tego szmatławca...?!!! Zabierać swoje śmieci!!! Czy ja już nie mam dla siebie miejsca w tym domu?!!! I czy ja mieszkam na pustyni...?!!!

- Pan Karol chce coś do picia - zgadła spokojnie Helenka i sięgnęła po tacę.

Malwina na moment skamieniała, aczkolwiek ryk nie był jeszcze u Karola objawem najgroźniejszym, potem nerwowo rzuciła się do kuchennego blatu. Ręce jej się trzęsły. Helenka odsunęła ją delikatnie.

- Już ja naleję, bo pani co stłucze. Kawy czy herbaty?

- Wszystko! Niech ma...

- A proszę bardzo...

Napoje czekały, Karol, na szczęście, pijał kawę rozpuszczalną. Na dużej tacy swobodnie zmieściły się podwójne naczynia, filiżanka do kawy, szklanka do herbaty, cukier, cytryna, śmietanka, nawet woda mineralna na wszelki wypadek. Zza drzwi dobiegł ponownie ryk, znamionujący zniecierpliwienie.

- Niech Helenka zaniesie - wymamrotała Malwina. - Ja tam nie wejdę.

- Ja się boję - odmówiła stanowczo Helenka. - Też nie wejdę.

- Justynka...

Justynka bała się średnio. Skoro wuj krzyczał, nie było tak źle, gdyby przeszedł na swój okropny syk, też by pewnie nie weszła. Z westchnieniem zdjęła wreszcie płaszcz, odłożyła torby na krzesło i ujęła tacę. Przeszła przez hol i łokciem otworzyła sobie drzwi do gabinetu. Wuj w tym momencie nie ryczał, spojrzał na nią w milczeniu.

- Czy moja żona umarła? - spytał sucho, kiedy , stawiała tacę na stoliku obok biurka.

- Nie, dlaczego...? - zdziwiła się Justynka.

- Żyje? To czemuż troszczą się o mnie obce osoby, a nie ta, którą podobno poślubiłem i którą utrzymuję od dwudziestu lat?

- Wcale nie jestem obcą osobą... - zaczęła Justynka z lekką urazą, ale wuj nie słuchał. Wskazał palcem zwał papieru za drukarką.

- Czy mój pokój to jest składnica makulatury? Powiedz jej, że ma to zabrać i wyrzucić, a jeśli jeszcze raz znajdę tu magazyn śmieci, może się sama na śmietnik wyrzucić! Najlepsze miejsce dla głupich nierobów!

Nie wdając się w dyskusję o charakterze i ewentualnej lokalizacji ciotki, Justynka zgarnęła papiery i wyszła. Za nią pogonił krzyk nieco cichszy, a za to bardziej jadowity.

- Na cholerę mi ta kawa?! Może od razu i pieniądze wrzucać do śmieci, bez pośrednictwa sklepu?! Niech ta idiotka to zabierze!!!

Na widok wyrazu twarzy stojącej w wejściu do kuchni ciotki Justynka zawróciła, ponownie weszła do gabinetu, bez słowa wzięła filiżankę z kawą i znów wyszła, z mocnym postanowieniem, że trzeci raz nie wejdzie. Z wuja buchała jakaś złośliwa agresja, nie ulegało wątpliwości, że czekał tylko na zamknięcie drzwi, żeby cisnąć w nie wzgardzonym napojem. Nie wiadomo było, co jeszcze mógłby zrobić.

Dopiero w kuchni spojrzała na piastowane pod pachą papiery. Była to sobotnio-niedzielna, zwiększona objętościowo, Gazeta Wyborcza, którą Karol czytywał zawsze w pracy i nigdy w domu. Z nieznanej nikomu przyczyny w domu nie chciał na nią nawet patrzeć.

- Rzeczywiście, niepotrzebnie ciocia ją tam zostawiła...

Malwina, z wypiekami na policzkach, wydarła jej prasę z rąk.

- Zapomniałam! Wypłoszył mnie... A ja właśnie chciałam go prosić o pieniądze, musi mi przecież dać pieniędzy, już wszystkie wyszły...

- To chyba nie teraz - zaopiniowała Justynka. - To nie jest najlepsza chwila.

Zabrała swoje rzeczy i ruszyła na górę, pozostawiając komplikacje spożywcze ciotce i Helence. Ciekawiły ją trochę dwie sprawy, jedna, co by było, gdyby została w gabinecie, usiadła przy stoliku i wypiła tę kawę, rozpoczynając z wujem pogodną pogawędkę, i druga,

skąd się wzięło nagłe zainteresowanie Malwiny Gazetą Wyborczą? Czytywała wyłącznie czasopisma ilustrowane, codziennej prasy nie brała do ręki, cóż nastąpiło takiego, że nieszczęsna, zelżona Gazeta Wyborcza omal nie przekształciła się w wybuch wulkanu? Powodów, dla których wuj w domu jej nie znosił, a w pracy nie mógł się bez niej obejść, dawno już przestała dociekać, być może studiował ją tak intensywnie, że jęła kojarzyć mu się z wykonywaniem zawodu i nie życzył sobie widzieć jej w chwilach odpoczynku. Co jednakże zainteresowało nagle Malwinę?

I dlaczego, do diabła, czytała ją w gabinecie, jakby nie było w domu innych pomieszczeń...?

Schroniwszy się w azylu swojego pokoju, najpierw buntowniczo dokonała czynu rewolucyjnego, mianowicie włączyła własne radio, tyle że bardzo cichutko. Lubiła słuchać wszelkich wiadomości, wśród nich bowiem przytrafiały się informacje wysoce pouczające dla niej z racji studiów. Ktoś kogoś okradał, napadał, kogoś łapano, ktoś zostawał niesłusznie ukarany albo uniewinniony, afery i przestępstwa mnożyły się niczym króliki na wiosnę, a każde z nich dawało coś do myślenia. Sytuacja prawna w ojczystym kraju ciekawiła Justynkę rzetelnie i wręcz hobbystycznie.

Następnie przebrała się, zmieniając wilgotne i zachlapane spodnie na suchą odzież domową, dokonała przeglądu kosmetyków, przezornie zapisała, co powinna kupić, i rozejrzała się za książką. Potem zaś wyraźnie poczuła, że nie zdoła usiąść i spokojnie poczytać, ponieważ lęgnie jej się w środku nieprzyjemność, jakby delikatne nerwowe drżenie, ukierunkowane na sytuację niżej. Na parterze. Diabli wiedzą co się tam dzieje, jaką sztukę wywinie wuj i co zrobi ciotka, może pozabijają się wzajemnie i może powinna jakoś przeciwdziałać? Wcale nie chciała, ale przeciwko całkowitej separacji od konfliktów protestowało jej sumienie. Poza tym zaczynała jednak być głodna, a w zakamarkach pamięci utkwiła jej jakaś uwaga o węgorzu w galarecie.

Na dole Karol Wolski z trzaskiem wyszedł ze swojego gabinetu, wszedł do jadalni i usiadł przy stole.

- W tym domu już się kolacji nie podaje? - spytał kąśliwie i sycząco.

Kolacja...! Jak oszalała Malwina rzuciła się ku patelni. Helenka w milczeniu i ze współczuciem, zabarwionym lekką naganą, podsunęła jej masło i wyjęła pokrojoną bułeczkę z foliowego opakowania. Po czym sięgnęła do lodówki po gotowy móżdżek.

- Będzie żarcie czy nie?!!! - wysyczał Karol przeraźliwym szeptem.

Na ten straszny syk właśnie weszła Justynka, której wystarczył jeden rzut oka w kierunku kuchni.

- Będzie - powiedziała grzecznie, siadając również przy stole. - Ciocia robi grzanki z móżdżkiem. Czy ja mogę zjeść kawałek węgorza?

- Możesz - odparł Karol, dla odmiany tonem bez wyrazu. - Możesz zjeść wszystko. Także stół. Także cały dom. Także trawnik. Ja tu się nie liczę.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Justynka, ugryzłszy się w język co do całej reszty.

W tym momencie podłożyła się Malwina, wysyłając w posły Helenkę. W Karolu nowy dźwięk już bulgotał.

- Pani Malwina pyta, czy pan będzie pił białe wino - zawiadomiła beznamiętnie Helenka.

- Nienawidzę kretyńskich pytań!!! Czy moja żona zaniemiała?!!! Może zechce wysłać faks...?!!! Może wejdzie do internetu...?!!!

Przerażająca supozycja otumaniła Malwinę tak, że z brzękiem wyleciały jej z ręki duży widelec, a za nim nóż. Grzanki już się rumieniły.

- Do jasnej cholery, czy w tym domu nie można zjeść czegoś spokojnie?!!! - syczał nadal kochający małżonek. - Kto tu płaci, ja czy Duch Święty...?!!!

Justynce pierwszy kęs węgorza w galarecie utkwił w gardle. Helenka bez słowa sięgnęła do kredensowej lodówki, wyjęła białe wino i podała razem z korkociągiem. Odruchowo wręczyła to Karolowi, , który nagle uciął syczące, upiorne szepty.

- Ostatnio zostałem kelnerem? - spytał cierpko.

Justynka, również nic nie mówiąc, wzięła butelkę i korkociąg. Umiała się nim posługiwać. Helenka postawiła na stole kieliszki. Karolowi ani ryki, ani zjadliwość nie przeszkadzały w spożywaniu z apetytem przystawek. Justynce mignęło w głowie, że wuj jadłby nawet w chwili mordowania człowieka albo podpalania przedszkola. Zręcznie wyciągnęła korek i nalała wina do dwóch kieliszków. .

- To się chłodzi samo z siebie? - spytał ponownie Karol z przeraźliwie jadowitą uprzejmością.

Helenka znów wiedziała, co zrobić. Sięgnęła do kredensu po termos do butelek i oddaliła się. Po chwili wróciła z pierwszą partią grzaneczek. Pan domu nic nie powiedział, więc widocznie był z potrawy zadowolony.

Malwina trzęsącymi się rękami kontynuowała proces smażenia. Umiała już gotować tak, że zdołałaby zapewne przyrządzić suflet w czasie trzęsienia ziemi, ale robota z grzankami musiała potrwać. Na dużej patelni mieściło się ich sześć, Karol zaś udowodnił już wielokrotnie, że normę dla niego stanowi dwanaście. Do tego pozostałe osoby, razem co najmniej cztery patelnie. Konsumować je należało gorące.

Justynka w jadalni na razie ośmieliła się zjeść jedną, Karol pochłonął pozostałe. Helenka z następnym talerzem zdążyła tylko dzięki temu, że przedtem wykańczał węgorza, którego uwielbiał.

Razem z ostatnią porcją przy stole usiadła Malwina.

- Czy możesz mi zrobić uprzejmość i siedzieć gdzie indziej? - spytał Karol jadowicie i bardzo cicho.

Malwina i Justynka na moment skamieniały. Karol odczekał chwilę.

- Wynoś się stąd! - powtórzył z pełnym natężeniem swojego syczącego szeptu. - Niedobrze mi, jak patrzę na głupią gębę! Zejdź mi z oczu!!!

Jeszcze przez dwie sekundy Malwina trwała w bezruchu, po czym zerwała się i wybiegła z płaczem. Justynka z nadgryzioną grzanką w zębach trochę zdrętwiała, niepewna, czy polecenie nie dotyczy i jej, aczkolwiek wydane zostało niejako w liczbie pojedynczej. Zarazem czuła solidarność z ciotką, pozostanie przy stole oznaczało zaś solidaryzowanie się z wujem. Z drugiej jednakże strony wiedziała z doświadczenia, że jakiekolwiek dodatkowe reakcje na jego eleganckie wybryki pogorszą sytuację do granic nieprzewidywalnych, wuj, na przykład, zeżre grzanki do końca, po czym zdemoluje stół albo rąbnie pustym talerzem w zamknięte okno. Nie, okna z tej strony nie ma, rąbnie w kuchnię...

Karol bardzo uprzejmie dolał jej wina.

- Deser jest? - spytał normalnym głosem.

Justynce udało się przełknąć i nie udławić.

- Jest. Nawet dwa.

- Bo ja, oczywiście, mam kopalnię złota.

- Ten drugi bardzo tani...

- Ptasie gówna pozbierała z trawnika?

W tonie wuja brzmiało tak wyraźne zainteresowanie, że nie można było nie odpowiedzieć. Justynka miała wielką ochotę wyjaśnić, że tak, dołożyła trochę psich i kocich i wszystko razem zmieszała w mikserze, doprawiając octem, produktem możliwie najtańszym. Ewentualnie sokiem z kiszonej kapusty. Powstrzymała się jednak.

- Nie, galaretka z zeszłorocznych mirabelek.

- A co, już się psuły? Justynka nie wytrzymała.

- Tak, ale wszystkie żywe robaczki zostały wyrzucone. A te zdechłe mają orzeźwiający posmaczek.

Karolowi informacja wyraźnie się spodobała, przestał się czepiać. Jadł kolację w milczeniu, z zadowolonym wyrazem twarzy. Po przystawkach i grzaneczkach nie wyglądał na głodnego, Helenka zatem bez żadnych pytań podała oba desery i herbatę. Justynka towarzyszyła wujowi w posiłku do końca, na wszelki wypadek nie odzywając się ani słowem.

- Ciekawa rzecz - rzekł wreszcie Karol, odsuwane od siebie talerz i szklankę. - Pomyśleć, że istnieją osoby, które potrafią trzymać gębę zamkniętą...

Urwał nagle, wstał od stołu i przeszedł do salonu. W wejściu odwrócił się połowicznie.

- Chcę jeszcze jedną butelkę tego Pinota - oznajmił gdzieś w przestrzeń za siebie i usiadł na kanapie przed telewizorem.

Justynka w tym momencie uprzytomniła sobie, że piła wino równo z wujem i wytrąbiła pół butelki Pinot Blanc. Jakoś nie czuła rauszu, pewnie te grzanki były tłuste. No, węgorz też. Zaniepokoiła ją myśl, że drugiej butelki ciotka może nie mieć w zapasie, to znaczy mieć ma, na pewno, ale pytanie czy w lodówce. Zarazem pojęła, iż usłyszała pochwałę, wuj nie miał najmniejszej ochoty być zabawiany rozmową i zaaprobował jej przerażoną powściągliwość. Właściwie ciotka też mogłaby czasem pomilczeć do niego bez westchnień, siąkania nosem, chrząkań, napoczętych pytań, krótkich szlochów i rozmaitych innych dźwięków...

Malwina znikła już z kuchni, Helenka w nieskalanej ciszy uprzątała ślady uczty i porządkowała pomieszczenie. Lodowato zimna butelka wina stała w chłodzącym termosie na małej tacce razem z kieliszkiem i korkociągiem. Justynka zawahała się, czy nie zanieść jej wujowi dla świętego spokoju, ale Helenka ostrzegawczo potrząsnęła głową.

- Justynka da spokój - szepnęła. - Pani Malwina coś tam wykombinowała.

W chwilę później z sypialni wypłynęła Malwina w czarczafie na twarzy. Ściśle biorąc, był to jej tiulowy, wieczorowy szal, z rzadka przetykany srebrnymi niteczkami, okręcony wokół głowy i oblicza tak, że widać jej było tylko oczy, silnie podmalowane, co wyglądało nawet atrakcyjnie, choć nieco strasznie. Przekradła się na palcach za plecami Karola, który właśnie trafił na prognozę pogody, chwyciła tackę i, nadal posuwając się ruchami doskonale wykarmionego łabędzia, postawiła mu napój na małym stoliku pod łokciem. Po czym jęła wkręcać korkociąg.

Justynka z Helenką znieruchomiały w drzwiach kuchennych, przyglądając się scenie.

Malwina otworzyła butelkę, nalała płynu do kieliszka niczym najwytrawniejszy kelner i zastygła w bezruchu przy fotelu obok. Karol jej obecność zignorował, sięgnął jednakże, nie patrząc, na stolik, do kieliszka trafił, za to łokciem zrzucił popielniczkę. Nawet się za nią nie obejrzał.

- Idiotyzm bywa nieuleczalny - poinformował uprzejmie ekran telewizora.

Helenka w drzwiach kuchni westchnęła, cofnęła się po zmiotkę i śmietniczkę, za przykładem chlebodawczyni odegrała rolę ducha, tyle że mniej zażywnego, postawiła popielniczkę z powrotem na stoliku i sprzątnęła popiół z dywanu. Petów tam jeszcze nie było. Po czym wróciła na poprzednie miejsce.

Równocześnie Malwina jakby odzyskała śmiałość. Poruszyła się, podłogi nie obdarzając ani jednym spojrzeniem.

- Głupią gębę ukryłam - rzekła z łzawym sarkazmem - żebyś nie musiał na nią patrzeć. Ale muszę ci powiedzieć...

- Nic absolutnie nie musisz mi mówić - przerwał Karol. - Nie ma takiego przepisu.

- ...że pieniądze na dom wyszły - kontynuowała Malwina, jakby nie słysząc. - I najdalej pojutrze nie będzie żadnego obiadu...

- Niekórym odchudzanie się przyda.

- Przyganiał kocioł garnkowi - wymamrotała w kuchennych drzwiach Helenka najciszej, jak mogła.

- ...ani nawet śniadania - ciągnęła Malwina z rozpaczliwą determinacją. - Nic nie poradzę na to, że Paprockiemu trzeba płacić i pranie na sucho kosztuje. Musisz mi dać pieniędzy.

- Weź swoje.

- Już nie mam. Zużyłam. Sam wiesz, że mało przelałeś.

Karolowi skończyła się pogoda, zaczął zatem przytykać pilotem, szukając w Telegazecie strony z notowaniami giełdowymi. Milczał długą chwilę, wreszcie spojrzał na żonę, co sprawiło, że palec zamarł mu na przycisku.

- Wybierasz się straszyć na cmentarzu? - spytał z zainteresowaniem.

Malwina nie wytrzymała, wśród kosmetyków zaszkliły się łzy.

- Tak, powinnam chyba! Nie chciałeś na mnie patrzeć, więc proszę bardzo, nie musisz! Traktujesz mnie gorzej niż psa! Gorzej niż karalucha! Gorzej! Gorzej! Ja już ścibolę i oszczędzam, jak ja mam prowadzić dom bez pieniędzy...!!!

- Nie przypominam sobie, żeby jakiś karaluch kiedykolwiek domagał się ode mnie pieniędzy - rzekł Karol w zadumie, wracając wzrokiem do ekranu. - Ponadto wątpię, czy nawet w Arabii Saudyjskiej miałabyś powodzenie. Nie znoszę nachalnych bab.

Malwinie w ostatniej chwili przypomniało się, że kocha go bez granic i żyć bez niego nie może. Siłą zdławiła prawdziwe uczucia.

- Ja się tak staram - wyjęczała żałośnie, nie umiejąc jednak całkowicie usunąć z tonu ciężkiej urazy. - Dla ciebie, żebyś miał wszystko najlepsze! Ale mi przecież darmo nie dadzą. Już mnie traktuj, jak chcesz, ale przynajmniej nie utrudniaj!

- Pyzy - powiedział Karol,

- Co, pyzy...?

- Pyzy są tanie.

- Dobrze, kochanie, zrobię pyzy - zgodziła się Malwina z wybrakowaną nieco słodyczą, po czym znów nie wytrzymała. - Ale pyzy idą z czerwonym winem, to skąd ci wezmę? Naprawdę nic nie poradzę, że na dom potrzeba pieniędzy!

Karol milczał. Notowania giełdowe wskoczyły mu na ekran i bardzo go zaciekawiły. Gdyby Malwina miała bodaj cień wyczucia, dałaby mu spokój w tej chwili, ale nie potrafiła. Rozeznanie w takich akurat sytuacjach nigdy nie było jej dostępne, nie umiała przeczekać, nie pojmując nawet, dlaczego powinna przeczekiwać. Z impetem usiadła w fotelu i jojczała dalej, dmuchając w czarczaf wydymając go w balon, bliska wycierania weń nosa. Karol zdecydował się jej pozbyć.

- Jutro - oznajmił stanowczo, przerywając w pół słowa rozpłakane wyrzuty i argumenty. Jego zdaniem pseudoargumenty.

Malwinę zastopowało. Zastanawiała się przez chwilę.

- Jutro? Dasz mi pieniędzy jutro? A dlaczego nie dziś? I kiedy jutro? Przecież ja muszę zrobić zakupy!

- Jutro!!! Powiedziałem!!! I odczep się!!!

Nowy, szepczący, świdrujący syk wreszcie załatwił sprawę, do Malwiny dotarło, że więcej nie uzyska i rzeczywiście trzeba się od niego na razie odczepić. Zadowolona z sukcesu, bodaj połowicznego, bo przecież mógł się uprzeć i nie dać pieniędzy jeszcze przez i tydzień, zarazem ciężko urażona, skrzywdzona i nieszczęśliwa, usiłowała jeszcze coś powiedzieć, użalić się, ewentualnie wykrzesać z siebie jakieś walory intelektualne, okazać, z jakim poświęceniem znosi fanaberie podłego tyrana, coś zrobić, żeby musiał się nią zainteresować i przyznać jej rację, krótko mówiąc, z wielkim wysiłkiem i nie wiedząc, co czyni, wyszukiwała sposób postąpienia odwrotnie niż Karol mógł znieść.

Nie wytrzymał. Notowania giełdowe odpracował, więcej nic ciekawego w telewizji nie było, najzwyczajniej w świecie wstał z kanapy i wyszedł, zabierając ze sobą kieliszek i butelkę.

Zamknąwszy się w gabinecie, zastanowił się, dlaczego właściwie nie dał jej tych pieniędzy od razu, tylko przerzucił sprawę na jutro? Miał je przecież zawsze miał przy sobie dużo gotówki, nie mówiąc o tym, że w każdej chwili mógł podpisać czek. Ponadto doskonale wiedział, że za wszystko trzeba płacić i wcale nie chciał być karmiony suchym chlebem.

Owszem, wrócił do domu wściekły. Sfinalizował wprawdzie umowę bardzo korzystnie, ale umęczył się przy tym straszliwie, a oprócz tego wyszło na jaw, że ktoś go zdradził. Nawet wiedział kto, już go wyrzucił, tego gnoja, przedtem jednakże sam go wybrał, źle ocenił faceta, popełnił pomyłkę. Nienawidził własnych pomyłek. W rezultacie jedną drobnostkę musiał przepłacić, a tego też nie trawił, przepłacanie odczuwał jako hańbę. A dodatkowo dręczyła go niepewność w kwestii francuskiego przetargu, czy ten wyrzucony gnój nie zdążył czegoś chlapnąć...?

Musiał ochłonąć z wrażeń, musiał pomyśleć, spragniony był ciszy i spokoju, ponadto wrócił głodny...

Co nie przeszkadzało, że Malwinie pieniądze mógł dać w każdej chwili.

Nie dał jednak. Nie chciał dawać. Buntował się przeciwko dawaniu, opór czuł w sobie jakiś tajemniczy. Lubił mieć pieniądze, a tu następowało coś sprzecznego z naturą, miał je, dał. I tego, co dał, już nie ma. Zjawisko odrażające.

Im później zatem da, tym lepiej. Musi przełamać się w sobie.

Przeanalizowawszy błyskawicznie swój stan ducha, Karol poczuł się w tym względzie uspokojony, nie znosił bowiem czegoś o sobie nie wiedzieć. Mógł teraz spokojnie, dla czystej przyjemności, usiąść przy białym winie i pogmerać po internecie.

Malwina w czarczafie wciąż siedziała w fotelu przy stoliku. Justynka, wymieniwszy z Helenką spojrzenia pełne niepewności, ruszyła do siebie na górę. Przed chwilą zdążyła złożyć samej sobie najuroczystszą przysięgę, że nigdy w życiu, za żadną cenę, nie będzie od nikogo zależna finansowo i nigdy nikogo nie będzie prosiła o pieniądze. Choćby miała umrzeć z głodu, choćby musiała butelki po śmietnikach zbierać, toalety publiczne czyścić do połysku i pod kościołem żebrać. Nigdy, za nic!

Z kuchni wychyliła się Helenka.

- Tę gazetę to co, mam wyrzucić? - spytała półgłosem. - Bo jak nie, to by ją pani może gdzie zabrała, żeby znów nie wlazła w oczy.

Malwina drgnęła silnie i dmuchnęła w zasłonę, a Justynka zatrzymała się na schodach, bez żadnych racjonalnych powodów ciekawa jej odpowiedzi. Helenka wygładzała plik pogniecionego papieru.

- Ja też nie od macochy! - zbuntowała się nagle pani domu i z lekkim stęknięciem wylazła z fotela.

- Też chcę białego wina, tam jest więcej w lodówce i można dołożyć, bo temu... To znaczy, mój mąż może chcieć jeszcze. Zabiorę to.

- Ja podam, niech pani siedzi - powiedziała pobłażliwie Helenka i oddała chlebodawczyni kłąb zmaltretowanego papieru.

Malwina przycisnęła kłąb do łona i domacała się przy tym czarczafu, o którym zdążyła zapomnieć. Niemrawo odmotała go z głowy jedną ręką, rozejrzała się i zawahała. Widać było, że nie ma pojęcia, gdzie ukryć nieszczęsną Gazetę Wyborczą, do której najwyraźniej w świecie przywiązała się głęboko z niepojętych przyczyn. Sypialnia odpadała, Karol tam bywał, salon jej nie pasował, biblioteka i kuchnia też nie. Rzuciła niespokojnym okiem ku górze.

Coś kazało Justynce ruszyć dalej i zniknąć we własnym pokoju. Za sobą usłyszała na schodach kroki i ciotki, potem szczęknięcie klamki jednego z pokoi gościnnych. Następnie Malwina wróciła na dół.

Dopiero późnym wieczorem, w chwili układania się do snu, Justynce przyszło na myśl, że swoją ciekawość mogłaby z łatwością zaspokoić. Tajemniczą gazetę ciotka bez wątpienia zostawiła w którymś pokoju gościnnym, nic nie stoi na przeszkodzie obejrzeć czasopismo i coś z niego wydedukować. Gdyby to był prywatny list, nawet by jej nie zaświtało jakieś dobieranie się do niego czy podglądanie, publiczna prasa jednakże nie mogła zawierać w sobie intymnych sekretów!

Gazeta Wyborcza była już silnie pognieciona i nawet naddarta, w pełni jednak czytelna. Leżała na wierzchu, nigdzie nie ukryta. Z wielkim zainteresowaniem Justynka obejrzała ją, przeczytała wszystkie nagłówki i tytuły, dowiedziała się różnych rzeczy, nic jej z niczego nie wynikło, bo przecież ciotka nie mogła tulić do łona komunikatu o całkowitej klęsce robót drogowych w okolicy Wrocławia, gdzie pozostawiony odłogiem wykop przeistoczył się po ostatnich deszczach w rwącą rzekę i zniweczył wszelką komunikację pomiędzy Mszycami Kościelnymi a Prądkiem Dolnym, ani też wieści o bitwie kibiców piłkarskich ze zwolennikami windsurfmgu na peryferiach Mrągowa. Mało prawdopodobne też było, że nie może się oderwać od

kompromitacji kolejnych dwóch urzędników państwowych wysokiej rangi. Osobiście Justynka powątpiewała, czy nawet solowy taniec prezydenta w krakowskim stroju na placu Konstytucji mógłby Malwinę do tego stopnia zainteresować, choćby nawet ten prezydent wlókł za sobą sznury pereł, przed chwilą zrabowane w jubilerskim sklepie. Chociaż nie, taniec i sznury możliwe, że owszem...

Dotarła wreszcie do ogłoszeń, zapewniających gazecie największą popularność. I w ogłoszeniach znalazła coś!

Niebieskim długopisem zaznaczone były trzy, wśród nich zaś jedno otoczone kółkiem potrójnym, z podkreśleniem numerów telefonów tak silnym, że przedarł się papier. Justynkę tknęło, spojrzała na datę, gazeta pochodziła sprzed czterech dni. No tak, to było do Malwiny podobne, zamiast zapisać sobie gdzieś potrzebne numery, a bodaj wyciąć fragment tekstu z nimi, użerała się z kłębowiskiem papieru, latając z makulaturą po całym domu. Po diabła pchała się do gabinetu wuja...? A, pewnie chciała dzwonić tak, żeby Helenka nie słyszała... Dlaczego nie z sypialni? Z sypialni też by nie słyszała... A, prawda, tylko w gabinecie znajduje się odrębny telefon, nie połączony z innymi aparatami w domu, rozmów z niego nie można podsłuchać, ale to kto miałby podsłuchiwać? Helenka...? Idiotyzm.

Teraz dopiero Justynka zwróciła uwagę na treść zaznaczonych ogłoszeń. Wszystkie, w rozmaitej formie, polecały usługi agencji ochroniarskich. To wybrane, zakreślone potrójnie, zapewniało także świadczenia dodatkowe, można było zrozumieć, że detektywistyczne.

Co, u diabła, ciotce strzeliło do głowy...?

Głęboko zamyślona Justynka odłożyła sponiewieraną prasę na miejsce, wróciła do swojego pokoju i poszła spać.

* * *

Śniadanko w postaci sznycelków z piersi indyka sprawiło, że Karol Wolski poczuł drgnięcie czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia. Może i rzeczywiście zdarza mu się od czasu do czasu traktować tę idiotkę odrobinę za ostro? No dobrze, ale przecież, do wszystkich diabłów, we własnym domu powinien mieć prawo do wyrzucania z siebie emocji i stresów, a inne sposoby wyrzucania nie są mu dostarczane. Przeciwnie, rozmaite głupoty jeszcze te stresy wzmagają. Nie, niemożliwa rzecz, charakter ma gwałtowny, wybuchowy, opanowywać go musi w pracy i wśród ludzi, w domu zatem musi zaznawać relaksu!

Drgnięcie jednakże nastąpiło i wywołało nawet dość uprzejmy komunikat, że w dniu dzisiejszym pan i władca wróci na obiad o czwartej piętnaście. Propozycja podrzucenia Justynki do Śródmieścia nie miała z sumieniem nic wspólnego, wobec niej Karol nie czuł żadnych wyrzutów, najzwyczajniej w świecie dał wyraz zwykłej ludzkiej uczynności, która nic go nie kosztowała. Zbiegły się im godziny wyjścia z domu i tyle.

Justynka nie miała natury skowronka, o poranku była raczej milcząca, Karol zatem rozstał się z nią w środku miasta bardzo zadowolony. Jakoś niejasno wydawało mu się, iż zrekompensował wczorajsze wybuchy, a najmniejsza nieprzyjemność przy tym go nie spotkała. Wszystko zatem było w porządku.

W Malwinie natomiast, zamiast ulgi, pojawiła się wściekłość. O czwartej piętnaście, rzeczywiście, czy ten człowiek nigdy nie potrafi być normalny? Normalny powiedziałby, że o czwartej, około czwartej, wpół do piątej, to nie, o czwartej piętnaście, te piętnaście takie ważne, na złość to robi, nic innego! Szkoda, że nie o czwartej siedemnaście albo dziewięć! Czy to jest dworzec kolejowy, a ona prowadzi lokomotywę...?!

Wiadomo było, że równo o czwartej piętnaście Karol stanie w progu, jego punktualność bowiem graniczyła z maniactwem. Malwina nienawidziła punktualności. Omijała ją szerokim łukiem we wszystkim, z wyjątkiem posiłków Karola, a i o te posiłki wojna toczyła się przez kilka lat. Wygrał ją Karol, posłużywszy się presją finansową, bo nawet dzikie awantury nie dawały rezultatu, przy czym niepewność w kwestii jego powrotów do domu, acz uciążliwa, w gruncie rzeczy Malwinie pasowała. Przygotowywała wszystko zawczasu, o najdziwaczniejszych porach, co było znacznie łatwiejsze niż trzymanie się ściśle określonej godziny. A tu proszę, nagle czwarta piętnaście...!

- To właściwie cały obiad jest - zwróciła jej uwagę Helenka, nie mogąc doczekać się żadnych poleceń. - Cebulowa zupa na dzisiaj pasuje, a fileciki tylko na patelnię rzucić. Deser jeszcze trzeba i przystawki, bo węgorz wyszedł. Jakby pani miała jechać do sklepu, to zaraz, żeby się potem nie śpieszyć.

Malwina już otworzyła usta, zamierzając bluzgnąć na tę czwartą piętnaście, ale zreflektowała się. O jej wielkiej miłości do męża ma w razie czego zaświadczać także i Helenka...

Powiedziała zupełnie co innego niż w niej bulgotało, chociaż musiała się przy tym nieco wysilić.

- No proszę, jak chce, to się całkiem dobry robi. I z pieniędzmi nawet nie grymasił... Deser, deser... Jabłka w cieście.

- Strugane?

- Strugane. Sałatki kupię w BILLI. Na przystawkę krewetki. A jutro zrobimy pyzy, niech ma.

- Pan Karol z tymi pyzami nie żartował?

- Nawet jeśli żartował, nie szkodzi. Przecież lubi. I sałatkę z rzepy, akurat się nada. I nikt nie powie, że to drogie, a potem sernik na zimno z galaretką.

- Też tanie - zgodziła się Helenka. - Ale pyzy może nadziać?

Zły humor w Malwinie złagodniał, owszem, to jej odpowiadało, uwielbiała rozważania spożywcze. Wdała się w dyskusję, z której wyszedł jadłospis co najmniej na tydzień, ponadto zgłodniała przy tym, dosmażyła sobie zatem jeszcze trzy grzanki z resztką móżdżku. Helenka jeść nie chciała, zabrała się do swojej roboty, zaczynając, jak zwykle, od góry.

Karol Wolski ustawił swoją firmę na dziś, odebrał od Joli przetłumaczone umowy i rozmaite materiały informacyjne, zrobił małe zebranko z prawnikami, po czym umówił się na osiemnastą trzydzieści ze świeżym kontrahentem. Stwierdziwszy następnie, że właściwie nie ma nic więcej do zrobienia, bo wszystko idzie własnym rozpędem, zajął się dla swojej osobistej przyjemności przeglądem rozmaitych aukcji światowych. Diamenty w Amsterdamie, znaczki w Londynie, instrumenty muzyczne w Padwie... Pokaz nowych propozycji budowlanych w Kopenhadze. Owszem, to mogło być ciekawe, interesujące rozwiązania instalacji sanitarnych, tańsza klimatyzacja, rzeczywiście, w Danii potrzebna im ta klimatyzacja jak dziura w moście, ale może by tam skoczyć na chwilę? Kiedy to? W przyszłym tygodniu... Zarezerwować bilet na samolot i pokój w Angleterre...

Wybrzeża Morza Śródziemnego klimatyzacji wymagają koniecznie...

Pozałatwiawszy jeszcze kilka drobnostek, Karol zastanowił się, czyby nie wyjść na miasto. Poczuł lekki głód, pora była na drugie śniadanko. Ponadto miał wielką ochotę popatrzeć, jak miota się jego przeciwnik, który bardzo niedawno próbował podstawić mu nogę i został za to ciężko ukarany. Przeciwnik miał zwyczaj umawiać się w Victorii, co było z jego strony bardzo głupie z racji kosztów, knajpa w Victorii nie zaliczała się do tanich, on zaś właśnie musiał żebrać. Zatem stawiać i płacić. Usiłował zdobyć nową pożyczkę, żeby spłacić poprzednią, usiłował uzyskać prolongatę, usiłował utrzymać swoje przedsiębiorstwo, będące już w stanie rozsypki, usiłował uniknąć mordobicia, na które naraził się z głupoty. Było nie pożyczać od mafiozów. A jeszcze wcześniej było nie podgryzać Karola Wolskiego.

Gdyby nie ów podupadający kretyn, Karol zapewne zostałby w firmie i kazał przynieść sobie jakiś lekki posiłek, bo tusza powodowała nieruchawość, ale mściwa satysfakcja podniosła go z miejsca. Wyszedł i wsiadł do swojego samochodu.

Konrad Grzesicki miał uwagę podzielną. Mógł spokojnie robić notatki do swojej pracy magisterskiej, zarazem nie tracąc z oczu interesujących go drzwi budynku i zaparkowanego obok pojazdu. Z lekkim rozgoryczeniem myślał, że już też ten gruby cep nie mógł sobie kupić nic innego, jak tylko jaguara. Szkoda, że nie rolls-royce'a ze złotymi klamkami. I tak podobno namierzają go różni amatorzy lekkiego zarobku, to jeszcze musi dodatkowo kłuć w oczy bogactwem.

Konrad nie był kretynem i doskonale zdawał sobie sprawę, iż zlecona mu potajemna ochrona upasionego bęcwała nie wyczerpuje kwestii. Bęcwał nie wyglądał na potencjalną ofiarę. Podobno czatowali na niego jacyś, żeby mu zrobić coś złego, ale zdaniem Konrada, to raczej on mógł zrobić coś złego tym czatującym. Niemniej jednak wola klienta rzecz święta, a ten tu wręcz sam się podstawia. Jeśli wszystko razem ma dodatkowe aspekty, nie jego rzecz, on powinien pilnować i cześć.

Ruszył spokojnie za jaguarem swoim Fiatem Punto, wypożyczonym z agencji, pełen mieszanych uczuć do przydzielonego mu właśnie zadania. Samochody dostawali skromne, nie rzucające się w oczy. Pilnowanie tego Wolskiego właściwie stanowiło dziecinną rozrywkę, tyle że zajmowało cały dzień, bo cholernik był nieobliczalny. Nigdzie nie siedział w określonych godzinach, z pracy wyjeżdżał rozmaicie, pętał się po mieście, do domu wracał też różnie, spotykał się z ludźmi czasami na chwilę, a czasami na dwie godziny i za skarby świata nie dawało się z tego wykroić wolnego czasu dla siebie. W dodatku robota zapowiadała się na długofalową. Konrad poprosiłby o zamianę na coś innego, sporadycznego, gdyby nie trzy drobnostki, po pierwsze, płacono za to wyjątkowo dobrze, po drugie, jego siostra, Jola, najwidoczniej doskonale znała gościa, pracowała z nim i może dałoby się to dyplomatycznie wykorzystać, a po trzecie, w grę weszła dziewczyna.

Trzeci dzień dopiero zajmował się tym facetem i jeszcze nie rozumiał układów wokół niego. Żona, owszem, osoba, która przyleciała ze zleceniem, prawdopodobnie była jego żoną, pasowała nawet nieźle, też gruba, ze wspaniałymi wałkami tłuszczu wszędzie, ubrana tak, że oko bielało. Żeby gruba baba umiała się ubrać do tego stopnia elegancko...?! Konrad widział ją przypadkiem, nie tylko widział, ale całkowicie niezamierzenie stał się świadkiem jej rozmowy z szefem i nawet nie mógł się przyznać do tego, bo agencja zapewniała klientom idealną dyskrecję. Przepadło. Facetka sama sobie winna, bo zamiast zwyczajnie przyjść do gabinetu szefa w godzinach pracy, uparła się spotkać później, jak już wszysc wyjdą. No i przyszła, ale trzeba trafu, że była tam oszklona loggia, oddzielona od pokoju pergolką z bluszczem i potężną, długą donicą z ziemią, z której wyrastały już lilie. W liliach zaś z wielkim zapałem lęgły się specjalne robaki, dotychczas niemożliwe do zwalczenia, usuwane przez biednych amatorów kwiecia palcami, pojedynczo, ze łzami wstrętu w oczach. Konrada te robaki interesowały nadzwyczajnie, czatował na nie i właśnie pojawiły się pierwsze. Nie mając pojęcia o umówionym spotkaniu szefa z klientką, odwaliwszy swoje zajęcia, po pracy, wybierał żyjątka starannie, niewidoczny od strony pokoju i nieiłyszalny.

I już pierwsze słowa wchodzącej przed szefem baby: "W żadnym wypadku nie może mnie nikt zobaczyć!" sprawiły, że zamarł za pergolką, bo nawet gdyby wybiegł natychmiast, żadna siła nie zdołałaby w nią wmówić jego ślepoty. Wahał się dostatecznie długo, żeby nie pozostało mu już nic innego, jak tylko po wieki wieków ukryć swoją obecność w niestosownym miejscu.

Makijaż miała tak kunsztowny, że mogła sobie pozwolić nawet na rzewne łzy. Obawiała się okropnie o męża. Narażał się komu popadło, lekkomyślny może nie był, ale nadmiernie zadufany w sobie, lekceważył niebezpieczeństwa i wrogów miał zatrzęsienie. Głupimi żartami zawsze zbywał jej niespokojne pytania, a ona dłużej nie wytrzyma tego życia w nerwach i musi wiedzieć o nim wszystko. Szczególnie, czy nie pęta się za nim jeden łobuz, któremu najgorsze rzeczy mogą wpaść do głowy, i czy on sam nie wdaje się w zbyt brutalne towarzystwo. Gdzie on się plącze, kiedy nie można go złapać telefonicznie? Kobiety nie, kobiety mało ważne, chociaż to nigdy nie wiadomo, w każdym razie ona potrzebuje dla niego anioła stroić, który po pierwsze dostarczy jej informacji, żeby się wreszcie mogła trochę uspokoić, a po drugie w razie czego czynnie wkroczy. Więc wymoczek to być nie może. Koszty obojętne, zapłaci każdą sumę.

Konrad za pergolką poczuł wielką ulgę, że nie jest mężem tej baby, i wyglądało na to, że szef żywi uczucia podobne. Ale zlecenie przyjął, bo tak rozrzutni klienci przytrafiali się rzadko, zgodził się nawet na jednostronny kontakt telefoniczny, mianowicie to ona miała dzwonić, a ktoś do niej, broń Boże, bo na wieść, że ma być pilnowany, mąż poczułby się śmiertelnie obrażony. W domu bywa różnie i przez złośliwość losu telefon trafiłby na niego, ona zaś nieba mu pragnie przychylić i najmniejszej przykrości za nic w świecie nie zrobi.

Głupia się wydawała beznadziejnie, ale łzy wylewała prawdziwe i dziko zdenerwowana była z pewnością. Potężną zaliczkę wpłaciła gotówką. W czasie kiedy szef odprowadzał ją do wyjścia, Konrad zdążył się wymknąć nieznacznie razem ze swoimi robakami, a potem robota padła na niego i musiał udawać, że pierwsze słyszy.

No i zaraz drugiego dnia do domu podopiecznego weszła dziewczyna, dopiero co dostrzeżona w autobusie. Dzisiaj zaś z tego domu razem z nim wyjechała.

W najwyższym stopniu Konrada interesowało, kim ona dla niego jest. Bo jeśli, nie daj Boże, córką, jeśli w gabinecie szefa widział jej mamusię i jeśli i okaże się do tej mamusi podobna... Nie, uroda urodą, ale wszystko ma swoje granice, rzuca zlecenie natychmiast i niech szlag trafi podwójne honoraria.

Coś, zapewne pobożne życzenie, mówiło mu, że na córkę dziewczyna nie wygląda. Wysiadając z samochodu tego Wolskiego, zachowała się jak obca osoba, nie cmoknęła go w policzek, powiedziała tylko "dziękuję" i delikatnie zatrzasnęła drzwiczki. A wczoraj, kiedy szła ulicą. Wolski przejechał obok, chlapiąc, i nawet nie przyhamował, to Konrad widział na własne oczy. Jeśli jest córką, nie ma siły, ojczulek jej nie kocha. Ponadto otłuszczona baba w gabinecie szefa o żadnych dzieciach nie wspominała, więc może jednak jest kim innym. Ciekawe kim...?

Rozważając tę kwestię, jakąś częścią siebie poczuł, że robi mu się ciasno w czasie. Pracę magisterską skończyć musi, nie ma gadania, za facetem latać trzeba ze względu na dziewczynę, a do tego jeszcze powinien znaleźć jakieś lekarstwo na te cholerne robaki. Zażądała tego jego cioteczna babka, siostra rodzonej.

- Biolog jesteś! - wrzeszczała do niego z wielkim gniewem. - A mnie tu cmentarne gówna po ogrodzie łażą! Nie ma tak, żeby na coś nie było żadnego sposobu! Jak nie ma, to wymyśl!

Konrad się z nią zgadzał, poza tym bardzo ją lubił, poza tym kto wie czy sposób na liliowe robaki nie stałby się zalążkiem pracy doktorskiej...?

Podopieczny ugrzązł mu w Victorii. Zważywszy, iż wszedł do sali restauracyjnej, można było z łatwością odgadnąć, co tam robi, na wszelki wypadek jednak po dłuższej chwili Konrad wszedł za nim. Mimo dość okazałej postury, umiał już doskonale wizytować rozmaite miejsca, nie rzucając się w oczy, w sposób wręcz niezauważalny. Teraz też zdążył obrzucić salę uważnym spojrzeniem, zanim ktokolwiek w ogóle go dostrzegł.

Gruby Wolski siedział przy stoliku, doskonale widoczny. Konrad zaś mógłby w tym momencie nawet stanąć na głowie, względnie wywijać muletą, nie budząc niczyjego zainteresowania, przed Wolskim bowiem rozgrywała się scena absorbująca uwagę powszechną. Jak wyglądał początek, Konrad nie wiedział, wedle jego oceny leciał już ciąg dalszy.

Jakiś facet usiłował wydostać się zza stołu w loży, odpychając sąsiada, który mu w tym przeszkadzał. Drugi, po przeciwnej stronie tegoż stołu, starał się dla odmiany pozostać za nim, co uniemożliwiał ciągnący go za ramię czwarty gość. Konrad zorientował się błyskawicznie, iż dwaj pierwsi, prezentujący sprzeczne życzenia, są klientami restauracji, dwaj drudzy zaś, również działający odwrotnie, stanowią niepożądany dodatek.

Wyciągany poddał się wreszcie, przy czym oko jego padło na Karola Wolskiego, przed którym kelner stawiał właśnie sympatyczne przystaweczki. Nagle zrezygnował z oporu, wyprysnął z loży, w czym wydatnie pomógł mu proces ciągnięcia, i

strącając na podłogę kieliszek współbiesiadnika, rzucił się ku Wolskiemu. Ciągnący nie puścił jego ramienia i sam z kolei został znienacka pociągnięty, rzucili się zatem obaj. Wpadli na kelnera i wytrącili mu z rąk pustą już tacę. Wolski cofnął się z krzesłem, chwyciwszy ze stołu salatereczkę z kawiorem, krzesło przechyliło się silnie i wsparło o lożę sąsiednią, dzięki czemu nie runął do tyłu. Został tak, w niesłychanie niewygodnej pozycji, niezdolny do odzyskania pionu własnymi siłami.

Wszystko to razem trwało tak krótko, że zdążyły paść zaledwie trzy fragmenty okrzyków.

- Ty skurr...! - zaczął zdławionym głosem pierwotnie ciągnięty.

- Kurr...! - wyrwało się kelnerowi.

- Spoko...! - warknął pierwotnie ciągnący.

Po czym obsługa zareagowała w tempie imponującym. Spragniony wydostania się z loży klient zrezygnował i pozostał na swoim miejscu, Wolskiego z krzesłem ustawiono jak należy i wyjęto mu z ręki nienaruszony kawior, trzej pozostali panowie zaś, jeden gość i dwóch niepożądanych, znikli z ludzkich oczu jakby zmieceni siłą nadprzyrodzoną. Wszystko wróciło do normy.

Konrad opuścił restaurację mocno zaintrygowany. Nałożony nań obowiązek ochrony klienta przed niebezpieczeństwem omal nie pchnął go w środek awantury, ale teraz zdążył się zastanowić. Czy w ogóle Wolskiemu cokolwiek groziło? Nic, poza ewentualnym rozbiciem łba, stłuczeniem kręgosłupa i zachlapaniem twarzy kawiorem. Część w okolicy ust zapewne by zliżał. Bywają gorsze nieszczęścia, ale wygląda na to, że wrogów on istotnie posiada, co najmniej jednego, tego wyciągniętego. Na instynkt, duszę i doświadczenie Konrad mniemał, iż był to niewypłacalny dłużnik, wleczony zapewne do wierzyciela.

Kiedy ponownie, właściwie bez racjonalnych powodów, zajrzał do restauracji, osobnik z loży siedział przy stoliku Wolskiego i popijał koniak. Najwyraźniej się znali. Wolski wykończył już kawior miał teraz przed sobą talerz różnych serków i kawę po wiedeńsku. Zestawienie może nieco dziwne, ale skoro tak lubił... Wyrazem twarzy prezentował dobroduszne współczucie, troszeczkę przetykane jakby naganą, podczas gdy jego rozmówca nie krył roztrzęsionego oburzenia. Omawiali incydent, to było pewne. Konrad z całego serca pożałował, że nie może usłyszeć ich rozmowy, nie w celach służbowych, a dla zaspokojenia własnej ciekawości. Przeleciał mu tu oto przed oczami śmieciowaty odprysk wielkiego biznesu, na którym się nie znał, ale który interesował go tak zwyczajnie, jak normalnego człowieka, przygniatanego cudzą chciwością i hochsztaplerstwem, i nie zdołał przy tym rozszerzyć swojej wiedzy. Szkoda.

Z restauracji Karol Wolski wrócił do swojej firmy i aż do trzeciej pięćdziesiąt nigdzie z niej nie wychodził. Konradowi udało się skończyć cały rozdział pracy magisterskiej, elegancko ułożony w punktach. Jeszcze dwa małe doświadczonka w laboratorium na wydziale i trzy czwarte dzieła będzie miał gotowe. Na komputerze przepisze wszystko osobiście, kiedy zastąpi go zmiennik.

Dokładnie o czwartej piętnaście odprowadził swojego podopiecznego pod dom, gdzie, niestety, dziewczyny widać nie było...

* * *

Raz wreszcie wiedząc, że do czwartej piętnaście Karola nie będzie, Malwina postanowiła skorzystać z wolności.

Wprost do szaleństwa potrzebni jej byli ci cholerni złodzieje samochodowi. Nie miała wprawdzie jeszcze wielkiego pojęcia o poczynaniach Karola, ale wolała się przygotować na wszelki wypadek. Ponadto kłębiły się w niej nieco mgliste myśli o wrotach garażowych, ten garaż w ogóle, samochód Karola jest w nim bezpieczny, a gdyby tak nie mógł wjechać...? Gdyby musiał zostawiać go na parkingu chociaż przez kilka dni...?

Dni, dni. Nie nocy. Noce były beznadziejne, nocą całego osiedla pilnowała na stałe wynajęta ochrona, dwóch facetów jak byki, ale przecież złodzieje kradną i w dzień! Ludzie przeważnie w pracy, niepracujące baby na ląfrach, gosposie po sklepach... Czy ci kretyni o tym nie wiedzą? Podjechaliby tą swoją platformą...

Zaraz, po co? Przecież razem z ludźmi znikają z parkingów samochody, to niby co mają kraść? A po południu, przed wieczorem, po ich powrocie z biur, są tu już tłumy, biedni złodzieje nic nie zrobią. Najwyżej zostaną złapani, a to wcale nie o to chodzi...

Ejże...? A gdyby tak Karol osobiście musiał ich łapać...? Walczyć w obronie swojego ukochanego jaguara, niekoniecznie żeby go zaraz definitywnie trzasnęli, ale może potem uprą się przy zemście...?

Upojne myśli miotały się jej po głowie w sposób chaotyczny i w żaden sposób nie dawały się uporządkować. Sprecyzowała w końcu jedną: zepsuć zamek elektroniczny w bramie.

Jak się, na litość boską, psuje zamek elektroniczny, uruchamiany pilotem? Sam z siebie psuje się koncertowo, wtedy kiedy nie trzeba i niepojętym sposobem, czym zepsuć go specjalnie? Może wodą? Prąd elektryczny wody nie lubi, a przecież ta cała elektronika z niego się bierze! Zaraz, zepsuć pilota. Najzwyczajniej w świecie wrzucić go do wody, powinno podziałać, o, świetny pomysł!

Uszczęśliwiona częściowym bodaj rozwikłaniem sprawy, przejechała Piękną przy czerwonym świetle, trochę tam na nią trąbnięto, ale policjanta akurat żadnego w okolicy nie było, ponapawała się chwilę przyjemnością, po czym znów podjęła mozolne wysiłki umysłowe.

Tknął ją problem. Nawet dwa. Po pierwsze, Karol pilota z ręki nie wypuszcza, już samo zawładnięcie nim wymagałoby potwornych wysiłków, a wrzucenie do wody zapasowego nic nie da, bo ten jego będzie nadal działał, po drugie zaś, kiedy zepsuć? Załóżmy, że ten podlec jest w domu, jej się kradzież uda, załatwi przyrząd i co? Samochód w garażu, drzwi nie da się otworzyć, Karol po prostu zabierze jej nissana i tyle. A jaguar będzie sobie stał, bezpiecznie zamknięty. Do niczego.

Trzeba zrobić tak, żeby w chwili zepsucia nie było go w domu.

Nie wymyśliwszy na razie żadnego sposobu na osiągnięcie tego sukcesu, Malwina przejechała most Poniatowskiego i skręciła ku Saskiej Kępie. Mieszkała tam Agata, która bardzo niedawno opowiadała coś o kradzieży samochodu jakiegoś kuzyna czy znajomego, który to samochód został zwrócony za odpowiednim wynagrodzeniem, rzecz jasna w porozumieniu ze złodziejami i z ich inicjatywy. Nie byli zbyt wymagający, zadowolili się sumą dziesięciu tysięcy złotych. Szczegóły sprawy Malwina puściła wówczas koło uszu, a teraz okazywały się bezcenne, bo skoro złodzieje pozwolili nawiązać ze sobą kontakt... Ujawnili się...? Dałoby się ich jakoś odnaleźć...?

Nie zadzwoniła wcześniej do Agaty i nie umówiła się z nią, wiedziała bowiem przypadkowo, że Agata miała właśnie nocny dyżur i powinna go teraz odsypiać. Pracowała w recepcji hotelowej, w zasadzie nadzorowała cały personel, ale nocne dyżury niekiedy brała, zazwyczaj z dobrego serca, żeby zastąpić jakąś dziewczynę z kłopotami domowymi. Malwinę trochę dziwiło takie schodzenie z piedestału, jest się w końcu szefową czy nie? Ale, ostatecznie, Agaty sprawa, nie jej. Ona by nie zeszła.

Agata, już obudzona i umyta, piła właśnie kawę. Nie miała żadnych pilnych zajęć, zorganizowana była doskonale, mogła sobie pozwolić na spotkanie towarzyskie. Podjęła Malwinę malutkim śniadankiem.

- Czekaj - powiedziała Malwina, od razu przypomniawszy jej incydent sprzed roku -bo ja chyba wtedy czegoś nie zrozumiałam. Była przecież mowa o zawiadomieniu policji, nie? On miał zawiadomić, ten twój kuzyn. I co?

- No coś ty - odparła ze zgorszeniem Agata. - Była mowa, że się powinno, ale Marcin nie samobójca. Grozili mu.

Odwróciła się i przytknęła elektrycznym czajnikiem. Siedziały oczywiście w kuchni, wszystkim babom zawsze najlepiej rozmawia się w kuchni, o ile nie jest to okazja oficjalna. Malwina nie miała nic przeciwko jeszcze jednej kawie ze śmietanką.

- Jak mu grozili? - zainteresowała się wręcz zachłannie. - Że co?

- Że mu mordę zbiją, a możliwe, że i gorzej. Albo pozostaną w przyjaźni, albo niech wywozi żonę i dzieci do Argentyny, oni nie popuszczą.

- I jak to się odbyło, ta zamiana pieniędzy na samochód? I gdzie?

- Przecież ci wtedy mówiłam! Jak ci zwracałam te dwa tysiące, które pożyczałam dla niego. Teraz już nie tak dobrze pamiętam.

- A, dwa tysiące... Zapomniałam.

- Zapomniałaś, że ci zwróciłam?

- Nie, zapomniałam, że ci w ogóle pożyczałam. To jak to było?

- Daj Boże każdemu takich wierzycieli! - westchnęła smętnie Agata. - Śmiesznie było, można powiedzieć, że nastąpiła nie kradzież, tylko porwanie samochodu, taki kidnaping, dawaj forsę, oddamy ci dziecko...

- Jakie dziecko?

- O Jezu... W przenośni mówię.

- Nie, ja bym wolała wiedzieć, jak było naprawdę. Nie w przenośni.

Agata podniosła się w celu dolania kawy i przyjrzała się jej krytycznie.

- Na moje oko od zeszłego roku przybyło ci z pięć kilo. Mózg ci się również otłuścił? Dobra, umówili się z nim w samym środku Pragi, gdzieś tak trochę w bok od Targowej, dwóch ich było, a jego samochód stał na jakimś podwórzu przodem do wyjazdu, i nawet wystraszył się trochę, bo tak wyglądało, że on im da forsę, a oni na gaz i prysną. Więc poprosił, żeby ten w środku wysiadł.

- I wysiadł?

- Wysiadł. Ale tak jakoś od razu tyłem do niego, że twarzy nie widział.

Malwina myślała praktycznie.

- A kluczyki?

- Na kluczyki kichał, miał zapasowe. Ale nie, grzecznie zostawili w stacyjce. Drugi stał w drzwiach, w wejściu na klatkę schodową, też go było źle widać. Wyrwał mu forsę z ręki i zmył się, a tamten, co wysiadł, przytrzymał go przy murze plecami do siebie i wygłosił całe przemówienie, krótkie, ale treściwe. O tej Argentynie właśnie.

- Ale coś chyba mówiłaś, że oni przez telefon...?

- Przez telefon się przedtem umawiali i już wtedy, przez telefon, zabronili mu kłapać gębą. Ruszy gliny, z samochodem się może pożegnać, tak mu obiecali. Więc wolał nie ryzykować. Na ubezpieczeniu straciłby tyle samo, a za to gorszy kołowrót.

- A nie mógł ich zawiadomić jakoś po cichutku?

- Po cichutku to myśmy mu sami odradzili. Diabli wiedzą jakie tam mają układy, a glina też człowiek i też go mogli geografią postraszyć. Policjanci powinni być chyba nieżonaci i bezdzietni, ale boję się, że to nieosiągalne, chyba żeby angażować samych braciszków zakonnych...

Struktura personalna policji chwilowo Malwiny nie interesowała. Przerwała Agacie, która już zaczynała wpadać w zapał organizacyjny.

- I co, i potem już ich nigdy na oczy nie widział? I nic o nich nie wie?

Agata westchnęła z żalem.

- Nic kompletnie. Chociaż nawet się starał i tyle stwierdził, że żadna zasadzka policyjna by nie wyszła. To stare posesje, pełno tam przejść i zakamarków, mogli nawiać z forsą wszystkimi stronami, a przykazali mu... o, widzisz, przypomina mi się! W ostatniej chwili tak jakoś, na komórkę do niego zadzwonili, wskazali miejsce, ma tam być za pięć minut i wchodzić do bramy z forsą w ręku. Luzem, bez opakowania. Jak się spóźni, odjeżdżają. Co można zrobić przez pięć minut?

- No nic, rzeczywiście - przyznała Malwina, też z żalem, choć na innym tle. - A gdzie to było, ta stara posesja?

- Nie mam pojęcia. Nie pamiętam. Po co ci to w ogóle? Szukasz mieszkania z niekrępującym wejściem?

Takich pytań Malwina bardzo nie lubiła. Po co jej, rzeczywiście, żadnych niekrępujących wejść nie chce, chce znaleźć złodziei. Nie powie tego przecież Agacie ani w ogóle nikomu! Coś trzeba zełgać.

- Z ciekawości pytam. Ty wiesz, że ja lubię kryminały, a teraz wszystko takie jakieś... Żadnych zagadek i tajemnic, więc chociaż tyle. Zawsze coś nietypowego. Jakby mi na przykład ukradli samochód, warto wiedzieć, komu dać w łapę, żeby odzyskać. Ale...! Wszystko dostał z powrotem? Bo miał chyba jakieś rzeczy w środku, każdy coś wozi?

- Wszystko, z wyjątkiem dwóch puszek piwa, które mu się tam gdzieś telepały. Piwo złodzieje wypili. Ale nawet benzyny nie wyjeździli, przeszło ćwierć baku zostało. To nie była żadna wielka mafia samochodowa, tylko jakaś mała szajka. Podobno jeszcze parę osób tak załatwili, coś mi się o uszy obiło, ale szczegółów nie znam i chyba przycichli. Wielkie mafie , ich pewnie wchłonęły albo wygryzły.

Gorzko żałując, że nie postarała się wcześniej poznać osobiście owego poszkodowanego kuzyna, Malwina na tym musiała poprzestać. Pożałowała także, iż; nigdy nie mieszkała na Pradze, na Żoliborzu to owszem, w Śródmieściu, na Ursynowie... Wciąż po tej lewej stronie Wisły, a prawa by jej się teraz bardzo mogła przydać.

Młodsze dziecko Agaty wróciło ze szkoły, zakończyła zatem wizytę, pełna niedosytu. Korciło ją, żeby przejechać całą Targową tam i z powrotem, ale do tak intensywnych działań nie czuła się zdolna, poza tym zaczął się jej kurczyć czas. Powinna jeszcze zrobić zakupy spożywcze, a jeśli trafi na korki, i nie zdąży do domu przed powrotem Karola i będzie! piekło. Nie tak dawno uczyniłaby to, spóźniłaby się specjalnie, jemu na złość, ale teraz musi wszak symulować czułe starania!

W domu zastała sensacyjną informację.

- Dzwonił jakiś - powiedziała Helenka, akurat wychodząca z pralni. - Powiedział nazwisko, ale nie zrozumiałam, Kurposz czy Krupniorz, czy coś takiego. Koniecznie chciał rozmawiać z panią, bo z panem Karolem podobno coś było. Jakaś nieprzyjemność albo napad, no, awantura. Też nie zrozumiałam, bo przerywało i bełkotał tak niewyraźnie, ale mówił, że chce ostrzec.

Malwinie z rąk wyleciała torba z zakupami, a na twarz buchnęło gorąco.

- Jezus Mario! I co się stało?!

- Nie wiem. On wcale nie chciał mówić do mnie, tylko do pani. Żeby pani zadzwoniła do niego na komórkę.

- Na komórkę...!!! - wrzasnęła Malwina rozdzierająco. - Na jaką komórkę?! Pod jaki numer?! Podał numer...?!!!

- Podał, ale nie zdążyłam zapisać i nawet nie dosłyszałam, bo przerywało. Sześćset ileś i tam gdzieś dwadzieścia z czymś. Że też te ludzie nie mogą powiedzieć wyraźnie i tak bodaj ze dwa razy, to nie, naprycha taki i się rozłączy, i tyle. Pożytek żaden, ale mówię, żeby pani wiedziała.

Płomień ogarnął już teraz całe jestestwo Malwiny. Napad na Karola, może skuteczny, ale nie, to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. No i proszę, doigrał się! Co za jakiś Krupiosz, żadnego takiego nie zna, to kretyn chyba, skoro tak głupio

rozmawiał! Czy Karol, wobec tego, wróci? Czy ona już ma udawać, że go szuka we łzach...?

Helenka pozbierała zakupy, sprawdzając, czy nie ma tam nic tłukliwego. Mówiła coś o praniu, nastawiła duże pranie, wszystkie ręczniki, bo miała czas. I kąpielowy szlafrok pana Karola, jakby chciał się ubrać, to nie ma, musi wziąć ten drugi, kraciasty. Malwina trzęsącymi się rękami zdejmowała żakiet, nadzieja rozkwitała w niej gwałtownie i domagała się ujścia. Sprawdzić! Dowiedzieć się! Zadzwonić! Gdzie dzwonić...?! Do pracy...?

Już ładne parę lat temu raz na zawsze Karol zabronił dzwonić do siebie, do pracy, nawet gdyby w domu użalał pożar. W takim wypadku dzwoni się do straży pożarnej, on zaś nie życzy sobie w czasie zajęć zawodowych słuchać o przepalonych żarówkach, odłamanych obcasach, usterkach telewizji, braku świeżej natki w BILLI, kolejce do kasy w Oszołomie, zgubionych rękawiczkach i parasolkach, śmieciach sąsiada i chłopakach na wrotkach, a także nie toleruje pytań, kiedy wróci i czy będzie jadł naleśniki. W pracy nie ma domu ani rodziny i ma to zostać zapamiętane!

Wielokrotnie Malwina łamała zakaz, ale nigdy nic dobrego z tego nie wychodziło. Miała złamać i teraz? Nadzieje się na sekretarkę, no i dobrze, zapyta tylko, czy Karol jest w firmie... Ta żmija oczywiście powie mu o telefonie i znów będzie awantura, że go sprawdza. Ma mu powiedzieć o Krupniku czy jak mu tam...? A jeśli to ktoś od nich, od tych detektywów...?

- Jak mają być kopytka, to już ostatnia chwila - ostrzegła Helenka. - Ja kartofle skręciłam na wszelki wypadek, ale pan Karol, zdaje się, niedługo wróci.

Zamęt w umyśle Malwiny ścieśnił się i usunął na stronę. Kopytka, oczywiście, do filecików wieprzowych tylko kopytka, cholera, zapomniała o nich. Ale nic, zagnieść ciasto, powalkować, pokroić, dziesięć minut wystarczy. Nikt na świecie nie umiał zrobić takich kopytek jak ona, a kupnych Karol do ust by nie wziął...

- Niech Helenka nastawi wodę - powiedziała pośpiesznie, głosem nieco zdławionym. - Ja to zaraz zagniotę. I ze trzy pomidory sparzyć, na sałatkę. I cebulkę obrać.

- Woda już stoi, gorąca, ale nie soliłam. Do pomidorów jest w czajniku, a cebulkę obrałam na wszelki wypadek. I ser do zupy utarłam, będzie chyba dosyć?

W całym swoim chaosie myślowym Malwina zdążyła spojrzeć na salaterkę z serowymi wiórkami i ocenić Helenkę jako czyste złoto. Zrzuciła wyjściową odzież, domowa kiecka, fartuch, umyła ręce, dopadła stolnicy. Za dziesięć czwarta, zdąży, ugotują się akurat na czas.

Pięć po czwartej, kiedy pierwsza partia prześlicznych kluseczek kipiała już w garnku, nie wytrzymała, rzuciła się do telefonu. W sekretariacie było zajęte, a jego bezpośredni numer nie odpowiadał. Nie było go. Albo jechał do domu, albo...

Nie sprecyzowała sobie tego drugiego albo, żeby nie zauroczyć. Nie wolno żywić zbyt wielkich nadziei! Spojrzała na zegar, za osiem minut wszystko się rozstrzygnie, dowie się, Karol przyjedzie piętnaście po czwartej albo wcale. Jeśli jest żywy, nie sprzeniewierzy się swojej obrzydliwej punktualności!

Osiem minut rozwlekało się w nieskończoność. Malwina zdążyła w tym czasie przewrócić butelkę z oliwą do sałatki, upuścić na podłogę kawał masła, pokroić do końca kopytka, złamać sobie paznokieć, spiłować go i zrzucić z półeczki w łazience nie domknięty lakier do paznokci. Lakier się częściowo wylał, czego nie zauważyła.

- Pani się tak nie przejmuje, bo może ten Kurpiarz tylko tak gadał, a naprawdę nic się nie stało - rzekła pocieszająco Helenka.

-Ja się wcale nie przejmuję - odparła Malwina przez zaciśnięte zęby. - Nawet nic mężowi nie powiem o takim głupim telefonie. I niech Helenka też nie mówi.

- Pewnie, że nie, jak nawet sama nie wiem, o co mu chodziło.

Obie co chwilę spoglądały w okno i podjeżdżający samochód Karola dostrzegły równocześnie. Dwa westchnienia razem dały się słyszeć w kuchni, w jednym brzmiała szczera ulga, drugie zawierało w sobie akcent głębokiego rozczarowania.

Karol, gdzieś w głębi duszy nastawiony na wrogie działanie, bo ostatnimi czasy własny dom był dla niego miejscem nieprzyjemnym, wrócił w doskonałym humorze, którego w wejściu jakoś nic nie zakłóciło. Rzucił okiem w kierunku jadalni, nakryty stół czekał, z kuchni wiały apetyczne wonie. Trochę się zdziwił. Nie odzywając się ani słowem, zdjął marynarkę i krawat, umył ręce, lakieru na podłodze nie zauważył, bo zasłaniał go mały łazienkowy stołeczek, narzucił na siebie domowe wdzianko i zasiadł do obiadu.

Malwina zamierzała obrazić się za wczorajsze obelgi i nie towarzyszyć mu przy stole, ale po dopiero co przeżytych emocjach zapomniała o tym. Usiadła normalnie, jak człowiek.

Karol nie protestował przeciwko obecności żony i uwag o głupich gębach nie czynił. Z niechęcią myślał, że Malwina zaprezentuje pewnie jakieś fochy, irytujące i uciążliwe, ale nie stwierdziwszy żadnych niepożądanych objawów, przy dobrym nastroju pozostał.

- Przelałem na konto - powiedział nawet po pierwszej łyżce znakomitej zupy cebulowej.

- Bardzo się cieszę, ale myślałam, że zostawisz mi w domu trochę gotówki - odparła żywo Malwina. - Potrzebna mi będzie na rano, musiałabym zaraz jechać do banku, a już dzisiaj stałam w korkach i nie mam siły więcej. Obiecałeś wczoraj, że mi dasz...

- Dobrze. Dam.

- Nie wiem, jakie wino...

- Nie chcę wina.

- Ja bym się napiła białego...

- To pij. Ja ci chyba nie przeszkadzam?

Na chwilę Malwina zamilkła. Jeśli Karol nie chciał wina do obiadu, oznaczało to, że będzie jeszcze jeździł. Zamierza wyjść. Co za szczęście, że załatwiła sobie tę agencję, dowie się, dokąd go niesie i po co.

Podniosła się, przyniosła i odkorkowała butelkę białego wina, postawiła na stole dwa kieliszki. Może on się skusi, pojedzie na rauszu, zrobi sobie coś złego...? Mało było na to nadziei, ale zawsze warto spróbować.

Karol się nie skusił, zeżarł obiad, popił deser herbatą i poszedł do gabinetu. Rykiem zażądał stamtąd jeszcze jednej szklanki. Przyniosła mu. Musiał być w wyjątkowo dobrym humorze, bo na rogach jego biurka siedziały oba koty, przy czym Pufcia bawiła się długopisem, turlając go łapką. Karol sięgnął do portfela i bez słowa położył pomiędzy kotami pięć tysięcy złotych. Malwina, również bez słowa, zabrała je i wyszła.

Parę minut przed szóstą, widząc małżonka już w kurtce, zmierzającego do drzwi wyjściowych, nie wytrzymała.

- Wychodzisz? - spytała z nieco zbyt demonstracyjnym zdziwieniem.

- Nie, rąbię drzewo - odparł uprzejmie Karol.

- Mnie idzie o to, czy wrócisz na kolację.

Karol wzruszył ramionami i nie udzielił żadnej odpowiedzi. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, kiedy wróci, ponieważ po umówionym spotkaniu zamierzał pograć w brydża. W klubie. Można było tam spożyć posiłek, ale czy to wiadomo na pewno, że brydż się uda? Może przytrafi mu się idiotyczny partner i skończy wcześniej, nie dogadał się z nikim konkretnym, szedł tak sobie, na ślepo. Jacyś gracze byli tam zawsze.

Odprowadziwszy go ponurym spojrzeniem, Malwina poszła do łazienki i rąbnęła goleniem w stołeczek. Chciała ten stołeczek po prostu trochę odsunąć, lekki był, powinien łatwo pojechać po śliskiej posadzce, tymczasem ani drgnął, w goleniu zaś

ją nieźle załapało. Bardziej się zdziwiła niż rozzłościła, spróbowała przesunąć stołek ręką, nic z tego, trzymał się jak przylepiony, szarpnęła mocniej i rzeczywiście musiał być przylepiony, bo odkleił się z cichym trzaskiem. Zdumiona, obejrzała jego nogi i spojrzała w dół.

Lakier do paznokci wylał się prawie całkiem i zasechł doskonale. Odruchowo rozglądając się za acetonem, Malwina doznała nagle olśnienia. Ależ... te wrota garażowe...! Przesuwne, w takim rowku chodzą, jeśli stołeczek przywarł tak porządnie, równie porządnie lakier przywrze do rowka! I wrota się na tym zatrzymają, nie przepchną się dalej!

Zostawiła usunięcie plamy Helence i rzuciła się do kosmetyków. Pierwszą jej myślą było, że Karol zauważy, jeśli nie Karol, to ktokolwiek, ktoś wezwany do naprawy. Zatem lakier powinien być bezbarwny, idealnie przezroczysty, nie ma w szafce takiego. Nawet ten najjaśniejszy jest lekko różowy, a w ogóle to nie lakier, tylko emalia, kryjąca, do niczego, widać ją, bezbarwny lakier musi kupić. Już! Natychmiast!

Natychmiast odpadało, cały czas piła to białe wino, samochodem nie pojedzie. Ale zaraz, Justynka...! Justynka chyba właśnie wróciła, zdaje się, że słyszała jej kroki na schodach, Justynka ją zawiezie do jakiegoś dużego sklepu, Oszołom będzie najlepszy. Kupi lakier nieznacznie, Justynkę wyśle do owoców...

Zaskoczona nieco Justynka bez oporu zgodziła się zjeść obiad trochę później, za pół godziny, a teraz jechać z ciotką po zakupy. Nie umierała jeszcze z głodu, a stojąca na salonowym stole butelka z reszteczką wina na dnie mówiła sama za siebie. Dalszych swoich

posunięć Malwina na razie obmyśleć nie mogła, bo przez całą drogę zastanawiała się, jak to zrobić, żeby nie płacić w kasie przy siostrzenicy, nie potrzeba, żeby obce oko widziało ten lakier, musi Justynkę unieruchomić w jakimś ogonku. Albo niech ona w ogóle nie schodzi, Malwina kupi wszystko sama.

Ledwo Malwina znikła w wejściu do supermarketu, pozostawiona w samochodzie Justynka przypomniała sobie, że przecież miała kupić kosmetyki. Na ostatnie mycie głowy zużyła szampon do końca, karteczkę z listą sprawunków miała w torebce, okazja załatwienia sprawy spadła jej jak z nieba. Te wszystkie mleczka, toniki, odżywki, płyny, swoje ważyły, bardzo dobrze, nie będzie musiała dygować ciężarów na piechotę.

Malwina nie była pijana, bo, ostatecznie, obiad przy tym winie zjadła solidny, ale leciutki rauszyk i emocja przytępiły jej spostrzegawczość. Justynki o parę metrów od siebie w ogóle nie zauważyła i, nalazłszy upragniony lakier, bardzo zadowolona, odruchowo dokonała kilku innych zakupów. Nabywanie lakieru Justynka widziała doskonale, ale niewiele ją obeszło, za swoje kosmetyki zdążyła zapłacić wcześniej i czekała na Malwinę w samochodzie. W drodze powrotnej do domu Malwina wytrzeźwiała idealnie, a bezbarwny lakier w torebce przyprawiał ją o bicie serca. Przed nią majaczyły następne wysiłki.

Przede wszystkim musiała zadzwonić do agencji i dowiedzieć się, co miał oznaczać głupi telefon od tego jakiegoś Krupniaka. Karol w najmniejszym stopniu nie wyglądał na ofiarę napadu. Sam był napastnikiem czy co? Albo może Krupniak zełgał, snując jakieś tajemnicze intrygi, które mu nie wyszły. No nie, owszem, wyszły chyba, skoro ona sama denerwuje się i rzuca do telefonu.

Z Gazetą Wyborczą, wyglądającą już jak obraz nędzy i rozpaczy, zamknęła się w gabinecie.

- Nie nastąpiło dziś nic takiego, o czym zostałbym natychmiast powiadomiony - oznajmił szef agencji. - Sprawozdanie otrzymam wieczorem, albo nawet jutro rano, skoro jednak życzy pani sobie osobiście wszystko usłyszeć...

Malwina zawahała się. Dotychczas miała wrażenie, że najlepiej będzie kontaktować się wyłącznie z jednym człowiekiem, tym, z którym załatwiała sprawa i który już ją widział. I znał. Teraz jednak pojawiła się wątpliwość, może słuszniej byłoby dać sobie spokój z szefem i rozmawiać bezpośrednio z pracownikiem, zleceniobiorcą, żądając dyskrecji, z pewnością osiągalnej, bo w końcu co tego szefa obchodzą szczegóły śledztwa i jej perypetie uczuciowe. Zleceniobiorca powie jej więcej, będzie go mogła wypytać o rzeczy komu innemu obojętne, chociażby, na przykład, wyraz twarzy Karola. Czy cokolwiek innego...

- Tak - powiedziała stanowczo. - Teraz widzę, że wolałabym osobiście i bezpośrednio. To jak to zrobić?

- Proszę zadzwonić za kwadrans. Muszę się porozumieć z pracownikiem. Dam pani jego numer komórki.

- Ale ja bym go chciała zobaczyć. Twarzą w twarz;

- To już bez trudu zdoła pani z nim uzgodnić. O dwudziestej on się zmienia i będzie miał chwilę czasu.

Malwinę niemal zatchnęło.

- Jak to... zmienia...? To znaczy, że co, że ich jest więcej...?

- Łaskawa pani życzyła sobie inwigilacji i ochrony całodobowej - przypomniał jej szef agencji z anielską cierpliwością. - Nie sądzi pani chyba, że jeden człowiek zdoła pracować dwadzieścia cztery godziny na okrągło, dzień w dzień?

- Przecież ma różne przerwy!

- Ale nie może oddalić się i pójść spać, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie zmuszony na nowo podjąć pracę. Obiekt... pardon... szanowny małżonek egzystuje niezupełnie regularnie.

- To znaczy, że ilu ich jest?

- W zasadzie trzech. Ośmiogodzinny dzień pracy. Oczywiście jakieś wahania mogą nastąpić.

- No dobrze - zgodziła się Malwina po chwili niezadowolonego milczenia. - Zadzwonię za kwadrans.

Wcale nie była pewna, czy istotnie zdoła zadzwonić za kwadrans, bo Karol mógł przecież wrócić w każdej chwili. I znów zaskoczyć ją w gabinecie z trefną prasą. Może by jednak zmniejszyć jakoś ten stos makulatury, może... no tak, może przecież zapisać sobie numery telefonów na mniejszym kawałku papieru albo wydrzeć ze środka niezbędny fragment tekstu. Takie małe tatwiej ukryć.

Wreszcie uczyniła to, co każdy normalny człowiek uczyniłby od razu, wycięła z prasy użyteczne treści. Ściśle biorąc, wyrwała je paznokciami, strzępiąc po brzegach, bo nie miała cierpliwości szukać teraz nożyczek. Resztę zgniotła w kłąb i podpaliła w kominku.

Kominek, na szczęście, był często używany i ciągnął doskonale, a Helenka dbała o usuwanie popiołu. Na wpatrzoną w ogień Malwinę spłynęło natchnienie. Czego ona właściwie czepia się wrót garażowych, nie garaż tu jest ważny, tylko ogrodzenie, co z tego, że Karol z garażu nie skorzysta, skoro wjedzie do środka posesji i zamknie za sobą bramę! Na solidnie ogrodzony teren złodzieje nie będą się pchali, to na nic, zepsuć trzeba bramę wjazdową!

Natchnienie trwało i podpowiadało, że i chwilę powinna wybrać właściwą. Chociażby taką jak teraz, kiedy Karola nie ma, żeby nie mógł wjechać, a nie wyjechać. Cóż by jej przyszło z tego, że utkwiłby w środku, w bezpiecznym garażu, to samochód ma zostać pozbawiony schronienia, nie zaś Karol personalnie!

Ze stęknięciem podniosła się od kominka i klapnęła w fotel. Zagapiona w resztki żaru i biegających po dogasającym papierze iskier, zdołała pomyśleć kawałek dalej. Nie tylko Karola musi brać pod uwagę, ale także i siebie, jeszcze by tego brakowało, żeby jej nissan został po tej stronie, bez żadnej szansy na wyjazd. Jak miałaby się poruszać po mieście, piechotą? Autobusem? A zakupy same by przyszły? Z taksówkami miałaby mnóstwo kłopotów, na godziny musiałaby je wynajmować!

Dreszcz zgrozy przeleciał jej po plecach. Oczywiście, oba samochody muszą pozostać na zewnątrz ogrodzenia, a garaż niech diabli biorą,

Chwila właściwie była idealnie odpowiednia dla tych wszystkich machinacji i Malwina już zerwała się z fotela, ale przyszło jej do głowy, że jednak nie. Zobaczy ją Helenka. Cholera, czy ta Helenka nie mogłaby dzisiaj iść do córki? Justynka była

nieszkodliwa, jej okna wychodziły na ogród, ale Helenka tak z kuchni, jak i ze swojego pokoju miała doskonały widok na cały front. Nie wolno było dopuścić, żeby nabrała jakichś podejrzeń!

Niemożność przystąpienia do działań dywersyjnych sprawiła, iż Malwina przypomniała sobie o telefonie za kwadrans i znów zamknęła się w gabinecie.

Nasz klient, nasz pan. Wszystkie jej życzenia zostały uwzględnione i niewątpliwie zaksięgowane dla wystawienia rachunku, ale to Malwiny w tym momencie nie interesowało. Chciwie zapisała numer, podany przez szefa agencji i wykorzystała go od razu. W słuchawce odezwał się jakiś facet, który z wielką uprzejmością wyraził zgodę na spotkanie dziś jeszcze, mniej więcej za półtorej godziny, kiedy już skończy służbę i przekaże delikwenta zmiennikowi. Gdzie ma się znaleźć?

Pytanie było zgoła okropne. Malwina nic nie obmyśliła, do domu przecież zaprosić go nie mogła, w najbliższych restauracjach i kawiarniach była raczej znana, temu jakiemuś pokazywać się wcale nie chciała. Przez chwilę czuła straszny zamęt w głowie, z zamętu wyłonił się pomysł dość upiorny. Cmentarz! Nie, nie w środku, cóż znowu, parking obok cmentarza przy Wałbrzyskiej. O tej porze nikt się na cmentarze nie pcha, powinno tam być pusto.

Konrad Grzesicki w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie ma prawa jej znać.

- A, przepraszam, czym pani będzie? Żebym się nie zwrócił do kogoś innego...

- Ciemnoczerwony nissan - odparła Malwina z ulgą. - I będę w nim siedziała z nogami na zewnątrz.

No owszem, jako znak rozpoznawczy pozycja mogła służyć. Wymyśliła ją w kolejnym błysku natchnienia, nogi będzie miała na zewnątrz, a głowę wewnątrz, zatrzyma się tak, żeby w samochodzie było ciemno, jej twarzy facet nie zobaczy. Pojedzie tam za pół godziny.

Konrad z kolei wcale nie chciał, żeby Malwina oglądała jego samochód. Był to wprawdzie samochód agencji, jeden z kilku służących celom służbowym, ale im mniej było wiadomo o sposobach działania firmy, tym lepiej. Nie wiadomo, kto, kiedy i gdzie może taki wóz zobaczyć i jaką głupotę chlapnąć.

Znalazł się pod murem służewieckiego cmentarza pięć minut wcześniej niż Malwina i bez żadnych przeszkód obejrzał sobie jej osobliwe manewry, zmierzające do uzyskania tej widno-ciemnej lokalizacji. Odczekał, aż wystawiła nogi na zewnątrz, co nie było zbyt łatwe, przestrzeń bowiem pomiędzy kierownicą a oparciem fotela nie pasowała do rozmiarów Malwiny, a odsunięcie fotela dalej nie przyszło jej do głowy. Złośliwość losu zapewne sprawiła, że w tym akurat okresie swego życia Malwina prezentowała zidiocenie rekordowe.

Pierwszy raz w życiu miała rozmawiać z detektywem, w dodatku przez samą siebie zatrudnionym, i wszystko w środku trzęsło się jej z przejęcia. Ponadto pierwszy raz mogła dowiedzieć się czegoś pewnego o Karolu!

Rychło okazało się, iż konwersacja w pozycji nogami na zewnątrz z facetem, stojącym obok samochodu, jest w ogóle niemożliwa. Nie widzi go, widzi jego spodnie, na diabła jej spodnie?! Nie da się rozmawiać z niewidzialnym, musiałaby wystawić głowę i podnieść twarz, to coś dokładnie odwrotnego niż chciała!

- Niech pan wsiądzie - zażądała gniewnie z niezamierzonym sieknięciem, bo równocześnie zaczęła odwracać się ku kierownicy, co nadmiar figury zdecydowanie utrudniał.

Konrad wsiadł. Jedno Malwinie udało się osiągnąć, mianowicie układ światła i cienia. Latarnia z drugiej strony ulicy świeciła za jej głową, zatem ona twarz faceta jako tako widziała, a on jej nie. Podniosło ją to na duchu.

- Co tam się działo z moim mężem, bo jakiś kretyn przez telefon bredził o napadzie? - powiedziała bez wstępów.

- Życzy pani sobie wszystko po kolei czy tylko tę scenę? - spytał Konrad z rewerencją.

- Wszystko po kolei.

- Proszę uprzejmie...

Zrelacjonował jej dzień pracy Karola i opisał wydarzenie w restauracji. Malwina słuchała w skupieniu.

- Czarny kawior czy czerwony? - spytała rzeczowo.

- Czarny.

- Oczywiście... - zaczęła z irytacją i ugryzła się w język. Oczywiście, Karol się żywi kawiorem po Victoriach, a jej wymawia rozrzutność i skąpi pieniędzy, obrzydliwe, ale mówić tego nie należało. Nie dokończyła uwagi.

- I gdzie on teraz jest?

- Wszedł do klubu brydżowego na Mokotowskiej.

Klub na Mokotowskiej... A...! Była tam kiedyś. Raz. Dawno temu.

- I gra?

- Nie wiem. Zostałem zmieniony, zanim jeszcze zaczął.

- A tam... W tej Victorii... Był przestraszony?

- Raczej wydawało mi się, że trochę zły, a trochę rozbawiony. Przestraszony był jego rozmówca.

- A kto to był?

- Niejaki Alfred Rozeta. Hurtownik w zakresie materiałów budowlanych. Ma pawilony na Bartyckiej i liczne interesy z Włochami.

Rozeta, hurtownik... Nie, do niczego, nie zna człowieka i nie jest jej potrzebny.

- I gdzie on parkował?

- Kto?

- Mój mąż.

- Przed Victorią. Ściśle biorąc, wcale nie parkował, zostawił samochód z kluczykiem i zaparkowała obsługa. Oni tam mają miejsca dla stałych klientów.,

Stałych klientów...! Na litość boską, to ile ten Karol żre...?! Przecież żywi się w domu prawie codziennie,, kiedyż mógł zostać stałym klientem Victorii czy jakiejkolwiek innej knajpy?! A, może te drugie śniadanka...

Nie wiedziała, o co dalej pytać. Wydawało jej się, że pytań będzie miała tysiąc, tymczasem nagle ich zabrakło. Karol żre, świetnie, ale nie o to przecież chodzi!

- Zaraz. A gdzie parkował potem? Za każdym razem, jak gdzieś tam wchodził?

- Na ulicy, na płatnych parkingach.

- Strzeżonych? Konrad zawahał się.

- Teoretycznie powinny być strzeżone, ale to różnie bywa...

- I tam nie kradną?

- Gdzie?

- Na tych parkingach teoretycznie strzeżonych.

Konrad poczuł nagle, że ma do czynienia z osobliwie trudną klientką. Szef wysuwał supozycję, że baba śledzi męża przez jakieś dziwki i romanse, z jej pytań natomiast wynika całkiem co innego. Rzeczywiście troszczy się o bezpieczeństwo, nie wiadomo tylko, jego czy samochodu? No, jaguar, owszem, pojazd raczej cenny...

- W zasadzie na strzeżonych kradną raczej rzadko - odparł i wygłosił cały wykład na temat znanych mu działań złodziei samochodowych. Klientka słuchała wręcz zachłannie.

Uwolniła go wreszcie. Zaczekał, aż odjedzie i dopiero wtedy wsiadł do swojego samochodu, mocno zdumiony i nieco za-

intrygowany.

Malwina również wróciła do domu.

* * *

Tegoż samego wieczoru do gabinetu Karola wślizgnął się przez uchylone drzwi Pucuś. Jak każdy kot, był indywidualnością i miał swoje prywatne upodobania. Lubił papier.

Wskoczył na fotel, a potem na biurko. Biurko było prawie puste, stały na nim dwa aparaty telefoniczne, zasobniczek z długopisami, leżała zamknięta teczka z korespondencją i oddzielnie jedna kartka papieru do drukarki z jakimś krótkim napisem pośrodku. Komputer z całym oprzyrządowaniem znajdował się na specjalnym blacie obok.

Pucuś, rzecz jasna, napisu na kartce nie czytał, ale obwąchał ją z wielką lubością. Po czym spróbował wziąć w zęby, co na gładkim, śliskim blacie okazało się niemożliwe. Pomógł sobie łapką i przesuwał papier tak długo, aż dopchnął go do krawędzi. Popchnął jeszcze trochę i kartka spłynęła na podłogę.

Pucuś zeskoczył za nią i pomiętosił ją pazurami, wdeptując w dywan, dzięki czemu przestała być taka obrzydliwie gładka i pozwoliła się chwycić zębami. Promieniując zadowoleniem, kot wymaszerował z gabinetu z pomiętym nieco kawałkiem papieru w pyszczku i poszedł do siebie, to znaczy na dużą, płaską, miękką poduchę, ułożoną w kącie za kominkiem, Tam oddał się szczytowej przyjemności, polegającej na ponownym deptaniu i delikatnym naddzieraniu, to ząbkami, to pazurkiem. Cichutkie trzaski i szelesty wprawiały go w stan upojenia.

Obecne w domu Helenka i Justynka w ogóle tego nie zauważyły.

* * *

Karol Wolski trafił w klubie na znakomitych partnerów i grał w brydża do trzeciej z przyjemnością równą bez mała przyjemności kota. Podniósł się od stolika bardzo przyzwoicie wygrany.

Na ulicy, na owym płatnym parkingu, nie działo się nic kompletnie.

* * *

Malwina, wróciwszy do domu, przeżyła jeden z najcięższych wieczorów w całej swojej egzystencji.

Po drodze przyszło jej do głowy jeszcze kilka pytań, które powinna była temu śledczemu zadać, a także kilka poleceń, którymi należało go uszczęśliwić. Postanowiła natychmiast do niego zadzwonić, nie bacząc na to, że właściwie facet już ma wolne i może nie zajmować się pracą zawodową. Może iść spać albo spotkać się z dziewczyną, albo siedzieć w wannie, albo robić cokolwiek ważnego dla siebie. Nie, takie rzeczy jej nie obchodziły, żadna myśl o cudzych potrzebach nie zaświtała jej nigdzie.

Zostawiła samochód na parkingu tuż obok ich parceli i popędziła do domu. I tu zaczął się dramat.

Gdzie, na litość boską, zapisała ten numer jego komórki...? Miała go z pewnością, skoro do niego dzwoniła, i nie w pamięci, tylko na papierze, w pamięci nie zostało jej nic. Zapisywała... Gdzie zapisywała? !

Zdenerwowała się natychmiast tak, że przez chwilę niczego nie mogła sobie przypomnieć. Zaraz, tylko spokojnie... Dzwoniła z gabinetu Karola, to pewne. Więc chyba tam musiała także zapisywać...?

Rzuciwszy płaszcz na fotel w salonie, zamknęła się w gabinecie i z wielkim mozołem zaczęła sobie odtwarzać własne czynności. Stąd zadzwoniła, tu rozmawiała z człowiekiem, zapisała numer. Na czym...? Oczywiście, wzięła kartkę ze stosu obok drukarki, długopisy tu stoją, użyła któregoś. I co? I zapisała, no dobrze, ale co potem? Co się z tą kartką stało?

Wytrząsnęła na blat biurka całą zawartość torebki. Różne śmieci znalazła, ale upragnionej kartki nie było. Musiałaby zresztą zostać złożona co najmniej na czworo, nie zgniotła jej przecież w kulkę! Może odruchowo włożyła do szuflady...?

Myśl, że Karol mógłby akurat wrócić, zastać ją w gabinecie, grzebiącą w jego szufladach, i wpaść w szał, nie miała teraz do niej dostępu. W zdenerwowaniu zaglądała do wszystkich, jedna była zamknięta, usiłowała ją otworzyć pilniczkiem do paznokci, spinką do

włosów i małymi nożyczkami, męczyła się i przeklinała tego bałwana, kryjącego tu przed nią jakieś tajemnice.. aż dotarło do niej, że skoro szuflada jest zamknięta, nie mogła do niej nic włożyć. Szuka kartki, nie zaś mężowskich tajemnic, kartka jest w tej chwili najważniejsza na świecie!

Nie było jej nigdzie. Na moment Malwina zastygła w skamieniałej rozpaczy. Jakiś dźwięk na zewnątrz, przejeżdżający samochód, wyrwał ją z bezruchu, beznadziejnie obejrzała jeszcze raz cały śmietnik z torebki, schowała go z powrotem po jednej sztuce, po czym nagle zerwała się i popędziła przeszukiwać kieszenie płaszcza. Znalazła złożone w kostkę sto złotych, ale kartki nie było. Przypomniała sobie, że te sto złotych miała dać świętemu Antoniemu za odnalezienie czegoś wcześniej... a, książeczki czekowej... Nic dziwnego, że nie może znaleźć teraz cholernej kartki, skoro jest winna świętemu Antoniemu!

Najsolenniej i ze skruchą obiecawszy oszukanemu świętemu całe pięćset złotych, nabrała nieco nadziei. Powiesiła płaszcz w szafie i poszła przeszukiwać sypialnię. Bez skutku. Popędziła na górę do gościnnego pokoju, tam, gdzie ukryta przedtem Gazetę Wyborczą, bo może i kartkę w to samo miejsce przyniosła, ale wstrętnej gangreny nie było. Gorzej, uświadomiła sobie nagle, że nie ma też strzępka prasy z numerami telefonicznymi agencji! Nie widziała go, nie wpadł jej w ręce wśród rzeczy z torebki, a przecież miała go! Miała! Musiała mieć, skoro dzwoniła do nich!!!

Całą robotę poszukiwawczą Malwina odwaliła ponownie z identycznym skutkiem, po czym usiadła przed kominkiem i zalała się łzami. Tego już było za wiele, same niepowodzenia, same tragedie, same klęski! Szlochała bez żadnego opamiętania, nie mogąc tak na poczekaniu ogarnąć umysłem rozmiaru nieszczęścia, jakie ją dotknęło, ale już wiedząc, że jest straszliwe. Nie tylko straciła kontakt z agencją, ale w dodatku to, co zginęło, może znaleźć Karol...!!!

Pucuś z kąta za kominkiem przyglądał się jej nieodgadnionym wzrokiem.

Helenka w swoim pokoju za kuchnią oglądała telewizję i żadne dźwięki z salonu do niej nie docierały, ale z góry zeszła Justynka. Miała ochotę napić się herbaty, ponadto Pufcia plątała się koło niej i po pomiaukiwała nagląco, więc może chciała coś zjeść. Właściwie Justynka też by coś zjadła.

Łkania ciotki usłyszała już na górze i przestraszyła się mocno. Musiało się coś stać, Malwina płakała dość często, ale nigdy w samotności, zawsze płakała do kogoś, więc tu zachodziło zjawisko nietypowe. Niemożliwe chyba, żeby do tego stopnia urżnęła się na smutno! I w ogóle jej przecież nie było, pojechała gdzieś, na litość boską, czyżby ukradli jej samochód? Albo wszystkie pieniądze i dokumenty...?!

Zbiegła szybko ze schodów, omal nie przewracając się przez kota, i dopadła Malwiny.

- Ciociu, Jezus Mario, co się stało? Dlaczego ciocia tak płacze?
- 0-o-o-kropne! - wyszlochała Malwina. -Jestem taka nieszczęśliiiiiwa!
- Ale dlaczego? Ukradli cioci samochód?

- Z-z-z-gubilam...
- Co ciocia zgubiła? Dokumenty? Pieniądze?
- W du-du-du-pie mam pieniąąądze...!

Informacja była wstrząsająca. Nie wdając się chwilowo w nagłą zmianę osobowości ciotki, Justynka rzuciła się do kuchni. Coś jej należało natychmiast dać, wody może, herbaty, kropli walerianowych...

Zrzuciwszy szklankę z kuchennego blatu, potknąwszy się o kota i upuściwszy do zlewozmywaka elektryczny czajnik, Justynka zmieniła zdanie i popędziła do barku. Koniaku! Bez względu na stan upojenia ciotki, koniak powinien jej pomóc, podobno pomaga zawsze na wszystko. Wyszarpnęła butelkę, chwyciła kieliszek, ominęła jakoś Pufcię, wściekle w tej chwili towarzyską, i ponownie dopadła Malwiny.

Malwina wciąż szlochała rozdzierająco, ale wyglądało to już na ostatnie podrygi. Bez najmniejszego protestu rąbnęła sobie koniaczek, jeden, a potem drugi, po czym łkania zaczęły przycichać. W progu salonu pojawiła się zaskoczona Helenka, która rumory w kuchni zdołała usłyszeć i bez żalu porzuciła ekran, właśnie prezentujący reklamy. Też ją przestraszył stan Malwiny, ale znacznie mniej niż Justynka.

- Pani, słyszę, że coś zgubiła, to już niech pani powie co - zażądała zarazem współczująco i z naciskiem. - Może się to gdzie znajdzie.

Te proste słowa otrzeźwiły Malwinę lepiej niż koniak. Za nic w świecie przecież nie mogła wyznać, co jej zginęło, w razie przypadkowego znalezienia zaginionych kawałków papieru powinna się ich w ogóle wyprzeć. Nawet gdyby Karol je znalazł...

Nagle zaczęła myśleć rozsądnie. Nie, Karol nie, dzwoniła wszak z gabinetu już po jego wyjściu, nie wrócił chyba podstępnie w celu zagarnięcia jej tajemnic. Coś się stało z tymi zapiskami w czasie jego nieobecności, Justynka może znalazła...?

Podejrzliwym okiem łypnęła na siostrzenicę.

- Nie sprzątałaś...?
- Czego nie sprzątałam? - zaniepokoiła się Justynka.
- Śmieci. Tak ogólnie... Nie, nic, notatki takie miałam... - Nagle błysnęło jej światło w mroku. - Składniki... przepis... na maseczkę kosmetyczną. Takie nabazgrane. Chciałam się upiększyć w sekrecie przed wszystkimi i fiu, zginęło mi, zdenerwowałam się okropnie. Myślałam, że wszyscy będą się ze mnie śmiać, że się wygłupiam, więc wcale bym się nie przyznała, a teraz już przepadło...

I Helenka, i Justynka doznały wielkiej ulgi, omal przy tym nie potwierdzając obaw Malwiny. Śmieć stłumiły z dużym trudem,

- Już ja się tam śmiała nie będę - oznajmiła stanowczo Helenka. - Jak co znajdę nabazgrane, to pani oddam i tyle. Pani przestanie płakać, a ja tam wodę wstawię. Na herbatę.
- Nawet gdyby ciocia zrobiła sobie dwadzieścia maseczek, nie widzę w tym nic śmiesznego - zapewniła Justynka, myśląc zarazem, że znacznie bardziej i przydałoby się Malwinie zrzucenie tak przynajmniej piętnastu kilogramów. - Poza tym różnych przepisów jest zatrzęsienie, w każdym kolorowcu dla bab.
- Ten był bardzo specjalny - chlipnęła Malwina i wylazła z fotela, zdecydowana martwić się bardziej kameralnie. Niepotrzebnie aż do tego stopnia straciła równowagę, ale w gruncie rzeczy te gorzkie szlochy nieco ją pocieszyły.

Razem z Justynka usiadła przy stole, bo żaden stres nie potrafił odebrać jej apetytu. Przeciwnie, każdy dodawał. Znalazła temat, który mógł odwrócić uwagę od osobistych doznań i przeżyć.

- Popatrz, mówiła mi dzisiaj Agata, że jej kuzyn płacił okup złodziejom i odzyskał samochód - rzekła jakby trochę zachęcająco. - Ale nie poznał ich osobiście.
- Osobiście to ich wszyscy znają - odparła Justynka, od razu zainteresowana. - A jak to się odbyło? To płacenie okupu?

Z wielkim ożywieniem Malwina przekazała siostrzenicy wieści od Agaty. Justynka słuchała chciwie i potwierdziła ostatni pogląd.

- Drobne płotki. Zorganizowane mafie w takie detale się nie wdają...
- Czekaj, zaraz - przerwała jej Malwina. - Co ty powiedziałaś, że ich wszyscy znają? Co to znaczy? Wszyscy to kto?
- Kto chce, nie wspominając o policji.
- Jak to, kto chce? To jak się ich poznaje?
- Na giełdzie. Samochodowej. Jest taka wielka giełda, chyba w niedzielę się odbywa, gdzieś koło Grójca, w jakimś Sławkowie czy Sławczynie. Wszystko tam można dostać, a złodzieje podobno sami oferują swoje usługi. Wystarczy przyjechać czymś porządnym i rozejrzeć się dookoła baranim wzrokiem. I już są pod ręką. Tak słyszałam.

Malwina poczuła w sobie wybuch gorąca. Do diabła z kartkami, tu oto uzyskuje od własnej siostrzenicy informację najcenniejszą, bardzo dobrze, że się rozpłakała przed kominkiem, proszę, jest korzyść!

Myśl, że informację mogłaby uzyskać także i bez płaczu, jakoś jej nie zaświtała. Nie przywykła jeszcze do tego, że mała Justynka dorasta, kształci się w wysoce interesującym zawodzie i zdobywa wiedzę o życiu większą niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Ugryzła się w język, żeby nie pytać zbyt dużo, Justynka mogłaby się czegoś domyślić. Do tego jakiegoś Sławkowa chyba sama trafi...?

Co do zagubionych numerów telefonicznych, znalazła wyjście. Pójdzie tam po prostu jeszcze raz i dostanie wszystko co trzeba. A na razie, skoro Justynka i Helenka zwróciły na nią baczną uwagę, o co się sama głupio postarała, da sobie spokój z dewastacją bramy i załatwi to jutro. A może nawet pojutrze, bo przedtem warto znaleźć złodziei...

* * *

Wbrew obawom, do celu Malwina trafiła z łatwością. Błonie potwornych rozmiarów, całe zapchane samochodami, rozciągało się wzdłuż szosy i trudno je było przeoczyć. Jeszcze trudniej wjechać na nie.

Skręciła, znalazła się na drodze dojazdowej do wielkiej bramy i na tym był koniec. Dalej zrobiło się za ciasno, przynajmniej dla niej. Zatrzymała się beznadziejnie i tkwiła w miejscu, nie gasząc silnika i nie mając pojęcia, jak w tym całym galimatiasie rozpoznawać złodziei. Pójść piechotą, podglądać, podsłuchiwać...? Ale nie zostawi przecież samochodu na samym przejeździe, a o zaparkowaniu w ogóle mowy nie ma!

Nie musiała wcale udawać zbaranienia, przyszło jej to samo. Z otępiałym wyrazem twarzy stała tak długo, aż podszedł do niej jakiś facet i pochylił się ku okienku, pukając w szybę. Malwina ją opuściła. Facet wyglądał sympatycznie, młody był, koło trzydziestki, ubrany wręcz elegancko.

- Szanowna pani ma jakieś kłopoty? - spytał grzecznie.
- Chciałam tam wjechać - odparła Malwina bezradnie.
- O tej porze? Co też pani...? Tu od piątej rano ludzie się ustawiają. Chce pani kupić czy sprzedać?

Z całej siły Malwina starała się oprzytomnieć. Nie powie mu przecież, że chce znaleźć złodziei samochodowych i nawiązać z nimi dyplomatyczne kontakty!

- Ja... Chciałam zobaczyć, co tu jest...
- Tu jest wszystko. Pani coś do wozu potrzebne? Czy może z innych rzeczy?
- Tak w ogóle... Mnie jaguary interesują...

Podszedł jakiś drugi, nieco starszy, trzeci popukał w szybę z prawej strony. Malwina opuściła ją również.

- Pani musi stąd odjechać, bo tarasuje pani drogę.
- Zaraz - rzekł pierwszy i wyprostował się. Pani ma kłopoty..
- Było wcześniej przyjechać!
- Moment. Wszystko się załatwi. - Znów pochylił się do okienka. - Stówę kosztuje.

Nie mając pojęcia, co kosztuje stówę, Malwina kiwnięciem głowy wyraziła zgodę. Faceci zaczęli uzgadniać rzecz między sobą.

- Zrób tam pani miejsce... Pani podjedzie jeszcze kawałek, kolega wyjedzie, a pani stanie. Za tym żółtym mikrobusem, o, tam!

Wcale nie chcąc parkować za żadnym żółtym mikrobusem, Malwina spełniła polecenie. Z wysiłkiem wjechała w ciasnotę, zapłaciła sto złotych i zaczęła wysiadać.

- Pani zamknie te okna, bo ruch duży - ostrzegł pierwszy opiekun.

Malwina nagle oprzytomniała.

- E tam - powiedziała z irytacją, podnosząc jednak szyby. - Nissan, wielkie rzeczy. Gdyby to był nasz jaguar, to jeszcze...
- Pani sprzedaje jaguara? - zainteresował się ów kolega, który zdążył zrobić ze swoim pojazdem coś niepojętego, gdzieś go zmieścił tajemniczym sposobem i właśnie wrócił.
- Pani się interesuje - zakomunikował z naciskiem pierwszy.
- Bo co...?

Malwina podjęła wreszcie decyzję. Postanowiła odpowiadać na wszystkie pytania, niekoniecznie szczerze, ale za to głośno. Skoro ci złodzieje gdzieś tu są, możliwe, że usłyszą i jakieś wnioski sobie wyciągną. Adres poda prawdziwy i wymieni wszystkie miejsca krótszych i dłuższych pobytów Karola.

Ktokolwiek znajdował się w pobliżu niewielkiej grupki, przesuwającej się w głąb targowiska, w kierunku dwóch jaguarów na sprzedaż, mógł się bez trudu dowiedzieć, że Karol Wolski jaguara posiada, prawie całkiem nowego, że się nad nim trzęsie jak barani ogon, że czasem parkuje koło domu, na zewnątrz, ponadto bywa na Mokotowskiej, na Wspólnej, na Racławickiej i w paru innych miejscach, że ma wszelkie możliwe zabezpieczenia elektroniczne, a w ogóle to żona przyjechała kupić dla niego sztucznego węża, który, wyłażąc z pudełka, mógłby wystraszyć ewentualnych złodziei. Bo podobno tutaj wszystko można dostać...

To ostatnie okazało się szczerą prawdą i w rezultacie Malwina odjechała z giełdy po trzech godzinach bez węża wprawdzie, ale za to z czarnym zamszowym kostiumem, zdecydowanie na nią za ciasnym, i antycznym, srebrnym pierścieniem, bardzo drogim, który później, ku jej własnemu zdumieniu, okazał się autentykiem, a nie imitacją.

W swoim przekonaniu, zresztą całkiem słusznym, kontakty ze złodziejami nawiązała. Tyle osób tam ją zaczepiało i zadawało pytania, z tyloma rozmawiała, i taki tłum się pętał dookoła, że złodzieje w nim musieli być. Nie okradli jej osobiście, musieli zatem zaakceptować porozumienie.

Do domu wracała możliwie wolno, bo jeśli ktoś nie dosłyszał adresu, niech ma szansę spokojnie ją pośledzić.

* * *

Dokonawszy jednego posunięcia, przystąpiła do następnego, musiała wszak przygotować złodziejom obiecany warsztat pracy. Dzień i chwila wydawały się wymarzone, Justynka na wykładach, Karol w pracy Helenka została wypchnięta do sklepu po rzekomo zapomniane przez Malwinę brokuły. Tuż przedtem Malwina przezornie umyła i zakręciła włosy, nie mogła zatem udawać się teraz na miasto, choćby to był nawet tylko Służew, z bałwanami na głowie albo w ręczniku, musiała skoczyć Helenka. Potrzebne im były te brokuły jak dziura w moście i przejęta dziko zamierzonym dziełem Malwina, mimo wysiłków, nie umiała wykombinować żadnej potrawy, do której okazałyby się niezbędne. W rozpaczy postanowiła zjeść je sama, zamiast obiadu, jako produkt odchudzający, żeby Helenka nie nabrała jakichś podejrzeń.

Dla Helenki już sam pomysł odchudzania, w odniesieniu do jej chlebodawczyni, był podejrzany, ponadto nierealny, ale poszła.

Ledwo zniknęła z oczu, Malwina wyjechała swoim nissanem za bramę.

Wysiadła, rozejrzała się, dookoła było pusto. Z bijącym sercem wykapała z buteleczki lakieru kilka kropel w miejsce, ewidentnie stanowiące prowadnicę. Prowadnica czy nie, wszystko jedno, jak się to świństwo nazywa, w każdym razie tędy przesuwają się cholerne wrota. Lakier... do diabła, rzadki ten lakier, za świeży, należało może poczekać, aż zgęstnieje, ale to by potrwało parę miesięcy... No nic, niech zastygnie, nakapie dwa razy.

Symulując różne rzeczy, wnikliwe oglądanie wschodzących roślinek i zachmurzonego nieba, kłopoty z obcasem pantofla, konieczność powrotu do drzwi wejściowych i tym podobne głupstwa, Malwina odczekała swoje. Pomacała zastygłą grudeczkę. Dawała się wyczuć, była twarda. Z wielką uwagą dokapała jeszcze trochę, bezbarwny lakier spełniał swoje zadanie przynajmniej w tym, że był niewidoczny. Poczekała drugie tyle, w czym dopomogła jej Pufcia, która pojawiła się w ogrodzie, z daleka było widać, że Malwina zapędza kota do wnętrza budynku. Zdziwiona i urażona nieco Pufcia, mająca dotychczas pełne prawo do świeżego powietrza, z niechętnym miauknięciem zniknęła w drzwiach, Malwina teraz dopiero wsiadła z powrotem do samochodu, symulując zamiar odjazdu. Z bijącym sercem, w napięciu, bez tchu, przytknęła pilotem od bramy. Brama ruszyła majestatycznie, skrzydło dojechało do połowy swojej drogi i z lekkim drgnięciem zatrzymało się.

Malwinie tego tchu zabrakło doszczętnie.

Po trzech sekundach znieruchomienia przytknęła pilotem ponownie. Skrzydło ruszyło wstecz i brama stanęła otworem. Kolejne przytknięcie dało efekt identyczny jak poprzednio, skrzydło stanęło w połowie i najwyraźniej w świecie było z tego bardzo niezadowolone. Delikatne drgania wskazywały, że pcha się na właściwe miejsce, przemagając jakąś przeszkodę i nijak nie daje jej rady.

Teraz już Malwina miała prawo zareagować jawnie. Złapała dech, doznała niemal skoku upojenia, jeszcze odrobinę niepewnego. Demonstracyjnie prezentując zdumienie i niepokój, chociaż była święcie przekonana, że nikt jej nie widzi, wysiadła i obejrzała bramę z bliska. Niepokój, i to ten prawdziwy, wzrósł w niej gwałtownie, całą sobą bowiem poczuła, że cholerna brama prędzej czy później przeszkodę przemoże. Przepchnie się ścierwo przez tę malutką górkę lakieru i rozdyźda ją pod sobą własnym ciężarem, ależ to do kitu, bramę należy zatrzymać nieodwołalnie i gruntownie!

Kryjąc w dłoni buteleczkę, Malwina kropnęła od serca, najpierw na pierwszą górkę, a potem obok, tworząc drugą. Niech to szlag trafi, przez jedno przejdzie, na drugim się zatrzyma. Teraz już może wyczyniać wszelkie sztuki, brama jej się zepsuła, głupio czy nie, ale próbuje sprawdzić, o co temu urządzeniu chodzi. Bez pośpiechu, z przerwami, obejrzała wszystko, co

mogła, całe to żelazne ustrójstwo, z rozpędu przypatrzyła się pilnie nawet żarówkom, oświetlającym wjazd, podstępnie dokapała jeszcze trzecią grudkę, nie zaniedbując pierwszej i drugiej. Zatroskała się nawet, czy te piegi lakieru nie zaczną być widoczne, ale nie, palcami dało się je wymacać, w oko nic wpadały. Że Karol nie będzie nic macał, było pewne, schylanie się sprawiało mu trudność, chwalić Boga, był za gruby do takiej parterowej gimnastyki.

Rzecz oczywista, w obliczu otwartego domu nie mogła już nigdzie jechać. Siedząc w samochodzie i udając, że się martwi, Malwina sprecyzowała wreszcie swój pozorny zamiar, mianowicie gonić Helenkę, żeby kupiła także wątróbki drobiowe, wątróbki rzeczywiście były potrzebne do nadzienia zawijanych zrazików z kurzej piersi. Uczciwie mówiąc, kurza pierś doskonale mogła się obejść bez żadnego nadzienia, ale do wymyślnych potraw Helenka była przyzwyczajona i żadnych głupich podejrzeń nie mogło jej to nasunąć. A kurzą pierś, jako taką, trzeba będzie przyrządzić ekstraordynaryjnie, bo inaczej Karola mogłaby trafić apopleksja. Tylko apopleksja, nie rzetelny szlag, niestety, po czym Malwina miałaby sama kłopoty.

Odstawiła wreszcie samochód na ogólny parking tuż obok i wróciła do domu, pozostawiając bramę całkowicie otwartą. Bała się, że wysiłki urządzenia pchającego się do zamknięcia, dadzą jakiś idiotyczny rezultat, a im dłużej potrwa oczekiwanie, tym lepiej lakier stwardnieje.

-A cóż to się stało? - spytała zdumiona Helenka, wszedłszy do domu ze zbędnymi brokułami. - Tak całkiem wszystko stoi otworem, pani zamknąć zapomniała?

Na to pytanie Malwina była przygotowana w pełni.

- No więc właśnie, wyskoczyłam za Helenką, bo zapomniałam o wątróbkach drobiowych do nadzienia, i niech Helenka popatrzy, coś się zepsuło, nie i chce się zamknąć ta brama. Coś okropnego, kawałek się zamyka i dalej nie idzie. W ogóle nie wiem, co robić, próbowałam, o...!

Nerwowo prztyknęła pilotem przez otwarte okno. Brama powtórzyła przedstawienie, Malwina niemal się trzęsła z chęci przekonania Helenki, iż nastąpił jakiś dopust boży, otworzyła skrzydło.

- I tak się boję to pchać, bo czy ja wiem, coś tam trzaśnie albo co, więc już lepiej niech będzie otwarte...

- Zacięło się?

- No zacięło chyba i tylko do połowy dochodzi.

- To pan Karol niezadowolony będzie - zaopiniowała Helenka po namyśle. - Znaczy wjechać można, ale zamknąć się nie da?

W tym momencie Malwina uświadomiła sobie, jaki idiotyzm udało jej się popełnić. No i cóż z tego, że zamknąć się nie da, wrota garażowe działają sprawnie, Karol wjedzie do garażu, zamknie za sobą i cześć. Brama pozostanie otworem, ale samochód bezpieczny, najwyżej do domu przestępcom łatwiej się będzie wedrzeć.

No tak, ale z żadnymi włamywaczami kontaktu nie nawiązała. Tylko ze złodziejami, których zainteresował jaguar...

Aż ją zdławiło w środku. Tyle wysiłków, tyle starań i chała. Nie zdołała się opanować, łzy same pociekły jej z oczu, dała sobie folgę i wybuchnęła płaczem. Helenka się wzruszyła, miała dobre serce, odłożyła torbę z brokułami, wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Może to ręką popchnąć, może się zacięło tylko trochę? Tam piasek jaki albo co? Pani otworzy, a ja bym popchnęła.

- Kiedy ja się boję tej elektroniki, na siłę to się do reszty zepsuje!

Helence osobiście brama, jako taka, wielkiej różnicy nie robiła. Włamywaczy się nie bała, nie była strachliwa i niewiele miała do stracenia, poza tym włamywacze w ogóle do głowy jej nie przyszli.

- To zaraz, nie tak. Najpierw z obiadem załatwimy, żeby to już było gotowe, a potem zobaczymy, co z bramą. Już niech pani nie płacze, zawsze może się zdarzyć, a i tak zadzwonić i człowiek przyjdzie. A obiad ze łzami, to na nic. I pan Karol się wiecej zdenerwuje.

Wypowiedź miała sens, co nie przeszkadzało, że Malwina wciąż czuła się ciężko skrzywdzona. Siąkajać nosem i ocierając oczy, spróbowała skupić się na pożywieniu. Pewnie, że w tej sytuacji należało Karola nakarmić.

Gotowy posiłek czekał, kiedy we dwie z Helenką jęły szarpać przeklętą bramę. Lakier nie okazał się niezniszczalny, za którymś szarpnięciem skrzydło poszło dalej i prawie się zamknęło ku satysfakcji Helenki i utrapieniu Malwiny. Po czym Malwina spróbowała je otworzyć.

I tu nastąpił jakby cud. Skrzydło przelazło kawałek i odmówiło współpracy. Zatrzymało się. Malwinie błysnęło, że cóż to za firma, tylko tej firmy kosmetyki będzie kupować, nie rozproszkował się ten lukier doszczętnie, nadal stanowi przeszkodę, arcydzieło! To uczynił, czego ona nie potrafiła, oby jeszcze potrzymał troszeczkę, jutro się coś wymyśli...

- Niedobrze - zatroskała się Helenka. - Pan Karol będzie więcej zły.

W tym momencie pojawiła się Justynka. Już z daleka widziała jakiś ruch przy bramie, Helenka szarpała ją bowiem to od wewnątrz, to z zewnątrz, teraz pozostała od strony ulicy. Malwina prztykała pilotem ostrożnie i z namysłem, wrota okazywały coraz mniejszy opór. Justynka zatrzymała się przed furtką.

- Co się stało? Coś nie tak z bramą? Pilot cioci nawala?

Znów Malwina doznała przypływu pamięci. Przecież, do stu piorunów, natychmiast po zepsuciu bramy miała wrzucić tego cholernego pilota do wody! Niechby Karol sam sobie prztykał! Znów ją trochę zadławiło, zbliżyła się do nie domkniętej bramy.

- No coś się stało takiego... - zaczęła żałośnie.

W tym momencie Justynce urwał się guzik. Widząc popychającą wrota Helenkę, chciała jej pomóc, rzuciła swoją torbę na ziemię i też popchnęła. Guzik od kurtki ledwo się trzymał, co zauważyła wcześniej, ale o czym zapomniała, teraz odpadł, a razem z nim odpadł maleńki guziczek, trzymający go od lewej strony. Duży guzik Justynka dostrzegła, owego zabezpieczenia już nie i mikroskopijny, plastykowy, przezroczysty krążek wpadł w prowadnicę.

Na zupełnie bezsensowne i bezskuteczne wysiłki nadjechał Karol, bardzo głodny, nastawiony na skonsumowanie obiadu. Swoją posiadłość ujrzał niedostępną. Brama otworzyła się na dziesięć centymetrów i dalej iść nie chciała, o żadnym wjeździe do środka nie było mowy, a trzy baby stały obok bezradnie.

Nie powiedział ani słowa. Ustawił samochód w połowie na wąskim chodniczku i wysiadł. Przez chwilę patrzył na oporne urządzenie, po czym przez furtkę wkroczył na ścieżkę i wszedł do domu, nie słuchając żony, która zaczęła od razu:

- No popatrz, coś się zrobiło, ona się zepsuła nie chce się otworzyć, a przedtem nie chciała się zamknąć, ja się nie znam, sam popatrz, nie wiem co teraz...

-Ja bym lepiej obiad podała - poradziła ostrożnie Helenka i podążyła za panem domu.

Justynka uczyniła to samo. Podniosła torbę, znalazła guzik i ruszyła ku drzwiom,

- Niech ciocia da spokój na razie - powiedziała półgębkiem.

Malwina zlekceważyła dobre rady. Nadal stała przy bramie, mówiąc cokolwiek, myśl bowiem miała zajętą pilotem. Wrzucić go do wody od razu, symulując niezręczność, bo ze zdenerwowania ręce jej się trzęsły, czy wykąpać ukradkiem, tak żeby nikt nie widział, i potem twierdzić, że nic podobnego, nic nie wie zepsuł się sam z siebie...

Sąsiad nadjechał i zwolnił przy niej, od drugie strony nadbiegł ów Sławcio, któremu niegdyś należało odrąbać łeb, a który dziś zbliżał się do matury, ktoś tam jeszcze podszedł bliżej, wysiłki Malwiny, uparcie tkwiącej na zewnątrz, wzbudziły zainteresowanie raczej średnie, niemniej jednak jakieś wzbudziły. Wszyscy tu mieli bramy otwierane elektronicznie, awaria

zatem trochę niepokoiła. Malwina chętnie udziela wyjaśnień, nie kryjąc wcale łez w oczach.

Z domu wybiegła Justynka.

- Ciociu, niech ciocia da spokój, obiad na stole! To się później załatwi, wujek i tak zaraz odjeżdża, trzeba będzie zadzwonić...

Stojący niejako na skraju małego tłumku, Konrad Grzesicki doznał ulgi. Nareszcie dowiedział się, kim jestdla tej dziewczyny jego podopieczny, wuj, pasowało, owszem, na wuja wyglądał. Co im się tam stało z tą bramą, nie musiał wnikać, ale problem zaciekawił go prywatnie. Z wielką uwagą wysłuchał rozmaitych supozycji, nie chciał badać ustrojstwa osobiście, żeby się nie rzucać w oczy, ale podejrzewał po prostu śmieć w prowadnicy. To stara brama, sprzed kilkunastu lat, szkodzi jej wszystko, piasek, lód, byle gwoździk, lepsze są te nowe, z przeciwwagą.

Wrócił do swojego samochodu, kiedy sąsiedzi rozeszli się do siebie.

Malwina znalazła wyjście. Wbiegłszy do domu, popędziła do łazienki myć ręce, z determinacją wetknęła pilota pod kran, po czym starannie wytarła go ręcznikiem. Najmniejsza kropelka wody nie była już widoczna na zewnątrz, w środku jednakże, taką miała nadzieję, dokonały się zniszczenia nieodwracalne. W ten sposób, nawet w razie przybycia człowieka z serwisu, jej pilotem cholernej bramy nie da rady ruszyć i może także nie da rady naprawić...?

Doskonale wiedząc, skąd się wzięła pierwotna awaria, sama już teraz nie rozumiała przyczyn zwiększonych fanaberii urządzenia, ale to jej nic nie szkodziło. Przeciwnie, im gorzej się to ścierwo zachowuje, tym lepiej, o działalność skomplikowaną technicznie z pewnością nikt jej nie posądzi.

Karol, ku ogólnemu zdumieniu, zachowywał się normalnie i nawet dość miło. Awaria bramy nie wstrząsnęła nim zbytnio, nie po raz pierwszy przeszkoda w prowadnicy utrudniała otwieranie, chociaż zazwyczaj działo się to w zimie, kiedy w małym rowku gromadził się lód. Lód się rozpuszczał pod wpływem tarcia i specjalnego ogrzewania tego całego żelastwa, po czym brama ruszała swobodnie. Teraz też coś tam wpadło, ktoś będzie musiał to wydłubać, jemu samemu się akurat nie chciało, poza tym był umówiony i zaraz po obiedzie zamierzał odjechać. Wróci w nocy i w najgorszym razie ustawi się na parkingu, a ochrona na już dopilnuje, żeby się nic nie stało.

- Zadzwoń do serwisu i niech przyślą faceta - rzekł do Malwiny. - Rewelacyjne krokieciki, dlaczego się tego nie robi częściej...? Trzeba wyłączyć prąd i przeczyścić prowadnicę, załatw to najdalej do jutra,

- Dlaczego ja? - wyrwało się z urazą Malwinie zanim zdążyła zastanowić się, co mówi.

- Bo ja za to płacę - odparł Karol zimno. - Jeśli wolisz odwrotnie, proszę bardzo.

Malwina już otworzyła usta, żeby zaprotestować, technicznymi sprawami zajmuje się w domu mężczyzna, kto to widział, żeby wszystko spadało na nią, załatw to, załatw tamto, nienawidziła załatwiania! Zreflektowała się jednak w ostatniej chwili, nie mogła teraz się z nim kłócić, ma przecież robić za kochającego anioła.

- Nie wiem, gdzie zadzwonić - powiedziała żałośnie, z trudem kryjąc niechęć. - Skąd ja wezmę taki serwis od bramy?

- Z książki telefonicznej. Albo z gazety, pełno ich reklam. Ostatnio polubiłaś czytanie prasy.

- Ale myślałam, że ktoś wie, który najlepsza Trafię na taki byle jaki i co?

- Nic. Wykopiesz go i wezwiesz inny.

- Ale myślałam, że ty wiesz, bo przecież ich używacie...?

Urwała nagle, uświadomiwszy sobie, że firma Karola rzeczywiście musi mieć kontakty z rozmaitymi serwisami, robią przecież wszystko z bramami właśnie. Nie daj Boże, Karol sam przyśle doskonałego fachowca, fachowiec w mgnieniu oka zniweczy jej dzielo i będzie musiała wszystko zaczynać na nowa może nawet rozpozna, że wykąpała pilota...

Na szczęście Karol nie rwał się do korzystania usług własnych. Temat bramy uznał za wyczerpany, i zajął się kotem, który wskoczył mu na kolana i wąchał ostatni kawałek kurzego krokiecika na najbliższym talerzu. Został nim poczęstowany, pozwolono mu jeść smakołyk, co uczynił bez pośpiechu i z godnością. Kartofelka nie chciał.

-Które ty jesteś...? - zainteresował się Karol. - A, Pucuś. Pufcia tam... No i czego sam żresz, a siostrzyczce nie dasz? Ona też człowiek... Pufcia, chodź tu, ici, kici... Proszę...

Po kąsek dla Pufci sięgnął do półmiska, odciął jej kawałek, a resztę pożarł sam. Pufcia zgodziła się zjeść krokiecika z podłogi.

- I cóż to się stało, że jesteś taki zadowolony? - spytała Malwina z lekką urazą. - Masz dzień dobroci dla kotów czy jakaś pomyślność cię spotkała? Bo mnie wręcz przeciwnie. I nawet cię nie obchodzi, co ja tu przeżyłam i jak się okropnie zdenerwowałam, a tobie, ciekawa jestem, co się tak udało?

Karolowi, wbrew obawom, udało się wygrać przetarg i zdobyć zlecenie na całe centrum turystyczno-medyczne w les Sables, nad Atlantykiem, w połowie finansowane przez Amerykanów, ale o tym opowiadać nie miał najmniejszego zamiaru. I zwierzać się nie lubił, i do pieniędzy wcale nie chciał się przyznać, Ponadto zarówno ton żony, jak i treść jej słów zirytowały go od razu i obudziły przygłuszoną na chwilę niechęć. Czy ta kretynka nigdy nie odezwie się jakoś tak, żeby człowiekiem nie zatrzęsło? Nie, nigdy, to beznadziejne, jest z nią coraz gorzej, należy się z nią jednak rozwieść i nie słyszeć więcej tego jojczenia nad głową. Rozwieść, cholera... I dzielić pieniądze... I całą egzystencję organizować na nowo...?

Gdyby Malwina zwykłym, ludzkim głosem, z życzliwym zainteresowaniem i chwilowym pominięciem siebie, spytała, na przykład: "Hej, coś ci wyszło...?", albo równie zwyczajnie ucieszyła się, że pewnie mu coś wyszło i chwała Bogu, bo to przebije bramę, Karol roześmiałby się zapewne i przyświadczył. Może nawet obiecałby, że wróci na kolację i razem, przy winie, uczczą jego sukces. Z Malwiny jednak wychodziło coś, czego nie mógł już znieść, jakaś bezustanna pretensja, natręctwo, kąśliwość i wścibskość, jakieś nachalne pragnienie, żeby mówić o niej, zajmować się nią, jej doznaniami, jego potrzeby upychając po kątach. Kto, do stu diabłów, powinien być ważniejszy w tym domu...?!

- Tobie, o ile wiem, też się udało - rzekł zimno, - Zepsuć bramę. Jest deser?

- Jest - odparła Malwina natychmiast. - Jabłka w cieście. Możliwe, że też mi się udało je zepsuć.

"Na litość boską, czy oni nie potrafią zamienić ze sobą dwóch normalnych zdań? - pomyślała Justynka z irytacją. - Tym razem to ciotka. Spaskudziła dobry nastrój...".

Malwinie znów przypomniało się nagle, że po winna demonstrować wielką miłość i zbyt późno ugryzła się w język. Zerwała się od stołu.

- Och, dobrze już, dobrze. Jabłka w cieście są doskonałe. I z bitą śmietaną, tak jak lubisz. Wolisz do nich kawę czy herbatę?

- Nie musisz się tak okropnie starać o to, co ja lubię. Rozwód zdejmie ci z głowy te nadludzkie wysiłki. Kawę.

"Wuj musi być dzisiaj rzeczywiście w przecudownym humorze - pomyślała znów Justynka. - Nie ryknął, nie przewrócił krzesła, nie szepcze tak okropnie, nie wyszedł... Ale jeśli teraz ciotka zacznie płakać...".

Też się podniosła.

- Niech ciocia siedzi, ja podam. I zrobię kawę.

- Herbatę też - powiedział Karol tak jakby do Pufci pod stołem.

- Herbatę też - zgodziła się Justynka. - W dzbanku, żeby była gorąca.

Malwina stała przez chwilę w bezruchu, a w oczach już. jej wzbierały potoki łez. Nie wiedziała, co zrobić, w końcu zabrała ze stołu talerze i wyszła do kuchni. Z martwą twarzą popatrzyła przez okno, ujrzała nie domkniętą bramę i zdołała się

opanować.

- Tym ludziom od serwisu trzeba będzie zapłacić powiedziała zupełnie zwyczajnym głosem, wróciwszy do stołu. - Nie wiem ile. Może byś zostawił tu jakieś pieniądze?

- Przelałem już na konto i możesz płacić czekiem - odparł Karol też zupełnie zwyczajnie, chociaż po sekundzie wewnętrznego oporu. - Czy tych krokiecików jeszcze trochę zostało?

- Zostało. Chcesz dla kota?

- Nie, dla siebie. Jeszcze bym to zjadł na kolację. Z czerwonym winem.

Justynka postawiła na stole deser i usiadła. Kamiennie milcząca Helenka wniosła na tacy kawę i podgrzewany dzbanek z herbatą. Malwina znów nie wytrzymała.

- Czy to znaczy, że raczysz mnie zawiadamiać, że będziesz w domu jadł kolację? Mogę jeszcze wiedzieć, o której godzinie? Bo coś słyszałam, że po dobno wychodzisz?

- I miałaś nadzieję, że wyjdę i nigdy nie wrócę Zdawało mi się, że mieszkam tutaj. Kotku, gdzie ja mieszkam? - zwrócił się Karol do Pucusia, który wciąż siedział mu na kolanach i zaczynał pomrukiwać.

- Tutaj wujek mieszka - powiedziała Justynka dobitnie, bo też nie wytrzymała, ponadto wyraźnie czuła, że za chwilę ciotka wyrwie się z czymś przerażającym, co wywoła awanturę kosmiczną.

Szampański humor Karola trwał w głębi jego duszy Przed sobą miał wyjazd do Francji, negocjacje, które uwielbiał, i wielką forsę, która pozostanie w ukryciu Z zainteresowaniem popatrzył na siostrzenicę.

- Jesteś pewna? Zatem chyba wrócę? Wcześniej czy później, ale mięso przez ten czas nie zdąży się zaśmierdnąć? Lodówka jeszcze nie została zepsuta?

- Nie, ale nic straconego. Gdyby wujek sobie życzył, mogę spróbować ją zepsuć, chociaż nie wiem, czy mi się uda. Nie znam się na tym.

- Justynka dotychczas jeszcze nigdy nic nie zepsuła - wtrąciła z godnością Malwina.

- W przeciwieństwie do swojej ciotki - podchwycił Karol natychmiast, z przyjemnością konsumując jabłeczne placuszki. - Osobiście też nie wiem, jak się psuje lodówkę, ale myślę, że kilka różnych prób dałoby rezultaty. Jeśli masz na to ochotę...

- Wcałe nie mam. Tylko na specjalne polecenie wujka.

- Zatem nie zadawaj sobie tego trudu. Czy to już wszystkie pytania?

Justynka miała wrażenie, że wuj sam nadaje rozmowie ton pytający, ale wolała się z nim nie sprzeczać. No, zdaje się, że ciotka też się troszeczkę przyłożyła...

- Osobiście nie mam więcej - zapewniła grzecznie, co wuja wyraźnie rozweseliło, ale nic już nie powiedział.

Malwina w jego nastroju nie mogła się połapać. słowo "rozwód" kolnęło ją w samo serce, zarazem jednak zachowywał się przecież bez porównania przyzwoiciej niż ostatnimi czasy, więc co to miało znaczyć? Z tą swoją tłumaczką nie spotykał się na mieście i nie bywał u niej, co najmniej od tygodnia, od chwili rozpoczęcia inwigilacji, tyle wiedziała, do domu zamierzał wrócić na krokieciki, nie do pojęcia, co się tam w nim kotłuje. A ona...? Co się w niej kotłuje, nie obchodzi go wcale, z Justynka rozmawia prawie jak z człowiekiem, a z nią...?

Nie mogła, po prostu nie mogła być taka cicha i bezwonna, też się przecież liczyła! Co on sobie właściwie...

Karol podniósł się od stołu i z kotem w objęciach ruszył do gabinetu. Chciał przemyśleć nowy kontrakt, poupajać się nim, rozważyć swoje możliwości, i nie miał namniejszej ochoty na dyskusje z żoną.

W drzwiach się odwrócił.

- Herbaty - powiedział głośno i całkiem spokojnie.

Malwina zerwała się za nim. Już miała na ustach łzawe i kąśliwe komentarze, pretensje, jeden wielki krzyk urazy, kiedy znów ją zastopowało. Zaraz, musi to znieść. Poza tym brama...!

Bardzo dobrze, zaniesie mu herbatę. I nie odezwie się ani słowem!

Co uczyniła, tym sposobem idealnie i bezwiednie spełniając życzenie męża.

Zważywszy, iż prasy codziennej w domu nie było, a gwarancja na bramę dawno już stała się nieaktualna, pomocą musiała posłużyć Justynka. Zadzwoniła najpierw do paru kumpli, a potem do informacji miejscowej. Zdobyła dla ciotki kilka numerów telefonicznych akurat w chwili, kiedy Karol wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał.

Ku wielkiej uldze Malwiny okazało się, że człowiek z serwisu może przyjechać dopiero jutro, bo dziś już za późno. Wszyscy są na mieście, zajęci. Umówiła się na dziesiątą i z satysfakcją odłożyła słuchawkę.

Nie wytrzymała jednakże z prostej ciekawości. Pomogła ta kąpiel pilotowi czy nie? Wyszła na zewnątrz i przytknęła guzikiem od wrót garażowych.

Jak było do przewidzenia, wrota ani drgnęły. Satysfakcja Malwiny wzrosła, teraz już Karol będzie musiał zostawić samochód na parkingu i może ci cholerni złodzieje go wypatrzą. Ochroniarze... no to co, że ochroniarze, nie tkwią przecież tutaj bez przerwy, mają do penetracji całe osiedle, może akurat znajdą się gdzie indziej. Należałoby zająć ich czymś na drugim końcu...

Zapomniawszy zupełnie, że wcale nie na utracie jaguara tak jej zależy, tylko na ciężkim uszkodzeniu Karola, który w najmniejszym stopniu nie przejawia skłonności do osobistego udziału w żadnych mordobiciach, uznała, że uczyniła już wszystko. Korciło ją jeszcze tylko to zajmowanie ochroniarzy na drugim końcu, może powinno się im pomóc? Wybić czyjąś szybę albo co... Włamać się z hałasem do czyjegoś pustego domu... Zdemolować czyjś samochód, o ile jakiś stoi na zewnątrz, przy ulicy...

Nie chciało jej się lecieć taki kawał i odwalać ciężiej pracy własnoręcznie, z łatwością zatem przekonała samą siebie, że w zajmowaniu ochrony uczestniczyć nie może, bo musi wszak mieć alibi pod każdym względem i we wszystkich fazach operacji "zabić nęża". Należałoby namówić do tego podstępnie jakąś inną osobę. Kogo? Justynka odpada, jest wściekle praworządna, ktokolwiek miałby się tam wygłupiać, nusi mieć wyraźny powód. O...! Zazdrosna żona! Albo zazdrosny mąż!

Wzięła sobie z lodówki puszkę piwa i usiadła w ulubionym miejscu w salonie. Myśl jej pobiegła dziarsko.

Na drugim końcu osiedla, prawie przy alei Wilanowskiej, mieszka ta Larczykowa. Sama mieszka. W każdą i żonę da się wmówić, że mąż z nią romansuje, a wcale nie jest wykluczone, że romansuje z nią rzeczywiście ze dwudziestu rozmaitych mężów. Bogata baba, ma własny gabinet dentystyczny, chciwa potwornie, o tym wszyscy wiedzą, i coś ma w sobie takiego, że każdy chłop na nią poleci. Tyle że tanio mu to nie wypadnie, dzięki czemu Karol do konkurencji nie wejdzie, ale inni idioci owszem. Co oni w niej widzą, do diabła? Figura, tak, wcięta w talii, tyłek poniekąd w normie, a biust jak stąd do Australii. I nogi niezłe, wielkie mi co, Malwina miała lepsze, tyle że Larczykowa wyższa, więc tych nóg jest więcej. Piegowata jak indycze jajo, na co tak lecą, na te piegi? Oczy ma podobno cudownie piękne, możliwe, rozbłyskują jej, jak się uśmiechnie, Malwina sama to stwierdziła kilka razy, osobiście widziała ten uśmiech, kiedy Larczykowa zaparkowała niczym chora krowa, dopadła jej straż miejska, dwóch facetów, i nie tylko mandatu nie dostała, ale jeszcze paczki jej pomagali wnosić do bagażnika. Owszem, Larczykowa na wabia się nada, teraz tylko którą żonę napuścić

Przeglądu bliższych i dalszych znajomych płci żeńskiej dokonała błyskawicznie, większy kłopot był z płcią męską. Larczykowa męża nie miała, a stały gach nie waliłby kamieniem w szyby ani nie dewastował samochodów. Jakiś młody głupek, zaślepiony uczuciami, którego Larczykowa, powiedzmy, na razie nie chce, i który działa w bezrozumnym szale, ewentualnie

usiłuje wypłoszyć rywala. Albo chociaż zatruć im życie, oni w łóżku, a tu szyby lecą. I rumor słychać, rozwalany samochód strasznie brzęczy. Albo zwyczajni włamywacze, ona naprawdę jest bogata, powinno się im chyba o tym przypomnieć...?

Jak rozchodzą się plotki, Malwina wiedziała doskonale. Wcale nie musiała rozlepiać na murach miasta ogłoszeń o bogactwie Larczykowej, dwie-trzy uwagi na ten temat, uczynione w publicznym miejscu, wystarczyłyby w zupełności, włamywacze też ludzie i jakieś uszy mają...

Znów zapomniwszy, iż zwabianie ochrony gdzie indziej musiałoby nastąpić tej nocy, skoro jaguar teraz właśnie ma być kradziony, Malwina pogrążyła się bez reszty w snuciu dywersyjnych planów.

* * *

Justynka oderwała się od lektury, traktującej o śladach przestępstw i pożytku płynącego z ich badania w przekroju historycznym, bo coś jej zaczęło przeszkadzać. Umysłowo, nie fizycznie. Jakaś myśl, która nie dawno się zalęgła i powolutku rozkwitała wbrew jej chęciom i woli. Coś było takiego... Coś o czytaniu prasy. O upodobaniu do prasy...

O, właśnie! Wuj powiedział do ciotki takie słowa jakoś znacząco. I trochę jadowicie. Napomykał, rzecz jasna, o niedawnej hecy z nieszczęsną Gazetą Wyborczą, a ciotka nie zareagowała nijak, jakby nie usłyszała. A tymczasem powinna była co najmniej się zmieszać, może nawet z lekka zadławić, była przecież wtedy zgoła półprzytomna, z gazetą obnosiła się jak w skarbem, ukrywała ją, jakiś wniosek z tego sam się nasuwał, nie wiadomo tylko jaki. Justynka czuła wyraźnie, że coś tu jest nie w porządku, szczególnie, iż miłość do prasy minęła ciotce jak ręką odjął, był to wybryk jednorazowy. Wuj znał przyczynę...? A ciotka wcale się nie przejęła...?

To, że Malwina, ponownie zdobywszy pogubione numery telefonów, zapomniała kompletnie o swoich problemach z Gazetą Wyborczą i nie skojarzyła niczego z niczym, Justynce nie przyszło do głowy. Zastanawiała się w skupieniu, co właściwie tak ją podgryza, przeszkadzając w oddawaniu się ulubionym tematom. Coś w zachowaniu wuja...? Nie, chyba raczej ciotki... Tak, oczywiście, ciotki. Tylko co...?

W skrócie przeleciały jej przez myśl ostatnie dziwactwa Malwiny. Deklaracja wielkiej miłości do męża i wyraźne tłumienie w sobie ostrych reakcji, ogłoszenie w gazecie o usługach agencji, zdaniem Justynki, detektywistycznej, nagły wyjazd do sklepu, gdzie kupiła lakier do paznokci... na co jej się przydał? Przezroczysty, bezbarwny, nie używała ta-kiego.Teraz ta brama, nie chodzi, jasne, że ma jakąś przeszkodę w prowadnicy...

I nagle przyszło skojarzenie. Bezbarwny lakier i przeszkoda w prowadnicy. Boże jedyny, ciotka stłukła buteleczkę akurat tam i pod grozą śmierci się do tego nie przyzna! Czyżby ją stłukła specjalnie...?

Bo jeśli przypadkiem, powinna w strasznych nerwach nalegać na zreperowanie natychmiastowe, przysłanie człowieka jeszcze dziś, choćby za podwójną cenę, tymczasem wręcz radośnie przyjęła termin jutrzejszy. Wuja szlag trafi, jeśli nie wjedzie samochodem do środka. Zaraz. A garaż? Czy wrota garażowe są w porządku...?

Nie mając pojęcia, po co jej te rozważania, chcąc pozbyć się po prostu głupiego niepokoju i przeszkody w nauce, Justynka zeszła na dół.

Ciotka siedziała w salonie, niewidzącym wzrokien i wpatrzona w ogród za oknem. Justynka doskonale wiedziała, gdzie leży zapasowy, przez nią używany pilot, znalazła go w sypialni na komódce, udała się do garażu i prztyknęła.

Rezultatu nie było najmniejszego, pilot nie działał.

Justynka poczuła się zaintrygowana bardziej. O własnym guziczku, rzecz jasna, nie miała najmniejszego pojęcia. Odłożyła przyrząd na miejsce, wróciła do salonu i zauważyła, że Pucuś znów coś depcze na swojej poduszce za kominkiem. Znała, jak wszyscy, niezwykłe upodobanie kota do papieru, to przez nie pilnowała starannie zamykania drzwi własnego pokoju, bo chociaż Pucuś zazwyczaj wybierał sobie zabawki z gabinetu Karola, bywało jednak, że znalazł coś atrakcyjnego gdzie indziej. Wolała nie ryzykować, Podeszła teraz i wyjęła mu spod pazurów ugniecione strzępy.

Okazało się, że jest ich dość dużo. Pucuś perfidnie część starszych schował w głębi poduszki, pod nadprutym pokrowcem, gdzie nie sięgnął odkurzacz Helenki, nowsze udeptywał rzetelnie, upajając się odgłosem pękającego papieru. Nie protestował jednak, oddał swoje skarby i nawet połasił się trochę wokół nóg Justynki, która z uwagą obejrzała zdobycz.

Wydruk komputerowy, to wuja, jakieś obliczenia i zestawienia, powinny chyba wrócić na biurko w gabinecie, żeby wuj wiedział, gdzie i dlaczego mu zginęły, i wydrukował sobie na nowo. Nędzny szczątek gazety w zupełnym proszku, dało się z niego coś odczytać, o Boże, to zaznaczone ogłoszenie, wydarte z Gazety Wyborczej, niewątpliwie Pucuś ukradł je ciotce, już do niczego, zbyt poszarpane. Czysta, silnie zmaltretowana kartka, z widocznym jeszcze na środku, byle jak zapisanym numerem telefonu, z całą pewnością komórki...

Ni z tego, ni z owego Justynka postanowiła nagle sprawdzić, co to za numer. W pamięci błysnęła jej scena, kiedy Malwina rozpaczała przed kominkiem, że coś zgubiła. No pewnie, zgubiła swoje ogłoszenie, nie zgubiła, tylko ukradł jej kot, ale kto wie czy nie wchodziła w grę także ta kartka? Numer może wyjaśnić, o co tu chodzi, co wstąpiło w ciotkę, jakie są przyczyny jej dziwactw i Justynka będzie mogła odczepić się od tematu. A w każdym razie coś zrozumieć.

Justynka lubiła rozumieć. Nie wtrącać się, broń Boże, wtrącanie nie wchodziło w rachubę, nie gadać, nie plotkować, zachować dla siebie, ale rozumieć porządnie i rzetelnie. Nie cierpiała niewiedzy i nie trawiła niepewności, męczyły ją i denerwowały.

Zrobiła porządek z łupem kota, dała mu nową, czystą kartkę, żeby na razie nie kradł niczego więcej, i zawahała się. Wrócić do siebie po cichutku czy wyrwać ciotkę z zamyślenia? Miała złe przeczucia, Helenka gdzieś znikła, mogła wrócić dopiero jutro, z całą pewnością natomiast wuj przyjedzie na krokieciki i atmosfera na nowo zgęstnieje, bo ciotka jest nieobecna duchem. W dodatku brama...

Pobrzęczala w kuchni szklankami, szczęknęła czajnikiem, z trzaskiem otworzyła i zamknęła zewnętrzne drzwi. Bez skutku. Postąpiła kilka kroków ku Malwinie, usiłując tupać, co na miękkiej wykładzinie byki nieosiągalne.

- Ciociu, może cioci zrobić herbaty? - spytała głosem na granicy krzyku.

- Nie - odparła Malwina bez namysłu, nie od wracając wzroku od okna - ale daj mi wina. Czerwone tam stoi, otwarte. Nie wiesz, czy ten Muminek jest w domu?

Justynka poczuła się lekko ogłuszona.

- Nie mam pojęcia. Zaraz...

- To sprawdź. Zobacz, czy jego samochód stoi. Jak nie przed domem, to na parkingu.

Posłusznie wyszedłszy na zewnątrz i rozejrzawszy się dookoła, Justynka wróciła do salonu z otwartą butelką wina i kieliszkiem. Postawiła to na stoliczku obok Malwiny.

- Nie stoi, więc go chyba nie ma.

- A Muminkowa?

- Powinna być, bo okno otwarte.

Malwina kiwnęła głową i nalała sobie napoju. Sąsiad Muminek wcale nie nazywał się Muminek, tylko zupełnie inaczej, Muminkiem ochrzcił go Karol już dawno temu i jego prawdziwe nazwisko poszło w zapomnienie do tego stopnia, że nawet

listonosz zostawił kiedyś pod opieką Helenki paczkę dla państwa Muminków. Muminek rzeczywiście miał w sobie coś muminkowatego, aczkolwiek tylko zewnętrznie, bo charakterem raczej nie pasował. Wbrew aparycji był dziwkarzem, o czym wiedziała cała okolica, z wyjątkiem żony, Muminkowa ciągle miał głupie złudzenia.

Malwina ją właśnie wybrała sobie na ofiarę. Zapowiedź Karola, że wróci na krokieciki, wyleciała jej z głowy kompletnie. Przez chwilę kusiło ją, żeby zaprosić Muminkową do siebie pod pozorem pokazana jej depczącego kota, nie wymagałoby to wielkiego ,wysiłku, ale pomyślała, że u niej, jako gość, Muminkowa miałaby zbyt wiele swobody, mogłaby wyjść nie słuchając żadnego gadania, ponadto przeszkodę stlanowiłaby obecność Justynki i Helenki. Nie, lepiej samej być gościem. I czegoś od niej chcieć...

Ze stęknięciem wylazła z fotela, zabrała napoczętą butelkę, narzuciła na siebie szal i, nie zwracając najmniejszej uwagi na zdumioną Justynkę, opuściła dom.

* * *

Na dwie minuty przed powrotem Karola pojawiła się Helenka, która najzwyczajniej w świecie udała się do sklepu po cytryny. Cytryny wyszły znienacka, jedna okazała się nadpleśniała, zabrakło ich, a używane były w tym domu nagminnie. Nic nie mówiąc Malwinie, załatwiła sprawę, a przy okazji zajrzała na chwilę do córki.

Spojrzawszy na zegar i sprawdziwszy, że pani domu nie ma, na wszelki wypadek, bez pośpiechu, zaczęła nakrywać do stołu.

Karol nadjechał w chwili, kiedy rozważała kwestię krokiecików, podgrzać czy podać na zimno, znajdowała się w kuchni i widziała go przez okno. Zatrzymał się przed bramą i odruchowo prztyknął pilotem.

Brama zadrżała lekko, zgrzytnęła, przesunęła się o centymetr i zamarła. Karol też zamarł.

Oczywiście, ta idiotka niczego nie załatwiła. Gdyby bodaj zdołał wjechać, zamknąłby jaguara w garażu, a reszta niechby stała otworem, ale zostawiać go na zewnątrz? Jaguara...?! Jaguary kradną, zanim człowiek zdąży zapamiętać własny numer rejestracyjny, musiałby upaść na głowę, może jeszcze z kluczykami w stacyjce...?

Wściekłość ogarnęła go od razu. W dodatku był głodny, a w pamięci miał smak tych wyjątkowo znakomitych fidrygałów z drobiu. Zrezygnował z wieczoru w kasynie właściwie tylko dla zaplanowanej kolacji, ale żadna kolacja nie była warta jego ukochanego samochodu. No dobrze, ludzie się kręcą, alarm wyje, złodzieje tu przecież nie siedzą w kucki, czekając tylko na niego, bądźmy realistami, przez dwie godziny może nie zdążą go podwędzić. Potem pomyśli, co dalej.

Wycofał się spod bramy i wjechał na parking. Helenka bez trudu odgadła, że pan domu wpadł w furię i nawet nie była tym zbytnio zdziwiona, Całkiem nowy samochód... Ileż to pieniędzy musi taka rzecz kosztować i któż by chciał ją zostawiać na pastwę losu? A sama słyszała chętną zgodę Malwiny na jutrzejszy termin naprawy, lekkomyślność chyba...? Przezornie wyciągnęła z szafki borówki i marynowaną dynię, otworzyła słoiki i wróciła do nakrywania stołu.

Karol wszedł z hałasem, który Justynka usłyszała u siebie na górze.

Zdążyła zagłębić się w nauce, ale teraz znów ją oderwało. Zaraz, ciotka wyszła, wuj wrócił, czy ciotka też...? Ta brama cholerna, rany boskie, na nowo się zacznie, czy żadne z nich nie okaże jakiegoś opamiętania?

Cichutko wyszła z pokoju i spojrzała w dół schodów. Wuj wychodził właśnie z kuchni i znikał w swoim gabinecie. Zawahała się, nadsłuchiwała przez chwilę, z dołu dobiegały tylko dźwięki muzyki z radia, tak zwyczajne, że wręcz się ich nie słyszało, ale jednak głuszące inne szmery, cofnęła się i weszła do siebie.

Karol, zajrzawszy do kuchni, stwierdził brak jakichkolwiek przygotowań kolacyjnych, a także brak jednostek ludzkich, Helenka bowiem w spłoszonej ciszy rozmieszczała właśnie na stole jadalnym dodatki do krokiecików. Pustkę uznał za złośliwą demonstrację, ponowną, taką samą, jakie Malwina uprawiała ostatnimi laty, i jego wściekłość wzrosła razem z głodem. Zamknął się w gabinecie, ale po chwili wyszedł i zajrzał do części jadalnej, gdzie ujrzał wprawdzie nakryty częściowo stół, pożywienie na nim jednakże prezentowało pewne mankamenty. Marynowana dynia, borówki, gruszki w occie... istne kpiny! Helenki, rzecz jasna, nie zobaczył, ponieważ w tym momencie podejmowała decyzję w kuchni nad krokiecikami. Na zimno. Nie, może lepiej na gorąco... Czy jednak na zimno...?

Wrócił do siebie, trzasnąwszy drzwiami, ale już w trzy sekundy później jego furia wkroczyła w fazę syczących szeptów. Trzaśniecie Helenka usłyszała i gwałtownie podjęła męską decyzję: połowa tej resztki na zimno, a połowa na gorąco, na zimno poda od razu...

Dzięki czemu, kiedy Karol bezszelestnie opuścił dom, złośliwie zamykając na klucz swój gabinet, znajdowała się w części jadalnej i nie widziała jego wyjścia. Ani też, oczywiście, nie słyszała. Nikt, poza Konradem Grzesickim, nie zauważył, że Karol wsiadł do swojego jaguara i odjechał.

Malwina porzuciła intrygi u Muminkowej, wrócił bowiem do domu Muminek i wmawianie babie, iż, małżonek właśnie w tej chwili romansuje z Larczykową, straciło sens. Szkoda, a już prawie ta Muminkowa zaskoczyła i widać było, że w środku jej coś rośnie.

Ponadto Muminek zadał na wstępie straszne pytanie:

- Cóż to się stało, że wasz jaguar stoi na parkingu? Odważny ten pani mąż, złodziei się nie boi?

Akurat w tym momencie Karol wychodził z domu i odjeżdżał, ale z okien Muminków nie było tego widać, Malwinę zatem poderwało. Niezbyt gwałtownie, bo nawet silna emocja nieruchawości nie przemogła, ale słowa jej na ustach zamarły. Muminek koniecznie chciał wiedzieć, co zaszkodziło bramie, zmitrężyła zatem jeszcze trochę. Wracając, z przejęcia nie rzuciła nawet okiem w kierunku parkingu,

Na wszelki wypadek do domu wkroczyła na palcach i wystraszyła Helenkę, ukazując się jej znienacka.

- Pan Karol wrócił - rzekła Helenka ostrzegawczo, acz z lekkim wyrzutem. - Nie mówiła pani jak podać krokieciki, więc pół na pół robię. Zamknął się w gabinecie i siedzi.

Pół na pół Malwina pochwaliła i odruchowo wyregulowała gaz pod wielką patelnią z przykrywą.

- Cały czas tak siedzi?

- Raz wyszedł, ale wrócił. Słyszałam.

- Mówił co?

- Nic. Ani słowa. I całkiem się nie odzywa.

Malwina oceniła sytuację dwojako, a nawet trojako. Z jednej strony potwornie, skoro Karol prosperuje bezszmerowo, znaczy to, że jest u szczytu furii, dom znalazł się na krawędzi wulkanu. Z drugiej cudownie, brama zepsuta, jaguar stoi na parkingu, złodzieje zawiadomieni, ochrona ludzka zaczyna działać dopiero od dziesiątej, on, w tym stanie, nie pohamuje wściekłości i rzuci się do walki. Z trzeciej średnio, nie zdążyła dostatecznie nakręcić Muminkowej, żadne zamieszanie w przeciwnym końcu nie wybuchnie, szkoda. Złodziejom zostaje półtorej godziny, nie wiadomo, czy są dostatecznie operatywni, później mogą mieć kłopoty...

Poruszając się na palcach, przygotowała do końca kolację i delikatnie zapukała do drzwi gabinetu.

- Kolacja na stole - oznajmiła lekko zdławionym głosem.

Odpowiedziało jej milczenie. Niedobrze. Jeszcze gorzej niż sądziła. Zapukała ponownie, po czym ostrożnie nacisnęła klamkę.

Drzwi okazały się zamknięte.

To już był symptom kataklizmu. Zamknięty w swoim gabinecie, obojętny wobec kolacji i kamiennie milczący Karol oznaczał coś okropnego. Diabli wiedzą co teraz nastąpi, wyrzuci ją z domu, wyjedzie na miesiąc, nie zostawiając ani grosza, porozbija wszystko, na czym jej zależy, nie tykając swojego, napisze i złoży w sądzie ten przeklęty pozew rozwodowy, może pisze go właśnie w tej chwili... Przekupi sędziów i rozwód będzie z jej winy, wydadzą wyrok w ogóle bez rozprawy. Podusi wszystkich...

Już raz tak było i rezultaty zatruły jej życie. Obraził i rozpędził całe towarzystwo, jej przyjaciółki i znajomych, przez dwa miesiące nie zdołała z nim słowa zamienić, nie dał nic na utrzymanie, została pozbawiona samochodu, bo rozwalił się jakoś prawy reflektor i nie miała czym zapłacić za naprawy, Helenka pracowała na kredyt, nie było co jeść, a on się żywił poza domem, wcale nie wracał, zadłużyła się u kosmetyczki, u fryzjera i w znajomym sklepie, wcale nie wiedząc, czy te długi kiedykolwiek odda. Upiorne.

Stała jak posąg pod zamkniętymi drzwiami, nie ośmielając się zapukać jeszcze raz i zbierając spłoszone myśli. Jedna ją wreszcie uruchomiła. Jeśli ci parszywcy, złodzieje, wezmą się do roboty, on będzie musiał wyjść. I wtedy się przewali...

Na palcach weszła na górę do Justynki.

- Może zacznijmy jeść kolację, bo nie wiem, co zrobić - rzekła trochę nerwowo. - Karol się zamknął,

Justynka do nauki nie wróciła, bo czuła, że coś nie gra i sytuacja ogólna jakoś za mocno napęczniała. Zerwała się.

- Na zapachy wujek chyba zareaguje - powiedziała pocieszająco i podążyła za ciotką na dół.

Siedziały przy stole, Justynka bez apetytu, Malwina wręcz przeciwnie, ze zdenerwowania żrąca niczym głodna hiena, kiedy na parkingu za domem zaczęły rosnąć jakieś hałasy. Zawył alarmem jeden samochód, po chwili wyły już co najmniej trzy, rozległy się ludzkie głosy, ktoś krzyczał, zamruczały silniki, wdarła się nagle w to wszystko syrena nadjeżdżającego pogotowia. Malwina i Justynka bardzo długo nic nie słyszały, jadalnia znajdowała się od przeciwnej strony, radio grało nieco głośniej, bo Malwina miała nadzieję, że oprócz woni, na Karola wpłyną decybele, i dopiero Helenka zwróciła uwagę, że coś się dzieje. Przez kuchenne okno napłynęły i dźwięki i widać było ludzi, wpatrzonych w jedno miejsce.

- Na placu jakaś awantura - zaraportowała, zaglądając za ściankę. - Coś tam się chyba porobiło z samochodami.

Justynka zainteresowała się zwyczajnie, ale Malwinie żar buchnął na twarz. Na moment znieruchomiała, potem przełknęła kawałek naleśnika z serem, omal się nie dławiąc, potem wybiegły wszystkie trzy.

Zamieszanie na parkingu osiągnęło właśnie apogeum i zaczynało zamierać. Pogotowie odjeżdżało, widać było tył karetki. Samochody stały różnie, między nimi widniały wielkie luki, właściciele ruszali powolutku, żeby je na nowo przyzwoicie poustawiać. Nie było ani Karola, ani jaguara.

Malwinę wielkie nadzieje zadławiły tak, że nie była w stanie wydać z siebie głosu, pytania zaczęła zadawać Justynka, niezbyt wnikliwie, bo o planach ciotki nie miała najmniejszego pojęcia. Z mętnych odpowiedzi wywnioskowała, iż ktoś tu rozbił czyjś samochód, jakiś pojazd odjechał na platformie, jacyś ludzie się bili i kogoś w ciężkim stanie zabrano do szpitala. Jak to wszystko mogło nastąpić, nie wiedział nikt, żaden ze świadków bowiem nie oglądał początku, a samochody zostały częściowo usunięte, żeby coś tam mogło gdzieś dojechać. Czymś tam były, na zmianę, pomoc drogowa, ciężarówka do przewozu samochodów, pogotowie, straż pożarna i wóz meblowy.

Wielkie nadzieje Malwiny przerodziły się w pewność. Jaguara podstępnie ukradli, a do szpitala odjechał Karol. W ciężkim stanie, może nie dojedzie żywy...

Wolnym krokiem ruszyła ku domowi.

- A gdzie wujek? - zatroskała się Justynka. - Bo jaguara nie widzę?

Malwina zacisnęła zęby, żeby nie wyrwał jej się przypadkiem jakiś radosny okrzyk,

- Pan Karol chyba się z domu nie ruszył, bo okno otwarte - zauważyła Helenka. - Że też nawet nie wyjrzał?

Okno gabinetu Karola wychodziło na stronę parkingu i widać przez nie było samochody, zasłonięte nieco żywopłotem. Rzeczywiście, stało otworem, z odsuniętą firanką. Jeśli nie odjechał do szpitala, musiał tam chyba leżeć trupem, którym padł na widok rabowanego ukochanego mienia.

- Wujek może wyleciał w pośpiechu - zaopiniowała Justynka. - Tylko gdzie się podział? Nie możliwe przecież, żeby już wrócił i jadł kolację?

Malwina przyśpieszyła kroku. Niemal wbiegła do domu, zajrzała do kuchni i do jadalni, podbiegła do drzwi gabinetu i nacisnęła klamkę.

Drzwi nadal były zamknięte.

Nie umiejąc sprecyzować żadnych wniosków, od wróciła się i popatrzyła na Justynkę i Helenkę. Obie przyglądały się jej z lekkim niepokojem.

- To co to znaczy...? - powiedziała słabo.

- Przez okno trzeba zajrzeć - podsunęła Helenka. - Jak na taki rejwach pan Karol nic, to może mu się co stało. Justynka by nie zajrzała?

- Wujek we mnie czymś rzuci - przepowiedziała ponuro Justynka.

Malwina przemogła swoje struny głosowe. Była już pewna, że osiągnęła upragniony rezultat, i rozpierała ją mściwa satysfakcja. Karola ma z głowy, musi teraz symulować zdenerwowanie i obawy. Przyjdzie jej to bez trudu, bo z emocji aż się trzęsie.

- Zajrzyj - poprosiła siostrzenicę. - Jakoś nieznacznie. żeby cię nie zobaczył. Może akurat patrzy gdzie indziej.

- Albo całkiem nigdzie nie patrzy - mruknęła Helenka grobowo.

Justynka uległa z westchnieniem. Podkradła się pod okno gabinetu i ostrożnie zajrzała do środka, ledwo wystawiając głowę przy samym narożniku. Spenetrowała wzrokiem pomieszczenie, po czym stanęła na palcach i wetknęła głowę głębiej.

- Wujka nie ma - oznajmiła, wróciwszy do domu. - Gabinet pusty. Ale chyba naprawdę wylatywał w pośpiechu, bo na biurku papiery leżą porozrzucane i kosz przewrócony. Skoro drzwi zamknięte, to chyba wyskoczył przez okno.

Skaczących przez okno stu dwudziestu kilogramów Karola Wolskiego nie umiałaby sobie wyobrazić żadna ludzka siła. Wyłazić z wysiłkiem i sapaniem, to jeszcze, ale przenigdy skoki, ponadto ileż czasu ta gimnastyka by trwała! Znacznie szybciej wyszedłby zwyczajnie, przez drzwi.

Jednakże nie było go, a drzwi pozostawały zamknięte...

Malwina wiedziała już wszystko. Spełniły się jej oczekiwania, Karol ujrzał za żywopłotem tych czarujących, uroczych, inteligentnych złodziei, którzy podjechali lorą i z miejsca przystąpili do ładowania jaguara. Był w stanie swojej cichej furii, więc wstąpiły w niego nadludzkie siły, runął przez okno, runął na nich niczym walec drogowy, ale oni okazali się lepsi, pobili go rzetelnie, tak jak powinni, i proszę! Opieka zdrowotna działa cudownie, najpierw nie będą chcieli przyjąć go do żadnego szpitala, potem zaczną się domagać skierowania od lekarza pierwszego kontaktu, potem zostawią go w jakimś kącie i zapomną o nim, wreszcie zdecydują się go uprzątnąć i wtedy będzie za późno. Ona sobie spokojnie dostanie ataku nerwowego i bardzo długo nie zdoła posłużyć się telefonem, żeby go szukać po szpitalach. Po prostu i nie mogło być lepiej!

Mignęła jej w głowie myśl o jego obstawie detektywistycznej, która wszak powinna była go chronić, więc gdzie się w tej awanturze podziała, ale tak nieprzyjemnych myśli nie zamierzała teraz wałkować Odsunęła je od siebie. Jeszcze trwała w milczeniu, pęczniejąc upojnym atakiem nerwowym.

Gdyby Justynka miała bodaj cień pojęcia o sytuacji i doceniała ważność wydarzeń, bez wielkiego trudu dowiedziałaby się, co się stało naprawdę, sąsiedzi bowiem omówili rzecz między sobą i zdołali ustalił szczegóły, tyle że uczynili to spokojnie, kameralna i we własnych domach. Źródłem sensacji okazał się niejaki Kowalczyk, wracający z dalekiej podróży.

Kowalczyk miał kraksę za Grójcem. Głupią zupełnie, z własnej winy, ze zmęczenia i przez nieuwagę, wpadł na tył zwykłego wozu konnego, przejeżdżające go w poprzek autostrady. Stłukł sobie reflektor, pogiął maskę i uszkodził chłodnicę, o czym wiedział, oraz doznał wstrząsu mózgu, co już do jego świadomości nie dotarło. Tyle miał jeszcze przytomności umysłu, że koniecznie chciał uniknąć kontaktu z policją, ponieważ nieco wcześniej wypił jedno piwo i tego piwa bał się śmiertelnie. Zjechał z autostrady i ruszył podrzędnymi szosami z nadzieją, że tam go drogówka nie dopadnie. Stłuczony przód rzucał się w oczy.

Euforia powstrząsowa przeniosła go przez połowę drogi, w drugiej połowie dopadła go depresja. Chłodnica ciekła. Był zdania, że pomoc drogowa okaże się niezbędna, ale uparcie chciał dowieźć swój dość obfity bagaż do domu, bo odebrał właśnie od krewnych przydzielone mu szczątki spadku po przodkach i te szczątki były cenne, ponadto miał ćwiartkę dzika, a ta ćwiartka mogła się zaśmierdnąć. Z komórki zadzwonił do serwisu, podając adres własnego parkingu i żądając przysłania odpowiedniego pojazdu, bo z pewnością trzeba go będzie holować. Uszkodzenia wymienił sensownie i tak sobie jechał z nieziemskim fartem, to pełen dzikiego wigoru, to zdechły, aż osiągnął cel i wjechał na parking obok swojego miejsca zamieszkania.

Tu doznał ostatniego przypływu sił i z wielką fantazją gwizdnął w kuper samochodu sąsiada. Gwizdnięty samochód rozpoczął wycie jako pierwszy, Kowalczyk jeszcze cofnął, wgniótł drzwiczki drugiemu, spróbował wysiąść i wreszcie stracił przytomność. Leżał już pod własnymi kołami, kiedy nadbiegli właściciele wyjących pojazdów i zrobiło się zamieszanie, w którym ktoś rozsądny wezwał pogotowie. Chłodnica Kowalczyka dymiła potężnie, w panice pousuwano samochody, wezwana z trasy pomoc drogowa przybyła chwilę wcześniej, platformą, tak że mogła zabrać od razu dwa pojazdy, po niej nadjechała karetka, która zabrała Kowalczyka, kontrowersję wzbudził jego bagaż, wywlekany w okropnym pośpiechu przez przerażoną żonę i zdenerwowanego szwagra, wszyscy sobie wzajemnie przeszkadzali i, razem wziąwszy, robiło to wrażenie zgoła bitwy. Potem się uspokoiło, nawet dość szybko, ludzie wrócili do domów, Kowalczyk już w karetce oprzytomniał i podał szczegóły swojego wojażu, litościwa pielęgniarka zaś przekazała całą wiedzę Kowalczykowej przez telefon. Tym sposobem wszystko się błyskawicznie wyjaśniło.

Nie dla Malwiny. W jej przekonaniu jaguarem zasłużenie cieszyli się złodzieje, a Karol dogorywał wjakimś szpitalnym zakamarku. I należało tak trzymać!

Justynka i Helenka zużyły mnóstwo sił na przekonanie zbolałej żony, że powinna przynajmniej zawiadomić o kradzieży odpowiednią placówkę. Policję, serwis, dealera, ubezpieczenie... Kogokolwiek, kto miał z jaguarem coś wspólnego. Ponadto zadzwonić do pogotowia, do kilku szpitali, do informacji o wypadkach... Dowiedzieć się czegoś o losach zaginionego męża!

Malwina za najlepsze wyjście uznała skamieniałą rozpacz i twardo realizowała pomysł. Tępym wzrokiem wpatrywała się w dal, a jedyny ruch, na jaki sobie pozwalała, to unoszenie do ust kieliszka. Po namyśle Justynka zdecydowała się sama wziąć sprawę w ręce, ciotka bowiem, najwyraźniej w świecie, szybkim krokiem zmierzała do rzetelnego urżnięcia się i niczego więcej.

Po godzinie wiedziała już, że wuja nie ma w żadnym szpitalu i o żadnych jego wypadkach nikt nic nie i wie. Komunikat o kradzieży samochodu został przyjęty jakoś nieufnie, może dlatego, że z parkingu razem z pojazdem znikł także właściciel, co nasuwało mniemanie, iż odjechał swoją własnością dobrowolnie i całkowicie legalnie. W dodatku ani Justynka, ani Helenka nie mogły sobie przypomnieć numeru rejstracyjnego jaguara, a Malwina milczała jak głaz.

W domu Wolskich zapanowała grobowa atmosfera.

* * *

Karol w pierwszej kolejności skonsumował kolację w jednej ze znajomych knajp, kolacja była bardzo dobra i jego wściekłość nieco zelżała. Do domu wracać nie miał najmniejszej ochoty, ale przypomniał sobie, że chyba zostawił otwarte okno. Za to zamknął drzwi. Więc, oczywiście, ta kretynka okna zamknąć nie zdoła, może jednak zabezpieczy je jakoś, przymknie od zewnątrz, żeby nie rzucało się w oczy, a jak nie ona, to Helenka. Niech zatem diabli biorą okno.

O bałaganie w gabinecie nie miał najmniejszego pojęcia, nie mógł bowiem wiedzieć, że zaraz po jego wyjściu pojawiły się tam oba koty we frywolnym nastroju, Pucuś starannie wybierał sobie papier z biurka, a Pufcia przewróciła kosz na śmieci. Po czym opuściły pomieszczenie tak, jak weszły, przez okno.

Pozbywszy się zatem wszelkiej troski o dom, Karol zapragnął rozrywki i najzwyczajniej w świecie pojechał do kasyna.

* * *

Jola Grzesicka spotkała się z bratem. Ściśle biorąc, Konrad zawiadomił ją, że wpadnie do niej po pracy, co ją nawet ucieszyło, bo primo, dawało pretekst, żeby oderwać się od przeraźliwie nudnego tłumaczenia, a secundo, pozwalało na przesunięcie komody wypełnionej papierami. Komoda razem z papierami stanowiła ciężar wymagający solidnej, męskiej ręki, Joli zaś brakowało i czasu, i chęci na opróżnianie jej i zapełnianie później ponownie. Miała nadzieję, że Konrad przepchnie.

Konrad zaczekał na zmiennika pod restauracją, w której pożywiał się inwigilowany obiekt, po czym udał się do siostry.

Komodę przepchnął od razu, żeby poprawić Joli humor i dobrze ją do siebie usposobić. Następnie wyniósł śmieci. Następnie skoczył do najbliższego otwartego sklepu po piwo, które obydwoje lubili i popijali umiarkowanie. Następnie zmienił przepaloną żarówkę w żyrandolu pod sufitem.

Jola przyglądała się jego poczynaniom coraz bardziej podejrzliwie.

- Ciekawa rzecz, czego ty ode mnie chcesz... Wyduś to z siebie wreszcie, bo się robię nerwowa,

- Kawkę zrobimy w termosiku? - spytał na to przymilnie młodszy braciszek, pilnujący staranna żeby przypadkiem nie użyć słóweczka "bo".

- W termosiku. Prawdziwą. Mam świeżo zmieloną. Dawaj ten termos i mów. O co biega?

- I czego walisz z grubej rury? Ja chciałem dyplomatycznie!

- Dobra, odkapsluj dyplomatycznie flachę i nalej. Woda już się gotuje.

- Ale usiądź. W głowie mi się kręci od tych twoich zabiegów kulinarnych i myśl się mąci. Chociaż może masz rację, jak już zrobisz tę kawę, będę miał szansę trochę wypić, bodaj w biegu. Bo możliwe, że jak powiem, wyrzucisz mnie z domu.

- Żenisz się i chcesz zamieszkać u mnie! - wykrzyknęła Jola ze zgrozą, odwracając się gwałtownie od napełnianego termosu,

- Wyglądam aż tak idiotycznie? - zdziwił się Konrad. - W naszej rodzinie paranoi, zdaje się, nie było?

- Jeden z pradziadków był alkoholikiem - przypomniała mu Jola, od razu spokojniejsza. - Ale zapadł w późniejszym wieku, jak już miał dzieci, więc się chyba nie przeniosło. No, jazda! Ruszaj tę swoją dyplomację.

Usiedli przy piwie, termosie z kawą i filiżankach na razie jeszcze pustych, bo kawa musiała nabrać mocy. Konrad westchnął.

- Ty wiesz, co ja robię?

- Nie mam pojęcia. To znaczy owszem, magisterkę, ale poza tym mam wrażenie, że pracujesz?

- Otóż to - przytaknął Konrad i znów westchnął. - Dobra, rąbnę od razu. W agencji ochroniarsko-detektywistycznej. Ty, ale słuchaj. Żadnego gadania. To jest wiadomość w cztery oczy i nie możesz mi zrobić koło pióra!

Jola się prawie obraziła.

- Zgłupiałeś? Czy ja cię kiedyś wystawiłam do wiatru?

- Toteż dlatego do ciebie przyszedłem. Tak tylko mówię, żebyś wiedziała. Nas się nie ujawnia, na wszelki wypadek. Mam robotę, świetnie płatną, ale czasochłonną jak diabli i ty mi możesz pomóc.

Jola nie była idiotką i pomysł, że brat zażąda od niej badania z lupą odcisków palców albo czołgania się w wysokiej trawie w poszukiwaniu śladów stóp, nawet nie zaświtał jej w głowie. Zaniepokoiła ją natomiast kwestia zdrady tajemnic służbowych i utrata zaufania jej licznych pracodawców.

- Jak? - spytała krótko.

Konrad pomilczał chwilę.

- Jak już tak zacząłeś, to wal wszystko - pogoniła go siostra. - Pytam: jak?

- Może najpierw ci powiem, dlaczego?

- Kolejność obojętna. Chcę poznać sedno rzeczy.

- Po pierwsze forsa - zaczął Konrad rzeczowo. - Mam prawie dwa razy więcej szmalu niż z czego innego, duży zastrzyk. Po drugie, co ci będę szklił, dziewczyna. Jeszcze jej nie znam, ale wchodzi w tę kombinację i cholernie mi się podoba. Po trzecie ty. Czekaj, zaraz, nie przerywaj, powiem do końca. Możesz mi ułatwić kolosalnie, a bez tego nie dałbym rady, musiałbym zrezygnować, bo pracę magisterską muszę oddać za trzy tygodnie, już mi niewiele brakuje. To są przyczyny.

Zamilkł i po odrobinie popijał piwo, patrząc w dal. Jola zawahała się w ocenie, co tu dla niego ważniejsze, dziewczyna czy forsa. Byłaby skłonna opowiedzieć się przy dziewczynie, gdyby nie fakt, że dla jej brata podrywanie dziewczyn w dowolny sposób nie stanowiło najmniejszego problemu. Ale może ta akurat nie lubi goryli... No więc forsa, owszem, każdemu potrzebna, tak samo jak i jej...

- Rozumiem. I na czym ta moja pomoc miałaby polegać?

- Masz kontakt z obiektem i wiesz o nim wszystko.

- Bo kto to jest?

- Karol Wolski.

Teraz Jola zamilkła na długą chwilę. Konrad przyglądał się siostrze spod oka i z lekkim niepokojem.

W Joli z miejsca wybuchł problem. Karol Wolski stanowił jej osobistą perspektywę życiową, w żadnym wypadku nie zgodziłaby się działać przeciwko niemu. Z drugiej jednakże strony robota Konrada dałaby jej większą wiedzę i lepsze rozeznanie w szansach. Z trzeciej wcale nie była pewna, czy na tym Karolu Wolskim rzeczywiście zamierza bazować, taki gruby... Ale taki inteligentny! I taki upiornie bogaty... Ale taki wściekle wymagający...!

- No...? - powiedział Konrad.

- Konkretnie - zażądała Jola zimnym głosem. - Co by to miało być?

- Nic takiego. Pracujesz z nim, nie? On jest, mam wrażenie, punktualny?

- Patologicznie

- No więc właśnie. Załóżmy, umówiony z tobą gdzieś tam i wiesz, co macie do roboty, ile to potrwa. Telefonik do mnie i ja też już wiem, ile mam czasu dla siebie. Nie muszę na niego czatować. Powiedzmy, on wychodzi skądś tam, z pracy, z konferencji, z jakiegoś służbowego spotkania, znów telefonik do mnie i proszę. Całe godziny zaoszczędzone.

- Ale ja nie pracuję z nim bez przerwy. Bywa, że dwa dni go nie widzę na oczy. I co wtedy? - Ja nie wymagam bez przerwy. Wystarczy komunikat, że jest gdzieś zaklopsowany na dłużej albo że na czternastą, na przykład, jedzie dokądś. Ubijać biznes albo co. Bywasz potrzebna i wiesz, ile czasu to zajmie, a ja zyskuję trochę swobody. W razie zmiany telefonik...

- I tyle? To wszystko?

- No pewnie. A coś ty myślała? Że będę z ciebie wydzierał informacje poufne? A co mnie one obchodzą?

Jola doznała ulgi. Wiedza o miejscach pobytu Karolu Wolskiego nie groziła niczym, ona sama bywała umawiana z pewnym wyprzedzeniem, mogła zatem z góry przewidzieć, gdzie i jak długo Karol będzie zajęty. Jeśli Konradowi pomoże to skończyć studia...

- Jeszcze chcę wiedzieć, dlaczego tak za nim łazisz.

- Jak to dlaczego? Na zlecenie.

- Czyje zlecenie? Kto się tak czepia tego Karola?

- Takich rzeczy się nie mówi. Ale ogólnie biorąc, istnieje podejrzenie, że ktoś może mu zrobić drobną przykrość i jakby co...

- Ma swoich goryli.

- Nie kłóć się ze mną. Żadnych goryli nie ma, w każdym razie nie włóczy ich za sobą po mieście,już ja chyba wiem najlepiej, nie? I zdaje się, że nie każdy musi go kochać.

Po namyśle Jola kiwnęła głową.

- Fakt. Niektórzy bardzo go nie kochają.

- No więc właśnie. Ponadto powiadomiono mnie, że on nie lubi nadmiernej opieki i szlag by go trafił, gdyby wiedział o takiej trosce. Zatem, niestety, dbać o niego należy podstępnie i cześć. Nasz klient, nasz pan, spełniamy wszystkie życzenia.

- Ty mi tu nie reklamuj swojej firmy. Czekaj niech się zastanowię. Zajrzyj do tej kawy, może już dobra.

Kawa okazała się znakomita, bo Jola nie pożałowała świeżo zmielonego surowca. Wypiwszy pół filiżanki, podjęła decyzję.

- Ale coś za coś - zastrzegła się. - Ja cię wynajmować nie będę, ale też bym chciała coś wiedzieć.

- Mianowicie?

- Wolski wylewny nie jest, o sobie mówić nienawidzi. Służbowo znam go doskonale, fakt, ale prywatnie tyle, co kot napłakał. A ja bym może chciała wiedzieć...

Zawahała się. Swoich planów matrymonialnych wyjawiać nie zamierzała, a Konrad półgłówkiem nie był, mógł je z miejsca wywęszyć. Postanowiła też zastosować dyplomację.

- Pracuję z nim. Zarabiam. Bazuję na jego biznesach, można powiedzieć. Orientuję się całkiem nieźle w tym międzynarodowym hochsztaplerstwie i bardzo mnie obchodzi przyszłość Wolskiego. Robi rzeczy ryzykowne, udaje mu się, ale jak

długo? Rozbestwi się i strzeli byka, a ja przecież te sposoby odstrzału też znam dosyć dobrze i chciałabym wiedzieć, choćby pobieżnie, czy tam już tej fuzyjki ze ściany nie zdejmuje...

- A konkretnie? - docisnął podejrzliwie Konrad.

- On chyba grywa. Hazard, wyścigi, kasyna... W jakich ilościach? Jak często? Dostał małpiego rozumu czy nie? No i czy tam się jakieś dziwy nie plączą, seksowny to on nie jest, rozrzutny też nie, służbowo, mam na myśli, rozrzutny, ale prywatnie...? Raz go przypadkiem widziałam, jak wychodził ze sklepu złoto, srebro, diamenty, jeśli, na przykład, lokuje szmal w diamentach, to już jakaś pociecha, ale jeśli po dziwkach rozprowadza? To co innego, nie? A może się upija, jak go nikt nie widzi, skąd ja mam wiedzieć, strasznie milczy, na przykład, z jednego słowa całe zdanie muszę odgadywać, może to objaw kaca? Jego prywatne życie znam z telefonów od jego żony, a i to mniej niż brudu za paznokciem, właściwie tyle, ile mi

Beatka naplotkuje...

- Jaka Beatka?

- Jego osobista sekretarka. Powiada, że ona też człowiek i przy takim szefie służbowo nawet szmeru z siebie nie wyda, poleciałaby ze świstem, ale na tematy prywatne jakieś ludzkie słowo musi czasem z kimś zamienić. Do chłopa mowy nie ma, mężczyźni do plotek gorsi niż baby, więc do mnie. To jest nic, prawie zero. Więc chcę wiedzieć, gdzie on bywa i jak to się rozwija, najzwyczajniej w świecie dla własnego bezpieczeństwa. Co ty na to?

Teraz Konrad z kolei musiał się zastanowić. Wypił trochę piwa, poprawił świetną kawą i również podjął decyzję.

- Ostatnio grał w brydża w klubie, ale zdaje się, że tam i w pokera grywają, na ręce mu nie patrzyłem. Chyba wygrał, bo podobno zadowolony wyszedł...

- Jak to, podobno? - pochwyciła nieufnie Jola.- To nie widziałeś?

- Mam zmiennika. Lubi brać noce, bo żona pracuje, a mają małe dziecko, więc się wymieniają, ona w dzień, a on w nocy...

- Czy to może ten malarz pokojowy? - przerwała mu znów Jola nieco kąśliwie.

- Jaki malarz pokojowy?

- Ten twój kumpel, Janusz. Jakoś go tak ostatnia widuję pod firmą...

- On taki malarz pokojowy, jak ja primadonna. Nie, nic z tych rzeczy, on zasadniczo robi w samochodach, żony nie ma, rozwiedziony, bezdzietny, a w ogóle elektronik. Za Wolskim nie lata, więc chyba za tobą? Zdawało mi się, że podobno baby takie rzeczy wiedzą?

Owszem, zgadzało się, Jola bez trudu odgadła, iż ów Janusz spotykają starannie zaplanowanym przypadkiem, ale z racji zniechęcającego zawodu przyjmowała to do wiadomości z wielkim oporem. Teraz jakoś ten opór zelżał. Wolskiego jednakże wypuścił z ręki nie chciała. Powiedzmy: wolała nie.

Wróciła do tematu.

- To co ty na to?

Konrad kiwnął głową.

- W porząsiu, podejrzane wybryki masz u mnie jak w banku. Co do dziwek, jak dotąd plącze się przy nim jedna, a i to słabo.

- Kto taki?

- Ty.

- Co?

- Ty, mówię. Własną siostrę udaje mi się jeszcze czasem rozpoznać, a zmiennik też cię widział i bardzo trafnie opisał. Wolski odwoził cię do domu o jedenastej wieczorem z knajpy w Marriotcie, nie wysiadł nawet, zawrócił i pojechał do siebie, więc romans mu z tego nie wyszedł.

- Po pierwsze, zgadza się - przyznała Jola, nieco rozweselona. - Konferencja ze Szwedami, wszyscy znali angielski, ale Wolski lubi mieć dodatkową wiedzę, a im się tak czasami ten szwedzki do siebie wzajemnie wyrywał...

- Szwedzi w Warszawie...

- Po drugie, to właśnie jest życie służbowe, a nie prywatne. Odwoził mnie po to, żebym mu po drodze powiedziała, co oni do siebie mówili. A po trzecie, skąd wiesz, co widział twój zmiennik?

- Rany, przesłuchanie mi tu urządzasz? Proszę bardzo, nie tajemnica, klient życzy sobie rozmawiać tylko przez telefon i tylko z jedną osobą, a tą osobą jestem akurat ja. Więc muszę wiedzieć, co on widział.

- Znaczy, ty znasz całość, a on tylko połowę?

- Zgadłaś za pierwszym razem.

- Bardzo dobrze. Dolej mi trochę piwa. To jak będzie?

- Zdawało mi się, że to ja pytam, jak będzie? - zdziwił się Konrad i otworzył drugą butelkę. - To jak będzie?

- Idę na to. I od razu odniesiesz korzyść. Jutro masz go z głowy od dziesiątej do czternastej, a może nawet do trzeciej. Do czternastej ja jestem przewidziana, nad korektą różnych rzeczy posiedzimy, a, właśnie! Tego ci nie powiem.

- Zaraz, niech ja się nie pogubię. Czego mi nie powiesz?

- Jakich rzeczy. Może to umowy, może korespondencja, a może on pisze wiersze...

- A co mnie to obchodzi? Niech pisze nawet epopeję!

- No to dobrze. A o czternastej przychodzą ludzie na pogawędkę o interesach. I też ci nie powiem, ani jacy ludzie, ani ile sztuk, ani o czym będą gadać

- Też mam to głęboko w odwłoku. I z doświadczenia myślisz, że do trzeciej posiedzą?

- Na moje oko nawet dłużej, ale to niepewne, więc niech będzie do trzeciej.

- Czekaj. I tak o suchym pysku?

- Nie, koło południa Beatka przyniesie coś tam na ząb. Jedno ci jeszcze mogę powiedzieć, mianowicie Wolski żre. Głodu nie znosi, robi się taki wściekły, że wszelki umiar traci, wie o tym, więc o suchym pysku nie załatwia niczego.

- To jeszcze mi powiedz, tak na wszelki wypadek z czego się składa jego rodzina. Lepiej wiedzieć. Że żona, to już rozumiem, ale taką facetkę młodą widziałem i mam wrażenie, że to jakaś siostrzenica?

- Siostrzenica. Justynka.

- A dzieci? Jakaś mamusia, teściowa?

- Nie ma dzieci. O starszym pokoleniu nic nie wiem, on nie mówi, leżą w grobie albo mieszkają w Australii.

- Ale jeszcze osoba w domu...

- Gosposia, niejaka Helenka, to informacje od Beatki. Wnioski z rozmów telefonicznych. Siostrzenica w zasadzie należy do żony, jej rodzina, nie jego

- Skoro siostrzenica, powinna być jeszcze i siostrą...

- Nie żyje. Rodzice tej Justynki nie żyją już dawno i dlatego ona się chowa u Wolskich. Nie powoduje wielkich zadrażnień.

- No widzisz, ile ja od razu dzięki tobie zyskuję. Taką miałem nadzieję, że mi zaoszczędzisz połowę roboty, koniec studiów i parę złotych widzę na horyzoncie. Bóg ci zapłać, siostrzyczko.

- Ale usługi wzajemne - przypomniała mu jeszcze Jola z naciskiem i rodzeństwo mogło zakończyć konferencję.

* * *

Późnym wieczorem Justynka wkradła się przez okno do gabinetu wuja.

Zarówno Helenka, jak i Malwina poszły już spać, ale na wszelki wypadek wolała posłużyć się telefonem, którego nikt nie mógł podsłuchać. Rozwój sytuacji nie pozwalał jej już pozostawać całkowicie na uboczu i postanowiła sprawdzić ów tajemniczy numer, najprawdopodobniej ukradziony ciotce przez kota. Tak w każdym razie sobie wydedukowała, swoich dedukcji jednakże wcale nie była pewna.

Wychodzący z domu Joli Konrad usłyszał pobrzękiwanie komórki i przyłożył ją do ucha.

- Przepraszam bardzo, mówi Justyna Tarniak - powiedział nieco spłoszony, ale zdeterminowany głos po drugiej stronie. - Mieszkam w domu pana Karola Wolskiego, jestem jego siostrzenicą i łatwo to sprawdzić...

Konrad pomyślał, że chyba źle słyszy. Właśnie się zastanawiał, jak by dyplomatycznie nawiązać kontakt z tą dziewczyną, nie naruszając obowiązków służbowych, a tu ona sama do niego dzwoni!

- ...rzecz w tym, że u nas nastąpił pewien bałagan z numerami telefonów i muszę to jakoś uporządkować - ciągnął głos. - Mam tu numer bez nazwiska i czy mógłby mi pan powiedzieć, do kogo on należy? Bardzo przepraszam za takie głupie pytanie.

Myśli Konrada rozszalały się we wszystkich kierunkach naraz. Odgadł bez trudu, że zamieszanie wprowadziła ta idiotka, jego klientka, znów pogubiła swoje notatki i zwaliła na siostrzenicę odszukiwanie abonentów. Jak ma jej podać nazwę firmy, zarazem zachowując tajemnicę? A przecież sama chciała! Ale zaraz, komórka należy do niego, może się przyzna tyle że jakoś bez nazwiska. Nie miał najmniejszej ochoty podawać babie swoich personaliów, za to z przyjemnością podałby je jej siostrzenicy. Jak ma to zrobić...?

- Pytanie wcale nie jest głupie, tylko sprawa trochę skomplikowana - powiedział stanowczo. - Pani pyta dla siebie czy dla kogoś innego?

Z czystym sumieniem Justynka mogła wyjawu prawdę.

- Dla siebie. Ale to nie ja zrobiłam bałagan. To kot.

Jakim sposobem kot mógłby komuś pomieszać pozapisywane numery telefoniczne, Konrad nie umiał sobie wyobrazić, niemniej jednak zaryzykował.

- No dobrze. Numer należy do mnie, Konrad Grzesicki, ale ja tu się w ogóle nie liczę. Jestem kimś w rodzaju pośrednika jednej takiej firmy... Więc gdyby pani mogła moje nazwisko zatrzymać dla siebie byłbym bardzo wdzięczny.

- Ależ oczywiście... - zaczęła nieco zaskoczona Justynka, ale Konrad jej przerwał.

- Natomiast zaintrygowała mnie pani bardzo tym kotem... Halo...!

- Tak, ja pana słyszę...

- Halo...! Słyszy mnie pani? Mam tu zły odbiór! Halo!

- Słyszę pana doskonale. Mówił pan o kocie...

- Halo... Tak, teraz słyszę, ale mi przerywa. O kocie. Moment. Ja wiem, gdzie mieszka pan Wolski, będę w tej okolicy akurat jutro rano. O której pani wychodzi z domu?

- Dopiero o dziesiątej - wyrwało się Justynce, której przypadkiem wypadły z programu trzy godziny wykładów.

- Będę tam i pani mi wyjaśni. Teraz to niemożliwe, bo przerywa. Słyszy pani?

- Słyszę. Ale jak ja pana poznam?

- Halo...! Do licha, znów nic nie słyszę... No trudno. Do jutra...

Słowa prawdy w tym nie było, Konrad wszystko słyszał doskonale, nic mu niczego nie przerywało. Wymyślił to łgarstwo na poczekaniu, żeby wymusić na dziewczynie spotkanie, okazja spadła mu jak z nieba, służbę przy Wolskim zaczynał wprawdzie o ósmej, ale już wiedział od Joli, że od dziesiątej ma go z głowy. Doprowadzi go do firmy i spokojnie wróci na miejsce...

Justynka odłożyła słuchawkę, czym prędzej wylazła przez okno i ruszyła ku drzwiom, zaintrygowana znacznie bardziej niż była przed tą rozmową. Co, na litość boską, ta ciotka wykombinowała? Cóż to za firma jakaś? Detektywistyczna...?

Za nie domkniętą bramą zamajaczyła jej ludzka postać, w świetle lampy poznała Muminka. Wydelegowany przez zaciekawioną żonę, Muminek wracał od Kowalczykowej.

- O, to panie jeszcze nie śpią - powiedział życzliwie. - Dobry wieczór. Nie dziwię się, tuż koło was, ależ się ten Kowalczyk wygłupił, łaska boska, że i życiem uszedł...

Tym sposobem poznała źródło afery na parkingu dokładnie i porządnie, bo Muminek był człowiekiem rzeczowym, a z młodymi i pięknymi dziewczynami rozmawiał bardzo chętnie. Pożałowała, że już nie może uspokoić ciotki.

Pełna nadziei, że jutro dowie się jeszcze więcej odkręciła wodę w łazience.

* * *

Malwina ocknęła się ze snu dość wcześnie, ponieważ coś blisko niej chrapało.

Poprzedniego, tak niezmiernie rozrywkowego, wieczoru miała tylko jedno pragnienie: zadzwonić do swojego informatora i poznać szczegóły cudownycli wydarzeń. Upewnić się co do losów Karola, który leżał już może w kostnicy, bo co z tego, że informacja o wypadkach nic o nim nie wiedziała, takie rzeczy mogły do nich docierać z opóźnieniem. Tylko ten jeden facet wiedział wszystko na bieżąco.

Nie dała rady. Jedyny telefon zabezpieczony przed podsłuchem był jej niedostępny, zamknięty w gabinecie Karola, a nie mogła przecież toczyć takiej rozmowy na ludzkich uszach! Weszłaby tam przez okno po krześle, po drabince, jakkolwiek, gdyby Justynka i Helenka tak jej nie pilnowały i nie próbowały uspokoić, ciężko wystraszone owym stanem skamienienia. Helenka bąkała nawet coś o pomocy lekarskiej ale Justynka, z uwagą przyjrzawszy się butelce koniaku, uznała, że medykamentu powinno wystarczyć

Pocieszona myślą, iż w szybkim tempie biegną tylko złe wiadomości, dobre zaś wloką się żółwim krokiem Malwina dość wcześnie poszła spać.

I teraz właśnie obudził ją dźwięk niezrozumiały acz znajomy. Któż, na miły Bóg, mógł chrapać na sąsiednim łożu, jeśli Karol był nieżywy...?!

Poruszyła się, usiadła, popatrzyła. Nie uwierzyła własnym oczom.

Przy jej boku chrapał Karol. Żywy. W żadnym wypadku żadne zwłoki w ten sposób chrapać nie mogły!

Rozczarowanie było tak potężne, że przez bardzo długą chwilę nie umiała się z nim pogodzić. Z wyrazem śmiertelnego oburzenia wpatrywała się w śpiącą postać i doczekałaby się zapewne jej przebudzenia, gdyby nie nagła myśl o samochodzie. Jezus Mario, ukradli mu tego jaguara czy nie...?!

Zerwała się gorączkowo, w szlafroku i w rannych pantoflach runęła ku drzwiom wyjściowym, zatrzymała się, zawróciła i popędziła do gabinetu. Był otwarty. Przez okno ujrzała za żywopłotem kawałek parkingu i fragmenty samochodów, nic jej to nie dało, chwyciła słuchawkę telefonu, uświadomiła sobie, że nie ma potrzeby pytać o losy Karola, skoro na własne oczy widziała go przed chwilą w sypialni żywego i chrapiącego, i wreszcie wybiegła przed dom. Nie zważając na błoto, nerwowym truchtem podążyła aż na ulicę i pierwsze, co ujrzała, to ten wstrętny, wspaniały pojazd. Stał sobie spokojnie na skraju placyku, tuż przy ich żywopłocie. ! Czyli wszystko na nic...

Znacznie wolniej wróciła do domu. - Co też pani robi, w takich pantoflach po tym błocie - skarciła ją ze zgorszeniem Helenka, wyglądając z kuchni. - W nocy padało i wszędzie mokro. Ja bym pani powiedziała, że samochód jest, bo już byłam popatrzeć.

Malwina chwyciła się za gors i bez słowa zniknęła w łazience.

Kiedy wreszcie zdołała przystosować się do okropnej rzeczywistości i przyodziana w poranną szatę zmierzała ku jadalni, byli tam już wszyscy. Zatrzymała się przed progiem, usłyszawszy głosy.

- ...a pani Malwina nam tu wariactwa dostawała- mówiła potępiająco Helenka. - Aż nie było wiadomo, co robić...

- Sama dzwoniłam do pogotowia i w ogóle gdzie popadło, bo ciocia nie była zdolna do niczego - poinformowała grzecznie Justynka. - Wujek nie leżał w żadnym szpitalu, więc tyle przynajmniej...

- Bo ja nic nie mówię, ale chociaż mógłby pan zadzwonić. To na serce umrzeć można...

- A wyglądało, że wujek wybiegał w pośpiechu, ja się nie wtrącam, tylko mówię i od razu się przyznam, że do gabinetu zajrzałam przez okno, takie to robiło złe wrażenie...

- A pani Malwina jakby się w mumię zamieniła, dech i głos jej odebrało...

Malwina tuż za drzwiami słuchała chciwie,

- A skąd ja miałem wiedzieć, że tu się coś dzieje - powiedział z lekką irytacją i akcentem zaskoczenia Karol, który tak był zdumiony wyrzutami ze strony osób dotychczas niesłyszalnych i prawie niewidocznych, że poczuł potrzebę usprawiedliwienia własnych poczynań. - Nie było mnie przecież.

- Ale wszyscy myśleli, że wujek był.

- Odjechałem wcześniej. A co tu się w ogóle stało?

Malwina też chciała wiedzieć, co się właściwie stało, skoro nie nastąpiło nic z tego, czego się spodziewała, i Karol nie brał w tym żadnego udziału, Oddaliła się na palcach kilka kroków i wróciła, postukując obcasami.

- Bardzo przepraszam - rzekła z godnością, przerywając siostrzenicy pierwsze zdanie i siadając przy stole. - Nie zrobiłam śniadania, ale widzę, że Helenka mnie zastąpiła. Myślałam, że coś z tobą i trochę się zdenerwowałam. Nic nie wiem, co się tu działo naprawdę, bo wzięłam relanium i możliwe, że zaspałam.

- Ładne mi trochę - mruknęła pod nosem Helenka. - Ja już wiem, co tu było.

Justynka uzyskała swoją wiedzę wczorajszego wieczoru, Helenka zaś zdobyła ją rano. Wspólnymi siłami opisały perypetie Kowalczyka, nawet dość wiernie, co wyraźnie rozweseliło pana domu. Okazał łaskawość wręcz niezwykłą.

- Mogłaś jeszcze pospać - powiedział do żony jak zupełnie normalny człowiek. - Pani Helenka dała sobie radę koncertowo. No dobrze, gdybym wiedział o tym spektaklu, pewnie bym zadzwonił. A co do biurka...

Urwał, zastanowił się i zwrócił się do Justynki:

- Zajrzyj, dziecko, do kota.

Justynka spełniła polecenie. Wygrzebała z legowiska Pucusia dwie poszarpane kartki i przyniosła je. Karol obejrzał zmaltretowany papier i schował do kieszeni.

- Nic się nie stało. Dodrukuję sobie. Grzeczny kotek, numerów stron nie zeżarł. Dobrze, że mi powiedziałaś o bałaganie, bo szukałbym tego niepotrzebnie.

Zdumiewająco niebiańska atmosfera przy stole Justynkę bardzo ucieszyła. Stwierdziła nagle, że wuj potrafi być całkiem sympatyczny, co jakoś ostatnimi czasy ukrywał, pod warunkiem wszakże, iż wszystko idzie po jego myśli. Jeśli nikt mu się nie sprzeciwia, nikt nie żąda od niego pieniędzy i nikt nie zadaje głupich pytań, zachowuje się przyzwoicie, nie ryczy, nie robi swoich szeptanych awantur, a nawet okazuje duże poczucie humoru. Ona sama przystosowałaby się do niego z łatwością, ciekawe czy ciotka...

Ciotka w tym momencie udzieliła odpowiedzi na jej niedokończoną myśl.

- Czy to z tego jesteś taki zadowolony, że ja o mało na serce nie umarłam? - zapytała nagle z przekąsem

- Nic straconego, próbuj dalej, może w końcu ci się uda - odparł Karol natychmiast lodowatym głosem. - Ja zaś będę jeszcze bardziej zadowolony z daleka od ciebie.

Podniósł się od stołu i wyszedł. Justynce dreszcz przeleciał po plecach, ale zauważyła, że śniadanko wuj skonsumował do końca. Dlatego wyszedł. Gdy by jeszcze jadł, awantura wybuchłaby gwarantowanie i nie ma siły, z winy ciotki. Cóż ta kobieta ma za talent do psucia nastroju!

Malwinę atmosfera dławiła. Zadowolony z życia Karol, prawie sympatyczny, to było coś przerażającego. Powinien przecież wpaść we wściekłość, nie dostał wczoraj kolacji, żona nie zrobiła mu śniadania, brama ciągle zaklinowana, jaguar wystawiony na niebezpieczeństwo, a on się cieszy. Zdecydował się pewnie na ten cholerny rozwód, znalazł adwokata, złożył pozew, ma nadzieję pozbyć się jej i stąd szampański humor. Gdzie on w ogóle spędził wieczór...? Gdzie parkował...?!!!

Tkwiła nadal przy stole i jadła, nie zdając sobie sprawy z ilości pochłanianych kalorii. Karol wyszedł z hałasem i trzaskiem. Justynka, mająca jeszcze dużo czasu, udała się do siebie na górę. Malwinie wreszcie przyszło do głowy, że zaraz może się wszystkiego dowiedzieć, wyprysnęła z krzesła i popędziła do telefon.

No tak, oczywiście, kasyno. Niewątpliwie wygrał. Każdy przyzwoity mąż za część wygranej kupiłby coś dla żony, pierścionek albo kolczyki, ale przecież nie to skąpiradło! I samochodu, rzecz jasna, pilnują i mu tam strażnicy kasynowi, jak ci biedni złodzieje mają sobie dać radę? Ale przecież Kowalczyk nie będzie codziennie wracał ze wstrząsem mózgu, więc może najbliższej nocy...

Umówiony serwis do bramy przyjechał i niczego nie naprawił, ponieważ wykąpany pilot nadal nie działał. Nie mieli ze sobą jakichś tajemniczych przyrządów, które pozwoliłyby im od razu trafić na właściwą częstotliwość, spodziewali się bowiem, że klient sprawnego pilota posiada. Odłączyli wszystko, owszem, przechodząc na otwieranie ręczne, które, jak się okazało, wymagało sił nadludzkich i jakoś nie bardzo wyszło.

Nie wiedzieli o utraconym przez Justynkę guziczku z tworzywa sztucznego, który pod wpływem nacisku i tarcia częściowo się roztopił i zespolił z żelazem na mur, uzgodnili zatem z panią domu drugi termin, może jeszcze dzisiaj pod wieczór, a może jutro rano. Pani domu na wielki pośpiech zbytnio nie nalegała, a komunikatu, że zapewne trzeba będzie zmienić całe to stare urządzenie na młodsze, nowocześniejsze, do wiadomości nie przyjęła.

* * *

Świadkiem tych wszystkich wysiłków Justynka -już nie była, ponieważ wyszła z domu. Wynurzywszy się z wąskiej uliczki

osiedlowej na szerszą ulicę, po której jeździł autobus, z wielkim zainteresowaniem rozejrzała się dookoła.

Gdzieś tu miał czekać na nią jej wczorajszy rozmówca. Nie miała pojęcia, jak wygląda, ale wyobrażała sobie, że powinien rzucać się w oczy. Siedzieć jakoś wyraźnie na czymkolwiek, spacerować nerwowo, spoglądać w kierunku domu wuja... W każdym razie był płci męskiej.

No i czekał.

Widząc nadchodzącą Justynkę, Konrad pośpiesznie wysiadł z samochodu, który przed minutą zaparkował na skraju chodnika,

- Cześć - powiedział. - To ja jestem od tego telefonu. Konrad Grzesicki. Wsiadaj, podrzucę cię tam, dokąd idziesz.

Wypowiedź wydała się Justynce zupełnie naturalna. Zanim uprzytomniła sobie, że chłopak jest nader przystojny, zdążyła ucieszyć się perspektywą rozmowy w samochodzie. O wiele wygodniej niż na ulicy, ponadto szybciej dojedzie na wydział i będą mieli więcej czasu.

- Cześć, Justyna Tarniak - odparła i wsiadła, mgliście czując, że wsiada poniekąd urzędowo.

Od wczoraj Konrad zdążył uporządkować sobie obowiązki służbowe i życzenia prywatne i już wiedział, jak je ze sobą pogodzić. Z miejsca zaczął od kota.

Justynce kot pasował. Bardzo rzeczowo opisała charakter Pucusia i wynikające z niego papierowe komplikacje, po czym ją nieco zastopowało. Nie miała chęci przyznawać się do wścibskiego zainteresowania poczynaniami ciotki.

- Prawdę mówiąc - dołożyła niepewnie - każdy w tym domu zapisuje coś nie bardzo dokładnie, ja też, i potem nie wiadomo, co do kogo należy Oczywiście tych numerów nikt już później nie pamięta. Ale teraz przynajmniej wiem, że to nie moje,

Konrad zdołał już nieco poznać Malwinę, poza tym wiedział o jej ponownej wizycie w firmie i zagubieniu numerów telefonicznych. Nie miał wątpliwości, że rozsiała je po całym domu i próby uporządkowania tego bałaganu cyfrowego wydały mu się zupełnie prawdopodobne. W osobowość Pucusia uwierzył w pełni. Teraz chciał tylko zainteresować Justynkę sobą i znaleźć pretekst do następnego spotkania. Węszył w niej dziewczynę raczej oporną.

- Winien ci jestem wyjaśnienie - rzekł, nie kryjąc zakłopotania. - Rozumiem, że się zastanawiasz, skoro nie twoje, to czyje...?

- Wcale się nie zastanawiam - przerwała mu Justynka posępnie. - Zgaduję bez trudu. Co to za firma? Ta wasza?

- Ochroniarska. I nie jest wskazane rozgłaszać po mieście nasze nazwiska i adresy. Różni tacy nas nie lubią. Wczoraj popełniłem lekkomyślność, nie należała mówić prawdy, powinienem był powiedzieć, że nazywam się, na przykład, Adam Kowalski, i od razu sprawdzić, kto dzwoni i dlaczego. Ale... Jak by tu powiedzieć...

- Ale z rodziną Wolskich już mieliście do czynienia i wiedziałeś, że ja jestem nieszkodliwa?

- No, powiedzmy... Coś w tym rodzaju...

Justynka uprzytomniła sobie nagle, że stoją pod uniwersytetem i ona już musi lecieć, bo spóźni się na wykład. Tymczasem nadal właściwie nic nie wie i nie rozumie osobliwych wybryków ciotki. Należałoby z tym facetem porozmawiać dłużej na bazie jakiegoś zaufania albo czegoś w tym rodzaju i nie będzie to żadna nieprzyjemność, bo, prawdę mówiąc, on robi bardzo dobre wrażenie...

- No nie, okropność, ja już nie mam ani sekundy - powiedziała nerwowo, otwierając drzwiczki. - Dziękuję za podwiezienie. Wcale nie wszystko jeszcze...

- Do kitu taka rozmowa - przerwał Konrad stanowczo. - Coś mi się widzi, że musimy pogadać na spokojnie. Masz wolną chwilę po osiemnastej? Wpół do siódmej, na przykład?

Justynka kiwnęła głową,

- Akurat będę stąd wychodziła.

- Podjadę i znajdziemy spokojne miejsce. To cześć, do zobaczenia.

Już zaczął obmyślać sposoby zatrzymania samochodu na wieczór, Justynka zaś, która de facto kończyła zajęcia o piątej, od razu postanowiła posiedzieć półtorej godziny w bibliotece. Większa ilość wiedzy jeszcze nikomu nie zaszkodziła...

* * *

Karolowi dobry humor skończył się radykalnie i wściekłość na żonę przerodziła się w niechęć do całego świata. Nie uświadamiał sobie tego i nie rozważał kwestii, ale wcześniejsze zadowolenie z życia spodobało mu się, troska i niepokój o niego sprawiły mu przyjemność, znów, jak niegdyś, poczuł się najważniejszy, pan i władca, prawie bóstwo. Jedno zdanie Malwiny wionęło i skopało go z piedestału odorem egocentrycznej głupoty. Z dwojga złego wolałby już egocentryczną inteligencję...

Ciężar niechęci spadł w pierwszej kolejności na sekretarkę Beatkę, która źle oceniła wagę nadsyłanych zaproszeń, w drugiej zaś na Jolę, która spóźniła się całą jedną minutę. Sześćdziesiąt bezpowrotnie utraconych sekund! A Karol chciał wreszcie, do diabła, coś załatwić, coś zakończyć, o czymś zadecydować i coś wiedzieć na pewno, i tylko to mogło poprawić mu samopoczucie.

Rezultat czterogodzinnego posiedzenia nad różnojęzycznymi dokumentami był taki, że Jola, opuszczając firmę tuż po drugiej, znajdowała się na skraju wytrzymałości. Przypadkowo obecny przed wejściem Janusz Dębicki z samochodem został chwycony pazurami i odcierpiał na sobie furię wzgardzonego fachowca i brutalnie potraktowanej kobiety.

- Mam prawie trzydzieści lat - powiedziała Jola ze złowieszczym spokojem. - Pracuję całe życie i jestem fachowym tłumaczem. Możliwe, że istnieje na świecie jeszcze paru tłumaczy lepszych ode mnie, ale to nie powód, żeby mną pomiatać. Dosyć mam twardych mężczyzn i nie zniosę więcej ani jednego!

Janusz tchórzliwy nie był, ale przestraszył się, mniej treścią, a więcej tonem wypowiedzi. Pantoflarskich skłonności nie miał, zaliczał się raczej do osobników zdecydowanych, energicznych i przedsiębiorczych, Jola podobała mu się z dnia na dzień bardziej i teraz nie wiedział, co zrobić. Udawać uległego mięczaka? Pozwolić pomiatać sobą? Ale jeszcze wczoraj Jola wyraziła wzgardę dla mięczaków i twierdziła, że nie znosi przesadnie uległych!

Wygłosił jedyne słowa, jakie mogły rozładować jej wściekły stres.

- Wedle mojego rozeznania jesteś tłumaczem znakomitym i współpracownikiem bezcennym...

- Współ...! - warknęła dziko Jola.

- A co...?

- Jestem podrzędnym gównem, które ma zastąpić wszystkie słowniki świata, myśleć szybciej niż trzy komputery razem i nie mieć żadnego własnego zdania!

- Trochę to niekonsekwentne. Ale widzę element wysoce intrygujący. W życiu nie słyszałem, żeby ktoś wymagał od jakiegokolwiek gówna znajomości języków obcych. Panu Wolskiemu coś nie wyszło?

- Przeciwnie, wszystko mu wyszło. Jako biznesmen, wspiął się na szczyty. Ale charakter to ma tak i, że ja teraz muszę... Teraz muszę... Coś muszę...!

- Teraz musisz odreagować w towarzystwie jednostki o charakterze szlachetnym, anielskim, kojącym i pełnym zrozumienia.

Supeł w Joli zaczął mięknąć.

- I ta jednostka to ty?

- A któżby inny?

- To dlaczego oszukiwałeś mnie, że jesteś malarzem pokojowym?

- Nie mówiłem, że jestem, tylko, że mógłbym być Umiem malować ściany, jak Boga kocham. Olejno też umiem i moja farba nie płacze.

Trzy lata kontaktów z firmą budowlaną sprawiły że Jola znała określenie i wiedziała, co to znaczy, że farba nie płacze. Wnętrze jęło rozjaśniać się jej sukcesywnie.

- No dobrze, możemy gdzieś usiąść i napiję się koniaku. Mam wolną godzinę. Przed czwartą muszę odebrać maszynopisy od człowieka.

Janusz nie był bardzo głodny, ale wziął pod uwagę, że może ona...

- A nie wolałabyś wrzucić na ząb jakiego obiadu?

- Nienawidzę jeść, jak jestem wściekła. Jeszcze jestem. Poza tym, lanczyk był obfity, nie z powietrza pan Wolski ma swoją nadwagę. Wolę kawkę z koniaczkiem.

- Wedle rozkazu...

Rezultat ostateczny okropnych czterech godzin z Karolem był taki, że cieniutka niteczka kontaktu osobistego między Jolą i Januszem Dębickim przeistoczyła się nagle w grubą linę okrętową. Pierwszy raz Jola bez oporu i wahań, całkowicie dobrowolnie

spędziła z nim prawie siedem kwadransów na szczerej rozmowie i nie uznała tego czasu za zmarnowany, Janusz zaś pogrążył się znacznie silniej. Dziewczyna nie tylko wyglądała, miała także coś w sobie, atrakcyjne opakowanie okrywało interesującą zawartość. Po raz pierwszy też umówili się konkretnie na najbliższą przyszłość, co stanowiło dla niego dużą ulgę. Nie musiał już z takim wysiłkiem prokurować szczęśliwych przypadków.

Myśl o Karolu Wolskim w charakterze małżonka nie opuściła Joli całkowicie, ale mocno przybladła. Gdyby częściej miała znosić takie jego humory, jak ten dzisiejszy, gdyby miała być tak traktowana jeszcze, i nie daj Boże, na gruncie prywatnym... Czy istnieją na świecie pieniądze, które zdołałyby to opłacić...? Ciekawe, swoją drogą, jakie mogły być przyczyny tego cudownego nastroju...

Ledwo rozstała się z Januszem, wlazł jej do głowy Konrad. Konrad pilnuje Wolskiego, powinien przecież, do diabła, wiedzieć o nim coś więcej! Ona mu dostarczy wszelkich informacji o służbowych zajęciach Wolskiego, proszę bardzo, zaoszczędzi mu tyle czasu, ile tylko zdoła, ale on niech sobie robi, co chce, ma ujawnić przed nią tajemnice prywatne. Co nie tam dzieje w tym ich domu, że Wolski przychodzi do pracy taki nieziemsko wściekły, jeść mu nie dają czy co...?

Przypomniała sobie nagle siostrzenicę, tę Justynkę. Z plotek Beatki wynikało, że jest to jednostka bezproblemowa, nie stanowi żadnego źródła konfliktu, nie sprawia kłopotów, studiuje i tyle. Nigdy, w żadnej rozmowie telefonicznej, nie było narzekania na Justynkę. Może warto byłoby zawrzeć z nią znajomość? Bez względu na decyzje ostateczne, nie powinno to być szkodliwe, a znajomość zawsze można zacieśnić lub zerwać. No dobrze, niech się Konrad postara.

Tym sposobem Konrad został obarczony dodatkowym zadaniem, przeciwko któremu nie zaprotestował ani jednym słowem, kryjąc starannie, że wstępnę zabiegi ma już za sobą...

Malwina znów przeżyła ciężkie chwile.

* * *

Ci od bramy odjechali właściwie bez żadnego rezultatu. Nie zostało ustalone, kiedy mają wrócić z odpowiednim oprzyrządowaniem, czy, zgodnie z ich sugestią, brama zostanie wymieniona na nową, jeśli tak, to na jaką, nie zabrali ze sobą zepsutego pilota Malwiny, ponieważ nie chciała im go oddać, nie wyłączyli całej elektroniki i nie zdołali ruszyć maszynerii ręcznie. Guziczek Justynki spełnił swoje zadanie bez wiedzy właścicielki.

Przejęta doznaniami do wypęku, Malwina nie miała się komu zwierzyć, Helenka jej nie wystarczała, a Jus tynki już w domu nie było. Jedyną pociechę stanowiła myśl, że Karol nie wjedzie, ale była to myśl zatruta przewidywaniami, co z tego wyniknie.

Wsiadła do swojego nissana z zamiarem udania się do sklepu i, nie ruszając na razie z miejsca, za częła myśleć.

Wniosek z tego myślenia ulągł jej się straszliwy. Te niedołęgi i niedojdy, ci idiotyczni złodzieje, włamywacze i zbrodniarze napadają wszystkich, tylko nie tego, kogo trzeba. Nie Karola. Zatem nie ma siły, Karola musi zabić sama. Osobiście.

Możliwości pozostały jej dwie: otruć go albo rąbnać w łeb. Jeśli otruć, to tylko w miejscu pracy, broń Boże nie w domu. Jeśli rąbnąć w łeb, to w sytuacji niejako bandziorskiej, obok samochodu... nie, nie tak, obok miejsca postoju samochodu, bo samochód trzeba będzie ukraść. I porzucić byle gdzie, lekko rozbiwszy. Względnie w domu, pozorując potem włamanie. I oczywiście w tym drugim wypadku należy spowodować nieobecność wszystkich, jej samej, Helenki i Justynki...

Potwornie skomplikowane!

Przewidywane trudności, związane z waleniem w łeb, od razu zachęciły ją do skupienia się na pierwszej możliwości. Z pewnością będzie wymagała mniejszych wysiłków fizycznych. Tyle że w pracy, koniecznie w pracy...

Ktoś jej nagle popukał w szybę. Pogrążona w rozmyślaniach Malwina wzdrygnęła się i zamiast zapalić silnik i opuścić szybę, otworzyła drzwiczki.

- Jedzie pani może do miasta? - powiedziała Muminkowa, wsiadając natychmiast. - Pojechałabym z panią, na bazar przy Wałbrzyskiej chcę wstąpić. Można?

Na bazarze przy Wałbrzyskiej Malwina nie miała wprawdzie żadnego interesu i wybierała się raczej do Geanta, ale od razu pomyślała, że kto wie? Na każdym bazarze sprzedają różne dziwne rzeczy, może znajdzie coś odpowiedniego dla siebie, nie żeby zaraz cyjanek, ale jakąś roślinkę...

- Niech pani popatrzy, co za dzieci cholerne, dopiero wczoraj znalazłam, a już zeszłego lata z Krymu przywiozły - mówiła Muminkowa w ponurym rozdrażnieniu. - A mówiłam, do ruskich nie jechać, bo kto to tam wie, co się teraz u nich dzieje, to nie, pojechali. Młodzież kontakty międzynarodowe zacieśnia, ja im zacieśnię, pani wie, co przywieźli? Jagód cisowych sobie nazbierali, o, proszę!

Nigdy w życiu Malwina nie widziała jagód cisowych i nie miała najmniejszego pojęcia, że wyglądają jak miniaturowe wrzecionka. Wyjeżdżając powoli z parkingu, spojrzała na wielką serwetkę śniadaniową, którą podtykała jej pod nos zirytowana Muminkowa. W serwetce widać było ze dwie rzetelne garście jakichś strzępków i malutkich kawałeczków, jakby drewnianych, trochę czegoś podobnego do połamanej tekturki oraz kilka czarnych śmietków, które w najmniejszym stopniu nie przypominały żadnych jagód. Ale skoro Muminkowa twierdziła, że to jagody... Możliwe, że po wysuszeniu przybierały taką postać.

- I co? - spytała z miernym zaciekawieniem.

- No jak to co?! Przecież to śmiertelna trucizna! Cud boski jeszcze, że dla żartu nikomu do niczego nie nasypali! Stare konie, a głupie, za rękę to trzeba trzymać bez przerwy!

Malwina z wrażenia jednym kołem wjechała na krawężnik chodnika.

- Poważnie? Trucizna? I co pani z tym zrobi?

- Wyrzuciłabym byle gdzie, ale czyja wiem, Jeszcze jakie zwierzę zeżre...

- Może spalić w kominku?

- Też nie wiem, czy to dobrze, a jak dym z tego też jest trujący...?

Pragnienie zawładnięcia śmiercionośnym produktem w mgnieniu oka wybuchło w Malwinie z siłą trąby powietrznej.

- Do lasowanego wapna wrzucić - zadecydowała, już obmyślając podstęp, trochę mętnie, ale w natchnionym pośpiechu. - A w ogóle niech pani w torebka włoży, bo to się rozleci. O, mam tutaj...

Z kieszeni na drzwiczkach wyciągnęła cały kłąb foliowych torebeczek. Muminkowa pochwaliła pomysł, wybrała sobie jedną, wepchnęła do środka pakunek w serwetce śniadaniowej. Westchnęła.

- No dobrze, a skąd ja wezmę lasowane wapno? Szare komórki Malwiny pracowały na pełnych obrotach.

- Znam takie miejsce, akurat tu jeden sam sobie robi jakieś szklarnie czy coś takiego, i ma dół z wapnem. Specjalnie pojadę, to niedaleko. Nie, razem pojedziemy i wrzucimy komisyjnie.

- Chciałoby się pani...?

- A cóż takiego, dziesięć minut. Możemy od razu, prosto z tego bazaru. Wraca pani stąd do domu?

- Pewnie, że do domu, obiad muszę robić.

- No to potem od razu do tego dołu pojedziemy.

Z wielką wdzięcznością Muminkowa przyjęła propozycję, zmieniając zarazem nieco swoją opinię o Malwinie. Wydawała jej się ta baba głupia i nieużyta, a tu proszę, okazuje się, że i bystra, i uczynna. Jak to czasem człowiek się myli!

Wałkując i uściślając swoją pierwszą, mętną myśl, Malwina postarała się na bazarze od razu zniknąć oczu Muminkowej. Nie było to trudne, bazar był rozległy. Znała miejsce, gdzie sprzedawali przyprawy w rozmaitej postaci, świeżą bazylię można tam było dostać, wanilię w laskach, majeranek w bukietach, bagno na mole i Bóg wie co jeszcze. Łypnąwszy okiem dookoła i sprawdziwszy, czy nikt jej nie widzi, w skupieniu obejrzała produkty, znalazła co najmniej dwa zasobniczki z czymś bardzo podobnym do owych zaprezentowanych przez Muminkowa jagódek, powahała się chwilę, po czym nabyła dziesięć deko postrzępionego korzenia prawoślazu i tyleż posiekanego w drobną kostkę korzenia mniszka lekarskiego. Następnie, wracając spiesznie do samochodu, kupiła po drodze paczkę wielkich, białych serwetek śniadaniowych. Miały szlaczek. Serwetka Muminkowej też miała szlaczek, nieco inny ale podobny, różnica nie rzucała się w oczy.

Wsiadła. Muminkowa śmiercionośnej rośliny nie zabrała ze sobą, zostawiła ją w samochodzie, na fotelu pasażera. Trzęsącymi się rękami i wciąż rzucając wokół podejrzliwe spojrzenia, Malwina wymieszała ze sobą obie świeżo nabyte substancje, zawinęła je w serwetkę i wepchnęła do drugiej torebki foliowej. Woziła te torebeczki ze sobą nie tyle na wszelki wypadek, ile przez roztargnienie, wciąż zapominała je wyrzucić, chociaż niektóre nosiły na sobie wyraźne ślady użycia. No i proszę, jak się przydały...!

Pilnując starannie, które jest które, dokonała wymiany. Wracająca Muminkowa nie miała zamiaru oglądać nagannego łupu swoich synów. Wsiadła z tobołem jarzyn, bardzo zadowolona, nie zauważywszy nawet, że foliowa torebeczka spadła na podłogę, i nawet nie zainteresowała się, co Malwina kupiła.

- A pani wie, kiedy ta Larczykowa ma godziny przyjęć? - spytała za to podejrzliwie.

Z dreszczem szczęścia w sercu i bez chwili namysłu Malwina podjęła temat, który zajął im całą drogę. Zrobiła, co mogła.

Kiedy wreszcie znalazły się w pobliżu dołu z wapnem, Muminkowa z pewnym wysiłkiem odnalazła foliową torebeczkę gdzieś na podłodze i przez chwilę potrzymała ją w ręku. Robiła wrażenie, jakby wcale nie była pewna, czy rzeczywiście produkt należy bezpowrotnie zniweczyć.

Ów jakiś nie budował sobie żadnej szklarni, tylko elegancką, murowaną szopę dla królików. Z oknami żeby miały widno, porządnie otynkowaną i wybieloną i stąd wapno.

Malwina z Muminkową dobrnęły do dołu na piechotę w błocie po kostki. Mogłyby dojechać po suchym gruncie, ale wówczas zobaczyłby je ów jakiś, zajęty klatkami po drugiej stronie swojej posesji, w błocie i wśród zarośli natomiast nie widział ich nikt. Zatrzymały się pół metra od białej, częściowo naruszonej płaszczyzny.

Muminkowa, z wygrzebaną spod fotela w samochodzie foliową torebką w dłoni, zawahała się.

- A jak to jeszcze i temu czemuś w tej szopie zaszkodzi...?

- Wapno wszystko zeżre - pouczyła ją energiczne Malwina. - Pani rzuci daleko. A jak pani chce, ja mogę rzucić.

- Mnie ręka opada - wyznała Muminkowa z lekkim żalem i oddała jej torebkę.

Malwina uczyniła zamach i cisnęła pakunek na całe półtora metra w dal. Upadł na skraju naruszenia płaszczyzny i legł sobie spokojnie na gęstym wapnie.

Przez chwilę przyglądały mu się z wielką nadzieją, że zaraz zadymi, wsiąknie w biel i zniknie bez śladu. Nic podobnego nie następowało, leżał dalej na wierzchu w nienaruszonym stanie.

- Może trzeba to głębiej wepchnąć - zatroskała się Muminkowa. -Jakim kijem albo co.

Malwina najchętniej wepchnęłaby foliową torebeczkę na samo dno dołu. Rozejrzała się w poszukiwaniu drąga, znalazła gałąź, trochę cienką, ale za to długą, i i zaczęła celować nią w pakuneczek. Efekt był opłakany, gałąź szurała po wapnie, żłobiąc w nim bruzdy, kalając biel okruchami kory i nie docierając do obrzydliwego przedmiotu. Muminkowa odebrała jej narzędzie, wyższa była nieco i szczuplejsza, sięgała dalej, ale też bez skutku. Zasapały się obie, koniec gałęzi wreszcie się odłamał i został w dole.

- Mówiła pani, że zeżre - wytknęła Muminkowa z rozgoryczeniem.

- Już trochę zeżarło - zapewniła ją Malwina z najgłębszym przekonaniem, kryjąc niepokój. -Tylko stąd tego nie widać. Żre od dołu.

- I myśli pani, że długo to tak?

- No... parę godzin. Do jutra już śladu nie będzie. Tak bardzo chciała, żeby już dziś po jej zakupie śladu nie było, że uwierzyła we własne słowa. Ponadto miała nadzieję, że przy wybieraniu wapna łopata zgarnie także i zioła w foliowej torebeczce, po czym całość przeistoczy się w zaprawę, której nikt nie będzie badał zbyt wnikliwie. Królikom nie za szkodzi, ścian nie gryzą. Postanowiła niezłomnie uznać sprawę za załatwioną.

- A i tak nie sądzi pani chyba, że cokolwiek weźmie do gęby taką rzecz z lasowanym wapnem - zwróciła Muminkowej uwagę karcącym tonem. - Ma pani z głowy, trucizna już przepadła.

- No może... - powiedziała Muminkowa z powątpiewaniem i pomyślała, że właściwie Malwin ma rację, nikt przecież takiego czegoś z wapna nie zeżre, w każdym razie nie jej dzieci, a każde zwierzę ma więcej rozumu...

Jej poglądy ustabilizowały się nagle.

- Ma pani rację, ja pewnie obsesji dostałam, ale to mnie tak moje dzieci zdenerwowały. Bardzo dobrze, całe świństwo przepadło. Możemy wracać. Ciekawe, czy pantofle da się doczyścić...

Właściciel posesji, apartamentu dla królików i wapna przyszedł po surowiec w dwie godziny później

- Gnoje cholerne - wymamrotał gniewnie pod nosem, mając na myśli dzieci zarówno własne, jak i sąsiadów, beztrosko odnoszące się do czystości jego materiałów budowlanych. Zdjął z łopaty ułamany patyk, a także foliową torebeczkę z jakimiś śmieciami i rzucił wszystko w krzaki.

W ten sposób nabyte przez Malwinę zioła lecznicze przepadły ostatecznie, nikomu nie szkodząc.

* * *

Złodzieje samochodowi, wbrew mniemaniu Malwiny, wcale nie popadli w totalny marazm. Jaguar Wolskiego spędzał im sen z oczu. Zaczęli go namierzać już od poniedziałku, zaraz po uzyskaniu informacji od kochającej małżonki, i rychło stwierdzili, że kradzież pojazdu nie pójdzie z górki. Już samo włamanie do garażu na przyzwoicie strzeżonym osiedlu przedstawiało sobą przeszkodę nie do przełamania, niektórych alarmów nie dawało się wyłączyć, tak jak nie dałoby się wyłączyć żywego, tresowanego psa, a zatrudnieni tam ochroniarze wykazywali przerażającą gorliwość. Jedyną okazję stworzyła zepsuta brama, jednakże w pięknych godzinach przedwieczornych jaguara na parkingu nie było i z okazji nic im nie przyszło.

Większe szansę ujrzeli pod miejscem pracy tego Wolskiego. Parkingu pilnował wprawdzie nader obowiązkowy cieć, ale zająć czymś ciecia, niewielka sztuka. Byle awantura przy którymkolwiek oddalonym nieco samochodzie, cieć w czymś takim musi wziąć udział, jaguara przez ten czas wepchnie się na platformę i po krzyku. Jawnie wieziony, bez wątpienia niesprawny, samochód nie obudzi niczyjego zainteresowania, a potem już będzie za późno.

Ponadto Wolski niekiedy parkował w miejscaa nie strzeżonych wcale...

Jednym z takich miejsc była rotunda Pałacu Kultury. Przed wejściem do kasyna stali, rzecz jasna, strażnicy, ale wystarczyłoby jakiekolwiek porządne zamieszanie wewnątrz, żeby wszyscy stracili z oczu świat zewnętrzny bodaj na kwadrans. Zamieszanie mógł wywołać jakiś bądź przypadkowy gracz, przyczyniając nawet drobnych szkód, policja problemu nie stanowiła, zdenerwowany hazardzista ma prawo do najdziwniejszych wybryków. Policji zresztą zapewne wcale nie wzywano, kasyna dysponują doskonałą ochroną własną.

Tyle że musiałby to być hazardzista fałszywy. Ktoś kto w ogóle kicha na grę i nie zależy mu w najmniejszym stopniu, byłby to bowiem jego ostatni pobyt w kasynie. Nie wpuszczono by go więcej za próg, na co prawdziwy gracz nie miałby chęci się narażać.

Wiedzę na ten temat Malwina uzyskała w sposó dość osobliwy.

Fronty atmosferyczne posprzeczały się ze sobą i znienacka powiał dziki wicher. Ze zdobytą podstępnie trucizną i licznymi, niedokładnie sprecyzowanymi pomysłami jechała do firmy Karola, bo truć należało go wszak w miejscu pracy, zboczyła tylko nieco do sklepu. Znalazła się na Hożej, tuż przy Kruczej kiedy kłąb jakiegoś czegoś, gnany podmuchem, padł jej na maskę, straszne kłaki rozpostarły się przed twarzą, straciła widoczność, stanęła na hamulcu i w tym momencie pod koła runął człowiek.

Szczęśliwie w chwili runięcia Malwina już stała. Nie przejechała go, ale i tak omal nie padła na serce. Kłaki przed twarzą, człowiek pod kołami... Zamarła chwytając się za klatkę piersiową i łapiąc oddech

Człowiek wylazł spod kół, najwyraźniej w świecie zdenerwowany i roztrzęsiony, czemu trudno było się dziwić, miotnął się ku chodnikowi, coś robił nogami, mimo oszołomienia Malwina zdołała się zorientować, że wkłada but, widocznie spadł mu z nogi, zarazem usiłował dosięgnąć ręką jej maski, jakby chciał zatrzymać samochód własną siłą fizyczną.Z nie dopchniętym butem na nodze podskoczył ku niej i gwałtownie zgarnął kłaki z przedniej szyby. Coś z tych kłaków zaczepiło się o wycieraczkę, człowiek szarpnął drzwiczki, otworzył.

- Pani stoi!!! — wrzasnął okropnie.

Malwina drgnęła silnie, stopa zjechała jej ze sprzęgła, samochodem wstrząsnęło i silnik zgasł.

- Stać!!! — ryknął człowiek.

Malwina stała, bo i tak do niczego innego nie była zdolna, on zaś w skupieniu odplątywał z wycieraczki owe zaczepione kłaki. Cudem chyba przez te kilka chwil nic nie jechało, kawałek ulicy ział pustką, po chodnikach tylko chodzili ludzie. Człowiek odplątał swoje coś, chwycił całe kłębowisko, przytulił do piersi spojrzał nagle w kierunku Kruczej i w dzikim pośpiechu wepchnął się jej do samochodu.

- Pani jedzie!!! - wydyszał wściekle i rozpaczliwie.

Malwina zamierzała odegrać wspaniałą scenę szoku, z którego trzeba będzie ją wyprowadzać, pocieszać, posłużyć jakimś łonem do nerwowych szlochów, ale wszystko razem było takie dziwaczne, że aż ją zaciekawiło. Ponadto od razu postanowiła zemścić się na tym kretynie i przy okazji obejrzeć niezrozumiały koltun. Nie mogła dłużej tkwić w miejscu, na jezdni pojawiły się samochody, musiała ruszyć. Zapaliła silnik i skręciła w prawo, w Kruczą, a zaraz potem w Wilczą. Na wszelki wypadek, na Wilczej była komenda policji...

Tuż przed nią ktoś odjechał i znienacka znalazły miejsce na zaparkowanie. Zatrzymała samochód i zgasiła silnik, tym razem świadomie i dobrowolnie.

- I co to ma znaczyć? - spytała z ciężką urazą - Niech pan sobie nie myśli, że mnie pan porwie albo co.

Spoglądający niespokojnie do tyłu facet odwrócił się ku niej.

- Co też pani? - rzekł ze zgorszeniem, teraz już normalnym głosem. - Ja bym pani nieba przychylili Życie mi pani uratowała!

- No rzeczywiście, rzuca się pan pod samochód, żebym ja musiała panu życie ratować...

-Ale jakie tam rzuca, gdzie rzuca, to...! O, widzi pani? To!

Potrząsnął jej przed nosem kołtunem. Malwina z zaciekawieniem przyjrzała się kłakom i nagle rozpoznała, co to jest. Peruka, oczywiście! Ogromna peruka w kolorze ciemny kasztan, mocno rozczochrana.

- Zleciała mi ze łba, ten wicher zerwał, chciałem złapać - mówił dalej facet, przechodząc na ton smętny. - Jak ja się wystraszyłem, że pani mi ją przejedzie...! Zaczepiła się o wycieraczkę, cale szczęście...

Malwinie na nowo zabrakło tchu. Szczęście...!

- No wie pan...

- A na drugą już, prawdę mówiąc, brakuje mi forsy, to cholernie drogie, a bez peruki nie mam życia. Omskło mi się z krawężnika i but zgubiłem... A tu mi pani chce ruszać, cholerny świat...

Mimo woli i wbrew samej sobie Malwina rzuciła okiem na tego barana. Wcale nie był łysy, miał włosy jasnoblond, jakby wypłowiałe, wprawdzie średnio obfite i gładko przylegające do głowy, ale miał. I czarne, niewielkie wąsiki, pasujące do niego jak pięść do nosa. Na diabła mu peruka, i to jeszcze taka potężna? A, może ma ją dla kogoś, dla jakiejś baby na przykład...

- Czyje to? - spytała surowo.

- Co?

- To. Ta peruka.

- Jak to, czyja? Moja.
- Do noszenia?
- No pewnie!
Przez chwilę Malwina zbierała myśli.
- Pan zwariował? Po co pan to ma nosić?
Facet westchnął ciężko.
- A, co tam. Powiem pani. Żeby mnie nie poznali.
- Kto? Policja? O, proszę pana, jeśli pan jest przestępcą...
- Ale jaka tam policja, dużo mnie policja obchodzi! W kasynie żeby mnie nie poznali, bo jako mnie, to mnie nie wpuszczą, a tak, o, w tym, to ja mogę , udawać kogo innego.
- Chyba stracha na wróble. Dorosły mężczyzna z taką szopą na głowie...? A może pan chce udawać kobietę? Facet westchnął jeszcze ciężej i wyjaśnił jej, że oprócz wyglądu zewnętrznego musi zmienić także personalia, bo w kasynach sprawdzają. A dowód osobisty mógł pożyczyć tylko od kumpla, który szczyci się takim właśnie uwłosieniem. Nabył zatem perukę, zbliżoną do pierwowzoru, zgolił brodę także, bo kumpel nie nosi, a te wąsy ma przylepione. Będzie go udawał, kumpel po kasynach nie chodzi, więc go nie znają i numer przejdzie.
- A stamtąd trzeba było odjechać - dodał jeszcze
- Akurat lazł jeden z tej kasynowej obsługi, z Grandu, i mało co, a byłby mnie zobaczył. Z tym w ręku, o !
Potrząsnął kołtunem, przeczesał go troskliwie palcami i nasadził na głowę, odwracając ku sobie wsteczne lusterko, po czym dumnie zaprezentował się Malwinie.
- No proszę! Całkiem co innego, nie? Malwina wysłuchała opowieści z dużym zainteresowaniem i przyjrzała się gębie, istotnie bardzo zmienionej.
- Owszem - przyznała z powątpiewaniem - Ale chyba coś jest nie tak. Niemożliwe, żeby komuś tak dziwnie włosy rosły!
Zaniepokojony przebieraniec przejrzał się w lusterku uważniej.
- O cholera. Ma pani rację, to jest tyłem do przodu. Zaraz, odwrotnie...
Obserwując manipulacje z peruką, Malwina zainteresowała się sprawą głębiej. Ogólnie biorąc, kasyna nie były jej obce, wizytowała je kilkakrotnie razem z Karolem, ale Karol nie chciał jej tam zabierać bo zbytnio zapalała się do gry. Nie przyszło jej dotychczas do głowy, że mogłaby do jaskini rozpusty udać się sama.
- No dobrze... Łeb ma pan w tym wielki, jak dynia...
- Zgadza się. Kumpel też ma taki.
- No dobrze, a dlaczego nie wpuszczą pana jako pana?
Przebieraniec zakłopotał się nieco.
- No, bo wie pani, jak by tu powiedzieć... Ja, rozumie pani... Ja nerwowy jestem. Możliwe, że taka tam nieduża zadyma wyszła, no, niech będzie, że ze dwa razy, raz w Pałacu Kultury, a raz tu, w Grandzie... No, nie będę się wypierał, w Victorii też mnie zgniewało. A te skubańce wzajemnie sobie o gościach donoszą...
- I wyrzucili pana?
- Tak jakby. A jeszcze pod Pałacem przy tej okazji taksiarzowi klient prysnął i też na mnie zwalili, że niby całą obsługę zająłem i każdy się gapił. Ja im kazałem się zajmować? No niech pani sama powie, gdzie sprawiedliwość na świecie?
Malwina chętnie przyznała, że nigdzie, i równie chętnie wysłuchała wielce krytycznych słów pod adresem automatów, krupierów, kulki ruletki i w ogóle całego tego draństwa, skierowanego przeciwko spokojnym, przyzwoitym ludziom, którym nie pozwala się wygrać. Wnioski zaczęły jej się z tego wyłaniać nawet prawidłowe i zażądała więcej szczegółów, których przebieraniec, układający sobie obfite pukle przed jej wstecznym lusterkiem, dostarczył bez oporów. Ośmielił się wreszcie poprosić, żeby go podwiozła pod samo wejście do kasyna w Grandzie, bo inaczej ten cholerny wiatr znów mu zerwie ze łba kamuflaż.
Podwiozła go i omal nie zapomniała, dokąd i po co jedzie. Z połowy drogi do domu zawróciła do firmy Karola.

* * *

W firmie Karola, szczególnym trafem, wszyscy woleli herbatę niż kawę. Parzyła tę herbatę sekretarka Beatka w wydzielonym zakamarku sekretariatu w dwóch czajniczkach, bo tak sobie życzył szef. Mowy nie było o herbacie w saszetkach, do picia zaparzonego papieru Karol odnosił się ze wzgardą i wstrętem. i cały personel szedł w jego ślady.
Czajniczków zaś musiało być dwa, do jednego z nich bowiem Karol kazał niekiedy dosypywać rozmaite wyszukane gatunki, tworząc mieszanki o nowych smakach. Zakupów dokonywała Beatka, zdarzało się jednak, że Karol sam coś przywoził ze swoich dość licznych podróży, ostatnimi czasy zaś upodobał sobie chińską jaśminową, sprowadzaną z paryskiej firmy Kazał ją łączyć z innymi pół na pół. Nie każdemu ta jaśminowa przypadała do gustu i stąd dwa czajniczki dla personelu wielki, a dla szefa mniejszy, Karol bowiem nie widział żadnego powodu, dla którego miałby się znęcać smakowo nad podwładnymi.
Zaparzano tę herbatę dwa razy w ciągu dnia, o weczesnym poranku i tuż po południu, i wszyscy mogli ją pić w dowolnych ilościach. Co też czynili.
Nie mając najmniejszego pojęcia o panujących w firmie męża zwyczajach, Malwina przyjechała piętnaście po dwunastej, właściwie na rekonesans, dla sprawdzenia, czy i w jaki sposób uda jej się nieznacznie podrzucić truciznę. Na wszelki wypadek miała ją przy sobie.
Firma zajmowała całe trzecie piętro starego budynku, bo w jej skład wchodziła także pracownia projektowa, odźwiernego nie zatrudniano, a drzwi stały otworem. Najbliżej wejścia znajdowała się łazienka, dalej sekretariat, a zaraz za nim gabinet Karola, który z żadnymi salonami się nie wygłupiał. Zajmował tyle miejsca, ile mu było potrzebne na dwa komputery, jeden jego prywatny, a drugi połączony ze światem na wszelkie możliwe sposoby, obok zaś wygospodarował niewielką salkę konferencyjną. Beatka również dysponowała sprzętem wszechstronnym, dodatkowo zaś, przez oszkloną ścianę, miała widok na wszystkich wchodzących.
Na dole, w bramie, był domofon, ale Malwina z niego nie skorzystała, bo akurat ktoś wychodził i zdążyła przemknąć się do wnętrza za jego plecami. Na trzecie piętro wjechała windą i wkroczyła do mężowskiego sanktuarium. Delikatnie i na paluszkach.
Dokładnie w tym samym momencie Beatka odkręciła w łaziencie kran i przystąpiła do wytrząsania lierbacianych fusów z mniejszego czajniczka. Należało go wypłukać bardzo porządnie, bo szef na to zwracał uwagę. Czajnik dla personelu stał już przygotowany, z herbatą w środku, a ten elektryczny zaczynał szumieć.
Malwina, po sekundzie wahania, ruszyła w głąb biura. Żywego ducha nie było widać. Zajrzała do sekretariatu, stwierdziła, że jest pusty, głupia dziewucha, która powinna tam siedzieć, najwyraźniej dokądś polazła, okazja wymarzona! Zakradła się dalej i odkryła zakamarek kuchenny. Jeden rzut oka wystarczył, żeby ocenić przecudowną sytuację, ona robi herbatę, z

pewnością dla Karola, za chwilę naleje wrzątku...

Wszelkie czynności gospodarskie Malwina miała w małym palcu. Dziesięciu sekund potrzebowała, żerby kilkoma błyskawicznymi ruchami wyrwać z torby truciznę, wysypać z czajnika większość herbaty, wepchnąć do niego całą zawartość serwetki śniadaniowej i na wierzchu przykryć ją warstwą produktu właściwego. Nie bawiąc się w zbyt porządne uprzątanie, resztę herbaty zgarnęła do swojej foliowej torebeczki, różne paprochy jednym gestem zmiotła na podłogę i uciekła. Też delikatnie i na paluszkach

Beatka wróciła z łazienki, szybko wsypała do wypłukanego i ciepłego czajniczka herbatę z puszki Karola, elektryczny czajnik właśnie przytknął, od razu zatem zalała wszystko wrzątkiem. Pod dużym imbrykiem zapaliła świeczkę dla podgrzania i wzmocnienia esencji i nastawiła nową wodę, bo za dziesięć minut powinna zanieść napój szefowi.

W kwadrans później personel zaczął przychodził po herbatę dla siebie.

* * *

Zważywszy, iż biedne dzieci Muminkowej zostały przez swoich krymskich kumpli oszukane haniebnie i nie zauważyły chichotów na stronie, zważywszy, iż rzekome, wściekle trujące, jagody cisu de facto były korą i owockami szakłaku, oraz zielem i strąkami senesu, zważywszy, iż wspomniane zioła lecznicze obejmowały swoim zasięgiem głównie przewód pokarmowy i stanowiły silne antidotum przeciwko obstrukcji, zważywszy, iż nie przyozdobiły lasowanego wapna, a za to zostały zaparzone w potężnym stężeniu i właściwie podgrzane, zważywszy, iż nie miały żadnego wyraźnie nieprzyjemnego smaku, mikstura zdołała uszczęśliwić wszystkich pracowników Karola. Z wyjątkiem Beatki, która podzielała gust szefa i ukradkiem częstowała się napojem z jego prywatne go czajniczka.

Pracownicy przeżyli ciężką noc, medykament bowiem rozpoczął ochoczą działalność około jedenastej wieczorem i zakończył ją dopiero o szóstej rano

Równy ciężar, acz w innej postaci, legł na jestestwie Malwiny.

Przede wszystkim Karol nie wrócił do domu ani na obiad, ani na kolację. W dodatku nie było Helenki, która poszła do córki, i do bardzo późnego wieczoru nie było także Justynki, która podziała się nie wiadomo gdzie.

Od chwili ukończenia osiemnastu lat Justynka właściwie przestała być kontrolowana. W ciągu minionego dziesięciolecia dostatecznie wykazała się rozsądkiem, pilnością, pracowitością i właściwym stosunkiem do życia, żeby można jej było dać spokój. Uczyła się doskonale, za chłopakami nie latała, wizytujące ją, nieliczne grono koleżanek i kolegów było kulturalne i dobrze wychowane, noce poza domem spędzała wyłącznie w przypadkach uzasadnionych, Malwina zatem z przyjemnością zrzuciła z siebie ciężar odpowiedzialności pedagogicznej.

Nieobecnością siostrzenicy denerwowała się tylko wtedy, kiedy miała do niej interes. Kiedy chciała wyżalić się, popłakać do kogoś, pohisteryzować, poradzić... Kiedy rąbnęła żarówka i należało ją wymienić, kiedy trzeba było skoczyć do sklepu, a jej się nie chciało, kiedy z nudów życzyła sobie z kimś porozmawiać i poplotkować. Wówczas owszem, miała do Justynki ciężką pretensję o to, że jej nie ma.

No i właśnie Justynki nie było.

Do szaleństwa zdenerwowana myślą, że Karol właśnie ginie otruty, w oczekiwaniu na telefon z jakiegoś pogotowia albo ze szpitala, przepełniona do wypęku pragnieniem opowiedzenia świadkowi, gdzie dziś była i co robiła, z góry zapewnienia sobie alibi, błąkała się po całym domu z zaciśniętymi zębami i wzrastającym poczuciem krzywdy. Jedynej odrobinki ukojenia dostarczały koty, plączące się jej pod nogami, ale to było mało. Stanowczo za mało!

Zaniosło ją w końcu do garderoby,

Obrzuciła pomieszczenie roztargnionym spojrzeniem, opuściła je i nagle coś ją tknęło. Zawróciła.

Nie było torby podróżnej Karola. Takiej normalnej, przeciętnej, na kółkach, ale średnio pakownej. Tej, którą zabierał ze sobą przy krótkich wyjazdach bez konieczności przebierania się, bez nart, smokingów, płetw i masek. Nie było i cześć. Może jeszcze czegoś nie było?

Stan posiadania Karola w dziedzinie odzieży Malwina znała doskonale, sama go bowiem uzupełniała i porządkowała. Rychło stwierdziła zatem, że brakuje dwóch koszul, jednej piżamy, jednego krawatu jednej pary skarpetek i dwóch par gaci. Poza, oczy wiście, tym, co miał dziś na sobie...

A otóż nie. To, co miał na sobie, jest, tu leży. Zabrał elegantszy garnitur.

Pierwszą reakcją Malwiny był wybuch irytacja proszę, znów gdzieś wyjechał bez słowa, zaraz następną wybuch nadziei. Doskonale, padnie trupem w dużej odległości od domu, tam coś zeżarł, nie tu... Zaraz, kiedy wyjechał?

Z lekkim oporem uświadomiła sobie, że z miasta. po tym truciu, wróciła dopiero tuż przed czwartą Wstąpiła do paru butików, na kawę, przypadkiem spotkała Izę... Pogadały chwilę, potem Iza się śpieszyła, Malwina zatem również zaczęła się śpieszyć, obiad był gotów, Helenka zapowiedziała, że idzie do córki i poszła... No i co dalej? Nic. Kiedy, na litość boską Karol mógł wpaść do domu, przebrać się i wyjechać., ,

Karol o siedemnastej dwadzieścia miał samolot do Kopenhagi. Wpadł do domu zaraz po krótkie konferencji, około wpół do czwartej, Helenka akurat była w sklepie, przebrał się tak, żeby w razie czego robić dobre wrażenie, wrzucił do walizki parę drobiazgów i wybiegł, odjeżdżając na pięć minut przed powrotem Malwiny. Angleterre miał zarezerwowany, kochał Angleterre, ta cała cudowna staroświeckość... Na jeden dzień tam jechał, na tę wystawę klimatyzacji, nazajutrz wieczorem zamierzał wrócić, z ludźmi, jakby co, umówić się rozmaicie, od tego istniały telefony, internety, małpie poczty i tym podobne urządzenia. Parę godzin powinno mu wystarczyć na obejrzenie tych nowości osobiście.

Malwina, jak zwykle, nie miała o jego wyskoku najmniejszego pojęcia. Z zabranej odzieży wywnioskowała, że wyjazd musi być krótki. Ilość koszul, ilość gaci... Z uwagi na rozmiary, Karol nie w każdym sklepie mógł uzupełnić garderobę, XXL istniał, ale może mu nie pasował kolorem albo co...? Dwie koszule, nie przewidywał kupowania... Znaczy, wkrótce wróci.

No i co z tego? Pojechał. Wkrótce wróci. Albo i nie wróci, ponieważ padnie trupem gdzieś tam...

Jej zdenerwowanie, niepokój, niepewność, sięgnęły szczytu. Dopiero o dziewiątej wieczorem przypomniała sobie, że przecież może zadzwonić do tego faceta i dowiedzieć się wszystkiego o losach męża, po to właśnie za ciężkie pieniądze wynajmuje detektywów! Boże jedyny, jak mogła zapomnieć...!

* * *

Justynka nie patrzyła na zegarek i nie zdawała dobie sprawy z upływu czasu. Konrad poszedł na całość. Samochód zatrzymał dla siebie z wielką łatwością, ponieważ na własne oczy widział odlot Wolskiego do Kopenhagi i słusznie wydedukował, że przed jutrzejszym południem nie ma co na jego powrót liczyć, możliwe nawet, że nie będzie go dłużej, po cóż by bowiem leciał do Danii na jedną noc. Zatem, na rozum biorąc, należy się go spodziewać dopiero pod wieczór, bo jeśli cokolwiek ma tam załatwiać, uczyni to w godzinach pracy i chwilowo jest z nim spokój. Sprawdził jeszcze tylko rozkład lotów i pojechał na spotkanie z dziewczyną.

O jego działalności ochroniarskiej Justynka już wiedziała, sam jej to wyznał. Nie musiał przed nią ukrywać swoich prac zleconych i łgać na potęgę, wystarczyło ominąć tylko niektóre szczegóły. Rozmowa będzie łatwiejsza, zdoła może dowiedzieć się o niej możliwie dużo...

Dokładnie takie same chęci żywiła Justynka, z tym że do osoby Konrada przyplątały jej się problemy profesjonalne. Rodzaj zajęcia, którym się człowiek nie chwali, instytucja ochroniarska, o której się nie mówi, Ciekawa rzecz, jak to się ma do przestępczości i wiedzy o tych rozmaitych mafiach, kto tu kogo się boi...?

Siedząc przy kawie i bardzo niedobrych pasztecikach, urządziła Konradowi całe, rzetelne przęsłuchanie.

- Ja chcę zrozumieć - rzekła surowo - jak możecie się ukrywać, jako firma i jako ludzie, skoro ogłaszacie się w prasie? Widziałam wasze ogłoszenie. Czy to przez te usługi detektywistyczne?

- Poniekąd. Jak by ci tu wyjaśnić... Niekoniecznie taki jeden z drugim musi wiedzieć, że jest namierzany... W razie czego... Na ogół to są grupy..

- Nie. Albo powiedz wyraźnie, że nie powiesz albo mów porządnie. Nie kręć.

- Kręcić owszem, usiłuję - wyznał Konrad. Ale chyba nie najlepiej mi to wychodzi. Ty, mam wrażenie, studiujesz prawo? .

- Prawo, zgadza się. I zamierzam być prokuratorem.

- To widać. Przepowiadam ci wielką przyszłość. Dusisz logicznie i dociekliwie.

- I tego, co wiem, nikomu nie powtarzam. Możesz mi nie wierzyć, jak nie chcesz. Ale rozumieć muszę.

- Nie mam powodu ci wierzyć albo nie wierzyć, nic o tobie nie wiem. W porządku, wyjaśniam. Są dwie przyczyny tej tajemniczości, jedna prosta, usługi detektywistyczne sama odgadłaś, trzeba czasem pośledzić człowieka. Nie dasz rady, jeśli zna twoją gębę, sorry, chciałem powiedzieć twarz. Te rozmaite peruki, okulary, garby to kłopotliwa rzecz, lepiej po prostu być kimś zupełnie obcym, nie bez powodu w telewizji ochroniarzy pokazuje się od tyłu albo w kratkę. Jasne?

- Jasne. Po co śledzić?

- Różnie.

- Tyle, że różnie, sama potrafię zgadnąć. Powiedz przykładowo.

- Przykładowo... Dobra. Żeby sprawdzić, gdzie bywa, z kim się spotyka, kogo zna, z kim załatwia interesy i tak dalej. Dużo kantów można w ten sposób wyłapać, jeden wspólnik upewnia się, że drugi wspólnik robi z niego balona, rzekomo przyzwoity facet handluje z ruską mafią narkotykami... Ewentualnie układ mąż i żona, któreś chce mieć dowód winy przy rozwodzie. O, proszę bardzo, mogę ci powiedzieć o konkretnej sprawie, już nieaktualnej, sprzed trzech lat, wtedy zaczynałem i sama końcówka się o mnie otarła. Żona kazała śledzić męża, który rzeczywiście miał liczne podrywki, nikt nic nie mówił, ale wszyscy myśleli, że w celach rozwodowych. Tymczasem nic podobnego, wyszło na jaw, że jej chodziło nie o męża, a o przyjaciółki. Chciała sprawdzić, z którymi ją zdradza, i ruszyła do akcji odwetowej.

- Zaczęła jego zdradzać z ich mężami? - zdumiała się Justynka. - A jak któraś nie miała męża.

- Gdyby poszła taką prostą drogą, nie byłoby uciechy. Wcale go nie zdradzała osobiście, a w każdym razie rzadko. Wynajdywała tym mężom obce panienki, bardzo atrakcyjne, ponapuszczała przyjciółki wzajemnie na siebie, zrobiła melanż gigantyczny i zemściła się koncertowo. A z tym mężem wcale nie zamierzała się rozwodzić, do dziś dnia z nim żyje w wielkiej zgodzie i bardzo zadowolona. Całą swoją działalność określiła mianem terapii psychicznej.

- Niegłupie - pochwaliła Justynka po chwili namysłu. - Rozumiem. A drugi powód? Mówiłeś, ze są dwa.

- Drugi gorszy. Wkracza w dziedzinę ochrony Nie zawsze ta ochrona powinna być jawna, różnie bywa. Ktoś jej sobie nie życzy, a trzeba. Kogoś należy pilnować tak, żeby przeciwnik o tym nie wiedział Znają cię... przepraszam, nie ciebie, nas... Znają z twarzy, urządzą mały napadzik i cześć pieśni, z życiem się ujdzie, ale przykrość duża. Adres, jeszcze gorzej...

O tak, to Justynka mogła zrozumieć doskonale. Kiwnęła głową, od razu czując lekkie ściśnięcie gdzieś w tak zwanym dołku. Inwigilacja i ochrona, przecież to całe bandziorstwo, ten świat przestępczy powinien być... i pewnie jest... wszystkim władzom doskonale znany! I co? I ciągle jeszcze nie jest wyłapany ani unieszkodliwiony? Ciągle działa swobodnie? Kto temu winien...?

Kategorycznie i bezwzględnie zostanie prokuratorem! I żadnego domu, żadnych dzieci...!

- Będę mieszkała w szałasie na działkach - oznajmiła z zaciętością. - A dzieci oddam do sierocińca w... w... gdzie by tu... W jakimś klasztorze!

Konrad na moment osłupiał.

- Jakie dzieci?

- Moje.

- Rany boskie... Ty masz dzieci?!

- Nie. Ale nie jest wykluczone, że będę miała.

- Zaraz... Kiedy?!

- Nie wiem. W jakiejś tam właściwej chwili. No, nie za tydzień.

- I co to ma do rzeczy?

- No przecież oni wszyscy boją się, bo mają żony i dzieci! I domy! I samochody! I, co tu ukrywać, słabą kondycję fizyczną...

- Kto?!

- Prokuratorzy, sędziowie, policja...

Konrad pojął i odetchnął z ulgą. Dzieci na razie nie bruździły. Istotniejsze było pytanie, czy ona ma chłopaka, może to jakiś wymoczek z tego samego roku i stąd rozgoryczenie na tle kondycji fizycznej. Rozpłomieniona gniewem Justynka podobała mu się coraz bardziej i nie zrażała go nawet jej prokuratorska dociekliwość, ponadto, zajęta tematem, nie mizdrzyła się i nie wygłupiała, była sobą, nie udawała wampa ani świergotki. Podobieństwa do ciotki nie wykazywała żadnego. Ostrożnie zaczął zmieniać temat.

- U was, tam, na osiedlu, jest stała ochrona. Znasz któregoś z nich z twarzy?

- Nie. I nawet nie wiem, ilu ich jest. Bo co?

- Bo sama widzisz. Mogliby tu wszyscy siedzieć przy stoliku obok i nie miałabyś o tym pojęcia.

- Ale mój wuj ich zna. Sam ich wybierał. A ty coś wiesz o moim wuju...

I nagle zyskała pewność. Zrozumiała wszystko.Wiedzę Konrada o wuju, dziwaczne zachowanie ciotki, ten numer telefonu w kocim posłaniu, te zwały prasy... Ciotka zleciła inwigilację męża i robi jakieś dziwne sztuki. Boże drogi! Co z tego wyniknie?

- Pewnie, że wiem, przecież wybierał tych ochroniarzy bardzo starannie - potwierdził Konrad tonem możliwie obojętnym. - Nie krył się z tym.

Mógł sobie mówić, co chciał, Justynka swoje wiedziała. Konrad wywęszył, że ona wie i żadna siła jej tej wiedzy nie wydrze. Zastanowił się, czy warto zbijać ją z pantałyku i wpędzać w manowce, ale jakoś okropnie nie miał na to ochoty, poza tym zdążył pomyśleć, że przy okazji zaraz wyjdzie na jaw jej powściągliwość Albo gadatliwość. Powiedziała, że nikomu nic nie mówi, zobaczymy, czy to prawda...

Justynka z kolei wyczuła, że nie należy go bardzo naciskać. Właściwie niczego jej nie wyjawił, w kwestii ciotki i wuja zachował dyskrecję, i gdyby nie te osobliwe wydarzenia w domu, nic by jej do głowy nie przyszło. On z kolei nie ma pojęcia o dziwactwach Malwiny i wcale nie trzeba go o tym informować,

- No dobrze - powiedziała zgodnie. - Ale ja naprawdę studiuję prawo i naprawdę zależy mi, że by potem robić coś sensownego. To niemożliwe żebyście wszyscy w trakcie tej swojej pracy nie poznali mnóstwa rozmaitych działań przestępczych, Już wszystko jedno jakich, napady, kradzieże, włamania, indywidualne i grupowe, powiązania różne... I tak dalej. Powiedz mi, ile możesz. Bardzo cię proszę.

Konrad otworzył usta, żeby chętnie spełnić jej prośbę, i w tym momencie zabrzęczała mu komórka.

Rozpoznawszy głos Malwiny, troszeczkę zdrętwiał. Z każdym innym klientem porozumiałby się z łatwością, operując skrótami, niezrozumiałymi dla osób postronnych, ta baba takich szans nie dawała. W dodatku naprzeciwko niego siedziała jej siostrzenica. Uczynił jedyną rzecz jako tako naturalną i do przyjęcia.

- Przepraszam cię bardzo - mruknął do Justynki i oddalił się w najodleglejszy kąt kawiarni.

Z kim i o czym rozmawiał, Justynka bez trudu odgadła natychmiast po powrocie do domu. Rzecz oczywista, kawiarnię opuścili dopiero w chwili jej zamykania, o jedenastej. Została odwieziona prawie pod samą furtkę i już w holu natknęła się na ciotkę, tak przepełnioną doznaniami, że nie mogło się z niej nie ulać.

Informacja o podróży Karola do Kopenhagi wpędziła Malwinę w istny rozstrój nerwowy. Część okropnej niepewności wprawdzie z niej spadła, zrozumiała, iż telefonu z pogotowia ani z żadnego szpitala nie może się spodziewać, ale wszystko inne zostało, nawet wzmożone. Żywy dojechał do tej Kopenhagi? I tam może dogorywa? Powinni ją chyba zawiadomić? Jak? Po duńsku? Po co w ogóle tak nagle pojechał, dlaczego, dlatego, że brama jest ciągle zepsuta i nie daje się ruszyć? Może powinna jednak spowodować jej naprawienie, na diabła jej to zepsucie, skoro jego samochód stoi na lotniskowym parkingu, a w ogóle do czego jej teraz złodzieje, skoro i tak nie będzie się na nich rzucał? Kiedy on wróci i w jakim stanie, bo może te cholerne jagody cisu działają długofalowo...?

Gnębiło ją tyle tematów, na które musiała milczeć, że do wchodzącej w progi domu Justynki wybuchła tym jedynym bezpiecznym. Bramą. Ta brama przeklęta, co za ludzie okropni, nic nie zrobili, jakieś brednie opowiadają, zmieniać, zmieniać, jak ona może zmieniać bez Karola, przecież to drogie potwornie, ktoś musi zapłacić! Dlaczego on sam nie zdecydował...?!

- A gdzie wuj? - spytała Justynka niewinnie i podstępnie.

- A gdzie, gdzie, proszę! Pojechał sobie do Kopenhagi i nawet nie wiem, kiedy wróci, i mnie tu w takich nerwach zostawił, nawet z nim słowa nie zdążyłam zamienić...

Urwała nagle, bo przypomniała sobie o swoim alibi. Jakże, jest okazja, Justynkę trzeba przekonać w pierwszej kolejności, opowiedzieć jej, gdzie była i co robiła, rozciągnąć ten czas jak gumę do żucia..

Równocześnie Justynce, wbrew rozsądkowi i logice, coś niemile piknęło w środku. Jasne, ciotka obstawia wuja Konradem, niby rozmawiał z nią szczerze a jednak ją oszukał. No nie, nie oszukał, coś przed nią ukrył. Dobrze, zgoda, powinien był ukryć, ale skoro w ogóle się umówił... No tak, oczywiście, umówił się, i rozmawiał wyłącznie po to, żeby się czegoś dowiedzieć o całej rodzinie, ułatwił sobie pracę, a jej, idiotce, wydawało się, że chodzi o nią! Że to ona mu się podoba...

Nieprzyjemność w jej wnętrzu ustabilizowała się dość gwałtownie, ponieważ już w połowie spotkania z chłopakiem zorientowała się, że właśnie chce mu się podobać. Komuś musi. To niemożliwe, do tego stopnia nie mieć powodzenia, nie jest przecież jakąś pokraką!

Pewna już, że sprawę trzeba będzie przemyśleć spokojnie i w samotności, zostawiła samą siebie na później i poddała się presji ciotki.

Malwina musiała mówić. Musiała się wyżalić. Musiała wypchnąć z siebie całe kłębowisko uczuć, co gorsza, musiała je wypychać dyplomatycznie i obłudnie, kryjąc nienawiść do Karola i eksponując miłość, bodaj średnią, jeśli nie wielką. No i oczywiście, -alibi...

Justynka uświadomiła sobie, co słyszy, i zdumiała się niezmiernie.

- ...Bo, moja droga, okazuje się, że to jest sitwa, te wszystkie kasyna razem, oni sobie wzajemnie wszystko o ludziach donoszą, ale zdaje się, o ile sobie przypominam, że tam jest trochę ciemno, w tych recepcjach, więc rzeczywiście mogło mu się udać. Jak myślisz? Ten czarny kołtun rzeczywiście całkiem go zmieniał, ale to debil, powinien był jeszcze uczernić sobie brwi, no popatrz, a ja mu o tym nie powiedziałam! Trzeba było. Teraz żałuję. Jak ty myślisz, czy to jest przestępstwo?

Za wszelką cenę Justynka chciała ukryć, że nie słuchała od początku, ciotka bowiem natychmiast zaczęłaby dociekać przyczyn jej roztargnienia. Już się rozpędziła ze zwierzeniami...

- Zaraz. Które...? To, że ciocia o brwiach nie powiedziała?

- No coś ty! Ten dowód. Upodobnił się do zdjęcia w tym dowodzie kolegi, a jeśli rzeczywiście on, ten kolega, jest taki okropnie kudłaty, to chyba mu przejdzie, nie? Więc czy to jest przestępstwo?

- Posługiwanie się cudzym dowodem osobistym grozi karą do lat pięciu - wyrecytowała odruchowo Justynka, nie bardzo wiedząc, co właściwie i komu ma przejść. Koledze kudłatość...? - Zależy w jakim celu i jakie ma skutki.

Powiesiła kurtkę w ściennej szafie w holu i rzuciła torbę na trzeci schodek, bo już widać było, że tak prędko ciotka z pazurów jej nie wypuści. Coś ją spotkało takiego, że emocje w niej szaleją. Może uda się chociaż przyrządzić herbatę i zjeść kawałek czegokolwiek, bo w tej kawiarni o jedzeniu właściwie obydwoje zapomnieli.

Malwina poszła za siostrzenicą do kuchni. Wci.). miała wrażenie, że jeszcze niedostatecznie ugrun towała w niej przekonanie o swoich dzisiejszycli, tak licznych zajęciach.

- W celu, w celu... Mówię ci przecież, żeby wejś' do kasyna! I co za skutki, wygra albo przegra, wielkie mi skutki! Chyba że znów zrobi awanturę, ale możr nie. Ale mówię ci przecież, trzymał mnie tak chyb. i z godzinę, wyżalał się i tym kołtunem machał. B.i łam się go trochę, dlatego pod komendą policji st.i nęłam, a potem już nie zdążyłam znaleźć tego sklepu z narzutami, bo spotkałam Izę i czas jakoś za szybk*' przeleciał, a w domu już Karola nie było. Nie lubit,. jak on tak bez pożegnania wyjeżdża, powiedział.i bym mu, żeby w tej Danii kupił remuladę, na zapci. nawet, a czy mu to samemu przyjdzie do głowy?

Już po kwadransie Justynka miała pełny obraz wy darzeń, jakie przytrafiły się ciotce w dniu dzisiejszym, Malwina bowiem opowiadała w kółko to samo. Dębi l z peruką rozrósł się do potężnych rozmiarów, szczególnie że dołączył do niego klient, uciekający taksów karzowi. To wreszcie Justynkę zainteresowało.

- Złodzieje samochodowi powinni go kochać n.u l życie - zauważyła. - Takie zamieszania sami wywo łują, żeby z nich korzystać. Ukraść samochód z pat kingu, kiedy wszyscy patrzą w inną stronę, i to z wie l kim zaciekawieniem, to trochę jak sztuczny tłok..

Z kolei Malwina zainteresowała się gwałtownie

- No popatrz, a mnie to do głowy nie przyszłoL

- Dlaczego miało przyjść? Ciocia chyba nie kradnie samochodów?

- No nie, ale... ale mnie to obchodzi! Wuj po-srawi samochód albo ja sama...

- W razie gdyby pod kasynem, niech ciocia sprawdzi w środku, czy nie ma tego kudłatego - poradziła z wielką powagą

siostrzenica, którą to wszystko razem zaczęło trochę śmieszyć, a trochę irytować. - Czyja bym mogła już iść spać? Jutro mam wykłady od rana.

- O Boże! A ja tu sama jestem cały czas! Dlaczego w ogóle tak późno wróciłaś? Nie mogłaś wrócić wcześniej? No dobrze, idź sobie spać, ja nikogo nie obchodzę...

Justynka nie próbowała zaprzeczać, w głosie ciotki bowiem zadźwięczało wyraźne roztargnienie. Ponadto ostatnie słowa przypomniały jej własny problem. Zabrała torbę i poszła na górę. Myśleć zaczęła już na schodach.

Nieprawdą było, że nie miała powodzenia. Miała, oczywiście, nawet dość duże. Tyle że nie u tych, na których jej akurat zależało...

No dobrze, nie u tych, liczba mnoga była niewłaściwa. U tego jednego.

W zeszłym tygodniu spotkały się z Basią w cztery oczy, pogadały od serca, zdenerwowana Basta musiała się zwierzyć i poradzić, bo tak się jakoś głupio wmieszała w to nieudane małżeństwo Natalii i Piotra. Natalia była jej przyjaciółką od szkolnych lat, Piotr pojawił się później, też jako przyjaciel, a co najmniej dobry kumpel...

Właśnie Piotr stanowił przedmiot starannie skrywanych zainteresowań Justynki. Znali się, no i co z tego? Nic. Piotr na nią nie leciał...

Małżeństwo się rozpadało po dwóch latach, nic miało żadnych szans przetrwania. Basta została obarczona w wielkim zaufaniu sekretami obu stron i co właściwie miała z tym zrobić? Piotr szukał nowej partnerki, trochę był zestresowany, nie chciał się starać, wolał, żeby się o niego starano, niekonsekwentna przy tym określał Natalię mianem nachalnej i natrętnej. Basię obowiązywała lojalność w stosunku do Natalii, galimatias uczuciowy, o mój Boże, tylko się powiesić!

Justynce Piotr wpadł w oko już dawno, podobny był do Gregory Pecka, podobał się jej szaleńczo! Rozpad małżeństwa stwarzał okazję, której nie umiała wykorzystać, nie nadawała się do takiej walki, starania, zdobywanie, agresja, o nie, to nie leżało w jej charakterze. Zresztą, podobno Natalia wzięła sobie Piotra przebojem i co z tego wyszło? Klęska. Justynka posunęła się tak daleko, że raz sama zaproponowała mu jakiś wyskok na kawę. Piotr zaproszenie przyjął chętnie, posiedzieli, pogadali o życiu i cześć. Nic więcej. Nie chciał jej, nie pasowała mu.

Wszyscy inni, okazujący jej względy, byli do kitu. Nie nadawali się do niczego, partnerstwo usiłowali zaczynać od łóżka, a Justynka życzyła sobie inaczej. Nie będzie przecież sypiać z całym miastem! Ani nawet nie z całą uczelnią! Chciała być doceniona i upragniona w pełni, chciała się podobać i być akceptowana nie tylko ze względu na opakowanie. Miała przecież, do licha, także jakąś zawartość!

Niepowodzenie z Piotrem to nie było coś, przez co należałoby zaraz skakać do Wisły, ale gryzło i gniotło. Gnębiło. Odbierało dobre samopoczucie i wiarę w siebie. I dziś właśnie zaczęła nabierać nieśmiałej nadziei...

Konrad jej się spodobał od pierwszej chwili, ale samo podobanie to nie było wszystko. Spodobać się jej mógłby piękny koń, piękny obraz, piękny budynek... Nie poleci wszak do łóżka z koniem ani, tym bardziej, z obrazem czy budynkiem! W trakcie rozmowy wyszło także coś z jego wnętrza i nadzieja nabrała rumieńców, a tu proszę. Chała. Udawał zainteresowanie nią, a de facto zainteresowany byt wujem, możliwe, że także ciotką. Klientką. Prywatnie z pewnością miał swoją dziewczynę i harem nie był mu potrzebny. Obrzydliwość, ale jakoś trzeba się do niej ustosunkować.

A właściwie po co jej to, skoro więcej prawdopodobnie już się z nim nie zobaczy...?

Zasnęła, zanim zdążyła w pełni uporządkować własne uczucia.

Zasnęła w końcu także Malwina, zmęczona okropnym mętlikiem w głowie. Czy ci złodzieje na parkingu pod kasynem mają jakiś sens, skoro Karol powinien z Danii wrócić w trumnie? I czy, wobec tego, brama może mieć jakiekolwiek znaczenie...?

*** * ***

Karol wrócił wieczorem z Kopenhagi w doskonałym stanie, za to równie wściekły, jak zdumiony.

W znaczeniu prezentowanych nowości połapał się błyskawicznie, z miejsca rozpoczął pertraktacje i nagle go zastopowało. Musiał się porozumieć ze swoją Firmą, z pracownikami, ściągnąć faksami parę dokumentów, podać rozmaite informacje na piśmie, zadzwonił zatem do biura krótko po dziesiątej i nie zastał nikogo. Z wyjątkiem osamotnionej Beatki, która w niepokoju i wręcz panice powiadomiła go o tajemniczej absencji całego personelu.

- Za kwadrans chcę wiedzieć, co się stało- rzekł zimno. - Czekam na telefon.
- Kolskiego żona... - wydusiła z siebie Beatka
- Co Kolskiego żona? Umarła?
- Nie. Dzwoniła dopiero co, że całą noc był chory... Dopiero o siódmej zasnął...
- O siódmej powinien był obudzić się i przyjść do pracy.
- ...i ona go zamknęła na klucz w mieszkaniu, żeby nie wyszedł, bo jest nie do życia...

Karol pomyślał, że Kolskiego żona musiała znienacka zwariować. No dobrze, to Rolski, a reszta..

- Za kwadrans czekam na konkretne informacje

Przerażona Beatka rzuciła się do telefonu. Z osiemnastu osób, zatrudnianych przez Karola, osobiście podniosła słuchawkę tylko jedna. W pozostałych wypadkach odezwały się trzy żony, jedna gosposia i dwie mamusie, komunikując sucho, iż delikwent jest ciężko chory, właśnie zasnął i NIE ZOSTANIE obudzony. O rodzaju choroby nie życzyły sobie rozmawiać. Reszta nie odbierała telefonów.

Jedyny uchwytny, asystent głównego księgowego trzymający rękę na pulsie cen wszystkich materiałów budowlanych świata, słabym głosem wyjaśnił, że właśnie się obudził, ale nie czuje się na siłach wstać z łóżka. W ogóle boi się wstać, żeby go na nowo nie złapało. Jeszcze chociaż ze dwie godziny...

- No dobrze, ale co ci jest? - dopytywała rozpaczliwie Beatka. - Ja muszę Wolskiemu powiedzieć, awanturuje się z Kopenhagi! Na co jesteś chory, na litość boską? Co to za jakaś epidemia?

- A co? - zainteresował się niemrawo asystęt - Ktoś jeszcze...?

- Wszyscy! Nikogo nie ma w pracy! Nie odpowiadają! Rodziny mówią, że chorzy! Co to za choroba, plaga jakaś czy co, mów natychmiast, na co jesteś chory, za dwie minuty muszę dzwonić do szefa, co ci jest?!

- O rany...

- CO ci jest...?!!!

Asystentowi głównego księgowego wróciły nagle utracone nocą siły.

- Sraczkę mam!!! - wrzasnął okropnie. - Wszechświatową!!! - Po czym znów oklapł i wyszeptał słabo: - To znaczy nie wiem, czy jeszcze mam, ale całą noc miałem. Możliwe, że już mi przeszło, ale mnie złożyło i jeszcze się boję...

Beatkę zamurowało na całą minutę.

Ani asystent głównego księgowego, ani nikt inny nie musiał się bać, zioła bowiem odwaliły swoją robotę rzetelnie i zaniechały dalszej działalności. Szczególnie senes wykorzystał właściwe mu moce, polegające na tym, że przeczyszczał i zatrzymywał, pozostawiając przewód pokarmowy w idealnym stanie, gotowy do podjęcia normalnej pracy. W gruncie rzeczy

cały personel Karola przeszedł kurację zdrowotną, może nieco gwałtowną, ale za to wysoce korzystną dla organizmu.

Beatka po minucie odzyskała siły, zmobilizowała się i zadzwoniła do szefa. Rzecz jasna, na komórkę.

- Dziesięcioro się nie odzywa, odpowiedziało, licząc z Rolskim, siedem rodzin i jeden Teodor - oznajmiła rzeczowo. - Wszyscy byli chorzy całą noc i są niezdatni do wyjścia z domu.

- Na co chorzy? - warknął Karol.

- Nikt nie chciał powiedzieć. Dopiero Teodor...

- Dostanie premię. No?

- Silne zaburzenia żołądkowe - określiła elegancko Beatka.

- Jakie, do diabła, zaburzenia?!

- No, takie... Przeczyszczające...

- Sraczka! - odgadł zaskoczony Karol po sekundzie milczenia. - Co za cholera...? Jeszcze ich szarpie?

- Sądząc po Rolandzie i Teodorze, już chyba nie, ale bardzo zdechli i nie mają siły wyjść z domu.

W przyczyny osobliwego pogromu Karol chwilowo wnikać nie zamierzał. Zastanawiał się przez całe trzy sekundy.

- Niech ich przywiozą na noszach. Ściągnij im Gwarczyka, Pilczyckiego i Miąsikową. Ostatni termin: trzynasta piętnaście. A sama znajdź mi zaraz brudnopis umowy z CWiP. Brudnopis, nie ostateczną na wersję! Odzwoń natychmiast, jak znajdziesz.

W ten sposób, po ciężkiej nocy personelu, ciężki dzień przeżyła Beatka, aczkolwiek po Gwarczyka, Pilczyckiego i Miąsikową nie trzeba było wysyłać karetki i noszy. Sami przyjechali taksówkami, zażądawszy przedtem, przez telefon, zorganizowania im posiłku w postaci czerstwej bułeczki, sucharków i rumianku. Miąsikowa dodatkowo uparła się przy dwóch bananach.

Myśl, żeby zlekceważyć apel szefa, nikomu nic zaświtała w głowie. Karol nie zagroził wprawdzie żadnymi represjami, ale wiadomo było, że niedbały, leniwy i oporny poleci z miejsca. Karol wymagał ostro, płacił jednakże doskonale, a ponadto pozwalał partycypować w zyskach, co czyniło pracę u niego godną wszelkich starań.

Dzięki energicznej akcji zdołał załatwić w Kopenhadze dwie sprawy, trzecia mu jednak umknęła.

Zły był, jak diabli, nie lubił niepowodzeń, nawet malutkich. Tuż przed odlotem zdążył dowiedzieć się od Beatki, że wszyscy jego pracownicy żyją, dolegliwość im przeszła i nawet pojawili się w firmie pod koniec godzin pracy, pojechał zatem z Okęcia wprost do siebie, wyjaśnienia w kwestii tajemniczej epidemii zostawiając na jutro.

Odrobinę niezadowolona z życia Justynka wróciła właśnie do domu. W przerwie między wykładami dopadła jej niejaka Krysia, w wypiekach, dziko przejęta, żeby wyznać, iż jest zakochana. Na śmierć i życie. Od wczoraj. Wszystko wskazuje na to, że z wzajemnością.

Wielokrotnie Justynka obdarzana była tego rodzaju zwierzeniami, jej dyskrecję znano bowiem powszechnie. Plotkować owszem, plotkowała z takim samym upodobaniem jak wszystkie inne dziewczyny, sekretne zwierzenia natomiast zapadały w nią jak w bezdenną studnię. Nikt nawet nie potrafił rozpoznać, czy o czymś wie, dyplomację pod tym względem posiadała zapewne wrodzoną, dzięki czemu życie uczuciowe prawie wszystkich koleżanek i niektórych kolegów lepiej chyba było jej znane niż przedmiot studiów. Zwierzeń wysłuchiwała chętnie, życzliwie, z uwagą, nie powtarzała niczego, stanowiła zatem coś w rodzaju balsamu dla zbolałych dusz. Dla rozpromienionych również.

Krysia, dotychczas jako tako normalna, zaprezentowała jej nagle wybuch roziskrzonego szczęścia, Justynka przetrzymała to dzielnie, ale od razu odezwał się jej własny pech. Nie ujawniła swoich uczuć, niemniej jednak kolec w sercu pozostał. Może ona sama też by chciała zapłonąć takim uczuciem z wzajemnością...?

No i proszę. Jak płonie, to sama i bez. A jak się coś rysuje... lepiej nie mówić. I nie myśleć,

Zważywszy, iż, wbrew pozorom, trudniej jest czasami nie myśleć niż myśleć, Justynka weszła w progi domu trochę przeciwna światu. Mogła wrócić nieco wcześniej, ale po drodze wstąpiła do paru sklepów właściwie butików, świadoma w pełni, iż na duszne rozterki kobietom najlepiej robią zakupy. Kiedyś podobno kapelusze. Najnieszczęśliwszą istotę płci żeńskiej od samobójstwa odwodziło nabycie nowego kapelusza, z kapeluszami nie będzie się wygłupiać, ale może jakiś inny drobiazg...?

W rezultacie nabyła sobie breloczek do kluczyków w postaci maleńkiej sowy. Sowa, ptak mądrości, kto wie, czy nie pomoże?

Dzięki czemu spotkała się w furtce z wujem.

Widząc pozycję bramy, Karol od razu ustawił się na parkingu, nieco bardziej wściekły. Zarazem jednak myśl, że, mimo przeszkód, dwie sprawy załatwił pozytywnie, łagodziła jego uczucia. Gdyby w wejściu do domu natknął się na Malwinę, furia wzięłaby górę,. ale neutralna Justynka przechyliła szalę na stronę odwrótną. Przeciwko Justynce nie miał nic.

- Co było wczoraj? - spytał lekko i bez najmniejszego nacisku.

Na moment Justynka straciła kontrolę nad sobą i swoją wiedzą.

- Mógłby wuj zawiadamiać, że jedzie do Danii - rzekła z wyrzutem. - Ciocia chciała remulady Na miejscu wuja ja bym kupiła, bo to bardzo dobre do ryb, a u nas prawie nigdzie nie ma. Ja w każdym razie nigdzie nie widziałam.

Na wzmiankę o remuladzie Karol poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. No, może nie sumienia, raczej żołądka.

- O, do licha, masz rację - zgodził się z lekkim zakłopotaniem. - Nagle mi wypadło. W Oszołomie nie ma?

- Może bywa, ale chyba rzadko. Nie widziałam. Gdybym pojechała do Danii, kupiłabym czym prędzej. Jak kapelusz.

Karolowi wypowiedź zabrzmiała osobliwie. Zatrzymał się między furtką a drzwiami.

- Zadziwiłaś mnie. Możesz mi wyjaśnić, co ma kapelusz do remulady?

W tym dopiero momencie Justynka uświadomiła sobie, co powiedziała. Zastosowała przeraźliwy skrót myślowy. Ona, dla poprawy samopoczucia, nabyłaby kapelusz, mało, nie ona, a facetka sprzed pięćdziesięciu lat, wuj, jako mężczyzna i osobnik żerty, powinien zastosować coś podobnego, zbliżonego do upodobań stanowiącego pociechę, zatem produkt spożywczy. Remulada, zgoła ideał, w pełni adekwatny do kapelusza. Ponadto ona uczyniłaby to w złym stanie psychicznym, wobec tego wuj również musiałby być w złym stanie psychicznym, skąd, na litość boską, wzięło się jej to posądzenie...?! A, oczywiście, całokształt wiedzy o stosunkach w domu, w życiu nie może się do tego przyznać... Cholera. Wygłupiła się chyba? Wyrwało jej się...?

- Takie coś, co człowiekowi wydaje się przyjemne - wyjaśniła niezręcznie. - Chciałby, a nie ma. I dopiero jak dostanie... no... widzi, że to jest to...

Karol, wbrew własnym i siostrzenicy spodziewaniem, znienacka zrozumiał ją doskonale. Ta remulada do smażonego, panierowanego filetu rybnego, i cytrynką na wierzchu... Z soli, z turbota, z sandacza nawet...

Z potrawą w oczach, z jej smakiem na podniebieniu, zatrzymał się nagle na środku ścieżki.

- A wiesz, że ty masz rację. Że też mi to do głowy nie przyszło...

- Bo wuj nie przywykł do robienia zakupów.

- Gorzej, moje dziecko. Ja to jadłem. Wczoraj na kolację. Ty wiesz, że lubię ryby, oni tam mają doskonałe. No i popatrz, nic mi nie zaświtało. No nie, następnym razem, jeśli gdziekolwiek będę wyjeżdżał, zawiadomię cię o tym. Zwrócisz mi uwagę| co należy kupić. Zawieramy układ?

Justynka zatrzymała się również,

- Ja bardzo chętnie, ale nie wiem, dokąd wuj może wyjeżdżać. Nie znam wszystkich przypraw we wszystkich rejonach świata. Pojęcia nie mam, co można dostać, na przykład, w Belgii. Albo w Holandii.

- Sery. W razie czego przypomnij mi zwyczajnie o serach. Stoi?

- Jak najbardziej - zgodziła się Justynka z całego serca, ponieważ bardzo lubiła najrozmaitsze sery.

Zręcznie ukryty na poboczu Konrad szaleńczo był ciekaw rozmowy wuja z siostrzenicą. Robili wrażenie osób zaprzyjaźnionych, które omawiają ze sobą jakieś interesujące sprawy. Z kontaktu z Justynką żadnego takiego wrażenia nie odniósł, związek wuj-siostrzenica, wedle jego rozeznania, nie istniał, cóż więc to mogło znaczyć?

- No dobrze - powiedział zadowolony Karol i ruszył w kierunku domu. - To co tu wczoraj było?

- Nic - odparła nieco zdziwiona Justynka, wyzbyta już niepokoju o własne gafy. - Ciocia była zdenerwowana, właśnie w związku z tą remuladą i tyle. Nic więcej. Ja zresztą późno wróciłam, miałam taką... rozmowę... o przestępstwach... - urwała, zła na siebie, że ciągle wyskakuje z niej coś przesadnie osobistego. Wuj zrobił jej tę grzeczność, że nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Najzwyczajniej w świecie wszedł do domu. Dla Malwiny widok Karola całkowicie żywego, w doskonałym stanie, stanowił cios w samo serce. Na litość boską...! Z jakiej racji, jakim prawem, otruty potwornym jadem, ośmielił się jeszcze być żywy?!!!

W Karolu, mimo udeptanej na dnie wściekłości, przychylność dla Justynki gdzieś tam istniała. Tyle sprawiła, że, wchodząc, rzekł zaledwie odrobinę kąśliwie:

- Witaj, kochana żono. Czy zechcesz nakarmić, głodnego męża?

Zadławienie w sobie wszystkich uczuć, przełamanie niewiary w to, co widzi, koszmarny powrót do nienawistnej rzeczywistości, klęska nadziei, jakieś coś ogólnie potwornego... wszystko to razem wymagało od Malwiny więcej niż mogła z siebie dać. Padła na fotel przed telewizorem, walnęła głową w blat małego stolika obok i wybuchnęła spazmatycznym łkaniem.

I Karol, i Justynka na moment osłupieli. Z kuchni wyjrzała śmiertelnie zdumiona Helenka. Karolowi po tym pierwszym momencie z głębi duszy wytrysnęła złość.

- Gdyby w domu brakowało soli, twoje łzy okazałyby się może przydatne - rzekł głosem na skraju syku. - Ale wątpię, czy zastąpią pożywienie. Mam rozumieć, że nie dostanę nawet kawałka suchego chleba?

Gdyby nie to, że w gruncie rzeczy o zaopatrzenie siedziby w artykuły spożywcze był zupełnie spokojny, zarazem zaś, po męczącym i denerwującym dniu. nie chciało mu się już nigdzie chodzić ani jeździć, zawróciłby z miejsca i w kamiennym milczeniu udał się do restauracji. Jednakże nie miał ochoty. Ponadto potrzebny mu był gabinet, komputer i wszelkie inne urządzenia, pozwalające uporządkować dzisiejsze osiągnięcia i ocenić jedną irytującą stratę. Dziwaczny wybuch Malwiny napełnił go lekkim niepokojem, mógł zatruć posiłek, od razu zatem postanowił usunąć żonę ze swego pola widzenia.

- Suchego to pan nie dostanie, bo akurat ptakom wyrzuciłam - oznajmiła mężnie Helenka, usiłująca. mimo zaskoczenia, ratować sytuację. - Ale świeżego ile chcąc. Obiad też jest. I kolacja. Zaraz podam.

I natychmiast przezornie wycofała się do kuchni,

Justynka również wolałaby zniknąć z oczu domowników, ruszyła nawet ku schodom, ale zawahała się Malwina wyła, zipiąc gwałtownie i chwytając się za klatkę piersiową, zważywszy tuszę, mogło jej to zaszkodzić, powinno się chyba coś zrobić...? Z drugiej znów strony ten sposób witania wracającego z podróży męża wydał jej się nie najwłaściwszy, wcale nic chciała go aprobować, bała się przy tym, że troska o ciotkę wpędzi wuja w jeszcze większą furię, w rezultacie skręci jej kark albo co. Zatrzymała się, niepewna,

Dylemat rozstrzygnął Karol, w milczeniu przechodząc do gabinetu i z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Bez zadawania głupich pytań, Justynka popędziła do kuchni, zimna woda, jej zdaniem, była tu najlepszym środkiem leczniczym. W ostateczności wyleje ją ciotce na głowę...

Nie musiała. Malwina już w dwie sekundy po całkowiej utracie równowagi zorientowała się, że popełniła straszny błąd. Jedyne wyjście to udawać, że ona tak z ulgi, w strasznych nerwach czekała na Karola i teraz w niej pękło. Wciąż jeszcze ciężko urażona i zdezorientowana jego świetnym stanem, chcąc nie chcąc, musiała kontynuować przedstawienie, nie posuwając się jednakże do narażania na zimną kąpiel. Przyjęła szklankę z rąk Justynki i jęła w nią szczękać zębami, zachłystując się ostrożnie to to kroplą wody, to powietrzem. Akcja ratownicza jeszcze trwała, kiedy Karol przeszedł z gabinetu do łazienki, a potem do jadalni.

- Wynocha z tą działalnością rozrywkową - rzekł po drodze gdzieś w przestrzeń swoim najbardziej uczącym szeptem.

Justynce pytanie, co się ciotce stało, zamarło na ustach, a Malwina trochę wody wylała sobie na gors. Chlipnęła jeszcze ostatni raz i zamilkła.

- No i co ciocia najlepszego narobiła? - odezwała się wreszcie Justynka z wyrzutem. - Wujek wchodził do domu w całkiem niezłym humorze. Dlaczego ciocia tak...?

- Ze zde... zdenerwowania... - wyjąkała Malwina, z wysiłkiem tłumiąc słowa prawdy: "bo wszedł żywy".- Ja całą noc nie spałam... Co się z nim dzieje...

- Przecież ciocia wiedziała, że poleciał do Danii!

- No to co? Bez słowa...! I skąd miałam wiedzieć, kiedy wróci? Ja się tak... Ja się tak boję o niego! Ty w ogóle nie rozumiesz, co się we mnie dzieje! Nie rozumiesz żadnych uczuć! Nikt nie rozumie, co ja przeżywam!

To akurat była prawda, ale w sensie dla Justynki nieodgadnionym. Z lekkim oporem pogodziła się z myślą o wtórnym wybuchu miłości ciotki do męża. Osobiście, na jej miejscu, prezentowałaby tę miłość jakoś trochę inaczej... Co z tym fantem zrobić...?

- Nie wiem, co teraz - powiedziała bezradnie - Nie chcę być nietaktowna, ale zjadłabym coś. Nie wiem, czy mogę.

Była zupełnie pewna, że jeśli ciotka pojawi się w jadalni, wuj ją stamtąd natychmiast wyrzuci. Możliwe, że wyrzuci także i siostrzenicę. Zjeść w kuchni? Czy przeczekać cierpliwie, aż wuj się pożywi i zamknie w gabinecie? Nie zachwycała jej ta perspektywa, najzwyczajniej w świecie była głodna.

W tym momencie Malwina również poczuła ssący głód, jakby od tygodnia nie miała nic w ustach. Oczywiście, normalny u niej efekt zdenerwowania. I to jeszcze takiego...! Żywy Karol. Czy ten człowiek jest niezniszczalny...?!

- A w dodatku brama... - bąknęła niewyraźnie koniecznie starając się jakoś uzasadnić ten wybuch, tak niestosowny, omal nie rujnujący jej wszystkich starań i podstępów. Mało brakowało, a byłaby się zdradziła

Justynka bramę pominęła milczeniem. Zdecydowała się zaryzykować. Jeżeli wuj brutalnie usunie ją z jadalni, nigdy więcej nie usiądzie z nim przy jednym stole i niech się dzieje, co chce. Jest pełnoletnią, ma jakieś pieniądze, ma mieszkanie, weźmie swoje interesy we własne ręce, nie odnowi kontraktu z tymi tam lokatorami, wyprowadzi się, zatrudni przy pisaniu protokołów sądowych...

- Idę zobaczyć - oznajmiła z determinacją, nie precyzując zamiaru ściślej. Porzuciła Malwinę i wkroczyła do jadalni.

Wuj był już przy potrawce z kurczaka w sosie koperkowym. Butelka białego Mouton Cadet świeciła resztkami na dnie, ale Justynka przypomniała sobie, że napoczęta została wczoraj wieczorem i nawet połowy na dziś nie zostało. Zawahała się.

- Mogę tu usiąść i też coś zjeść? - spytała grzecznie, chociaż bardzo zimno.

Karol spojrzał na nią i wzruszył ramionami. Oznaczało to pełną obojętność. Justynka uczyniła krok w kierunku krzesła,

ale wtedy się odezwał.

- Byłoby wskazane, gdybyś przy okazji zaopatrzyła nas w jeszcze jednego młodszego barana. Mam nadzieję, że ten napój przebywa w lodówce?

Teraz Justynka nie odpowiedziała. W milczeniu przyniosła i otworzyła drugą butelkę Mouton Cadet, wypowiedzi wuja wnioskując, że furia w nim klęśnie. Bez wątpienia wpływ na to miała jakość potraw. Usiadła przy stole, lekceważąc przystawki, od razu zajęła się tym gorącym kurczakiem. Wuj bez pytania nalał jej wina. Siedzieli sobie razem przy kolacji i jakoś nic nie paskudziło atmosfery. Umysł Justynki ruszył do ostrego galopu.

Co w tym jest, do diabła, i co to znaczy? Siedzi przy stole z ciotką i jedzą cokolwiek w doskonałej zgodzie i bez żadnych konfliktów. Siedzi z wujem i sytuacja wygląda podobnie, nic się nie dzieje, no owszem, istnieje różnica, jest mniej gadania. Konsumują potrawy w milczeniu, ale nie jest to milczenie gniotące, wszystko wskazuje na to, że wydanie z siebie głosu niczym nie grozi. Jeśli jednakże siedzą wszyscy razem, oni obydwoje i ona, robi to takie wrażenie, jakby siedzieli na czynnym wulkanie. Kto, do tysiąca piorunów, powoduje nagły rozkwit napięcia, kto obciąża atmosferę tym czymś okropnym, od czego dławi człowieka w gardle, kto rozpoczyna te ukłucia, kąsania, złośliwości, w końcu obelgi i awantury? Nie wuj, bo robiłby to i teraz, nie ciotka, bo zazwyczaj prezentuje albo ożywienie plotkami, albo płaczliwość na tle własnych nieszczęść. Jeśli niekiedy czepia się Justynki, to tylko w wypadkach nagle wyskakującej potrzeby użytkowania damy do towarzystwa, ale przecież już od paru lat pojęła, że Justynka do tej roli się nie nadaje i zapotrzebowania nie zaspokoi. Więc właściwie żadna nieprzyjemność nie wybucha.

Dlaczego zatem wybucha, kiedy siedzą wszyscy razem...?

- Czy osoba, będąca moją żoną, zaniechała już występów? - spytał Karol znienacka, Justynka zmobilizowała się błyskawicznie.

- Tak. Była bardzo zdenerwowana, ale już...

- Nie ma zatem żadnego powodu, dla którego miałaby się demonstracyjnie głodzić. Chyba że jadła kolację przed chwilą.

- Sądzę, że nie. Ale nawet gdyby, dla towarzystwa...

- O ile samym swoim widokiem nie odbiera apetytu, nie widzę uzasadnionych przyczyn jej nieobecność

Zanim zaskoczona nieco Justynka zdążyła odpowiedzieć, Malwina pojawiła się w drzwiach. Podsłuchiwała, rzecz jasna.

- Miło mi, że zgadzasz się znosić moją obecność. - rzekła z godnością, siadając przy stole. - Może i rzeczywiście przesadziłam, ale miałam jakieś okropne przeczucia i na sam twój widok... Wchodzisz żywy i zdrowy...

- A miałaś nadzieję, że wniosą moje zwłoki.Przykro mi bardzo, że cię rozczarowałem.

- Karol...! Jak możesz...!

- Myślę logicznie. Leży to w moich możliwościach Nie najlepiej wyglądasz po tych objawach uczuć, ale i tak wolę wygląd niż objawy. Spróbuj tej pasty na krakersikach, nie wiem, z czego ją zrobiłaś, ale jest znakomita. Zastanawiam się czasem, dlaczego nie zostałaś szefem kuchni w najlepszej restauracji w tym kraju, do potraw różnych bezsprzecznie masz talent. Większy niż aktorski.

Justynka zdążyła pomyśleć, że, całe szczęście, potrawkę z kurczaka już zjadła i zaspokoiła głód. Teraz ta delikatna rzecz stanęłaby jej kością w gardle. Co, rany boskie, wyniknie z uprzejmej rozmowności wuja...?!

Malwina na moment poczuła się ogłuszona. Zbyt wiele treści zawarte było w słowach Karola, w dodatku połowy właściwie nie zrozumiała. Pewnie, powinna była skoczyć do łazienki i poprawić twarz, ale przecież nie miała kiedy! I co on ma na myśli z tym szefem kuchni? Zachęcają do pracy zarobkowej? Ależ to potworne! To by znaczyło, że ten rozwód...

Zważywszy, iż, zaledwie usiadła, natychmiast rzuciła się na pożywienie, nie zdołała dostatecznie szybko przełknąć kawałka pasztetu z borówkami i Justynka ją wyprzedziła. Bunt i determinacja, w które popadła przed kilkoma minutami, zrobiły swoje.

- Wuj ma zupełną rację - powiedziała z pozornym spokojem. - Ciocia marnuje wielki talent. Absolutnie nigdzie nie jadłam niczego lepszego niż w domu. Ale z drugiej strony, nie każdy docenia taką doskonałość.

- A doskonałość wyglądu zewnętrznego? Nie pojmując kompletnie, dlaczego wdaje się w tak ryzykowną dyskusję z wujem, Justynka jednak się wdała.

- O, to też kwestia gustu. Mam takiego jednego kolegę, który nienawidzi makijażu i jest istnym potworem dla wszystkich dziewczyn. Każdej ze zrobioną twarzą wmawia, że wygląda jak Barbie. Gorzej, Barbie to jest komplement. Jak upiór. Jak twór sztuczny. Nie człowiek. Dziewczyny na jego widok uciekają i kryją się po, za przeproszeniem, damskie wychodkach.

- Z tego wynika, że twój kolega ma rozum. Co innego osoba w wieku lat dwudziestu, a co innego o pokolenie starsza. Nie zauważacie tego?

- Zauważamy. Może nie wszystkie, ale większość. Co nie przeszkadza, że możemy mieć osiemnaście lat i po płaczu wyglądać jak zmora.

- A orientujesz się może, dlaczego moja żon płacze?

- Orientuję się. Zazwyczaj ze zdenerwowania i niepewności. Też bym płakała.

- Ciekawa rzecz, skąd jej się bierze zdenerwowanie i niepewność. Może też wiesz?

Justynka wyobraziła sobie nagle, że stoi przed sądem i broni klienta przed napastliwym i złośliwym prokuratorem. Na ułamek sekundy wytrąciło ją to z równowagi, bo przecież sama zamierzała zostać prokuratorem. Z szybkością myśli ludzkiej, której nic nie dorówna, przestawiła się, nie broni, oskarża tego łobuza, którego broni adwokat strony przeciwnej.

- Klient pana mecenasa tendencyjnie ukrywa swoje zamiary i poczynania - wyrwało jej się - z powodów nam nie znanych. Być może, chce doprowadzić przeciwnika do stresów nie do opanowania, stawiających go w niekorzystnej sytuacji. Po czym wykorzystuje reakcje...

Urwała nagle, uświadomiwszy sobie, co mówi przerażona ewentualnymi skutkami. Niepewnie popatrzyła na wuja.

Karol, najwyraźniej w świecie, był rozbawiony. Spodobała mu się ta polemika z siostrzenicą. Dziecko które przez całe lata nic go nie obchodziło, nagle stało się osobą dorosłą, wykształconą, dojrzałą do rozmów i dyskusji, w dziedzinie, która żywo go dotyczyła, a którą zostawiał fachowcom. Zaczynało być fachowcem, co w przyszłości mogło się okazać wysoce korzystne.

- No dobrze, załóżmy - zgodził się, przystępuje do deseru. - A co ma zrobić ten klient pana mecenasa, jeśli ujawnienie zamiarów grozi mu fiaskiem realizacji? A, powiedzmy, co najmniej zbiciem matu, depresją, irytacją, wykluczającą obiektywizm? Jeśli obniża jego możliwości zawodowe?

Justynka, wbrew obawom, poczuła się w siodle.

- Rozprawa jest pojednawcza?

- Załóżmy.

- Pierwsza propozycja: porozumieć się ze stroną przeciwną na bazie rozmowy rzeczowej. Ewentualnie w obecności przedstawicieli prawnych.

- A jeśli to już było?

- W obecności przedstawicieli...?

- A, nie - zastanowił się wuj. - Bez. Tu masz rację. Zaczyna mi się podobać to wszystko, co mówisz.

- I wobec tego co...?

- Być może zorganizujemy sobie taką rozmowę z przedstawicielami. Powiedzmy, na razie z jednym przedstawicielem. We właściwej chwili, bo dziś już nic mam czasu na niewinne rozrywki.

Ogłuszona Malwina przez cały ten czas milczała. i jadła. Do reszty przestała rozumieć, co oni do siebie mówią i o co Karolowi chodzi, wrócił podobno zadowolony, potem nagle wpadł w dziką wściekłość, a teraz, nie wiadomo dlaczego, humor mu się zmienił. To fakt, że niepotrzebnie dała ujście rozczarowaniu i rozpaczy, ale przecież wyjaśniła to.

Wstrząsnął nią niepokój o niego i ulga na jego widok... zaraz, może właśnie dlatego przestał się złościć...? Uwierzył, że ona go tak uwielbia... Ale znów z drugiej strony, ci prawni przedstawiciele... Rozwód...? Czy ta Justynka zwariowała, że mu takie rzeczy podpowiada...?!

- Kawy - powiedział Karol normalnym głosem i wstał od stołu.

- Ma ci ją podać Justynka czy Helenka? - zdążło się wyrwać z urazą Malwinie, zanim znikł za drzwiami. - Bo na mnie przecież nie możesz patrzeć?

Justynce coś w duchu jęknęło, a Karol zatrzymał się na chwilę.

- Obawiam się, że także cię słuchać - odparł z jakąś przerażającą łagodnością. - Ale nie popadaj w rozpacz na nowo, będę patrzył w inną stronę.

I zamknął się w gabinecie.

- Kawa jest gotowa - zawiadomiła półgłosem Helenka, wyglądając zza kawałka ściany.

- Ciociu, ciocia tak musi...? - wyrwało się równocześnie Justynce.

- Nie wtrącaj się! - warknęła Malwina. - Wroga wyhodowałam, wszyscy przeciwko mnie...!

Nagle przypomniała sobie, że płacze ze szczęście a Karola kocha, ponadto, że właściwie nie wie, co ma zrobić, iść do niego z tą kawą czy wręcz przeciwnie i czym prędzej zmieniła własny wizerunek. Chlipneła trochę na siłę.

- Lepiej powiedz, mam mu to zanieść? Ja?

- No pewnie, że ciocia. Tylko może w milczeniu...

Malwina podniosła się i wzięła tacę z rąk Helenki. Zatrzymała się w drzwiach, tak samo jak Karol.

- A z tobą to ja jeszcze porozmawiam - zapowiedziała złowieszczo i udała się do gabinetu. Zaskoczona i spłoszona nieco Justynka pozostała przy stole, chociaż już dawno przestała się pożywiać. Skończyła kolację wcześniej niż wuj. Wnioskując z tonu, ciotka miała do niej jakąś pretensję, o co, na litość boską?

Malwina zastosowała się do instrukcji, przemierzając dom godnym krokiem i w milczeniu, wróciła po dwudziestu sekundach. Do Karola się nie odezwała, ale Justynkę, proszę bardzo, miała pod ręką.

- Co ty mi tu za szykany stosujesz? - zaczęła we wzburzeniu od razu. - Do czego mojego męża namawiasz? Do rozwodu? Już mu prawników podsuwasz? A może mnie byś tak podsunęła, on sobie da radę! A kto ci w ogóle powiedział... Skąd ci to... A może ja wcale nie chcę rozwodu, nie chcę, no! Nie chcę! Ja go kocham! A ty, moja własna siostrzenica, takie świństwo mi robisz!

Ze zdenerwowania na nowo zaczęła jeść, dzięki czemu osłupiała w pierwszej chwili Justynka zdołała zebrać myśli i wedrzeć się w przemówienie ciotki.

- Ależ ciociu, jaki rozwód? Co cioci do głowy przyszło? Ja wujka namawiam, owszem, ale żeby rozmawiał normalnie! Żeby się z ciocią porozumiał jak człowiek z człowiekiem, a nie tak jakoś... dziwacznie!

Malwina gwałtownie przełknęła kawałek krakersika z pastą serową.

- O, rzeczywiście, porozumiał! A co to za jacyś przedstawiciele prawni? Żeby się ze mną porozumiał przez adwokatów, tak? W sprawie rozwodu? Może by sam tego nie wymyślił, a ty mu podpowiadasz! Ja nie wiedziałam, że ty jesteś taka podła!

- Ciociu, przeciwnie! Ja mu tłumaczę, że ciocia się denerwuje...

- To chyba sam widzi, nie? Ma oczy w głowi A ty do niego o mecenasach, o rozprawach, a jeszcze zagnać mnie gdzieś tam, za kucharkę, żeby mi pieniędzy nie dawać, w takiej komitywie nagle z nim jesteś! Przeciwko mnie!

Justynka wyraźnie poczuła, że wreszcie zaczyna wuja doskonale rozumieć. Nie, nie rozumieć. Dziwić mu się. Jakim cudem przez tyle lat z ciotką wytrzymuje? Jaką nadzieją wiedziony usiłuje z nią jeszcze niekiedy rozmawiać...?

Malwina turkotała pretensjami, posuwając się w supozycjach poza wszelkie granice. Justynce udawało się czasem coś wtrącić tylko dzięki jedzeniu, ostatecznie chwilami ciotka musiała przełykać. W jakimś momencię wreszcie siostrzenica straciła cierpliwość.

- NIE! - wrzasnęła z gniewem. - Ciocia w ogóle nie słuchała, co było mówione! Wuj chciał załagodzić i proponował porozumienie! Ogródkami!

- Jakimi znowu ogródkami, tu siedział, nie w ogródku...

- Dyplomatycznie! Chciał się zgodzić, że owszem powinien zawiadamiać, że wyjeżdża albo co! A ciocia znów mu wytknęła, a on już taki jest i sama ciocia mówiła, że jest, jaki jest, ale ciocia go kocha!!!

Nader szczęśliwie padło słowo, które przypomniało Malwinie odgrywaną rolę. Prawda, przecież kocha Karola i żyć bez niego nie może, prawda, przecież Justynka ma być świadkiem, prawda, miała udawać anioła... Coś jej chyba źle wyszło...

- No to ty mi go tu nie buntuj - powiedziała żałośnie.

Justynka odczuła w sobie nagłą chęć walenia głową w stół znacznie porządniej niż czyniła to ciotka. Zamilkła. Sprawa wydała jej się beznadziejna.

W antrakt wkroczyła Helenka.

- Całkiem już zimne to wszystko - rzekła z naganą, sięgając po naczynia na stole. - Jak pani jeszcze chce jeść, to ja podgrzeję, ale prawdę powiedziawszy, mogłaby pani już przestać. O jakim tam buntowaniu pani opowiada, Justynka naszego pana w lepszy humor wpędziła, a gadali, sama słyszałam, żeby się dogadać. Ja się nie wtrącam i nic nie mówię, ale teraz to już pani całkiem przesadziła, Justynka dobre dziecko zawsze po pani stronie. I na co to pani jeszcze taka wojna? I z kim? Z rodzoną siostrzenicą? Tylko patrzeć, jak pani z całym światem wojować zacznie. Słowa Helenki Malwina zrozumiała o wiele lepiej niż wszystkie wypowiedzi siostrzenicy i męża. Tknęła ją odkrywcza myśl, jakże, wszak świadków powinnna mieć po swojej stronie, nie daj Boże obrażą się i będą świadczyć przeciwko. Okropność, musi natychmiast odwrócić kota ogonem!

Zalała się łzami.

- Hę... Hę... Hę... - wyszlochała, co Justynkę przeraziło śmiertelnie, sądziła bowiem przez moment, że w ten straszny sposób ciotka prezentuje jakiś rodzaj drwiącego śmiechu. - Hę... Helenka ma rację! Ja już sama nie wiem, co mówię! Nie słuchaj, moje dziecko, ja się tak zdenerwowałam, a wyglądam jak mazepa, Karol też ma rację, a ja tak mu się chcę podobać...! I rozmawiać...! I żeby on słuchał...!

- Byłoby dobrze, gdyby czasem i ciocia posłuchała - powiedziała Justynka bezlitośnie i pomogła Helence sprzątnąć ze stołu.

Malwina posiedziała jeszcze chwilę, po czym podniosła się, bo w zasięgu ręki nie miała już nic do jedzenia. Przez okropny chaos uczuciowy przedarła się jej jedna myśl, ta o wyglądzie. Łazienka z lustrem i kosmetykami stają się nagle jedynym, właściwym dla niej miejscem pobytu.

Zważywszy, iż sztukę zadbania o twarz Malwina miała w pełni opanowaną od najmłodszych lat, już po półgodzinie wy-

grała walkę z mazepą. Całkowicie odmienny stan oblicza odmienił także stan jej umysłu. Poczuła się zdolna do myślenia.

Trucizna Karolowi nie dała rady. Złodzieje samochodowi prezentowali opieszałość skandaliczną, ale możliwe, że to sam Karol przez złośliwy przypadek utrudniał im pracę. Brama nadal zepsuta, zatem nic straconego, nadzieje istnieją. Co więcej...? Może jednak wynająć płatnego zabójcę? Czy oni potem szantażują swoich klientów...? I ile taki może kosztować...?

A w końcu, niech będzie, osobiście kupi broń palną na którymś bazarze i zastrzeli go, zacierając starannie ślady. W takim zaś wypadku jedyny ratunek dla niej będzie stanowiło to alibi, nie bardzo wprawdzie doskonałe, ale oparte na jej niewzruszonej miłości do Karola.

Zważywszy, iż kolacja została skonsumowana dość wcześnie, a Karol na razie zamknął się w gabinecie, Malwina była pewna, że mała przekąska przed snem okaże się niezbędna. Pewność brała się z doświadczenia. Mogło to nastąpić wcześniej lub później, porę trudno było przewidzieć, zatem wysiłki należało chwilowo skierować na świadków. Zatrzymać Justynkę i Helenkę, żeby nie poszły do siebie, żeby widziały na własne oczy, jak ona go kocha, żeby nie zalągł się w nich najmniejszy cień głupiego podejrzenia...

Oba jej przyszłe, żywe dowody niewinności, nieco zaskoczone i zdziwione, poddały się presji. Zatrudnione przy produkcji owej przewidywanej przekąski, niewiele miały wprawdzie do roboty, ale za to bardzo dużo do wysłuchania. Malwina wybuchnęła uczuciowymi zwierzeniami, tłumacząc swoje wybryki, nawet dość logicznie, histerią nie do opanowania, niepewnością w kwestii wszelkich poczynań Karola, obawami o niego i wynikłą z tego wszystkiego przesadą. No i tą miłością bez granic, szarpaną pazurami zwątpienia, bo może on już jej wcale nie kocha...?

Ogłuszyła swoich, tak starannie urabianych, świadków doszczętnie.

Karol wyszedł z gabinetu o wpół do dziesiątej l rzeczywiście miał ochotę coś zjeść. Jakąś drobnostkę pod czerwone wino. Ujrzał stół zastawiony pełnym | wyborem zakąseczek, przypadkowo do czerwonego wina świetnie dostosowanych, świece, kieliszki i żonę z twarzą całkowicie odmienioną. Gdyby nie zwały ituszczu, prawie można by ją określić mianem pięknej kobiety. Przelotnie zastanowił się, jaką też głupota wywinęła, którą teraz będzie musiał nadrabiać.

Justynka została przy stole, posadzona przez Malwinę prawie przemocą. Smętnie pomyślała, że plastereczek pieczeni wołowej z chrzanem zdoła chyba przełknąć, ponadto w gruncie rzeczy była ciekawa, 10 z tej rozszalałej ekspiacji ciotki może wyniknąć. Helenka zrezygnowała z pójścia spać i, symulując zajęcia w kuchni, też postarała się coś usłyszeć.

- No? - powiedział Karol cierpko. - Co ci się znowu zepsuło? Brama poczuła się osamotniona? Malwina była w rozpędzie, przejęta rolą.

- Bardzo cię przepraszam, kochanie, ludzie byli, ale nie udało im się naprawić, czegoś tam ze sobą nie wzięli, oni w ogóle mówią, że powinno się zmienić bramę na nową, taką, co to ona chodzi w powietrzu, ale ja nie mogłam zadecydować, bo nie wiem ile to kosztuje. I tak prawdę mówiąc, potem już nie miałam głowy do bramy, bo się denerwowałam Więc może ja jeszcze spróbuję jutro?

W tym momencie przypomniała sobie wykąpanego pilota i zawahała się. Powiedzieć mu o tym od razu czy trochę później...?

- Zatem to tylko brama? - zdziwił się Karol uprzejmie. - Nie wiem, czy warto było wkładać w nią tyle wysiłku. Aczkolwiek przyznaję, że widok stanowisz znacznie mniej okropny.

Justynka ugryzła się w język, bo omal nie wyrwało się jej, że raz mógłby wuj ciotkę pochwalić wprost. Twarz zrobiła sobie naprawdę doskonale, a żadna przenośnia na pewno do niej nie dotrze. Obrazi i zaraz powie kretyństwo.

- Czy to znaczy, że już nie musisz... - zaczęła zdławionym głosem Malwina i na szczęście nie zdążyła powiedzieć dalszego ciągu: "rozwodzić się mną", ponieważ rozdźwięczał się gong, a z nim razem domem wstrząsnęło potężne łomotanie do drzwi Z zewnątrz dobiegły jakieś krzyki. Obie z Justynka zerwały się z krzeseł, Helenka z kuchni wypadła do holu, jeden Karol pozostał na miescu.

Oświetlenie wokół budynku pozwoliło ujrzeć wszystko od razu. Do drzwi walił Muminek, przez nie domkniętą bramę przedzierała się Muminkowa z ogromną łyżką wazową w dłoni. Muminek okrzykiem wzywał pomocy.

Zjawisko było tak niezwykłe, że drzwi otwarto czym prędzej. Muminek, wpadłszy do wnętrza, usiłował je zamknąć i przytrzymać, ale Muminkowa okazała się lepsza, zamknięcie zdążyła uniemożliwić, ponadto zamierzyła się łyżką, co tak Helenkę, jak i Malwinę napełniło obawami, że zdemoluje nieszczęsne drzwi, częściowo oszklone. Wpuszczono ją zatem. Muminek uciekł w głąb domu, trafił do jadalni i schował się za krzesłem Karola.

- Zabierzcie ją! - wychrypiał. - Przytrzymajcie! Ludzie, niech ona da sobie przetłumaczyć!

- Ma pan, widzę, jakieś złudzenia? - powiedział Karol z lekką naganą. - Dobry wieczór.

- Dobry? - oburzył się Muminek. - Dla kogo?!

- Tak ogólnie.

- Nie dla mnie! Panie sąsiedzie, ratunku! Złe w nią wstąpiło, no i co z tego, że człowiek parę słów zamieni, co za cholera jej naplotkowała...?! Przypadkiem babę spotkałem!

Karol wykrzesał z siebie odrobinę zainteresowania.

- Jaką babę?

- Dentystkę. Larczykową.

- Rozumiem, coś z zębami. Ona gryzła czy pan?

- Nawet mi nie dłubała - powiedział Muminek z goryczą i wylazł zza krzesła, bo Muminkowa została przez żeńską odsiecz wciągnięta do salonu. Niebezpieczeństwo bezpośrednie przestało mu grozić.

Z pełnych wzburzenia okrzyków, stopniowo przechodzących w zrozumiałe zdania, dało się w końcu wywnioskować, że Muminkowa złapała męża in flagraniti z piękną panią stomatolog i bez namysłu wkroczyła do akcji, chwytając pierwsze narzędzie, jakie jej wpadło pod rękę. Łyżkę wazową. In flagranti polegało wprawdzie na tym, że Muminek z Larczykową stali na ulicy i rozmawiali, umawiając się na następną wizytę dentystyczną, ale tuż przedtem on jej pomagał wepchnąć do samochodu kwiat w potężnej donicy, nabyty u sąsiadów obok, ona mu wdzięcznie dziękowała, Muminkowa, w świetle latarni, z okna dostrzegła kwiecie i karesy i wolała nie czekać na rozwój wydarzeń. Podstępne supozycje Malwiny zrobiły swoje nieprawdopodobny dotychczas romans Muminka z Larczykową ostro zamajaczył Muminkowej na horyzoncie.

Łyżkę wazową wyjęła jej z rąk Helenka. Justynka usiłowała koić zionące emocjami nastroje z miernym rezultatem, bo podsycała je Malwina. W obawie uspokojona Muminkowa przypomni sobie trujące jagódki i, nie daj Boże, coś o nich napomknie, wolała raczej zająć ją małżeńskimi niesnaskami. Dyplomatycznie i z wielkim współczuciem przebąkiwała o nie wierności męskiej i perfidnym uroku rozmaitych Lafirynd, głupocie mężów i ślepej łatwowierności żon o motylkach, skaczących z kwiatka na kwiatek i tym podobnych miłych zjawiskach. Zdenerwowana Muminkowa z wielkim oporem wracała do równowagi.

Muminek z Karolem natomiast bardzo szybko przeszli na kwestię bezpieczeństwa samochodów, bo jajguar Karola stał na parkingu. Łatwo im było podjąć życiowy temat, na poprawę samopoczucia zaś wielki wpływ wywarło znakomite czerwone wino.

- Miała pani rację - powiedziała ponuro Muminkowa w salonie. - Dla tej wydry co na drodze, to nieprzyjaciel, a ten mój głupek na każdą... tę, no...

- Spódnicę - podsunęła życzliwie Helenka,
- One teraz w spodniach chodzą. No, niech będzie, na każdą poleci. I myśli, frajer, że ta harpia na niego też. Tak za nic.
- Akurat, za nic! - prychnęła urągliwie Malwina. - Ile to pieniędzy kosztuje...!
- O, już ja go przypilnuję. Dobrze, że mi pani zwróciła uwagę...
- Ja tam jeszcze rzucę okiem, gdzie ta nasza ochrona się pęta - rzekł w jadalni Muminek z energią. - Moją żonę coś napadło, ale to jeszcze nie powód, żeby nas mieli okradać. Ja w ogóle bardzo państwa przepraszam za takie wtargnięcie, ale myślałem, że zwariowała i ciężko się wystraszyłem, a tu najbliższy dom, gdzie się wszystko świeciło.
- Nie ma sprawy - odparł Karol uprzejmie. - Dobrze będzie, jak pan popatrzy, bo dwóch ich jest, i może warto trzeciego zaangażować?
- Musielibyśmy dopłacić.
- Na osobę to wypadnie niewiele. Ja jestem gotów, chociaż bramę jutro załatwię...

Muminkowa, mimo przeszkód, opamiętała się wreszcie, przeprosiła za męża i ruszyła do domu. Za nią ruszył Muminek. Od bramy wrócił jeszcze i poprosił o łyżkę wazową.

Nie komentując wydarzenia, Karol poszedł spać, dzięki czemu Malwina nie zdołała spowodować żadnych zadrażnień. Zadowolona była nadzwyczajnie, proszę, ziarno zostało zasiane, teraz już wystarczy jedno słowo, cień podejrzenia, żeby Muminkowa poleciała do Larczykowej robić awanturę. Może jutro, póki brama zepsuta...

- Cóż ona pani tak dziękowała za tego swojego męża? - spytała nieufnie Helenka, przystępując do uprzątania ze stołu. - Pani go złapała na gorącym uczynku czy jak?
- O, przecież wszyscy wiedzą, że ona, ta Larczykową, żadnemu chłopu nie przepuści...
- Iiiii, taki chłop...
- Możliwe, że piękny nie jest - zgodziła się Malwina. - Ale, jak ją dobrze pozłoci... A latają za nią, aż świszczę. Niech i Muminkowa się dowie, bo po co ma wychodzić na głupią?

Helenka pokręciła głową i zaniechała dalszych uwag. Justynka nie uczyniła żadnej, chociaż wyraźnie było widać, że ciotka, dotychczas zajęta wyłącznie sobą, teraz jęła się wdawać w jakieś szersze intrygi. Napuściła Muminkową na Muminka, co on jej zawinił? A, może to nie on, może to ta dentystka.

Dała spokój dalszym dociekaniom.

* * *

Wzajemne informacje dotarły do osób zainteresowanych wielce okrężną drogą, która, zadziwiającym trafem, wszystkich zadowoliła.

O występach Muminków Konrad dowiedział się od kumpla, tuż przedtem przekazawszy mu dyżur i pożałował, że sam odjechał zbyt wcześnie. Zyskał za to pretekst, żeby się spotkać z Justynka, pocieszył się zatem dość łatwo. Następne wieści uzyskał od Joli.

Osobliwą epidemię, jaka spadła znienacka na jego firmę, Karol zaczął badać od rana, w jej obecności, bo do zapoczątkowanych w Danii umów znakomita tłumaczka była mu niezbędna. Jola przyjechała odrobinę wcześniej i zdążyła pogawędzić z Beatką.

- Nie wiem i nic nie rozumiem - powiedziała wystraszona nieco i zakłopotana Beatka. - Oni chyba wszyscy coś zeżarli, ale co? Każdy jadł co innego, to jak to wytłumaczyć?
- I niczego wspólnego nie było? - spytała Jola nieufnie,
- Tylko herbata. Całą wypili. I cukier, ale niektórzy nie słodzą.
- A ty?
- Co ja?
- Też piłaś?
- Nie. Tak. Nie. No tak, oczywiście, ale ja piłam... No dobrze, powiem, ja piłam inną.
- Jaką inną?
- Szefa. Ale błagam cię, zatrzymaj to przy sobie...

Niedokładnie zorientowana w kwestii biurowej herbaty, Jola zdziwiła się trochę, ale przyrzekła milczenie, bo zaciekawiło ją to jakieś tajemnicze sedno rzeczy. Beatka, zakłopotana bardziej, wyznała, iż pozwala sobie dzielić się napojem ze zwierzchnikiem, przejawiającym wyrafinowany gust.

- On, rozumiesz, ostatnio tej jaśminowej używa, i ma z taką goryczką i ja ją bardzo lubię. Potwornie droga i sprowadzamy ją od braci Freres...
- Od kogo, proszę? - przerwała zaskoczona Jola, która znała wszak języki obce.
- Bracia Freres. To taka firma... Jola umiała myśleć szybko.
- Rozumiem. Siostry Sisters. Ty nie znasz francuskiego?
- Nie. Angielski i trochę niemiecki. Jakieś głupstwo mówisz. A co...?
- Nic. Bracia Freres to całkiem tak samo jak siostry Sisters. Musi tam być chyba jeszcze jakieś inne słowo?
- No owszem, jest. Mariage. Ale ja wiem, że to znaczy małżeństwo, niemożliwe jest przecież, żeby od stu czy iluś tam lat oficjalnie istniało małżeństwo braci! Zostaliby chyba wyklęci podwójnie, bo i kazirodztwo, i homoseksualizm, nie? Co innego teraz, podobno oni się żenią i w dodatku upierają się, żeby mieć dzieci, mam na myśli adopcję...
- Czekaj. Zdaje się, że rozmawiamy o herbacie, a nie o zboczeniach. Już wszystko jedno, niech będą bracia Freres. I co?
- Z czym co?
- Z tą herbatą. Wszyscy pili, a ty nie...
- Ja też, ale mówię, tę drugą. Szefa. Z jego czajniczka. A dla ludzi jest drugi czajnik, większy, bo nie lubią, stary im daje czasem do spróbowania, ale się krzywią, więc niech piją zwyczajną. No i wszyscy pili i to jest jedyna rzecz.
- I nie było w niej nic niezwykłego?
- No coś ty! Nic. Chociaż...
- No...?
- Coś tam ględzili, że jakaś inna, nie smakowała im. Znaczy nie, żeby bardzo niedobra, ale jakaś taka...
- To dlaczego pili?
- Bo myśleli, że to znów eksperyment, szef im daje do spróbowania coś nowego, mieli zamiar powiedzieć, że takiego nie chcą, ale tak próbowali i próbowali. Nic mi o tym nie mówili, pojęcia nie miałam, bo przecież powiedziałabym im, że żadnego eksperymentu nie robimy. Dopiero dzisiaj się dowiedziałam...

W pięć minut później podobne informacje uzyskał i Karol, przyjął je z podejrzliwym zdumieniem na wszelki wypadek kazał natychmiast wyrzucić cały zapas posiadanej w firmie mieszanki i kupić nowe paczki. Co do Beatki, jedynej zdrowej, odgadł bez trudu, iż użyła dla siebie jego osobistej esencji, ale tego tematu nie rozwijał. Prywatnie był zdania, iż to ktoś z

pracowników zrobił głupi dowcip wszystkim pozostałym, symulując później identyczne dolegliwości dla niepoznaki. Nie wyjawił poglądu i nie wdawał się w śledztwo, bo miał co innego do roboty.

Do Justynki zamieszanie zdrowotne w firmie wuja dotarło za pośrednictwem Konrada.

Jako osobnik płci męskiej, przedsiębiorczy, energiczny, bystry i nie leniwy, cały rozkład zajęć Justynki na uczelni Konrad miał już w małym palcu. Trzymająca się rzetelnie układu z bratem, Jola udzieliła mu wieści natychmiast po zorientowaniu się, jak długo , Karol będzie zajęty w jej towarzystwie, a przy okazji dołożyła ciekawostki. Zyskawszy chwilę swobody, Konrad doskonale wiedział, gdzie i kiedy powinien łapać dziewczynę.

Złapał ją. Bardzo chłodna, nieufna i rozgoryczona Justynka wsiadła do samochodu, aczkolwiek zamierzała w przerwie skoczyć do sądów, bo coś tam się toczyło interesującego. Nie mniej jednak interesująca wydawała się jej sprawa wuja i ciotki, cykająca niepospolitymi tajemnicami, w ostateczności zatem mogla zamienić jedno na drugie nawet, jeśli ten chłopak wykorzystywał ją podstępnie, cynicznie i bezczelnie. Konrad miał mało czasu, a chłód Justynki czuł się na siłach przełamać we właściwej chwili.

- Co to było, to przedstawienie przed waszym domem, wczoraj wieczorem? - spytał bez wstępów. - Od zewnątrz tylko część spektaklu, reszta w środku i na ten temat mój kumpel nic już nie wie. I to może być ważne.

- Dla kogo? - spytała zimno Justynka.

- Dla wszystkich. Powiem ci prawdę. Sprawa jest jakoś dziwnie nietypowa, a człowiek wolałby rozumieć, co właściwie robi i dlaczego. W firmie pana Wolskiego też się jakaś zgryzota pojawiła...

Zgryzota wuja natychmiast zrobiła rysę na oporze Justynki.

- Jaka zgryzota? Wuj wrócił dosyć zadowolony.

- Cały personel zapadł mu wczoraj na... jak by tu... niepokój przewodu pokarmowego. Podobno zaszkodziła im herbata.

No nie, podobnej bredni Justynka nie mogła zostawić bez wyjaśnienia. Rysa się powiększyła, spowodowała wymianę wiedzy, Konrad usłyszał wszystko o niesnaskach małżeńskich Muminków. Nie dość na tym, Justynce wyrwało się podejrzenie, że jej ciotka ma jakąś ansę do Larczykowej.

Konrad znał Larczykową z widzenia, niemożliwe bowiem było, żeby tak atrakcyjna kobieta na osiedlu umknęła jakiejkolwiek męskiej uwadze. Żadnych kontaktów obiektu z dentystką dotychczas nie stwierdził ani medycznych, ani prywatnych. Powiedział to

- Bardzo dobrze, że mi to mówisz - pochwaliła Justynka, więcej już zainteresowana osobliwymi wydarzeniami w rodzinnym domu niż własną sytuacją uczuciową. - Ciotka mi takie numery wywija że niech wiem przynajmniej, jak ją uspokajać. Larczykowa z głowy, chwała Bogu.

Konrad się zaniepokoił.

- Ale, rany boskie, niech ci się nic nie wyrwie...!

Spojrzenie Justynki powinno było zamienić go w zlodowaciały kamień, widocznie jednak nie chciało, bo nadal pozostał żywy. Zimnym głosem poprosiła o wzajemność, na co Konrad poczuł się wręcz obrażony.

- Rozmawiam z tobą jak nigdy z nikim... - zaczął trochę gniewnie.

- Ja z tobą również - przerwała sucho Justynka.

Konrad sklęsł.

- Przepraszam. Sytuacja jest wyjątkowa. Ryzykuję, że wyleją mnie z roboty, i sam się czuję niewyraźnie. Od początku miałem wrażenie, że tego... z tobą... no, jeśli się mylę, moja strata. Ale co tu gadać, coś w tym nie gra i zależy mi na sojuszniku. I wprost mówię, wolę, żebyś to była ty niż ktokolwiek inny. Z licznych i urozmaiconych przyczyn,

- I bardzo się cieszę, że wolisz, bo chętnie będę - powiedziała stanowczo Justynka, która zdążyła pomyśleć, że cały galimatias prawny, panujący w kraju, przy pomocy Konrada byłby dla niej osobiście odrobinę mniej trudny do rozwiklania. - Z licznych i urozmaiconych przyczyn...

- Stoi. Jak cię łapać? Komórki, o ile wiem, nie masz. Telefon domowy może być?

W tym momencie Justynce przyszło na myśl, że nie istnieją żadne przeszkody, dla których nie mogłaby mieć komórki. Stać ją na to, żeby za nią zapłacić. Jakoś tam podobno tę wyplacalnośc trzeba gwarantować, nie studiami przecież, ale może wuj się zgodzi...

- Może być, ale o komórkę postaram się w najbliższym czasie. Nie wpadło mi to do głowy wcześniej z głupoty. Ale masz rację, to ma sens. Nie jadę już do sądów, przepadło, wracam na wydział.

Charakter rozmowy, wysoce kontrastowy, bo z jednej strony pustynnie suchy, a z drugiej arktycznie lodowaty, tajemniczym sposobem obydwojgu im pozostawił wrażenie, że świat wcale nie jest taki zly. Da się na nim całkiem przyjemnie egzystować...

Jedno wydarzenie tylko Konrad przed Justynką ukrył, a mianowicie krótką wizytę malwiny w firmie męża. Nie umkneła jego uwadze, bo, rzecz jasna, zarówno on, jak i kumpel, małżonkę śledzonego obiektu doskonale znali. Dało mu to coś do myślenia.

* * *

Malwina o skutkach działania strasznej trucizny dowiedziała się prawie bezpośrednio od Karola. Utwierdzało ją to w mniemaniu, iż dzień spędziła pożytecznie i złagodziło doznania na tle bramy.

Do bramy najzwyczajniej w świecie o dziesiątej rano przyjechała furgonetka i trzech ludzi, stare urządznie zostało rozmontowane i znikło z pola widzenia, na jego miejscu zaś pojawiło się nowe, nie wymagające żadnej prowadnicy. Karol wolał bezpieczeństwo niż wojnę z żoną. Wykąpany pilot stracił wszelkie znaczenie.

Przemyślenia w kwestii zbrodni mężobójstwa również dały rezultat.

Szefowi agencji znów spadła na kark ta rozhiteryzowana, chociaż wysoce dochodowa baba. Baba rzekła:

- Ja nic nie chcę, ale wolałabym wiedzieć. Rozunie pan, tak na wszelki wypadek. Ile ja się jeszcze mam nadenerwować, a zawsze to przyjemniej, jak coś jest możliwe. I niech mi pan tu nie mówi, że skąd i nigdy w życiu, bo w gazetach o tym piszą i radio gada, telewizja też, tyle że trochę mniej i zależy kiedy. Wynajmują takich do mordobicia albo i gorzej, a może ja bym chciała pozbyć się wroga i męża nie musieć pilnować, a może to jest swołocz najgorsza na świecie i czy on mnie musi koniecznie znać osobiście? Jak z tym jest? Ja wiem, że pan wie, a rozmawiamy poufnie.

- Jak z czym jest? - spytał szef agencji, odrobineczkę skołowany.

- Z tymi wynajętymi kilerami. Są przecież, nie?

- Są... Niewątpliwie... Ale, przykro mi, ja prowadzę agencję innego rodzaju...

- O, i cóż takiego! Więcej pan o nich wie niż ja, to na pewno. Jak to się robi, żeby takiego złapać? Teoretycznie pytam, mówię, na wszelki wypadek, Niech pan mi tu nie będzie taki święty! Podsłuch pan ma czy co?

Na to pytanie szef agencji mógł odpowiedzieć śmiało i swobodnie. Nie miał podsłuchu. A jeśli nawet, to własny, prywatny, stosowany w razie potrzeby, bo z tymi cholernymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo, ale tego już nie musiał dodawać.

W kwestii kilerów natomiast poprosił o zwłokę, , więcej się przy tym dowiadując od klientki niż klientka od niego. Klientka wyszła w końcu z nader mglistymi wyobrażeniami o rynku płatnych zabójców, przekonana jednakże, iż wie wszystko, co chciała wiedzieć.

Natychmiast po jej wyjściu i tuż po spotkaniu z Justynką Konrad został wezwany na rozmowę.

- Co się tam dzieje, do diabła? - rzekł nieco zaniepokojony szef bez żadnych wstępów. - Wygląda na to, że baba chce rąbnąć albo męża, albo jego podrywkę. Nie wiem, czy nie warto byłoby trochę jej patrzeć na ręce.

- Podrywka odpada - odparł Konrad stanowczo. - Nie ma żadnej. Też mi wychodzi, że męża ma na oku i dziwne sztuki wyczynia. Wcale mi się to nie podoba.

- I słusznie. Szuka teraz płatnego mordercy.

- Łatwo znajdzie.

- Nie bardzo łatwo, bo widać, że głupia. Pytanie, ile wysupła. Zdaje się, że tego Wolskiego rzeczywiście trzeba będzie w końcu ochraniać, ale przed własną żoną. Weźcie to pod uwagę, bo nie mam chęci być wmieszany w kretyńską zbrodnię, nawet jeśli nikt tam specjalnie nie będzie szukał sprawcy. Na opinii też mi zależy.

- Ale ona płaci?

Szef spojrzał na niego z politowaniem, co Konrad zrozumiał właściwie.

- W porządku, póki płaci, mamy klientkę. Nasz klient, nasz pan. Porozglądamy się przy okazji dookoła...

Malwina wprost z agencji udała się na jeden stołecznych bazarów.

Nie czuła się w pełni usatysfakcjonowana, bo taki wynajęty kiler mógł zlekceważyć sprawę. Zrozumiała, że ci najlepsi, godni zaufania, są zarazem potwornie kosztowni, szkoda jej było pieniędzy, powątpiewała przy tym, czy taką sumę uda się wydoić z Karola, nieco tańsi nie zapewniają usługi dostatecznie solidnej, powinna się zabezpieczyć dodatkowo. Broń palna. Nie zarejestrowana. Nielegalnie nabyta. To był to, co należało posiadać.

Do źródła broni palnej dotarła bez wielkich trudności, co ją nawet nieco zdziwiło, myślała, iż ów śmiercionośny handel otoczony jest większą tajemnicą, a tu oto okazało się, że nikt się z nim zbytnio nie kryje. Zaprezentowano jej duży wybór, zaskakując cenami wysokie do obrzydliwości, wolałaby za te pieniądze kupić sobie futrzaną pelerynkę, ale z pelerynki Karola nie zastrzeli. Krzywiąc się nieco, wskazywała palcem to większe, to mniejsze sztuki, te mniejsze były jeszcze droższe od większych, wreszcie trafiła na potężne kopyto, które, o dziwo, było tanie. Przynajmniej w porównaniu z pozostałymi. Co tańsze, to gorsze, w tej dziedzinie Malwina nie miała żadnych wątpliwości, ciekawe, w czym gorsze i dlaczego.

Na proste pytanie otrzymała prostą odpowiedź. Bo w zasadzie ta broń jest do użytku jednorazowego. Da się z niej strzelić raz, no, może poprawić i drugi, ale potem trzeba ją na nowo nabijać.

Jednorazowości Malwina nie uznała za wadę, nie zamierzała w końcu wymordować połowy miast, i wystarczał jej jeden Karol. W porządku, nawet nabijać nie będzie, rąbnie z bliska i ucieknie, a przynajmniej nie wypadnie jej drogo.

- Proszę mi to nabić od razu - zażądała z godnością. - Porządnie. I pokazać, gdzie tu się za co pociąga.

Życzenie jej zostało spełnione nader gorliwie, nie patrzyła nawet na czynność, bo trochę się jej bała, sprzedawca dokonał jakichś manipulacji na stronie, ukryty za furgonetką, po czym wręczył jej wspaniałą spluwę, wskazawszy dwa elementy.

- To bezpiecznik - rzekł pobłażliwie. - Tak się odsuwa, o! A to spust. Tu pani odsuwa, a tu pociąga. I wszystko.

- I strzeli? - upewniła się Malwina.

- Jak cholera. Gwarantowane. Tysiąc dwieście.

Tysiąc dwieście złotych za Karola mogła ostatecznie opłacić. Transakcja w zasadzie odbywała się kameralnie, jacyś świadkowie jednakże plątali się w pobliżu i wszyscy, z niezrozumiałych przyczyn, patrzyli na klientkę bardzo dziwnym wzrokiem. Sprzedawca również oglądał ją z jakąś osobliwą ciekawością, czego Malwina w ogóle nie zauważyła.

Po powrocie do domu, korzystając z nieobecności Justynki i zajęcia Helenki w kuchni, ukryła broń palną na dnie szafy w gościnnym pokoju, w wielkim pudle ze świecidełkami na choinkę. Miała całkowitą pewność, że aż do świąt Bożego Narodzenia nikt do tego pudła nie zajrzy.

No i teraz, kiedy Karol w przypływie niepojęcie doskonałego nastroju pozwolił sobie na biurowe zwierzenia, doznała ulgi i satysfakcji niezmiernej. Bramę naprawił, niech mu będzie, odebrał szansę nieszczęśliwym złodziejom, na truciznę okazał się haniebnie odporny, ale nie szkodzi, ona miała dość rozumu, żeby postarać się o nowe narzędzia zbrodni.

Karol zresztą nie jej się zwierzał. Tym razem wybrał sobie Helenkę, bo Justynka ugrzęzła wśród książek w bibliotece i opóźniała przybycie do stołu. Obejrzał przystawki i, siadając, powęszył w kierunku kuchii

- Coś tam bardzo ładnie pachnie - rzekł z wyraźnym zainteresowaniem.

- Flaczki z drobiu - objaśniła go Helenka, wnosząca właśnie sałatkę z kukurydzy. - Na gorąco będą.

Karol powstrzymał siadanie, lekko zaniepokojony

- Mam nadzieję, że te flaczki zostały oczyszczone

- Z czego oczyszczone? - zdumiała się Helena - Przecie każde mięso się myje!

- Z zawartości.

- Z jakiej znowu zawartości, co też pan mówi?

Karolowi trudno było utrzymać sto dwadzieścia kilogramów na ugiętych nogach, usiadł zatem.

- Flaczki, z natury rzeczy, zawierają w sobie pozostałości masy pokarmowej w różnych stadiach rozwoju - wyjaśnił. - Należy je usunąć, co, jak ostatnio doświadczalnie zostało stwierdzone, jest w pełni możliwe. Helenka, mam nadzieję, trzyma oddzielnie przyprawy, a oddzielnie herbatę? Trudno to ze sobą pomieszać?

- Ja całkiem nic nie rozumiem z tego, co pan mówi - zgorszyła się podejrzliwie Helenka. - A któż by herbatę z majerankiem mieszał? Chyba że pan chce może rumianku? Albo szalwii? Albo mięty? Bo z tymi flaczkami, to całkiem nie wiem, o co chodzi, przecie one z mięsa. Z piersi. Pan sobie żarty robi! Ale może dziurawca...?

Malwina słuchała pilnie, nie wtrącając się do pogawędki ani słowem. Karol się zastanowił.

- Rozumiem. Flaczki z piersi. A do czego ta szałwia i mięta?

- Na żołądek dobre. Jakby panu co zalegało, to najlepsza mięta i dziurawiec.

- Zalegać, mam wrażenie, nic mi nie zalega.

- To na co to panu?

- Mnie na nic. Ale możliwe, że zalegało moim pracownikom i ktoś ich pięknie wykurował. Jak też Helenka myśli, co to mogło być?

Helenka zatrzymała się w drodze od stołu do ganka z flaczkami i obejrzała na pana domu, nagle zainteresowana tematem.

- A co im było? Znaczy, jak ich wykurował?

- Radykalnie. Można powiedzieć: usunął zawartość ich przewodu pokarmowego. Stąd moje obawy w kwstii flaczków. Zna Helenka odpowiednie lekarstwo?

- Na co?

- Na zaleganie i usunięcie.

- Sól gorzka - stwierdziła Helenka stanowczo i bez namysłu. - Ale to takie więcej obrzydliwe. Z dobrej woli wypili?

- Trudno ocenić - zadumał się Karol. - Z dobrej, nie z dobrej, ale podobno wcale obrzydliwe nie było.

- To kruszyna i szakłak. Bo przecie nie rycyna, kto by rycynę wypił tak bez dania racji, chyba że z ziela, bo i to ziele podobno. Coś tam z nim robią.

Ostatnie zdania usłyszała wchodząca wreszcie do jadalni Justynka i okazja rozszerzenia wiedzy, pochodzącej od Konrada, od razu ją zainteresowała. Spojrzała na wuja.

- Przepraszam, czy ja dobrze słyszę? Ktoś u wuja przeczyścił wszystkim przewód pokarmowy? To co to znaczy?

Karol właściwie miał już dosyć wczorajszego kataklizmu żołądkowego i nie chciał się nad nim dłużej rozwodzić. Interesowały go flaczki z drobiu.

- Nic nie znaczy. Pani Helenka na ten temat wie najwięcej. Osobiście mnie ta epidemia nie dotknęła, i konsekwencji nie ma. Poproszę cytrynę.

Oznaczało to koniec rozmowy. W milczeniu już Justynka podała wujowi talerzyk z ćwiartkami cytryny. Helenka nieznacznie wzruszyła ramionami i udała się do kuchni, jej chlebodawca najwidoczniej miał jakąś fanaberię albo robił sobie takie dziwne dowcipy, przeszło mu na szczęście. Przezornie sprawdziła, żadna przyprawa nie zaplątała się w okolice zapasu herbaty, i pomieszała flaczki.

Malwina, mimo satysfakcji, poczuła się lekko wstrząśnięta. No proszę, wszystkim zaszkodziło, a jemu nic.Ten człowiek jest z żelaza, może nawet pistoletu na niego mało, kałasznikowa, rozpylacza, może powinn postarać się o bombę...?!

- Brydża zrobisz - powiedział Karol znienacka. Przez moment Malwina nie była pewna, do kogo to mówi, bo może do Justynki...? Nie, jednak do niej. Tak była zajęta myślą o bombie, że protest nawet w niej nie drgnął.

- Kiedy?

- W następny piątek. Dokładnie za dziesięć dni.

- I kto ma być na tym brydżu? Mam zaprosić Śliwińskich? Poziomiaków? To i Kręckich trzeba, Danusia by przyszła i Krystyna...

- Nikogo. To ma być brydż, a nie ploty. Ja ich zaproszę. Na dwa stoliki.

Z miejsca Malwina zapomniała o bombie i poczuła się urażona.

- To dlaczego właściwie ja mam tego brydża robić dla twoich gości? Grasz sobie z nimi gdzieś tam, a co ja mam do tego? Ja bym zagrała z moimi znajomymi, nie są gorsi od twoich, klub brydżowy nagle w domu zakładasz?

Justynka najchętniej kopnęłaby ciotkę pod stołem, ale miała do niej za daleko. Karolowi głos ścichł i pojawiły się w nim lekko syczące tony.

- I będzie przerwa na kolację. Kolacja ma być najwyższej klasy. Na dziewięć osób.

- Dziewięć? - zaczęła Malwina buntowniczo. Na dwa stoliki? To kto właściwie... Zarzewie ognia zgasiła Pufcia. Z wdziękiem wskoczyła na stół dokładnie przed nosem Karola i powąchała flaczki na jego talerzu, zamiatając mu ogonem po twarzy. Malwinie zamarły na ustach dalsze słowa, i które miały brzmieć: "...nie będzie jadł tej kolacji, a ja czy Justynka, a może obie nie jesteśmy godne zasiąść do stołu z twoją świtą? W Danii byłeś, czy zaprosiłeś króla...?", co, rzecz jasna, miałoby skutki straszliwe, Karol bowiem natychmiast uczepiłby się króla, od dawna leżącego w grobie, wytykając debilizm osobie, nieświadomej faktu, iż Danią rządzi królowa. Jednostka płci żeńskiej. Po czym, jak zwykle ostatnimi czasy, wybuchłoby ogólne piekło.

- No, no - powiedział Karol do kotki. - Lubisz te majeranki i szakłaki? Ostrożnie, to gorące. Czy koty nie dostały nic do jedzenia od wczoraj?

Justynka zerwała się z krzesła.

- Dostały - zapewniła, zdejmując Pufcię ze stołu i czując wyraźnie, że nawet gdyby nie lubiła kotów dotychczas, pokochałaby je od dziś. - Ale ona lubi takie różne nietypowe smaki, a zwykłe zioła i jarzyny krajowe jeszcze żadnemu kotu nie zaszkodziły. O ile w ogóle jakiś chciał je zjeść. Ona chce. To znaczy, chciewa... - zastanowiła się nagle. - Chciewa...? Czy chciwa? Forma niedokonana od chcieć...

Z kotem w ramionach popatrzyła na wuja pytająco. Karol się zainteresował wbrew ogarniającej go już złości.

- Ciekawe...

- Zaraz, czy to jest forma niedokonana? Bo przecież nie tryb... Robił, robił i nie zrobił...

- To raczej przejaw działalności naszego rządu - skorygował Karol uprzejmie. - Ale nie będziemy przecież rozmawiać o polityce. Pufcia chce niekiedy, Pucuś też?

- Też. Tyle że rzadziej.

- Zatem oba koty chciwają... Nie, jednak lepiej brzmi: chciewają. Mam wrażenie, że stworzyłaś nowe słowo, i obawiam się, z wielkim żalem, że jednak nie będę go używać, szczególnie w korespondenci urzędowej.

- Szkoda - westchnęła Justynka i, siadając znów przy stole, postawiła kotkę na podłodze. - Przeszłabym może do potomności. Ale jak nie, to nie.

Malwina przez ten czas zdążyła się zastanowić. Boże drogi, znów zapomniała o tej miłości do Karola i o mało co... Nie, nie wiedziała co, ale z pewnością było to coś szkodliwego. Odkręcać czym prędzej!

- Z największą przyjemnością zrobię kolację, na ile osób zechcesz - oznajmiła słodko. - Na gorąco?

- Sama wymyśl. Nie ma prawa zająć więcej niż, godzinę.

- Doskonale, kochanie, wymyślę. Tylko nie wiem... Na ile osób?

- Zdaje się, że powiedziałem to wyraźnie. Czy na tę chwilę ogłuchłaś?

Z wielkim wysiłkiem Malwina zachowała słodycz

- Nie. Ale, o ile wiem, przy dwóch stolikach gra osiem. Kto dziewiąty?

- Będzie jeden wychodzący.

- Czy to znaczy... że... Justynka...

- Ciociu, bardzo przepraszam, ja i tak w przyszły piątek wrócę bardzo późno - przerwała pośpiesznie Justynka. - Jestem zaproszona na urodziny koleżanki.

- Masz ochotę zapytać o siebie - powiedział Karol drwiąco, ale bez syczącego przydźwięku. - Otóż z tych wszystkich osób po polsku mówią dwie. Ja i tłumaczka. Reszta włada angielskim, duńskim, szwedzkim i niemieckim. Po jakiemu zamierzałabyś się z nimi porozumiewać?

Gwałtowna burza w sercu Malwiny omal nie zniweczyła jej wszystkich starań. Tłumaczka...! Ta jakaś Jola, przed którą ostrzegała ją Krystyna! Do tego doszło...! Bezczelność...!!!

Zarazem wystrzeliła w niej nowa, krwiożercza myśl. Zabije go właśnie wtedy! Przy tym brydżu! Padnie na kogoś z gości, może zaprosi jakiegoś wroga...

- To nawet lepiej - powiedziała, przemógłszy dławienie. - Znacznie wygodniej podawać kolację bez siadania do stołu. Bardzo dobrze. My z Helenką , zjemy sobie na stronie.

Śmiertelne zaskoczenie Karol zdołał ukryć. Był święcie przekonany, że jego żądanie spowoduje histeryczną awanturę, co wcale nie oznaczało, że miałby zmienić plany. Zależało mu na tym brydżu w prywatnym domu, rozważał nawet myśl, żeby urządzić go u Joli, ale po pierwsze wątpił, czy talenty kulinarne Joli sięgają Malwinie bodaj do pięt, a po drugie chciał, żeby

to było w jego domu. Miał swoje zakusy na zaproszonych kontrahentów, zapalonych brydżystów, w tym dwóch świeżo poznanych w Kopenhadze. I szansę na ten kontrakt, zniweczony przez sraczkę personelu...

- Postaraj się wyjątkowo - rzekł już zupełnie łagodnie. - Będę ci bardzo wdzięczny.

- Ach! - ożywiła się Malwina. - Bądź mi wdzięczny! Taką piękną pelerynkę z czarnych norek widziałam w Panoramie...!

Do końca kolacji Karol nie odezwał się już ani słowem.

* * *

Malwina oczywiście nie wytrzymała. Przyszła do pokoju siostrzenicy, kiedy Karol już znikł w gabinecie i ulała swoje żale na tle utraty jego uczuć. Ta tłumaczka...!!!

- A dlaczego on nie może mieć tłumacza, tylko tłumaczkę? Snuje się za nim jak smród za wojskiem i to znaczy ja nie wiem, co się za wojskiem snuje, nigdy nie wąchałam, ale podobno się snuje, wszyscy mówią. A skąd mam wiedzieć, czy jej nie zabrał ze sobą do tej Danii, niby nie, ale może oddzielnie pojechała? Podobno taka piękna i młoda, słodkie oczy do niego robi, jak ze śmierdzącym jajkiem się cacka, ona go chce poderwać, ja ci to mówię, a ten kre... to znaczy, ten mój mąż głupi, jak każdy chłop, gotów na nią polecieć! Co to za jedna w ogóle?! I co ja mam zrobić, sama powiedz, on mnie rzuci dla niej, a ja bez niego nie mam życia i jeszcze jej będę usługiwać! Żeby do domu taką szantrapę sprowadzać...! Przeciwko mnie! Jaka ja jestem nieszczęśliwa, co ja mam zrobić?!

- Ja bym raczej mogła powiedzieć, czego ciocia ma NIE robić - ośmieliła się Justynka stwierdzić z wielkim naciskiem.

Do Malwiny nie dotarło.

- Bo po duńsku nie umiem, rzeczywiście, on też nie umie, zawracanie... No zresztą dobrze, niech będzie, na kuchtę zejdę, ale już tej dziwki w domu nie zniosę! To znaczy, chciałam powiedzieć, wszystko zniosę, tylko żeby on mnie też kochał, bo ja go kocham nad życie, więc sama popatrz, co ja mam robić?

- NIE robić.

- Co...?

- Skoro ciocia pyta...

- No pewnie, że pytam, bo już głowę tracę i tak mi środku wszystko lata, na serce umrę z tego zdenerwowania. To co ty mówisz? Że co mam zrobić?

- Ja właśnie chciałam powiedzieć, czego ciocia nie powinna robić. Nie chcę się wtrącać, ale to przelecież w oczy bije.

- Co w oczy bije?

Z całej siły Justynka starała się być taktowna, zarazem osiągając jakiś rezultat.

- Że ciocia może niepotrzebnie swój żal okazuje...

- A co mam okazywać? Uciechę? Jak on mnie i, tak... No... Traktuje!

- A otóż ja mam wrażenie, że wuj się zrobił trochę lepszy. Chwilami. Ale zanim ciocia zauważy, że on jest lepszy, już coś takiego się dzieje...

- Co ty tu do mnie mówisz? Że to niby ja jestem winna?!

- Ależ skąd, nic podobnego! Do wuja trzeba mieć końskie zdrowie, to fakt. Ale... no dobrze, powiem. Jak i ciocia więcej wytrzymuje, to wuj się robi lepszy i wtedy łatwiej wytrzymywać, tak to wygląda. Ale ciocia właśnie NIE wytrzymuje w nieodpowiednich chwilach...

- W jakich nieodpowiednich chwilach? Które to mają być te nieodpowiednie chwile?

Ciężka uraza w głosie ciotki sprawiła, że właśnie w tej chwili Justynka przechyliła się zdecydowanie na stronę wuja. Nie, z tą kobietą nie dało się rozmawiać. Ale, jeśli jej rzeczywiście na nim zależy, a chyba tak, może pozwoli sobie wbić łopatą do głowy...

- Nieodpowiednie chwile to takie, kiedy wuj w dobrym humorze i normalnie rozmawia, a ciocia wtedy jakąś złośliwość mówi albo zgłasza pretensje niepotrzebnie. Od razu mu się humor psuje i robi się okropny.

- No właśnie, okropny. Czy on w ogóle bywa kiedy w dobrym humorze?

- Rzadko - przyznała Justynka. - Chociaż ostatnio częściej. I już dwa razy ciocia mu ten humor popsuła, na własne uszy słyszałam.

- A ile razy on mnie popsuł, to nie słyszałaś

- Owszem. Milion razy. Ale jeżeli ciocia go kocha i cioci na nim zależy...

Malwina zamilkła nagle. Prawda, przecież ma wmawiać w Justynkę, że kocha tego podleca i że jej na nim zależy bez granic!

- No tak - wyznała żałośnie. - Toteż właśnie. Ty masz rację, moje dziecko, mnie się tak czasem wyrywa z rozpaczy, ale ja już wszystko wytrzymam. Tylko ta tłumaczka, ja już nie wiem, takie coś mi do domu sprowadzać, co ja mam zrobić?

- Udawać wielką życzliwość - poradziła stanowczo Justynka. - Że ciocia się bardzo cieszy z poznania osobiście tej miłej osoby, znanej ze słyszenia. Wyglądać przepięknie, ciocia to przecież potrafi, i zrobić takie żarło, żeby im oko w słup stanęło. I nic więcej.

Znienacka Malwinie myśl się spodobała. A otóż, zrobi im ucztę bogów, to potrafi. I dla Karola będzie jak miód, wszyscy zobaczą, że ona go kocha, grono świadków jej się powiększy. I nawet ta Suka będzie musiała zeznawać przed sądem na jej korzyść. Spłynęło na nią nie tylko ukojenie, ale nawet prawie triumf.

* * *

Konrad koniecznie chciał się widzieć z Justynka, i Justynka z Konradem. Obydwoje uzyskali informacje tak niepokojące, acz różnego rodzaju, że wręcz musieli je skonfrontować z wiedzą sojusznika. Konradowi, świadomemu wizyty Malwiny w firmie męża, supozycje szefa dały do myślenia jeszcze więcej niż wszystkie dotychczasowe wypadki, Justynka zaś...

Justynkę kwestia tłumaczki nieco zdenerwowała i dlatego niezbędny był jej Konrad. Bez względu na uczucia prywatne!

Zważywszy doskonałą zgodność dążeń, spotkanie udało im się umówić z wielką łatwością. Konrad wyłgał się niejakiej Kasi, czatującej na niego pod domem, ale wyłgiwanie się Kasi miał już opanowane od co najmniej roku, Justynka zaś z nieco większym trudem pozbyła się latającego za nią Włodzia, niepożądanego wielbiciela od lat dwóch. Z lekkim rozgoryczeniem pomyślała przy tej okazji, że czego człowiek nie chce, to ma w nadmiarze, upragnione natomiast stawia zacięty opór. Próbowała nawet policzyć, ilu niepożądanych wielbicieli odstawiła od piersi ostatnimi czasy, ale rachunek jej się pomylił, bo Konrad właśnie podjechał pod bramę uniwersytetu.

- Mam nową zgryzotę - oznajmiła, wsiadając.- Teraz się urwałam, ale o czwartej muszę wrócić na wykłady. Sama już nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Konrad dysponował czasem tylko do wpół do czwartej. Od Joli wiedział, że Wolski do wpół do czwartej nie ruszy się z firmy, potem jednakże nie wiadomo co zrobi, musiał zatem zająć swój posterunek. Też nie wiedział, jak to powiedzieć Ju-

stynce.

- Jeśli ci idzie o czas, mam zgryzotę taką samą a nawet jeszcze gorszą - zakomunikował niepewnie. - Chyba że coś innego...?

- Całkiem innego. Zaraz. Bo co?

- Bo ja tylko do piętnastej trzydzieści.

- A... Drobiazg. Nawet lepiej, zdążę wstąpić do sklepu. Otóż... Latasz za wujem...

Zakłopotana Justynka urwała. Konrad przyjrzał się jej.

- Nie będę ukrywał. Fakt. Nie powiedziałem tego wyraźnie, ale od początku miałem obawy, sobie sama wydedukujesz. No i stało się.

Justynka przyjrzała mu się wzajemnie.

- Obawy...? Nie jestem chyba przesadnie zarozumiała, ale myślałam, że nie wyglądam na debilkę. Ciotka cię wynajęła do tego latania. No i... latasz wujem... No i...

- Widzę, że cię mocno stopuje. Wal wprost. Co się stało?

- Nic się jeszcze nie stało, ale w domu zrobiła się sytuacja podbramkowa - oznajmiła Justynka z determinacją. - Muszę ciotkę łagodzić, bo nastąpi kataklizm. Wuj ma jakąś tłumaczkę. Wiesz coś o tym ?

- Wiem - przyznał się Konrad po czterech sekundach milczenia.

- Ciotka ma do niej ansę, a wuj ją zaprasza do domu na brydża z cudzoziemcami, co ja osobiście rozumiem, ale ciotka nie. Co to za jakaś?

- Bo co ona ma do rzeczy?

- Coś muszę wiedzieć, żeby trzymać rękę na pulsie. Wiesz, ja tam mieszkam i jeszcze przez dwa i pół roku nie będę miała innego domu...

- Dlaczego przez dwa i pół roku? Bo potem co?

- Potem kończy się umowa z tymi, co wynajmują moje mieszkanie po rodzicach. Na razie tak trochę siedzę na wulkanie, a wolałabym nie. W chwili obecnej punktem zapalnym jest tłumaczka. Kto to taki? Konrad znalazł miejsce na parkingu przed kinem Skarpa i zatrzymał samochód. Wydał z siebie długie pufnięcie.

- Jak by ci to powiedzieć...

- Wal wprost - zaproponowała sucho Justynka.

- Dobra. Moja siostra.

- Co?

- Moja siostra. Rodzona.

- Obstawiacie wuja całą rodziną? - zdumiała się najszczerzej w świecie Justynka.

- No coś ty! Pojęcia nie miałem, że ona pracuje dla firmy Wolskiego, a ona w ogóle nie wiedziała, co ja robię. Trafiliśmy na siebie przypadkiem, skoro pilnuję, nie mogłem jej nie zobaczyć, nie?

- I co?

- Z czym co?

Justynka zawahała się.

- No nie wiem, skoro siostra... Może ci głupio o niej mówić? Jaka ona jest?

Konrad uświadomił sobie nagle, że, odpowiadając na pytanie Justynki, może zarazem spełnić życzenie Joli. Poczuł niemal wdzięczność do obu dziewczyn i wydały mu się niezwykle sympatyczne.

- Możesz ją poznać osobiście jeszcze dziś, o wpół do czwartej. Przed firmą twojego wuja. Znajomość nie będzie może zbyt dogłębna, bo ona jest umówiona na czwartą...

- Ja też. Z panem opiekunem grupy.

- ...ale pół godziny też coś warte...

- I co, uważasz, że na powitanie spytam ją, czy leci na swojego szefa?

- A ma lecieć...? A, rozumiem. Dobrze, starsza ode mnie o pięć lat, zdaje się, że bardzo ładna, przynajmniej mój kumpel tak twierdzi, dwa lata temu znała sześć języków obcych, teraz pewnie zna osiem albo dziewięć. W tym kierunku jest zdecydowanie utalentowana. Ogólnie przyzwoita. Jako siostra, w każdym razie. Rozwiedziona, mój siostrzeniec ma osiem lat. Patologicznie punktualna, zdaje się, że z konieczności. Coś jeszcze?

- Długo pracuje z wujem?

- Trafniejsze byłoby: dla. Dla twojego wuja, nie z nim. I nie tylko dla niego, ma tłumaczenia na wszstkie strony. Dla pana Wolskiego już chyba prawie trzy lata. Bo...?

- Bo jeśli trzy lata, miała czas go poderwać piętnaście razy - mruknęła Justynka, nie mając pojęcia, że Konrad zadał jej swoje ulubione pytanie, znienawidzone przez całą rodzinę. - A tylko to jest ważne dla mojej ciotki. Trzyma się wuja pazurami.

Konrad odetchnął z ulgą.

- A otóż to! Teraz moja kolej. Ciągle nie mam prawa ci nic mówić, ale cholernie chcę coś usłyszeć Jeśli odgadniesz genezę pytań...

- Powstrzymaj się przed wygłaszaniem uwag obraźliwych. Już to zostało ustalone, ja nie jestem gigantofon.

- W porządku, sorry. Naprawdę jej na nim zależy?

- Do tego stopnia, że nawet tłamsi własny charakter. Nie najlepiej jej to wychodzi, ale bardzo się stara.

- A tak między nami mówiąc... Kto po twoim wuju dziedziczy?

Justynkę dziabnęło w środku coś potężnego, co zdołała ukryć.

- Prawnie ciotka. Nie ma innej rodziny. Chyba że napisze testament i zostawi jakieś legaty, ale nic nie wiem o tym, żeby napisał. Nie wygląda na takiego, który pisze testamenty.

- Czy twój wuj ma jakiegoś ukrytego wroga, którego rzeczywiście trzeba się bać?

- Dlaczego ukryte... Nie, głupio pytam, o jawnym już byś wiedział. Osobiście sądzę, że ma ze stu wrogów, ale żaden się nie wyróżnia.

Konrad wsparł się sztywnymi plecami o fotel i westchnął ciężko. Jak miał jej teraz powiedzieć o płatnym zabójcy, którego usiłowała znaleźć jego klientka?

W ogóle nie miał prawa jej tego powiedzieć, nie tylko powiedzieć, ale nawet dać do zrozumienia. Gdyby zgadła sama, powinien kategorycznie zaprzeczyć. Jak, wobec tego, bez tych wyjaśnień, miał się dowiedzieć Kogokolwiek... nie czegokolwiek, tylko prawdy... o wzajemnych stosunkach między cholernym Wolskim i jego głupią żoną? Nagle przypomniał sobie, że była mowa o zapraszaniu Joli. Zmiękł w kręgosłupie.

- I co z tym wrogiem? - spytała Justynka po chwili oczekiwania.

- Mam go przed nim chronić. Diabli nadali, przed kim...? Czekaj, coś mówiłaś o zapraszaniu tłumaczki...?

- Tak. Na brydża z cudzoziemcami. Mnie nie będzie...

Rozpocząwszy zdanie suchym głosem, Justynka nadłamała się w pół słowa. Wcale nie była zaproszona do żadnej kole-

żanki, przed sesją pod koniec roku nikt się nie wygłupiał z urządzaniem imienin ani urodzin, egzaminy zaczynały wybijać się na plan pierwszy. Wymyśliła to w domu na poczekaniu dla rozładowania sytuacji i jeszcze nie znalazła miejsca, gdzie mogłaby spędzić wieczór. W dyskotece chyba, ale z kim? Z niepożądanym wielbicielem? Kretyństwo!

- Gdzieś tam będę... - dokończyła słabo. Konrad pomyślał właśnie, że spróbuje rozgryźć atmosferę przez Jolę. Brydż brydżem i cudzoziemcy cudzoziemcami, ale przecież Jola ma oczy, uszy i coś w głowie, niemożliwe, żeby niczego nie wywęszła. Nie będzie się znęcał nad Justynką, chociaż, prawdę mówiąc, nie wiadomo, kto tu więcej w tej chwili cierpi.

Równocześnie przeleciało mu przez głowę kilka błysków. Skoro brydż u Wolskich, facet się nie ruszy, a w razie czego Jola zadzwoni. On sam będzie wolny, a gdzie się wybiera ta dziewczyna? To bycie gdzieś zabrzmiało dziwnie niepewnie...

- Gdzie będziesz? - spytał surowo.

- Nie mam pojęcia - wyznała Justynka szczerze - Obiecałam, że mnie nie będzie ze względu na ze względu na... no, ze względu na sytuację ogólną. Chociaż właściwie mogłabym udawać tylko, że wyszłam. Posiedzę u siebie i przy okazji trochę się pouczę.

- Jest to chęć chwalebna, ale ja mam inny pomysł. Jeśli już tkwimy w tej imprezie i wyjawiamy sobie nawzajem rozmaite tajemnice stanu, przydałoby się pogadać obszerniej. Co ty na to?

W zasadzie Justynka nie miała nic przeciwko tej pozycji. Owszem, warto było uściślić własną wiedzę. Kiwnęła głową.

Konrad miał zegar w tablicy rozdzielczej, jednym okiem pilnował godziny, ruszył teraz i we właściwej chwili podjechał pod firmę Wolskiego. Wycyrlklował z dokładnością idealną, Jola właśnie wychodziła. Zawahała się, dostrzegłszy brata w samochodzie z jakąś dziewczyną, niepewna, czy ma się przyznać do znajomości z nim.

Nie wysiadając, Konrad pomachał do niej, po czym dokonał prezentacji.

- To jest Jola, moja siostra. Jolka, to jest Justyna, siostrzenica twojego bossa. Róbcie, co chcecie. Cześć.

Odjechał kawałek dalej, a Jola i Justynka zostały na chodniku, przyglądając się sobie wzajemnie.

- Chodźmy stąd - powiedziała Jola. - Ja się nie znam na tych podchodach, ale zdaje się, że szef zaraz wyjdzie i nie wiem, czy koniecznie musi nas oglądać.

- Wolę nie - rzekła zdecydowanie Justynka. - Poza tym muszę wracać na wykłady. Jedziemy w tę samą stronę?

- Na Krakowskie?

- Zgadza się.

- No to akurat mamy autobus...

Mimo dość niesprzyjających warunków, autobus nie stanowił bowiem komfortowego miejsca konwersacji, przez te pół godziny Jola i Justynka zdołały nawiązać kontakt. Nie poszły na pełną szczerość, obmacały się nawzajem ostrożnie i żadna w tej drugiej kolców nie dostrzegła. Pozwoliły sobie zatem, każda z nich, na załatwienie po jednej zasadniczej sprawie.

- Mam pytanie - zaryzykowała Jola. - Chyba nietaktowne, ale trudno, w końcu idzie o mojego pracodawcę. Dlaczego on przychodzi czasem do firmy taki wściekły od rana?

- Niestety, z różnych przyczyn - westchnęła Jnstynka. - Mogłabym długo wymieniać, ale chociażby ostatnio, zepsuta brama. Albo coś nie tak ze śniadaniem. Albo pozostałości z poprzedniego wieczoru. Albo kot miauczał. Wszystko. Ale mam prośbę. Mogę?

- Jasne. Mów.

- Masz być u nas na brydżu. Czy mogłabyś... nie wiem, jak to powiedzieć... Czy mogłabyś być jakaś taka, żeby moja ciotka... no... nie dostała histerii?

Jola zastanawiała się przez chwilę uczciwie.

- Trudno będzie. Na kontrahentach... chciałam powiedzieć brydżystach... muszę zrobić dobre wrażenię. Spróbuję być możliwie służbowa, ale z drugiej strony, sama rozumiesz, nie chcę stracić pracy

- Wuj ci kazał ich podrywać?

- Nie musiał kazać, sama wiem, o co chodzi Zimna sztywność odpada. I nie mogę źle grać. Justynka myślała gorączkowo.

- Wiem! Bądź sobie, jaka chcesz, ale gdybyś mogła przy tym zrobić z siebie garmażeryjną idiotkę? Nie obchodzi cię, co jesz, nie masz pojęcia, jak to się robi, nie wiesz czy to mięso, czy ryba, czy w ogóle marchewka. W życiu niczego nie ugotowałaś! I nie do tych gości tak, kicham na nich, oni niech sobie myślą, że jesteś kucharz doskonały, do wuja! I nie umiesz otworzyć butelki z winem! Błagam cię!

- Butelki z szampanem rzeczywiście nie umiem - wyznała Jola, nagle rozumiejąc mnóstwo rzeczy

- Idiotka garmażeryjna przyjdzie mi bez trudu, ale pozwolisz, że się zastanowię? Justynka też w mgnieniu oka wszystko zrozumiała

- Przecież zawsze, w razie czego, będziesz mogła to odkręcić!

- W porządku. Nie obiecuję na bank, ale chyba się postaram. W każdym razie wezmę to pod uwagę

- Dziękuję ci bardzo. A już szczególnie, gdybyś rozmawiała z ciotką, co nie jest pewne, ale nie wy kluczone.

Nie zawarłszy na razie jeszcze przyjaźni, zrozumiały się doskonale. Justynka zniknęła za bramą uniwersytetu, Jola pośpieszyła do kolejnego pracodawcy, samej sobie składając gratulacje. Pomysł poznania osobiście siostrzenicy szefa okazał się doskonały i nadspodziewanie owocny!

*** * ***

W ciągu dziewięciu dni, pozostałych do wszechstronnie skomplikowanego brydża, Konrad zwiedził połowę kasyn warszawskich. Wolski, nie wiadomo dlaczego, wpadł znienacka w szpony hazardu i był w tych jaskiniach rozpusty prawie codziennie. Szczególnie upodobał sobie Marriotta i Pałac Kultury, Konrada zaś coś tknęło i zaczął wchodzić za nim. Coś w tym musiało być, spotykał się tam może z kimś, na kogo należało zwrócić uwagę, ktoś inny może zwracał uwagę na niego, jakaś specjalna przyczyna namiętności musiała istnieć, bo ogólnie Wolski bywał i grywał, ale nie tak często. A ten cholerny płatny zabójca, wymyślony przez jego kochającą małżonkę, nie chciał Konradowi wyjść z głowy. Kto wie, raz się już w jednym kasynie mordowali...

Nie mógł, rzecz jasna, wiedzieć, że Karol znalazł się właśnie w bardzo głupiej sytuacji służbowej. Napiął wszystko co trzeba, zlecenia i kontrakty ruszyły, wszystko szło jak w zegarku, na to ostatnie zaś, upragnione bez racjonalnych powodów, musiał po prostu czekać. Nie miał co robić, za dobrze zorganizował swoje przedsiębiorstwo. Z inwestorami był w jak najlepszych stosunkach, swoje pieniądze ulokował najkorzystniej w świecie, finansował częściowo kurort francuski i nie miał chęci z funduszem rezerwowym schodzić do zera. Zatem nie mógł zaczynać niczego nowego i znalazł się w tak zwanyn przestoju.

Mógł sobie pozwalać na rozrywki. Jedną z nich był upadek konkurenta, który porwał się z motyką na słońce, to znaczy z dwoma głupimi milionami na Karola Wolskiego. Niejaki Bawolec, nomen omen, idiota beznadziejny, debil i matoł, bezmyślny chyba, bo cecha tak szlachetna jak optymizm nie mogła tu wchodzić w rachubę. Raz mu coś wyszło i natychmiast zaczął

budować osiedle... jakie tam osiedle, osiedlątko! Wszystkiego raptem sześć budynków czterorodzinnych, na ugorze do odrolnienia za potężną łapówę kupił teren, odrolnił, wzniósł prawie całe dwa budynki i stanął. Zabrakło mu pieniędzy na dalszy ciąg.

Karol od początku doskonale wiedział, że mu zabraknie. Złośliwie przyglądał się, jak władze gminne kładą kanalizaję, omijając starannie Bawolca, któremu widocznie nie starczyło już na kolejną łapówkę, jak sam sobie rozjeżdża ciężkim sprzętem budowlanym jedyną drogę dojazdową, jak, również sam sobie ucina wszelką możliwość zwrotu zainwestowanych pieniędzy i grzęźnie we własnym bagnie. Nie mógł sprzedać mieszkań, dopóki nie miały kanalizacji, nie mógł położyć kanalizacji, dopóki nie wykończy wszystkich budynków, i nikt mu nie chciał zrobić utwardzonej drogi, dopóki nie położy kanalizacji. Na wykończenie budynków mu zabrakło. Błędne koło.

Było z Wolskim nie zadzierać. Na osiedlu Karola inwestycyjce ubocznej, głupi Bawolec ukradł transformator i myślał, że już jest w niebie. Karol takich rzeczy nie lubił, transformator odkupił bez problemu za nędzne piętnaście tysięcy łapówki, ale Bawolca sobie zapamiętał. Rzecz jasna, oba transformatory, i ten rąbnięty, i ten odkupiony, były własnością

Zakładu Energetycznego, ale Zakład Energetyczny też człowiek i z próżnego nie naleje. Albo trzeba go wspomóc, albo czeka się do uśmiechniętej śmierci, tak jak Bawolec na cud.

Właśnie ten cud Karol z zaciekawieniem obserwował, bo Bawolec z rozpaczy poszedł grać. Co on mógł wygrać, ten idiota, milion? Niech nawet trafia w ruletkę obstawiony numer najwyższą stawką dziesięć razy z rzędu, niech ogra wszystkie automaty, ile uzyska? Trzysta tysięcy góra, musiałby mieć ślepy fart przez dziesięć dni bez przerwy, żeby zdobyć trzy miliony, no dobrze, trzy miliony go uratują, ale jaki gracz od zarania dziejów miał taki fart przez dziesięć dni?! I to jeszcze gracz w potrzebie, nie, takiego wypadku, jak ludzkość ludzkością, nie było.

Ponadto Karol wiedział, że Bawolec ma wroga. Śmiertelnego. Na samym początku swojej budowlanej działalności, kiedy już jeden budynek stał pod dachem i trwały w nim roboty wykończeniowe, sprzedał jedno mieszkanie, najpiękniejsze, łatwowiernemu klientowi, który wyobrażał sobie, że zamieszka tam za trzy miesiące. Nie mógł zamieszkać do tej pory, co sprawiło, że razem z całą rodziną znalazł się na bruku. Swoje poprzednie mieszkanie też sprzedał, od razu, żeby mieć pieniądze dla Bawolca, i teraz z żoną w ciąży i dwojgiem dzieci gniótł się kątem u teściów. Łatwo zgadnąć, że Bawolca znienawidził żywiołowo, pieniędzy wydrzeć mu z powrotem nie mógł, bo Bawolec ich nie miał, a wszelką wiarę w jego obietnice stracił bezpowrotnie. Bawolec unikał go wszelkimi siłami, Karol zaś obserwował kontredans między nimi i bawił się świetnie.

Wciąż jeszcze Konrad nie rozumiał, dlaczego ten cholerny Wolski nie umie się zdecydować, które kasyno wybiera. Podjeżdżał i wchodził od razu. Podjeżdżał, czekał chwilę i jechał gdzie indziej. Czasami stopował dopiero przy czwartym z rzędu, bez względu na miejsca parkingowe, zresztą to go najwyraźniej nie obchodziło, parkowała mu obsługa. Co nim do licha, kierowało? Przeczucia...?

Karolem zaś, najzwyczajniej w świecie, kierował widok samochodu Bawolca.

Dla wyjaśnienia zagadki zaintrygowany do ostateczności Konrad zaczął wchodzić za nim.

Nie pożałował wysiłku dodatkowego. Nie był hazardzistą, nie opętała go ta zgubna namiętność, ale też żadna gra, jako taka, nie budziła w nim wstrętu. Był już z Karolem także na wyścigach, zmuszony okolicznościami wygrał nawet osiemdziesiąt osiem złotych netto, ale szału nie dostał. Proszę bardzo, mógł zagrać także i w kasynie, spisał na straty sto złotych i uparł się wykryć tajemnicę.

Gdyby Justynka wiedziała o jego skłonności do tego rodzaju uporu, uparłaby się z kolei spędzić z nim całe życie...

Sto złotych wcale nie poszło na marne. Nie odrywając niemal oczu od Karola i śledząc kierunek jego spojrzenia, Konrad już za drugą bytnością w jaskini kosztownej rozpusty zorientował się, iż większe zainteresowanie budzi w obiekcie gruby facet średniego wzrostu, o sprytnych oczkach z rodzaju świńskich niż efekt jego własnej gry. Przez chwilę nawet zastanawiał się, dlaczego akurat ten rodzaj oczek określany jest mianem świńskich, bo w końcu więcej sprytu przejawia, na przykład, lis niż świnia, dzięki czemu zostawił swoją wygraną na czerwonym i zyskał netto sto pięćdziesiąt złotych. Migawkowo te pięćdziesiąt postanowił poświęcić na prywatne śledztwo i wygrał jeszcze sto sześćdziesiąt. Nie o to mu akurat chodziło, ale nie poczuł się zmartwiony.

Gruby facet o sprytnych oczkach uczucia tłumił w sobie, ale dało się dostrzec rozpaczliwą zaciętość, przygnębienie, chwilami wybuchy nadziei, chciwość i szał hazardowy. Wszystko, co ma, na jedną kartę! Ściśle biorąc, na jeden numer w ruletce. Narażając się na rozbieżnego zeza i obserwując dwa obiekty równocześnie, Konrad stwierdził, że to mu, niestety, wyszło jeden jedyny raz i nigdy więcej. A właściwie dlaczego niestety, co go, do licha, ten gość obchodził?

Wolski nie silił się na ukrywanie reakcji. Z natury panował nad sobą, nie ujawniał miotających nim uczuć, o ile w ogóle jakieś nim miotały, reakcja też była zatem raczej kameralna, ale Konrad nie miał wątpliwości, iż owego grubego faceta Wolski raczej ne lubi. Nie życzy mu dobrze. I, prawdę mówiąc, dla niego tu bywa, przygląda się z wyraźną satysfakcją klęsce gościa.

Niezależnie od obowiązków służbowych, albo może dzięki nim, Konrad połapał się w rozmaitych grach znakomicie. W gruncie rzeczy najbardziej odpowiadały mu automaty, te najtańsze, bo przegranie pięćdziesięciu groszy nie pchało go do skoku z mostu Poniatowskiego i mógł, grając strasznie ślamazarnie, czynić pożądane spostrzeżenia. W głębi duszy miał chęć na ruletkę, ale prywatnie, sam dla siebie, bez żadnych Wolskich, świńskich oczek i innych podejrzanych indywiduów. Nim owe dziewięć dni przebiegło, postanowił raz jeden chociaż przyjść do kasyna sam, bez obowiązków służbowych.

Jednakże pozostawienie odłogiem Justynki przez całe dziewięć dni nie leżało w jego możliwościach. Pretekst miał...

Zważywszy, iż Justynka już drugi rok uczyła się z szalonym zapałem dla swojej osobistej przyjemności i uzyskiwała najwyższe oceny bez żadnych dodatkowych starań, na opuszczenie niektórych wykładów mogła sobie pozwalać. Obowiązkowe ćwiczenia w grupie stanowiły dla niej granit, marmur i zgoła podstawę oddychania. Resztę zajęć mogła omijać dowolnie.

Bez wielkiego żalu zrezygnowała z wykładów porannych, spotykając się z Konradem o godzinie, jak na randkę dość osobliwej, mianowicie ósmej rano. Instynkt, bez wątpienia biologiczny, podpowiedział Konradowi, jak ma całą sprawę przedstawić.

- Nie mam pojęcia - powiedziała, wysłuchawszy i marszcząc brwi, co, zdaniem Konrada, dodawało jej uroku. - Nic nie wiem o żadnym takim, którego wuj by nie lubił. Nigdy nie mówi w domu o sprawach zawodowych, a o kimś prywatnym mówiłaby ciotka. Boże jedyny...! Słuchaj, ja nigdy w życiu dotychczas z nikim o tych sprawach rodzinnych nie rozmawiałam, dlaczego ja to mówię do ciebie...?!

- Może dlatego, że przypadkiem zostałem w to wmieszany - odparł Konrad przytomnie.

- No może... Nie wiem. Że wuj grywa, to wiem raz mnie zabrał ze sobą na wyścigi, miałam wtedy siedemnaście lat, bardzo mi się to podobało, podobno wytypowałam jakiegoś konia i wuj wygrał mnóstwo pieniędzy... Ogólnie biorąc, jeżdżę konno w czasie wakacji, nad morzem jest taki ośrodek... Bez znaczenią w tej chwili. Odróżniam konia od innych stworzeń... Ale co do kasyna, nie mam pojęcia, w życiu w czymś takim nie byłam. Facet, facet... Może to wróg w interesach?

- Pytałem cię o wrogów,

- No to mówiłam, że może ich być ze stu! Ale zaraz... Jeśli wróg przegrywa... A wuj patrzy na to z satysfakcją... Słuchaj, a może to wuj jest jego wrogiem, a nie on jego... o ile rozumiesz, co mówię...?

- Nazywa się Bawolec. Odbadałem to. Coś ci to mówi?

Justynka ponownie zmarszczyła brwi, grzebiąc w pamięci i bezwiednie znów dodając sobie uroku.

- Czekaj. Słyszałam takie słowo. Niedawno, ile...? Dwa lata temu, nazwisko wpada w pamięć. Wuj coś napomknął, ciotka go zgasiła... To znaczy... Przeszła na inny temat.

Konradowi wydawało się, że zaczyna dużo rozumieć, teraz nagle zwątpił w swoje poglądy. Czy przypadkiem nie mylą go pozory i czy tu nie jest odwrotnie...?

- Ale zostało mi w pamięci wrażenie - kontynuowała Justynka. - Jakiś kretyn. Wujowi chciał zrobić koło pióra i teraz będzie miał. Koniec informacji, nic więcej.

- No to wnioskuję, że teraz ma, a twój wuj to z przyjemnością ogląda - rzekł Konrad w nieco roztargnionej zadumie. - Dziękuję ci bardzo, naprawdę rozwiązałaś mi problem. Miałem poważne obawy, ale chyba już nie muszę mieć. Dwa lata, z tego wynika, że w chwili obecnej nie mają ze sobą nic wspólnego?

- Jeśli chodzi o moją wiedzę, nic.

Przez chwilę Konrad się wahał, ale uznał, że może zaryzykować, chociaż wcale nie należało to do jego obowiązków.

- Słuchaj... jeden drobiazg. Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj. Czy twój wuj wyżej ceni pieniądze niż satysfakcję moralną, czy odwrotnie? Może wiesz?

- Nie wiem, czy wiem - odparła Justynka po długiej chwili namysłu. - Kiedyś... Ostatecznie, ja mieszkam w tym domu od prawie dwunastu lat i wydaje mi się, że nie byłam dzieckiem niedorozwiniętym. Jakoś mi się mota wrażenie...

Zamyśliła się nagle. Nigdy dotychczas nie rozważała tych kwestii, wiedziała, że ma coś swojego po rodzicach, że wujostwo zajęli się nią z dobrego serca, że wszyscy razem mają co jeść... Jakimś dochodem dysponuje i nikomu nie jest ciężarem, a reszta jej nie obchodziła. Ale przecież widziała coś, słyszła i nawet udawało jej się myśleć.

- No dobrze, powiem ci, co mi się wydaje - zdecydowała się nagle. - Może to być mylne, ostrzegam. Dawno temu dla wuja najważniejsze były pieniądze Tak mi się mota gdzieś tam. Potem chyba pieniądądze zaczął mieć i na czoło wyszła satysfakcja moralna, czy jak to nazwać... Teraz, wydaje mi się, pieniędzy ma tyle, że na satysfakcję moralną może sobie pozwalać. I rób z tym, co chcesz. Ja nie będę się wdawać w szczegóły. Nie znam się na tym i mnie to osobiście nie dotyczy.

Konrad usiłował myśleć krótko, ale nie udało mu się to i pomyślał zaledwie połowę,

- Dobra. Rozumiem częściowo. W każdym razie rozumiem to, co aktualnie na mnie spada, też korzyść...

- A właściwie co na ciebie spada? - przerwała mu podejrzliwie Justynka.

- Konieczność ochrony pana Wolskiego. Ciągle nie wiem, przed kim. Już miałem obawy, że będę musiał śledzić tego Bawolca, bo może to on się czai, ale widzę, że nie. Pozwolisz, że będę z tobą konsultował dalszy rozwój wydarzeń?

- Nie mam nic przeciwko temu.

- No, w każdym razie na piątek jesteśmy umówieni...

* * *

Malwina o bytnościach Karola w kasynach, rzecz oczywista, wiedziała. Jako klientka i zleceniodawczyni informowana była o rezultatach inwigilacji na każde życzenie, a zatem na bieżąco. Najbardziej interesował ją Pałac Kultury, bo tam przecież kiedyś coś kradli... Samochód czy coś tam. Ten pozornie kudłaty, a de facto przylizany, opowiadał jej o tym. Pałac Kultury zakodował się jej w pamięci.

Kiedy zatem na dwa dni przed brydżową kolacją, zadzwoniwszy na znajomą komórkę tak sobie, na wszelki wypadek, uzyskała od swojego informatora wiadomość, iż przed kasynem w Pałacu Kultury znów nastąpiło jakieś przerażające zamieszanie, połączone z dewastacją samochodów i fizycznym uszkodzeniem kilku osób, wszystko się w niej zatrzęsło. Wreszcie...! Może wreszcie...! Może nie będzie musiała strzelać osobiście...!

- Był tam jaguar mojego męża? - spytała chciwie.

- Był... - usłyszała w odpowiedzi i dalej rozległy się nagle jakieś przerywane skrzeki, typowe dla zaniku zasięgu. Znała je.

- Halo! - krzyknęła. - Nie słyszę! Niech pan stanie gdzie indziej!

Skrzeki czknęły jeszcze kilkakrotnie, po czym zamilkły. Malwina wypukała numer ponownie, okazał się zajęty. Z wściekłością powtórzyła operację, zabrzmiał normalny sygnał, ktoś odebrał i znów zrobiło się to samo, ten jakiś cymbał wlazł w zakamarki bez zasięgu, porozumienie było niemożliwe. Znów spróbowała.

W tym momencie do gabinetu wdarła się Helenka z gwałtownym komunikatem, że bigos przywiera i Malwina rzuciła słuchawkę. Bigos gotowała już od tygodnia, postanowiła bowiem zrobić kolację regionalną. Wiadomo, że wszyscy cudzoziemcy za najlepszą polską potrawę uważają bigos, zatem bigos musi być, i to nie byle jaki, a taki ekstra i super, w którym łyżka staje. Gęsty. Należało podgotowywać go codziennie i mieszać.

Reszta potraw mogła już być międzynarodowa a poza bigosem, na gorąco drób. Diabli wiedzą, jakiej narodowości byli owi cudzoziemcy, może mieszani może jedni do ust nie brali wieprzowiny, a drudzy w każdym kawałku wołowiny widzieli chorobę wściekłych krów, baranina wydawała się jakoś mało elegancka, zatem pozostawał tylko drób. Kurczęta z różnym nadzieniem, takim, jakiego, nie ma obawy, w życiu swoim na oczy nie widzieli i nawet nie wąchali z daleka. W tej dziedzinie Malwina czuła się na siłach zaspokoić wymagania wszystkich nacji świata.

Rzuciła się teraz do tego bigosu, ratując go przed najmniejszym cieniem przypalenia i nagle łyżka omal nie wypadła jej z ręki. Boże drogi, jeśli Karola tam uszkodzili, może ten brydż się wcale nie odbędzie? Po co ona tu leci, zamiast tam dzwonić...?!

Helenka, niestety, nastawiona na wielkie dzieło kulinarne i pełna ambicji patriotycznej, nie pozwalała jej wyjść z kuchni. Dopilnować należało wszystkiego, i kaczki, przewidzianej na zimno, w galarecie, i francuskiego ciasta, które musiało swoje odleżeć, i mielonych orzechów, które musiały przejść miodem i ziołami, i Bóg wie czego jeszcze, a wszak ten brydż to już, pojutrze!

- Pojutrze, pojutrze - sarknęła Malwina, nadsłuchując cichego posykiwania kapusty na dnie garnka - Kto go tam wie, czy on w ogóle będzie... Boże, jakie ja mam straszne życie!

Zreflektowała się, bo Helenka natychmiast okazała żywe zainteresowanie, jak nigdy, bo też nigdy nie istniała potrzeba stanąć na wysokości zadania do tego stopnia. Jej chlebodawczyni zazwyczaj wszystko udawało się samo, ale wiadomo, jak to bywa, im bardziej się człowiek stara, tym mu gorzej wychodzi. Co to znaczy, że brydż będzie albo nie będzie...?

- No właśnie - bąknęła chlebodawczyni niepewnie. - Coś tam usłyszałam, że mówili...

- Pan Karol dzwonił?

- Nie. Ale ktoś od niego. No nie wiem... Cudzoziemcy, kto ich tam wie, czy na pewno przyjadą...

- Będzie, nie będzie, najwyżej się to zje w domu. Albo pani kogo zaprosi. Wszystko takie, że nic się nie zaśmiardnie, a na wszelki wypadek wstydu sobie pani nie zrobi!

Genialne słowa Helenki tknęły Malwinę nową myślą. A niechby! Nikt nie przyjdzie, na przykład, tylko ta tłumaczka obrzydliwa, żeby o uszkodzeniu Karola , zawiadomić, nie zje, ale niech bodaj spróbuje, niech zobaczy, jak trzeba karmić jej

szefa!

Kolejna myśl, że po zejściu z tego świata Karola problem tłumaczki upadłby samodzielnie, nie znalazła już dla siebie miejsca w jej głowie. Zajęła się ostatecznym doprawieniem marynowanych fileców ze śledzi.

Jednakże owa chęć pokazania Joli miała swoją dobrą stronę. Mimo roztrzęsienia kompletnego i nowych nadziei na upragnione zajście samochodowo-bandycko-złodziejskie, pozwoliła jej wykazać się całym wrodzonym i nabytym kunsztem kulinarnym. Dopiero późnym wieczorem, już po powrocie Justynki, wróciło zdenerwowanie Karolem i mogła dopaść telefonu.

- Więc co tam było, pod tym Pałacem Kultury - spytała niecierpliwie.

Odpowiedź z drugiej strony znów uzyskała nie najlepszą. Wprawdzie nie skrzeki, ale za to charkot i strzępy słów, z których wciąż nie dawało się nic zrozumieć. Z krzykiem zażądała uściślenia wypowiedzi, na co padło tylko jedno wyraźne słowo: "...zasięgu...".

Orientowała się w osobliwych fanaberiach telefonów komórkowych. Odgadła, iż jej rozmówca uparcie przebywa w miejscu, nie sprzyjającym porozumieniu. Kretyn jakiś, wmurowali go czy co...? Zrobiło jej się, ciemno w oczach.

- Nie słyszę...! - wysyczała. Dotarły do niej kolejne strzępy.

- ...zdemolował dwa samochody, w tym jaguara... - usiłował z drugiej strony odpowiedzieć Konrad - ...niejaki Suchcik... Kilka osób brało udział w awanturze, pan Wolski wyszedł...

Za oknem błysnęły światła reflektorów i zaczęły skręcać ku bramie. Gwałtownym gestem Malwina zgasiła lampę w gabinecie, tylko tego brakowało, żeby Karol znów ją tu zastał...

- Resztę jutro! Ja zadzwonię!

Była tam jakaś awantura. Karol wyszedł. Zdemolowany jaguar...

Własnym oczom nie wierząc, przez kuchenne okno Malwina oglądała męża i pojazd w stanie idealnym, bez najmniejszego śladu jakiegokolwiek uszkodzenia. Zdążyła uświadomić sobie, że dziś niepojętego zjawiska nie wyjaśni, co to jest, że różni sobie krzywdę robią, a jemu nic?! Jakim sposobem ze wszystkie go wychodzi cało, sama przecież napuściła na niego złodziei, tylko tego płatnego zabójcy jeszcze nie znalazła , ale przecież nie zapyta go o wydarzenie, bo nie ma prawa nic o nim wiedzieć!

Karol wkroczył do domu w tak doskonałym humorze, że musiał dać mu jakieś ujście. Najpierw pogłaskał oba koty, potem gromkim okrzykiem poprosił o kolację, wreszcie wyszedł z łazienki, gdzie pogwizdywał wesoło, i usiadł przy stole.

Usiadła także Justynka.

W Malwinie wszystko się kotłowało, już otworzyła usta, żeby zadać kąśliwe pytanie, bo całe wnętrze wrzało jej niczym lawa w wulkanie, na szczęście jednak nie zdążyła.

- No i czego was uczą na tym prawie? - zwrócił się wuj do siostrzenicy. - Jak się kwalifikuje zamach na mienie dłużnika? Skuteczny.

- To zależy - odparła Justynka bez namysłu i z zaciekawieniem. - Mam oskarżać dłużnika czy zamachowca?

- A chcesz oskarżać? Nie bronić?

- Oskarżać. Nastawiam się na oskarżanie.

- Prokurator w domu. Nieźle. Możesz ich oskarać kolejno, najpierw jednego, potem drugiego. Obaj idioci, a jeden oszust. Którego wolisz na pierwszy ogień?

- Oszust stwarza większe pole do działania.

- Trafna myśl, chronologicznie był pierwszy. Czy mi się wydaje, czy w domu pachnie kapusta?

- Bigos - zdołała wtrącić Malwina. - Gdyby się okazało, że niepotrzebny, można go zjeść kiedy indziej. Myślałam...

- Nie, nie, droga żono, myśleć nie potrzebujesz. Może jestem wymagający, ale nie do tego stopnia. bigos, świetnie, z doświadczenia wiem, że twój bigos bije wszelkie rekordy i sam jestem ciekaw, jak go przyjmą obce podniebienia. Rozumiem, że to na pojutrze?

- No tak, sam przecież chciałeś...

- Ale nie ograniczasz się do bigosu? Będzie coś więcej?

- No wiesz...!

- Słusznie, niepotrzebnie pytam. Pod tym względem można mieć do ciebie nieograniczone zaufanie o ile, oczywiście, nie postanowiłaś akurat zniszczyć mi kariery. Zważywszy jednak, że wciąż jeszcze moja kariera dotyczy i ciebie...

W Justynce nagle eksplodowała straceńcza odwaga. Zuchwale przerwała wujowi.

- Wuj o karierze czy o przepisach prawnych? Bo mnie to bardzo interesuje. Prawo mam na myśli karierą zajmę się później. Może być o tym oszuście

Karolowi bardzo się to spodobało. Miał wprawdzie ochotę poznęcać się trochę nad Malwiną, bo ostatnimi laty dojadła mu ponad wszelką wytrzymałość, ale bardziej przypadła mu do gustu uciecha z rozmowy z siostrzenicą. Mógł przy tej okazji poupajać się własnymi doznaniami.

- Oszust wziął pieniądze od idioty na poczet dóbr, których mu nie dostarczył. Idiota, nie mając szans na odzysk mienia, zemścił się na oszuście, dewastując mu samochód. Obaj odnieśli obrażenia. Co prawo o tym mówi?

Justynka zażądała szczegółów, za które Malwina była jej szczerze wdzięczna. Nie musiała czekać do jutra, żeby dowiedzieć się wszystkiego o swoim kolejnym niepowodzeniu.

No oczywiście, nie jeden jaguar w Warszawie. Nieszczęśliwym przypadkiem Karol zostawił swojego w pewnym oddaleniu, a obok samochodu Bawolca stał cudzy, własność jakiegoś całkowicie niewinnego człowieka, i dewastujący Suchcik obtłukł go po prostu w wyniku zbytniego rozmachania. Wieść o wojnie na pojazdy w mgnieniu oka dotarła na dół, do kasyna, skąd w pośpiechu wybiegli zainteresowani. Karol też wyszedł, dlaczego nie, ujrzawszy jednak miejsce walki, żadnego niepokoju nie doznał. Poprzyglądał się tylko pewnego oddalenia, pełen głębokiej satysfakcji, doczekał chwili przyjazdu policji i beztrosko wrócił do gry

Justynka wdała się w temat z wielkim zapałem. Jej osobistym zdaniem, wierzyciel powinien mieć prawo wydarcia swojego mienia z rąk nierzetelnego dłużnika chociażby nawet siłą, paragrafy kodeksu jednakże traktowały to nieco inaczej i do nich, niestety, należało się stosować. Ponadto dewastacja pojazdu mijała się z celem, wierzyciel żadnej korzyści nie odniósł. Gdyby jednak miała oskarżać, wolałaby oskarżać dłużnika, po drugiej stronie bowiem, tej pierwotnie pokrzywdzonej, istniały zbyt wielkie okoliczności łagodzące i dobry obrońca położyłby ją na obie łopatki. Karol występował w obu rolach na zmianę i bawił się świetnie.

Cała ta część rozmowy przy stole do Malwiny w ogóle nie dotarła. Zajęta bez reszty dwoma problemami, w jednej czwartej spożywczym, w trzech czwartych przestępczym, nie odezwała się ani jednym słowem, dzięki czemu cały wieczór upłynął w przyjemnej atmosferze.

* * *

Piątkowego wieczoru Justynka doszła do wniosku, że właściwie źle zrobiła, umawiając się z Konradem. Należało raczej

potajemnie zostać w domu i trzymać rękę na pulsie sytuacji, podglądając z góry, co się dzieje na dole. Obecność Joli mogła spowodować , kataklizm nie do przewidzenia, nad reakcjami ciotki ktoś powinien czuwać, poza tym sama była ciekawa, jak się ta siostra Konrada zachowa. Polubiła ją w zasadzie, czy może znalazła się na skraju polubienia, i wolałaby się nie rozczarować. Gotowa już była zadzwonić do Konrada i odwołać spotkanie, ale nic z tego nic wyszło, Malwina bowiem dopilnowała pozbycia się siostrzenicy. Pożyczyła jej nawet własny naszyjnik na te tam jakieś urodziny koleżanki i z niezwykłą troska zadbała o punktualne wyruszenie w świat.

Justynka nie zdołała uczynić nic innego, jak tylko pozostawić uchylone okno w jednym z pokoi gościnnych. To obok kraty dzikiego wina. Droga zaledwie średnio karkołomna i w pełni możliwa do pokonania.

Karol już był obecny. Ocenił przygotowania, powęszył w kierunku kuchni, obojętnie rzucił okiem na wychodzącą Justynkę i zajął się sobą.

Skoro był Karol, w pobliżu znalazł się i Konrad, właśnie zastąpiony przez zmiennika. Justynka wsiadła do samochodu.

- Mam złe przeczucia - oznajmiła ponuro na wstępie. - Lepiej byłoby zostać w domu. Ciotka jest jakaś taka napęczniała i wcale nie wiem, czy nie zrobi afrontu twojej siostrze. Powinnam chyba wrócić ukradkiem.

- Primo, Jolka wytrzyma, nie ma obawy - odparł stanowczo Konrad, ruszając od razu, żeby nie zostawiać jej czasu na głupie wahania. - A secundo, ukradkiem, to znaczy jak?

- Przez okno. Od tyłu. Zostawiłam uchylone.

- Sprawa do rozważenia. W razie potrzeby możemy wrócić w każdej chwili. Zakotwiczymy w Wilanowie, będzie blisko.

- No dobrze. Na razie chyba jeszcze nic się nie dzieje...

Rozmiary salonu Wolskich pozwalały na stworzenie w nim rozmaitych zakątków. Dwa stoliki do brydża razem z całym oprzyrządowaniem dodatkowym ginęły w nim prawie i zostawiały mnóstwo miejsca dla chwilowej izolacji, poufnych rozmów, spacerów i wszelkich innych zajęć. Estetyka całej reszty nie pozostawiała nic do życzenia.

Jako pierwsza, zgodnie z umową, przybyła Jola, przywożąc ze sobą dwóch Duńczyków. W kilka minut później przyjechał Szwed, a zaraz za nim reszta towarzystwa. Ostatni pojawił się Amerykanin, co nie miało żadnego znaczenia, bo wszyscy byli punktualni, tyle że Amerykanin potknął się o Pufcię, która okazała nadzwyczajne zainteresowanie jego butami. Na szczęście od razu wyszło na jaw, że bardzo lubi koty.

Malwinie, zrobionej na wielki dzwon, rzecz oczywista, wszyscy zostali przedstawieni, Karol zachował się elegancko. Wyjaśnił zarazem, że żona nie gra, języki zna niewłaściwe, francuski i rosyjski, udziału w imprezie zatem nie bierze. Nikt się temu zbytnio nie sprzeciwiał.

Od początku zostało wyraźnie powiedziane, iż ma to być brydż ostry i na wysokim poziomie, drinki i maciupeńkie zakąseczki do użytku dowolnego, porozstawiane wygodnie, wobec czego bez żadnych dalszych korowodów pociągnięto karty i zajęto miejsca przy stolikach. Pierwszą wychodzącą była Jola, która z promiennym uśmiechem natychmiast weszła w rolę dyskretnego kibica.

Podglądając z kuchni, Malwina nie odrywała od niej chciwego oka. Wstrętna suka. Piękna, szczupła, a nie koścista, że też nie wpadła w anoreksję! Do tych wszystkich pacanów odnosiła się z jakimś tajemniczym jakby szacunkiem, zarazem trochę kokieteryjnie czy jak...? Coś takiego mieszanego stosowała, obcego Malwinie, ale najwyraźniej w świecie atrakcyjnego dla kretynów płci męskiej, ponadto rozmawiała z nimi ze swobodą bezgraniczną, jakim cudem zwyczajna ludzka istota może tak znać języki obce. A może Malwina też by je tak znała, gdyby jej się chciało?

Gdzieś na samym dnie duszy, a możliwe, i umysłu, błysnęła jej maleńka iskierka na tle "chciało". No pewnie, że jej się nie chciało, niby dlaczego miałoby się jej chcieć? Ale może... może powinno było...? Może warto było...?

Iskierka zgasła w mgnieniu oka, bo przekonanie, że nie musi jej się nic chcieć, było zbyt głęboko zakorzenione. Malwina sama, jako taka, miała z natury wszelkie prawa i te prawa nie miały prawa być kwestionowane! Ponadto wątpliwość, czy istotnie samo chcenie wystarczyłoby do osiągnięcia takiej doskonałości, była zbyt obrzydliwa, żeby pozwalać jej się, pojawiać.

Jola miała w głowie rozum, którego dostarczyło jej życie. Malwinę rozgryzła od pierwszego spojrzenia i pierwszego słowa. Drgnęło w niej współczucie i jakiś rodzaj solidarności płci, wsparty poczuciem estetyki. Boże drogi, co ta baba z siebie zrobiła! Głupia musi być dennie, ale mogłaby przecież jeszcze jako wyglądać, musiała być kiedyś bardzo ładna, sadło zabiło urodę, co z niej zostało? Co tego Wolskiego, jeszcze przy niej trzyma?!

Od brydża oderwać się nie mogła, bo każdy rozkładający się korzystał, żeby z nią rozmawiać, szeptem. czyniąc uwagi na temat rozgrywki partnera. Wtrącanie się było niedopuszczalne. W obliczu dwóch stolików leżało na stole zawsze dwóch, miała pełne ręce roboty.

Dopiero kiedy Karol zarządził kolację, mogła oderwać się na moment i dyplomatycznie skierować w stronę kuchni. Pamiętna obietnicy złożonej Justynce, weszła tam z determinacją.

- Boże jedyny, co tak pachnie? - spytała zachwyconym szeptem. - Pan Wolski uprzedzał, że te dzikie zwierzęta trzeba nakarmić, ale pani tu ma jakieś niebiańskie wonie. Przepraszam, że taka nachalna jestem, ale muszę ich oswajać, a widzę, że pani w tym pomaga bezgranicznie! W życiu bym tak nie potrafiła!

- O, zwykła kolacja - odparła Malwina sztywno. - Normalna sprawa, u mnie zawsze tak się gotuje.

- Szczęście, że sami mężczyźni. Kobiety by panią opadły jak szerszenie. Każda by się pchała do przepisów.

Malwina nie była w stanie całkowicie stłumić miotających nią uczuć.

- Pani chyba ciągle wśród mężczyzn?

- Przeważnie. Ale różnie bywa. Pan Wolski miał genialny pomysł, nakarmić kontrahentów. Po tym czymś, co czuję, będą mu jedli z ręki. Nawet nie wiem, co to jest, ale pachnie wstrząsająco. Przepraszam, muszę tam lecieć, niektórzy nie mają wspólnego języka.

Tyle udało jej się zdziałać na wstępie. W wyrazie twarzy pani domu pojawiły się mieszane uczucia i Jola miała wielkie nadzieje, że zdołała rozpocząć proces jej łagodzenia. Usiadła przy stole.

Z wielką przyjemnością Karol stwierdzał rosnącą przyjaźń swoich gości. Jola i żarcie, razem wzięte, najwyraźniej w świecie ruszały wodą na jego młyn.

Przy bigosie rozanielili się wszyscy, przy kurczętach z rozmaitym nadzieniem zapomnieli o świecie. Malwina musiała to wszystko robić w natchnieniu, nie zawiodła go, Jola stała na wysokości zadania w swojej dziedzinie, błyskotliwość, subtelne aluzje, rany boskie, ta dziewczyna znała świetnie nawet idiomy amerykańskie, opętała tego głupka bez reszty! Zaraz... Ale kuchnia...?

- Nie mam pojęcia - przyznawała się Jola promiennie. - Sądzę, że jakiś drób? Nadzienie...? Skąd nie wiem z czego, ale znakomite, prawda? Ach nie, do takich rzeczy trzeba mieć talent, ja mam talent wyłącznie do usmażenia jajecznicy...

Zważywszy wszechstronność umysłu, Karol zdołał rozważyć przydatność Joli do codziennego żywienia. Jajecznica... Na śniadanie, obiad i kolację. Załóżmy, że zamieniłby Malwinę na Jolę, musiałby chyba jadać po knajpach, a żadna knajpa na świecie nie potrafiłaby przyrządzić takiej potrawy jak jego żona. Tego amerykańskiego cepa ugniecie sobie teraz w ręku jak plastelinę, bez najmniejszego trudu skłoni go do rezygnacji z kontraktu!

Malwina, rzecz jasna, podsłuchiwała, z czego jej absolutnie nic nie przyszło, bo przy stole nie padło ani jedno polskie

słowo. Widziała jednakże wyraz twarzy męża i powolutku w jej duszy zaczynał rosnąć triumf. Proszę, proszę, spojrzał raz na tę Jolę tak, że coś jej się powinno zrobić... Ale zaraz potem spojrzał z uznaniem, co też ta suka takiego powiedziała...? Potem znów jakby szybko zmienił temat, a Jola okazała skruchę i zakłopotanie. Ejże, chyba ona nie umie gotować?

Jola ostatecznie zrozumiała wszystko i znalazła kolejną chwilę.

- Dziękuję pani - wyszeptała z ognistą wdzięcznością. - Teraz nareszcie wiem, co mojemu szefowi potrzebne jest do szczęścia. A dobry nastrój przysparza mu natchnienia w interesach. Ten złośliwy podlec mu chyba ulegnie...

I w tym miejscu popełniła potworny błąd, ponieważ Malwina odebrała całą wypowiedź dokładnie odwrotnie i całe wnętrze stanęło jej w ogniu. Ach, więc jest tu jakiś złośliwy podlec, któremu Karol stoi ością w gardle! A ta dziwa wstrętna chce jej Karola odebrać i bezczelnie jeszcze dziękuje za wskazówki, jak ma to zrobić! Zatem jedyna okazja i ostatnia chwila, a podejrzenie padnie na złośliwego podleca.

Sery, kawę i koniak podała Helenka, chwilę przed czym Malwina stwierdziła, że bardzo źle się czuje i musi się położyć. Skryła się w sypialni.

Nabyty na bazarze pistolet tuż przed przyjęciem ukryła w komodzie. Wydobyła go teraz. Towarzystwo brydżowe, nażarte do wypęku, przed powrotem do gry rozlazło się po salonie i tarasie, piękna, wiosenna noc zachęcała do zażycia świeżego powietrza, które jakoś ułatwiało trawienie. Rozmawiali małymi grupkami, tu dwie osoby, tam trzy... Blask z wielkich okien salonu i jedna lampa zewnętrzna w postaci ogromnej kuli pod dachem oświetlały ograniczony kawałek terenu, właściwie sam taras tylko, poza którym panowała głęboka ciemność.

Dokładnie tę samą chwilę kilka osób wybrało dla siebie.

Justynka, którą w końcu oderwał od Konrada niepokój o ciotkę, usłyszawszy dość, żeby sobie wydedukować przerażającą resztę, znalazła się właśnie tuż za narożnikiem budynku, przy gęsto obrośniętej dzikim winem kracie, pod uchylonym oknem pokoju gościnnego. Zamierzała wdrapać się na górę po tym solidnym ruszcie, co nie przedstawiało dla niej przesadnie wielkich trudności. Niejeden raz już wybierała sobie taką drogę do domu z rozmaitych przyczyn, szczególnie w niezbyt dawnych czasach, kiedy jeszcze ciotka kultywowała obowiązki wychowawcze, nader dziwnie pojmowane.

Światło nad tarasem jej nie przeszkadzało, spodziewała się iluminacji w czasie przyjęcia, miała jednakże nadzieję, że goście będą siedzieli w środku, zajęci grą. Tymczasem pętali się na zewnątrz, zawahała się więc przez chwilę, skryta za zwałem zieleni.

Szwed od początku usiłował podrywać Jolę. Szło mu jak z kamienia. Wymyślił sobie właśnie, że bodaj na chwilę odciągnie ją na skraj cienia i wymieni parę prywatnych słów, a może nawet i karesów. Jola stawiła dyplomatyczny opór, zastygli zatem w połowicznej ciemności, niczym ozdobna rzeźba w ogrodzie, prawie niewidoczni na tle krzewów.

Karol również skorzystał z okazji, na którą czyhał przez pół wieczoru. Po wygranym ostatnim robrze i niebiańskim posiłku Amerykanin był rozanielony i miał wręcz obowiązek zmiękнąć w interesach, a od niego właśnie zależał ów tak gorąco upragniony kontrakcik. Urobieni już Niemcy i Duńczyk konferowali na korzyść Wolskiego w drugim końcu tarasu, niemal poza kręgiem światła, Karolowi pozostał tylko ten cep, który powinien obiecać rezygnację za maleńką nawet nie prowizję, a wręcz prowizyjkę. Jedyny wróg. No, może nie tyle wróg, ile konkurent.

Nie mając najmniejszego pojęcia, iż złośliwym podlecem, na którego należałoby zwalić winę za zbrodnię, jest akurat rozmówca jej męża, Malwina z bronią palną w dłoni przekradła się na taras ścieżką dookoła budynku. Sprzątająca w jadalni Helenka nie widziała jej wyjścia frontem, mogła przysięgać, że pani domu, wyczerpana nadludzkimi wysiłkami, odpoczywa w sypialni, niezdolna do żadnego ruchu. Pani domu zaś zastygła na skraju tarasu, wpatrzona w głowę męża, świetnie widoczną na tle lampy.

Obmyśliła sobie wszystko doskonale. Rąbnie, zabije Karola i ucieknie. Na krótką chwilę schowa się w żywopłocie od strony parkingu. Nastąpi straszne zamieszanie, Helenka też poleci na taras, Malwina wkradnie się szybko do sypialni i uda, że właśnie wybiega z niej z krzykiem przerażenia. Zanim przyjedzie policja, zdąży wytrzeć to kopyto i wyrzucić, a miejsce ma upatrzone. Oczko wodne sąsiada z drugiej strony, tuż przy ogrodzeniu, zaniedbane, rzęsą porosłe, tylko przez żywopłot przerzucić i chlup. Śladów nie będzie, pies nie wywęszy...

W mężowską głowę wpatrzona była tak, że nie widziała wokół nikogo innego. Błysnęła jej myśl, że bardzo dobrze, rozleźli się gdzieś, nikt nie znajdzie dla siebie alibi. Ponadto ma jeden strzał, musi być skuteczny, wobec tego tylko w głowę, żadnych kadłubów, diabli wiedzą co można uszkodzić w kadłubie, jakieś tam żebra, płuco, śledzionę... Wielkie mecyje, śledziona!

Uniosła broń i wycelowała porządnie.

- Okej - ugiął się Amerykanin. - Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem...

Potężny strumień wody z szumiącym świstem śmignął tuż obok nich i zlał się w jedno z przeraźliwym hukiem pękającej lampy. Błysnęło oślepiająco i grzmotnęło jak wybuch bomby. W zapadłej nagle ciemności na wszystkie strony prysnęły drobne, ale obfite okruchy szkła. Okrzyki ludzkie zabrzmiały z lekkim opóźnieniem, za to potrwały znacznie dłużej.

Wywaliło, rzecz jasna, bezpieczniki, Karol jednak że miał w domu nader przemyślne instalacje, zgasł zatem tylko salon, biblioteka, sypialnia i łazienka. W holu i w kuchni nadal paliło się światło i zamarła z przerażenia Helenka wszystko wokół siebie widziała doskonale. Szczęśliwym trafem nie trzymała nic w rękach i nie przyczyniła żadnych szkód, osunęła; tylko na stołek w chwilowym bezwładzie, kurczowo chwyciwszy dłonią krawędź kuchennego bufetu.

Po drugiej stronie domu zapanowały ciemności i rozlegały się rozmaite okrzyki, ale Helenka zareagować nie była w stanie. Oszołomiony w pierwszym momęcie Karol, nie pojmując jeszcze, co właściwie nastąpiło, oślepiony błyskiem, obryzgany wodą, obsypany drobinami szkła, w pierwszym rzucie pomyślał o rozjaśnieniu sytuacji w dosłownym tego określenia znaczeniu. Drgnęło w nim wykształcenie budowlane, bez zastanowienia rzucił się w kierunku jaśniejszej części domu, odnalazł szafkę z bezpiecznikami, wcisnął właściwy guzik. Światło w zaciemnionych pomieszczeniach wróciło, blask z salonu padł na taras.

Chwilę wcześniej znieruchomiałej Helence wydało się, że widzi ludzką postać, przemykającą się na tyły domu. Faktu, że owa ludzka postać nader zręcznie przelazła przez ogrodzenie, nie zdołała stwierdzić

Konrad rozstał się z Justynką bardzo niechętnie ulegając jej zdenerwowaniu, patrzył za nią, kiedy okrążała budynek, i nie odjeżdżał. Zgasił nawet silnik, tkwiąc tak w bezruchu, z otwartym oknem, smętnie myśląc, że coś tam się może okazać takiego, że Justynka wróci. Zażąda pomocy albo co. I wtedy on się przyda. Ściśle biorąc, nadziejami niejako służbowymi usiłował oszukać swoje nadzieje prywatne

Błysk za domem dostrzegł i wybuch usłyszał. W dziesięć sekund później zobaczyła go Helenka, bo jasne przecież, że nie mógł tej eksplozji pozostawić bez wyjaśnienia. Justynka tam była!

Popędził tą samą drogą, co i ona, i wpadł na nią przy narożniku budynku. Oszołomiona Justynka, której daleka mignął w oczach srebrzysty strumień, zamarła uczepiona grubej łodygi dzikiego wina, z nogą na listwie kraty, nie mając pojęcia, co się właściwie stało. Dostrzegła przedtem jakąś sylwetkę w bujnym krzaku jaśminu, domyśliła się ciotki po srebrnych iskierkach na czarnej sukni, nikt inny podobnego stroju na sobie nie miał, ale cóż, na miły Bóg, mogło ją łączyć z rozwalaniem lampy?! Chociaż ta jakaś smuga poleciała jakby od niej...

Widok nie był wyraźny i gdyby Malwina wymknęła się tak, jak zakradła, po czym wyszła z wnętrza domu, obecności w

ogrodzie bez trudu zdołałaby się wyprzeć. Skutki strzału jednakże otumaniły ją doszczętnie i nadal trwała w bezruchu, niezdolna do niczego. Powolutku ogarniała ją jakaś okropna słabość, dzięki czemu pistolet wysunął się jej z ręki i brzęknął głucho na tarasowych płytkach. Nie mogła go podnieść, nie mogła się w ogóle schylić, ponieważ zdecydowanie za ciasna suknia trzymała ją niczym w kleszczach.

Karol miał doskonały słuch, wybiegł właśnie z powrotem na taras, usłyszał brzęk, obejrzał się, ujrzał znieruchomiałą w jaśminie postać żony. Z wysiłkiem opanował wybuch wściekłości, ruszył ku niej. Obejrzeli się za nim wszyscy goście, już zgromadzeni w wejściu do salonu, żywo komentujący niemiły wypadek i usiłujący składać panu domu wyrazy współczucia w rozmaitych językach.

Światło z wnętrza budynku pozwalało coś nieco widzieć, Karol schylił się i podniósł potężną machinę o morderczym obliczu. Obejrzał ją.

- Czyśśśś już do reszty zwariowała? - zwrócił się do Malwiny straszliwym, syczącym szeptem - Co to ma znaczyć?

Ze strachu Malwina doznała przypływu inwencj

- Ja... ja chciałam... wystrzelić... taki fajerwerk, żeby upiększyć... twoje przyjęcie... Niespodziankę.

- A, niespodziankę. Istotnie, niespodzianka ci się, udała. Z tego chciałaś wystrzelić? To ma być rakietnica?

Potrząsnął bronią. Malwina postanowiła trzymać się fajerwerku do upadłego. Oczy już miała pełne łez ale co ją to obchodziło, niechby płynęły strumieniami, kosmetyków używała doskonałych.

- A nie...? Myślałam, że tak... Kazałam nabić takim pięknym...

- Skąd to masz?

- Z... z... z bazaru...

- Boże, miej litość nade mną...

Zabrakło mu słów. Wybryk żony był tak przeraźliwy, że aż śmieszny. Zanim się zdążył opamiętać, powiedział o nim gościom.

Pierwszy zachichotał Amerykanin. Po nim prychnęła Jola, potem już grzmot ogólnej wesołości rozległ się nad ogrodem. Wbrew wszelkim spodziewaniom incydent rozpromienił atmosferę, dalszy ciąg brydża nabrał wręcz frywolnego nastroju. Najwyraźniej w świecie wszyscy groźni konkurenci Karoa poczuli się nie tylko doskonale nakarmieni, ale też równie doskonale rozbawieni, Amerykanin wyraził zgodę na propozycje kontraktowe bez żadnych zastrzeżeń, zapomniawszy o swoim warunku, Szwed odczepił się od podrywania Joli, Karol pomyślał, że sam, choćby stanął na głowie, nie osiągnąłby takich rezultatów.

Justynka z Konradem przeczekali w dzikim winie całą awanturę. Obydwoje dostrzegli przedmiot podniesiony przez Karola spod stóp Malwiny i obydwoje przerazili się śmiertelnie, przy czym Konrad poczuł się doszczętnie skołowany. Wszystko, co do tej pory słyszał, czego się kolejno dowiadywał i co zrozumiał, najpierw nasunęło mu myśl, że pani Wolska szuka dróg pozbycia się męża, potem zmienił zdanie, bo to raczej Wolski powinien mieć chęć pozbyć się żony, żona zaś czyniła te różne sztuki, żeby się zabezpieczyć, teraz znów mu się odwróciło do góry nogami. Kto tu kogo...?

Justynka miała podejrzenia trafne, chociaż myliły ją trochę upór ciotki w kwestii trzymania się męża i jej próby tłumienia własnego charakteru. Nieudolne, ale jednak podejmowane. Ponadto pomysł, że w tak przedziwny sposób Malwina próbuje usunąć męża ze swojego życiorysu, wydawał się zbyt kretyński, żeby weń można było uwierzyć.

- Co to było, to, co ciotka miała? - wyszeptała Justynka. - Wyglądało jak pistolet.

- Zgadza się - odszepnął Konrad. - Pistolet na wodę, ale nie zabawka. Robią takie rzeczy do celów filmowych i tak dalej. Wali z cholerną siłą.

- I skąd się to bierze?

- Różnie. Twoja ciotka chyba na bazarze znalazła.

- I myślała, że to rakietnica?

- Bóg raczy wiedzieć, co myślała, ale że ją wykantowali, to pewne. Nie zamierzała przecież tłuc lampy.

- Tylko co? Puścić rakietę? Prosto w ścianę domu? I sfajczyć całą chałupę?

- Widzisz jakieś sensowne wytłumaczenie?

- Żadnego - stwierdziła szeptem Justynka po krótkiej chwili namysłu. - I w ogóle nie wiem, co teraz zrobić. Tym bardziej chyba nie powinno się jej samej zostawiać. Trudno, wejdę tędy.

- Utrzyma cię? - zaniepokoił się Konrad, spoglądając w górę i próbując potrząsnąć obrośniętą kratą.

- Nie ma obawy, milion razy wchodziłam. A to wino, zobacz jakie. Żeby człowiek chciał zlecieć, to nie da rady. Zaraz, a ty którędy wszedłeś? Furtkę, zdaje się, zatrzasnęłam?

- Po murku przy bramie. Drobiazg. I tak samo wyjdę, tam jest ciemno, drzewo latarnię zasłania.

- To nie tak - zarządziła Justynka po kolejnym namyśle. - Helenka cię zobaczy, a nawet i ciotka. Idź z tamtej strony i przeleź na parking. Przy naszym słupku ci się uda.

- Nawet i bez słupka... Dobra, zostawiam cię niechętnie. Spotkajmy się jutro, bo mam wrażenie, że trzeba się poważnie zastanowić. Czekaj, nie wiem kiedy... Wieczorem. Po ósmej. Tu podjadę...

Justynka kiwnęła mu głową i ruszyła w górę po kracie. Bez trudu dotarła do uchylonego okna gościnnego pokoju i zniknęła w środku. Konrad kiwnął głową sam do siebie i znikł w stronie parkingu.

Helenka w kuchni cierpiała katusze, nie mając żadnych szans dowiedzieć się, co właściwie nastąpiło po drugiej stronie domu. Podglądając ostrożnie, stwierdziła, że wszyscy są żywi i w szampańskim humorze wrócili do tego brydża, z którego nie wynosiła żadnych korzyści osobistych, bo uwagi czynili w obcych językach. Dom się nie walił, sufit nie pękał. Malwina zamknęła się w sypialni i okropny wybuch wciąż nie był wyjaśniony.

Wyzbywszy się odrętwienia, Helenka przekradła się pod oknem gabinetu Karola i zajrzała na taras. Panowały tam ciemności, rozświetlone tylko blaskiem z salonu, pod nogami zazgrzytało jej szkło, obejrzała ścianę i odgadła. Wielka, kulista lampa z potężną żarową w środku nie istniała.

Bardzo rozsądnie Helenka pomyślała, że widocznie żarówka przegrzała klosz, pękło wszystko, zjawisko, jako takie, było jej znane, posprząta tu jutro, kiedy będzie jasno, a nie teraz, kiedy po kątach nic nie widać, po czym, uspokojona, wróciła do kuchni.

Justynka w swoim pokoju przeczekiwała cierpliwie rozrywki na dole, co jakiś czas podsłuchując ze schodów, w jakiej fazie jest brydż, co przychodziło jej z łatwością, bo grać potrafiła i język angielski znała. Nie tak jak Jola, ale zawsze... W końcu poczuła się potwornie głodna i jęła przemyśliwać nad ponownym zużytkowaniem kraty z dzikim winem, żeby dostać się do kuchni normalną drogą i coś zjeść. Rosnący głód przeszkadzał jej w rozważaniu osobliwego szaleństwa ciotki. Przeszkadzał także zastanowić się nad Konradem i rozwojem znajomości, o ile to można było nazwać wyłącznie znajomością...

Już wyruszyła do narożnego pokoju, ale jeszcze raz wytknęła głowę nad balustradę schodów i zorientowała się, że ostatni rober właśnie został ukończony. Brydżyści zaczęli się między sobą rozliczać. Wyglądało na to, że zaraz pójdą, no dobrze, tyle jeszcze mogła poczekać.

Wesoły wieczór zakończył się dobrze po północy i wtedy dopiero Karol przystąpił do wnikliwego śledztwa. Malwina, rzecz jasna, jeszcze nie spała, żegnała gości odświeżona, miłym uśmiechem przyjmując niezrozumiałe komplementy. W głębi

duszy była wściekła szaleńczo i równie przerażona. I skrzywdzona. Śmiertelnie skrzywdzona tym czymś potwornym, co ją, nie wiadomo dlaczego, spotkało.

Ku jej zaskoczeniu Karol nie syczał już i nie szeptał.

- Rozumiem - powiedział sucho, kiedy zostali sami. - Chciałaś wystrzelić fajerwerk. Mogę wiedzieć, dlaczego celowałaś w lampę?

- Wcale nie celowałam w lampę! - zaprotestowała Malwina energicznie, acz łzawo, mówiąc przy tym najświętszą prawdę. Nie celowała w lampę, tylko w głowę Karola.

- A gdzie celowałaś?

- Tak w górę. W niebo.

- Interesujące. Nie wiedziałem dotychczas, że niebo znajduje się na naszym dachu. Nie przypuszczałem także, że podobna głupota jest w ogóle możliwa. Muszę przyznać, że udało ci się mnie zadziwić,

Najchętniej Malwina obraziłaby się i zamilkła, nie rozmawiając z nim potem co najmniej przez tydzień, tak jak czyniła przez wszystkie minione lata. Nie mogła. Teraz nie mogła. Teraz musiała okazać skruchę i coś tam jeszcze w ramach tej odżyłej wielkiej miłości i w pragnieniu dogodzenia zachciankom męża. Do takich upokorzeń stanowczo nie była przyzwyczajona, ale skoro koniecznie musi go zabić...

- Widziałam, że ci zależy, i chciałam tak... no, chciałam to upiększyć - rzekła tonem urażonym, bo na przyjemniejszy nie umiała się zdobyć. - Nawet jak się człowiek stara...

- Następnym razem zrezygnuj z niespodzianek I uprzedź mnie o swoich staraniach. Wolałbym nie rozgłaszać po całym świecie, że mam żonę idiotkę.

- Nie musisz... - zaczęła z gniewem Malwina i już wyrywało się jej z ust następne arcydzieło, mianowicie propozycja oderwania się od idiotki, porzucenia jej i rozwodu. Nie wytrzymała w roli skruszonej miłośnicy.

W tym miejscu jednak wkroczyła Justynka.

Doczekawszy się wreszcie wolnej drogi, ruszając już w dół po schodach, stała się świadkiem początków rozmowy wuja z ciotką. Też zdumiona jego łagodnością, bo właściwie wuj powinien był ciotkę udusić, zaniepokoiła się rychło. Ton ciotki wskazywał, że lada chwila nastąpi jakieś kretyństwo, nieszczęście, straszliwe i nieodwracalne, nie dość jej było tego wygłupu, to jeszcze teraz zwali sobie i w ogóle wszystkim na głowę ruinę życia!

Zareagowała w połowie schodów.

- Czy oni zeżarli wszystko, czy jeszcze coś zostało? - spytała znacznie potężniej niż miała zamiar, co sprawiło, że ciotka z wujem zamarli na moment z otwartymi ustami. Takich ryków Justynka nigdy dotychczas z siebie nie wydawała. - Jestem głodna jak dzikie zwierzę, czy mogę coś zjeść?

Zbiegła na dół, uniemożliwiając Malwinie dokończenie zdania. Z kuchni wyjrzała zaskoczona nieco Helenka.

- A cóż to za przyjęcie było, że nic na nim Justynce do jedzenia nie dali? - spytała ze zgorszeniem.

- Nie było jadalne, tylko taneczne. Gimnastyka działa na apetyt. Jest coś? Zgłodniałam okropnie!

- Być to jest. Wszystkiemu nie dali rady, chociaż starali się, jak rzadko. A tu lampa się stłukła, z takim hukiem pękła, że to na serce umrzeć można.

Justynka zatrzymała się na drodze do kuchni. Teraz już mogła jawnie zainteresować się tematem.

- Lampa? - zdziwiła się. - Która lampa? Co się stało?

- Twoja ciotka postanowiła uszczęśliwić wszystkich fajerwerkami - odparł wuj kąśliwie.

Symulacja oburzenia i wyrzutu przyszła Justynce bez trudu.

- Fajerwerki? Ciociu! Beze mnie...?! Przecież ja to uwielbiam!

Malwina nie znalazła innego wyjścia, jak tylko krótki szloch, po czym uciekła do sypialni. Karol został z kopytem w dłoni.

- Miała to być urocza niespodzianka. Wiesz coś na ten temat?

- Nic nie wiem. Co to jest? Rakietnica?

- O ile zdołałem się zorientować, pistolet na wodę. Wyjątkowy okaz. Ciekawe, ile za to zapłaciła. Nie miałaś żadnych złych przeczuć?

- Nie i nic nie rozumiem. A, rozumiem! Wodą ciocia trafiła w lampę?

Karol wzruszył ramionami. Właściwie miał już dość tematu i wygłupu żony, chociaż w ostatecznym rezultacie idiotyzm obrócił się na dobre. Nie chciało mu się teraz awanturować, pomyślał, że zje coś malutkiego w towarzystwie Justynki i najzwyczajniej w świecie pójdzie spać. Zaniósł pistolet do gabinetu.

Helenka dzieliła się wrażeniami, twierdząc, że w żaden sposób teraz nie zaśnie i może coś podać. Z przejęcia stała się gadatliwa. Co tam było z tyłu, nic nie wie, tylko ten wybuch okropny usłyszała, ale za to z przodu, tak jej się widzi, ktoś przez ogród przeleciał. A i to nie jest pewne, bo jakoś jej mignął koło drzewa i nic więcej, więc może nawet i nie przeleciał. Potem dopiero tam poszła...

Powrót Karola do stołu uciął jej relację w pół słowa.

- Trzeba to jutro naprawić - oznajmił pan domu w przestrzeń i zajął się posiłkiem. Ani Justynka, ani Helenka nie zgłosiły żadnego sprzeciwu.

* * *

Mimo zagrożenia egzaminami, Justynka rzuciła studia na pastwę losu przynajmniej na pół dnia. Zamiast się uczyć, większość soboty poświęciła rozmyślaniom.

Konrad usiłował doprowadzić do końca swoją pracę magisterską, ale rezultat był pożałowania godzien, aczkolwiek czasu miał dużo. Do drugiej ten cholerny Wolski siedział w domu i nic się nie działo, Konrad mógł myśleć, pisać, porządkować notatki, no i co z tego? Kwestia wpływu substancji roślinnych na stan zdrowia niektórych owadów, dotychczas nader interesująca, teraz jakoś umykała jego uwadze, w żaden sposób nie mógł się zdobyć na osobisty stosunek do mszyc, korników i trucizny wydzielanej przez pokrzywy, ponieważ w głowie miał wyłącznie istoty ludzkie, Justynkę. Wolskiego i jego żonę. Przebijali mszyce w sposób tak różny, że nawet Einstein mógłby od tego zwariować.

Niecierpliwie czekał na spotkanie z Justynka i prawie nie zwracał uwagi na poczynania swojego podopiecznego. Owszem, odprowadził go na wyścigi, wszedł zanim, stał się świadkiem jego wygranej, sam też wygrał, tyle że bez porównania mniej, po czym zostawił go w loży dyrekcji upchniętego w fotelu i wyszedł na zewnątrz, na parking. Wiedział, że do końca gonitwy, która się w ogóle jeszcze nawet nie zaczęła, Wolski z fotela nie wylezie.

Bez żadnych racjonalnych powodów rzucił okien w kierunku samochodów. W zasadzie nie obchodziły go wcale, bo nie pojazdu miał pilnować, tylko człowieka, ale coś go nagle tknęło. Przed jaguarem Wolskiego stali trzej faceci i prztykali pilotem, tak jakby im coś nawalało w elektronice toyoty, zaparkowanej tuż obok. Męczyli się i próbowali, zmieniali piloty, używając kolejno trzech, bez skutku.

Tknięty głosem wewnętrznym, Konrad najpierw nie pomyślał nic, potem przypomniał sobie jakie gadanie, że w tych

toyotach elektronika jest spaskudzona, wreszcie zainteresowali go faceci. Jednego z nich widział już kiedyś z pewnością, pamiętał jego twarz, a, właśnie! Widział go pod kasynem w Pałacu Kultury wtedy, kiedy wybuchło to zamieszanie, jakiś wariat... jak mu tam było? Suchel... nie, Suchcik... Zdemolował cudzy samochód... Ten gość tam był i, śmieszna rzecz, też tkwił obok czyjegoś jaguara, któremu dostało się przypadkowo i niewinnie.

I nagle rozkwitła w nim pewność: czają się na jaguara Wolskiego, chcą go podwędzić. Bez wycia, bez hałasu, w trakcie gonitwy, kiedy wszystkie oczy zwrócone są na tor i nawet wybuch bomby nie zwróci niczyjej uwagi. No, małej bomby... Szukają właściwej częstotliwości, diabli wiedzą, może i trafią...

Bez sekundy namysłu wyciągnął komórkę i wypukał alarmowy numer szefa.

To była dobra agencja. Umiała szanować rozrzutnych i wypłacalnych klientów, a, jak dotąd, Malwin.i wykazała obie te cechy. W cztery minuty później, kiedy konie zbliżały się już do boksów startowych, jakiś pijak powiększył grono owych trzech, prztykających pilotem. Uczepił się jednego i jął chwytać go w objęcia, obdarzając mianem najdroższego przyjaciela

Wacuchny, zarazem nachalnie zapraszając wszystkich na kolejne pół litra. Zwalił się na toyotę, toyota zaczęła wyć przeraźliwie, trzej faceci usiłowali pozbyć się roztkliwionej moczymordy, obsługa wyścigowa zwróciła na nich uwagę, nadleciał właściciel toyoty, jeden z czołowych dżokejów toru, nie biorący na razie udziału w gonitwach, wezwał pomoc w postaci stajennych, konie ruszyły. Grupa na parkingu wpadła w rozterkę, ale o żadnej kradzieży samochodu nie mogło już być mowy. W momencie kiedy stawka dochodziła do celownika, zarówno pijak, jak i trzej faceci znikli z horyzontu, w czym nikt im nie przeszkadzał.

Konrad, na wszelki wypadek, podzielił uwagę pomiędzy samochód i jego właściciela, co zmusiło go do wykrzesania z siebie dużej energii. To wbiegał na górę, śledząc poczynania Wolskiego, to zbiegał na dół, bacznym okiem sprawdzając parking, czuły pijak bowiem pomocą nie mógł już służyć, musiał wrócić do swoich zajęć. Jaguar zatem ocalał, a Karol o idiotycznym zajściu w ogóle się nie dowiedział.

Malwina dowiedziała się z dużym opóźnieniem, ponieważ zadzwoniła do swojego informatora dopiero pod wieczór, i pierwsze, co usłyszała, to komunikat, iż małżonek właśnie zbliża się do domu. Jak oparzona rzuciła słuchawkę, wściekła i nieszczęśliwa wyjrzała przez okno i rzeczywiście, Karol akurat nadjeżdżał.

Powinna być wściekła na samą siebie, ale to jej do głowy nie przyszło. Winą za niedosyt wiedzy obarczyła najpierw Helenkę, która zbyt późno udała się do córki, potem Justynkę, która nie udała się nigdzie i cały dzień spędzała w domu, wreszcie Krystynę, która tak strasznie długo gadała, trzymając Malwinę przy telefonie. Fakt, iż Krystyna głównie słuchała bez słowa, umknął jej uwadze. Ponadto zupełnie zapomniała o dwóch godzinach, przesiedzianych przed telwizorem, i teraz właściwie mogła być jeszcze wściekła na Karola za to, że wraca.

No, właściwie Justynka się przydała, odpracowała lampę nad tarasem, wkręciła nową żarówkę i umcowała zapasowy klosz. Dobrze, że kiedyś kupiło się dwa... Zdążyła już tylko wezwać okrzykiem siostrzenicę, po czym przystąpiła do nakrywania stołu.

Justynka zbiegła na dół bardzo chętnie, gnana niecierpliwością. Wiedziała, że poczynania Konrada są ściśle związane z poczynaniami wuja, skoro zatem wuj jest w domu, Konrad powinien być w pobliżu Wiedziała, że zmiennik pojawi się dopiero o ósmej, ale nigdzie nie zostało powiedziane, iż na tego zmiennika Konrad musi czekać samotnie. Może przecież w towarzystwie...?

Ponadto miała do wuja interes.

Karol zasiadł do posiłku w doskonałym humorze. Z wyścigów odjechał potężnie wygrany, matematyczny umysł i liczne znajomości z reguły pozwalały mu wychodzić do przodu i, prawdę mówiąc, już dwadzieścia lat temu potrafił się na tej imprezie bogacić Emocje sprawiły, że głodny był nieziemsko, tu zaś czekało na niego znakomite, pachnące nad wyraz apetycznie, urozmaicone pożywienie. Świat się do niego wyraźnie uśmiechał.

Nieobecność Helenki sprawiła, że zajęta w kuchni Malwina nie zdążyła zepsuć mu nastroju. Pojawiła się, dopiero z półmiskiem gorącej potrawy, wionącej aromatem cebulki, majeranku i wieprzowego mięska

W tym momencie czujnie obserwująca wuja Justynka uznała, że już się może odezwać.

- Czy wuj mógłby mi zrobić uprzejmość? - spytała grzecznie.

Karol chłonął wonie z półmiska i był w zgodzie z całym światem.

- Zapewne mógłbym. Zależy jaką.

- Chciałabym kupić telefon komórkowy i mam wrażenie, że stać mnie na to. Bardzo chętnie zapłacę, ale tam trzeba dawać zaświadczenie o zarobkach. Czy wuj mógłby mi to załatwić? Rachunki będę płaciła osobiście bez żadnego zawracania głowy.

Karol nie musiał długo podejmować decyzji. Być może w jakimś innym momencie wypomniałby siostrzenicy, że rachunki zapewne zdoła zapłacić sama, ale żywi się za jego pieniądze, niech się zatem lepiej zastanowi, na co ją naprawdę stać. Teraz jednak miał przypływ wielkoduszności, a poza tym doskonale wiedział, że Justynkę stać na samodzielne życie, jak długo ma dochód z mieszkania po rodzicach. Wygrana z wyścigów przytłumiła w nim zwykłe skąpstwo.

- Owszem, rzecz jest możliwa. Załatwię ci. Chcesz sobie sama coś wybrać, czy zdasz się na mnie?

- Na pewno chętniej zdam się na wuja niż na siebie. Wolałabym, żeby to nie było strasznie wielkie, ale to już jak wuj uważa. Ucieszę się z każdego.

- W porządku. Oczywiście wiesz, że pierwszy nie zapłacony rachunek...

- No przecież nie uważa mnie wuj chyba za kompletną idiotkę? - wyrwało się Justynce ze zgorszeniem.

Karol zachichotał. Chciał powiedzieć, że w kwestii zidiocenia siostrzenica z pewnością nie pobije rekordów ciotki, ale nie zdążył, bo Malwina już siedziała przy stole.

- A może ja też mogłabym dostać telefon komórkowy? - spytała ze zgryźliwą urazą.

- W prezencie? - zainteresował się natychmiast Karol, Justynce zaś ścierpła skóra na plecach.

Malwinę jakby na moment zatchnęło.

- A dlaczego nie? Mężowie czasem dają swoin żonom prezenty.

- Słusznie, zdarza się. I kto za tę twoją komórkę, będzie płacił?

- Sama będę płaciła. Zaoszczędzę na utrzymaniu. Będę robiła pyzy z soczewicą i pierogi z grzybkami. I kotlety mielone, oszczędnościowe.

- I młodą kapustę z zasmażką?

- Owszem. I kapustę. Jak tylko stanieje.

Justynce skóra wróciła do równowagi. Podziw dla ciotki wręcz nią wstrząsnął, ona wcale nie była taka głupia, jak się wydawało! Na poczekaniu wymyśliła potrawy, które wuj uwielbia, rzadko produkowane, bo pracochłonne, ale rzeczywiście niezbyt drogie. To istny cud, ułagodziła go, zamiast wprawić w furię, na litość boską, co jej się stało?!

To, że Malwina kompletnie zapomniała o upodobaniach męża i usiłowała zdobyć się na szczytową złośliwość, jej siostrzenicy nie przyszło do głowy. Karolowi też nie. Propozycje spożywcze spodobały mu się, ale komórkę dla Malwiny uważał za bzdurę i wcale nie chciał za nią płacić.

- Doskonale - powiedział z wielkim zadowoleniem. - Jeśli tylko mi udowodnisz, że istotnie ten przyrząd jest ci niezbędny,

dostaniesz go natychmiast. Do czego ma ci to służyć?

- A do czego Justynce?

- Skoro Justynka zamierza sama płacić, może nim nawet wbijać gwoździe...

- Ja chętnie powiem, do czego - przerwała pośpiesznie Justynka. - Głównie jestem na mieście, wyskakują różne sprawy, chociażby ostatnio, odwołane konwersatorium, nikt mnie nie mógł zawiadomić i jak głupia leciałam z wywieszonym językiem, niepotrzebnie. Spotkać się, umówić, dowiedzieć czegoś, ja, ostatecznie, mogę z automatu, ale do mnie tylko do domu. Prawie wszyscy mają komórki i jest z tym, po prostu, o wiele wygodniej. I ciocia mogłaby, na przykład, zadzwonić, że mam coś kupić po drodze i odwrotnie.

- To znaczy, że spragniona jesteś kamienia u szyi...?

Malwina nie słuchała uważnie wyjaśnień siostrzenicy, ale wpadło jej w ucho kilka słów.

- No właśnie, proszę, kupić, a nie żebym sama jechała ten kawał do środka miasta! I może też chciałabym dowiedzieć się czegoś?

- Czego, na przykład?

- Chociażby... - zaczęła Malwina z gniewem i urwała gwałtownie. Omal nie wyskoczyła z komunikatem o detektywie i poczynaniach Karola, a to przecież interesowało ją najbardziej. Co za szczęście, że zdążyła ugryźć się w język!

Karol z wyraźnym zaciekawieniem oczekiwał odpowiedzi. Gdzieś tam, na dnie świadomości, zamigotała jej myśl, że wreszcie, pierwszy raz od paru lat, on słucha, co się do niego mówi, i nie dość na tym, pozwala nawet odpowiadać. Ciekawe, co mu się stało... nie, to już wszystko jedno, co mu się stało, trzeba to wykorzystać!

I nagle okazało się, że sama nie wie, czego chce i o co jej chodzi. A, o komórkę!

- Chociażby - podjęła godnie - taki fryzjer.. Albo pralnia... Albo, o, pedikiurzystka! Na fachowy pedikiur trzeba się zamawiać na pół roku naprzód, a może tam był pożar w międzyczasie albo pani Stenia poszła na operację woreczka żółciowego, i po co ja mam jechać na darmo? A może znienacka chcę się spotkać z Agatą...?

Karolowi cierpliwość zaczęła więdnąć. Trzymały ją do pionu jeszcze tylko rumowe biszkopciki z bitą śmietaną i syropem klonowym. Czegoś takiego nikt na świecie nie umiał zrobić tak, jak jego żona.

- Zanim wyjdziesz z domu, możesz zadzwonić i spytać o ten pożar. A także o woreczek pani Steni. Nie znam zbyt dobrze Agaty, ale myślę, że będzie mi wdzięczna za uchronienie jej przed twoją nieoczekiwaną wizytą. Nie, wciąż jeszcze nie widzę powodów, dla których miałabyś pędzić życie szczutego zwierzęcia ściganego łącznością bezprzewodową, za moje pieniądze.

Pełna najgorszych przeczuć Justynka postanowi się wtrącić.

- A w dodatku nie wolno rozmawiać w samochodzie - powiedziała rozpaczliwie. - Gliny łapią, trzeba parkować, a nie ma gdzie. Coś okropnie kłopotliwego!

Malwina łączność bezprzewodową puściła mimo uszu, ale Justynkę zrozumiała.

-A ty...?

- Ja przecież nie jeżdżę samochodem! Mogę parkować... nie. Boże, co ja mówię, mogę rozmawiać byle gdzie!

- Nie kładłbym tu znaku równości - zauważył Karol w łagodnej zadumie.

- Oczywiście, ja zawsze jestem ta gorsza - podchwyciła z urazą Malwina.

W gruncie rzeczy na tej parszywej komórce wcale nie zależało jej praktycznie. Chciała ją mieć, bo wszyscy mieli, ponadto aktualnie łatwiej kontaktowałaby się z wynajętym tajniakiem. Ponadto czułaby się ważniejsza, kobieta interesu, a nie jakaś tam kura domowa, nobilitacja niewątpliwa. Ponadto co miała odpowiadać na pytanie przyjaciółek: dlaczego nie ma komórki? Bo Karol jej odmawia, tak?

- To zależy, pod jakim względem - powiedział najedzony po dziurki w nosie Karol, wciąż łagodnie. - Niekiedy bywasz najważniejsza w świecie. Co prawda, w zakresie kameralnym, ale dobre i to.

Po Malwinie zaczął szaleć myślopląs. Najważniejsza, to już coś, reszta bez znaczenia, czyżby ta Jola okazała się wybrakowana...? Zaraz, on mówił jeszcze coś, co zabrzmiało jakoś ochronnie, przypomniało jej dawne lata, kiedy o nią dbał...

- Co to było o tych spłoszonych zwierzętach? - spytała podejrzliwie.

Czuwająca w napięciu Justynka nie dopuściła wuja do głosu.

- Ściganych - sprostowała. - Wszyscy z komórkami bardzo szybko zaczynają się czuć jak ścigane zwierzę, każdy ich wszędzie dopadnie, więc wyłączają drańskwo przy każdej okazji albo udają, że nie mają zasięgu. Tracą prywatność, tak twierdzą. Właściwie człowiek posługuje się tym tylko wtedy, kiedy naprawdę musi, a ja chcę dlatego, że inaczej marnuję czas. Zaczyna się sesja, informacja, że egzaminator ma okienko i można by wskoczyć, jest dla mnie bezcenna.

- Otóż to - przyświadczył Karol, złośliwie zaciekawiony, co teraz jego żona wymyśli. Dawno już nie pozwalał jej na te piramidalne głupoty, a mogły wszak okazać się śmieszne. Śmiech po jedzeniu ułatwia trawienie.

Malwina uczepiła się okienka.

- No właśnie, manikiurzystka ma okienko, a ja jestem na mieście i blisko...

- Nie - skrytykował jej mąż. - To zaczyna brzmieć monotonnie. Nie kupię ci komórki. W każdym razie nie teraz. Zastanowię się nad nią dopiero po tych pyzach i kapuście. Każdemu to, do czego się nadaje.

Podniósł się od stołu i opuścił jadalnię. Justynka zakłopotała się straszliwie, z doświadczenia wiedziała, że teraz ciotka przyssie się do niej, będzie biadolić, narzekać i rozpatrywać swoją ciężką krzywdę, tymczasem Konrad już tam czeka. Co tu zrobić, do licha, uciec na górę pod pozorem nauki i wydostać się z domu przez okno?

- No i sama widzisz... - zaczęła Malwina buntowniczo, ale siostrzenica nie pozwoliła jej dokończyć.

- Wuj wcale nie poszedł do siebie, tylko siedzi w salonie - zauważyła, szybko przystępując do sprzątania ze stołu. - Zdaje się, że jest jakiś film. Na miejscu cioci ja bym tam poszła do niego z winem, jest w doskonałym humorze, więc skoro ciocia go tak kocha...

Jak obuchem rąbnęła Malwinę ta wielka miłość do Karola, o której zdążyła chwilowo zapomnieć. No tak, musi go kochać mimo komórki, a zresztą film, wino, może jest okazja, żeby mu wybić z głupiego łba wszelką myśl o rozwodzie? Cokolwiek on powie, ona się zgodzi na wszystko i niech mu będzie, jutro ugotuje pyzy... Nie, nie jutro, pojutrze, do pyzów potrzebna Helenka. Jutro... kotlety z kartofli z grzybowym sosem! Zaraz namoczy grzyby...

* * *

- Rany boskie, już myślałam, że się nie wyrwę - powiedziała nerwowo Justynka, wsiadając do samochodu Konrada. - Twój zmiennik już jest, czy jeszcze czekamy?

- Pozwoliłem mu się spóźnić, bo doznałem wrażenia, że pan Wolski już dziś z domu nie wyjdzie. Dobrze myślę?

- Bardzo dobrze, nie wyjdzie, to znaczy głowy nie dam, bo może ciotka go wypłoszy. Chociaż nie, raczej zamknie się w gabinecie.

- Czekaj. Strasznie dużo treści zamykasz w kilku zdaniach, a ja bym chciał wszystko zrozumieć. Po kolei. Dlaczego mia-

łabyś się nie wyrwać?

- Bo już ciotka wpadała w zwierzenia, a do tego służę ja i od lat muszę wysłuchiwać różnych takich. Łagodzić, współczuć i pocieszać. Ciężko idzie i długo trwa.

- Rozumiem. A dlaczego twoja ciotka miałaby twojego wuja wypłoszyć?

- No właśnie w tym brakuje sensu. Ona nie ma umiaru. Kiedyś byłam całkowicie po jej stronie, ale ostatnio zaczynam dostrzegać drugą stronę medalu. Wuj wrócił w bardzo dobrym humorze, tak mi się przynajmniej zdawało...

- I doskonale ci się zdawało. Też byłbym w dobrym humorze, gdybym wygrał parę kafli.

- A wygrał?

- Wygrał. Na wyścigach. Przy czym niewiele brakowało, a humor by mu zepsuto radykalnie. Zdaje się, że usiłowano podwędzić mu gablotę.

- Nie żartuj! - zaniepokoiła się Justynka. - Jak to było? Co to w ogóle znaczy?

- Zaraz, bo ja ci przerwałem. Nie dokończyłaś. ciotka nie ma umiaru i co?

- I gada głupoty. Idealnie wybiera rzeczy, które wuja najbardziej denerwują, wskakuje z uwagami, od których ziemia jęczy. Kamień by nie wytrzymał. Więc wuj, o ile jest w domu, zamyka się w gabinecie, żeby mieć święty spokój. A jeśli ona dalej upiera się przy swoim, wybucha kosmiczna awantura i dzikie piekło.

- A ty wtedy co?

- Dotychczas zamykałam się w swoim pokoju, ale teraz usiłuję przeciwdziałać zawczasu, jak tylko widzę, że ciotka usta otwiera. Czasem się udaje. No? Teraz ty. Co z tym samochodem?

Konrad już wcześniej zadecydował, że opisze jej scenę, nie było powodu robić z tego tajemnicy. Justynka wysłuchała z wielką uwagą.

- A ten radosny pijak skąd się wziął?

- Nasz człowiek, obstawiał coś tam innego, blisko, szef go przygonił telefonem. Tak samo był pijany, jak i ja w tej chwili, ale symuluje genialnie! Gdybym go nie znał, przysiągłbym, że przed nim tylko delirium. No i wściekło im się.

- A mieli szansę?

- Owszem, lada chwila mogli trafić na częstotliwość. Nie wiem, jakie pan Wolski ma zabezpieczenia wewnętrzne, ale z tym też sobie dają radę. Prawie się dziwię, że mu tego jaguara już wcześniej nie rąbnęli, ale możliwe, że kazał pilnować osobom zaufanym. No, a teraz jeszcze im trudniej.

- O Boże wielki! - jęknęła Justynka, bo nagle dokładnie pojęła te wszystkie sztuki z bramą i lakierem do paznokci. Ciotka robiła to specjalnie, chciała ułatwić kradzież samochodu wuja, na litość boską, po co jej to było?!

Konrad patrzył na nią pytająco. Poprawiła się na fotelu i podjęła męską decyzję.

- No trudno, powiem ci wszystko, ale są to rzeczy kompromitujące, więc nikomu nie możesz się przyznać, że cokolwiek o tym wiesz. Musisz milczeć na ten temat jeszcze bardziej niż ja o tobie.

- Wydawało mi się chwilami, że coś rozumiem, i właśnie straciłem głupie złudzenia - rzekł Konrad w zamyśleniu, wysłuchawszy całej opowieści. - Prawdę mówiąc, zaczynałem być pewien, że pani Wolska chce się pozbyć męża, i w najbardziej kretyński sposób na świecie udaje, że organizuje mu ochronę. A tu okazuje się, że wcale nie chce i nawet rozwodu się boi. O co chodzi? Pieniądze...?

- Dlaczego tak ci wyszło?

Konrad zawahał się.

- No trudno, powiem. Była u niego w firmie, kiedy wybuchła im ta epidemia pokarmowa. Na moje oko miała w niej swój udział.

- Na moje oko też - przyznała Justynka posępnie. - Wszystko się zgadza...

- Ale trudno uwierzyć - ciągnął Konrad. - Naprawdę myślisz, że chciała mu położyć pokotem cały personel?

- Ona nie ma takich skojarzeń. Wyobraziła sobie, że padnie na niego i na nikogo więcej. Nie wiem, co poza tym sobie wyobraziła, bo zabójca po ofierze nie dziedziczy, ale teraz rozumiem jej gadanie, gdzie była i co robiła, wyliczanie się z każdej minuty. Przygotowywała sobie alibi. Nie do pojęcia i też mi trudno uwierzyć, ponieważ rozwodu ona nie chce za żadne skarby świata.

- A pan Wolski chce?

- E tam, chce! Zawracanie głowy. Chociaż zdaje się, że niekiedy widzi w nim jedyne wyjście, bo ciotka jest nieznośna. Ale z drugiej strony sam doskonale wie, że nikt z nim nie wytrzyma. I nikt go nie będzie tak karmił. Więc chyba tylko straszy.

- Rany boskie - powiedział z lekką zgrozą Konrad i wcisnął plecy w oparcie fotela. - Nie chcę być nietaktowny, ale czy oni nie są przypadkiem wzajemnie siebie warci?

Justynka pozastanawiała się chwilę i westchnęła ciężko.

- Możliwe, że masz rację. Chociaż wydaje mi się, że dla równowagi ciotka powinna być trochę mądrzejsza, a wuj odrobinę głupszy.

- To co robimy?

Justynka znów westchnęła.

- Chciałam się nie wtrącać. Ale już widzę, że się bez tego nie obejdzie. Należałoby pilnować nie wuja, tylko ciotki. Ty nie możesz?

- W żaden sposób. To ona jest naszą klientką. Ale nic, liczy się ostateczny rezultat. Doznaję wielkiej ulgi na myśl, że nareszcie wiem, przed jakim wrogiem mam chronić pana Wolskiego. W razie gdybyś odkryła jakiś nowy pomysł twojej ciotki, bardzo cię proszę. zawiadom mnie o tym...

* * *

Jedyną osobą, która uzyskała informację, że osobliwa niespodzianka Malwiny wyszła Karolowi na korzyść, była Jola. Rzecz jasna, nie uzyskała tej informacji ani od razu, ani wprost, wydedukowała ją dopiero w poniedziałek, bez żadnego trudu, z tłumaczonych dokumentów. Zastanowiła się nawet, czy ten Wolski nie ma przypadkiem jakiejś umowy z żoną, która udaje idiotkę, a tak naprawdę współdziała z nim w sposób dość niezwykły, nietypowy i podstępny. A zarazem zaskakująco skuteczny.

Jej samej podobny pomysł nie wpadłby do głowy. W życiu...! Wystrzelić fajerwerk, to jeszcze, ale walić strumieniem wody we własną lampę...?

Wolski w czasie tego brydża zaprezentował zalety wysokiej klasy, Jola wiedziała doskonale, iż jest to gra, ujawniająca rozmaite ukryte cechy charakteru. Jeden Niemiec okazał się złośliwy, drugi dobroduszny, z jednego Duńczyka wyszła megalomania, z drugiego skąpstwo, z Anglika milcząca zaciętość, ze Szweda kłótliwość, Amerykanin zaś nie zdołał ukryć skłonności do hazardu. Wolski natomiast zdobył się na wielkoduszność, grzeczność, poczucie humoru, szacunek dla partnera, błyskotliwość, uległość i Bóg wie co jeszcze. Przy równoczesnej własnej, świetnej grze. Joli zdawało się, że zna swego szefa i te wszystkie zachwycające cechy są mu najdoskonalej obce, ale jeśli wylazły z niego przy brydżu...? Udawał...? Wręcz niemożliwe!

No oczywiście, chodziło mu o kontrakt. Nawet niechby! Ale coś z tego wszystkiego człowiek musi w sobie mieć, bo inaczej wszelkie udawanie mógłby najwyżej pod tramwaj podłożyć. Zatem jaki ten Wolski właściwie jest i czego mu do szczęścia potrzeba? Skąpy, skąpy, wedle wiedzy Beatki skąpy, apodyktyczny i nietolerancyjny. Awanturniczy. Egocentryczny. Zaraz, co do skąpstwa, dziwne skąpstwo, które sprowadza herbatę od braci Freres, tfu, jakich znów braci... może to nie skąpstwo, tylko zwykły rozsądek...?

Nader gwałtownie Jola poczuła w sobie potrzebę kontaktu z bratem i z siostrzenicą szefa. Konrad i Justynka, koniecznie musi z nimi pogadać!

Udało jej się to dopiero wieczorem, połowicznie. Złapała Konrada.

- Nic nie rozumiem - powiedziała z irytacją ściągnąwszy go do siebie parę minut po ósmej. - Wolski w domu okazał się zupełnie inny niż w pracy. Nie, nie tak. Inny niż można by się spodziewać po tym, jaki jest w pracy. Zaraz, jeszcze inaczej. No, czy ta żona przypadkiem tylko nie udaje głupiej? Nie, źle, w ogóle nie umiem sformułować pytania. Nic nie rozumiem.

Konrad przyglądał się jej krytycznie, kiedy w pośpiechu robiła kawę.

- Myślałem, że przy okazji wizyty połapałaś się w sytuacji?

- Przeciwnie, nadłamały mi się wszystkie poglądy i nie wiem, co o nim myśleć.

- A musisz myśleć?

Jola skrzywiła się nieco. O swoich zamierzeniach matrymonialnych wciąż nie miała chęci nic mówić.

- Nie bądź głupi. Przecież jestem od niego zależna. Zarabiam na nim najwięcej w porównaniu do ilości czasu...

- Zaraz, co masz na myśli?

- Krótka robota, intensywna, a za to dwa razy więcej forsy niż przy czymś innym, długo i spokojnie. Każde zlecenie Wolskiego to niezły zastrzyk finansowy, prawie mogłabym zrezygnować z całej reszty tej orki i tylko jego się trzymać. Boję się, że to ryzykowne, bo właśnie doszłam do wniosku, że nie znam człowieka.

- To nie ze mną - powiedział stanowczo Konrad i obejrzał się za cukrem. - Pogadaj z Justyną, lepiej cię objaśni. Ja go widzę od zewnątrz, a ona tam tkwi w środku. Od zewnątrz wszystko jest w porządku i żadnych obaw o wypłacalność pracodawcy mieć nie musisz.

Odkryć, dokonanych wspólnie z Justynką, też nie zamierzał wyjawiać. Skoro milczeć, to milczeć, dyskrecję już miał w sobie zakodowaną. Ponadto ciągle nie wiedział, co z tego wszystkiego wyniknie i czuł w sobie lekki zamęt.

Jola westchnęła, nieco gniewnie.

- Jedno wykryłam z całą pewnością. Wiem, dlaczego on jest taki gruby. Na wikcie jego żony wyglądałabym tak samo. W pierwszej chwili pomyślałam, że to taka kuchenna artystka, a poza tym idiotka, ale przez tę lampę zachwiałam się w poglądzie.

- Dlaczego przez lampę? - zainteresował się Konrad.

- No jak to, o rozwaleniu lampy musisz przecież wiedzieć, skoro go pilnujecie? Trudno było tego nie zauważyć!

- Zauważyli wszyscy, ale co lampa ma do rzeczy?

- Załatwiła mu kontrakt. Cholernie mu zależało, nie mówił tego, ale zgadłam sama. Na tym brydżu był konkurent, tak go to rozśmieszyło, że Wolski zdobył, co chciał. Z czego zaczęło mi wynikać, że małżonka utalentowana wszechstronnie, nie tylko żarcie, ale też i zakulisowa pomoc w nagłych wypadkach. Nie wyglądało na to wcześniej, zaskoczyło mnie i poczułam się skołowana. Nie lubię być skołowana, szczególnie w odniesieniu do najcenniejszego pracodawcy. Wiesz coś na ten temat?

Konradowi wydawało się, że wie na ten temat bardzo dużo, ale swoją wiedzę zmuszony był ukryć. Ta część egzystencji Karola Wolskiego należała niejako do Justynki i tylko ona mogła zadecydować, co powiedzieć, a czego nie.

- To Justynką, nie ja - powtórzył. - Dużo widzi i swoje wnioski zapewne wyciąga. Nie jest ogólnie gadatliwa. Czekaj, powiadasz, że ta lampowa heca wyszła Wolskiemu na dobre?

- Kolosalnie. Ja przecież wiem doskonale, po co robił tego brydża u siebie i jaką miał zgryzotę. Nawiasem mówiąc, gra świetnie i cholerną szlachetność wykazuje. Też mnie to ogłuszyło, bo znam jego szlachetność w interesach. Wrogowi nie życzyć. Więc nic nie rozumiem, a ty mi tu pomagasz jak pień.

- Pomagam. Radzę ci przecież, pogadaj z Justyną.

- Pogadam. Jak ją złapać?

-A zadzwoń, choćby i teraz.. Powinna być w domu.

- Zwariowałeś, i Wolski podniesie słuchawkę...!

- Nie podniesie. Nie ma go w domu.

- Żona podniesie.

- A niechby! Nie przedstawiaj się, powiedz, że mówi siostra Konrada i umów się na jutro. Ona jutro kończy zajęcia o osiemnastej trzydzieści.

Jola wzruszyła ramionami, zła trochę, bo wielkie go pożytku brat jej nie przyniósł. Miała jeszcze robotę, wyrzuciła go zatem i sięgnęła po słuchawkę. Konrad wyszedł bardzo chętnie, miał bowiem swoje plany na dzisiejszy wieczór.

Postanowił mianowicie raz wreszcie iść do kasyna samodzielnie, bez obciążeń w postaci Wolskiego, którego zostawił w Marriotcie pod opieką zmiennika. I zobaczyć, co z tego wyniknie. Wygra czy przegra, wpadnie w nałóg czy nie, w każdym razie swobodnie spróbuje wszystkiego. Wczoraj, w niedzielę, udało mu się dojechać do końca pracy magisterskiej, pozostało już tylko przepisanie, zdecydował się zatem zrobić sobie święto, zważywszy zaś, iż Wolski był w Marriotcie, wybrał dla siebie Pałac Kultury.

Tegoż samego poniedziałkowego wieczoru Malwina przekroczyła szczyty nieszczęścia.

Wróciwszy z miasta z zakupami tuż przed samym obiadem, uzyskała od Helenki informację, że znów dzwonił ten jakiś Krupnik, co to już kiedyś różne głupoty opowiadał. Ostrzegać chciał koniecznie, kto go tam wie przed czym, ale tym razem już Helenka zmusiła go do powtórzenia numeru telefonu i zapisała. W gabinecie pana Karola kartkę zostawiła, na biurku leży. I drzwi zamknęła, żeby kot nie zabrał.

Mocno zaintrygowana Malwina skorzystała z zapisanego numeru natychmiast.

- Pani pozwoli, moje nazwisko Krupiarz - rzekł rozmówca, z którym połączyła się bez trudu. - Ja dzwonię, bo takie rzeczy to powinno się wiedzieć. Pan Wolski lekkomyślny chyba albo co, bo o mało mu samochodu nie ukradli i cała awantura się zrobiła.

Malwinie zabrakło tchu.

- Kiedy...?!

- W sobotę. No proszę, to pani nie wie?

- Nic nie wiem. Proszę opowiedzieć...

- Zaraz, zaraz. Ja powiem, ale nie przez telefon. Za informacje jakaś premia się należy, nie?

Mimo ogłuszenia wstrząsającą wieścią, Malwina zdołała pomyśleć kilka rzeczy naraz. Że nareszcie ci kretyńscy złodzieje się ruszyli, że z jakiej racji ma płacić temu jakiemuś, skoro już płaci agencji, że chce usłyszeć wszystko za każdą cenę, że nie może teraz rozmawiać, bo lada chwila Karol wróci do domu, a ona musi jeszcze doprawić cały posiłek, i że, wobec tego, trzeba się z nim umówić na później.

- To co? - powiedziała, bo do wykrzesania z siebie jakiejkolwiek inicjatywy nie była już zdolna.

Rozmówca, najwyraźniej w świecie, plany miał sprecyzowane.

- To o piątej ja podjadę na Niedźwiedzią, tam, gdzie ta pusta parcela. Pani dojdzie, bo to blisko. I będę czekał w samochodzie całe pół godziny, zwyczajny duży fiat, niebieski. To jest niemożliwa rzecz, żeby o czymś takim nie wiedzieć. Od piątej czekam.

Rozłączył się, a Malwina została ze słuchawką w ręku i zaciśniętymi z emocji zębami.

Odłożyła tę słuchawkę, bo z kuchni wzywała ją Helenka do nadzienia w pyzach. Już należało je robić i do garnka wrzucać, a nadzienia pani domu musiała osobiście spróbować. Choćby się nawet ugotowały za wcześnie, nie szkodzi, zostaną na parze. A tu jeszcze przystawkę doprawić i sernik sprawdzić, bo chyba doszedł...

Półprzytomnie acz koncertowo Malwina wykonała wszystkie czynności, wielkie nadzieje zaś rozkwitały w jej duszy na nowo. Napadli, próbowali, awantura... Nie ukradli, bo przecież ten samochód Karol nadal ma, ale jeżeli już zaczęli, nie zrezygnują chyba tak łatwo...? I będą się mścić! Muszą się mścić, podobno zawsze się mszczą. Więc jednak obrała doskonałą drogę, tylko dlaczego jemu się nic nie stało...? I dlaczego, do diabła, ten wynajęty śledczy nic jej o tym nie powiedział?! Nie widział czy co, to jak on go śledzi, skoro nie widział, zaraz, Karol był na wyścigach, a gdzie ta awantura wybuchła...? Może oni już przystąpili do akcji odwetowej, może on wcale nie przyjedzie...

Karol przyjechał jak na zawołanie w chwili, kiedy pyzy akurat wypływały na wierzch i należało je wyjmować z garnka. W przeciętnym humorze, od drzwi raczył ogłosić, że chciałby zjeść obiad. Malwinę wręcz rozdymało pytanie, jak to było z tą kradzieżą i dlaczego ukrył przed nią tak groźne wydarzenie, ale nie miała przecież prawa nic o nim wiedzieć, o mało zatem nie pękła. Bała się mówić cokolwiek, żeby przypadkiem z ust nie wyrwały się jej nieodpowiednie słowa, dzięki czemu Karol spożył cały obiad w świętym spokoju, co go nawet nieco zdziwiło. W dodatku jego żona wcale nie była obrażona i nadęta, tylko jakaś taka jakby zemocjonowana. Zapewne sobie coś kupiła, jakąś upragnioną rzecz, niewątpliwie bardzo drogą, i szczęście, płynące z jej posiadania, przebijało obawę przed ujawnieniem wydatku. A może, zważywszy te wspaniałe pyzy, od razu spodziewała się komórki?

Wypił bardzo mało wina, co było wskazówką, że zamierza wyjść. Jednak nie wyszedł od razu, zamknął się w gabinecie. Malwinie od zaciskania zębów zdrętwiały szczęki, ale zdołała zachować milczenie, zdecydowana opuścić dom o piątej, nawet gdyby on tam wrósł w podłogę, zapuścił korzenie i zakwitł. Komórka chwilowo wyleciała jej z głowy.

Zasugerowana wypowiedzią owego Krupiarza, że ma blisko, wybiegła z domu pięć po piątej, nie biorąc samochodu. Tył jaguara właśnie znikł jej z oczu na końcu ulicy, bo Karol wyszedł przed chwilą. Kwadrans po piątej ujrzała niebieskiego fiata, zaparkowanego obok nie zabudowanej parceli.

Średnich rozmiarów facecik wyskoczył na jej widok i elegancko otworzył jej drzwiczki. Wsiadła zatem.

Rozmowa od razu nabrała charakteru wysoce rzeczowego.

- Ja, proszę łaskawej pani, o różne osoby dbam - oznajmił ów Krupiarz zarazem przymilnie i twardo. - Tak prywatnie, sam z siebie, bo to czasem rozmaite rzeczy warto wiedzieć i ma się z tego dochód. O pana Wolskiego też dbam. Pan Wolski trochę może za bardzo odważny, a tu nie każdy mu dobrze życzy Kobieta ma zawsze więcej rozumu, żona powinna wiedzieć, co tam nad mężem wisi. Ale jak pani nie chce, to nie.

- Kto powiedział, że nie chcę? - oburzyła się Malwina, w pełni zgodna z poglądem rozmówcy w kwestii ilości rozumu. Pożałowała nawet przez chwilę, że zaangażowała agencję, a nie tego nadzwyczajnie inteligentnego faceta.

- No, jak pani chce, to trzeba płacić. Ja z czegoś żyć muszę.

- Ile?

- Skromniutko. Trzy stówy. Z góry.

Bez najmniejszego protestu Malwina wyjęła portfel i trzysta złotych. Zatrzymała się w geście wręczania banknotów.

- A jak ja panu dam, a pan mi nic nie powie?

- No wie pani...! To przecież w życiu więcej ja nic nie zarobię! Mało, że od pani, to jeszcze pani rozgłosi, że ze mną gadać nie warto. Czyja będę podgryzał moją własną gałąź?

No owszem, to był argument. Podała pieniądze. O całej awanturze na wyścigach dowiedziała się ze szczegółami. Byliby Karolowi ten samochód ukradli, gdyby nie przyplątał się pijak, skąd ten pijak tam się wziął, co za złodzieje idiotyczni, że mają takich przyjaciół?! I dlaczego Karol osobiście nie poleciał swojego mienia bronić? Dlaczego nikt go nie ostrzegł od razu i z wielkim krzykiem?

- Tam, proszę łaskawej pani, nikt nie pomyślał, że to o jaguara chodzi - wyjaśnił konfidencjonalnie pan Krupiarz. - Dla zmyłki przed toyotą stali, ale ja wiem, że się na pana Wolskiego czają. Już nie pierwszy raz widzę, jak tak chodzą koło niego. Niech państwo na dom uważają, bo dla tej mafii alarmy to pestka, wyłączą wszystko, wóz podlewarują i wyprowadzą bezszmerowo.

Bezszmerowo... Nie, bezszmerowo Malwina nie chciała. Chciała z hałasem, żeby Karol się obudził, zerwał, rzucił na nich...

- Mojego męża trzeba ostrzec!

- Toteż dlatego ja to do pani mówię. Pan Wolski, proszę łaskawej pani, to nawet słuchać nie chce, jego tylko niektóre rzeczy interesują. Jaguar ubezpieczony, to co mu zależy.

W tonie pana Krupiarza pojawił się lekki cień rozgoryczenia. Najwidoczniej Karol nie rwał się do informacji, za które trzeba płacić. Potworne. Taka okazja była...

Dopiero po powrocie do domu Malwina uświadomiła sobie ogrom klęski. Odwaliła wielką robotę, napuściła tych złodziei jak trzeba, zrozumieli, obstawili Karola, na wyścigach stworzyli cudowną sytuację i co? I chała drętwa. Karol się nawet nie ruszył. Próbowała go otruć, zastrzelić i co? Nic, zupełne zero. Może go jeszcze zabić zwyczajnie, siekierą, ale to przecież wcale nie o to chodzi, on powinien zginąć gdzieś dalej, jakoś tak, żeby ona miała alibi! Gdzie on w ogóle teraz jest...?!

Rzuciła się do telefonu w gabinecie.

- Właśnie przed chwilą pan Wolski wszedł do kasyna w Marriotcie - usłyszała Konrada w słuchawce.

- Przed chwilą? - zdenerwowała się Malwina.

- To co on robił przedtem? Wyjechał już dawno!

- Po drodze wstąpił do rusznikarza.

- Do jakiego rusznikarza? Po co?

- Tego nie wiem. Ale wyszedł od niego z parasolem.

Nastąpił moment ciszy. Na słowo "rusznikarz" Malwina zdążyła pomyśleć, że jednak, kupił broń palną, udaje odważnego, tymczasem proszę, jaki ostrożny! Parasol zbił ją z pantałyku.

- Kupił u rusznikarza parasol? - spytała niedowierzająco.

- Nie wiem. Może pożyczył. W każdym razie wszedł bez parasola, a wyszedł z parasolem. To było widoczne wyraźnie.

- Jaki parasol?

- Długi, czarny, najwidoczniej nie składany. Taki zwyczajny.

Malwina znów zamilkła, bo komunikat ją oszołomił. Karol uznawał tylko parasole składane i w dodatku automatyczne, i

miał ich trzy. Zwykły parasol, wyniesiony od rusznikarza... Przerażające!

- I teraz jest w Marriotcie? - upewniła się słabo.

- Tak jest - przyświadczył z mocą Konrad, który przed minutą uzyskał bieżące informacje od swojego zmiennika, bo od początku mieli taką umowę, zmuszeni do niej fanaberiami Malwiny. Skoro dzwoniła tylko do niego, powinien był wszystko wiedzieć prawie w każdej chwili. - Rozmawia z kimś. Siedzą w kawiarni przy stoliku. Rozmówca wydaje się zdenerwowany, pan Wolski spokojny.

- O Boże drogi - powiedziała Malwina rozpaczliwie i odłożyła słuchawkę.

Nie wiadomo, dlaczego ten parasol przygnębił ją ostatecznie. Karol jest nie do zdarcia, nie do zniszczenia, jak komórka rakowa, a, właśnie, komórki jej nie kupił oczywiście nie kupił i powiedział, że nie kupi, nic jej nie kupi, a sobie parasol kupił i w dodatku u rusznikarza! Justynki nie ma, nie ma się kogo poradzić, przed kim wyżalić, gorzej, nawet nie może się wyżalić, bo powinna go kochać bez zastrzeżeń. Nie, to jest w ogóle nie do zniesienia!

Zesłabła jakoś ze zmartwienia i musiała coś zjeść. Nie chciało jej się podgrzewać pyz, gdzieś tu jeszcze miała resztę kaczki w galarecie. Z majonezem. I otwartą butelkę czerwonego wina...

Widząc pochlipującą przy stole Malwinę, Helenka zainteresowała się delikatnie.

- Tak płakać przy jedzeniu, to człowiekowi zaszkodzi - zauważyła ostrożnie. - Coś tam pani się dowiedziała takiego...?

- Mogli go okraść - wyłkała Malwina. - Chcieli. Mogło być coś okropnego...

- Ale nie było? I nie okradli?

- Nie. I nawet... nawet... nie wiedział... Nie zauważył...

- To i pociecha. Pani już tak przestanie o pana Karola się martwić i jeść. Albo jedno, albo drugie. Wino niech będzie, podobnież humor poprawia, a ze stołu to ja bym już sprzątnęła.

Malwina poddała się subtelnej presji. Przeszła do salonu. Druga butelka czerwonego wina jakoś otworzyła się sama. Potem weszły jej pod rękę słone paluszki z francuskiego ciasta. Potem napatoczył się koniak i kawowe czekoladki...

O ósmej wieczorem Malwina była już w niezłym stanie, zważywszy, iż wzięła dobre tempo, a ręka jej sama wznosiła się do ust. Nieszczęście gniotło ją kafarem, uświadomiła sobie, że przez ten cholerny parasol zapomniała nawymyślać swojemu wywiadowcy za brak informacji o awanturze na wyścigach, zarazem dotarło do niej, że na bazarze została oszukana skandalicznie, nabój z wodą jej sprzedali, zamiast takiego prawdziwego, drogą naturalnych skojarzeń przyszła jej na myśl pieniądze, no pewnie, te strzelające uczciwie były droższe, no pewnie, Karol może sobie pozwolić na odwiedzanie rusznikarza, ona nie. Boże drogi, gdybyż miała własne pieniądze...!

Wszystko, ale to absolutnie wszystko było przeciwko niej!

Wizja pieniędzy w połączeniu z czerwonym winem i koniakiem nagle eksplodowała w niej zuchwalstwem. Karol nie dość, że ma, to jeszcze podobno wygrywa! I dysponuje tym swobodnie, a ona głupiej komórki nie może się doprosić! A co ona, gorsza? Od macochy? Sroce spod ogona wypadła? A dlaczegóż to ona również nie miałaby wygrać?

Marriott nie. Skoro Karol tam siedzi... Zamajaczył jej Pałac Kultury.

Absolutna niemożność znalezienia na poczekaniu kluczyków do samochodu sprawiła, że Malwina zadzwoniła po taksówkę.

Wracająca właśnie do domu Justynka ujrzała przed bramą taksówkę. Pomyślała, że ktoś do nich przyjechał, ale żadne złe przeczucie jeszcze się w niej nie zalęgło. Miała własne zgryzoty.

Odwiózł ją samochodem Piotr. Tak, Piotr, w którym była troszeczkę zakochana i który potraktował ją tak przeraźliwie przyjacielsko, że aż się niedobrze robiło. Jakiś taki radosny, wyzuty z dotychczasowego smętku, wyjawił po drodze przyczyny tej pogody ducha. Zwierzył się. Otóż poznał wreszcie kobietę, o jakiej marzył całe życie, i ona obdarza go wzajemnością, po co mu były te minione udręki rozwodowe, w ogóle nie należało się wcześniej żenić! Wie, że ona, Justynka, obdarza go życzliwością, więc chce jej to powiedzieć, bo komuś musi, a byle komu nie może...

Przyzwyczajona generalnie do zwierzeń, Justynka zniosła to mężnie. Ukryła rozgoryczenie i nawet udało jej się opanować kompromitującą chrypkę w głosie, więc co ją obchodziła taksówka i jacyś goście, chciała już tylko zamknąć się w pokoju i odcierpieć swoje w samotności. Podziękowała Piotrowi za podwiezienie i zaufanie i zaczęła wysiadać.

Zatrzymała to wysiadanie, bo przed domem nagle pojawiła się ciotka, zmierzająca ku owej taksówce. Trochę dziwnie się pojawiła.

Drzwi zamknęła z rozmachem, wsparła się o nie plecami, potem spłynęła z trzech schodków jakby rozpędem i dotarła do furtki to truchcikiem, to krokiem osobliwie posuwistym. Na furtce znów się wsparła, zamiotło nią jakoś, przytrzymała się ogrodzenia i na taksówkę niemal runęła. Zaczęła wsiadać dosyć niemrawo.

Justynka przestała słuchać wynurzeń Piotra.

- Czekaj, bardzo cię przepraszam - przerwała mu pośpiesznie. - Jeśli masz jeszcze chwilę czasu... To znaczy, i tak przecież wracasz do Śródmieścia... Czy mógłbyś pojechać za tą taksówką?

Piotr nie zaliczał się do lekkomyślnych ryzykantów.

- Za tą taksówką? Dlaczego? Po co?

- Na wszelki wypadek. To moja ciotka. Obawiam się, że coś jej się stało.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć, podjadę i zapytasz...

Justynka nie miała najmniejszej ochoty wtajemniczać Piotra w swoje perypetie rodzinne. Potępiłbyś je. Albo się przejął i rycersko powstrzymywał ją od działania. Albo źle myślał...

- Nie, żadnych pytań. Niepokoję się o nią. Ona stara się ukryć... swój stan zdrowia. Muszę sprawdzić, dokąd jedzie, i potem wtrącić się taktownie, rozumiesz, nie nachalnie...

Owszem, niechęć do nachalności Piotr potrafił zrozumieć. Pełen współczucia a zarazem skrępowania, bo śledzić kogoś, choćby i w szlachetnych celach, to niełądnie, ruszył jednak za taksówką. Na moment jeszcze Justynka zatrzymała go, wyskoczyła i swoją torbę z książkami pirzgnęła przez ogrodzenie, za żywopłot.

Tym sposobem znalazła się tam, gdzie i Malwina, bez żadnego obciążenia.

* * *

Karol w Marriotcie stracił cierpliwość.

Od pierwszej chwili przyplątał się do niego Romek Matuszewicz, ględzący o swoim rozwodzie. Żona okazała się jednostką zbyt bystrą, nie uwierzyła w jego oficjalny stan posiadania, dodatkowo zażądała dotacji dla dzieci. Ponadto nijak nie dawała powodów do obarczania jej winą, megierowatości bowiem sąd za wadę nie uważał, a na rozwód bez orzekania o winie nie chciała się zgodzić. Gorzej, okazało się. że po tylu latach i odchowaniu dzieci on musi jej zapewnić taki sam standard, w jakim żyła do tej pory, nie ma tak, że ją porzuci na pastwę głodu i nędzy, z domu jej nie wygna, może się sam wynieść.

Za nic w świecie nie mógł teraz dokonywać żadnych podziałów, nie bardzo wiedział, jak się wyłgać, domagał się rady od Karola. W dodatku przestał być pewien, czy rozwód rzeczywiście jest mu potrzebny, zasadnicza przyczyna rozwodu zapre-

zentowała jakieś fanaberie, jedną wymagającą babę ma zamienić na drugą wymagającą babę, gdzie sens, gdzie logika. No, druga młodsza i ładniejsza...

- Osiodła cię - mruknął Karol.

- Całe życie spędzam w uprzęży - odmruknął z goryczą Matuszewicz.

- Nikt cię nie zmusza. Ustaw się inaczej i nie zawracaj głowy.

- Ustaw, ustaw... O forsę się boję. A jak ona ten sztuczny debet wywęszy...?

Jojczenie Matuszewicza zaczęło Karolowi nosem wychodzić, jedyną pociechę stanowiła myśl, że sam nie ma takich problemów i mógłby się rozwieść z Malwina bez żadnego trudu. No, pewne zubożenie nastąpiłoby niewątpliwie, w pamięci utkwił mu ten standard, taki sam jak dotychczas... Ponadto...

Jakoś dużo było tego ponadto, a nie chciało mu się akurat teraz rozpatrywać życiowych spraw. Miał ochotę zwyczajnie sobie pograć, lubił to, czuł natchnienie. Matuszewicz przyczepił się jak pijawka, truł przy ruletce, truł przy automacie, nie zauważył nawet własnej wygranej, niewielkiej wprawdzie, ale zawsze, Karola to w końcu zdenerwowało. Zmył się dyplomatycznie i postanowił jechać gdzie indziej, bo gra ciągle go korciła, Victoria czy Pałac Kultury...? Jakoś Pałac Kultury bardziej go ciągnął.

Pojechał.

* * *

Przyjechawszy do miejsca rozpusty na ciężkiej bani, Malwina jęła schodzić po schodach do kasyna. Już na pierwszym stopniu uczyniła przystanek.

Tamże ujrzał ją Konrad, który przyjechał prawie w tej samej chwili. Zważywszy, iż była klientką agencji, w zasadzie spoczywał na nim obowiązek działania na jej korzyść. Co prawda właśnie miał wolne aż do jutrzejszego poranka, ale jakoś głupio mu było zostawić ją odłogiem. Zawahał się, udać, że jej nie dostrzegł, rzucić się na pomoc, sprowadzić z tych schodów czy wywlec stąd i zawieźć do domu. Znajdował się tuż.

Nie zdążył podjąć własnej decyzji, bo Malwina opsnęła się z drugiego stopnia i w Konradzie zadziałał typowy męski odruch: podtrzymać padającą kobietę. Podskoczył i chwycił ją pod rękę, ratując przed upadkiem.

Malwina, mimo upojenia doskonałego, rozpoznała go od razu.

-A, ttto pan... Te ssscho.-.dy... są... wstręt... ne. Obrzrzrzydli...we - oznajmiła stanowczo.

- Tak, oczywiście - zgodził się wściekle zakłopotany Konrad. - Czy pani pozwoli...

W tym momencie Malwina rozstrzygnęła sprawę. Ponownie zaczepiła obcasem o stopień, wyślizgnęła mu się z ręki i łagodnie, acz dość szybko, usiadła na schodach.

- Wstrę...tttt...ne - powtórzyła. - Obrzyd...li-we... schchcho...dy!

Po czym ruszyła w dół na tyłku, metodą staccato, przenosząc kolejno o jeden stopień niżej najpierw nogi, a potem resztę figury. Obsługa kasyna w postaci jednego faceta, bo reszta znajdowała się na zewnątrz, przyglądała się jej niepewnie i z wyraźnym wahaniem.

Konrad na chwilę stracił głowę. Kwestia: zostawić ją własnemu losowi czy nie, przestała już istnieć, skoro został rozpoznany. Pomyślał, że trzeba ją podnieść, bo w końcu ktoś zwróci uwagę, cud zgoła, że akurat w tej chwili schody są bezludne. Pomóc jej zejść w pozycji pionowej czy jednak wywlec z powrotem na górę...? I, do diabła ciężkiego, zamierzał przecież znaleźć się tu prywatnie!

Zszedł o stopień niżej i pochylił się, chcąc ją wziąć pod rękę.

- Wsss...tręt...ne schchcho...dy... Wssstręt.-.ne ...scho.-.dy... Obrzy...dli...we... One mnie nie...na ...wi...dzą... - upierała się Malwina.

W parę sekund później Konrad przyznał jej najzupełniejszą rację. Niewątpliwie były bezdennie wstrętne i jego chyba też nienawidziły. Chcąc ująć ją w jakiś chwyt, z którego nie umknąłby mu śliski jedwab żakietu, pośpieszył się zanadto, nie wyczuł chwili kolejnego przeniesienia się Malwiny w niższe rejony, źle trafił i zahaczył obcasem buta o sam brzeg stopnia. Miał do wyboru, runąć na twarz albo rzucić się do tyłu, bo od poręczy odgradzała go Malwina, wybrał to drugie, z impetem zjechał na obcasach połowę schodów, po czym usiadł tak samo, jak jego klientka.

Usiadł przez rozum i świadomie, dzięki czemu nic sobie złego nie zrobił. Doznał tylko wrażenia, że coś mu pękło, możliwe, że spodnie. Z tyłu, na szwie.

- Wssstrę...tne... scho...dy... Wssstręt.-.ne... schchcho...dy... - powtarzała Malwina z uporem i satysfakcją, mniej więcej co jeden stopień. Sukcesywnie zbliżała się do siedzącego niżej Konrada.

Na wszelki wypadek ochroniarz kasyna przez komórkę zawiadomił recepcję, że nadchodzi tajemnicza dama, o bardzo osobliwych upodobaniach. Pilotuje ją facet, chyba normalny, ale trochę sobie nie daje rady. Recepcja podziękowała i nie przejęła się zbytnio. Nie takie zjawiska już tu występowały.

Dopiero w tym momencie na schodach pojawiła się zaniepokojona Justynka.

Widziała wkraczającą do kasyna ciotkę, której schodami pod górę udało się wejść, potknęła się tylko raz, nie było wątpliwości, dokąd idzie, i Justynka chciała pośpieszyć za nią, ale Piotr nie pozwalał jej wysiąść. Nie wiadomo, po co szukał miejsca na parking i zatrzymał się wreszcie w niejakim oddaleniu, bez przekonania pytając, czy Justynka nie życzy sobie pomocy. W oczy biło, że żądanie od niego pomocy w takiej chwili i w takich okolicznościach przeraziłoby go śmiertelnie i kategoryczna odmowa Justynki sprawiła mu wielką ulgę. Polubił ją jeszcze bardziej. Z nader mieszanymi, wręcz czarnobiałymi, piknięciami w sercu Justynka popędziła na schody, ciesząc się mętnie, że już dawno jest pełnoletnia i dowód osobisty nosi przy sobie. Z ukłonami została wpuszczona do środka.

I od razu, z góry schodów, ujrzała scenę w dole. Ciotka i Konrad siedzieli obok siebie na stopniu, prawie przytuleni. Na litość boską, co to mogło znaczyć? Ruszyła ku nim szybko, ale ostrożnie.

Zanim zeszła, Konrad się podniósł. I natychmiast, z wyraźnym niepokojem, pomacał się po tyłku.

Justynka znieruchomiała. Elegancki młodzieniec, u progu rozrywkowej sali czyniący tak intymne gesty, to było coś okropnego. I nie jakaś chorowita niedojda, tylko Konrad, zgoła przeciwieństwo niedojdy, nawet i nie chorowitej! Ciotka w tym momencie przeniosła się o stopnień niżej, potem z dużym zapałem o następny stopień, Konrad szybko pochylił się ku niej i to pochylanie powstrzymał w połowie. Zamarł. Sięgnął dłonią ku własnym tylnym rejonom, pohamował ruch, zbiegł w dół cztery stopnie i z tej dolnej pozycji energicznie chwycił ciotkę pod rękę.

Ciotka nie stawiała żadnego oporu, ale i tak podniósł ją z dużym wysiłkiem. Do pokonania mieli jeszcze kilka ostatnich stopni. Znieruchomiała Justynka doskonale rozumiała, dlaczego nie usiłuje wlec jej pod górę, w dół znacznie łatwiej, ale przecież kiedyś trzeba będzie! Ciotka nie zostanie tu aż do chwili wytrzeźwienia, co bez wątpienia nie nastąpi wcześniej niż jutro! Zostanie do jutra...? Ale przecież w takim stanie w ogóle jej nie wpuszczą!

Urżnięta na bojowo Malwina, zyskawszy poziomy grunt pod nogami, stanowczo ruszyła w kierunku recepcji. Pomieszczenie widziała wprawdzie podwójnie, ale na to była rada, należało po prostu zamykać jedno oko i wtedy wszystko robiło się

pojedyncze. Wściekły i zrozpaczony Konrad starał się już tylko utrzymać ją w pionie, co przychodziło mu z trudnością, czuł się zmuszony bowiem pilnować spodni. Uruchomiona wreszcie Justynka zbiegła na dół, nie pojmując, czemu on stawia takie drobne kroczki, jakby coś go spętało w kolanach.

Na widok Justynki Konrad doznał wybuchu przeciwstawnych uczuć. Szczęścia i ulgi, bo chyba ona mu z tą tłustą gangreną pomoże, oraz przerażenia i rozpaczy, bo te spodnie cholerne...! Wszyscy niech go widzą, cały świat niech ogląda do upojenia, ale przecież nie podrywana z takim wysiłkiem dziewczyna...!!!

Justynka bez słowa chwyciła Malwinę pod drugie ramię. Malwina nie zwróciła na nią żadnej uwagi.

- Będę... grała... - oznajmiła z zaciętością. - To... jest... kasyno... Tuuuu! Będę grała!

Postąpiła kilka kroków, obejrzała się na Justynkę i poznała ją.

- O, jesteś... A nie było... cię? - zdziwiła się nagle.- Jesteś... dwie...A-lecza-sem jes-teś jed-na.Jes-teś?

- Tak, już jestem. Jedna - potwierdziła Justynka i z rozpaczą spojrzała na Konrada. Konrad odwzajemnił się jej spojrzeniem, wyrażającym całkowitą bezradność i beznadziejność.

Grupa z ciągnącą ku przodowi Malwiną dotarła do recepcyjnej lady.

Panienki w recepcji bez problemu odgadły, iż to jest właśnie zaanonsowana już dama o osobliwych upodobaniach. Popatrzyły, taktownie kryjąc zaciekawienie.

Malwiną nie zionęła ohydną gorzałą ani nawet piwem. Szlachetne wino, połączone z koniakiem, stworzyłoby niewątpliwie aromat, acz łagodniejszy, to jednak jednoznaczny, gdyby nie to, iż niedokładnie skoordynowane ruchy w łazience wylały na nią Chanel numer 5 w nieco nadmiernej ilości, zaś w miejsce płynu do płukania ust, który wydawał się jej niezbędny, użyła toniku do zmywania twarzy, silnie pachnącego rumiankiem. Zionęła zatem jakby ziołowym Chanelem, makijaż ułożył jej się cudem boskim równo i tylko figlarne łypanie jednym okiem mogło budzić drobne podejrzenia. Nie ma jednakże zakazu posługiwania się w kasynie jednym okiem, obojętne, figlarnie czy nie, nikt jej zatem nie czynił żadnych wstrętów, ku śmiertelnemu zdumieniu tak Justynki, jak i Konrada.

Tylko Konrad, zmuszony do tego niejako przez Karola, posiadał stałą kartę wstępu, Malwinę i Justynkę należało zarejestrować, co potrwało dłuższą chwilę. Uczepiona lady, Malwiną czekała spokojnie, pełna jakiejś triumfalnej satysfakcji, dzięki czemu jej asysta zdołała zamienić ze sobą kilka słów na uboczu.

- Boże jedyny, co się dzieje? - jęknęła Justynka.
- Myślałem, że ty wiesz - zdenerwował się Konrad. - Złapałem ją tu nagle, jak zlatywała ze schodów.
- A, to dlatego...
- Co dlatego?
- Siedziała z tobą na dole...
- A co miałem zrobić? Wypsnęła mi się z ręki. Było u was jakieś przyjęcie?
- Nic o tym nie wiem, nie było mnie w domu. Zobaczyłam ją, jak wsiadała do taksówki, i zgadłam, że coś nie gra...
- Bóg ustrzegł, że taksówką, a nie sobą!
- A co ty tu robisz?
- Nic, przyszedłem prywatnie. Rany boskie, co teraz?
- Nie wiem. Ona chce grać?
- Owszem. Uparła się.
- Może jej zabraknie pieniędzy. Bardzo cię przepraszam...
- Za co?!
- Nie wiem. No, w końcu to moja ciotka...
- Ale moja klientka. Obcą babę oddałbym w ręce wykidajły i cześć. Klientki nie mogę.
- To co teraz? Pozwolić jej tu zostać?

Gdyby nie przeklęte spodnie, Konrad zgodziłby się na wszystko. W towarzystwie Justynki i dla jej przyjemności mógłby nawet machnąć ręką na siebie i opiekować się pijaną Malwiną, spodnie mu to uniemożliwiały. Pękły malutko, ale przy żywszych ruchach mogły pęknąć więcej, za skarby świata nie chciał prezentować tego mankamentu Justynce. Najchętniej zmyłby się stąd, ewentualnie wróciłby później, zmieniwszy odzież, tylko co zrobić z cholerną Malwiną? Zostawić tę zgryzotę Justynce? Mowy nie ma!

Recepcja z wdzięcznym uśmiechem podała im karty. Malwina, nie puszczając krawędzi lady, dobrnęła do jej końca. Justynka i Konrad rzucili się ku niej, Justynka obejrzała się i cofnęła, bo Malwiną zostawiła torebkę.

Obejrzawszy się, zahaczyła wzrokiem o wejście i na moment skamieniała.

- Jezus kochany... - wyszeptała. - Wuj...! Z ostatnich stopni powoli schodził Karol, napawający się nieobecnością idiotycznego Matuszewicza i patrzący pod nogi, bo bardzo nie lubił spadać ze schodów. Konrad usłyszał przerażony szept Justynki. Też się obejrzał i ożywił.

- Słuchaj, to jest wyjście! Pan Wolski zabierze małżonkę do domu...

W jednym ułamku sekundy Justynka ujrzała oczyma duszy wszystkie konsekwencje wydarzenia. Wuj ciotkę zabierze i zabije. A nawet jeśli zostawi przy życiu, wyrzuci z domu. Zamknie w piwnicy... nie, nie mają piwnicy. Ciotka zabije wuja, uda się jej, bo pijanym szczęście sprzyja. Nastąpi ogólna ruina, ona sama zostanie posądzona o udział w tej koszmarnej głupocie, też zostanie wyrzucona, a nie ma się gdzie podziać, w mieszkaniu lokatorzy, hotele drogie, ma sesję, egzaminy się zaczynają... Nie zabierze jej, wyprze się, ucieknie, kataklizm wybuchnie jutro, nawet koty stracą dom! Policja, ktoś pójdzie do więzienia, zaraz, z którego to paragrafu...? Wszystko jedno, to będzie koniec świata!

- On nie może jej zobaczyć! - jęknęła tak, że Konrada dreszcze przeszły. Zareagował błyskawicznie.

- Toaleta! Tu zaraz...!

- I pomyśleć, że przez tyle lat udawało mi się nie wtrącać - powiedziała Justynka ze zgrozą i goryczą, wepchnąwszy do toalety oszołomioną światłami i hałasem Malwinę. - I zamierzałam nie wtrącać się nadal!

- Przeznaczenie ma gdzieś nasze zamiary - westchnął Konrad również z goryczą, bo wyraźnie czuł, że samodzielna dewastacja spodni postępuje, mimo, iż starał się poruszać delikatnie i ostrożnie.

Malwiną z toalety skorzystała bardzo chętnie. To coś tam, w głębi kasyna, co po drodze ujrzała i chyba już kiedyś widziała, wydało jej się okropnie skomplikowane. Próbowała przez moment skupić wzrok na jakimś odległym elemencie do grania, ale trochę źle jej to wychodziło. Euforia w niej sklęsła, właściwie wolałaby teraz gdzieś się zdrzemnąć na chwilę, a tym tam kolorowym i brzęczącym zająć się później.

Justynka z Konradem tkwili pod drzwiami toalety, posępnie wpatrzeni w Karola, który już po chwili znikł im z oczu. Do tej pory Konradowi udało się ani razu nie odwrócić tyłem do Justynki, ale diabli wiedzą co mogłoby jeszcze nastąpić. Gwałtownie jął przemyśliwać nad sposobem pozbycia się Malwiny, bo z całą resztą już by jakoś dał sobie radę.

- Co twoja ciotka robi na wielkiej bani? - spytał z troską.

- Nie mam pojęcia. W takim szwungu jeszcze jej nie widziałam. Na ogół po pijanemu idzie spać. A w ogóle upija się rzadko, raczej bywa na lekkim rauszu.

- I wtedy co?

- Nic. Różne pomysły wpadają jej do głowy, towarzyska się robi. Ale chyba nieszkodliwie. Boże drogi, pierwszy raz w życiu jestem w kasynie i coś takiego na mnie spadło!

- Szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu chciałem się znaleźć w kasynie prywatnie, bez obowiązków służbowych...

- Służbowo bywasz?

- A jak? Już sam pan Wolski wystarczy...

I na to właśnie nadciągnął Karol, zmierzający do toalety. Pojawił się przed nimi twarzą w twarz.

Konrada nie znał, ale Justynkę rozpoznał doskonale. Wcale nie poczuł się wstrząśnięty, Justynka nie była jego córką i nigdy w życiu nie przejmował się zbytnio kwestią jej wychowania. O ile sobie przypominał, była dorosła, pełnoletnia, mogła robić, co chciała, nie leżała mu na karku i nie doskwierały mu żadne, związane z nią, koszty. Znał swoją żonę i wiedział doskonale, że swoich, otrzymywanych od niego, pieniędzy dla Justynki nie poświęci, zatem cokolwiek by Justynka robiła, jego to nie dotknie.

- O, miłe spotkanie - rzekł lekko. - Mam nadzieję, że wiesz, co tu się robi?

- Mniej więcej wiem - odparła martwo Justynka i na myśl, że właśnie w tym momencie Malwina mogłaby pojawić się w drzwiach, zdrętwiała doszczętnie.

- Jeśli czegoś nie wiesz, będę mógł cię poinformować - obiecał Karol łaskawie. - Nie mam na myśli urządzeń sanitarnych, tylko kasyno. Ale nie tu i nie teraz. W domu, przy okazji. Chyba że to akurat miejsce najbardziej ci się podoba i tak zamierzasz spędzić wieczór. W takim wypadku instrukcji żadnych chyba nie potrzebujesz?

Nie wdając się w dalszą pogawędkę, bo i tak rozmowność okazał niezwykłą, znikł w wejściu do toalety męskiej. Justynka straciła głowę.

- Matko święta, nie wiem, co robić. Ciotka wyjdzie razem z wujem. Zrób coś! Zatrzymaj ją tam...!

Konrad omal nie spełnił jej życzenia, zwłaszcza, że chwila odosobnienia pozwoliłaby mu obejrzeć spodnie, ale opamiętał się.

- Mam wejść do damskiego kibla? To już może raczej ty? To w ogóle dobra myśl, trzymaj ją tam, a jak pan Wolski wyjdzie, ja zapukam...

W tych słowach Justynka odkryła jakiś sens, od razu należało tak postąpić, co za otumanienie potworne na nią spadło! Kto widział, puścić ciotkę luzem...

Malwina przysypiała błogo na sedesie, nie zapadając w sen głębszy tylko dlatego, że było jej bardzo niewygodnie. Sedesy w tej właśnie toalecie wykonane zostały zapewne dla osób okazałego wzrostu, bo osoby niższe z trudem sięgały nogami do podłogi, zjeżdżała zatem co chwila, budząc się z wielką niechęcią i oburzeniem. Dzięki czemu usłyszała delikatne pukanie do drzwi kabiny i rozpaczliwe apele Justynki. Odpowiedziała na nie nawet.

- Tuuuu... się... źle... Ja chcę do do-mu... Bę-dę gra-ła... Do-do-do. Do. Do-mu...

Justynka odetchnęła lżej. Pojawiła się szansa zabrania stąd ciotki. Spokojnie, bez pośpiechu, najpierw niech Konrad zapuka.

Pomieszczenie, poza nimi dwiema, na szczęście było puste, mogła czekać dowolnie długo. Miała jednakże obawy, że Malwina zaśnie rzetelnie, a wówczas trzeba będzie chyba sprowadzić dla niej nosze, i wciąż przerażona niecierpliwość nie pozwalała jej zebrać myśli.

Pukanie Konrada zabrzmiało jej w uszach pieniem anielskim, ale wówczas pojawił się natychmiast kolejny kłopot. Malwina zamknęła się od środka. Jak, na litość boską, nakłonić ją do otwarcia?

Dobre dziesięć minut spędzili obydwoje na nerwowej naradzie, Konrad wahał się przed wykrzesaniem z siebie wandalizmu i wyrwaniem zamka, który zresztą robił solidne wrażenie. Justynka gotowa już była żądać pomocy od recepcji.

- Przecież muszą mieć jakieś sposoby otwierania! A gdyby ktoś się tam zamknął i popełnił samobójstwo albo umarł na serce, to co? Zostawią go, aż przeistoczy się w szkielet? Będą hodować w damskim wychodku kościotrupa?!

- Znaleźliby przy sprzątaniu... Fakt, jakiś klucz powinni mieć. Przydałby się chuligan...

- A ty sam co? Nie potrafisz...?!

Konrad, zamiast skłonności niszczycielskich, zaprezentował niebotyczne zakłopotanie. Potrafiłby, oczywiście, siłą wyrwałby ten kretyński zamek albo zdjął drzwi z zawiasów, ale bał się natężać, bo cały czas miał w głowie tę ruinę spodni. Justynka patrzyła potępiająco. Dobitnie zdawał sobie sprawę, że traci w jej oczach wszelkie walory, i sam już nie wiedział co gorsze, wystąpić przed nią bez spodni czy w charakterze niedojdy.

Z rozpaczy doznał przypływu natchnienia.

- Czekaj tu chwilę, zaraz załatwię...

Nie zawracał sobie głowy recepcją, poruszając się tak jakoś nieco bokiem, skoczył do ochroniarzy, błyskawicznie wybrał najpotężniejszego. Załatwił sprawę w dwóch zdaniach, w cztery oczy. Obsługa sanitariatów, jak się okazało, istniała i dysponowała kluczem...

Wspólnymi siłami dyskretnie powlekli do góry po schodach prawie sto kilo Malwiny, która posługiwała się nogami z wielką niechęcią i niemrawo. Na stanowcze żądanie Konrada Justynka, przeżywająca katusze dodatkowe, pobiegła przed nimi z kluczykami w ręku, odnalazła jego samochód i całkiem zręcznie tyłem podjechała pod wejście.

Wyjaśnienie Konrad wybrał możliwie najmniej kompromitujące.

- Ta pani ma cukrzycę i zapomniała o zastrzyku insuliny. Trzeba prędko do domu.

Ta pani robiła wprawdzie wrażenie kompletnie pijanej, ale wiadomo, że cukrzyca daje czasem podobne efekty, a woń Chanel wciąż była myląca. Pomocnicy z grzeczności uwierzyli.

Kiedy znaleźli się wreszcie przed domem państwa Wolskich, Malwina w samochodzie Konrada spała już martwym bykiem. Uroczy wieczór wcale nie uległ zakończeniu, tyle że wszedł w fazę mniej przerażającą. A za to jeszcze bardziej kłopotliwą.

- Która godzina? - powiedziała nieco oprzytomniała Justynka. - Dopiero za piętnaście dziesiąta? Myślałam, że później. Helenka chyba nie śpi, chociaż nie wiem, czy nie poszła do córki... Nie, czekaj, to jest coś niemożliwego...

Konrad czekał posłusznie, obejrzawszy się się na Malwinę i obmyślając sposoby wywleczenia jej z samochodu. W Justynce objawiły się kolejno rozmaite uczucia: zakłopotanie, przygnębienie, bunt, litość, niepewność i gniew. Litość wzięła górę.

- Nie, jednak nie. Nie mogę ciotki w takim stanie pokazywać całemu miastu. Ty to co innego, trudno, dopust boży, nikomu nie powiesz, ale Helenka nie wytrzyma. Na jakąś przyzwoitość musimy się zdobyć, to znaczy, ja muszę...

- Chętnie ci będę towarzyszył - mruknął Konrad, za wszelką cenę spragniony pokazania się w lepszym świetle.

- I tak bez ciebie nie dam rady, wcale tego nie ukrywam - wyznała smętnie Justynka, nie mając pojęcia, że leje mu balsam na rany. - Nawet jeszcze gorzej. Udźwigniesz sto kilo?

- Jeśli mi ktoś pomoże zarzucić na plecy, owszem. Bez problemu.

- Dobre i tyle. Otóż rozumiesz, jeśli Helenka jest i nie śpi, spróbuję ją zająć w innej stronie domu albo na górze, a ty przez ten czas wniósłbyś ciotkę do sypialni. To na parterze. Dasz radę?

Z lekkim powątpiewaniem Konrad znów się obejrzał.

- Wnieść, dlaczego nie, nie ma sprawy. Tylko czy mi się uda ją wydłubać?

- Alternatywą jest zostawienie jej w twoim samochodzie do rana - wytknęła Justynka, popadając teraz w gniewne przygnębienie. - W rogu parkingu, przy naszym ogrodzeniu, żeby się w oczy nie rzucała. I to jeszcze na zapalonym silniku i włączonym ogrzewaniu, bo noce chłodne.

- Można by koce jakieś przynieść, ale i tak to nie jest najlepszy pomysł świata. Nie wiadomo, kiedy ona się obudzi. Chyba że i ja zostanę i w środku nocy zwolnię kumpla z dyżuru...

W tym momencie przypomniały mu się spodnie i urwał gwałtownie. Nie, tak nie szło, musiałaby mu Jolka jakieś spodnie z domu przywieźć, specjalnie po nie pojechać, bez sensu, kołomyja potworna i coraz więcej osób wtajemniczonych...

Justynka wyobraziła sobie ciotkę, oprzytomniałą, na przykład, o siódmej rano, wyłażącą na ciężkim kacu i na ludzkich oczach z cudzego samochodu, w którym, co gorsza, siedzi atrakcyjny młodzieniec... Bóg raczy wiedzieć w jakiej formie dotarłoby to do wuja i jakie byłyby skutki.

- Wyjście fizycznie najłatwiejsze, ale całkiem do kitu - oznajmiła stanowczo. - Wydłubiemy ją razem, czekaj, wszystko na raty, najpierw sprawdzę, co robi Helenka i czy w ogóle jest, bo że światło się u niej świeci, nie ma znaczenia. U nas zawsze świeci się jakieś światło, żeby nikt nie był pewien, że nas nie ma. Potem wrócę i wydłubiemy ciotkę razem, ja mam dużo siły. Potem ona posiedzi na słupku...

- Co...?

- Tu jest słupek. Betonowy. Ktoś chciał porobić takie słupki wszędzie dla utrudnienia dojazdu... Och, kiedy indziej ci powiem! Ten jeden został i teraz się przyda. Przytrzymasz ją, a ja przygotuję grunt i dam ci znak... Czekaj, jak... Zapalę światło w gabinecie wuja, o, to jest to okno, nie widzisz go przez żywopłot, ale światło błyśnie. Wtedy ją łap i nieś.

- Zaraz, czekaj. Gdzie nieś, nie znam waszego domu!

- Prosto, taki duży hol i na końcu drzwi na prawo. Ostatnie. Dalej jest salon.

W tym momencie na parkingowy placyk wjechał samochód Muminków. Muminkowie znajdowali się w środku. Konrad studiował biologię, Justynka prawo, żadne z nich nie miało do czynienia z psychologią, ale obydwoje w mgnieniu oka zgadli, co będzie. Obcy samochód, widoczne w nim dwie osoby, Muminkowa nie strzyma, żeby nie sprawdzić, kto to jest, rozpozna Justynkę i facetem obok niej zainteresuje się do szaleństwa, zacznie rozmowę wywiadowczą, w końcu dostrzeże Malwinę. Jeśli jednakże scena będzie intymna... Żaden jako tako kulturalny człowiek nie stanie obok i nie zacznie się jawnie gapić na parę, zajętą sobą bez reszty. Uda, że nie widzi, i pójdzie w diabły, do ewentualnego podglądania przystąpi później, znalazłszy preteksty...

- To znajomi! - wysyczała Justynka i bez sekundy namysłu padła Konradowi w objęcia.

Owych znajomych Konrad w mgnieniu oka pokochał.

Muminkowie parkowali bardzo długo, o co, zadziwiająca rzecz, nie tylko Konrad, ale także i Justynka nie mieli wielkich pretensji. Jednakże Justynka lepiej panowała nad sytuacją.

- To teraz gazu - powiedziała, wydarłszy się z ramion sprzymierzeńca. - Oni za chwile przypomną sobie, że coś zostawili w samochodzie, i będą tak sobie przypominali parę razy. Idę!

Helenka była. W swoim pokoju oglądała z kasety "Czterech pancernych i psa". Skoro z kasety, można ją oderwać i zawlec na górę, tylko po co... Wracając w pośpiechu do Konrada, Justynka zdążyła wymyślić notatki, które wpadły jej za regał z książkami i Helenka pomoże jej przesunąć, bo inaczej musiałaby opróżniać półki, książki są ciężkie...

- Byli już? - spytała nerwowo.

- Nie, jeszcze nie.

- Przy słupku ciemno. Trzymaj ją nieruchomo... Wywleczenie z samochodu twardo śpiącej Malwiny wcale nie było łatwe. Konrad wyraźnie poczuł, że spodnie pękły mu do reszty, naczelnym zadaniem jego życia stało się teraz ustawianie się do Justynki wyłącznie przodem, szczególnie po tej symulowanej intymności. Wspólnymi siłami, wzmożonymi emocją, posadzili Malwinę na szerokim, betonowym słupku, dostatecznie wysokim, żeby Konrad zdołał zarzucić ją sobie na plecy. Justynka znów popędziła do domu.

Konrad trzymał miękki, przelewający się ciężar, niestety, przyodziany w śliskie jedwabie. Na parking wróciła Muminkowa, dziko zainteresowana tym obcym samochodem, stojącym przy jezdni. Rozczarowanie, kiedy nie znalazła w nim ludzkich istot, było wyraźnie widoczne, zajrzała do środka, Konrad w tym momencie starał się nawet nie oddychać, błysnęła mu nawet myśl, że jeśli Malwina chrapnie... No i co zrobi, jeśli chrapnie, udusi świadka...?

Malwina nie chrapnęła, ale w dwie sekundy po zniknięciu Muminkowej najzwyczajniej w świecie wyślizgnęła mu się z rąk i łagodnie zjechała do tyłu, we własny żywopłot.

Konrad znienawidził jedwab. Malwina w lekko kłującym żywopłocie przecknęła się o tyle, że poczuła niezadowolenie. Przeszkadzano jej nieprzyjemnie, miała grać w kasynie, ale nie chciała teraz grać, jakiś facet ją szarpał, a, to ten, rozpoznała go, z pewnością chciał jej coś powiedzieć. Owszem, chciała usłyszeć, ale nie w tej chwili.

- Jutro... - wymamrotała niewyraźnie. - Teraz bę... gra... Wi-no. Tak.

Z potwornym wysiłkiem Konrad wywlekał ją z ciasnoty pomiędzy słupkiem a żywopłotem, usiłując niczego na niej nie podrzeć. Mignęło mu w głowie, że wolałby wór kartofli albo kosz węgla, twardszy i mniej się przelewa. Na niewidoczne dotychczas okno, które teraz błysnęło światłem, nawet nie spojrzał. Kiedy wreszcie udało mu się przemieścić klientkę na otwartą przestrzeń, pojawiła się Justynka.

- O Boże, dlaczego ją zdjąłeś ze słupka - powiedziała nerwowo. - Droga wolna!

Nie musiała zajmować Helenki regałami, bo okazało się, że w telewizorze odbywa się właśnie zdobywanie Ritzen i nieziemsko przejęta Helenka nie usłyszy nawet syreny alarmowej. Bezwzględnie należało wykorzystać tę chwilę! Pomogła Konradowi, zdołał przerzucić sobie Malwinę przez ramię metodą noszenia rannych na polu chwały. Pilnował się bardzo, żeby nie stęknąć aż do chwili, kiedy w świetle nocnej lampki trafił ciężarem w szeroki tapczan. Szeroki, miękki, wygodny... Wówczas pozwolił sobie na otarcie potu z czoła.

- Zmiłuj się. Panie... Czy mam rozumieć, że nam się udało?

Justynka wiedziała, że tak. Nagle wszystko w niej oklapło, całe napięcie zdechło, teraz wreszcie mogła odsapnąć i zająć się stopniowym i spokojnym rozplątywaniem kłębowiska znienacka rozkwitłych problemów. Co to w ogóle było, to wszystko, co za wieczór upiorny...?!

- Tak - powiedziała słabo. - Tę lampę lepiej zgasić, po co ciotka ma się rzucać w oczy... Masz chwilę czasu, czy musisz gdzieś lecieć?

- Mam czas do jutra, do... (zaraz, spodnie...!) szóstej trzydzieści rano.

- Możemy usiąść i odpocząć przez pół godziny? Potrzebuję relaksu, zaczynam rozumieć ciotkę... Czy to bardzo naganne, napić się wina?

Konrad pomyślał wszystko razem. Niech szlag trafi spodnie, siedzi się na nich, tyłu nie widać. Ma okazję, u niej, taki wieczór, rozmowa od serca... Wolski wróci, prędzej czy później, a razem z nim wróci zmiennik, od Justynki się dowie, czy Wolski poszedł spać, zmiennik go podrzuci, rano przyjedzie taksówką i weźmie samochód, wszystko jest do załatwienia i człowiek nie musi niszczyć sobie życia przez rozmaite kretyńskie przepisy, we Francji dopuszczają zero pięć promila...

- Nie - powiedział stanowczo. - To nawet bardzo wskazane. Ja też bym chciał cokolwiek zrozumieć, bo szczerze ci wyznam, że dzisiejszy wieczór nieco mnie zaskoczył...

Jeszcze bardziej zaskoczona okazała się Helenka, która po skończeniu kasety ujrzała Justynkę i Konrada, pogrążonych w rozmowie przy białym winie i słonych orzeszkach. Pani Malwina to owszem, ale Justynka...? Gdzie w ogóle pani Malwina, która, zdawało jej się, jakiś czas temu opuściła dom?

- O, ciocia już dawno śpi - oznajmiła pogodnie Justynka. - Myślałam, że Helenka też. Tylko wuja nie ma, ale przypadkiem wiem, gdzie jest. Niech sobie Helenka głowy nie zawraca, w razie czego wszystko załatwię.

Helenka zatem, uspokojona, poszła spać, Justynka zaś dowiedziała się od Konrada tego, czego on się dowiedział od Joli. Dziki wygłup ciotki przysporzył wujowi pieniędzy, dał mu jakiś strasznie ważny kontrakt, na którym mu zależało wyjątkowo...

- Moment - rzekł Konrad, tknięty przeczuciem.

- Jest tu jakieś inne wyjście, nie frontowe?

- Jasne, cały czas mówię. Przez taras. I dalej już wychodziłeś, nie? Jeśli nie masz ochoty wyłazić przez parkany, mogę ci otworzyć furtkę, bo zawsze wuj zaczyna od mycia rąk w łazience. Zdążysz.

- To miło. Chętnie wypraktykuję metodę. Powiem ci szczerze, klientka dostarcza wrażeń nietypowych i nie do przewidzenia. I jeszcze ci wyznam, że zaangażowałem się w to wręcz osobiście, a dodatkowo bruździ mi moja siostra. Cholera, istny cud, że udało mi się w niedzielę skończyć pracę magisterską, to te mszyce... Nie, nie słuchaj profesjonalnych wynurzeń. Ściśle biorąc, całość wydaje mi się rozrywkowa. I nie tylko...

Justynka doskonale wiedziała, dlaczego nie tylko, ale nie chciała teraz się w to wgłębiać. Na ocenę rozmaitych uczuć musiała mieć czas, swój własny, dla siebie, strasznie dużo po niej biegało i kąsało to w serce, to w umysł, to w charakter, to w chęci, pragnienia i nadzieje. Nie teraz! Nadmiar wiedzy przeszkadzał, musiała wszystko rozważyć spokojnie.

Dopomógł wuj. Za dziesięć dwunasta usłyszała szmer podnoszonych wrót garażowych. Poderwała się, Konrad też to usłyszał.

Kiedy bardzo zadowolony z wieczoru Karol Wolski wkroczył do kuchni, ujrzał siostrzenicę, zastawiającą stół drobniutkimi przystawkami. Trochę się zdziwił, ale bardziej ucieszył. Emocje gry wzmagały w nim głód i nieprzyjemna była myśl, że o tej porze będzie musiał sam sobie wynajdywać coś do jedzenia.

- Jakoś krótko byłaś w tym kasynie? - zauważył ze średnim zainteresowaniem, ale dość życzliwie. - Nie podobało ci się tam?

Justynka mogłaby odpowiedzieć, że nie podobało jej się wprost potwornie, ale nie byłaby to ścisła prawda. Salonów gry w ogóle nie widziała, o samej grze nie miała pojęcia, a niemiłe doznania całkiem czego innego dotyczyły. Postanowiła wyłgać się dyplomatycznie.

- Nie, dlaczego? Bardzo to atrakcyjne. Ale ja tam tylko na chwilę wpadłam, po drodze do domu, żeby popatrzeć, jak to wygląda. Tak rzucić okiem, z ciekawości.

- No cóż, jako prokurator powinnaś chyba znać rozmaite jaskinie złoczyńców. Do tych rzeczy tutaj pasuje białe wino.

Podając wino i kieliszki, Justynka zastanowiła się, w jakim stopniu musiałaby się upić, żeby rozmawiać z wujem jak z normalnym człowiekiem. Powiedzieć mu, na przykład, że z tym przydeptywaniem ciotki stanowczo przesadza, żadna ludzka istota nie wytrzyma na dłuższą metę podobnego gniotu. Albo spytać, czy rzeczywiście myśli o rozwodzie. Albo wypomnieć, że lampa mu się przysłużyła, a nawet słowem się o tym nie zająknął. Albo cokolwiek innego. Ciekawa rzecz, czy wuj od razu wyrzuciłby ją z jadalni...

- Jutro dostaniesz swoją komórkę - powiedział Karol. - Będziesz musiała zapłacić osiemdziesiąt złotych i płacić abonament przez dwa lata.

- Dziękuję bardzo - powiedziała grzecznie Justynka. - Tyle z siebie wyduszę. Rachunki będą przychodziły do mnie czy do wuja?

- Do mnie. Do firmy. Dostaniesz kopie. Razem z wykazem rozmów.

- A ten abonament ile wynosi?

- Trzydzieści złotych miesięcznie.

- To nie tak źle, myślałam, że jest droższy. Taką sumę to właściwie i ciocia mogłaby zaoszczędzić na tej kapuście.

- Jeszcze nie dostałem kapusty - wytknął Karol.

- Ponadto koszt komórki jest ściśle uzależniony od ilości i czasu rozmów. Twoja ciotka nie umie liczyć, a ja nie chcę być karmiony wyłącznie kapustą do końca życia.

Tu Justynka nie wytrzymała. Zdążyła tylko pomyśleć, że widocznie jest mniej trzeźwa niż jej się wydawało.

- To już chyba ostatnia rzecz, na jaką wuj mógłby narzekać. Karmienie ciocia załatwia koncertowo. Od czasu do czasu powinna usłyszeć słowa uznania, takie wyraźne, bez metafor i ozdobników.

- Od kogo?

- Od wuja.

- Jak to? - zdziwił się Karol. - Przecież mówiłem ostatnio, że pod tym względem można mieć do niej pełne zaufanie? To mało?

- No pewnie, że mało, bo wuj to mówił kąśliwie i z krytycznymi dodatkami. A każdy człowiek potrzebuje odrobiny uczucia i aprobaty. Ciocia też.

Karola tak zdumiało zuchwalstwo siostrzenicy, że nawet się nie rozzłościł.

- Słusznie oddzieliłaś jedno od drugiego, co innego człowiek, a co innego twoja ciotka. Czyżbyś do tej pory nie zdążyła jej poznać?

- Toteż właśnie - wyrwało się Justynce. - Ciocia tym bardziej...

- Naprawdę sądzisz, że wolałaby aprobatę niż pieniądze?

Justynka chciała powiedzieć, że pieniędzmi wuj również zbytnio nie szasta, ale ugryzła się w język, bo tego już mógłby nie wytrzymać. Poza tym miała się przecież nie wtrącać!

- A nie może być jedno i drugie? - spytała nieco żałośnie.

- Nie - odparł Karol sucho i widać było, że konwersacja została zakończona.

Justynka zrozumiała to doskonale, zamilkła zatem. Popijała białe wino herbatą, myśląc, że w tym właśnie leży cały szkopuł, ciotka by nie zrozumiała, próbowałaby gadać dalej i zmuszać do rozmowy męża. Rezultaty byłyby opłakane. I właściwie trudno wujowi się dziwić, nie chce kontynuować nieprzyjemnego tematu, wolno mu nie chcieć, a do wiercenia dziury w brzuchu trzeba mieć anielską cierpliwość. Wuj nie ma. No to nie. Brak anielskiej cierpliwości jeszcze nie jest karalny...

- Jeśli już koniecznie chcesz mnie wychowywać, musisz to robić na raty - powiedział drwiąco Karol po bardzo długiej chwili i podniósł się od stołu, zabierając ze sobą herbatę. - Dobranoc.

- Dobranoc - wymamrotała zaskoczona Justynka i została na miejscu, aż znikł jej z oczu.

Dopiero po dziesięciu minutach znalazła się w swoim pokoju i nareszcie mogła trochę spokojnie pomyśleć. Doznała w ciągu tego jednego wieczoru tylu wrażeń, że gdzieś w środku utworzyło się jej istne kłębowisko. Musiała je rozwikłać. Niby

drobne one były, ale dokuczliwe, należało się do nich jakoś ustosunkować, najlepiej rozważyć je chronologicznie.

Zaczęło się od Piotra... Oczywiście, że tego właśnie była spragniona, to było to, co ją najbardziej gnębiło i gryzło, o tym chciała pomyśleć! Przyjaźń, rzeczywiście! Dobra siostrzyczka, której można się wyzwierzać i w razie potrzeby wypłakać na łonie, a cud kobietę, wymarzone bóstwo, znajduje się gdzie indziej. Już też nie miała się w kim zakochać...

Jednakże czarna rozpacz jej nie ogarniała, co było nawet trochę dziwne. Nie, nic podobnego, wcale nie było dziwne. Piotr jakoś zbladł i stracił prawie cały urok, najpierw tu, pod domem, kiedy zadawał idiotyczne pytania i udzielał kretyńskich rad, a potem tam, pod Pałacem Kultury, kiedy tak wściekle wyraźnie nie chciał się mieszać w żadne kłopoty. Cofnął się przed trudnościami, mimoza cholerna... Nie, takiego subtelnego kwiatuszka Justynka sobie nie życzyła.

A Konrad się nie cofnął... No tak, ale to należało do jego obowiązków służbowych. W życiu Piotr by nie wziął na siebie takich obowiązków służbowych! Jednak Konrad miał wolne... Jednak pomógł rzetelnie i do końca... I jednak, po tym końcu, nie popadł w żadną nachalność ani natręctwo, nie usiłował kontynuować intymnych symulacji... No oczywiście, symulował również służbowo! Cholera. Tylko jedno... Takie raczej okropne i wysoce niepokojące. Dlaczego poruszał się tak jakoś dziwnie i chodził jakby bokiem? I drobnymi kroczkami? Defekt wrodzony, ujawniający się nie zawsze, czasami, jak, na przykład, reumatyzm? Bo kiedy indziej poruszał się normalnie... A może jakaś choroba...?

Co ona ma właściwie o nim myśleć, czego się spodziewać, na co sobie pozwolić? Żadnych nieszczęść więcej, żadnych rozczarowań. Piotr, jako nieprzyjemność życiowa, w zupełności wystarczy! Konrad... nawet nie było kiedy spytać go dyplomatycznie, czy ma jakąś dziewczynę. Na pewno ma, taki chłopak musi mieć. Nie, na żadne nowe i niepewne zakochania Justynka teraz nie pójdzie, absolutnie sobie zabrania!

I, na litość boską, co się stało ciotce?! Urżnęła się, to jasne, ale dlaczego? Wuja przecież w domu nie było, no nie, na obiedzie zapewne był, co za numer jej wywinął, po którym załatwiła sobie przerwę w życiorysie? I w tym stanie pchała się do kasyna, wiedziała chyba jeszcze, co robi, skoro zostawiła samochód i wezwała taksówkę, miała coś na myśli. Do licha, trzeba było wybadać Helenkę, ale Helenka prezentowała spokój, nie mogło zatem nastąpić nic wstrząsającego. No i wuj... Rozmawiał z nią prawie jak człowiek... Ciekawe, czy Muminkowie ją rozpoznali... Na Muminkach Justynka zakończyła swoje myślenie, uznawszy, że wszystko wyjdzie na jaw jutro. Ciotkę i wuja również można zostawić do wyjaśnienia, nie musi spędzać przez nich bezsennej nocy. Prawdę mówiąc, rozwikłać należało Piotra i Konrada, to było ważne, więc teraz może już iść spać. A na jutro umówiona jest z Jolą...

* * *

Tym razem to Karol obudził się, bo coś obok niego chrapało.

Nie był do takiego zjawiska przyzwyczajony, Malwina na ogół nie chrapała. Poza tym zazwyczaj wstawała wcześniej, żeby mu zrobić śniadanko, a odsypiała swoje później, kiedy on już wyszedł do pracy. Teraz spała jeszcze, a wokół niej unosił się osobliwy odór, jakby nalewki z jakiegoś kwiecia. Wypiła swoje perfumy...?

Nie usiłował jej budzić, wiedział doskonale, że w kwestii śniadania zastąpi ją Helenka. Trochę go zaciekawił rodzaj użytego przez żonę alkoholu, ale wiedzy na ten temat nie musiał uzyskiwać natychmiast, mógł z tym zaczekać do popołudnia. Przystosował się do nowego dnia egzystencji nieco wcześniej niż zwykle, bo tak był umówiony, zetknął się przy śniadaniu z Justynka i podrzucił ją do Śródmieścia.

Przez połowę drogi Justynka milczała. W drugiej połowie ośmieliła się odezwać.

- Mam do wuja prośbę. Jak wuj nie chce, to nie, ale prośbę mam.

- Słucham - rzekł Karol cierpko.

- Czy wuj mógłby w jakiś sposób dawać do zrozumienia, że można z wujem rozmawiać? Gadatliwy to wuj nie jest, odwrotnie też, to znaczy brzęczenia nad uchem wuj nie lubi. Zrozumiałe. Ale czasem wuj zgadza się na dźwięki, a czasem nie. Czyja bym mogła wiedzieć, jak mam to rozpoznawać?

Karol odpowiedzi nie udzielił od razu, a Justynka nie nalegała. Dopiero kiedy wysiadała, wydał z siebie głos.

- Wieczorem.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Justynka, zrozumiawszy informację bezbłędnie.

Wczesnym popołudniem zrobiła sobie przerwę w zajęciach, ponieważ intrygowała ją ciotka. Później miała jeszcze wykład, a po nim Jolę. Chciała wrócić do domu przed obiadem, na obiedzie bowiem mógł być wuj, co uniemożliwiłoby szczerą rozmowę, więc tylko te chwile wcześniej dawały jakieś szansę.

Malwina czekała na Justynkę jak na zbawienie.

Miała mgliste wrażenie, że wczoraj wieczorem Justynka była. Mogło jej się tylko wydawać, ale przedtem Justynki nie było, więc później musiała się pokazać, bo niemożliwe, żeby jej wrażenia dotyczyły, na przykład, zeszłego tygodnia. Zatem wyłącznie Justynka mogła jej powiedzieć, co się właściwie działo wczorajszego wieczoru. Ostatnie, co pamiętała, to swoje własne zdenerwowanie na tle tej nieudanej kradzieży samochodu Karola...

Gnębił ją kac i niepewność i teraz właśnie gwałtownie zapragnęła telefonu komórkowego dla siostrzenicy. Proszę, mogłaby się z nią dogadać od razu, a tak musi czekać i udawać przed Helenką, że wszystko jest w porządku i nadal kocha Karola. Sytuacja nie do zniesienia!

Z rozpaczy usiadła i zaczęła jeść, chociaż wcale nie czuła wielkiego głodu ani nawet nie miała apetytu. Przy stole zastała ją Justynka.

- Czy ciocia gotuje tę kapustę? - spytała pospiesznie od progu. - Wuj się upomniał jeszcze wczoraj.

Malwina drgneła tak silnie, że zleciał jej z widelca na szlafrok kawałek naleśniczka z bitą śmietaną.

- O Boże, świeżo po praniu... Cóż ty tak nagle... Dobrze, że jesteś, zaraz co ty mówisz? Kapusta...?

- Kapusta. Wuj zapamiętał. Młoda.

Malwina nie miała pojęcia, czy w najbliższym sklepie jest młoda kapusta, ale pretekst do wysłania z domu Helenki znalazł się doskonały. Tak, oczywiście, jeśli jest, niech Helenka kupi, a jak nie ma, ona sama pojedzie gdzieś tam i kapustę zrobi się jutro. O tej porze roku właściwie w ogóle nie powinno jej być, tylko zeszłoroczna, ale wszak staranie o produkt to woda na jej młyn, proszę, jak dba o Karola, jak się rzuca szaleńczo do spełniania jego życzeń!

Helenka wzruszyła ramionami i poszła bez protestu, bo już patrzeć nie mogła na żrącą Malwinę. Zastanawiała się nawet po drodze, jak by tu żarcie ukrócić, ze zwyczajniej ludzkiej litości, bo do czego to dojdzie, chlebodawczyni jej pęknie, a z zębów jej siłą wydzierać chyba nie wypada. Dobrze to było kiedyś wszystkie kredensy i spiżarnie na klucz zamykać...

Malwina nie wdawała się w dyplomatyczne wstępy

- Mów mi tu zaraz, co to wczoraj było! Czy ja gdzieś byłam? Dlaczego ja się dzisiaj obudziła prawie całkiem ubrana? Co to za jakąś złośliwość ktoś mi tu zrobił?

Zaskoczona nieco Justynka postanowiła nie dać i się zwariować. Skoro już wstąpiła na okropną drogę wtrącania się, trudno, pójdzie nią dalej. Nie pozwoli ciotce zmieniać faktów i zwalać winy na cały świat.

Usiadła przy stole.

- To ja właśnie ciocię chciałam zapytać, co tu było. Nie będę owijać w bawełnę, ciocia się urżnęła w żywego trupa. Chciałabym wiedzieć, dlaczego. Co się stało? Wuj był niemiły przy obiedzie?

- A ty skąd wiesz, że ja się trochę upiłam? - obraziła się Malwina.

- Widziałam na własne oczy. I miałam z ciocią, można powiedzieć, dużo do czynienia.

- Jak znowu miałaś do czynienia, skąd ty mogłaś mieć coś do czynienia, przecież cię nie było!

- Potem już byłam. I akurat trafiłam na tę cioci... aktywność.

- Jaką znowu aktywność - mruknęła Malwina gniewnie, zarazem jednak uświadomiła sobie, że tego właśnie chciała się dowiedzieć. Nie należy Justynki gasić.

Doskonale pamiętała, skąd jej się wzięła wczorajsza rozpacz. Przez tych złodziei idiotycznych, przez tę kradzież nieudaną, przy której się wszyscy pobili, tylko Karol nie. Niezniszczalny słup, bunkier, on nawet z trzęsienia ziemi ocaleje! I jeszcze za taką wiedzę okropną musiała trzysta złotych dopłacić. Kamień by się upił, pień spróchniały, ale w żadnym wypadku nie może ani Justynce, ani nikomu wyznać prawdy!

- Możliwe, że miałam zmartwienie - rzekła godnie. - Przez twojego wuja, owszem, ciągle się martwię, że on mnie nie kocha. Jak to się mówi... o! Zalewałam robaka.

- W kasynie?

- Co?

- W kasynie ciocia te robaki do zalewania znalazła? Bo tam ciocię dopadłam.

- A cóż ty w kasynie robiłaś? I w ogóle w jakim kasynie?

Justynka westchnęła ciężko i przeszła do kuchni zrobić sobie herbaty. Uznała, że bez wzmacniającego płynu, nie da ciotce rady. Przytknęła czajnikiem, nalała do szklanki esencji i wróciła do jadalni.

- W Pałacu Kultury. Pojechałam tam za ciocią i weszłam do środka. Ciocia miała chyba kłopoty ze schodami.

- Co to znaczy, że pojechałaś za mną? Cóż to, ty mnie śledzisz?

Justynka przez chwilę milczała potępiająco, powstrzymując się od uwagi, że jeśli ciotka śledzi wuja, ktokolwiek inny może śledzić ją. I byłaby to zwyczajna sprawiedliwość, a nie żadne świństwo.

- Tu ciocię zobaczyłam, pod domem, jak ciocia wsiadała do taksówki. Już było widać, że coś nie gra.

- To dlaczego mnie od razu nie zatrzymałaś?

- Nie zdążyłam - zełgała Justynka bez wahania. - Zresztą, nic by to nie dało, ciocia była bardzo uparta.

- No dobrze, i co dalej? - spytała ostrożnie Malwina po krótkim namyśle.

Justynka przez czas jej namysłu nalała sobie herbaty i ze szklanką w ręku znów usiadła przy stole.

- Dalej ciocia najpierw chciała grać, nie wiem w co, a potem ciocia zasnęła bardzo porządnie...

Malwina zachłysnęła się zgrozą.

- Między ludźmi...?!

- Ależ nie. W damskiej toalecie, na sedesie, i nikt absolutnie cioci nie widział. No owszem, potem, przy wychodzeniu, trzeba było cioci pomagać i wziął w tym udział jeden taki z obsługi kasyna. Ale jemu się wyjaśniło, że ciocia jest chora na cukrzycę i opóźnienie zastrzyku daje takie objawy. Chyba uwierzył, bo ciocia, za przeproszeniem, nie śmierdziała. To znaczy owszem, ale perfumami. Potem dowiozłam ciocię do domu i została ciocia wepchnięta do sypialni, na tapczan, tak że nawet Helenka nie widziała i nic o tym nie wie. Ale z rozbieraniem cioci miałam kłopoty, więc tylko buty i żakiecik. A teraz chciałabym się dowiedzieć, co ciocia mogła mieć na myśli i dlaczego tak się ciocia pchała do kasyna.

- Żeby grać... - wyrwało się Malwinie, której zaczęły majaczyć w pamięci jakieś strzępy własnych pragnień i zamiarów.

Justynka zdecydowała się zrezygnować z litości.

- Nie mogła ciocia tam grać, bo przyszedł wuj. Uważałam, że nie powinien cioci zobaczyć, robiła ciocia nie najlepsze wrażenie. I dlatego wepchnęłam ciocię do toalety.

Przez nadmiar i rodzaj uzyskiwanej wiedzy o sobie samej przebiło się w Malwinie przerażenie.

- I widział mnie...?!

- Właśnie nie.

- A ciebie?

- Mnie owszem. Pod tym wychodkiem. Ale nie miał mi tego za złe.

- No proszę, tobie to nie... - znów wyrwało się Malwinie z pretensją, jednakże ulga pozwoliła jej opanować i ukryć prawdziwe uczucia.

- Ale ja byłam trzeźwa - wytknęła Justynka niemiłosiernie.

- A co to za różnica... No nie, bardzo dobrze zrobiłaś...

- No więc skąd się cioci wziął nagle ten pęd do kasyna i do gry? I to... ta... to... nadużycie alkoholu...?

- Chciałam grać - wyznała łzawo Malwina, nadużycie alkoholu usiłując pominąć milczeniem. - W kasynie. Chciałam wygrać dużo pieniędzy... albo chociaż trochę, ale wygrać i mieć. Moje własne. I nie musieć tak ciągle wydzierać z wuja, bo już mi siły brakuje. I możliwe, że coś tam wypiłam ze zdenerwowania, ale tak naprawdę, to mi chodziło o pieniądze.

Justynka ponownie powstrzymała się od uwagi, że gdyby ciotka nie wygłupiała się z płaceniem za usługi detektywistyczne, pieniędzy wystarczałoby jej na znacznie dłużej. Chęć ich posiadania, własnych, nie wydzielanych, nie użebranych, rozumiała doskonale, ale wydawało jej się, że słuszniej byłoby podjąć jakąś pracę. No nie, do systematycznej pracy ciotka się nie nadawała... Wuj jej pewnie odmówił kolejnej dotacji i stąd ta rozpacz kasynowa.

- O ile pamiętam, ciocia coś mówiła o pelerynce z czarnych norek...

- O, właśnie! - ożywiła się Malwina. - Miał mi kupić po tym brydżu i co? Sama widzisz! A, lampa... No i cóż takiego, że lampa, wielki mi koszt, była zapasowa. A ja ciągle jestem ta gorsza!

Justynka nagle straciła cierpliwość.

- Ja nie chcę być niegrzeczna, ale muszę cioci powiedzieć prawdę - rąbnęła energicznie, nie zauważywszy powrotu do domu Helenki. - Ciocia, bardzo mi przykro, powinna schudnąć. Żadna pelerynka nie będzie na cioci dobrze wyglądała, bo nadwaga bije w oczy, a nie strój. Na miejscu cioci ja bym najpierw schudła, a potem się dopiero pokazała w czymś ekstra, żeby było widać, że to ma sens. A nie tak!

- Święte słowa Justynka mówi - odezwała się z kuchni Helenka. - Sama bym to pani powiedziała, ale nie śmiałam. A młodej kapusty nie było, kupiłam starą, na wszelki wypadek, bo wiadomo, że pani potrafi starą na młodą przerobić. Nawet się pan Karol nie spostrzeże.

Cały tekst do Malwiny dotarł doskonale, bo oba tematy były jej bliskie. Najpierw poczuła się ciężko urażona i od razu zbuntowana, potem okropnie niezadowolona, wreszcie doznała błysku przyjemności. No pewnie, że z tą kapustą potrafi, jeszcze im pokaże...

Ten pierwszy komunikat, o nadwadze, usiłowała wyrzucić z siebie, ale stawiał opór. Krystyna mówiła to samo... I, szczerze mówiąc, nic już nie miała, w nic nie mogła się ubrać, bo wszystko było na nią za ciasne, wszystko musiałaby sobie kupić nowe, a Karol nie da. A jednak pójdzie do tego kasyna, tyle że już na trzeźwo, dowie się, gdzie jest Karol, i pójdzie gdzie indziej. Zaraz, ale przecież wczoraj zdobyła informację, że Karol jest w Marriotcie, więc skąd się wziął w Pałacu Kultury?

- Czy ty jesteś pewna, że to był Pałac Kultury i że wuj tam był? - spytała nieufnie, zapominając o sekrecie przed Helenką.

- W stu procentach! - zdenerwowała się Justynka. - Ciociu, ja nie mówię o rozrywkach, tylko o odchudzaniu. Czy ciocia naprawdę nie chce wyglądać młodziej i czuć się lepiej?

- No i jak ty to sobie wyobrażasz, mam się głodzić? Nic do ust nie wziąć? Przy twoim wuju?!

- Wujowi też się przyda parę kilo stracić. Ja mogę cioci dać przepisy, to wcale nie jest takie niedobre, szparagi z szynką, na przykład. Z pomidorkiem i nawet z odrobiną majonezu, chociaż lepiej byłoby bez...

Malwinie przed oczyma duszy zamajaczyły dwa obrazy równocześnie, jakieś niezwykłe potrawy na bazie tej obrzydliwej diety, upiększone jej talentem, i ona sama, odchudzona, smukła, jak dawniej, wręcz młodsza od obrzydliwej dziopy, tłumaczki, budząca błysk zawiści w oczach Agaty, Krystyny... I niech sobie Karol robi, co chce, niech znajdzie lepszą!

Szparagi z szynką, może być...

- A kapusta? - spytała z mimowolnym zainteresowaniem.

- Kapusta owszem, tylko mniej zasmażki. I żadnych kartofli.

- Na kartofle Karol tak bardzo nie leci...

- To mam kroić tę głowę, co kupiłam, czy nie? - spytała Helenka.

- Późno trochę... Nic, niech Helenka pokroi, najwyżej będzie na jutro. I do kapusty takie sznycelki wieprzowe. To pasuje?

- Pasuje - zawyrokowała Justynka, czując się, jakby trzymała za rogi całe stado byków. Ciotka przynętę w postaci diety złapała, teraz jazda dalej!

- Ale wszystko jedno, kiedy wuj przyjdzie, ciocia nie może tak siedzieć w szlafroku i nie odnowiona. Wuj ma wysoko rozwinięte poczucie estetyki.

Pochwała Karola wzbudziła w Malwinie lekki protest, okropnie jej się nie chciało teraz czynić żadnych wysiłków, ale z drugiej strony owszem, powinna wyglądać atrakcyjnie. Dlaczego, do diabła, nie może być piękna bez żadnych starań? Dlaczego w ogóle musi sama odwalać tę całą robotę z zamordowaniem Karola, dlaczego jej nikt nie pomoże, co za ciężar nieznośny i co to za życie z samymi kłopotami i bez pieniędzy!

Chlipnęła sobie, ale krótko, bo pamiętała, że nie tylko szlafrok ma zdjąć, ale i twarz odpracować. Potem nagle zamigotała jej ponętna, mściwa myśl, a proszę bardzo, właśnie przystąpi do podstępnej akcji odchudzania, do przyrządzania tego wszystkiego, czego Karol nie cierpi, chociaż nie, szynkę lubi, szparagi też...

Justynka poczuła, że ciotka wymyka się jej z rąk i ogarnęła ją rozpacz. Skoro już wzięła rozpęd z tym wtrącaniem się, chciała pójść dalej i odwalić grubszą robotę. Zwrócić jej uwagę, że wuj ostatnio częściej bywa w dobrym nastroju, że nie warto mu psuć humoru głupimi uwagami, że nie ma sensu eksponować własnych krzywd, pretensji i żalów i że nie wszystko naraz trzeba mu zwalać na głowę, tylko po kawałku i dyplomatycznie. Ciotce do dyplomacji było wprawdzie jak krowie do oberka, ale Justynka miała w sobie wrodzony optymizm i nie traciła nadziei. Tymczasem rozmówczyni, pogrążona we własnych myślach, z wysilonym sieknięciem zerwała się nagle od stołu i znikła w sypialni, wykluczając dalsze zabiegi.

Przez chwilę jeszcze Justynka siedziała przy stole, zastanawiając się, co robić, ale zadzwonił telefon. Ten oddzielny, w gabinecie wuja. Dzwonił i dzwonił, a ciotka nie odbierała, poszła zatem odebrać siostrzenica.

- Wracam na obiad o szóstej - powiedział Karol i rozłączył się, nie bacząc, do kogo mówi.

Justynka odłożyła słuchawkę i, wiedziona instynktem, popędziła do garderoby, gdzie znalazła Malwinę, ponuro wpatrzoną we wnętrze otwartej szafy.

- No i proszę, mówiłam - rzekła z triumfem. - Wuj się robi lepszy, zawiadomił, że wraca na szóstą, może ciocia zdążyć z tą kapustą pięć razy.

- Nie mam się w co ubrać - odparła grobowo Malwina. - Nic się nie nadaje, sama zobacz. Co...? Kapusta...? To muszę schab rozmrozić, powiedz Helence, żeby wyjęła. A ty mi każesz estetycznie wyglądać, sama bym chciała, nie, to jest niemożliwe, ja jednak pójdę...

Urwała gwałtownie, zamknęła szafę i, nie zwracając uwagi na Justynkę, udała się do sypialni.

Justynka poddała się, chociaż tylko chwilowo. Przyrządziła sobie w kuchni skromny posiłek i pojechała na wykład.

* * *

- Będę brutalna - ostrzegła Jola, mieszając kawę przy stoliku w małej kawiarence przy Nowym Świecie. - Możesz mnie znielubić od pierwszego słowa i wypiąć się na moje chęci, ale jakoś mi nie leżą rozmaite podchody i podstępy. Chcę wiedzieć, jaki naprawdę jest twój wuj.

- Egocentryczny, egoistyczny, ogólnie skąpy, bardzo inteligentny, wściekle łakomy, introwertyczny, fanaberyjny i pedant - odparła Justynka bez namysłu. - Całkiem zły być nie może, bo lubi koty. Nie toleruje żadnych nieprzyjemności. Swoich. Cudze ma gdzieś. Coś jeszcze?

- Tak. Sprzeczności bym chciała wyjaśnić. Jest oprócz tego bezwzględny, bezlitosny i mściwy. W interesach, to mogę stwierdzić sama. Ale musi w nim istnieć bodaj ślad wielkoduszności, pobłażliwości i ogólnej szlachetności, co kłóci się z całą resztą i nie mogę tego zrozumieć.

- Skąd ci się wzięły te wspaniałe zalety? - zdziwiła się Justynka.

- Z brydża - odparła Jola szczerze. - Okazał je. Grywam w brydża już prawie piętnaście lat i z ludzkich zachowań wyciągam wnioski, które dotychczas się potwierdzały. Twój wuj mnie ogłuszył. Nie mógł wydłubać z siebie czegoś, czego nie ma wcale!

- Udawał. Czekaj, ja przecież nie jestem niedorozwinięta, wiem doskonale, że to był brydż dla biznesu, urabiał sobie kogoś tam. I urobił. Musiał wystąpić jako postać wszechstronnie sympatyczna.

- Nie mógł - uparła się Jola. - Od przymusu byłby zły jak diabli, a ja doskonale znam te jego zaciśnięte ukradkiem zęby. Do końca był na luzie, prawdziwym. Chyba że potem z niego wyszło...?

O przymusie wuja Justynka nie potrafiła nic powiedzieć, ponieważ w domu żadnego przymusu Karol sobie nigdy nie zadawał.

- Właśnie nie - rzekła, nieco zdziwiona. - Był zdumiewająco łagodny, chociaż powinien wpaść w furię. Może ta lampa go rozładowała?

- Może i lampa. Załatwiła mu sprawę. Słuchaj, czy to było specjalnie? Mam na myśli, z twoją ciotką zostało uzgodnione, że rąbnie? Bo efekt okazał się imponujący.

- Wedle mojej najlepszej wiedzy ciotka zaskoczyła wuja niebotycznie, gwarantuję, że nie uzgadniała z nim niczego. Był łagodny, jak na niego, ale obiektywnie biorąc, wściekły, obawiałam się, że awantura będzie znacznie gorsza.

Joli zaczęło się w głowie trochę układać, ale wciąż czuła niedosyt wiedzy o szefie.

- Czekaj, jeszcze coś. Żarcie było rewelacyjne, jakiś taki sosik twoja ciotka zrobiła, nieziemsko dobry. Czy to u was zaw-

sze tak?

- A myślisz, że od czego wuj jest taki gruby? - spytała Justynka z goryczą. - I ciotka też. Karmi jego i siebie ambrozją i nektarem dzień w dzień. Dziś robi kapustę, mogę ci zaręczyć, że to będzie poemat, a nie żadna kapusta.

- A ty nie tyjesz?

- Bo ja po pierwsze jadam nie tak regularnie, a po drugie dwa... nie... trzy razy mniej niż oni. I lubię sałatę.

- Z tego wynika, że szef dostaje w domu same dobre rzeczy... - zaczęła Jola z namysłem.

- Nie same - mruknęła gniewnie Justynka.

- A co...?

Justynka opamiętała się. Nie wnikała w przyczyny pytań Joli, rozumiała, że dogłębna znajomość zwierzchnika może być w pracy szalenie przydatna, ale nie zamierzała doszczętnie dyskredytować ciotki. Upodobania i anse wuja należało oświetlić jakoś inaczej.

- Święty spokój. Wuj lubi sobie pomilczeć i za skarby świata nie zgadniesz, kiedy z nim można rozmawiać, a kiedy nie. W odwecie robi się złośliwy. Nie gryzie tylko wtedy, kiedy wszystko dzieje się tak, jak on sobie życzy. I kamieniem u szyi jest dla niego fakt, że za wszystko trzeba płacić. Ja jestem w zasadzie samowystarczalna i nie obżeram go przesadnie, ale oświadczam ci, że już dawno, dzięki niemu, poznałam cel mojego życia. Nigdy, ale to absolutnie nigdy i w absolutnie żadnej sytuacji, nie wisieć na cudzych pieniądzach. Niczyich. Z wujem na czele!

- Tak skąpi...?

- Wolałabym żebrać pod kościołem albo kraść! - rzekła Justynka z mocą i w tym momencie plany matrymonialne Joli uległy kompletnemu załamaniu.

No owszem, chciała poślubić pieniądze, nawet z dodatkiem trudnego faceta, ale pieniądze łatwo dostępne. A nie do wydzierania w pocie czoła z sejfu, zamkniętego na mur!

I to jeszcze, najprawdopodobniej, wśród upokorzeń, awantur i obelg...

W Justynce odezwało się poczucie sprawiedliwości.

- Ale jeśli trafisz wujowi w dobry humor i coś go zainteresuje, jest całkiem sympatyczny i da się z nim mnóstwo załatwić. Ma poczucie humoru. Świetnie się z nim rozmawia, pod warunkiem oczywiście, że nie żądasz od niego czegoś, co mu się nie podoba...

Nowy pogląd Joli na małżeństwo z Karolem Wolskim ugruntował się silniej.

- ...chociaż można się z nim nawet sprzeczać, pod warunkiem, że racjonalnie i na bazie rzeczowych argumentów. Aż do chwili kiedy mu się znudzi i wtedy już lepiej nie dusić.

Nie, z dwojga złego Jola wolała zarabiać na swoim szefie służbowo. Nie prywatnie. Uwierzyła Justynce, nie było w jej opiniach ani cienia przesady, sama węszyła coś takiego, ale miała nadzieję, że się myli, niestety, węszyła trafnie. Janusz Dębicki kolosalnie zyskał w jej oczach.

I dlatego jeszcze tegoż wieczoru umówiła się z nim na weekendowy wypad dokądkolwiek...

* * *

Wróciwszy do domu, Justynka zrezygnowała z natychmiastowego odnalezienia Konrada, który powinien był gdzieś tu się znajdować, i trafiła na koniec obiadu. Wuj, spożywając deser, milczał zwyczajnie, głęboko zamyślony, ciotka naprzeciwko niego kwitła pięknie zrobioną twarzą i jakimś cichym triumfem.

Musiało jej się coś udać, na litość boską, nie wsypała chyba do tej kapusty strychniny ani arszeniku...?

Jej niepokój w tej kwestii ukoiła w kuchni Helenka, która przy okazji przyrządzania herbaty zdążyła szepnąć, że kapustę wszyscy jedli, a pan Karol ją nawet pochwalił i wcale nie zgadł, że stara, myślał, że młoda. Z ciekawości Justynka spróbowała potrawy, nie, to było nieprawdopodobne i nie do uwierzenia, co ciotka zrobiła z takim pospolitym warzywem? Żaden przepis nic by nie dał, do podobnych osiągnięć musiało się mieć rękę. Talent. Natchnienie.

Bąknąwszy grzecznie: "Dobry wieczór", usiadła przy stole i wzięła udział w ogólnym milczeniu oraz konsumpcji owocowej galaretki z atrakcyjnymi dodatkami.

Malwina milczała nie tylko triumfująco, ale także mściwie. Proszę, jak łatwo ten podlec dał się oszukać! Powściągliwie, bo powściągliwie, ale jednak pochwalił potrawę na talerzu i uczynił głupią uwagę na temat kosztu młodej kapusty o tej porze roku, w połowie wiosny. Zapomniawszy kompletnie, że oszczędności na produktach spożywczych miały jej dać pieniądze na rachunki za telefon komórkowy, napawała się swoim zwycięstwem.

Karol milczał, ponieważ rozważał kwestię niewielkiego bankieciku, który był wydarzeniem nader ważnym służbowo. Już samo zaproszenie na ów bankiecik, niejako za kulisy wielkiego biznesu, stanowiło wiele mówiący sukces i otwierało drogę do rozmaitych dodatkowych możliwości. Możliwości podobały mu się i nęciły. Szkopuł polegał na tym, że bankiecik miał być pozornie prywatny i wszyscy powinni przyjść z żonami, co najmniej jak na raut u amerykańskiego prezydenta. Obecność licznych cudzoziemców wzmagała tę konieczność.

Pierwszą jego myślą było wziąć ze sobą Jolę, ale to mogło zrobić złe wrażenie. Druga myśl przypomniała mu, że będzie tam panował głównie język francuski, który Malwina znała. Nienadzwyczajnie, ale mogła się dogadać, rozumiała, co do niej mówią, i potrafiła odpowiadać nie za bardzo gramatycznie, jednakże przynajmniej treściwie. Będą tam także inne żony i nie wszystkie muszą być orlicami, jakoś się może zatem do niej przystosują. Tylko, święci pańscy, jak ona będzie wyglądać...?

Gdyby chodziło o reklamę przepisów kulinarnych, Malwina nadawałaby się pierwszorzędnie, jaśniała sadłem. Gdyby to byli Arabowie albo Turcy, zachwyciliby się zapewne bez granic, w tym jednak wypadku w grę wchodziła Europa, w której zapanowała moda na odchudzanie. Nie obciosa jej przecież siekierą... Co tu zrobić? Musi ją zabrać ze sobą, bo kto wie czy znów mu się nie przyda i czy jakaś jej głupota nie wyjdzie mu na korzyść.

Szybko obliczył, ile go będzie kosztował nowy strój dla niej, doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, że odzienie z ubiegłego roku już na nią nie wejdzie. Porównał stratę z rysującymi się na horyzoncie zyskami, owszem, opłacało się, ale i tak zły był, że musi te koszty ponosić. I tak jeszcze cud boski, że biżuteria pasuje...

Przybycia Justynki prawie nie zauważył, mimo, że miał nawet do niej interesy.

- Pójdziesz ze mną na bankiet - powiedział znienacka do żony.

Przez moment Malwinie wydawało się, że źle słyszy, potem, że ta łaskawość związana jest ściśle z kapustą i już zdążyła zaplanować na jutro placki kartoflane, potem uznała, że Karol z niej drwi.

- Czy na ten bankiet mam zabrać ze sobą garnek kapusty? - spytała sarkastycznie.

Justynka się nawet nie przestraszyła, bo myśl jej pobiegła podobnym torem i reakcja ciotki wydała jej się dowcipna. A w każdym razie dopasowana do frywolności wuja.

Karola nieco zaskoczyło.

- Zapewne zrobiłabyś nim furorę. Ale jednak nie, tym razem kuchnią zajmie się kto inny. Zachwyt powinnaś budzić raczej sobą, co, być może, okaże się trudne do osiągnięcia.

Malwina przez chwilę milczała.

- Mówisz poważnie?

- Najpoważniej w świecie.

- I kiedy ten bankiet? Dzisiaj?

- Nie. Dokładnie za tydzień. W najbliższy wtorek.

- O której godzinie? W co się trzeba ubrać? Kto tam będzie?

Justynce coś się w środku skurczyło, bo przecież wiadomo było, że tych wszystkich pytań razem nie należało wujowi zadawać, a ciotka wszak, do licha, znała swego męża dłużej niż ona. Charakterystyczne też było, że nie spytała, gdzie, to jej nie obchodziło, miała tam zostać zawieziona, więc niechby nawet był to bankiet na Łysej Górze.

Wuj okazał cierpliwość po swojemu.

- Głównie Francuzi. Zechciej przypomnieć sobie język, który podobno kiedyś znałaś.

- Jak to? - nie wytrzymała Malwina. - Nie będzie twojej tłumaczki?

W jednym mgnieniu oka Justynka zdecydowała się poświęcić siebie. Trudno, w razie czego dwa lata przemieszka w szałasie.

- Wujku, ja się nie chcę mądrzyć, ale strój jest uzależniony od godziny! - wrzasnęła, kiedy Karol już otwierał usta. - Wieczorowe, balowe, wizytowe? Panowie w smokingach czy we frakach? Francuzi to nie Amerykanie, ubierają się przyzwoicie, Amerykanie mogliby przyjść na bankiet w dżinsach, farfoclach i kowbojskich koszulach, to dziki naród!

Gotowa była oszkalować wszystkie narodowości świata, żeby tylko zabić pytanie ciotki. Innych szczegółów amerykańskich strojów nie zdążyła wymyślić.

- O siódmej - rzekł Karol, patrząc na nią z lekkim zainteresowaniem. - Zwykłe stroje wieczorowe, to jest jednak Polska, kraj przydeptywany historią, panowie w smokingach. Będę wdzięczny, jeśli twoja ciotka nie powlecze za sobą trenu.

- Trenu...! - oburzyła się wzgardliwie Malwina. - No wiesz...! Czy to jest bal w Operze Wiedeńskiej?

Karol najwyraźniej w świecie wolał rozmawiać z Justynką.

- Co rozumiesz pod określeniem farfocle?

- Wszystkie strzępy, które oni na sobie noszą. Nie, nie oni, raczej one. Na bankiet amerykański można przyjść w worze po kartoflach, w firance z okna, w kostiumie kąpielowym i w kawałku starego chodniczka. Francuzów uszanowałabym bardziej.

- Ale to nie jest balanga młodzieżowa...

- O, Amerykanom bez różnicy. To znaczy owszem, jeśli odbywa się to w pobliżu prezydenta, faceci są ubrani jak ludzie, ale baby? Wuj nie zwrócił uwagi? Nawet prawdziwa rybia łuska nikomu nie przeszkadza.

W Karolu odezwała się pamięć, zaniechał zatem protestów. Przez moment zaciekawiał go obraz Malwiny, pokrytej rybią łuską, ale ten widok niezbyt mu się podobał, więc dał spokój. Był zdania, że informacji udzielił już dosyć, a o kosztach nie zamierzał napomykać, dopóki Malwina sama nie zacznie. Zwrócił się całkowicie do Justynki.

- W gabinecie mam twoją komórkę, zaraz ci ją dam. Ponadto należą ci się ode mnie wyrazy wdzięczności. Podsunęłaś mi świetny pomysł obrony w razie potrzeby.

Zdumiona Justynką spojrzała na wuja.

- Ja? Wujowi? Obrony...?

- Pokażę ci za chwilę. Najpierw załatwmy z komórką.

Malwina samotnie została przy stole, z lekkim zamętem w głowie. Przez bankiet przebijały się jej ostatnie słowa Karola, coś dla obrony, wielki Boże, czy on zgadł...? Czy wobec tego nie ma już nadziei, że go złoczyńcy wykończą...?

Na moment pojawiła się w niej chęć zrobienia mu na złość, oświadczenia, że na żaden bankiet nie pójdzie, ale po pierwsze miała na to wielką ochotę, a po drugie pojawiła się okazja wyzemdania z niego dodatkowych pieniędzy. Nie zamierza chyba kompromitować się źle ubraną żoną? Potem zaś wpadły jej w ucho słowa za plecami.

- Parasol - powiedział Karol do Justynki. - Proszę, obejrzyj. Jak to wygląda prawnie?

Parasol...!

Malwina zerwała się z krzesła i wybiegła do holu. Karol prezentował siostrzenicy parasol, duży i zwyczajny, otwierany dwiema rękami, bez żadnych automatycznych sztuk. Malwina wbiła weń chciwy wzrok, czy to ten od rusznikarza...? Może się wreszcie dowie...!

- Tu się przytyka - objaśnił z satysfakcją wuj i Justynka przytknęła.

Z końca zamkniętego parasola wyskoczył cienki kolec, dość krótki, ale bardzo ostry. Po ponownym przytknięciu schował się gładko. Karol otworzył parasol i przy otwartym kolec również wyskoczył, i również się schował.

- No...?

- Trudna sprawa - zakłopotała się Justynka.

- To nie jest broń palna, ale... Zaraz, może wuj się podpiera tym parasolem przy gołoledzi? Na lodzie?

- Mogę się podpierać na lodzie, jeśli jest to niezbędne... Rozumiem, wbija się i nie ślizga, dobry pomysł. Owszem, powiedzmy, rzadko wprawdzie w praktyce biegam po gołoledzi, ale w tym mieście złe nawierzchnie wszędzie można spotkać. Zatem podpieram się. I co?

- Więc premedytację możemy wykluczyć. Ale, niestety, w razie napaści oni musieliby mieć noże, wtedy owszem. Gdyby napadali bez noży, musiałby wuj walić z góry, bo inaczej przekracza wuj granice obrony koniecznej. Chyba żeby napadli akurat na gołoledzi, przy podpieraniu się tym dziobem, wtedy dobry adwokat wmówiłby w sąd, że nie miał wuj czasu przytykać, machał wuj i oni sami się nadziali, w agresywnym amoku. Za agresywny amok ofiara odpowiadać nie może.

- A na suchym gruncie może?

- Nawet musi.

- I ty byś mnie oskarżała?

- W żadnym wypadku! Oskarżałabym napastników.

- Ogólnie jednak ten przyrząd wydaje mi się użyteczny. We wczesnej młodości uczyłem się trochę fechtunku...

- O, nie! - przerwała Justynka gwałtownie.

- Do fechtunku wuj w żadnym wypadku nie może się przyznać! Takie coś dla fechmistrza jest bronią zaczepną, wuj wychodzi na miasto specjalnie, żeby dziabać, w dodatku umiejętnie! Mowy nie ma. Fechtunek musi wuj ukryć!

- ...i nigdy się nie nauczyłem - dokończył Karol spokojnie. - Nie wykazywałem do tego najmniejszych zdolności. Ponadto, co miałbym dziabać? Interesująca supozycja...

- Cokolwiek. Tych napastników. Opony w samochodach. Arbuzy na straganie. Ludzi w tłoku, w kolejce przed wujem...

- O chuligańskie skłonności dotychczas nigdy w życiu nie byłem posądzany.

- Wuj sobie w ogóle nie wyobraża, jakie kretyństwa są wygadywane przed sądem. Niech Bóg broni znaleźć się tam niewinnie, na bank człowiek zostanie skazany. Gdyby wujowi coś takiego groziło, lepiej już popełnić jakiekolwiek przestępstwo, pierwsze lepsze z brzegu, ale możliwie grube. Mógłby wuj rzeczywiście podziabać wszystkie opony w całym mieście bez żadnych złych skutków dla siebie, bo sędzia bałby się o własne. O ile by, oczywiście, jeszcze ocalał.

- Także, zapewniam cię, mógłbym okraść wszystkie instytucje w kraju, legalnie i zgodnie z prawem - uzupełnił Karol, wciąż zadowolony i pełen satysfakcji. - Nie chce mi się. Wezmę pod uwagę twoje rady, aczkolwiek stanowczo wolałbym znaleźć się przed sądem niż w grobie.

Malwina słuchała tej konwersacji w oszołomieniu i ze zgrozą. Więc to tak! Więc się jednak zabezpieczył i nawet złodzieje nie dadzą mu rady! Może się na nich teraz rzucać, ile mu się spodoba, najwyżej będą go ciągać po sądach, weźmie adwokata i cześć, a po co jej Karol przed sądem, jeszcze więcej trudności by miała! I po co ona się tyle narobiła i tyle wykosztowała, i ta brama przeklęta, i głupia Muminkowa, i ten cholerny pistolet do lampy, i tyle się musiała nadenerwować i nazastanawiać, chwili wolnej nie miała dla siebie... I wszystko po to, żeby Karol zaopatrzył się w broń!

Karol schował parasol i zaopatrzył się w butelkę wina. Malwina usunęła się z progu jadalni, ale wciąż stała w miejscu, bo poraziła ją okropna myśl. Czy on przypadkiem nie odgadł jej zamiarów? Czy nie domyślił się, że ona stara się usunąć go z tego świata? Czy o tym grobie nie powiedział specjalnie, na jej konto...?

I jak ma teraz zacząć pertraktacje o pieniądze na bankietowy strój...?!

I nagle przypomniał jej się zasadniczy argument. Wkroczyła do salonu.

- A ta kapusta, jeśli chcesz wiedzieć, to wcale nie była młoda - rzekła zwycięsko. - Ona była stara, z zeszłego roku, i prawie nic nie kosztowała, a ja ją zrobiłam na młodą. I proszę, jak ci smakowała! Już trochę zaoszczędziłam i mogę nawet nie chcieć na razie żadnej komórki, ale do ubrania coś będę musiała kupić. Wezmę starą etolę...

Karol znieruchomiał z dłonią na pilocie telewizyjnym i coś mu się w środku zaczęło robić, bo zestawienie kosztu kapusty z kosztem strojów Malwiny przerastało jego wytrzymałość matematyczną. Malwina jednak więcej powiedzieć nie zdążyła, w jej plany odzieżowe wdarła się siostrzenica.

Justynka nie poszła do siebie, została w salonie, z nadzieją, że wuj spełni obietnicę i odpowie teraz na jej poranne pytanie. Chwilowa nieobecność ciotki wzmogła jej nadzieję, ale teraz oto Malwina przystąpiła do akcji i Justynce coś zrobiło się w środku szybciej niż wujowi.

- Weźmie ciocia najstarszą, tę z szafirów, rzadko noszona i nikt jej dawno nie widział, a do czarnego pasuje, powinna ciocia być częściowo na czarno - rozkazała, zrywając się z fotela. - I od razu pójdziemy popatrzeć, bo ja ciocię ubiorę z największą przyjemnością, a wuj się tyle samo zna, co każdy mężczyzna. Mniej niż zero, oo oo oo oo. Idziemy!

To "oo oo oo oo", znane z popularnego arcydzieła pieśniarskiego, ogłuszyło tak Karola, jak i Malwinę, do tego stopnia, że żadne z nich nie zareagowało ani jednym słowem. Otumaniona Malwina poszła za siostrzenicą, a Karol po chwili odetchnął z ulgą. Do myśli, żeby kupić coś Justynce, jeszcze nie dojrzał.

W garderobie, na widok etoli z szafirowych norek w doskonałym stanie, Malwina oprzytomniała.

- Na czarno, na czarno! - sarknęła. - Cóż to, ja na pogrzeb idę? Może mi jeszcze welon żałobny dołożysz?

- Welonu nie trzeba, twarz ciocia robi sobie przecudownie - odparła Justynka zimno i bezlitośnie. - Ale nie z samej twarzy człowiek się składa. Chce ciocia wyeksponować figurę lśniącym błękitem elektric? Albo ciocia schudnie przez ten tydzień najmarniej dziesięć kilo, albo tylko matowa czerń! A lepiej byłoby dwadzieścia.

- Przez tydzień...? - spytała niedowierzająco na nowo oszołomiona Malwina.

- No więc właśnie, przez tydzień się nie da. Przez dwa owszem, słyszałam o osiemnastu. Okropny reżim. Ale ciotka mojej koleżanki schudła przez sześć dni cztery i pół kilo, a starsza była od cioci, zaraz... piętnaście lat. I ogólnie chudsza o, zaraz... prawie czterdzieści, no, trzydzieści osiem dokładnie. Wiem o tym, było dużo gadania, bo wszyscy na jej widok osłupieli. I do tej pory się trzyma. A ciocia to co, gorsza?

O nie, gorsza Malwina z pewnością nie była i wcale nie chciała być. Z jakiej niby racji miałaby być gorsza? Przeciwnie, życzyła sobie być lepsza!

- No dobrze. Jak ona to zrobiła? Ta przez tydzień.

- Bardzo mi przykro, dostała ciężkiej nerwicy i przez, tydzień nic do ust nie wzięła, bo ją dławiło, piła wyłącznie gorzką herbatę i nic więcej. Trochę osłabła, więc to nie jest racjonalny sposób. Ciocia by mogła, bo ciocia młodsza, ale bez nerwicy ciocia nie wytrzyma...

Przy tych słowach przemknęło Justynce przez myśl, że w stanie nerwicy Malwina żarłaby potrójnie, więc czym prędzej znalazła drugi przykład.

- ...ale, o, właśnie, jedna taka, młodsza i grubsza, zjechała nawet pięć i pół. To już coś! Na tej cholernej zupce z kapusty i cebuli, mam przepis, on tam nawet dopuszcza jakiś owocek albo rybkę, ale niech się ciocia nie da narwać, sama zupka wystarczy, ona zawiera w sobie wszystkie niezbędne mikroelementy, witaminy i te inne świństwa. A sukces gwarantowany!

Słowo "sukces" Malwinie się spodobało. Nie ogarniała jeszcze umysłem związanych z tym katuszy i wcale nie była zdecydowana na dobrowolną martyrologię, ale efekt ją kusił. Wstrząsnąć wszystkimi, w tym Karolem, żeby ten kretyński rozwód wreszcie wyleciał mu z głowy...

- Matowa czerń to ta - powiedziała, potrząsając kiecką na wieszaku. - Ale może lepsze to w srebrne cętki, co miałam na sobie ostatnio?

- W srebrne cętki mogłoby być - zgodziła się zimno Justynka. - Niech ciocia przymierzy.

Suknia w srebrne cętki, wybrana na wieczór brydżowy, owszem, idealnie odpowiednia na bankiet, już w ów piątek dopięła się na Malwinie z największym trudem. Od piątku zdenerwowana Malwina zdążyła utyć kilo i ćwierć. Mimo wszelkich wysiłków, zamek odmówił posłuszeństwa.

- Albo trzaśnie, albo ciocia schudnie - zaopiniowała wyzuta już z wszelkiego miłosierdzia Justynka. - A poza tym, niech ciocia popatrzy. Nie tak, nie tak, z boku!

Bez względu na poglądy na siebie i własny wygląd, Malwina zgorzała. Z profilu ujrzała same buły, wściekle opięte, nieludzkie, nieprzyjemnie nasuwające na myśl ciążę słonia. Potworne. Jak to, więc ona miałaby tak wyglądać...?!

- Pomóż mi to zdjąć - wydyszała. - Nie, to na nic, a ta...? Justynka, już bez uwag, pomogła jej przymierzyć cały zasób eleganckiej garderoby. Malwina załamała się, łzy strumieniem pociekły jej z oczu.

- No więc sama widzisz, muszę kupić coś nowego! - wyszlochała. - One, te krojczynie, tak potrafią człowieka wyszczuplić...

- Ciociu, ale jeśli one wyszczuplą tłustą fokę, to to nadal będzie foka, a nie istota ludzka. I niech ciocia popatrzy, to... o, to! Do tych szafirów jak stworzone! Nie tamto, nie w cętki, tylko to cudo z niebieskawym odcieniem. Czarne, a pod norki...

- Razem to kiedyś kupiłam! - wyłkała Malwina.

- I teraz co? Odeśle to ciocia dla biednych dzieci Afganistanu?

- I na co biednym dzieciom w Afganistanie chiffon-velour? - wyłkała Malwina ponownie, dając tymi słowami niezbity dowód, że resztek zdrowego rozsądku wcale nie utraciła. - Z dwojga złego już więcej przydałoby się im futerko, ale przecież nie prawie nowe szafirowe norki! Barana, to tak...

Justynka rzetelnie postarała się wygrzebać z siebie wszystkie najgorsze cechy charakteru, dotkliwie odczuwając brak wrodzonego sadyzmu.

- Na pięć kilo ten welur-szyfon obstanie, a ja wiem, że ciocia ma gorset. Trudno, tydzień udręki, a potem wystrzał, więc jak ciocia chce. I jeśli ciocia ubierze się bez dotacji, wujek ciocię na nowo pokocha, jestem pewna. Helenka ciocię przypilnu-

je, ja też, a dodatkowo może ciocia codziennie przez godzinę tańczyć. Kobiety chudną od nóg. Więc niech ciocia podejmie męską decyzję.

Decyzję na widok siebie Malwina podjęła od razu, tylko realizacji nie była pewna. Ze zdenerwowania poczuła się głodna, zjadłaby coś, bodaj wafelka, bodaj czekoladkę, bodaj trochę tej galaretki z bitą śmietaną... No, niechby sznycelek z tą kapustą...

Przez moment miała ochotę zatrudnić Justynkę przy porządkowaniu porozrzucanej odzieży, a samej uciec, szybko skoczyć do kuchni, pożywić się, potem pomyśleć...

Justynka bez pudła odgadła jej zamiary.

- I jeśli ciocia się decyduje, to od dziś. Od zaraz. Każda chwila droga. Niech ciocia sobie wyobrazi, że skazano ciocię na śmierć głodową w takim lochu średniowiecznym. Wszystko inne już będzie przyjemniejsze, a ja się poświęcę, chociaż pojutrze mam pierwszy egzamin, i możemy iść na spacer. Nie, spacer to żaden doping, możemy iść do... do... o, do sklepu... Nie, za późno, moment... możemy jechać do Oszołoma po składniki do tej zupy, staniemy daleko i dwa kilometry ciocia przeleci. Przysięgam na kolanach, że jutro kilo ciocia ma z głowy, a zupkę zaczniemy już dzisiaj!

- Jeść? - zainteresowała się chciwie Malwina.

- Nie. Gotować.

Straszliwa siła perswazji Justynki, połączona ze skąpstwem Karola, wywarła na Malwinę okropny wpływ. Dała się wywlec z domu, przy kierownicy pozwoliła usiąść Justynce, głodna tak, że wręcz czuła w sobie próżnię kosmiczną, dojechała do supermarketu. Chcąc nie chcąc, przeleciała pół kilometra w jedną stronę, po czym doznała ulgi, bo Justynka pozwoliła jej nabywać dowolne produkty, przypilnowawszy tylko zakupu składników odchudzającego przepisu. Z myślą o jakiejś potajemnej kolacyjce jechała do domu...

Na skręcie w ich ulicę był wypadek. Głupi strasznie i bez ofiar w ludziach, ale zatarasował dojazd doszczętnie. Trzeba było czekać, aż policja odwali swoją robotę, a potem pomoc drogowa odciągnie na stronę zdemolowaną wywrotkę i rozbitą furgonetkę pralni. Malwina, którą siostrzenica uszczęśliwiła wyłącznie wodą mineralną, wożoną w samochodzie, zdecydowała się iść do domu piechotą, żywo dopingowana myślą, że Justynka tu zostanie, a ona tam dotrze i coś zje...

W Justynkę wstąpiło złe i zalągł się w niej dziki upór. To mieszkanie przez dwa lata w szałasie miała już jak w banku, więc zrobiło jej się wszystko jedno. Skorzystała ze świeżutko otrzymanej od wuja komórki.

Rozmowa przebiegła następująco:

- Bardzo wuja przepraszam, ale chciałabym rozmawiać z Helenką, nawet jeżeli już śpi.

- Akustycznie wnioskuję, że nie śpi. Proszę.

Chwila przerwy.

- Pani Helenko, błagam panią, niech Helenka jeszcze nie kładzie się spać...

- To Justynka, co...?

- Tak, to ja. I niech Helenka nic nie mówi na głos, żeby wuj nie słyszał.

- To jak ja mam rozmawiać?

- Nie, niech Helenka tylko słucha. Ciotka idzie piechotą do domu...

- Wszelki duch! Skąd...?

- Z zakrętu. To blisko, kilometra nie ma...

- A czegóż to pani takie marsze odbywa?

- Bo jezdnia zatarasowana i ja tu muszę czekać, aż odblokują. Nieważne...

- Jak nieważne, to po co Justynka dzwoni?

- Bo w ogóle bardzo ważne. Jutro Helence wszystko wyjaśnię. Niech Helenka czeka, aż ciotka dotrze do domu, Jezus Mario, najlepiej przy samych drzwiach...

- Bo co? Nie trafi?

- Trafi aż za dobrze. I od razu rzuci się do kuchni, do jedzenia, i ja Helenkę błagam na wszystko, żeby Helenka jej od ust odjęła, żeby ona nic nie zjadła!

- Boże ty mój... To jak ja mogę... To co to ma być...?

- Cicho! Ciotka od dziś zaczęła się odchudzać, ale nie ma silnej woli i niech Helenka robi, co chce, ale nie pozwolić jej nic zjeść! Nic! Niech Helenka nie wpuści jej do domu! Albo chociaż do kuchni! Ja bym ją tam zachachmęciła, ale nie zostawię tu przecież samochodu, Helenka przecież rozumie, odchudzić ją trzeba, niech jej Helenka z ust wyrwie! Każdą drobnostkę! Chyba że plasterek cebuli albo dwa listki sałaty, nic innego!

- Mam pokroić cebulę?

- O Jezu, ratunku, nie, cebula pachnie apetycznie... Naprawdę nie ma w domu niczego śmierdzącego obrzydliwie...?

- No wie Justynka...

- No to niech Helenka napuści wuja, żeby zaczął z ciotką rozmawiać na jakikolwiek temat. Żeby ona nie mogła jeść!!!

To ostatnie do Helenki przemówiło. Łypnęła okiem na Karola, który cierpliwie przeczekiwał jej rozmowę, Justynka bowiem, w zdenerwowaniu, wypukała ten jeden numer w jego gabinecie. Nagle do niej dotarło. Szefową warto pogłodzić, a mąż nie musi wiedzieć wszystkiego. W porządku, jakieś podstępy wymyśli.

- No to ja już rozumiem. Dobrze już, dobrze. Coś tu się zrobi, niech Justynka będzie spokojna.

Z zasłyszanej połowy konwersacji Karol wywnioskował, że jego żona wpadła na jakiś nowy, szatański pomysł i promenuje wokół domu bez racjonalnych powodów, gubiąc drogę. Co mogła do tego mieć cebula, nie silił się odgadnąć. Helenka odłożyła słuchawkę i znikła z horyzontu, zajął się zatem własnymi sprawami.

Śmiertelnie przerażona poleceniami Justynki, Helenka wyszła przed furtkę. Stała, gapiąc się na ulicę, oświetloną nielicznymi latarniami i wyliczając sobie, jak długo szefowa może przebywać tę drogę. Nadziała się na nią Muminkowa.

- Pani Wolskiej nie ma? - spytała, podchodząc.

- Nie ma. Ale możliwe, że nadejdzie.

- To ja poczekam. Pani przypadkiem nie wie, czy pani Wolska zęby leczy?

O zębach Malwiny Helenka nie miała najmniejszego pojęcia. Nic na tym tle w domu się nie pojawiało. Na wszelki wypadek odparła, że nie wie, i dlaczego właściwie pani sąsiadka pyta?

- O, nic takiego - rzekła Muminkowa niedbale. - Ale możliwe, że pani Wolska u tej Larczykowej, ona dobra dentystka, z moim mężem się spotkała, a chłop, to pani wie, głupi całkiem i prawdy nie powie. Kto go tam wie, czy jakichś kłopotów nie ma, ja nie mówię o sztucznych szczękach, bo to ludzka rzecz, ale wie pani, i koszty, i jakieś tam komplikacje, szczególnie w górnej połowie, jakby, nie daj Boże, ropa, to do góry idzie, a mózg blisko, tfu, na psa urok. Druga osoba więcej wyjaśni, a kobiety między sobą, to pani sama rozumie...

Tyle Helenka rozumiała doskonale. Kiwnęła głową.

- Jakby pani Malwina co wiedziała, powie pani jak człowiek. Tyle że jedno...

Zawahała się, ale siła pytającego spojrzenia Muminkowej była przemożna.

- U nas lepiej. Żadnego zapraszania tam gdzieś do państwa. Pani Wolska kurację zaczyna i ja tu muszę pilnować, żeby

komplikacji nie było, więc bardzo proszę, niech pani u nas w salonie, czy tam gdzieś, zaczeka, proszę, proszę...

Muminkowa tak z tego zbaraniała, że wkroczyła do salonu Wolskich całkowicie wbrew własnym chęciom i zamiarom. Z Malwina życzyła sobie pogadać na stronie, w cztery oczy, a tu cały dom miał słuchać! Nim zdążyła zebrać myśli, przyklejone do wizji Larczykowej w objęciach Muminka, i obmyślić jakiś inny sposób zdobywania wiedzy, Malwina dotarła do domu.

Byłaby runęła do kuchni, przedzierając się przez żywą przeszkodę w postaci Helenki, ale już w progu usłyszała, że ma gościa. Gościa, o tej porze...? Na widok Muminkowej ucieszyła się, gościa wszak trzeba czymś poczęstować...

Zaistniał konflikt interesów. Malwina chciała jeść, Muminkowa z Helenką znalazły się po drugiej stronie barykady, Muminkowa wcale nie zamierzała tu siedzieć, pożywienie miała w nosie, chciała u siebie czekać na męża i zrobić mu awanturę, bo już bezczelnie długo gzi się z tą szantrapą dentystyczną, Helenka postanowiła nie protestować wcale, spełniać polecenia spożywcze chlebodawczyni, ale robić to tak ślamazarnie i tak długo, aż wróci i wesprze ją Justynka. W rezultacie rozzłoszczona głodem Malwina zrezygnowała z intryg i powiedziała prawdę, otóż dopiero co na własne oczy widziała Muminka w Oszołomie, zakupy robił, takie zwyczajne, kartofle, pomidory, papier toaletowy... Kto podrywa seksowną piękność kartoflami i papierem toaletowym?! A teraz pewno utkwił w tym samym korku, w którym Justynka stoi.

Muminkowa ten komunikat w pewnym stopniu uspokoił, zerwała się i wybiegła, jednakże cała wizyta trwała tyle czasu, że w furtce minęły się obie z Justynką. Malwina żywo ruszyła do kuchni, ale zagrodziła jej drogę Helenka i siostrzenica zdążyła tuż za nią.

- Ciociu...! - warknęła ostrzegawczo.

Malwinie wstyd było przyznać się do wściekłego głodu.

- No i czego chcesz, przecież sama mówiłaś, że gotujemy od razu. A czy to ja się nawet herbaty nie mogę napić?

- Herbaty owszem. Gorzkiej.

- I co tu Justynka przyniosła? - spytała Helenka, zainteresowana nowym rodzajem pożywienia. - Na noc to się będzie gotować? Zaraz, kapusta... Przecież jeszcze w garnku stoi!

- Nic nie szkodzi, tamtą my zjemy, a zupa będzie dla cioci. Specjalna. Jeśli Helenka nie idzie spać, to proszę bardzo. Sześć pomidorów, sześć dużych cebul...

Helenka przystąpiła do pracy, bo cała sytuacja zaczynała się jej coraz bardziej podobać. Malwinę nogi bolały po odchudzającym marszu, usiadła zatem na stołku i wypiła tę wstrętną herbatę bez odrobiny cukru. Nic nie pomogło, żołądek przyrastał jej do krzyża, chciała jeść. Cokolwiek. Niechby coś malutkiego. Inaczej umrze z głodu!

Upiorna siostrzenica wręczyła jej oskrobaną marchewkę.

- Może ciocia zjeść całą marchew, jaka tylko jest w domu. Nie ma przeszkód. Od surowej marchwi też się chudnie. I niech sobie ciocia co chwilę przypomina ten welur-szyfon z szafirami, żadna baba czegoś takiego nie będzie miała.

Owszem, to był argument. Głód jakby nieco zelżał. Gryząc marchewkę, posępnym wzrokiem Malwina wpatrywała się w warzywa do zupki, z cichą nadzieją, że ugotuje się to szybko i jeszcze dzisiaj będzie mogła trochę zjeść, chociaż doskonale wiedziała, że gotowanie musi potrwać ze dwie godziny. A i tak wszystko razem będzie obrzydliwe, bez rosołku, bez masełka, bez zasmażki...

Justynce uląg się kolejny kłopot. Wuj wyjdzie z gabinetu i usiądzie do kolacji, co, na litość boską, zrobić wtedy z ciotką? Najlepiej byłoby wypchnąć ją z domu, żeby nie poczuła zapachu smażonej drobiowej wątróbki... Nie, żadnych wątróbek, nic apetycznego, trudno, wuj przetrzyma, dobrze mu zrobi, jeśli zje kolację na zimno, kanapeczki, sałatkę z krewetek, resztę galaretki... A ciotkę przez ten czas... o! Do łazienki! Niech się umyje. Nic jadalnego tam nie ma...

Po północy zakończył się dla Justynki ten koszmarny wieczór, najuciążliwszy chyba ze wszystkich dotychczasowych. Malwina niczego nie zjadła ukradkiem, ponieważ wszystkie gotowe do spożycia produkty, z czekoladkami na czele i obiadową kapustą włącznie, zostały przed nią ukryte w pokojach Justynki i Helenki. Na kuchni został tylko garnek z odchudzającą zupką.

Wuj przeciwko zimnej kolacji nie zaprotestował.

Szczęśliwym trafem Karol przez trzy dni miał tak liczne interesy i przyjemności, że wracał dopiero na późną kolację i atmosfera w domu umknęła w tym czasie jego uwadze. Za to Justynka uznała, że egzamin zdała cudem, bo połowa jej umysłu cały czas zajęta była ciotką, a nauce mogła poświęcać wyłącznie ostatnie noce.

Z Konradem spotkała się zaledwie raz. Wiedząc, że podopieczny na dwie godziny ugrzązł przy Joli, Konrad pozwolił sobie na odwiezienie dziewczyny do domu.

- A właściwie dlaczego toczysz tę wojnę podjazdową? - spytał, zdumiony, usłyszawszy o udrękach Justynki, która nie widziała powodu, żeby mu się nie zwierzyć.

- Dla świętego spokoju - odparła Justynka ponuro. - I chyba coś mi w środku zaskoczyło. I sam rozumiesz, nie możemy tego tak zostawić, bo oni się w końcu pozabijają, a liczę na to, że ciotka zajmie się sobą, a wuj przestanie ględzić o zwałach dętek samochodowych i sytuacja się jako tako unormuje.

- Dętki samochodowe... Jako figura?

- No właśnie takie komplementy jej mówi.

Konrad pomyślał, że porównanie jest bardzo trafne, ale wolał tej myśli nie wyjawiać.

- No dobrze jak długo masz zamiar tak ją trzymać na smyczy?

- Co najmniej tydzień, do tego bankietu,a potem najwyżej jeszcze jeden dzień. Dłużej nie wytrzymam. Mam nadzieję, że jej się żołądek skurczy, kiecki ją zdopingują i sama się trochę postara.

- I odczepi się od naszej agencji?

- Tego nie jestem pewna, ona się boi rozwodu, a wuj diabli go wiedzą. Będzie chciała wiedzieć, co robi, na wszelki wypadek.

- Ale nie możesz ich przecież pilnować do końca życia!

- Pewnie że nie. Ale, czy ja wiem, może coś się przełamie?

Ostatnie słowa Justynka wymówiła w proroczym natchnieniu, nie mając o tym najmniejszego pojęcia. Konrad porzucił kwestie rodzinne i przeszedł na sprawy osobiste, które interesowały go znacznie bardziej. Ciągle wyczuwał w tej dziewczynie jakąś osobliwą rezerwę...

Dzięki nieobecności Karola i podwójnej kurateli, Helenki i Justynki, Malwina trzeci dzień konsumowała zupkę przetartą, żeby wszystkie składniki zmieszały się porządnie. Pierwszego dnia, po poprzednim, głodowym wieczorze, zupka jej nawet smakowała. Drugiego zrobiła się niedobra, a trzeciego wręcz obrzydliwa. Ze łzami w oczach i ukradkiem Malwina węszyła po kuchni, wciąż czując na sobie potępiające spojrzenie Helenki, a dodatkową męczarnię stanowił fakt, że należało Karolowi przyrządzać wieczorne posiłki. Dwie kolacje udało się Justynce utrzymać w skromnych granicach, faszerowana ryba w galarecie nie kusiła intensywnym aromatem, szynka wonią nie umywała się do cebuli, można było to znieść bez przeraźliwego ssania w żołądku, później jednak wuj zażądał czegoś bardziej apetycznego. Dostał placki kartoflane ze śmietaną, a Malwina była bliska pożarcia surowej mazi przed usmażeniem.

Z niepojętych przyczyn pomysł, żeby wyrwać się z domu i zjeść coś na mieście, jakoś nie zaświtał jej w głowie, może dlatego, że dzień w dzień przymuszana była do co najmniej dwukilometrowego marszu. Nie przywykła do takich ćwiczeń!

Cierpiała katusze głodowe i kotłował się w niej dziki bunt, ale złamać reżim i zjeść coś jawnie uważała za hańbę śmiertelną. Po cichutku, tak żeby nikt nie widział, a to owszem, nie zniosłaby natomiast wstydu publicznego.

Czwartego dnia Justynka wepchnęła ją na znienawidzoną dotychczas wagę.

- Proszę bardzo - rzekła sucho. - Niech ciocia sama popatrzy. Cztery i pół kilo!

Malwina spojrzała bez tchu i nie uwierzyła własnym oczom. W ciągu trzech i pół dnia tortur straciła cztery i pół kilo! Zeszła poniżej dziewięćdziesięciu! Ależ to cud!

- Dlaczego nie kazałaś mi się ważyć od razu? - spytała z oburzeniem.

- Żeby cioci nie zniechęcić. Pierwszego dnia jeszcze nic się nie dzieje i mogłaby ciocia stracić serce do tej kuracji. A trzeciego już widać, czwartego tym bardziej. Jeszcze ze trzy kilo i wbije się ciocia w ten szyfon-welur.

- To może mogłabym zjeść... Kawałeczek...

- Chce ciocia włożyć kieckę czy nie?

Prawdę mówiąc, Malwina chciała namiętnie. Była to jej najpiękniejsza, najbardziej twarzowa suknia, a miała ją na sobie zaledwie raz. Potem, przy następnej okazji, już się opinała za bardzo, więc kupiła to w srebrne cętki. Zresztą, przy owym pamiętnym brydżu, cętki też omal nie pękły w szwach...

Zeszła z wagi, nic już nie mówiąc.

Justynka z Helenką wylały resztki poprzedniej zupy i bezlitośnie ugotowały nową. Obie trochę tego zjadły, Helenka jadła nawet przez cały jeden dzień, a zważywszy, iż nie były do niczego zmuszone, oceniły jej smak pozytywnie. Malwinie obrzydł już doszczętnie i wolałaby raczej nie jeść nic niż katować się tym świństwem. Niestety, Justynka upierała się przy idiotycznych mikroelementach i nie pozwalała zamienić ich nawet na suchy chleb i wodę.

Piątego dnia wieczorem Malwina zakradła się do garderoby. Jedyne, co ją mogło jeszcze podtrzymać na duchu, to widok upragnionego stroju. A może ona, ta sukienka, już na nią wejdzie...? Może da się dopiąć? Och, przymierzyć ją i nakichać na przeklętą zupę, zjeść coś innego, normalnego, dobrego...

Sukienka zaparła się na biodrach, siłą przepchnięta, odmówiła zapięcia, po czym nie pozwoliła się zdjąć. Zasapana, wściekła, zrozpaczona Malwina zdarła ją wreszcie z siebie, ledwie zipiąc, upuściła na podłogę, usiadła na stołku i rozpłakała się z całego serca. Tyle wysiłków, tyle męczarni, tyle udręk i na nic. Wszystko na nic!

Wielkim krzykiem odezwał się głód, ale Malwina nie była już zdolna nawet do starań o jedzenie. A choćby i coś znalazła, Helenka z Justynka od ust jej to odejmą...! Na ręce jej patrzą, w zęby zaglądają, a Karol tam żre... I żre...! I żre...!

Siedziała nad nieszczęsną kiecką i szlochała rzewnymi łzami.

Do garderoby wszedł Karol, któremu potrzebny był mały notesik, pozostawiony w kieszeni wczorajszej marynarki. Ujrzał płaczącą żonę, ujrzał czarny welur u jej stóp i zatrzymał się, patrząc na nią w zadumie, pełnej niesmaku.

Nie był półgłówkiem i aczkolwiek przez trzy dni zajmował się sobą, w atmosferze domu od wczoraj zaczynał coś węszyć. Pożywienie właściwie się nie pogorszyło, ale czegoś w nim zabrakło, ponadto jego żona nie brała udziału w wieczornych biesiadach, przy stole towarzyszyła mu tylko Justynka. Nie miał o to najmniejszych pretensji, przynajmniej był spokój, czekał jednak na prośby o pieniądze, nieco zaintrygowany zwłoką. Raz tylko zadał kąśliwe pytanie, czy małżonka nie zapadła przypadkiem na jakąś śmiertelną chorobę, na co siostrzenica odparła spokojnie, że nie, na chorobę nie, ale odbywa kurację, w którą osoby płci męskiej nie powinny wnikać. Karola tak to zaskoczyło, że więcej już o nic nie pytał.

Teraz, na widok spostponowanej odzieży i szlochającej gorzko Malwiny, nagle zrozumiał wszystko.

Nie drgnął w nim nawet cień litości, chociaż starania, jako takie, w głębi duszy pochwalił. Tyle że ich skutki wydały mu się nieco idiotyczne.

- Można wiedzieć, co ci się stało? - spytał z niechęcią, ale głosem normalnym.

- Jestem... taka... strasznie... głodna...! - wyłkała z dna rozpaczy Malwina.

Karol stał nad nią i rozmyślał. Nie musiał sobie precyzować wszystkich wniosków słowami, wystarczyło mu kilka krótkich błysków.

- Jednakże nie rozwiodę się z tobą - rzekł wreszcie. - Jeśli wytrzymasz do końca tygodnia, uwierzę, że masz jakiś charakter. Jesteś zdolna do panowania nad własną osobowością, tego zatem będę wymagał. Pozwolisz, że przejdę do szafy.

Omijając starannie czarny welur na podłodze, udał się w głąb pomieszczenia.

Jego słów wysłuchała także Justynka, która trafiła do garderoby w poszukiwaniu ciotki, pełna obaw, że ta nieznośna baba ukradła coś z kuchni i żre to w jakimś kącie. Nie odezwała się, poczekała na wyjście wuja.

Łkania Malwiny umilkły, nim jeszcze wyszedł. Nie od razu dotarło do niej to o rozwodzie, przez okropne ściskanie w dołku wszystko przebijało się z trudem, ale jednak dotarło. Wywołało dziki zamęt w umyśle. Uniosła głowę i zamrugała oczami.

- Cioci będzie potrzebna nie tylko figura, ale także i twarz - powiedziała Justynka surowo. - Co ciocia robi najlepszego? Od płaczu się chudnie, owszem, ale pod warunkiem, że odbiera apetyt. Twarz niszczy nieodwracalnie.

- Nie wchodzi... - chlipnęła Malwina i sięgnęła po kieckę u stóp.

- Pojutrze wejdzie, jeśli ciocia wytrwa. Nie dostanie ciocia herbaty, tylko samą wodę mineralną i trzy centymetry z głowy, bo to będzie o półtora litra płynu mniej. A nawet jeśli, ta w cętki wejdzie swobodnie.

- Do szafirów nie pasuje...

- To ciocia weźmie srebrny szal. Czy ciocia nie słyszała, co wujek powiedział?

- Słyszałam. A co...?

- Że nie będzie się z ciocią rozwodził. A przecież tym się ciocia najbardziej denerwuje, nie? Okazała ciocia charakter i nie chciała pieniędzy.

Z welurem w dłoni Malwina podniosła się ze stołka. Zamęt w jej umyśle jeszcze szalał, ale już zaczynał się porządkować.

- O pieniądzach nie mówił. Rozwód, rozwód... no dobrze, ale za to będzie czegoś wymagał!

- Sama ciocia akurat wymaga od siebie szczytowych wysiłków. I proszę, udaje się! A będzie pewnie wymagał, żeby ciocia myślała więcej o nim.

- Przecież bez przerwy o nim myślę! - oburzyła się Malwina i wetknęła kieckę Justynce. - Masz, powieś to. Nic innego nie robię, tylko myślę o nim, bo go kocham...

I nagle przyszło jej na myśl, że zaraz, spokojnie, jeśli on zrezygnował z rozwodu... Wyraźnie powiedział, że się z nią rozwodził nie będzie... W takim razie nie musi go zabijać! A w każdym razie nie w takim pośpiechu... A skoro nie musi go zabijać, to i alibi jej niepotrzebne, nie musi z takim wysiłkiem udawać, że kocha go nad życie, Boże drogi, spadają z niej te wszystkie trudności i udręki! Wreszcie będzie miała trochę czasu dla siebie!

Prawie się rozpromieniła, a głód zelżał wyraźnie. Przestanie płacić tej agencji, zyska jakiś luz finansowy, a w ostateczności niech będzie, weźmie srebrny szal...

- Ale ciocia trochę nie tak myśli jak trzeba - powiedziała Justynka, układając welur na ramiączku. - Ja wiem, co wuj przez to rozumiał i o co mu chodzi. Mogę cioci powiedzieć.

- To później mi powiesz, bo teraz mam co innego na głowie. Parówkę na twarz powinnam zrobić... Nie, lepiej pójdę jutro do kosmetyczki, z panią Marzenką muszę się umówić.

Opuściła garderobę i Justynce ręce opadły. Już nabrała nadziei, że w tak dramatycznej chwili zdoła ciotce coś przetłu-

maczyć, że dotrze do niej coś poza nią samą, a tu klops. Ciotka znów wymknęła się jej z rąk. Chyba jednak, mimo wszystko, łatwiej będzie przetłumaczyć wujowi...

Okazja do rozmowy nie dała się stworzyć, Malwina bowiem wymagała bezustannego dozoru. Uwierzyła, co prawda, święcie, że sama czuwa nad swoją kuracją odchudzającą, prezentuje żelazną wolę i dyscyplinę wewnętrzną, ale nie przeszkadzało to próbom ominięcia wstrętnej zupki i sięgnięcia po cokolwiek innego. Zupka zabijała wprawdzie straszliwe ssanie w żołądku, konsumowana była jednak z obrzydzeniem, w ilościach niewielkich i bardzo szybko ssanie na nowo dawało o sobie znać.

Wstręt do zupki miał swoją dobrą stronę, na którą Justynka bardzo liczyła. Karmiony nikłymi porcyjkami żołądek Malwiny rzeczywiście przystąpił do procesu kurczenia i jego właścicielka sama nie miała pojęcia, że takiego obiadu, jak przed tygodniem, dziś by nie zjadła. Zjadłaby mniej. Zajęta koszmarnymi doznaniami, nie miała czasu na interesowanie się Karolem, któremu ta cała kuracja odchudzająca sprawiała żywą uciechę. Znękana żona nie gadała, nie zawracała głowy, nie robiła żadnych głupich uwag i, co najdziwniejsze, nie domagała się pieniędzy. Poza tym sam był ciekaw, co z tego wyniknie.

Doskonale wiedział, że niebiańską sytuację zawdzięcza Justynce, zarazem jednak coś mu zaczynało doskwierać. Z wielką niechęcią przed samym sobę przyznał się, co. Pożywienie. Czegoś w nim zabrakło, pozornie było równie dobre, jak zawsze, ale straciło finezję, artyzm, z ambrozji niebiańskiej przeistoczyło się w zwyczajne ziemskie potrawy. A ową niebiańskość wszak Karol cenił sobie najbardziej, przywykł do niej i nawet nie wiedział, jak mu jej brak dokuczy.

Nie miał zamiaru tego tolerować.

Szóstego dnia obiadł zjadł samotnie, ale przy kolacji towarzyszyła mu Justynka.

- Czy moja żona zaniechała wszelkiego kontaktu z produktami spożywczymi? - spytał cierpko, a w jego głosie pojawił się zalążek syczących dźwięków.

Justynka gwałtownie zebrała całą odwagę.

- Prawie. Ale tylko do jutra włącznie.

- Nie przypominam sobie, żebym wyraził zgodę na odmianę kuchni domowej. Nawet tylko do jutra, to już za długo. Należało może spytać mnie o zdanie?

- Nie - powiedziała Justynka rozpaczliwie.

- Co nie?

- Nie należało. Odpowiedziałby wuj odmownie.

- To chyba o czymś świadczy? Mam tolerować we własnym domu sabotaż?

- Wuj bardzo dobrze wie, że to nie jest żaden sabotaż. Ciocia odwala kurację odchudzającą. Dla nikogo to nie jest łatwe, a dla niej szczególnie. Nie można człowiekowi podtykać pod nos ulubionych potraw, których nawet do ust wziąć nie może!

- A co MNIE to obchodzi?

"Szałas pewny" - przemknęło przez myśl Justynce i rzuciła się głową w przepaść.

- Nie wierzę, że wuja nie obchodzi! Nie można do tego stopnia nie mieć żadnych względów dla drugiej ludzkiej istoty! Wujowi też powinno zależeć, żeby ciocia schudła, trzeba jej to ułatwić, wiadomo, że trzeba, bo inaczej nie da rady. I przecież my się dziko staramy, obie z Helenką, ale talent się w nas znienacka nie urodzi i jeden tydzień mógłby wuj przetrzymać. I w ogóle...!

- "W ogóle" rzeczywiście jest argumentem najistotniejszym...

Karol już syczał, ale Justynka mu przerwała.

- Mieszkam w domu wuja, żywię się za wuja pieniądze, zużywam wodę, za którą wuj płaci, i za nic w świecie nie chcę być niegrzeczna, ale muszę powiedzieć, że wujowi też by się przydała kuracja odchudzająca. Niekoniecznie taka drakońska, mogłaby być długofalowa. To istny cud boski, że wuj jeszcze nie ma ciśnienia...!

- Naprawdę sądzisz, że nie mam żadnego ciśnienia?

- Boże drogi... Przepraszam, zapomniałam się. Podwyższonego.

- Nie trać nadziei...

- Teraz wuj się zapomina. Ciocia tego nie słyszy, płacze z głodu w łazience.

- Byłoby wskazane, gdyby płakała w kuchni. Duża oszczędność soli. Nie będzie mi głupia sierotka dyktowała trybu postępowania!

Z pewnym wysiłkiem Justynka pohamowała chęć natychmiastowego zerwania się od stołu, spakowania swoich rzeczy i wyniesienia się bodaj pod most. Zdążyło jej mignąć w głowie, że ciotka właśnie by się zerwała...

- Dlaczego wuj chce mnie tak bezsensownie obrazić? - spytała cicho. - Przecież to nie moja wina, że jestem sierotą. Nic na to nie mogłam poradzić. I na pewno do końca życia nie zapomnę, że tutaj znalazłam dom. A jeśli idzie o wrodzoną głupotę, to to jest zwyczajny dopust boży i też nic na to nie możemy poradzić.

Karolowi zrobiło się głupio. Najpotężniejsza nawet furia nigdy nie przeszkadzała mu myśleć. Uświadomił sobie, że się zagalopował ze złości, ale żadne przeprosiny nie przeszłyby mu przez gardło. Ponadto przypomniał sobie, że sam, dobrowolnie, ożenił się z wrodzoną głupotą, która ujawniła talent szczególny, a na tym talencie zależy mu bardziej niż sądził. Obarczanie winą za to Justynki było zupełnym idiotyzmem, chociaż to ona właśnie wyzwoliła szaleństwo jego żony. Niewykluczone, że miała trochę racji.

Milczał przez chwilę, bo tak okropnie nie chciał godzić się z czymś, na co nie miał ochoty.

- Żywię nadzieję, że efekty będą warte swojej ceny - rzekł sucho. - Jutro zjem obiad na mieście. Przyjadę pod wieczór i niech ona będzie gotowa.

Korciło go strasznie, żeby pozostawić dom w niepewności, bo może, wściekły na Malwinę, pozbawi ją uczestnictwa w bankiecie, ale wiedział doskonale, że tego nie uczyni, bał się, że w ostatniej chwili zastanie ją w proszku i we łzach, a ponadto tajemnicza siła kazała mu Justynkę traktować inaczej. Zasługiwała na "inaczej".

Justynka komunikat przyjęła w milczeniu. Ostatnie fragmenty obiadu z najwyższym trudem przenikały do jej przewodu pokarmowego. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że wuj zatrzymał się na jakimś skraju okropieństwa, że zemstę wywrze na ciotce, poczuła się odpowiedzialna za wszystko i zwątpiła w jakikolwiek pozytywny rezultat starań. Nagle gwałtownie zapragnęła narady z Konradem, bo on jeden miał pojęcie, o co tu w ogóle chodzi.

Malwina wcale nie siedziała w łazience i wcale nie płakała. Nie zamierzała niszczyć dzieła kosmetyczki, która tak genialnie odremontowała jej twarz. Przypomniał jej się film, na którym jedna gruba baba schudła, i w gościnnym pokoju na górze uprawiała gimnastykę.

Wymachy nóg i skłony, może chociaż odrobinę tego sadła spali, może bodaj centymetr, pół centymetra... Byle do jutra!

Niewiele brakowało, a spędziłaby noc na obieganiu ulic dookoła domu. Zapewne uczyniłaby to, gdyby wiedziała, że na tym bankiecie ma być także jej sól w oku, Jola, nie jako żona Karola, tylko zwyczajnie, służbowo, jako tłumaczka.

* * *

Z Konradem Justynka porozmawiała zaledwie przez chwilę, przez telefon.

- Teraz mi przychodzi do głowy, że i tę komórkę musiałabym wujowi oddać - powiedziała nerwowo. - Chociaż zapłaciłam... I nijak bym książek na plecy nie wzięła, chociaż moje. Boże drogi, jak to jednak trzeba myśleć...

- Moment, czekaj - poprosił Konrad. - Można wiedzieć, o czym właściwie mówisz?

- O, nie. Za dużo jest tego. Jutro ci powiem. A tak strasznie chciałam powiedzieć ci wczoraj wieczorem!

- Ale może chociaż powiedz, o czym?

- O wszystkim. Przerwa się kończy, muszę to wyłączyć. Ale może jak oni pojadą na bankiet, to ty wrócisz?

- Wrócę po ósmej nawet z końca świata... Gdyby tę rozmowę usłyszała Jola, nie miałaby najmniejszych wątpliwości, że jej brat musi być zakochany do szaleństwa, skoro na pytanie "...wrócisz?" nie odpowiedział: "Bo...?"

*** * ***

Popołudnie przed bankietowym wieczorem stanowiło apogeum wszystkich dotychczasowych udręk i katuszy.

Chiffon-velour na Malwinę wlazł. I nawet się dopiął. Wdzięczność należała się gorsetowi, który prawie uniemożliwiał Malwinie oddychanie, ale od razu postanowiła, że oddychać nie będzie. Nie musi. Wystarczy jej tlenu, dostarczanego przez szczęście.

Justynka zachowała zdrowy rozum i obiektywne spojrzenie. Wczoraj naraziła się śmiertelnie wujowi, trudno, dziś narazi się ciotce. Skutki nie do przewidzenia, ale przecież, do licha, jakoś da sobie radę, dorosła jest, pełnoletnia! Dorosłość do czegoś zobowiązuje!

- No i widzi ciocia - zaczęła delikatnie. - Gdyby to były dwa tygodnie, a jeszcze lepiej trzy...

- Trzy tygodnie na tej brei obrzydliwej? - oburzyła się Malwina. -Jeden wystarczył, proszę! Leży na mnie doskonale!

- Nawet za bardzo doskonale - przyświadczyła Justynka zimno.

- Co ty wygadujesz, co to znaczy za bardzo? Nawet schylać się... no nie, nie muszę się schylać...

- Tu jest drugie lustro. Niech się ciocia obejrzy z tyłu i z boku.

- Nie potrzebuję się oglądać, sama widzę, że leży! Nie wmawiaj we mnie głupot!

- Skoro tak świetnie leży, może ciocia ten widok z przyjemnością obejrzeć. Proszę, niech ciocia spojrzy w lustro.

Mimo subtelnych złych przeczuć, Malwina spojrzała. Zobaczyła się z tyłu. Potem z profilu. Chciała pochwalić swój wygląd, ale coś usiadło jej na strunach głosowych. Milczała.

Suknia była obcisła. Na szczuplejszej figurze podkreślała jej kształt, obfitszą eksponowała wybuchowo. Całość, gdyby Malwina była wyższa, robiłaby wrażenie elegancko opakowanego wieloryba. Przy niższym wzroście nieodparcie nasuwała skojarzenia z doskonale utuczoną hipopotamicą w ostatniej fazie ciąży.

Odruchowo Malwina spróbowała wciągnąć brzuch. Zważywszy, iż gorset odwalił swoją robotę, efekt był mizerny. Poczuła, że twarz jej zaczyna płonąć.

- No co... - zaczęła buntowniczo, ale od razu zmieniło się to na żałośnie. - No przecież obcisłe poszczupla...

Odłożywszy na stołek wszelkie miłosierdzie, Justynka odwróciła ją i lustro zaprezentowało pośladki w charakterze zadu wyjątkowo zażywnego perszerona. Nie, takiego widoku Malwina nie mogła przyjąć do wiadomości, w ogóle nie mogła weń uwierzyć, to lustro musiało zniekształcać! To niemożliwe, żeby mogła tak wyglądać w tej upragnionej sukni!

Już miała oczy pełne łez, ale siostrzenica zdążyła zareagować.

- Żadnego płaczu, ciociu! Ciocia ma zrobioną twarz! Niech ciocia cierpi w sobie, nie na zewnątrz!!!

Cierpienie w sobie Malwina umiała ujawnić tylko w jeden sposób.

- To po co ty mi kazałaś te gówna jadać?! Po co ja się tak namęczyłam?! Oszukałaś mnie, zrobiłaś mi świństwo, w życiu ci tego nie przebaczę! Obiecałaś mi, że wejdę w ten szyfon-welur, że w tym pójdę, wezmę szafiry...! I co mi tu teraz pokazujesz, przez ciebie ten koszmar, żmiję mam w domu, potwora! Zejdź mi z oczu...!!!

- Nigdzie cioci nie zejdę, tylko ubiorę ciocię jak człowieka. Wchodziła ta kiecka na ciocię tydzień temu? Nie. A teraz wchodzi.

- No i co mi z tego, że teraz wchodzi...!

- To, że teraz ciocia przymierzy srebrne cętki i dopiero ciocia zobaczy. Już, już, niech ciocia to zdejmuje i mierzy, potem pogadamy.

Zamiast zdejmować i mierzyć, Malwina urządziła atak histeryczny. Nie mogła płakać, nie mogła niszczyć kunsztownie przygotowanej twarzy, musiała ograniczyć się do krzyków, obelg i inwektyw. Nastawiona na gwałtowne reakcje, Justynka zniosła to cierpliwie, z odpięciem zamka musiała poczekać, aż ciotka przestanie się miotać, ale w końcu i to nastąpiło, bo pancerz utrudniał Malwinie gwałtowne ruchy. Wśród protestów, pretensji i wybuchów goryczy jedna kiecka została zamieniona na drugą.

Jak nożem uciął, Malwina zamilkła.

Ta czarna, mieniąca się srebrnymi iskierkami, uniemożliwiająca jeszcze nie tak dawno pochylenie tułowia, teraz leżała prawie swobodnie. Obciskała ją, ale spływała. Obciskała lekko, tyle, ile trzeba. Z przodu... Boże wielki... z przodu Malwina była chudsza...!

Bez słowa Justynka podała jej ręczne lustro.

Profil... nie, na profil patrzeć nie należało, ale przynajmniej znikło to wrażenie ciąży hipopotama. Tył... Z połci też spływało, nie podkreślając...

Z wysiłkiem Malwina powstrzymała łzy szczęścia w oczach i jednak pretensję zgłosiła.

- Ale miała na mnie wejść tamta. Oszukałaś mnie.

- Też miałam nadzieję, że wejdzie. Robiła ciocia za mało wysiłków fizycznych, bo słyszałam o takim jednym, który przez trzy dni szedł piechotą i stracił pięć kilo. Więc była szansa, ale ja jutro mam drugi egzamin i nie mogłam cioci włóczyć kilometrami. Mówiłam, że powinna ciocia dzień w dzień tańczyć...!

- Co tańczyć, jakie tańczyć, solo? Miałam się zapisać do baletu? Tyle cierpienia i ledwo jedna sukienka!

- Przypominam cioci, że tylko przez tydzień. Niech ciocia sobie wyobrazi miesiąc.

Malwina wyobraziła sobie miesiąc niejako dwustronnie. Miesiąc upiornej zupki, nie, tego kamień nie wytrzyma, i cztery tygodnie, cztery razy pięć i pół, dwadzieścia dwa kilogramy. Wyliczyła to z pewnym trudem, ale za to rezultat ją zachwycił.

Przestała czepiać się Justynki, uczepiła się norek. Srebrny szal czy szafiry? Ta odrobina niebieskości w srebrnoszarym futrze...

Kiedy ciotka, zrobiona na wielki dzwon, jednak w norkach, pojawiła się w salonie do dyspozycji wuja, kiedy wuj spojrzał na nią bez wstrętu, a nawet jakby z czymś w rodzaju aprobaty, Justynka poczuła się, jakby przepchnęła na inne miejsce piramidę Cheopsa. Przynajmniej ciotka nie wygląda jak niedorozwinięty potwór, tylko jak normalna, gruba kobieta, przynajmniej wuj może na nią patrzeć i nie musi wstydzić się za jej głupotę. Jakaś część niedokładnie sprecyzowanego zadania została wykonana.

O przebiegu bankietu Justynka dowiedziała się następnego dnia, drogą okrężną, przez Jolę i Konrada, który zdążył złapać kolejno obie dziewczyny, bo sam był ciekaw. Opowieści ciotki wysłuchała dopiero wieczorem, wróciwszy do domu po zdanym, ku własnemu zdumieniu, egzaminie. Miała ochotę nawet się pochwalić, ale Malwiny nie obchodziło nic, poza nią samą i jej prywatnym sukcesem.

Wuj mógł być zupełnie zadowolony, bo jego żona zrobiła najprawdziwszą furorę. Niejedna dama miała na sobie norki, szafiry Malwiny były jednak najwyższej klasy. Ponadto wzbudziła szalone zainteresowanie całej żeńskiej części zgromadzenia za sprawą Joli, o czym, rzecz jasna, nie miała najmniejszego pojęcia.

Owe utracone pięć i pół kilograma dało się, mimo ogólnej tuszy, zauważyć, Jola zaś widziała Malwinę zaledwie przed dwoma tygodniami, i to w tej samej sukni. W innej różnica byłaby mniej widoczna. Ten widok zdumiał ją tak, że do jednej z pań wyrwała się jej niestosowna i plotkarska uwaga, po czym już wszystkie rzuciły się z pytaniami, jak to pani Wolska zrobiła. Malwina bardzo chętnie udzielała odpowiedzi i podawała przepis na obrzydlistwo, z emocji zaś przypomniał jej się francuski język i w rezultacie cały czas otoczona była autentycznym, najżywszym w świecie zainteresowaniem. Podejrzliwie patrzący na to Karol uwierzył w końcu w sukces żony, czego wprawdzie nie mógł zrozumieć, ale co zaowocowało mu zacieśnieniem bardzo pożądanej znajomości z upatrzonym biznesmenem, którego małżonka na stronie zażądała z naciskiem utrzymywania z Wolskimi bliższych stosunków.

W głębi duszy stanowczo zadecydował o żadnych rozwodach nawet nie myśleć. Kretyństwajego żony, jakimś tajemniczym sposobem, zaczynały przynosić mu korzyść.

Kiedy wrócił do domu, jeszcze później niż Justynka, Malwina nadal opowiadała w upojeniu, potężnie wzmożonym myślą o zjedzeniu wreszcie normalnej kolacji. Trafił akurat na chwilę, kiedy Justynka głosem jak trąba jerychońska przedarła się przez potok słów ciotki.

- Czy ciocia z tego welur-szyfonu już całkiem zrezygnowała?!

Malwinę ścięło.

- A co to ma... Kto tak powiedział? Tylko teraz musiałabym mieć szynszyle, w tym samych norkach drugi raz się pokazać...

- Ciociu, ja nie o futrach mówię, tylko o kieckach! Może ciocia mieć boa z kruczych piór, one błyskają niebieskawo...

Instynkt kazał Malwinie odsunąć niemiły temat i uczepić się piór.

- Z kruczych piór...! To świetny pomysł! Tylko musiałoby być grube, taki wał ułożony, a gdyby na gładko, to może nawet szal... Skąd to się bierze, te pióra?

- Z ptaków - mruknął Karol pod nosem, nie zdradzając na razie swojej obecności i tylko z lubością węsząc aromaty z kuchni, wreszcie takie jak trzeba.

- Musiałaby ciocia zbierać je po łąkach i nieużytkach - powiedziała równocześnie Justynka. - Kruki są pod ochroną i nie wolno na nie polować. Niech ciocia da spokój dekoracjom, ja pytam o sukienkę. Pytam, czy ciocia już na niej krzyżyk kładzie?

- A niby dlaczego mam na niej krzyżyk położyć?

- Bo bez dalszego odchudzania ciocia w nią nie wejdzie. Ja nie mówię o zupie, ale jeśli człowiek chce schudnąć, nie może jadać kolacji. A już szczególnie tak późno.

- Oszalałaś? Mam chodzić spać głodna?

- Otóż to. Nie żeby tak strasznie głodna, ale chociaż troszeczkę. A w każdym razie nie najedzona. I nic cioci na to nie poradzę, natura nas tak urządziła.

- A ty jadasz kolacje i co?

- I nic. Ja dosyć mało jadam. Jeśli ciocia zje na kolację tyle samo co ja, ręczę, że za miesiąc ciocia się w tę kieckę ubierze. No, ewentualnie za dwa.

Skutek tej lekkomyślnej propozycji był taki, że w ciągu całego posiłku Malwina Justynce patrzyła w zęby. Podsuwała jej potrawy, zachęcała do repety, pilnie porównując zawartość talerzy i z wielką niechęcią dokładając sobie sałaty. Zaniedbany nieco przy tej okazji, Karol zaczynał się świetnie bawić. Pierwszy raz od wielu lat dom wydał mu się miejscem rozrywkowym.

Malwina zaś z najwyższym zdumieniem stwierdziła, że owo naśladownictwo siostrzenicy wcale nie przyczyniło jej cierpień. Wbrew obawom, poczuła się nasycona. No, może nie tak do błogiego wypęku, ale dostatecznie, żeby już chciwym wzrokiem nie wpatrywać się w grzaneczki z pastą serową ani nawet w tort. Dało się te widoki wytrzymać bez wielkiej przykrości...

A te wszystkie baby na bankiecie szału dostały, że ona tyle w jeden tydzień straciła. Nawet ta Jola parszywa zaświadczyła, a jak na nią patrzyła, może nie z taką straszną zawiścią, ale coś jej w oku błyskało, no, zdziwiła się niebotycznie, no i proszę, niech sobie głupia dziopa nie myśli...

- Można wiedzieć, dlaczego już wcześniej nie przystąpiłaś do tej działalności leczniczej, tylko dopiero teraz? - zwrócił się Karol znienacka do siostrzenicy.

Justynka stropiła się mocno. Nie mogła przecież wyjawić wujowi prawdziwej przyczyny, tego okropnego odkrycia, już nawet nie podejrzenia, a całkowitej pewności, że ciotka usiłuje go zabić. Dziwnie, bo dziwnie, ale jednak bardzo się stara, ona zaś wszelkimi siłami przepychają na inne tory. Zarazem musiałaby znów skrytykować wuja, co, jak widać, daje rezultaty odwrotne od pożądanych, każde wyjaśnienie byłoby zatem salwą z broni rakietowej.

- Bo... Bo dopiero teraz... Bo dopiero teraz rzuciło mi się w oczy, że ciocia stęka...

- Ja stękam...?! - oburzyła się śmiertelnie Malwina, gwałtownie wyrwana ze swoich upojnych myśli.

- Sądziłbym, że powinno ci się rzucić raczej w uszy - podsunął uprzejmie Karol.

- Rzuciło się ogólnie. I ta sukienka... Bo dopiero teraz jestem dorosła, a przedtem nie ośmieliłam się nic mówić.

- I teraz nadrabiasz zaniedbania...

Justynka odzyskała rezon.

- No właśnie. I, jak sam wujek widzi, trochę nadmiernie i w przesadnym tempie. Ale już się utemperowałam, więc nie stwarzam wielkiego zagrożenia.

- Szkoda. Może w ostatecznym rezultacie byłoby to użyteczne. Dla wszystkich.

Niemal wstrząśnięta, Justynka zrozumiała, że wuj się złamał i tym sposobem wyraża zgodę na kurację odchudzającą. Nie powie tego wprost, ale nie będzie protestował. Kapuścianą zupką, rzecz oczywista, karmić się nie pozwoli, ale jakieś łagodniejsze sposoby przyjmie i teraz należy tylko do racjonalnych przemian nakłonić ciotkę. Może się uda za pomocą machania jej tą welurową kiecką przed nosem...

Ciężko urażona Malwina, podnosząc się z krzesła, zacisnęła zęby i nie stęknęła.

* * *

- Postęp jest szalony - powiedziała Justynka do Konrada, odebrana przez niego z uczelni po kolejnym zdanym egzami-

nie. - Mam na myśli, w żywieniu. Ciotka szału dostała, a że ma talent prawdziwy, wuj nawet nie zauważa różnicy. I sam z siebie ogranicza kolacje, jak na razie, jada trzy czwarte tego, co przedtem. Bóg raczy wiedzieć co z tego wyniknie, bo poza tym zmian nie ma.

- Owszem, jest jedna - skorygował Konrad. - Z naszą agencją pani Wolska skończyła. Z czego wynika, że zaniechała chyba zbrodniczych zamiarów, a ja mam więcej czasu dla ciebie.

- Zdawało mi się, że masz pracę magisterską...?

- Już ją oddałem. Ale i tak zamierzam angażować się w nieco skromniejszym wymiarze godzin. Przeczekam jeszcze cierpliwie twoje egzaminy.

- Proszę? - zdziwiła się obłudnie Justynka. - A potem co?

- A potem liczę na to, że będziesz miała więcej czasu dla mnie.

Wielkim wysiłkiem Justynka przyhamowała żar, który ją zaczął oblewać. Owszem, powolutku dopuszczała już do siebie myśl, że on nie widuje się z nią wyłącznie w celach służbowych, dla ułatwienia sobie pracy, szczególnie teraz, kiedy ciotka się od nich odczepiła, ale wciąż bała się własnych nadziei. Ponadto poczuła się nieswojo, istniała wszak między nimi bariera, taka dosyć okropna, mianowicie ten jego stan zdrowia. Czy ona przypadkiem nie odkryła jakiejś jego wstydliwej tajemnicy, ułomności, którą on za wszelką cenę stara się ukryć, nie ujawniać, może wyleczyć...? Bo może to hemoroidy...? Ma go o to zapytać? Czy ma się w nim zakochać bez zastrzeżeń, a potem dowiedzieć się o czymś, co człowiekowi niszczy życie, co obydwojgu im przyczyni udręk, co stanie się kamieniem u szyi i kłodą pod nogami, ona zaś będzie musiała się poświęcić... Zarazem dowiedzieć się, że została oszukana... Teraz to jeszcze nic, nawet gdyby ją z dnia na dzień porzucił, ona przetrzyma, nie będzie gorzej niż przy Piotrze, ale jeśli ugrzęźnie doszczętnie...?

Milczenie i osobliwe zmieszanie Justynki Konrad odebrał jako odpowiedź odmowną i trochę zesztywniał. A już mu się wydawało, że ona mięknie, że wszystko się między nimi układa, że pełne porozumienie jest o krok. Nie udawała przecież...? Ma gdzieś na boku jakiegoś palanta? Ależ nic na to nie wskazywało, zabrakłoby jej czasu! Więc ona go po prostu nie chce, mimo jego starań, mimo wszystko...

Justynka zesztywnienie Konrada wyczuła i prawie wpadła w rozpacz. Jak ma, do licha, wyjawić mu ten gwałtownie wyrosły melanż uczuciowy?! Przecież on się obrazi, wręcz powinien się obrazić, a ona może się wygłupi, bo zbyt poważnie traktuje ten kiełkujący związek, podczas gdy on ma na myśli tylko lekką podrywkę, nawet niechby, ale dla niego lekka, dla niej zaś jak kafar, jak wagon cementu...

- O Boże drogi, czy jakaś klątwa ciąży nade mną?! - wyrwało jej się w przygnębieniu. - Nic nikomu nie można powiedzieć wprost, tu wuj, tu ciotka, tu ty... Za dużo na mnie jedną!

- Jeśli o mnie idzie, wszystko możesz powiedzieć wprost - zapewnił ją Konrad drewnianym głosem.

- Otóż właśnie nie! Nie wszystko. Zrazisz się do mnie...

Ugryzła się w język, ale Konradowi wystarczyło. Świat mu pojaśniał.

- Nie wygłupiaj się, ty z kamienia jesteś czy co? Nie istnieje nic, co by mogło mnie do ciebie zrazić, jeszcze tego nie rozumiesz?

Stali już na szczęście przy placyku parkingowym obok domu Justynki, katastrofy zatem żadnej Konrad nie spowodował. Po dłuższej chwili Justynka wydarła się z jego objęć.

- A jednak jeszcze nie mogę - rzekła żałośnie. - Ja... widzisz... Ja muszę cię o coś zapytać, ale nie, nie w tej chwili. Muszę do tego dojrzeć. Po egzaminach, i z pewnością to będzie okropna chwila.

- Nie mam żony ani dzieci - powiedział Konrad pośpiesznie. - Mówię przecież, poczekam do końca twojej sesji...

Mimo wszystkich obaw i niepewności, Justynka wkroczyła do domu krokiem elfa na łące. I natychmiast natknęła się na wściekłą i zapłakaną ciotkę, pchającą sobie do ust świeżutkie pączki tak, jakby od pożarcia ich zależała przyszłość świata.

- Ciociu... - powiedziała z łagodną naganą.

- I ty przeciwko mnie! - krzyknęła Malwina, przełknąwszy gwałtownie. - I ten potwór, twój wuj! I nawet Helenka...!

- Ja tylko przypomniałam, że pani chciała miesiąc przetrzymać - zawiadomiła smętnie Helenka z kuchni. - Do tej sukni...

- I na co mnie suknia! Po co ja się mam w ogóle ubierać?! Złotogłów żeby tu leżał, do czego mi?! Nie pójdę, nie pójdę, nie zabierze mnie, czy ja gdzie chodzę w ogóle, czy ja się mam gdzie pokazać, sama siedzę jak przymurowana, do tego życia w czterech ścianach to i ścierka wystarczy...!

Justynka straciła równowagę i radosne, acz mieszane uczucia uleciały z niej ze świstem.

- Kilka ścierek, bo jedna na ciocię nie obstanie. Co się znowu stało, wuj nie chciał gdzieś iść?

Helenka w progu kuchni wzruszyła ramionami i cofnęła się w głąb.

- Mnie zabrać nie chciał - wybełkotała Malwina pełnymi ustami.

- A kto przyniósł te pączki? - spytała Justynka surowo.

Odpowiedzi nie uzyskała. Helenka znów pojawiła się bliżej.

- Pani sama kupiła i przyniosła...

- Ciociu...!

- Przecież już schudłam! - wybuchnęła Malwina, prychając ciastem. - Akurat świeże przywieźli, jeszcze ciepłe... Siedem kilo! Myślałam, że teraz już mógłby mnie wziąć ze sobą, to nie! Bo ja jestem reklama Michelina! Ten taki bałwan pokawałkowany!

- Bo też i niepotrzebnie pani się ubrała w to takie niebieskie, elastyczne - odpowiedziała półgłosem Helenka na pytające spojrzenie Justynki.

- Wejść, weszło, ale obcisnęło. No i razem te pączki pani przyniosła. Pan Karol jak spojrzał, to się zawinął i poszedł. No owszem, swoje powiedział.

- Siedem kilo! - wyłkała niewyraźnie Malwina. - Zważyłam się!

I wyrwała z pudełka szósty pączek.

Szybko oceniwszy, iż na początku było ich w pudełku dwanaście, Justynka z determinacją zabrała resztę ciotce sprzed nosa. Wyniosła je do kuchni, przekazała w ręce Helenki, zaniosła na górę swoją torbę i wróciła na dół, niczym bogini gniewu. Malwina szlochała nad ostatnimi okruchami.

- Nie mam do cioci cierpliwości - rzekła siostrzenica. - Tyle wysiłku ciocia marnuje, cofnęła się ciocia w rozwoju co najmniej o trzy dni. I po co było się wbijać w tę niebieską garsonkę? Zgniłozielone lepsze...

- Ciągle w tym chodzę!

- Bo tylko to jedno dobrze leży, reszta, co tu ukrywać, za ciasna. A do weluru już ciocia dojrzewała i co? Wuj się zgodził odchudzać, nie grymasi, rąbie chudy sernik półsłodki, a ciocia mu przed oczami pączkami świeci. Świętego by szlag trafił! I jeszcze w niebieskiej garsonce, sam kolor pogrubia, ciocia dla samej siebie nie ma litości!

Ciężar krzywdy przekroczył granice wytrzymałości Malwiny. Kilka dni ulgi wydało jej się już końcem wszelkich udręczeń, przestał ją straszyć rozwód, spadł z niej ten potworny obowiązek zabicia Karola, odpadły koszty agencji, nowość dietetycznej kuchni wręcz ją uskrzydliła, kopiąc w ambicję i przysparzając natchnienia, kiecki zaczynały na nią wchodzić, a tu co...?! Grom z jasnego nieba, ten podlec znów ją ukąsił i nawet taki drobiazg, taka nagroda za wysiłki, taka drobniutka pociecha,

jak głupie pączki, została jej wzbroniona! I jeszcze ją się obarcza winą, ją, nieszczęśliwą, zmaltretowaną, ofiarę ciosów, bezsilną w obliczu klęsk!

Justynka doskonale wiedziała, że, jakiekolwiek byłyby zalety ciotki, z pewnością nie zalicza się do nich wytrwałość. Trzy tygodnie systematycznych starań to dla Malwiny były trzy lata, a może i więcej. Żadna ludzka siła nie zmusi jej teraz do kontynuacji tak doskonale rozpoczętej terapii, osobę, która próbowałaby wywrzeć na nią presję, Malwina znienawidzi, od obowiązków się wyłga, wymiga, a rezultat spaskudzi, tak jak właśnie tymi pączkami. I za żadne skarby świata nie uzna swojej winy.

- Bardzo dobrze - powiedziała zimno. - Skoro woli ciocia płakać i niszczyć sobie twarz, nie ma zakazu. Ale mogłaby ciocia chociaż nie wymagać od wujka, żeby się z tego cieszył i żeby mu się ciocia podobała.

- A czy jego obchodzi, czy on mi się podoba?!

- A czy ciocię musi obchodzić to, co wujka obchodzi?!

Malwina już otworzyła usta, żeby zaprotestować namiętnie, choć, prawdę mówiąc, przestała być pewna, przeciwko czemu protestuje, kiedy uderzyła ją ta prosta myśl. Rzeczywiście, co ją obchodzi, co Karola obchodzi?

Skoro z rozwodu zrezygnował, nie musi go już zabijać, nie musi starać się o alibi i nie musi udawać, że go tak strasznie kocha. Odpadają jej te nadludzkie wysiłki. W życiu by nie przypuszczała, że zbrodnia wymaga takiej potwornej pracy. Boże, ileż się namęczyła, to wprost gorsze niż galery, to jak niewolnik na plantacji! I po co jej to było, w takich nerwach, a bez skutku, nie do zniesienia absolutnie, więcej się na tę katorgę narwać nie da, mowy nie ma. A ta Jola niech się wypcha, ona gotować nie umie, nadaje się dla Karola jak wół do karety, za to ona, Malwina, odchudzona... O tak, zajmie się sobą, odżyje, a złodzieje samochodowi mogą się powiesić...

Z pewnym trudem oderwała się od tych myśli, coraz piękniejszych.

- Nie chce się odchudzać, to nie - rzekła z godnością, ni w pięć, ni w jedenaście. - Ja swoje obowiązki spełnię...

- A i to jeszcze chciałam cioci powiedzieć - przerwała podstępnie Justynka, nie bacząc na brak sensu w jej słowach - że namawiałam ciocię na tę dietę, ale w życiu bym nie przypuszczała, że ciocia zrobi z tego takie arcydzieło! Myślałam, że to będzie tak samo niedobre jak wszędzie, i byłam ciekawa, jak długo się utrzyma, ale to, co widzę... i jadam... jest nie do uwierzenia!

- Żeby chociaż raz to twój wuj powiedział...!

- Ależ powiedział! Obsobaczył mnie i Helenkę, jak ciocia na tej zupce była, a myśmy się starały gotować bez cioci, powiedział, że sobie więcej takich świństw nie życzy. Dobre było tylko, jak ciocia osobiście robiła!

Malwina doznała nikłej satysfakcji. Polizała palec, pozbierała z kolan okruszynki lukru i zjadła.

- Dobrze już, dobrze - zgodziła się wzgardliwie, starannie kryjąc ulgę i satysfakcję. - Oczywiście, zawsze wszystko na mnie i ja jestem ta najgorsza.

Justynce znów opadły ręce...

* * *

Zważywszy, iż Karol przyjeżdżał na obiad, potem znikał z domu i wracał bardzo późno, cztery kolejne wieczory były spokojne. Dumna ze swoich siedmiu kilogramów Malwina pozwoliła sobie na złożenie kilku wizyt przyjaciółkom i doczekała się nawet skąpej pochwały od Krystyny.

- Jak ci się dobrze przyjrzeć, to widać. Tylko weź pod uwagę, że cztery kilo u kogoś, kto waży sześćdziesiąt, wpada w oko od razu, ale jeśli ktoś waży sto czterdzieści sześć, a potem tylko sto czterdzieści dwa, wielkiej różnicy nie będzie. Jeszcze z piętnaście i zaczniesz przypominać kobietę...

Malwina nawet jej na to nic nie odpowiedziała, bo już była pewna swojego triumfu. Jeszcze tej Krystynie oko zbieleje...

Czwartego z owych wieczorów, przed następnym egzaminem, to już był przedostatni, Justynka zrobiła sobie malutką przerwę, oderwała się od nauki i zeszła na dół, do kuchni. Postanowiła zjeść jakieś małe byle co i odpocząć aż do jutra.

Helenka wynurzyła się ze swego pokoju, gdzie znów oglądała "Czterech pancernych i psa", tym razem szturm na Berlin, ponieważ był to jej ulubiony serial. W związku z czym ani jedna, przed hałasującym telewizorem, ani druga, u siebie na górze przy cichych dźwiękach radia, nie słyszały wyjątkowo wczesnego powrotu pana domu.

Karol wszedł spokojnie, bez trzaskania drzwiami, wydało mu się, że nikogo nie ma, bo iluminacja domu była skromna, ucieszył się z tego nawet i postanowił obsłużyć się sam. Nie czuł się zadowolony z życia, ponieważ umknęło mu przedsięwzięcie na jeszcze większą skalę niż wszystkie dotychczasowe, zlecenie mógł przyjąć, owszem, ale nie zdołał wejść do spółki, inwestycje dopiero zaczynały się zwracać i zabrakło mu luźnych pieniędzy. Nie lubił tego. Lubił móc wszystko. Ponadto w klubie brydżowym natknął się na Jolę z jakimś pacanem, najwyraźniej w świecie bardzo sprawnym fizycznie, i doznał ukłucia zazdrości. Nie o Jolę, tylko o tę formę pacana. O ileż łatwiej żyje się takiemu, który swobodnie wkłada skarpetki i wyciera ręcznikiem palce u nóg...! Nie mógł na niego patrzeć i dlatego wyszedł wcześniej.

Wkroczył do kuchni, znalazł jedną ze swoich ulubionych, dietetycznych potraw, mus z piersi indyka, który Malwina przyrządzała rewelacyjnie, do niego dość osobliwy zestaw dodatków, borówki, sałatkę z selera z chrzanem i marynowane grzybki, wziął butelkę białego wina, które świetnie umiał sam otworzyć, i ustawił to wszystko w jadalni na stole. Po czym udał się jeszcze na parę chwil do gabinetu, przypomniał sobie bowiem, że zostawił na biurku papiery, a po holu kręcił się Pucuś.

W tym momencie w kuchni pojawiły się Justynka z Helenką. Żadna nie zaglądała do pomieszczenia obok i żadna nie miała pojęcia, że stół jest zastawiony. Kiedy Karol wrócił do jadalni i zasiadł do posiłku, były już w trakcie rozmowy.

- ...ale ciocia nie lubi chodzić sama po restauracjach - mówiła smętnie Justynka. - A u tych bab będzie jej głupio.

- Starczy tego, co zje w domu. Mogłaby jej Justynka powiedzieć...

- Przecież mówiłam! Helenka sama wie, że do cioci jak do ściany. Chociaż i tak łatwiej niż do wujka. Ciocia przynajmniej słucha, co się do niej mówi, tyle że nie rozumie... No, może udaje. A wuj nawet gęby nie pozwala otworzyć.

- Bo też i nasłuchał się przez te wszystkie lata...

- Obydwoje tak reagują, że człowiekowi coś się robi. Gdyby się dało wujowi jakoś przetłumaczyć, żeby cioci czasem dobre słowo powiedział!

- No, jedzenie pochwali.

- Jedzenie owszem, ale to przez rozum. Gdyby skrytykował, ciocia by zrobiła coś innego i tego dobrego już by więcej nie dostał...

Słuchający ze średnim zainteresowaniem Karol pomyślał, że ta Justynka jest niegłupia. Wnioski wyciąga właściwe.

- ...ale o całej reszcie milczy. Uwagi czyni wyłącznie kąśliwe.

- To jest prawda, że jak już pani tak się namęczyła na tej zupie, mógł powiedzieć, że lepiej wygląda. I po francusku podobno gadała jak najęta.

Justynce zebrało się na szczerość.

- No właśnie. Miałam nadzieję, że chociaż pieniądze pomogą, bo przecież wcale od niego nie żądała. Zawsze przy takich

okazjach ciocia chciała więcej pieniędzy, tym razem nic, i nawet to nie pomogło!

- A to Justynka nie widziała, ile tu się namarnowało? Pani Malwina kupowała jeden strój za drugim, parę miesięcy i do widzenia, tu nie pasuje, tam za ciasne, na szmaty szło.

Karol w głębi duszy pochwalił także i Helenkę. Konsumował ten mus z indyka coraz wolniej.

- Od czasu do czasu, nawet jeśli ciocia jakieś głupstwo powie, mógłby wuj jej nie oddawać rykoszetem. Żadnych sekretów tu nie wyjawiam, Helenka sama widzi, że wuj poziomem inteligencji przerasta ciotkę o Giewont i całe Himalaje...

Karol doskonale mógł sobie wyobrazić, jak w tym momencie Helenka z wielką energią kiwa głową.

- ...przydeptać ciotkę, to dla niego mniej niż mięta, wykorzystuje przewagę, idzie na łatwiznę. To niełądnie, nie powinno się kopać leżącego.

- Oj, i ten leżący ugryźć potrafi!

- Otóż właśnie, mnie już czasem rozpacz ogarnia. Każdy dobry humor ciotka wujowi zdoła zepsuć, nawet o tym nie wiedząc, to fakt, ale kto właściwie lepiej powinien to wszystko rozumieć, ten głupszy czy ten mądrzejszy?

- No przecie wiadomo, że mądry głupiemu ustępuje.

- Ale nie w tym domu. Co prawda, na miejscu wuja, wcale nie wiem, czy sama bym to wytrzymała...

- Mnie się zdaje, że prędzej by głupszy wytrzymał.

- Helenka ma rację, wuj głupoty nie trawi. Mógłby jednak zastosować dyplomację. Chociażby teraz, obiecać ciotce tę czarną pelerynkę, jeżeli schudnie, na przykład, dziesięć kilo. Niech Helenka zobaczy, ile korzyści, ile kiecek do noszenia od razu się w domu znajdzie, przecież to wszystko nowe, najwyżej raz użyte!

- A niektóre to i wcale...

- Bo w końcu, trudno, wuj sam tak ustawił dom, że on pracuje i zarabia, a ciotka gotuje. I dba o jego rzeczy jak o śmierdzące jajko. Nie może jej teraz zostawić w łachmanach, to by o nim źle świadczyło, a gdyby schudła, zaoszczędziłby majątek! Liczyć umie, więc nie pojmuję, dlaczego mu to nie przyjdzie do głowy.

- Bo chłop. Najmądrzejszemu te babskie rzeczy nawet nie zaświtają.

- Możliwe. I nie pozwala sobie powiedzieć. Z lekką niechęcią Karol pomyślał, że jednak Justynka idzie za daleko, akurat mu jeszcze zabiegi dyplomatyczne w domu potrzebne...

- Panu Karolowi chyba się nie chce - zgadła Helenka. - On pracowity do czego innego.

- Do myślenia z pewnością. No, nie o bzdetach, a dla niego to bzdety. Z drugiej strony mógłby się zastanowić, dla niego to pięć minut, co woli: ustawiczne nieprzyjemności i wydatki czy jedno zdanie ze dwa razy na tydzień...

- Ejże, Justynka myśli, że to starczy?

- Dobrze, jedno zdanie dziennie. Mówi przecież, że ciotka wygląda jak mazepa. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że wygląda przepięknie, co mu za różnica? I z głowy, potem już się może wyłączyć i nie słuchać reszty gadania...

W tym miejscu Karolowi błysnęło, że to niezły pomysł.

- ...a ciotka tak strasznie chce być ważna i dowartościowana.

- Mnie się widzi, że pan Karol też chce.

- Ale jemu to niepotrzebne, bo jest. I żadne opinie tego nie zmienią. A ciotka tylko chce, bezskutecznie, więc niechby miała. Taka ważna w oczach męża, no przecież ten mąż stałby się dla niej najwspanialszy w świecie, nikt jej tak nie docenia jak on! Niechby powiedział raz na dzień, że mu się wydaje, że schudła ćwierć kilo, że jej z tym doskonale, nazajutrz mógłby powiedzieć, że chyba te ćwierć kilo utyła i od razu jej z tym gorzej, ciotka ma dzikie ambicje, może by te ambicje przebiły jej lenistwo?

- Ale pani Malwina lubi, żeby się nad nią użalać - zauważyła delikatnie Helenka. - Pan Karol do użalania niezdatny.

Justynka wpadła w zapał. Ulewało się z niej wszystko, co tak strasznie chciała powiedzieć wujowi.

- A kto mu każe? Pożalamy się my, dla mnie żadne dziwo, użalam się od dziesięciu lat, dopiero ostatnio zrobiłam się niedobra. A wuj mógłby zastosować tę metodę dopingu, a potem odmówić reszty, bo musi pracować na pieniądze dla niej. Niechby jej potem dał sto złotych, jako efekt, ciotka liczyć nie umie, ale byłby to efekt wymierny, a wuj od stu złotych nie zbiednieje. Wedle mojego rozeznania wuj zlekceważył potęgę głupoty i nie okopał się we właściwej chwili, ale jeszcze nic straconego!

Karolowi mus indyczy się skończył i pozostało już tylko białe wino z mieszaniną selera z chrzanem. Zarazem po raz pierwszy w życiu przyszło mu na myśl, że właściwie podziw otoczenia potrzebny mu jest jak dziura w moście, w zupełności wystarczy ilość zer na koncie bankowym. I cała reszta: zlecenia, praca, jej efekty, rozmaite posunięcia finasowe, pognębieni przeciwnicy... Ponadto olśniło go, że Justynka ma słuszność, zlekceważył potęgę głupoty...

Nie był tym odkryciem zachwycony, ponieważ bardzo nie lubił przyznawać się do błędów i pomyłek nawet przed samym sobą. Ten błąd jednakże był do naprawienia, i to rzeczywiście niewielkim kosztem. Należało podjąć decyzję...

- Żeby to pani Malwina dała sobie co przetłumaczyć! - westchnęła Helenka.

- Aż drugiej strony wuj przecież nie będzie pętał sobie charakteru - kontynuowała Justynka, nie zważając już, czy Helenka chwyta jej wszystkie skróty myślowe i metafory. - Kto te eksplozje wytrzyma? Ciotka żyje w puchu, kilka wstrząsów jej nie zaszkodzi, ale osoba w prawdziwym stresie...? Udręka obustronna! I kto go będzie tak karmił...?!

- A, co do tego, to nikt na świecie. Nic nie mówiłam i nic nie mówię, ale o jednym takim słyszałam, co żył sobie i żył, chłop jak tur, co i raz to grubszy, a jak go krew zalała, to na miejscu. Dobrze Justynka zrobiła, do tego odchudzania pchając, bo pan Karol na takie coś zaczynał mi patrzeć...

Karolowi skończyło się także i wino. Potworne proroctwo Helenki nie spodobało mu się w najwyższym stopniu. Justynka miała rację, myśleć umiał szybko, lekarza widywał, ciśnienie miał w normie, ale na górnym skraju, zjechać co najmniej dwadzieścia kilo... Pojedzie na balneoterapię! O, właśnie! I to będzie doping dla tej idiotki, jego żony, Malwiny...

Niekoniecznie ten akurat rezultat chciała osiągnąć Justynka, pozostałe uwagi jednak zostały przez wuja przyjęte. I w wysokim stopniu zaaprobowane.

Jeszcze Karol się wahał, ujawnić swoją obecność czy nie, kiedy szczęknęły drzwi i do domu weszła Malwina. Jakaś dziwna. Z jednej strony promienna, z drugiej jakby przymięta, na ułamek sekundy Justynce błysnęło, że została może zgwałcona, co napawa ją zarazem satysfakcją i przygnębieniem, ale już w chwilę potem wątpliwości zostały rozstrzygnięte.

- Wyobraź sobie! - wykrzyknęła już od progu na widok wychylającej się z kuchni siostrzenicy. - Ta Magda, siostra Agaty, utyła potwornie i nie może chodzić! I mąż od niej uciekł, wpadł w alkoholizm i złożył pozew rozwodowy!

- Po pijanemu? - spytał z uprzejmym zainteresowaniem Karol, ukazujący się równocześnie z jadalni.

Malwiny to nie zaskoczyło, spodziewała się, że on może już być, skoro ona wraca późno, ale Justynka skamieniała. Helenka za jej ramieniem również.

Justynka miała w perspektywie utratę domu, Helenka utratę pracy. Obie tak gwałtownie usiłowały przypomnieć sobie, co mówiły, że dalszy ciąg relacji Malwiny umknął im doszczętnie. Dopiero po dłuższej chwili zaczęły słyszeć.

- ...bo po prostu nie mogła chodzić - mówiła Malwina z mieszaniną zachwytu i zgrozy, ściągając z siebie żakiecik i apaszkę. - Nogi nie udźwignęły ciężaru. Jadła, nie jadła, zła przemiana materii, ale jadła, Agata mi to wszystko powiedziała, płakała i jadła, powiedziała, że ja przy niej jestem jak sylfida, a sama widzi, że przestałam tyć i mogę być z siebie dumna,

ale to wraca. Justynka, jak to wraca...? Nie, jak składał, to był trzeźwy, przez adwokata w ogóle, powód podał okropny, paranoiczkę z niej zrobił! Żenił się z normalną, paranoiczki nie chce, dziećmi się zajmie, coś potwornego! Justynka, jak to, wraca...?

Karol doskonale się orientował, że tak Justynkę, jak i Helenkę zaskoczył. Interesowała go reakcja Justynki, ciekaw był, jak wybrnie z sytuacji, której właśnie stała się świadoma. Stał w progu jadalni i milczał, spokojnie słuchając gadania żony. Justynka zdobyła się na szczyty męstwa.

- Jeśli ciocia zacznie jeść tak jak przedtem, utyje ciocia natychmiast - powiedziała głosem, przypominającym ciosy toporem. - Prędzej niż ciocia schudła. Tylko utrzymanie ograniczeń może dać pożądane rezultaty. Cokolwiek by ciocia jadła, wszystkiego połowę, a słodycze w ogóle won. Ograniczyć sól, z dwojga złego lepsze jabłka w cieście niż placki kartoflane, bo placków kartoflanych bez soli żaden człowiek nie zje, a jabłka w cieście mogą być prawie bez cukru. Natomiast pączki załatwią ciocię radykalnie, specjalnie o tym czytałam pomiędzy egzaminami, więc proszę docenić moje poświęcenie.

- Bez cukru...? - spytała Malwina słabo, widząc wokół siebie nadmiar świadków, którym zamierzała zaprezentować mnóstwo różnych cech, być może, sprzecznych ze sobą, w dodatku każdemu inną. - To znaczy... Ale przecież ja gotuję inaczej! Tak jak mówiłaś!

- I gotujesz doskonale - powiedział Karol, zdecydowany, z czystej ciekawości, wypróbować sugestie siostrzenicy. - Bardzo liczę na to, że nie zmienisz metody. Nie jest wykluczone, że po tej odrobinie wysiłku zaczniesz mi się na nowo podobać.

Pozostawił towarzystwo i udał się do gabinetu.

Towarzystwo z pewnym trudem wydobyło się z osłupienia. Najszybciej odzykała równowagę Helenka.

- No i bardzo dobrze - rzekła gdzieś w przestrzeń, pomiędzy Malwiną a Justynką. - Słowa prawdy każdemu się przydadzą. Mnie tam wszystko jedno.

Po czym uciekła w pracę, to znaczy zaczęła sprzątać ze stołu, co wydało jej się najbezpieczniejszym wyjściem.

Justynka złapała dech i szybko postanowiła skorzystać z okazji.

- No i sama ciocia widzi. Mówiłam, że wuj ma wysoko rozwinięte poczucie estetyki! On też będzie wyglądał inaczej, a ja już kończę sesję, jeszcze tylko dwa egzaminy i mogę potem z ciocią usiąść i zrobić jadłospis na cały miesiąc.

- I znów mi każesz liczyć te głupie kalorie! - sarknęła Malwina.

- Kalorie sama policzę. A jak ciocia chce koniecznie tak, jak ta siostra pani Agaty...

Tu Malwinę otrząsnęło. Wiedza wiedzą, ale widziała ową Magdę na fotografii. Nie mogła pozbyć się strasznej myśli, że sama znajduje się na identycznej drodze, no nie, znajdowała, już z niej zeszła, ale jeśli to wraca...?

- A jeszcze mogę cioci powiedzieć - kontynuowała Justynka - że jeśli ciocia schudnie pięć kilo przez miesiąc, to owszem, wróci, ale jeśli ciocia schudnie pięć kilo przez rok, to już z głowy. I następne pięć kilo przez następny rok...

Malwinie obrzydliwa zupka zamajaczyła na horyzoncie, jak to, więc już nigdy miałaby nie zjeść nic dobrego? Przez rok, przez dwa lata, może nawet przez trzy...? A z drugiej strony zdjęcie potwora, ta wracająca nadwaga, i któż by koło niej chodził, o Karolu nie ma co nawet myśleć, a Justynka zadręczyłaby ją na śmierć, to już lepiej się otruć!

Ze zdenerwowania robiła się coraz bardziej głodna. Wstyd jej było przeszukiwać lodówkę i kredensy, zjadła zatem to, co stało na wierzchu, resztę selera z chrzanem. Żeby wreszcie przerwać tę dobijającą tyradę, ulała z siebie rozgoryczenie dodatkowe. Była tam, u Agaty, jeszcze jedna przyjaciółka, Marta, chuda jak szczapa, zawsze była taka chuda, i cóż się okazuje? Upodobania ma nie ludzkie, a królicze, same jarzyny jada, gotowane i surowe, zielska wszelkie, mięso również i ryby, ale jakie! Też tylko gotowane, bez tłuszczu, soli tyle co kot napłakał, i pomyśleć, że tak lubi. Lubi! Dla własnej przyjemności jada takie rzeczy. Oto szczęśliwa kobieta!

- No dobrze - powiedziała po chwili milczenia Justynka, która miała już całkowicie dość tej agitacji. - Ale etoli z szafirów ona chyba nie ma?

I nagle nastąpiło coś w rodzaju cudu. Aczkolwiek gotowane jarzyny niewiele miały wspólnego z futrzaną etolą, to jednak w Malwinie się coś zazębiło. Rzeczywiście, chuda, nie chuda, ale etoli nie ma. A ona, Malwina, ma dwie. I już nie musi użerać się z tym zabijaniem Karola. No więc dobrze, niech będzie, trudno, skoro to życie jest takie podłe i skomplikowane, wyrzeknie się wafelków w czekoladzie i zje tę przeklętą marchewkę...

Wafelki zjadły Justynka z Helenką.

* * *

Przyszła w końcu okropna chwila, która Justynce spędzała sen z oczu. Konrad nie popuścił, odczekał swoje i po ostatnim egzaminie zabrał ją do Wilanowa. Cierpła na niej skóra na samą myśl o nieuchronnej rozmowie i spodziewała się najgorszego, bo przecież nie mogło być za dobrze.

Egzaminy zdała wręcz koncertowo. W domu przez ostatnie pięć dni panowała atmosfera zgoła niebiańska, wuj nikomu nie zrobił nic złego, ciotka z męczeńskim wyrazem twarzy gotowała brokuły i szparagi i podawała na deser galaretki owocowe bez bitej śmietany. Schudła całe czterdzieści deko i siedząc przed telwizorem, katowała się surową marchewką. Coś musiało złamać tę sielską szczęśliwość, zamącić spokój, i tym czymś była z pewnością tajemnica Konrada.

Niemożliwe wszak, żeby pierwszy raz w życiu zakochała się w chłopaku, który zakochał się w niej wzajemnie, i żeby nie pojawiła się jakaś zupełnie koszmarna przeszkoda, nie spadł jakiś cios, niweczący słodkie nadzieje. Coś takiego byłoby po prostu nienormalne.

- Jeśli chcesz wiedzieć, wziąłem tę robotę przy twoim wuju przez ciebie - powiedział Konrad, kiedy już siedzieli nad kawą. - A ściślej: wytrwałem przez ciebie.

- Przecież ja z tym nie miałam nic wspólnego? - zdziwiła się Justynka.

- Owszem, miałaś. Zaraz drugiego dnia, kiedy wahałem się, czy tego nie rzucić, zobaczyłem, że wchodzisz do tego samego domu, co mój obiekt.

A widziałem cię już wcześniej. No i jasne, że zostałem.

- Gdzie mnie widziałeś?

- W autobusie. Wpadłaś mi w oko od razu. A potem już wsiąkłem...

- Nie! - przerwała mu Justynka rozpaczliwie.

- Co nie?

- Nie możesz...

Pomyślała, że on jej zaraz wyzna swoje uczucia, a ona przecież nie może do tego dopuścić, dopóki nie wyjaśni upiornych kwestii zdrowotnych. Później będzie jeszcze gorzej. Trudniej. Pozwalając mu na wyznania, oszukuje go!

- Czego nie mogę?

- Zaraz. Jest coś... Nie wiem, jak...

- Ja bardzo dobrze pamiętam, że miałaś mi zadać jakieś pytanie - powiedział Konrad spokojnie. - Sam jestem ciekaw, co to może być takiego. Wal!

- Nie mogę! - jęknęła Justynka. - Czuję się jak podstępna świnia. Gdybyś chociaż popełnił jakieś przestępstwo...!

- Mogę stłuc szybę. Ale wtedy wyrzucą nas z lokalu.

- To byłoby tylko wykroczenie... Boże drogi, chyba wolałabym na piśmie... Nie, już lepiej wprost...

Konrad poczuł lekki niepokój. W żaden sposób nie mógł dociec, co ją tak gnębi i co za jakieś pytanie nie chce jej przejść przez gardło. Nic już nie mówił, tylko patrzył takim wzrokiem, że Justynkę skręciło.

- No trudno, muszę. Słuchaj, powiedz mi prawdę: czy ty coś ukrywasz przede mną?

Konrad zdumiał się niebotycznie. Od chwili kiedy wyszedł na jaw rodzaj jego pracy i powiązania z Karolem Wolskim, nie ukrywał przed Justynka niczego. Nie miał powodów. Co też ona mogła mieć na myśli?

- Jak Boga kocham, niczego nie ukrywam! O co biega?

- Nie masz jakichś... kłopotów...?

- Mój jedyny kłopot to ty. Wszystkie inne chromolę.

- Nie. Kłopotów... no... zdrowotnych...? Przez moment Konrad miał ochotę zerwać się i popędzić do lustra dla sprawdzenia, czy nie wystąpiła mu na twarzy jakaś wysypka albo inne świństwo. Pohamował odruch.

- Na litość boską, wyglądam chorowicie?

- Nie i właśnie dlatego... To znaczy, nie dlatego... Nie masz jakiejś... dolegliwości?

- Nawet jeśli mam, nic o tym nie wiem. Zaraz, czekaj... Posądzasz mnie o aids...?!

W głosie Konrada zabrzmiała wręcz zgroza i Justynka przestraszyła się, że już go zdołała nieodwracalnie obrazić.

- Nie, skąd, nic podobnego! Chodzi mi o... takie coś... No, naprawdę nic nie masz?

- Nic, słowo ci daję.

- Ale może miałeś...?

Jej upór w kwestii choroby otumanił Konrada doszczętnie.

- Dwa lata temu miałem grypę - rzekł ponuro. - I w wieku czternastu lat wybiłem sobie ząb. A ogólnie nie miewam nawet kataru.

- A reumatyzm...?

- Nie mam reumatyzmu. Dziewczyno, co ci lata po głowie? Zdrów jestem jak bydlę! Co ty we mnie widzisz takiego podejrzanego?!

- To dlaczego... - powiedziała Justynka żałośnie - to dlaczego ty... w tym kasynie... tak dziwnie...

- Co...?

- Tak dziwnie... chodziłeś... Jakbyś był spętany... I... i trzymałeś się... no, za tył... Konrad nagle zrozumiał.

- Ochchch cholera...! - jęknął. - Wiedziałem, że te portki mnie zgubią...!

Ulga, jakiej doznała Justynka po wyjaśnieniu sprawy, przerosła świat, Konrad natomiast nieco zmroczniał. Nie spodziewał się po niej takiego przeraźliwego racjonalizmu i takiej przezorności, jakieś mu się to wydało niesmaczne. Natychmiast jednak zdobył się na uczciwość i odwrócił role, a co by było, gdyby tak ona miała jakąś skrywaną, chroniczną dolegliwość, z takich, co zatruwają życie...? Musiałby się nieźle zmobilizować...

- Bo co? - spytał z zainteresowaniem. - Przestraszyłaś się, że będziesz pielęgnować paralityka?

- E tam - odparła Justynka pogodnie. - To znaczy owszem, bałam się udręk i męczarni, chociaż już się zaczęłam nastawiać... Ale głównie... Widzisz... Wszystko zniosę, tylko jednego nie. Nienawidzę być oszukiwana. I najbardziej się bałam, że jeśli ukrywasz coś przede mną, to znaczy, że mnie oszukujesz. Wolę najgorszą prawdę niż najpiękniejsze łgarstwo, chociaż, z drugiej strony, myślałam, że może nie powinnam się czepiać, bo może to jest tylko coś kompromitującego, bo może masz, bardzo cię przepraszam, na przykład, hemoroidy...

I od razu, mimo iż Konrad dostał straszliwego ataku śmiechu, pomyślała, że wszystko jest w porządku. Niewątpliwie naraziła mu się tym pytaniem, straciła w jego oczach, zatem chwalić Boga, przestało być za dobrze i życie wróciło do normy. Może już nie mieć żadnych obaw.

W pół godziny później Jola z Januszem Dębickim wstąpili na kawę do tego samego lokalu.

- O, cholera - powiedziała Jola, zatrzymując się w wejściu. - Widzę, że mój brat się zaklopsował rzetelnie. Jeszcze go w takim stanie nie widziałam!

- Bo to jest zaraźliwe - stwierdził melancholijnie Janusz i pociągnął ją do stolika. -Jesteśmy kumplami. Łatwo złapać wirusa od siebie wzajemnie...

Po czym wszyscy zaczęli żyć ze sobą normalnie, kochając się, kłócąc i godząc, wśród zmartwień, sukcesów, kłopotów, nieszczęść, uciech, rozpaczy i wszelkiej pomyślności.

chyba koniec